

Cherie  
Priest

Ponury świat śmiertelnych gazów,  
tajemniczych maszyn, piratów w zeppelinach  
i nieustającej plagi zombie

# KOŚCIOTRZEP



- Książmice -

# Cherie Priest

Kościołrzep

# Boneshaker

*Przełożył Robert J. Szmidt*

*Dedykuję Zespołowi Seattle*

*Markowi Hemy'emu, Caitlin Kittrege, Richelle Meat i Kat Richardson*

*– za to, że są sercem i duszą tego miasta*

## PODZIĘKOWANIA

Przy tej książce muszę podziękować wielu osobom, zatem pozwólcie, że przedstawię całą ich listę.

Wielkie dzięki należą się mojej redaktorce Liz Gorinsky za niezwykle umiejętności, zadziwiającą cierpliwość i niezrównaną determinację.

Podziękowania niech przyjmie dział reklamy wydawnictwa Tor, zwłaszcza Dot Lin i Patty Garcia, które wiedzą, co w trawie piszczy. Słowa uznania kieruję do mojej bezlitosnej agentki Jennifer Jackson za nieustające słowa zachęty.

Równie gorąco dziękuję moim domownikom, w tym zwłaszcza mężowi Aricowi Annearowi, który przyglądał się uważnie każdemu elementowi tej opowieści już na etapie jej pisania; mojej siostrze Becky Priest za wspólne przeglądanie wydruków do akceptacji; Jerry'emu i Donnie Priestom za nieustanne zagrzewanie do boju oraz mojej mamie Sharon Priest za to, że pilnowała, aby nie uderzyła mi do głowy woda sodowa.

Dziękuję wymienionej powyżej drużynie z Seattle oraz naszym przyjaciołom: Duane Wilkins z księgarni Uniwersytetu Waszyngtona i niezrównanej Synde Korman z mieszczącej się w centrum księgarni Barnes

& Noble. A skoro już mowa o tej sieci, przesyłam także gorące podziękowania Paulowi Goatowi Allenowi. On już wie za co.

Kolejne podziękowania muszę skierować na ręce mojej ulubionej wilkołaczki Amandy Gannon za to, że pozwoliła mi wykorzystać nazwę swojego LiveJournala (ona jest oryginalną „Naamah Darling”); przewodnikowi po podziemiach Seattle, który zaoferował mi nawet pracę, widząc, jak często odwiedzam te tunele; mojej starej przyjaciółce Andrei Jones za wkład w badanie przeszłości i podrzucanie najlepszych tropów.

Podziękowania niech również przyjmą: Talia Kaye, rozmiłowana w literaturze fantastycznej pracownica biblioteki publicznej w Seattle; Greg Wild-Smith, webmaster mojej strony; Warren Ellis i pozostali członkowie klubu; Ellen Milne za te wszystkie ciasteczka.

W epoce wynalazków rozwinięto niebywale produkcję wszelakich rodzajów broni. Najwięcej innowacji pojawiło się podczas długotrwałych wojen toczonych w Europie od początku stulecia.

Wystarczy wspomnieć epizodyczną kampanię włosko-francuską z roku 1859, aby zrozumieć, jak ogromny postęp uczyniła inżynieria zagłady w tamtych czasach.

THOMAS P. KETTELL, *Historia Wielkiej Rebelii. Od pierwszych dni do samego końca, ze wskazaniem wszystkich przyczyn prowadzących do secesji Stanów Południowych, utworzenia Rządu Konfederacji, koncentracji środków militarnych i finansowych w rękach władz federalnych, dzięki którym możliwe było stworzenie ogromnej potęgi służącej potem do zorganizowania i wyekwipowania pozostających w nieustannym sporze armii lądowych i marynarki wojennej; niezwykle sugestywne, ale i bardzo wierne opisy toczonych bitew, bombardowań, oblężeń fortów i zdobywania szczytów, etc. etc.; zobrazowanie gigantycznych nakładów finansowych ponoszonych przez rząd oraz patriotycznych kontrybucji rozentuzjasmowanego społeczeństwa; portrety wszystkich wpływowych obywateli oraz dowódców armii i marynarki, z kompletnym indeksem nazwisk i nazw czerpanych wyłącznie z oficjalnych źródeł (1862).*

Wyjątek *Nieprawdopodobnych epizodów*

*historii Zachodu*

## **ROZDZIAŁ 7: Seattle**

**– miasto za murem**

*Wersja robocza spisana przez*

*Hale'a Quartera (1880)*

Pozbawione bruku nierówne szlaki pretendujące do miana dróg; to one spinają oba wybrzeża kontynentu niczym sznurowadła cholewki buta, wijąc się i krzyżując w wielu miejscach. Przemierzają je osadnicy, brnąc ze wschodu na zachód przez rozlewiska wielkich rzek, rozległe równiny oraz przełęcz leżące między niebotycznymi szczytami. Pokonują Góry Skaliste wolno, acz nieustannie, idąc pieszo i jadąc wozami.

A tak to się zaczęło.

W Kalifornii znaleziono samorodki wielkości orzechów leżące po prostu na ziemi – tak w każdym razie ludzie mówili, a jak zapewne wiecie, prawda potrafi być wolniejsza od ślimaka, kłamstwa zaś mkną na skrzydłach wiatru. Takim właśnie sposobem strumyczek podróżników zmienił się wkrótce w ogromną rzekę. Szerokie plaże zachodniego wybrzeża zaroily się od poszukiwaczy, którzy gonili za szczęściem, wypłukując żwir z okolicznych strumieni, i modlili się cały czas o uśmiech fortuny.

Z czasem tereny te zaludniły się dość mocno, a przychody zmalały. Na powierzchni ziemi pozostały już tylko tak mikre drobinki złota, że poszukiwacze mogli je równie dobrze wdychać z powietrzem.

W roku 1850 pojawiły się kolejne plotki, tym razem nadeszły z północy.

Klondike, mówiły. Przybywajcie i wyrębcie sobie drogę w lodzie. Na wystarczająco

zdeteminowanych ludzi czeka fortuna w czystym złocie.

Ludzka rzeka zmieniła bieg, kierując się teraz prosto na daleką północ.

A to oznaczało czasy prosperity dla ostatniego przystanku przed kanadyjską granicą – prowincjonalnego miasta tartaków nad zatoką Puget, nazwanego Seattle na cześć wodza lokalnych indiańskich plemion. Tonące w błocie zadupie zmieniło się błyskawicznie w tętniące życiem imperium. To tutaj zatrzymywali się na popas poszukiwacze oraz łowcy przygód, tutaj dokonywali większych zakupów na dalszą drogę.

W czasie gdy Amerykanie wciąż się sprzeczcali, czy odkupić terytorium Alaski, czy też zostawić je w rękach dotychczasowych właścicieli, Rosjanie zaczęli robić uniki, starając się odwlec termin podania ostatecznej ceny.

Odkrycie bogatych żył złota na przynależnych im terenach całkowicie zmieniało reguły gry. Pytanie jednak, czy znalezione tam złoża da się eksploatować? Odkryte niedawno pokłady znajdowały się bowiem pod setkami stóp litego lodu, więc prace wydobywcze miały się stać swoistym poligonem doświadczalnym.

W roku 1860 Rosja ogłosiła konkurs, oferując sto tysięcy rubli wynalazcy, który zdoła stworzyć maszynę zdolną przekopać się przez lądolód i eksploatować żyły złota. Rozpoczęło to kolejny wyścig naukowych zbrojeń mimo wciąż realnej groźby wybuchu wojny domowej.

Na całym północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku powstawały maszyny gigantyczne i mniej okazałe. Zaprojektowanie urządzeń odpornych na skrajnie niskie temperatury i zdolnych ryć w zmarzniętej na kamień ziemi wymagało zastosowania najprzemysłniejszych technologii. Zasilano te monstra parą bądź węglem, ich części były smarowane lubrykantami mającymi je chronić przed działaniem żywiołów. Jednymi mieli kierować ludzie w podobny sposób jak dyliżansami, inne konstruowano tak, aby pracowały same, ich sterowanie powierzano wyjątkowo skomplikowanym mechanizmom.

Żadna ze wspomnianych machin nie nadawała się jednak do eksploatacji ukrytych pod ziemią żył złota. Rosjanie byli już o krok od poddania się i odsprzedania Alaski za naprawdę niewysoką cenę... gdy nagle pojawił się u nich wynalazca z Seattle, przywożąc ze wszech miar zadziwiający projekt. Miała to być najdoskonalsza konstrukcja do prac górniczych, jaką wymyślił człowiek: długa na pięćdziesiąt stóp, w pełni zmechanizowana i napędzana sprężoną parą. Wyposażono ją w trzy czołowe głowice wierzące i tnące. Po bokach i z tyłu miała spiralne ciągi czerpaków, które odprowadzały urobek za jej kadłub. Doskonale wyważona i dokładnie opancerzona machina mogła drążyć zarówno idealnie poziome, jak i pionowe tunele, zależnie od życzenia kierującego nią człowieka. Pracowała z niespotykaną do tej pory precyzją, a system zasilania miał się stać wzorem dla przyszłych generacji podobnego sprzętu.

Tyle tylko że jeszcze jej nie zbudowano.

Wynalazca, człek nazwiskiem Leviticus Blue, przekonał Rosjan, by dali mu fundusze wystarczające na zgromadzenie potrzebnych części i pracę laboratorium Niesamowitej Wytrząsającej Kości z Ciała Machiny Wydobywczej doktora Blue. Poprosił o pół roku czasu i przyobiecał wykonać po tym

terminie pierwsze pokazy publiczne.

Leviticus Blue otrzymał żądane sumy, wrócił z nimi do Seattle i rozpoczął budowę zadziwiającej maszyny w piwnicach własnego domu.

Składał ją część po części z dala od zazdrosnych oczu mieszkańców miasta.

Noc w noc odgłosy pracy dziwnych urządzeń niepokoiły wszystkich jego sąsiadów. W końcu jednak, i to na długo przed upływem sześciu miesięcy wynalazca ogłosił, że zdołał ukończyć dzieło swojego życia.

Ludzie nadal spierają się co do przebiegu następnych wydarzeń.

Może i doszło do najzwyklejszego w świecie wypadku, niemniej jedno tylko możemy powiedzieć ze stuprocentową pewnością – maszyna doktora Blue wymknęła się spod kontroli. Przyczyny tego stanu rzeczy mogły być najróżniejsze, od przemęczenia przez spóźnioną reakcję aż po błąd w obliczeniach. Aczkolwiek równie dobrze możemy mieć do czynienia ze skalkulowanym na zimno posunięciem, którego celem było zniszczenie centrum miasta.

Nigdy się nie dowiemy, jakie motywy kierowały doktorem Blue.

Z pewnością był dusigroszem, aczkolwiek nie wyróżniał się pod tym względem od większości swoich współczesnych; niewykluczone więc, że zamierzał zbiec z resztą otrzymanej dotacji – a każdy grosz więcej w kieszeni zwiększał szanse na powodzenie takiej ucieczki. Wynalazca ożenił się na krótko przed opisywanymi wypadkami (powiadają, że jego żona była aż o dwadzieścia pięć wiosen młodsza od niego), możliwe więc także, że to ona przyłożyła rękę do niefortunnej decyzji męża. Może zbyt go popędzała albo dawała do zrozumienia, że chciałaby widzieć u swojego boku kogoś znacznie bogatszego. Istnieje też wersja, podtrzymywana zresztą dość długo przez ową kobietę, że o niczym nie miała pojęcia.

Jedno jest wszakże pewne: późnym popołudniem 2 stycznia 1863 roku coś wyłoniło się z rzeczonyj piwnicy, ryjąc szlak grozy z domostwa na Denny Hill aż do śródmieścia, gdzie zawróciło i znikło w miejscu, z którego wyruszyło.

Nieliczni świadkowie tego zdarzenia przyznają – aczkolwiek tylko paru zdaje się mówić to z całkowitą pewnością – że widzieli Niesamowitą Wytrząsającą Kości z Ciała Maszynę Wydobywczą. Nie powinno to nikogo dziwić, jako że większość trasy ze wzgórz przebyła ona pod ziemią, ryjąc tunel pod rezydencjami najbogatszych kapitanów i armatorów, aby się dostać na równiny zajmowane przez rozległe tartaki, a potem przebić przez korytarze, piwnice i składziki wszelkiego rodzaju sklepików, aptek oraz...

przez skarbcze banków.

Cztery największe instytucje finansowe miasta zajmowały sąsiednie posesje przy jednej ulicy. I wszystkie zostały zrównane z ziemią, gdy maszyna pozbawiła je części fundamentów. Ściany banków zadrżały, przechyliły się i runęły. Podłogi popękały i zapadły się ku środkowi, gdy zabrakło im

solidnych podpór, a całość została zmiażdżona przez walące się z impetem dachy. W skarbcach owych instytucji znajdowało się podówczas nie mniej niż trzy miliony dolarów zarobionych na kalifornijskich kopaczach, którzy spieniężali tutaj znalezione samородki, aby opłacić podróż dalej na północ, do Klondike, gdzie zamierzali kontynuować prace wydobywcze.

Wielu klientów zginęło w bogatych wnętrzach tych instytucji, jako że w tamtych czasach ludzie zawsze stali w długich kolejkach do licznych kas, wpłacając i wypłacając swoje pieniądze. Znacznie więcej obywateli zostało zabitych na okolicznych ulicach, gdy ściany podkopywanych budynków kruszyły się od drgań i rozsypywały, grzebiąc pod gruzami wszystkich i wszystko wokół.

Mieszkańcy Seattle szukali bezpiecznego schronienia, ale gdzie mogli je znaleźć? Ziemia otwierała im się pod stopami i pochłaniała ich wszędzie tam, gdzie piekielna Machina Wydobywca zbliżyła się za bardzo do powierzchni ziemi. Nawierzchnie ulic drżały i wierzgały jak nie przymierzając, trzepane dywany. Kołysały się mocno na boki, a nawet falowały. Gdziekolwiek się pojawiła owa machina, towarzyszyły jej upiorne dźwięki obrotowych głowic, które przedzierały się przez skały i ziemię, oraz chrzęst zapadającego się za nią tunelu.

Nazwanie tego obrazu katastrofą byłoby sporym niedopowiedzeniem.

Nigdy do końca nie zsumowano ofiar i tylko Bóg jeden wie, ilu ludzi zostało pogrzebanych pod walącymi się murami. Niestety, nie było czasu na ogłoszenie ewakuacji.

Tuż po tym jak machina doktora Blue powróciła do piwnic jego domostwa, zanim zdążono opatrzyć najciężej rannych i wykrzyzczyć gniewne pytania pod dachami ocalałych budowli, na miasto spadła druga fala kataklizmu. Mieszkańcom Seattle trudno było uwierzyć, że nie miała ona żadnego związku z niedawnym wypadem wynalazku doktora Blue, niemniej nie mieli szans, aby się podzielić swymi podejrzeniami z opinią publiczną.

Dzisiaj wiemy jedynie tyle, ile spisano w bezpośrednich przekazach, ale może przyszłym pokoleniom badaczy uda się znaleźć odpowiedzi na dręczące nas teraz pytania.

Oto co wiemy na pewno: krótko po tragicznym w skutkach rajdzie doktora Blue członkowie ekip remontowych pracujący w pobliżu banków zaczęli zapadać na dziwną chorobę. Wedle raportów zaraza rozprzestrzeniała się za pośrednictwem gazu wypełniającego tunel wyryty przez Machinę Wydobywczą. Był on całkowicie bezwonny i bezbarwny, lecz gdy jego nasycenie zwiększyło się znacznie, człowiek wyposażony w polaryzowane szkła mógł dostrzec dziwne opalizujące opary.

Działanie gazu sprawdzono klasyczną metodą prób i błędów. Była to dość gęsta i wolno rozprzestrzeniająca się zawiesina gazowa, która zabijała przez dotyk. Można ją było powstrzymać, stosując dość prymitywne bariery.

W czasie ewakuacji miasta utworzono wiele takich tymczasowych zapór.

Rozebrano całe mnóstwo namiotów, aby płótno z nich, po wysmarowaniu smołą i rozpięciu na palikach, służyło za przenośne ekrany.

Gdy jednak metoda ta zaczęła zawodzić i kolejne bariery padały, znów doprowadzając do śmierci tysięcy mieszkańców miasta, władze Seattle sięgnęły po poważniejsze środki i metody działania. W pośpiechu kreślono kolejne plany, a po niespełna roku od wypadu Niesamowitej Wytrząsającej Kości z Ciała Machiny Wydobywczej całe centrum miasta zostało otoczone grubym murem z cegieł i zaprawy.

Mur ten miał w niektórych miejscach niemal dwieście stóp wysokości

– w zależności od ukształtowania terenu – i grubość od piętnastu do dwudziestu stóp. Otaczał cały skażony teren, czyli niemal dwie mile kwadratowe. Był to prawdziwy cud nowoczesnej inżynierii.

Zdawać się mogło, że po jego wewnętrznej stronie nie ma już żywych istot, może z wyjątkiem szczurów czy kruków, o których zresztą krążyły rozmaite legendy. Gaz unoszący się z tuneli zabijał wszystko, z czym się zetknął. Tętniąca niegdyś życiem metropolia zamieniła się w wymarłe miasto, wokół którego mieszkały resztki dawnej społeczności. Ludzie musieli opuścić swoje domy i choć większość wyemigrowała później dalej na północ, do Vancouver, albo na południe do Tacomy i Portland, to jednak całkiem sporo dawnych obywateli Seattle nadal się gnieździło w pobliżu muru.

Zajęli błotniste równiny i zbocza pobliskich wzgórz, tworząc załążki miejscowości zwanej przez nich Przedmieściem, i tu właśnie starali się zacząć nowe życie.

## **ROZDZIAŁ 1**

Zobaczyła go i zatrzymała się kilka stóp od schodów.

– Przepraszam – rzucił pospiesznie – nie chciałem pani wystraszyć.

Kobieta w ciężkim czarnym płaszczu stała całkiem nieruchomo, nawet nie mrugnęła okiem.

– Czego pan chce? – zapytała.

Przygotował sobie całą przemowę, ale nie pamiętał ani słowa.

– Porozmawiać. Z panią. Chciałem z panią porozmawiać.

Briar Wilkes zacisnęła mocno oczy. Gdy otworzyła je ponownie, zapytała:

– Chodzi o Zeke’a? Co znowu zmalował?

– Nie, nie chodzi mi o niego – zapewnił. – Miałem nadzieję, że porozmawiamy o pani ojcu.

Jej ramiona natychmiast utraciły charakterystyczną sztywność i ułożenie sugerujące postawę obronną. Pokręciła głową.

– Rozumiem. Przysięgam na Boga, że wszyscy mężczyźni w moim życiu... – Zamilkła, lecz po chwili dodała: – Mój ojciec był tyranem, wszyscy, których kochał, bardzo się go obawiali. Czy to chciał pan usłyszeć?



Nie ruszył się z miejsca, gdy pokonywała jedenaście nierównych stopni prowadzących do drzwi jej domu, a przy okazji do miejsca, w którym stał.

Kiedy się zatrzymała na niewielkiej werandzie, zapytał:

– To prawda?

– Jedyne i całkowite.

Stała przed nim, ściskając w dłoni pęk kluczy. Sięgała mu ledwie do brody. Nagle uświadomił sobie, że kobieta mierzy sporym kluczem prosto w jego pierś. Dopiero po chwili zrozumiał, że zasłonił jej drzwi. Odsunął się na bok.

– Jak długo pan na mnie czekał? – zapytała.

Zastanawiał się, czy nie skłamać, ale przyszpiliła go do ściany ostrym spojrzeniem.

– Kilka godzin. Chciałem być tutaj, zanim pani wróci do domu.

Zamek trzasnął, zgrzytnął, a potem drzwi się otworzyły do wnętrza z głośnym skrzypnięciem.

– Wzięłam dodatkową zmianę w pracy. Czy może pan przyjść kiedy indziej?

– Bardzo panią proszę. Mogę wejść?

Wzruszyła ramionami, lecz nie powiedziała „nie”, ruszył więc za nią, zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się w progu, czekając, aż Briar znajdzie lampę i zapali.

Podeszła z nią do kominka, na którym leżały wypalone na popiół

szczapy. Obok paleniska leżał pogrzebacz i zestaw miechów, w płaskim metalowym nosidle dostrzegł też równo docięte i starannie porąbane polana.

Rozgrzebała palenisko i znalazła na samym dnie kilka żarzących się wciąż węgla.

Dzięki garści podpałki, kilku kawałkom drewna i chwili dmuchania ogień, choć opornie, rozgorzał od nowa.

Briar zdjęła płaszcz, wolno wysuwając ręce z rękawów, najpierw jedną, dopiero potem drugą, i zawiesiła go na kołku wystającym ze ściany. Bez ciężkiego odzienia wydawała się o wiele bardziej krucha – jakby była przepracowana albo jadła zbyt rzadko lub za skromnie. Na jej rękawicach i wysokich butach sporo było resztek roślin. Nosiła też spodnie, jakby była mężczyzną. Długie czarne włosy spinała z tyłu głowy, ale dwa pasemka musiały jej się wymknąć przy czesaniu i zwisały teraz smętnie, brudne i przemoczone.

Miała trzydzieści pięć lat i nie wyglądała ani o minutę młodziej.

Naprzeciw wciąż rosnącego migotliwego ognia stał pokryty skórą wiekowy fotel. Briar opadła na niego ciężko.

– Panie... Przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Hale. Hale Ouarter. Muszę przyznać, że spotkanie z panią to dla mnie zaszczyt.

Przez moment myślał, że wybuchnie śmiechem, lecz nie zrobiła tego.

Sięgnęła za to po kapciuch leżący obok na stole.

– Dobrze, panie Hale Ouarter. Proszę powiedzieć, dlaczego czekał pan na mnie tak długo mimo ziąbu? – Z kapciucha wyjęła kawałek bibułki i szczyptę tytoniu. Tak długo ją rozgniatała, aż udało jej się zrolować papierosa. Odpaliła go od płomienia lampy.

Udało mu się dokonać tak wiele dzięki mówieniu prawdy, zaryzykował

więc kolejne wyznanie.

– Przyszedłem tak wcześnie, ponieważ wiedziałem, że nie będzie pani w domu. Ktoś mi powiedział, że jeśli zapukam do drzwi, może pani do mnie strzelić.

Skinęła głową, a potem oparła ją o zagłówek.

– Też słyszałam tę opowieść. Lecz jak widać, nie odstrasza ona aż tak wielu ludzi, jak można by przypuszczać.

Nie potrafił określić, czy żartowała, czy też zupełnie poważnie zaprzeczała.

– W takim razie dziękuję podwójnie: że mnie pani nie zastrzeliła w progu i wpuściła do domu.

– Nie ma za co.

– Czy... mogę usiąść? Oczywiście jeśli to pani nie przeszkadza.

– Ależ proszę, aczkolwiek niech pan nie liczy na długie posiedzenie –

ostrzegła.

– Nie chce pani mówić?

– Nie mam zamiaru rozmawiać o Maynardzie. Po prostu nie wiem, co tam się stało. Nikt tego nie wie. Ale proszę, niech pan pyta, o co chce, tylko przygotuje się zawczasu na szybkie pożegnanie, jeśli zacznie mnie pan nudzić albo jeśli się zmęcę powtarzaniem słów „nie wiem”.

Zachęcony tym wywodem sięgnął po drewniane krzesło z wysokim oparciem i przysunął je bliżej ognia, tak aby się znaleźć na wprost fotela i jej oczu. Gdy otworzył notes, mogła zobaczyć niemal

czystą kartkę z kilkoma tylko słowami zapisanymi na samej górze.

– Dlaczego chce pan wiedzieć, co się przydarzyło Maynardowi? –

zapytała, gdy szykował się do rozpoczęcia rozmowy. – Dlaczego teraz? On nie żyje od piętnastu lat, lada moment minie szesnasta rocznica jego śmierci.

– Czy ten moment jest gorszy od innych? – Hale przejrzał poprzednio zrobione notatki i usiadł wygodniej, trzymając ołówek tuż nad niezapisaną kartką. – Ale skoro pani już zapytała: mam zamiar napisać książkę.

– Kolejną książkę? – Wypowiedziała te słowa nieco ostrzej i szybciej.

– Bynajmniej nie sensacyjną zastrzegł się, by nie było niejasności.

Chciałbym napisać prawdziwą biografię Maynarda Wilkesa, ponieważ wierzę, że uczyniono mu wielką krzywdę. Zgodzi się pani z taką opinią?

– Nie. Nie zgodzę. Dostał to, na co sobie zasłużył. Przez trzydzieści lat harował jak wół za grosze, a i tak został zniesławiony przez miasto, któremu wiernie służył. – Obróciła w palcach na wpół wypalonego papierosa. –

Pozwolił na to. I za to najbardziej go nienawidzę.

– Ale pani ojciec wierzył w sprawiedliwość.

– Jak każdy przestępca – wypaliła w odpowiedzi.

– Zatem uważa pani, że był przestępcą? – Hale nadstawił ucha.

Zaciągnęła się raz jeszcze papierosem, zanim odpowiedziała.

– Proszę nie przekreślać moich słów. Niemniej... ma pan rację. Wierzył

w sprawiedliwość. Były momenty, gdy wątpiłam, że jest w stanie uwierzyć w cokolwiek innego, lecz w tym jednym się pan nie myli. Wierzył w sprawiedliwość.

Trzaski pękających szczap i snopów iskier wypełniły chwilę ciszy, która zapadła między nimi po tej wymianie zdań. W końcu Hale odważył się powiedzieć:

– Chciałbym to dobrze zrozumieć, proszę pani. Tylko tyle. Uważam, że tu nie chodzi jedynie o ucieczkę z więzienia...

– Dlaczego? – przerwała mu. – Dlaczego uważa pan, że on miał z tym coś wspólnego? Jaką teorię zamierza pan umieścić w swojej książce?

Zawahał się, ponieważ na razie nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Zamierzał wykorzystać tę wersję zdarzeń, która wyda się Briar mniej negatywna.

– Wydaje mi się, że on robił to, co uważał za słuszne. Ale mnie zależy na poznaniu pani zdania na ten temat. Maynard wychowywał panią samotnie, jeśli się nie mylę? Musi go pani znać o wiele lepiej niż ktokolwiek inny.

– Zdziwiłby się pan – odparła z kamienną twarzą. – Nie byliśmy sobie aż tak bliscy.

– Ale pani mama umarła...

– ... podczas porodu, zgadza się. On był jedynym rodzicem, jakiego kiedykolwiek miałam, choć nie za dobrym, skoro już pan pyta. Wiedział tyle o wychowywaniu dziewczynki, ile ja o mapie Hiszpanii.

Hale ujrzał przed sobą solidny mur z cegły, wycofał się więc i spróbował go obejść, aby trafić na bardziej podatny grunt. Wodził przy tym wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu, solidnych, lecz prostych meblach i czystej, chociaż podniszczonej podłodze. Zauważył drzwi prowadzące na korytarzyk, którym można było przejść na tyły domu. Z miejsca gdzie siedział, mógł dostrzec czworo drzwi, wszystkie dokładnie zamknięte.

– Dorastała pani tutaj, w tym domu? – Udawał, że zgaduje.

– O tym wszyscy wiedzą. – Nie dała się zmiękczyć.

– I tutaj go przywieźli. Jeden z uciekinierów i jego brat. Przywieźli go tutaj i próbowali ratować. Posłano po lekarza, ale...

Briar podjęła tym razem przerwana nić rozmowy i nie odrzuciła jej po zdawkowej odpowiedzi.

– ... ale nawdychał się zbyt dużo Zguby. Nie żył, zanim wezwanie dotarło do lekarza, i przysięgam – strzepnęła popiół z papierosa prosto w palenisko – że dobrze się stało. Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby to przeżył? Oskarżono by go o zdradę albo wielką niesubordynację, gdyby miał

szczęście. Trafiliby do więzienia w najlepszym razie. W najgorszym zostałby rozstrzelany. Nie zawsze zgadzałam się z moim ojcem, ale czegoś takiego nawet ja bym mu nie życzyła. Dobrze się stało – powtórzyła i zapatrzyła się w ogień.

Hale potrzebował kilku sekund, by znaleźć odpowiednie słowa.

– Zdążyła go pani zobaczyć? – zapytał w końcu. – Zanim umarł?

Wiem, że była pani jedną z ostatnich osób, które opuściły Seattle, a potem zamieszkała pani tutaj. Czy spotkała się pani z nim po raz ostatni?

– Tak. – Skinęła głową. – Leżał sam w ostatnim pokoju, na własnym łóżku, nakryty prześcieradłem brudnym od wymiotów, które w końcu go zadławiły. Doktora przy nim nie było, z tego co wiem, w ogóle tutaj nie przyszedł. Zresztą skąd mieliby go wtedy wziąć w samym środku ewakuacji?

– Zatem umierał w samotności? Tutaj, we własnym domu?

– W samotności – potwierdziła. – Zamek w drzwiach frontowych był

wyłamany, zamknięto je tylko na klamkę. Ktoś położył go na łóżku, równo, z szacunkiem, tyle pamiętam. Potem nakrył go prześcieradłem, kładąc u boku strzelbę i odznakę. Ale zmarł i nie ożył. Zguba nie zmusiła go do powstania z grobu. Dzięki Ci, Boże, choć za to.

Hale notował wszystko, co mówiła, mrucząc pod nosem, gdy ołówek skrzypiał, śmigając po powierzchni papieru.

– Sądzi pani, że mogli to zrobić więźniowie?

– A pan? – odparła pytaniem na pytanie. Nie było w nim jednak oskarżycielskiego tonu.

– Tak podejrzewam – przyznał, choć był tego całkowicie pewien. Brat więźnia mówił mu, że zostawili porządek w domu Maynarda i nie ukradli niczego. Dodał też, że położyli go na łóżku i nakryli prześcieradłem. To były szczegóły, o których nikt inny nigdy wcześniej nie wspomniał, nawet podczas dochodzenia w sprawie Wielkiej Ucieczki. A spekulacji na ten temat w ciągu ostatnich lat namnożyło się co niemiara.

– A potem... – zachęcił ją do kontynuowania.

– Wyniosłam go na podwórze i pochowałam pod drzewem, obok jego ulubionego psa. Kilka dni później pojawili się u mnie dwaj przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości i wykopali go z grobu.

– Aby się upewnić?

– Aby sprawdzić, czy nie porzucił służby i nie zwiął na wschód. –

Prychnęła pogardliwie. – By mieć pewność, że Zguba go nie ożywi. By potwierdzić prawdziwość moich zeznań. Proszę wybrać wersję, która najbardziej panu pasuje.

Skończył zapisywać jej słowa i oderwał wzrok od notesu.

– Co pani im powiedziała o Zgubie? Czy wiedzieli już wtedy, tuż po wypadku, że ona może przywrócić ludzi do życia?

– Wiedzieli. Bardzo szybko to odkryli. Nie wszyscy zabici przez Zgubę zaczęli się ponownie ruszać, ale ci, którzy wyszli z grobów, niemal natychmiast zaczęli grasować po okolicy. Dosłownie po kilku dniach. W

przypadku Maynarda chodziło raczej o sprawdzenie, czy im się nie wywinął.

Kiedy się okazało, że nie mogą go już dopaść, zostawili go tutaj, pod drzewem. Musiałam go pochować po raz drugi.

Hale zamarł pochyłony nad notesem.

– Przepraszam, powiedziała pani... Czy to znaczy... ?

– Dlaczego to pana tak przeraziło? – Poprawiła się na fotelu, skóra zaskrzypiała pod nią głośno. – Na szczęście nie zasypali dołu, gdy go wykopywali. Dlatego za drugim razem poszło mi znacznie szybciej. Czy mogę o coś zapytać, panie Ouarter?

– Proszę mówić mi Hale.

– Niech ci będzie, Hale. Powiedz, ile miałaś lat, gdy pojawiła się Zguba?

Ołówek zadrżał mu w dłoni, więc odłożył go na notes, zanim odpowiedział.

– Prawie sześć.

– Tak sądziłam. Zatem byłeś wtedy małym dzieckiem. Pewno nie pamiętasz nawet, jak wyglądało miasto, zanim postawiono mur, prawda?

Pokręcił wolno głową: nie, nie pamiętał. Choć nie do końca była to prawda.

– Widziałem za to, jak go budowano. Pamiętam, że obserwowaliśmy z kolegami, jak rośnie stopa po stopie, otacza skażone dzielnice, aż osiągnął

pełną wysokość, zamykając szczelnie ewakuowane tereny.

– Ja też to pamiętam. Widziałam budowę z tego domu. Z pokoju na tyłach, tego obok kuchni. – Machnęła ręką w kierunku piecyka i niewielkiego prostokątnego otworu za nim. – Dzień i noc pracowali przez całe siedem miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni.

– Jest pani niezwykle precyzyjna. Zawsze tak dokładnie pani liczy?

– Nie – odparła. – Ale to akurat łatwo zapamiętać. Budowę muru ukończono w dniu urodzin mojego synka. Zastanawiałam się nawet, czy nie będzie mu brakowało pokrzykiwań robotników. Ciągłe je słyszałam, gdy byłam w ciąży, słyszałam każde uderzenie młotka i zgrzyt kielni. A ledwie biedak ujrzał światło dzienne, zapanowała błoga cisza.

Nagle poruszyła się gwałtownie, jakby przypomniała sobie o czymś.

Fotel syknął głośno.

– A skoro mowa o moim chłopaku, coś się dzisiaj spóźnia – rzuciła, spoglądając w kierunku drzwi. – Ciekawe, gdzie znowu polazł. Zazwyczaj wcześniej wraca do domu. To znaczy często mu się to zdarza – poprawiła się zaraz. – Zwłaszcza gdy jest taka paskudna pogoda.

Hale także się wyprostował, poczuł na plecach twarde oparcie krzesła.

– Szkoda, że nie miał okazji spotkać swojego dziadka. Jestem pewien, że Maynard byłby z niego dumny.

Briar pochyliła się, opierając łokcie na kolanach. Ukryła twarz w dłoniach i potarła oczy.

– Czy ja wiem? – mruknęła, a moment później wyprostowała się i otarła czoło wierzchem dłoni. Zdjęła rękawice i rzuciła je na okrągły przysadzisty stoliczek wciśnięty między krzesło a palenisko.

– Ale to jego jedyny wnuk, prawda? Maynard nie miał innych dzieci.

– Z tego co wiem, to nie, choć pewności nie mam. – Pochyliła się raz jeszcze i zaczęła rozsznurowywać but. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz dodała. Jestem w nich, odkąd wyszłam na poranną zmianę.

– Ależ oczywiście, mnie to nie przeszkadza – odparł i skupił wzrok na płomieniach. – Przepraszam, wiem, że się pani narzucam.

– Narzucasz się, to fakt, ale sama cię wpuściłam, więc to tylko moja wina. – Pierwszy but opuścił jej stopę z cichym cmoknięciem. Zajęła się od razu drugim. – Nie wiem, czy Maynard przejąłby się moim Zekiem i vice versa. Są ulepieni z zupełnie innej gliny.

– Czy Zeke... – Hale wkraczał na niebezpieczny grunt, wiedział o tym, lecz nie potrafił się powstrzymać. – Zdaje się, że wrodził się w ojca.

Briar się nie skrzywiła ani nie nasrożyła. Z pokerową twarzą dokończyła zdejmowanie drugiego buta i postawiła go obok pierwszego.

– Możliwe. W końcu to krew z jego krwi, ale Zeke jest jeszcze dzieckiem, więc trudno powiedzieć, w kogo się wrodził. Niedługo będzie musiał ruszyć swoją drogą. Podobnie jak ty teraz, Hale. Obawiam się, że już późno, a o świcie muszę iść do pracy.

Hale westchnął głośno i skinął głową. Za mocno ją nacisnął i za szybko. Powinien był się trzymać tematu i martwego ojca, a nie zmarłego męża.

– Przepraszam – powiedział, wstając i upychając notes pod pachą.

Nałożył kapelusz, owinał się szczelniej płaszczem i dodał: – Dziękuję pani za poświęcony mi czas. Każda informacja, jaką od pani usłyszałem, była niezwykle cenna, obiecuję, że w książce, jeśli książkę uda się wydać, zamieszczę notkę o pomocy, jakiej mi pani udzieliła.

– Jasne – mruknęła.

Zamknęła za nim drzwi, gdy wyszedł prosto w noc. Opatulił się szczelniej, zawiązał mocniej szalik i naciągnął wełniane rękawice, zanim ruszył w mroźną zawieruchę.

## ROZDZIAŁ 2

Zza węgła wychynął na moment niewyraźny cień i natychmiast zniknął.

– Hej, hej, ty – dobiegł z tamtej strony cichy szept.

Hale zamarł, patrząc na głowę rozglądającego się uważnie chłopaka o ciemnej zmierzwionej czuprynie. Moment później zza rogu wynurzył się szczupły nastolatek w grubym płaszczu. Miał zapadnięte policzki i nieokreślonej barwy rozbiegane oczy. Ze sporego okna na froncie domu bił migotliwy blask płonącego na palenisku ognia. Jego poświata pogłębiała cienie na oświetlonym policzku chłopca.

– Pytałeś o mojego dziadka?

– Ty jesteś Ezekiel? – odgadł bez trudu Hale.

Chłopak podkradł się bliżej, unikając jednak odsłoniętego okna, aby Briar nie mogła go zauważyć.

– Co mama ci o nim powiedziała?

– Niewiele.

– Mówiła, że był bohaterem?

– Nie – zaprzeczył Hale. – Tego mi nie powiedziała.

Chłopak prychnął gniewnie i przejechał po włosach dłonią ukrytą w pełnej rękawicy.

– Jasne, tego za nic by nie powiedziała. Nie wierzy w niego, a jeśli nawet, to ma go gdzieś.

– O tym nie wiedziałem.

– A ja wręcz przeciwnie – burknął Zeke. – Mama zachowuje się tak, jakby dziadek w życiu nie zrobił niczego dobrego. Jakby to co gadają ludzie, że niby otworzył areszt, bo ktoś mu za to zapłacił, było prawdą. A skoro tak, to gdzie podziały się te pieniądze? Czy my wyglądamy na ludzi, którzy mają kupę forsy? – Zeke dał biografowi wystarczająco czasu na odpowiedź, lecz Hale nie potrafił znaleźć właściwych słów, więc chłopak dokończył sam: –

Jak ludzie zrozumieli w końcu, czym jest Zguba, ewakuowali się, zabierając wszystko, co mogli. W tym chorych ze szpitali i osadzonych w miejskim więzieniu. A tych, którzy siedzieli w areszcie na stacji kolejowej, złapani, ale jeszcze nie skazani, pozostawiono na pastwę losu. Oni nie mogli opuścić miasta. A Zguba nadchodziła, o czym dobrze wiedzieli. Wszyscy by tam pomarli. – Pociągnął nosem i otarł go wierzchem rękawiczki. Albo biegł

przed chwilą, albo był przeziębiony. – Tak się jednak nie stało dzięki mojemu dziadkowi Maynardowi. Kapitan kazał mu zamknąć ostatnią zaporę w tej dzielnicy, ale on nie mógł tego zrobić, bo wiedział, że są tam jeszcze żywi ludzie. Tacy sami biedacy jak my. Żadni tam przestępcy, no dobrze, może kilku miało coś poważniejszego na sumieniu, na pewno nie wszyscy.



Aresztowano ich za niewielkie przewinienia, ten coś tam zwędził, inny sfluł.

Dziadek nie chciał wykonać rozkazu, nie chciał ich skazywać na śmierć.

Zguba była już blisko, szła po nich, zablokowała najkrótszą drogę do stacji.

To go jednak nie powstrzymało, wbiegł w zawiesinę, zasłaniając twarz najlepiej jak potrafił. Gdy dotarł na miejsce, uwiesił się na dźwigni otwierającej cele, ciągnął ją ciężarem ciała, bo tylko tak mógł ich uwolnić. A jak uciekli, on nie miał już siły, by się ruszyć. Ostatnimi z uwolnionych byli dwaj bracia. Tylko oni zrozumieli, co dla nich zrobił, i pomogli mu. Niestety, było już za późno, dziadek nawdychał się zbyt wiele trującego gazu. Zanieśli go więc do domu, choć zdawali sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek ich zauważy, znów zostaną aresztowani. Pomogli mu z tego samego powodu, dla którego on poszedł ich ratować. To naprawdę nie byli źli ludzie. Może nawet Maynard był nieco gorszy, a oni trochę lepsi. Fakty są takie – stwierdził

Zeke, ściągając rękawiczkę, by podetknąć wyprostowany palec pod nos Hale'a. – W tych celach znajdowało się dwudziestu dwóch ludzi. Maynard uratował wszystkich, co do jednego. Stracił przy tym życie i nie zarobił ani grosza. – Po tych słowach wszedł na schody, lecz gdy sięgnął do gałki przy drzwiach, dodał jeszcze: – Podobnie jak my.

### ROZDZIAŁ 3

Briar Wilkes zamknęła drzwi za biografem.

Zanim wróciła do paleniska, postąpiła przy nich chwilę, opierając się czołem o chłodne drewno. Ogrzała potem dłonie nad ogniem, odstawiła buty i zaczęła rozpinąć pasek, dzięki któremu koszula opinała dokładniej jej ciało.

Idąc korytarzem, minęła drzwi do pokoju, który należał przed laty do jej ojca, a potem prowadzące do sypialni syna. Równie dobrze mogłyby być zabite gwoździami, ponieważ nigdy jeszcze ich nie otworzyła. Do pokoju ojca nie zaglądała od wielu lat. A sypialnia syna... Choćby nie wiadomo jak się starała, nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy go tam odwiedziła po raz ostatni. Szczerze mówiąc, nie potrafiła nawet powiedzieć, jak pokój jest urządzone.

Zawróciła i stanęła przed drzwiami Ezekiela.

Zdecydowała się omijać pomieszczenie, w którym zmarł jej ojciec, z bardzo konkretnych powodów natury filozoficznej, niemniej nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia, dlaczego ignorowała istnienie sypialni syna. Gdyby ktokolwiek ją o to zapytał (oczywiście nikt nigdy tego nie zrobił), wyłgałaby się zapewne stwierdzeniem, że szanuje jego prywatność, ale prawda w tym przypadku była o wiele prostsza i kto wie, czy nie gorsza. Nie wchodziła tam, ponieważ nie czuła potrzeby. Taki brak zainteresowania mógłby być wzięty za oznakę wyrodności, lecz ona wiedziała, że w jej przypadku chodziło raczej o notoryczne wyczerpanie. Chociaż potrafiła to sobie przetłumaczyć, poczuła bolesne ukłucie winy i wypowiedziała kilka słów na głos, wiedząc, że teraz, gdy jest sama, nikt nie zgodzi się z tą opinią ani jej nie zaprzeczy.

– Okropna ze mnie matka.

Było to tylko spostrzeżenie, natychmiast jednak poczuła potrzebę jego obalenia, położyła więc dłoń na gałce i przekręciła ją ostrożnie. Drzwi otworzyły się do wewnątrz, a Briar uniosła wyżej lampę, by rozjaśnić kompletne ciemności.

Łóżko z niskim, znajomo wyglądającym wezgłowiem stało wciśnięte w kąt pokoju. Na nim właśnie spała w dzieciństwie. Było wystarczająco długie, by pomieścić dorosłego mężczyznę, ale o połowę węższe od tego, w którym spała obecnie. Na listwach rozłożono stary wypełniony pierzem materac, wygnieciony zresztą do granic – dzisiaj miał nie więcej niż cal, góra dwa grubości. Na nim leżała ciężka pierzyna skotłowana z brudnym prześcieradłem.

Pod oknem u stóp łóżka stała przysadzista brązowa bielizniarka. Wokół

niej leżało pełno pomiętych rzeczy i butów bez pary.

– Trzeba mu je wyczyścić – wymamrotała, wiedząc, że i tak musi z tym poczekać do niedzieli, bo na ten dzień zaplanowała nocne pranie, znając jednak Zeke’a, podejrzewała, że prędzej sam się tym zajmie. Nigdy nie słyszała o dziecku, które potrafiłoby się tak dobrze oporządzić, ale od czasu nadejścia Zguby tak wiele się zmieniło, także w życiu rodzinnym. Teraz wszystko było inaczej, bez dwóch zdań. Zwłaszcza pomiędzy Briar i Ezekielem.

Kurczowo trzymała się myśli, że rozumie choćby po części, dlaczego tak rzadko się widują. Miała też nadzieję, że nie wini jej aż tak bardzo, jak na to wyglądało. W końcu chłopcy w jego wieku pragną większej swobody.

Cenią sobie niezależność, a nic tak nie podkreśla dorosłości jak samodzielność. Jeśli spojrzeć na ich układy pod tym kątem, jej syn był

prawdziwym szczęściarzem.

Usłyszała stukot na ganku i jakiś głos przed drzwiami. Drgnęła, natychmiast sięgnęła do gałki, by zamknąć drzwi do sypialni, i ruszyła w głąb korytarza.

W bezpiecznym zaciszu własnego pokoju pozbyła się reszty rzeczy roboczych, a gdy usłyszała stukot butów syna w salonie, zawołała:

– To ty, Zeke? – Czowała się głupio, wypowiadając te słowa, choć było to powitanie równie dobre jak każde inne.

– Słucham?

– Zapytałam, czy to ty.

– Tak, to ja – odkrzyknął. – Gdzie jesteś?

– Zaraz przyjdę.

Minutę później pojawiła się ubrana w coś, co nie cuchnęło jak przemysłowe smary i pył węglowy.

– Gdzieś ty był?

– Na dworze. – Zeke zdążył już zdjąć palto i powiesić je przy drzwiach.

– Jadłeś coś? – zapytała, starając się nie patrzeć na jego wymizerowaną twarz. – Wczoraj dostałam wypłatę. Wiem, że niewiele mamy w spiżarni, ale to się niedługo zmieni. W każdym razie trzeba dojeść to, co jest.

– Dziękuję, już jadłem. – Zawsze to powtarzał. A ona nigdy nie wiedziała, czy mówi prawdę. Zeke natychmiast uciał dalsze dociekania, dodając: – Wróciłaś dzisiaj później? Strasznie tu zimno. Widzę, że dopiero co rozпалиłaś ogień.

Skinęła głową i przeszła do spiżarni. Była bardzo głodna, lecz nie dojadając od lat, przyzwyczaiała się do bólu i ssania w żołądku.

– Wzięłam dodatkową zmianę za kogoś, kto zachorował – wyjaśniła.

Na najwyższej półce miała garnek rozgotowanej suszonej fasoli z domieszką ziaren kukurydzy. Żałowała, choć tylko trochę, że nie ma kawałka mięsa, z którym mogłaby zjeść tę papkę.

Nastawiła wody do gotowania i wyjęła spod szmatki kawałek chleba zbyt suchego, by dał się zjeść. Nie zraziła się tym jednak, wetknęła go do ust i zaczęła szybko żuć.

Ezekiel krzesło, na którym wcześniej siedział Hale, przyciągnął bliżej paleniska, by wygnać chłód ze skostniałych dłoni.

– Widziałem, że ktoś stąd wychodził – powiedział na tyle głośno, by usłyszała go za załomem ściany.

– Widziałeś?

– Czego chciał?

Usłyszał chlupnięcia papki warzywnej wpadającej do wrzątku.

– Przyszedł porozmawiać. Wiem, że jest już późno. Ale co mogą nam zrobić sąsiedzi? Bardziej już nie da się obrobić komuś tyłka.

– O czym chciał porozmawiać? – Usłyszała radośniejszy ton w głosie syna, gdy zadawał jej kolejne pytanie.

– Jesteś pewien, że nie chcesz zupy? Trochę jej za dużo jak na jedną osobę, a spójrz tylko na siebie. Sama skóra i kości.

– Przecież ci mówiłem, że już jadłem. Lepiej sama zjedz więcej, wyglądasz mizerniej ode mnie.

– Nieprawda – prychnęła.

– Prawda, prawda. Powiedz lepiej, czego chciał ten człowiek – poprosił raz jeszcze.

Podeszła do załomu i oparła się ramieniem o ścianę, składając ręce na piersi. Więcej włosów zwisało jej teraz luzem, niż miała spiętych.

– Chce napisać książkę o twoim dziadku. Przynajmniej tak mówił.

– Myślisz, że cię okłamał?

Briar spojrzała uważniej na syna, starając się pojąć, kogo bardziej jej przypomina, gdy robi taką niewinną, a zarazem obojętną minę. Na pewno nie ojca, uznała, chociaż odziedziczył po nim tę niesforną czuprynę. Jego włosy nie były ani tak ciemne jak jej, ani tak jasne jak Leviego. Nie dało się ich jednak w żaden sposób ułożyć ani grzebieniem, ani pomadą. Miał takie kędziory, jakie stare babcie uwielbiają tarmosić, uśmiechając się przy tym i gaworząc radośnie nad kołyskami niemowlaków. Niestety, im bardziej Zeke dorastał, tym śmieszniejszego wyglądu mu nadawały.

– Mamo? – zapytał raz jeszcze. – Naprawdę uważasz, że chciał cię okłamać?

Potrząsnęła głową, ale raczej do swoich myśli, niż przecząc.

– No... sama nie wiem. Nie, raczej nie.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – zapewniła go. – Ja tylko... zapatrzyłam się na ciebie.

Tak rzadko cię widuję ostatnio. Powinniśmy... no wiesz, powinniśmy zrobić coś razem od czasu do czasu.

– Na przykład? – Poruszył się nerwowo na krześle.

Ten ruch nie umknął jej uwadze. Spróbowała się więc ostrożnie wycofać z ostatniej propozycji.

– Nie miałam niczego konkretnego na myśli. Zresztą może to nie jest najlepszy pomysł. Raczej... no wiesz. – Obróciła się i weszła do kuchni.

Teraz mogła rozmawiać z nim dalej, nie patrząc na to, jak zareaguje na niewygodną prawdę. – Może to i lepiej, że trzymamy się na dystans.

Domyślam się, że samo życie w tym mieście jest już dla ciebie wyzwaniem, zwłaszcza że jesteś moim synem. Czasami myślę sobie, że byłoby idealnie, gdybym pozwoliła ci udawać, że mnie nie ma i nigdy nie było.

Od strony kominka nie nadeszło słowo zaprzeczenia. Dopiero po dłuższej chwili Zeke się odezwał.

– Bycie twoim synem nie jest takie złe. I wcale się ciebie nie wstydzę –

powiedział, ale nie odszedł od paleniska, by spojrzeć jej w oczy.

– Dzięki. – Zamieszała w garnku drewnianą chochlą, rysując wzór w kożuchu piany.

– Naprawdę się nie wstydzę. Szczerze powiedziawszy, nie uważam też, żeby bycie wnukiem Maynarda stanowiło wielką ujmę na honorze. W

niektórych kręgach towarzyskich to nawet zaleta – dodał, lecz Briar usłyszała wyraźnie, jak gwałtownie urwał ostatnie słowo. Jakby się obawiał, że może powiedzieć za dużo.

Jakby sama nie była tego świadoma.

– Wolałabym, abyś trzymał się porządniejszego towarzystwa – rzuciła, zanim jednak skończyła wypowiadać to zdanie, wiedziała już, że przesadziła.

Gdzie indziej jej syn mógł znaleźć kolegów? Czy chciałby mieć z nim cokolwiek wspólnego ktoś spoza dzielnic biedoty, w których Maynard był

postrzegany jako bohater, a nie przestępca, któremu się upiekło, gdyż zmarł, zanim zdołała go dosięgnąć ręka sprawiedliwości?

– Mamo...

– Nie, ty mnie teraz posłuchaj. – Zostawiła garnek w spokoju i stanęła raz jeszcze przy załomie ściany. – Jeśli chcesz mieć kiedykolwiek szanse na normalne życie, musisz się trzymać z dala od kłopotów, a to oznacza porzucenie miejsc, do których lubisz chadzać, i dotychczasowych przyjaciół.

– Normalne życie? Uważasz, że to w ogóle możliwe? Owszem, jeśli sobie tego życzysz, mógłbym do śmierci być biednym, ale uczciwym poczciwiną, z tym że...

– Wiem, że w tak młodym wieku na pewno mi nie uwierzysz, niemniej zaufaj mi choć raz: to i tak lepsze wyjście, niż ci się teraz wydaje. Bądź

biedny, ale uczciwy, jeśli tylko zdołasz zapewnić sobie dach nad głową, a nie trafisz do więzienia. Prócz tego niewiele jest na świecie... – Nie wiedziała, jak zakończyć to zdanie, czuła jednak też, że powiedziała wystarczająco dużo, by ją zrozumiał, więc zamilkła. Obróciła się na pięcie i wróciła do piecyka.

Ezekiel oderwał się wreszcie od paleniska i podążył za nią. Zatrzymał

się przy wejściu do kuchni, blokując matce jedyną drogę ucieczki, i zmusił ją, by spojrzała mu prosto w oczy.

– Czy to jest tego warte? Co mam do stracenia, mam? Tę chatę? –

Sarkastycznym szerokim gestem wskazał na podniszczone wnętrze starego domu, w którym się gnieździł. – A może te setki przyjaciół i tony pieniędzy?

Otrzeпаła łyżkę o krawędź zlewu i nabrała sobie miseczkę niedogotowanej zupy. Zrobiła to tylko po to, by nie patrzeć na dziecko, które spłodziła. Zeke w niczym nie przypominał jej, ale każdego dnia upodabniał

się coraz bardziej do nich. Zależnie od humoru i oświetlenia widziała w nim albo ojca, albo dziadka.

Dolała do miski drugą chochlę cienkiego wywaru i minęła syna, starając się nie uронić nawet kropli.

– Wolisz uciec? Rozumiem. Nie ma tu nic, co by cię trzymało, więc od dawna wiem, że gdy dorośniesz, opuścisz to miasto – stwierdziła, stawiając gliniane naczynie na stole i sadowiać się na krześle obok. – Zdaję sobie sprawę, że po całym dniu pracy nie wyglądam zbyt zachęcająco. Wiem też, że czujesz się okradziony z lepszego życia, i nie mam o to do ciebie żalu. Ale tacy właśnie jesteśmy i tylko tyle mamy. Okoliczności sprawiły, że oboje zostaliśmy przekłęci.

– Okoliczności?

Wysiorbała pełną łyżkę wywaru, starając się nie spoglądać w jego kierunku.

– Niech ci będzie: okoliczności i ja. Możesz winić mnie, tak jak ja winię twojego i mojego ojca, mam to gdzieś. Niczego tym sposobem nie zmienisz. Pozbawiono cię przyszłości, zanim się urodziłeś, a spośród tych, których możesz za to winić, tylko ja pozostałam przy życiu.

Widziała kątem oka, jak Ezekiel zaciska rytmicznie pięści. Na to czekała. Lada moment złość weźmie nad nim górę i na jego twarzy pojawi się ten okropny wyraz, jakby opętał go duch ojca. Znów będzie musiała zamknąć oczy, by go odpędzić.

Tym razem jednak nie doszło do niczego. Welon wściekłości nie przesłonił mu oczu. Zamiast tego odezwał się, wypluwając słowa ze śmiertelną powagą, która tak idealnie pasowała do pustego spojrzenia, jakim obrzucał ją jeszcze przed momentem.

– Przecież to najbardziej niesprawiedliwe w tym wszystkim. Ty nie jesteś niczemu winna.

Zaskoczył ją, lecz nadal zachowywała ostrożność.

– Naprawdę tak uważasz?

– Domyśliłem się tego.

Parsknęła pełnym gorzycy śmiechem.

– Zatem wiesz już wszystko.

– Idę o zakład, że wiem więcej, niż ci się zdaje. A ty powinnaś opowiedzieć temu pisarzowi o wszystkim, czego Maynard dokonał, bo im więcej ludzi dowie się o jego czynach i zrozumie motywy, jakimi się kierował, tym większe będą szanse na to, że szanowani obywatele z naszej okolicy przestaną go traktować jak pospolitego przestępcę, a ciebie jak trędowatą.

Połknęła kolejną łyżkę zupy, by zyskać kilka sekund na przemyślenie.

Stało się dla niej jasne, że Zeke rozmawiał z Hale'em, ale uznała, że nie ma sensu o tym wspominać.

– Nie musiałam mu mówić niczego o Maynardzie, ponieważ sam już sporo o nim wiedział i zdążył sobie wyrobić zdanie. Jeśli to ci poprawi humor, macie bardzo podobny pogląd na tę sprawę. On też uważa Maynarda za bohatera.

– Widzisz? – zawołał Zeke, unosząc ręce w górę. – Nie tylko ja tak myślę. A co do moich kolegów... może nie należą do śmietanki towarzyskiej, ale są w stanie rozpoznać porządnego człowieka, gdy go widzą.

– Twoi przyjaciele to zwykli chuligani – odparła.

– Tego nie możesz wiedzieć. Nie znasz żadnego. Nigdy nie widziałaś mnie z tymi chłopakami, może prócz Rectora, a on wcale nie jest taki zły, co sama kiedyś przyznałaś. Powiem ci jedno: tutaj imię Maynarda coś znaczy.

Ludzie wypowiadają je takim tonem, jakby zaraz mieli splunąć na swoją dłoń, zanim dadzą słowo honoru. Dla nich ma rangę przysięgi na Biblię, z tą tylko różnicą, że my wiemy, że Maynard dokonał rzeczy, które mu ludzie przypisują.

– Nie mów do mnie w ten sposób – przerwała mu. – Prosisz się o kłopoty, próbując pisać historię na nowo, ale z faktami tak dopasowanymi, aby stworzyły pasującą ci wizję.

– Ja niczego nie próbuję pisać na nowo! – W jego niemalże męskim głosie usłyszała nutkę strachu. – Ja tylko staram się naprawić cudze błędy!

Zbyt szybko przełknęła ostatnią łyżkę wywaru. Mało brakowało, a zadławiłaby się, próbując ją przełknąć i zaspokoić głód, aby się skupić na walce, jeśli do niej dojdzie.

– Nic nie rozumiesz – wysapała, jakby i te słowa parzyły ją w krtań. –

To jest brutalna proza życia, Zeke. Jeśli nie słyszałeś tego jeszcze, to posłuchaj mnie teraz: nie ma najmniejszego znaczenia, czy Maynard był

bohaterem. Nie liczy się też to, czy twój ojciec był porządnym człowiekiem z dobrymi chęciami. Tak samo jak nikogo nie obchodzi fakt, czy ja zasłużyłam sobie czymkolwiek na to, co mnie spotkało, nie mówiąc już o tym, że zostałam wyklęta, zanim się dowiedziałam o twoim istnieniu.

– Niby dlaczego? Jeśli wszyscy zrozumieją i dowiedzą się, jak wyglądała prawda o moim dziadku i moim tacie, to...

W jego odpowiedzi wyczuwała rozpacz.

– To co? Staniemy się nagle bogaci, uwielbiani i szczęśliwi? Jesteś młody, to prawda, ale na pewno nie na tyle głupi, by uwierzyć w takie bzdury. Może za kilka pokoleń, gdy minie masa czasu i nikt już nie będzie pamiętał o tym kataklizmie, nikt nie będzie odczuwał strachu na myśl o nim, może wtedy twój dziadek przejdzie do legend, a pisarze pokroju pana Quartera ukształtują historię od nowa...

Nagle zamilkła zdjęta przerażeniem, zrozumiała bowiem, że jej syn wcale nie miał na myśli swojego dziadka. Zaczerpnęła głęboko tchu, podniosła miskę ze stołu i zaniósła ją do zlewozmywaka. Myśl o napompowaniu wody, by ją od razu umyć, wydała się jej koszmarem.

– Mamo? – Ezekiel wyczuł, że przekroczył jakąś linię, tylko nie był

pewien, kiedy to uczynił. – O co ci chodzi?

– I tak tego nie zrozumiesz – mruknęła, mając poczucie, że w ciągu ostatniej godziny powtarzała te słowa z tysiąc razy. – Tak wielu rzeczy jeszcze nie pojmujesz, ale ja znam cię lepiej, niż ci się wydaje. Wiem o tobie więcej niż ktokolwiek inny, ponieważ znałam ludzi, których usiłujesz naśladować, nawet kiedy robisz to nieświadomie. Nawet gdy nie masz pojęcia, co niewłaściwego powiedziałaś albo zrobiłaś.

– Mamo, ja nic z tego nie rozumiem.

Uderzyła się dłonią w pierś.

– Ja mówię bez sensu? To ty opowiadasz mi jakieś pierdoły o człowieku, którego na oczy nie widziałaś, starając się znaleźć usprawiedliwienie dla jego czynów, ponieważ uważasz w swojej naiwności, że rehabilitując jednego zmarłego, przywrócisz też dobre imię drugiemu.

Skazujesz się jednak na porażkę, starając się połączyć ich w jedno. – Mówiła szybko, nie chcąc utracić przewagi zaskoczenia, jaką zyskała, wypowiadając poprzednie słowa. – A do tego właśnie zmierzasz. Skoro Maynard nie był

taki zły, to może twój ojciec również nie zasługuje na potępienie. Jeśli uda ci się wybielić jednego, pojawi się szansa na rehabilitację drugiego.

Zaczął kiwać głową, powoli, lecz coraz dobitniej.

– Owszem, ale to wcale nie jest takie niemądre, jak ci się wydaje. Nie, proszę, przestań i posłuchaj mnie przez chwilę. Jeśli wszyscy na Obrzeżach mylili się co do ciebie...

– A niby w czym się mylili? – zapytała wprost.

– Uważali, że to wszystko twoja wina! Ucieczka z aresztu, Zguba i Kościotrzep. Ale przecież ty nie miałaś z tym nic wspólnego, a wypuszczenie więźniów ze stacji nie powinno być traktowane jak jakaś wielka zbrodnia... –



Przerwał, by zaczerpnąć tchu, a ona zaczęła się zastanawiać, gdzie mógł

usłyszeć takie zdanie. – A skoro myślę się co do ciebie, to samo może dotyczyć dziadka. Co daje nam już rehabilitację dwóch z trzech osób.

Dlatego uważam, że z czasem zaczną się zastanawiać, czy aby nie przesadzili także z obwinianiem Leviego.

Wyłożył jej dokładnie to, czego najbardziej się obawiała, tyle że bardzo okrągłymi słówkami.

– Posłuchaj... – zaczęła, lecz zakrztusiła się. Pochyliła się i zebrała w sobie. Musiała się uspokoić, mimo że ostatnie niewinne, ale jakże niebezpieczne słowa syna zaboląły ją do żywego. – Posłuchaj mnie.

Rozumiem, dlaczego to wszystko wydaje ci się takie proste. Wiem też, co sprawia, że chciałbyś, aby po twoim ojcu pozostało jakiegokolwiek pozytywne wspomnienie. Może... może masz rację co do Maynarda, w końcu chciał

tylko pomóc tym biedakom. Niewykluczone, że w tamtej chwili dotarło do niego, iż ma dwa wyjścia: albo będzie się trzymał litery prawa, albo jego ducha, i wybrał to drugie, gnając na załamanie karku w pogoni za ideałami, prosto w objęcia Zguby i śmierci. W to mogę uwierzyć i nie będę miała problemu z zaakceptowaniem takiej wersji zdarzeń. Powiem więcej: mnie też wkurza, że został zapamiętany tak źle.

Zeke zareagował nader dorosłym okrzykiem niedowierzania, a potem wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał potrząsnąć matką albo ją udusić.

– Dlaczego nie mówiłaś tego wcześniej? Dlaczego pozwoliłaś, by zmieszano go z błotem, skoro uważasz, że chciał pomóc tym ludziom?

– Już ci mówiłam, że to by nie miało znaczenia. A gdyby nawet nie doszło do tej ucieczki i gdyby twój dziadek zginął w znacznie mniej kontrowersyjnych okolicznościach, ja nadal miałabym o nim to samo zdanie.

Ten desperacki akt heroizmu nie zmieniłby niczego w naszych wzajemnych stosunkach i... i... Poza tym – nagle zmieniła linię obrony – kto by mnie chciał słuchać? Ludzie omijali mnie i ignorowali. I to wcale nie przez Maynarda. Cokolwiek bym mówiła, nie zdołałabym przekonać nawet jednego mieszkańca Obrzeży, ponieważ moim największym przekleństwem nie było to, że jestem jego córką. – Głos znów jej się załamał. Za bardzo obawiała się tego, co powinno być teraz powiedziane. Zrobiła kilka głębszych oddechów dla uspokojenia i spróbowała pozbierać myśli, aby wyrazić się zwięźle, lecz logicznie, bo tylko tak mogła przekonać Ezekiela. –

Ja sobie nie wybierałam rodziców, na tym świecie nikt nie ma takiego przywileju. Stąd też nikt by mnie nie potępiał za winy ojca. Ale sama sobie wybrałam męża, a tego nikt mi w tym mieście nigdy nie daruje.

Coś słonego zaczęło ją palić w przetyku, czuła, jakby łyzy torowały sobie stamtąd drogę do jej oczu.

Przełknęła mocno ślinę, by je powstrzymać.

Zapanowała leż w końcu nad oddechem, a gdy syn się obrócił i ruszył w kierunku swojej sypialni, by tam znaleźć samotność i schronienie, podążyła za nim.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Przekręciłby klucz, gdyby był w nich zamek. Nie mając innego rozwiązania, musiał podeprzeć je własnym ramieniem. Briar usłyszała głuchy łomot, gdy jego bark zetknął się z deskami.

Nie przekręciła gałki, nie dotknęła jej nawet.

Przyłożyła czoło do miejsca, w którym jej zdaniem powinna znajdować się teraz jego głowa, i powiedziała:

– Spróbuj ocalić pamięć Maynarda, jeśli to uczyni cię szczęśliwszym.

Niech to będzie twoja misja, skoro dzięki niej zyskasz jakiś cel w życiu i pozbędziesz się tego... gniewu. Ale proszę cię, Zeke, błagam. Nie ma szans na odkupienie win Leviticusa Blue. Najmniejszych. Jeśli zaczniesz zbyt głęboko kopać albo naciśniesz zbyt mocno, dowiesz się czegoś, co może ci złamać serce. Czasami każdy ma rację. Nie zawsze i nie często, ale są takie chwile, gdy każdy może mieć rację.

Powstrzymanie się od dalszego mówienia kosztowało ją naprawdę wiele wysiłku. Zamilkła, odwróciła się na pięcie i przeszła do własnej sypialni, by tam się w końcu wypłakać.

## **ROZDZIAŁ 4**

W piątkowy rano Briar obudziła się jak zwykle przed świtem i natychmiast zapaliła świecę, by cokolwiek widzieć.

Jej rzeczy leżały tam, gdzie jej zostawiła. Zamieniła jedynie wczorajszą koszulę na czystą, ale włożyła tę samą parę spodni i wcisnęła ich wąskie mankiety w cholewki wysokich butów. Skórzany pasek wisiał na jednej z kolumnienek łóżka. Zdjęła go i zapięła mocniej niż zazwyczaj. Popuści go, gdy ciało rozgrzeje się nieco.

Kiedy zasznurowała buty, rozejrzała się za grubą wełnianą kamizelką, na nią dopiero zarzuciła kurtkę wiszącą na drugiej kolumnie.

Gdy wyszła na korytarz, z sypialni syna nie dobiegały żadne dźwięki, nic, nawet szybkie chrapnięcie czy szelest koca. Powinien jeszcze spać, nawet gdyby miał iść do szkoły, co go zresztą niespecjalnie interesowało.

Briar zadbała we własnym zakresie, by nauczył się czytać i pisać.

Umiał też lepiej rachować niż wszystkie inne znane jej dzieciaki, więc nie martwiła się specjalnie jego absencjami na lekcjach. Szkoła powinna go trzymać z dala od problemów, ale z nią także były same kłopoty. Przed Zgubą, gdy miasto było na tyle bogate, że mogło utrzymywać podobne przybytki,

ludzie dosłownie przebiegali w szkołach. Po kataklizmie, który zdziesiątkował ludność Seattle, niewielu nauczycieli pozostało na miejscu, a i uczniowie nie okazywali im już tak wielkiego szacunku jak niegdyś.

Briar zastanawiała się czasem, kiedy wojna na wschodzie dobiegnie końca. W gazetach pisano o niej w bardzo podniosłym tonie: Wojna Domowa, Wojna pomiędzy Stanami, Wojna o niepodległość, albo wprost: Wielka Agresja. Tytuły te miały iście epickie brzmienie, ale zważywszy na osiemnastoletnie zmagania obu stron, z pewnością nie były dalekie od prawdy. Kiedy to szaleństwo dobiegnie końca, może warto będzie rozważyć myśl o powrocie na Wschodnie Wybrzeże. Jeśli zacznie teraz bardziej oszczędzać, powinna zbierać za czas jakiś sumkę, za którą zdoła zacząć nowe życie gdzieś daleko od Seattle, gdzie nikt nie będzie wiedział, kim byli ona, jej mąż i ojciec. Z drugiej jednak strony Waszyngton może się stać wkrótce pełnoprawnym stanem, tracąc status odległego terytorium. W takiej sytuacji Seattle, jako jego stolica, z pewnością otrzyma sporą pomoc ze strony Ameryki. Takie wsparcie pozwoliłoby na zbudowanie potężniejszego muru, a kto wie, czy nie umożliwiłoby zneutralizowania uwięzionego za nim gazu. Pojawiliby się też lekarze, aby opracować szczepionki przeciw zatruciu Zgubą – a gdyby Pan Bóg się ulitował, mogliby nawet wyleczyć dotkniętych nim ludzi.

Myśli o takich rzeczach powinny podnieść ją na duchu, ale na pewno nie o szóstej rano, gdy Briar szła do pokonania pieszo dwóch mil dzielących ją od oczyszczalni.

Słońce podnosiło się z wolna, niebo jaśniało, przybierając szarawą barwę, której nie zmieni aż do nadejścia wiosny. Gnany porywistymi podmuchami wiatru deszcz zaczął w każdym kierunku, docierając nawet pod szerokie rondo kapelusza wciśniętego mocno na głowę Briar. Czuła jego chłód wędrujący od zaciśniętych mocno mankietów koszuli aż po czubki palców u nóg. Stopy miała przemarznięte, a skóra na dłoniach przypominała skórę na obieranych z pierza kurczakach.

Zanim dotarła do pracy, twarz jej zupełnie zdrętwiała od ziąbu, nawet obmycie w gorącej cuchnącej wodzie niewiele pomogło.

Ruszyła wzdłuż tętniących hałasem przysadzistych zabudowań wielkiej oczyszczalni wzniesionych przy samym brzegu zatoki Puget, aby się dostać na najdalszy jej kraniec. Pracowano tutaj przez całą dobę, na okrągło, pompując deszczówkę i wody gruntowe do wielkich zbiorników, gdzie po zmieszaniu podlegały wielostopniowemu oczyszczaniu, aby stały się w końcu zdatne do picia albo kąpieli. Był to dość skomplikowany i powolny proces, jeden z tych, które wymagają ogromnego nakładu pracy, ale nie są aż tak bezsensowne, jak by się mogło wydawać. Zguba skaziła okoliczny ekosystem do tego stopnia, że woda w wielu strumieniach i rzeczkach przybierała żółtą barwę. W tych okolicach nie można było ufać nawet padającym niemal nieustannie deszczom. Chmury mogły bowiem zawędrować nad otoczoną murem skażoną część miasta i przesiąknąć wystarczającą ilością toksyn, by podczas opadów poparzyć człowiekowi skórę.

Na szczęście Zgubę dawało się usunąć z wody. Wygotować ją, filtrując, odparowując, skraplając i znów filtrując. Po siedemnastu godzinach nieustannego oczyszczania woda nadawała się do picia.

Wielkie wozy, ciągnięte przez zaprzęgi złożone z zimnokrwistych koni clydesdale, przewoziły kolejne cysterny cieczy do publicznych zbiorników, skąd rurociągami przepompowywano ją do

poszczególnych domów.

Najpierw jednak trzeba było ją oczyścić. Dlatego też trafiała do zakładu, w którym Briar Wilkes – podobnie jak kilkaset innych osób –

spędzała dziennie dziesięć do piętnastu godzin, zaczepiając i odczepiając mosiężne cylindry zbiorników, aby przeciągnąć je do kolejnego stanowiska i następnego zestawu filtrów. Większość tych pojemników wisiała wysoko nad jej głową, poruszały się po specjalnych szynach za pomocą skomplikowanego systemu bloczków i lin. Inne umieszczano w podłodze hali

– te można było tylko przesuwac jak części gigantycznej układanki.

Briar wspięła się do tylnego wejścia i opuściła dźwignię otwierającą drzwi do części socjalnej. Przymknęła oczy, czując na twarzy uderzenie znajomego pachnącego parą, rozgrzanego powietrza. Przeszła w róg szatni i zabrała rękawice z prostokątnej półki, jednej z tych, na których pracownicy trzymali swoje rzeczy. Nie były tak wygodne jak wełniane, które nosiła zazwyczaj, ale gruba skóra o wiele lepiej chroniła dłonie przed mocno rozgrzany metal zbiorników.

Zdążyła naciągnąć jedną z nich do końca, aż do połowy przedramienia, nim zauważyła ślady farby. Ktoś wymazał jasnoniebieskim barwnikiem całe wnętrze dłoni, a potem przeciągnął pędzlem przez palce i na drugą stronę aż po kostki. Prawa rękawica wyglądała bardzo podobnie.

Oprócz Briar w szatni nie było nikogo. Przyszła pierwsza, lecz farba zdążyła już wyschnąć. Pamiętała, że zamknęła drzwi ostatnia, gdy wychodziła po drugiej zmianie. Nie wiedziała więc, kogo mogłaby oskarżyć o ten akt wandalizmu.

Westchnęła głośno i spróbowała zeskrobać niebieskie plamy. Na szczęście tym razem nikt nie wpadł na pomysł, aby nalać farby także do środka rękawic. Dzięki temu mogła je nadal nosić i nie musiała prosić o nowe. Może nawet dadzą się doczyścić, jeśli poświęci im odpowiednio dużo czasu.

– Chyba nigdy im się to nie znudzi – mruknęła pod nosem. –

Szesnaście lat minęło, a oni wciąż robią te same głupie kawały.

Odłożyła wełniane rękawice na półkę oznaczoną jej nazwiskiem.

Napisała na niej WILKES, ale niedługo później ktoś przekreślił te litery i nabazgrał obok: BLUE. Gdy ponownie umieszczała na półce swoje nazwisko, niemal natychmiast ktoś je zmieniał. Trwało to do momentu, aż na krawędzi deski zabrakło miejsca na choćby jedną nową literę. I tak jednak wszyscy wiedzieli, do kogo należy.

Gogli nikt na szczęście nie ruszył, za to jedno była im wdzięczna.

Rękawice kosztowały sporo, ale pobranie z magazynu nowego nakrycia głowy mogłoby pochłonąć nawet tygodniówkę.

Wszyscy robotnicy musieli nosić gogle z polaryzowanymi szklami. Z

nieznanych powodów tego rodzaju soczewki pozwalały ludziom dostrzegać opary Zguby. Nawet najmniejsze ilości gazu pojawiały się w polu widzenia jako sączące się zielono-żółte pasemka albo kropelki. Zguba, mimo że zaliczano ją do gazów, miała bardzo gęstą konsystencję i potrafiła osiadać na przedmiotach.

Briar zawiesiła płaszcz na kołku i założyła niewygodne gogle.

Podniosła łom niemal tak długi jak jej przedramię i zeszła na halę, by rozpocząć kolejny dzień pracy polegającej na nieustannym przesuwaniu rozgrzanych zbiorników ze stanowiska na stanowisko.

Dziesięć godzin później mogła zdjąć rękawice, zsunąć gogle i odłożyć je na półkę.

Otworzyła metalowe drzwi prowadzące na tyły hali i zobaczyła, że deszcz wciąż pada. Wcale jej to jednak nie zaskoczyło. Ściągnęła mocniej rzemień

przytrzymujący

kapelusz.

Nie

potrzebowała

kolejnych

pomarańczowych odbarwień na ciemnych włosach, a przy takiej ulewie miałyby ich na głowie całą masę. Podniosła kołnierz płaszcza, zapięła wszystkie guziki, wsunęła ręce do kieszeni i ruszyła do domu.

Wracając z pracy, niemal przez cały czas musiała się wspinać na zbocze wzgórza. Dzisiaj jednak wiatr wiał od strony morza, smagając ją po plecach, zanim dotarła do rogatek starego osiedla. Droga była długa, ale dobrze znana, dlatego mogła ją pokonać, niewiele myśląc o wichurze i zacinającym deszczu. Przeżyła w tym klimacie już tyle lat, że przestała zwracać uwagę na niekorzystne warunki pogodowe – wydawały się jej czymś w rodzaju cichego akompaniamentu muzycznego i choć potrafiły być niezbyt przyjemne, nie przytłaczały, gdy człowiek się skupiał na brzmieniu wokalu.

Jedynym wyjątkiem od tej reguły było przemarzanie stóp, lecz temu zaradzała, przestępując szybko z nogi na nogę.

Zaczynało się ściemniać, gdy dotarła w końcu przed dom.

Bardzo ją to ucieszyło. Zimą często docierała pod własne drzwi już po zapadnięciu zmroku, kiedy niebo miało czarną barwę. Z tym większą radością wstępowała na kolejne stopnie okraszone różowym blaskiem przebijającym pomiędzy deszczowych chmur.

Sukces może niewielki, ale jej zdaniem wart uczenia.

Najpierw jednak, pomyślała, muszę przeprosić Ezekielę. Powinnam usiąść z nim i porozmawiać, jeśli oczywiście zechce mnie wysłuchać.

Chciała mu opowiedzieć o kilku ważnych wydarzeniach, aczkolwiek nie o wszystkich, rzecz jasna.

Nie zamierzała mu mówić o najgorszym, chociaż zdawała sobie sprawę, że sam uważa, iż poznał prawdę z innych źródeł. Briar także słyszała opowieści krążące po mieście. Na własne uszy. Dziesiątki policjantów, reporterów i rozwścieczonych mieszkańców tamtych okolic pytało ją o nie bez końca.

Zeke także je słyszał. Dręczono go nimi w szkole, gdy był jeszcze na tyle mały, że reagował płaczem. A kilka lat temu, kiedy sięgał jej dopiero do pasa, odważył się po raz pierwszy zapytać, czy to wszystko prawda. Czy ojciec naprawdę skonstruował maszynę, która zburzyła całe miasto, po czym rozpadła się na kawałki i zniknęła pod ziemią? Czy naprawdę sprowadził tu Zgubę?

– Tak. – Musiała mu wyznać prawdę. – Takie wydarzenia miały miejsce, choć nie wiem dlaczego. Tata nigdy mi tego nie wyjaśnił, dlatego proszę, nie pytaj o nie więcej.

I nie zapytał, chociaż Briar pragnęła czasami, by to uczynił. Gdyby się odważył, mogłaby mu powiedzieć o ojcu coś dobrego, a nawet miłego.

Naprawdę kochała kiedyś męża i miała ku temu powody. Nie chodziło bynajmniej o dziewczęcą naiwność. Na pewno nie zależało jej też na pieniądzach.

Wiedziała, rzecz jasna, że był bogaty – musiała też przyznać, że jego pieniądze w pewnym stopniu lechtały jej miłość własną, ale nigdy, przenigdy nie chodziło jej o bogactwo.

Mogła więc opowiedzieć synowi o kwiatkach przesyłanych w sekrecie, liścikach spisywanych atramentem, który w niemal cudowny sposób błyszczał, by chwilę później spłonąć albo zniknąć z papieru. Dostawała urocze drobiazgi i uwodzicielskie zabaweczki. Pewnego razu Leviticus podarował jej broszkę, która wyglądała jak guzik od płaszcza, lecz gdy przekreśliło się jej zewnętrzną część, ze środka wydobywały się ciche tony pięknej melodii.

Gdyby Zeke kiedykolwiek zapytał, opowiedziałaby mu kilka anegdot, w świetle których jego ojciec przestałby wyglądać na tak wielkiego potwora.

Jakie to głupie, uznała, gdy zastanowiła się głębiej nad czekaniem na pierwszy ruch z jego strony. Nagle wszystko wydało się tak proste i oczywiste: sama powinna mu o tym wszystkim opowiedzieć. Uświadomić biednemu dziecku, że w życiu jego matki były także dobre chwile i miała powody – a w każdym razie wtedy tak jej się wydawało – by uciec z domu od rygorystycznego niedostępnego ojca i poślubić dojrzałego naukowca, mimo że miała niewiele więcej lat niż Zeke teraz.

Co więcej, minionego wieczora powinna była dodać jeszcze: „Ty także nic złego nie zrobiłeś. Ludzie myślą się co do ciebie, ale masz mnóstwo czasu, by im to udowodnić. Nie dokonałeś jeszcze wyboru, który mógłby zmarnować ci życie”.

Dojście do tych wniosków pokrzepiło ją na duchu znacznie bardziej nawet niż wcześniejszy powrót.

Cieszyła się na myśl, że Zeke czeka na nią w domu. Będzie mogła wygarnąć mu wszystko już w progu i naprawić dawne błędy wynikające głównie z niepewności.

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi odchyliły się z wolna, odsłaniając pogrążone w ciemności wnętrze salonu.

– Zeke? Jesteś w domu, synku?

Palenisko wygasło. Lampa stała na stoliku przy drzwiach, zabrała ją więc i zaczęła szukać zapalek. W domu nie miała już ani jednej świecy, a przeczuwała, że tego dnia może potrzebować więcej światła. Rozsunęła szybko zasłony; niestety, i to na niewiele się zdało. Słońce opadało już za horyzont i salon wciąż tonął w półmroku z wyjątkiem miejsca, które oświetlał migotliwy płomyk przenośnej lampy.

– Zeke?

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego zawołała go po raz kolejny.

Przecież wiedziała, że nie ma go w domu. I nie chodziło bynajmniej o ciemności panujące w środku. Ona po prostu czuła pustkę. Gdyby był tutaj, nawet zamknięty w swoim pokoju, bezruch miałby zupełnie inne brzmienie.

– Zeke? – Nie potrafiła znieść tej ciszy, choć nie rozumiała dlaczego.

Wiele razy wracała już do pustego domu i nigdy nie czuła się z tego powodu gorzej.

Dobry nastrój zniknął w jednej chwili.

Omiotła lampą całe pomieszczenie. Meble i sprzęty pojawiały się kolejno w wąskim kręgu światła. To nie był podszept przewrażliwionej wyobraźni. Coś jej tutaj nie pasowało. Jedna z szafek w kuchni miała otwarte drzwiczki; w niej trzymała dodatkowe suszone jedzenie, takie jak puszkowane suchary czy owsiankę oczywiście gdy było ją na nie stać. Ktoś ogołocił półki, zabrał wszystko. Na środku podłogi, przed skórzanym fotelem, błysnął jakiś metalowy przedmiot.

Pocisk.

– Zeke? – wymamrotała raz jeszcze i tym razem zabrzmiało to bardziej jak ciężki oddech niż wypowiedziane słowo.

Podniosła pistoletowy nabój i zaczęła go dokładnie oglądać. Nagle poczuła się taka bezbronna. Nie jak osoba obserwowana z ukrycia, raczej jak kobieta, która spodziewa się, że w każdej chwili zostanie zaatakowana.

Jakby na zewnątrz czyhało coś złego, co tylko szuka drogi do tego domu.

Drzwi. W krótkim korytarzyku jest ich czworo. Jedne prowadzą do szafy, pozostałe do sypialni.

Sypialnia Zeke'a nie jest zamknięta.

Mało brakowało, a lampa i nabój poleciałyby jej z rąk. Poczwała w piersiach ucisk przerażenia. Nie potrafiła się ruszyć z miejsca.

Jedynym sposobem na otrząśnięcie się z tego stanu było zrobienie kolejnego kroku. I uczyniła go. Przesunęła stopę w kierunku korytarza.

Chociaż powinna się rozejrzeć najpierw za potencjalnymi intruzami, szósty zmysł jej podpowiadał, że w domu poza nią nie ma nikogo. Pustka była zbyt kompletna, a echo niemal doskonałe. W tych wnętrzach nie było nikogo; ani swojego, ani obcego.

Sypialnia Zeke'a wyglądała niemal tak samo jak poprzedniego wieczora, gdy zajrzała tutaj przed jego powrotem. Panował w niej nieład, ale nie została zagracona, może dlatego, że Zeke tak mało w niej przebywał.

Jedyna różnica polegała na tym, że na środku łóżka leżała teraz szuflada.

Była kompletnie pusta, lecz Briar nie miała pojęcia, co mogło się w niej znajdować wcześniej. Podeszła więc do bielizniarki i sprawdziła, co mieszczą te szuflady, które pozostały na miejscu. One też świeciły pustką, została tylko znoszona szarfka z tak wielkimi dziurami, że nie utrzymałaby się już na stopie.

Zeke miał własną torbę. Wiedziała o tym, nosił ją przecież do szkoły, kiedy jeszcze do niej uczęszczał. Sama mu ją zrobiła, zszywając kawałki skóry i materiału, dopóki nie stała się wystarczająco mocna i pojemna, aby można w niej nosić wszystkie książki, które z takim trudem dla niego zdobyła. Nie tak dawno temu poprosił ją, by poprawiła prujący się szew, więc wiedziała, że nadal jej używa.

A teraz nie potrafiła jej znaleźć.

Bardzo szybko przeszukała resztę niewielkiego pokoju, lecz nie natrafiła na żaden ślad, który mógłby jej podpowiedzieć, gdzie zniknął jej syn i jego torba... W każdym razie póki nie uklękła i nie podniosła rogu wygniecionego materaca. Na podłodze pod łóżkiem nie zauważyła niczego niezwykłego, jednakże przez materiał i pierze wyczuła jakieś sztywniejsze zgrubienie. Miało niezbyt równy, ale prostokątny kształt. Wsunęła rękę w materac i poczuła pod palcami coś twardego.

Papier. Kupka kartek rozmaitego kształtu i wielkości.

A na nich...

Obróciła je i obejrzała dokładnie po obu stronach. W tym momencie zdjął ją tak potworny strach, że nie mogła nawet zaczerpnąć tchu.

Mapa centrum Seattle przedarta na pół.

Na brakującej części znajdowała się dawna dzielnica finansowa, ta, którą Kościotrzep doprowadził



do ruiny podczas pierwszych prób... Ta sama, w której kilka dni później pojawiła się Zguba.

Po co mu była potrzebna?

Z boku mapy papier był nierówny, jakby wydarto ją z jakiejś książki. Z

tego co Briar wiedziała, niewielka miejska biblioteka nigdy nie została ponownie otwarta, a same książki były w mieście rzadkością i kosztowały krocie. Jej syn nie mógłby sobie pozwolić na kupienie atlasu, za to jak najbardziej mógłby go ukraść albo...

Papier dziwnie pachniał. Trzymała go w dłoni dłużej, zanim to zauważyła. Zapach był tak charakterystyczny i znajomy, że mało brakowało, a zupełnie by go przeoczyła. Przysunęła papier do nosa i wciągnęła mocno powietrze. A może tylko jej się zdawało? Znała jednak doskonały sposób na sprawdzenie tego.

Przeszła korytarzem do swojej sypialni, przyklękła przy wysokiej skrzypiącej szafie i przeszukiwała ją, aż nie natrafiła na sporą soczewkę, pamiątkę po dawnych strasznych czasach, gdy zaczynał się koszmar ewakuacji. Ludzie nie wiedzieli, przed czym muszą uciekać ani dlaczego, lecz wkrótce stało się jasne, że kto ma maskę albo gogle z polaryzowanymi szklami, ten zdoła dostrzec czające się zagrożenie.

Wtedy nie istniały żadne inne metody identyfikacji gazu. Kramarze sprzedawali więc szkła na każdym rogu za niewyobrażalnie wysokie ceny, a nie każde z nich było polaryzowane. Wiele soczewek zdobyto, wrywając je z masek przemysłowych lub z okularów ochronnych, ale trafiali się cwaniacy sprzedający najzwyklejsze w świecie monokle i naprędce oszlifowane denka od butelek.

W tamtych czasach jednak pieniądze nie miały już wartości. Lekko zabarwiona soczewka wielkości dłoni, którą Briar zdobyła za wszystkie swoje oszczędności, była na szczęście polaryzowana. Sprawiała się równie dobrze w detekcji gazu jak gogle, które zostawiła w pracy.

Zapaliła dwie znalezione przy okazji świece i zaniósła do sypialni syna.

Ustawiła je w pobliżu lampy naftowej, by w lepszym świetle przyjrzeć się kartkom znalezionym w materacu. Oczywiście przez soczewkę. Na każdej, od połowy mapy począwszy przez ulotki i na kawałkach plakatu skończywszy, zauważyła charakterystyczne żółte zacieki lśniące tak mocno, jakby ktoś pozostawił na nich znak ostrzegawczy.

– Zguba – jęknęła.

Papier był nią przesiąknięty.

Te rzeczy zostały skażone w takim stopniu, że mogły pochodzić tylko z kilku miejsc w tym mieście. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, jakim cudem jej syn zdołał je przemycić z otoczonego murem i szczelnie zamkniętego terenu. W kilku sklepikach sprzedawano wciąż przedmioty wywiezione przez ewakuujących się mieszkańców z centrum Seattle, ale były niezwykle rzadkie, a co za tym idzie, strasznie drogie.

– Żeby tak Bóg pokarał tych jego koleżków i ich durny sok cytrynowy

– wymamrotała pod nosem. – Żeby tak wyzdychali po nim co do jednego!

Wstała i wróciła do swojego pokoju, tym razem po maskę z muślinu.

Założyła ją na twarz, zasłaniając dobrze nos i usta, a potem zabrała się do wybebeszania materaca, rzucając wszystko, co wyciągnęła, na podłogę obok łóżka Zeke'a. A znalazła naprawdę dziwne rzeczy. Oprócz mapy były tam stare bilety, afisze, kartki wyrwane z książek i wycinki z gazet o wiele starsze od jej syna.

Żałowała, że nie ma przy sobie skórzanych rękawic. Z braku lepszej ochrony brała kolejne papiery przez dziurawą skarpetę, którą Zeke zostawił

w szufladzie. Rozkładała je i uważnie badała z każdej strony. Niemal wszędzie znajdowała swoje nazwisko, aktualne albo to, które nosiła dawniej.

***9 sierpnia 1864.** Władze dokonały przeszukania domu Leviticusa i Briar Blue, ale nie znaleziono żadnych nowych dowodów w sprawie Kościotrzepa. Wszelka dokumentacja zniknęła wraz z zaginionym naukowcem. Jego żona nie potrafiła podać satysfakcjonującego wyjaśnienia wypadków, które wstrząsnęły fundamentami miasta i doprowadziły do śmierci trzydziestu siedmiu osób oraz trzech koni.*

***11 sierpnia 1864.** Briar Blue została zatrzymana do wyjaśnienia po zawaleniu się czwartego banku na Commercial Avenue i zniknięciu jej męża Leviticusa Blue. Jej rola w rajdzie Kościotrzepa nadal pozostaje niejasna.*

Briar przypominała sobie te artykuły. Pamiętała wciąż, jak zmuszała się do zjedzenia lunchu po przejrzeniu gazet, gdy nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że mdłości, które odczuwa, nie są spowodowane wyłącznie stresem po przesłuchaniach. Pytanie jednak, skąd Ezekiel wytrzasnął te artykuły i jak je zdobył? Wszystkie wydano ponad szesnaście lat temu i dystrybuowano na terenach, które od tamtego czasu pozostają martwe i niedostępne.

Zmarszczyła nos i sięgnęła po poduszkę syna. Rozdarła powłoczkę i wcisnęła do środka wszystkie papierzyska. Wprawdzie nie były już niebezpieczne, skoro od pewnego czasu trzymał je w pościeli i nic mu się nie stało, ale poczuła się pewniej, wiedząc, że są szczelnie opakowane. Nie zamierzała ich jednak trzymać ani ukrywać. Chciała je zakopać, chociaż to nie miało teraz najmniejszego sensu.

Zeke wciąż nie wracał do domu. Podejrzewała, że syn nie ma najmniejszego zamiaru nocować dziś w swoim łóżku.

Dopiero po tym wszystkim znalazła wiadomość, którą zostawił jej na stole jadalnym w salonie, mimo że przechodziła obok niej już kilkakrotnie.

Jej treść była krótka, lecz konkretna. Ezekiel napisał: „Mój ojciec był

niewinny i ja tego dowiodę. Przepraszam za wszystko. Wrócę tak szybko, jak to tylko możliwe”.

Briar zmięła kartkę w dłoni i potrząsała nią, dopóki nie wykrzyczała całej złości w nagłym ataku, który z pewnością przeraził wszystkich sąsiadów, lecz ich akurat miała w takim poważaniu, że niemal natychmiast zaczęła znowu wrzeszczeć. W niczym jej to jednak nie pomogło, więc wydała z siebie trzeci okrzyk, tym razem chwytając w ręce najbliższe stojące krzesło i ciskając nim na oślep, prosto zresztą w palenisko.

Złamało się na pół, trafiwszy w kamienne obmurowanie, ale zanim jego resztki znieruchomiały na podłodze, Briar już była na ganku i pędziła po schodach w mrok z zapaloną lampą w dłoni.

Wychodząc z domu, nacisnęła na głowę kapelusz, już na dworze włożyła i zapięła płaszcz. Deszcz przestał padać, lecz wiało nadal mocno, jak zawsze o tej porze roku, a ona szła prosto pod wiatr w dół zbocza, a potem dalej, po błotnistej równinie do jedyne miejsce, gdzie mogła znaleźć Ezekiela, tam przynajmniej zawsze się chronił, gdy znikał z domu na tak długo, że zaczynała się o niego martwić.

W stojącym tuż nad wodą trzypiętrowym budynku mieściły się kiedyś magazyny. Dzisiaj pod tym samym dachem zakonnice urządziły schronisko dla sierot, które utraciły rodziców podczas epidemii Zguby.

W Domu Opieki nad Sierotami Sióstr Zgromadzenia Łaski Pańskiej wychowało się całe pokolenie dzieciaków, które zdołały jakimś cudem zbiec przed zabójczym gazem i dotarły na Przedmieścia bez niczyjej pomocy.

Dzisiaj najmłodszy wychowankowie tego przybytku lada moment powinni osiągnąć pełnoletniość i opuścić mury sierocińca, aby utworzyć własne ogniska domowe albo podjąć pracę dla Kościoła, który ich wychował.

Wśród nich był Rector „Zgnilec” Sherman. Chłopak mający dopiero siedemnaście lat, ale znany w okolicy jako największy diler tak zwanego soku cytrynowego, czyli nielegalnego i bardzo pożądanego taniego narkotyku. Była to żółtawa ziarnista substancja o konsystencji pasty, jak wieść niosła, destylowana ze Zguby. Efekty jej działania otepiały zmysły, lecz zarazem wyniszczały organizm. Sok przypalano albo wdychano, by popaść w ekstatyczne odurzenie. Zbyt częste stosowanie go prowadziło do śmierci... aczkolwiek nie od razu.

Sok działał nie tylko na umysł, zabijał także ciało. Nierzadkie były przypadki rozwijania się gangreny nawet w nieporanionych członkach.

Potrafiła żałac się w kącikach ust i wyzreć całe policzki, a nawet nosy.

Ludziom odpadały palce u rąk i nóg. W skrajnych przypadkach całe ciała upodabniały się do gnijących nieumarłych, którzy po dziś dzień kręcili się bez celu po drugiej stronie muru.

Mimo tak wielu efektów ubocznych narkotyku był bardzo popularny w okolicy. A skoro ludzie go pragnęli, Rector zawsze miał pod ręką fajki, dobre rady i paczuszki ze sproszkowanym sokiem.

Briar robiła, co mogła, aby trzymać Zeke'a z dala od tego świństwa, ale prawdę powiedziawszy, nie

dysponowała zbyt wieloma środkami nacisku.

Mogła mu co najwyżej zabronić brania soku. Na szczęście wyglądało na to, że sam Rector nie miał ochoty częstować przyjaciela paskudztwem, które produkował. A jej syn Ignął do niego, ponieważ tylko wśród jemu podobnych mógł znaleźć rówieśników, którzy nie odtrącali go ani nie oblewali niebieską farbą przy każdej okazji, ani nie wypisywali mu różnych świństw na czole.

To że rozumiała jego potrzeby, nie znaczyło jednak, iż je pochwałała, tak samo jak nie musiała lubić rudowłosego drąga, który właśnie wstawał, słysząc jej głośnie niecierpliwe wołanie.

Przepchnęła się w pobliże zakonnicy w grubym szarym habicie i zatrzymała obok rudzielca, który miał zbyt duże niewinne oczy jak na taką kanalię.

– Ty – zaczęła, unosząc palec wskazujący aż pod jego brodę. – Ty wiesz, gdzie jest mój syn, i zaraz mi o tym powiesz albo poobrywam ci uszy i wepchnę je prosto do tej szczerbatej gęby, nędzny handlarzu śmiercią na raty.

– Wypowiedziała te słowa, nie wkraczając w oktawy zarezerwowane dla krzyku, niemniej każde uderzało w cel z siłą kowalskiego młota.

– Siostró Claire... – wymamrotał Rector. Cofnął się tyle, ile mógł, lecz nie miał szans na ucieczkę.

Briar zmierzyła zakonnicę spojrzeniem, które mogło stopić metalowe kraty, a potem znów skupiła całą uwagę na rudowłosym chłopaku.

– Jeśli zmusisz mnie do powtórzenia pytania, będziesz tego żałował przez całą resztę życia bez względu na to, jak długo ono potrwa.

– Ale ja nnnie wiem. Nnnaprawdę. Nnnie wiem – jąkał się.

– Nie wiesz, niemniej idę o zakład, że możesz zgadnąć, i jestem pewna, że trafisz w dziesiątkę za pierwszym razem, jeśli się tylko postarasz. Jeśli jednak nie usłyszę żadnej sensownej podpowiedzi, zrobię ci naprawdę wielką krzywdę. Nie znajdziesz tu jednego księdza ani zakonnicy, którzy by cię poznali po tym, jak z tobą skończę. Nawet anioły załkają, gdy ujrzą, co ci zrobiłam. A teraz mów!

Oczy biegały mu gorączkowo pomiędzy Briar, stojącą z otwartymi ustami siostrą Claire i księdzem, którego krzyki zwabiły do tego pomieszczenia.

Briar zauważyła go w ostatniej chwili, gdy już się zamierzała, by walnąć chłopaka w przyrodzenie.

– Niech ci będzie – syknęła.

Zrozumiała, że nie chce rozmawiać w obecności wychowawców.

Wykręciła mu więc rękę i popchnęła go przed sobą, rzucając przez ramię:

– Wybaczcie, ojciec i siostra, ale muszę się rozmówić z tym urwisem.

Wychodzimy tylko na moment, obiecuję, że oddam go jeszcze przed ciszą nocną. – Prowadząc go w stronę schodów, dodała zniżonym głosem: – A ty, panie Zgnilec, racz sobie zakonotować w pamięci, że nie powiedziałam, w jakim sianie cię zwrócę.

– Wiem, wiem – odparł.

Odbił się od narożnika ściany i poleciał w dół schodów pchnięty mocno przez Briar. Nie miała pojęcia, gdzie go zaprowadzić, a tutaj było ciemno i w miarę spokojnie. Tylko dwie lampy wiszące na murze i lampa w ręce Briar oświetlały stopnie, po których bez nich nie dałoby się chodzić.

W dole obok wejścia do piwnic znajdował się niezbyt wielki podest.

Zatrzymała na nim Rectora i odwróciła go twarzą do siebie.

– Jesteśmy na miejscu – wycharczała głosem tak okropnym, że mogłaby nim terroryzować niedźwiedzie. – Nikt tu cię nie usłyszy. Chcę wiedzieć, dokąd poszedł Zeke! Więc gadaj, i to szybko.

Rudowłosa szarpnął się, próbując wyswobodzić chudą rękę z jej mocnego chwytu. Nie puściła go jednak. Zamiast tego ścisnęła jeszcze mocniej, aż pisnął z bólu i szarpnął naprawdę mocno, uwalniając się w końcu.

– On chce tylko udowodnić, że Leviticus nie był szaleńcem ani przestępcą.

– Jakim cudem zamierza tego dokonać? I jak wpadł na tak głupi pomysł?

– Pewnie usłyszał gdzieś jakieś durne plotki – odparł wyrostek o wiele ostrożniej, niż gdyby naprawdę nie wiedział.

– Jakie plotki? Gdzie?

– Przecież ludzie gadają o tym od dawna. Ponoć Rosjanie mieli mu zapłacić, żeby zrobił coś zabawnego podczas testów.

– Levi mówił o tym – przyznała, mrużąc oczy – ale nikt nigdy nie zdobył na to dowodu. A gdyby nawet jakiś był, nigdy by nie ujrzał światła dziennego, ponieważ on nigdy niczego nie pokazywał obcym ludziom.

– Nawet pani?

– Zwłaszcza mnie – odparła. – Nigdy nie powiedział mi nawet słowa na temat tego, co robił w laboratorium z tymi machinami. A swoje finanse trzymał w jeszcze większym sekrecie.

– Przecież była pani jego żoną!

– To nie miało dla niego większego znaczenia – zapewniła.

Nigdy nie zdołała sprawdzić, czy zatajał przed nią te informacje, ponieważ jej nie ufał, czy raczej miał ją za zbyt głupią. Na zdrowy rozum chodziło mu zapewne o jedno i o drugie.

– Chyba musiała pani zauważyć, że coś jest nie tak, gdy Zeke zaczął o to wypytywać.

Briar walnęła w poręcz wolną ręką.

– On nigdy o nic nie pytał! To znaczy od czasu, kiedy był jeszcze małym dzieckiem. Wtedy po raz ostatni rozmawialiśmy o Levim. – Nieco spokojniejszym tonem dodała: – Za to często wypytywał o Maynarda.

Rector wciąż się na nią gapił, nadal miał niepewną minę i trzymał się od niej jak najdalej. Nadszedł moment, gdy powinien wtrącić coś pomocnego, ale milczał jak zaklęty, dopóki nie zamachnęła się mocno i nie walnęła w poręcz po raz drugi.

– Proszę – wyszeptał, wyciągając przed siebie obie ręce – Proszę... tego nie robić. Nic mu nie będzie. To sprytny dzieciak. Wie, co mu wolno, i wie co nieco o Maynardzie, więc z pewnością wyjdzie z tego cało.

– O czym ty mówisz? Co znaczy: wie o Maynardzie? Wszyscy wiedzą, co mój ojciec zrobił.

Skinął głową, cofając ręce, lecz trzymając je przy piersi, jakby chciał

się nimi zasłonić, gdyby przyszło co do czego.

– Wie tyle, że jest jego wnukiem, więc ludzie będą go mieli na oku. To znaczy... – zamilkł i zaczął od nowa: – Nie wszyscy i nie wszędzie, ale ci, z którymi się spotyka i przestaje, wiedzą o Maynardzie i na pewno mu pomogą.

– O jakich ludziach mówisz? Skąd?... – zapytała, wypowiadając ostatnie słowo przez ściśnięte gardło, albowiem wiedziała już, o jakim miejscu mowa, choć wydawało jej się to szalone, a nawet niemożliwe.

– On... poszedł... – Rector podniósł rękę i wskazał w kierunku dawnego miasta.

Briar musiała się hamować z całych sił, by nie zdzielić tego chłopaka kulakiem w twarz. Zabrakło jej jednak woli, by powstrzymać krzyk.

– Dlaczego miałby tam iść? I co zamierza zrobić, gdy znajdzie się już za murem, gdzie nie można oddychać... – Rudzielec znów się zasłonił

rękoma, znalazł jednak w sobie tyle odwagi, by postąpić krok do przodu.

– Proszę, niech pani przestanie krzyczeć. Proszę.

– ... a jedynymi istotami, jakie napotka na swojej drodze, będą nieumarli, cuchnące rozkładające się potwory, które pochwyć go i rozszarpiać...

– Proszę! – zawołał na tyle głośno, by jej przerwać, ale nie zarobić przy tym kopniaka. I udało mu się ją uciszyć na moment, co wystarczyło, by dodał

jeszcze: – Tam mieszkają l u d z i e.

Po tych słowach zapadła ciągnąca się przez całą wieczność cisza.

– Coś ty powiedział? – zapytała w końcu Briar.

– Tam mieszkają ludzie – powtórzył drżącym głosem, cofając się bojaźliwie, dopóki nie uderzył plecami w ścianę. – Za murem.

– Ilu? – zapytała, głośno przełykając ślinę.

– Niewielu, choć i tak więcej, niż się pani wydaje. Ci, którzy o nich wiedzą, nazywają ich Sztyniakami, bo dla reszty świata są już martwi.

– Ale jak... – kręciła z niedowierzaniem głową. – Przecież to niemożliwe. Tam nie ma powietrza, słońca, żywności...

– Co pani wygaduje! Tu też nie ma słońca. A jeśli chodzi o powietrze, to znaleźli sposób. Uszczelnili niektóre budynki, te wyższe, i pompują powietrze z ich dachów, znad szczytu muru, a tam jest czystsze niż u nas, na Przedmieściach. Gdyby wybrała się pani kiedyś na wycieczkę dookoła miasta, zobaczyłaby pani te rury, zwłaszcza tam, po drugiej stronie.

– Dlaczego to robią? Po co zadają sobie tyle trudu? – Nagle przyszła jej do głowy naprawdę przerażająca myśl. – Proszę, tylko mi nie mów, że są tam uwięzieni! – zawołała.

Rector zaśmiał się nerwowo.

– Nie, nie, psze pani. Nie zostali uwięzieni. Oni tylko... – Wzruszył

ramionami. – Tylko zostali.

– Dlaczego? – dopytywała się łamiącym histerycznie tonem.

Próbował ją uspokoić po raz kolejny, machając rękami i prosząc ściszym głosem, by tak się nie wydzierała.

– Niektórzy nie chcieli opuszczać własnych domów. Inni po prostu utknęli, a część uważa, że i tak wszystko prędzej czy później trafi szlag.

Z tego wyliczenia i jego zdenerwowania wynikało, że to nie wszystko i jest jeszcze jakaś reszta, o której nie wspomniał.

– A co z pozostałymi?

– Chodzi o sok – wyszeptał chrapliwym głosem. – Jak pani myśli, skąd się tu bierze?

– Wiem, że robicie go z gazu – burknęła. – Aż taka głupia nie jestem.

– Nigdy nie twierdziłem, że ma pani nierówno pod sufitem. Ale czy zastanowiła się pani, skąd ludzie biorą ten gaz? Wie pani, ile prochów trafia na Przedmieścia? Powiem pani: cała masa. Znacznie więcej, niż możecie odzyskać Zguby po uzdatnieniu deszczówki.

Briar musiała przyznać, że do tej pory uważała, iż ludzie robią sok z odpadów kradzionych z oczyszczalni. Nikt nie wiedział, co się dzieje z, odzyskaną Zgubą po zebraniu jej w osadnikach i schłodzeniu. Wydawało jej się, że ktoś sprzedaje ją potem na czarnym rynku albo wymienia na coś innego, lecz ze słów Rectora wynikało coś zupełnie innego.

– Nie pochodzi też z osadów z oczyszczanych wód gruntowych –

kontynuował rudzielec. – Znam paru chemików, którzy chcieli się zająć waszymi odpadami, ale po zbadaniu sprawy stwierdzili, że nie da się z nich zrobić dobrego towaru. Ponoć to czysta trucizna.

– A sok cytrynowy to niby coś lepszego?

– Sok cytrynowy jest namiastką Boga – bluźnił, uśmiechając się odrażająco. – Tak o nim mówią ludzie.

Wywróciła oczami.

– Nie interesuje mnie, co mówią o nim jakieś szczyły. Kiedy zobaczyłam po raz pierwszy, jakie ma działanie, od razu wiedziałam, z czym mam do czynienia. A potem widziałam, że robi z ludźmi coś znacznie gorszego niż otrucie Zgubą. Gdyby mój ojciec żył, zrobiłby... – nie wiedziała, jakimi słowami zakończyć to zdanie. – Nigdy by na to nie pozwolił – dodała w końcu znacznie mniej pewnym głosem.

– Maynard nie żyje, psze pani. Nie wiem, czyby mu się to podobało, ale dla wielu z nas w tej branży jest kimś w rodzaju patrona, znaczy świętego.

– Wkurzyłby się, gdyby o tym wiedział – zapewniła go od razu.

– Dlaczego?

– Ponieważ wierzył w prawo – wyjaśniła.

– I to wszystko? Był pani tatą i tylko tyle pani o nim wie?

– Dostaniesz w ryj, jeśli się natychmiast nie zamkniesz – ostrzegła.

– On był sprawiedliwy. Nie pojmuje pani tego? Każdy ulicznik, każdy chłopak i dziewczyna, którzy sprzedają prochy i biorą je, wszyscy złodzieje, dziwki, żebracy i więźniowie, czyli wszyscy, którzy na własnej skórze się przekonali, że życie nie jest sprawiedliwe, wierzą w niego, bo on jeden taki



właśnie był.

Briar wyciągnęła z rudowłosego handlarza więcej wiadomości na temat trasy, którą miał wyruszyć Zeke, zanim na schodach zebrała się całkiem pokaźna grupka księży i zakonnic starających się odbić swojego podopiecznego. Dowiedziała się wielu rzeczy, z których żadna jej nie ucieszyła, za to wszystkie świadczyły dobitnie o jednym.

Jej syn udał się do miasta za murem.

## **ROZDZIAŁ 5**

Ezekiel Wilkes zadrzał, stając przed wylotem dawnego kanału odpływowego. Spoglądał na mroczny otwór, jakby ten mógł go pożreć, a może raczej jakby chciał, aby ta rura miała zębiska i zmiażdżyła go nimi, ponieważ po przemyśleniu sprawy zaczynał mieć spore wątpliwości co do sensu swojej wyprawy. Szybko jednak zwalczył te myśli. Dotarł już tak daleko. Pozostało mu zaledwie kilka jardów do przejścia. Musiał pokonać fragment mrocznego tunelu, by znaleźć się w mieście, które zostało uznane za martwe na długo przed jego narodzinami.

Lampa chwiała mu się w dłoni, odzwierciedlając drżenie przemarzniętego łokcia. W kieszeni spoczywał pomięty fragment mapy.

Zabrał ją tylko dla formalności. Wyrył ją wcześniej we własnym sercu.

Nie wiedział tylko jednego, i to niepokoiło go naprawdę mocno.

Nie miał pojęcia, gdzie mieszkali jego rodzice, a w każdym razie nie znał dokładnej lokalizacji ich domu.

Mama nigdy nie podała mu tego adresu, ale z tego co zdążył sam wywnioskować, mieszkała gdzieś na Denny Hill, miał więc jakiś punkt zaczepienia do dalszych poszukiwań. Wspomniane wzgórze nie było bowiem zbyt wielkie, a on znał z grubsza opis domu. Gdy był jeszcze mały, matka przed snem opisywała mu ten budynek, jakby był jakimś potężnym zamkiem.

Jeśli jeszcze stoi, będzie miał lawendowe i kremowe ściany, jedno piętro i spory wykusz. Ganek obejmował cały front domu, a na nim powinien stać bujany fotel pomalowany tak, aby wyglądał, jakby go zrobiono z drewna.

Tak naprawdę wykonano go z metalu i przytwierdzono specjalnym mechanizmem do desek podłogi. Wystarczyło pociągnąć za dźwignię znajdującą się obok, by fotel kołysał się sam ku uciesze siedzącej na nim osoby.

Zeke wściekał się, że tak niewiele wie na temat człowieka, który skonstruował fotel. Na szczęście zdawało mu się też, że wie, gdzie powinien szukać wiedzy o nim. Wystarczyło pokonać ten kanał i wspiąć się na wzgórze, którego zbocze ujrzy po lewej. To powinno być Denny Hill.

Dałby wiele, żeby móc zapytać kogoś o drogę, niestety, sterczał tu samotny jak palec.

Wokół nie było nic prócz wszechobecnego odoru, jaki wydzielały gęste opary tajemniczego gazu wydobywającego się z wnętrza ziemi tuż za tym murem.

Ten moment wydał mu się równie dobry jak każdy inny, by nałożyć w końcu maskę.

Zaczerpnął głęboko tchu, zanim zaciągnął mocno rzemienie, które przytrzymały ją na głowie. Kiedy zrobił wydech, szkła na moment zaparowały, ale zaraz znów zrobiły się idealnie przejrzyste.

Wylot kanału wydawał się znacznie bardziej odległy i nierealistyczny, gdy spoglądał na jego czarną paszczę przez wizjer maski. Był teraz jakby dłuższy i dziwniejszy, a ciemność zdawała się kotłować w jego wnętrzu za każdym razem, gdy Zeke poruszył głowę. Rzemienie upręży drażniły mu skórę nad i pod uszami, tam gdzie przylegały najmocniej. Wcisnął pod jeden z nich palec i przesunął nim do przodu i z powrotem.

Sprawdził lampę po raz dziesiąty z rzędu – tak, jej zbiornik wciąż był

wypełniony naftą. Zajrzał znów do torby i tam też znalazł to wszystko, co zdażył zgromadzić przed rozpoczęciem wyprawy. Nie mógł być bardziej gotowy do podjęcia tego kroku.

Podkręcił knot lampy, aby dawała maksymalną ilość światła.

Przekroczył krawędź rury, zmuszając się do minięcia granicy pomiędzy czernią nocy a jeszcze mroczniejszym wnętrzem tunelu. W złotawym blasku lampy ujrzał paszczę jaskini zbudowaną z cegieł, przez człowieka.

Zamierzał wyruszyć znacznie wcześniej, tuż po świcie, zaraz po wyjściu mamy do pracy, ale zebranie zapasów okazało się o wiele bardziej czasochłonne, niż przypuszczał, i zajęło mu prawie cały dzień. Rector także nie spieszył się z udzielaniem wskazówek.

Dlatego miał za plecami zapadające ciemności, a przed sobą idealną smolistą czernią.

Lampa rzuciła sferę światła wokół niego, poruszał się w jej wnętrzu, idąc prosto w nieznaną. Omijał zwały gruzu w miejscach, gdzie sklepienie zawaliło się pod własnym ciężarem. Uchyłał się przed zwisającymi tu i ówdzie kępami mchu grubego jak algi, przykucał, gdy trzeba było przejść pod wyjątkowo grubymi pajęczynami, które spinały wibrującą siecią ceglane ściany.

Tu i ówdzie dostrzegał ślady poprzednich wędrowców, lecz nie czuł się specjalnie pokrzepiony myślą, że nie jest pierwszym człowiekiem, który pokonuje ten tunel. Na ceglach widział czarne ślady w miejscach, gdzie ktoś zapalał zapalniczki albo rozgniatła niedopałki papierosów. Wypatrywał też kilka niewielkich kawałków wosku, zbyt cienkich już, by zasługiwały jeszcze na miano świec. Na większej kupce cegieł ktoś wyrył inicjały WL. Z gruzu w wielu miejscach sterczały ostre krawędzie stłuczonego szkła.

Słyszał jedynie rytmiczny odgłos własnych kroków, stłumiony oddech i skrzypienie lampy kołyszącej się w jego dłoni. Po pewnym czasie do jego uszu dotarł jeszcze jeden dźwięk; Zeke wystraszył się, sądząc, że ktoś go goni.

Obrócił się i uniósł lampę wysoko, ale nie zobaczył nikogo. A w tak wąskim tunelu nie sposób się ukryć – kanał biegł prosto od miejsca w którym do niego wszedł, aż po plażę. Jak wyglądała dalsza trasa, tego niestety Zeke nie wiedział, lecz przed nim, poza krawędzią świetlnego bąbla, kryła się wyłącznie nicość.

Tunel zmienił kierunek, teraz biegł lekko pod górę. Z otworów nad głową w miejscach, gdzie sklepienie się zapadło, nie widział nieba, może dlatego, że od powierzchni ziemi dzieliła go spora odległość. Echa każdego kolejnego kroku były cichsze i dobiegały szybciej. Zeke spodziewał się tego, mimo wszystko odczuwał o wiele większy dyskomfort, niż przewidywał. W

tym rejonie miasto leżało na wzniesieniu, więc i tunele obsługujące jego infrastrukturę musiały biec pod pewnym kątem.

Jeśli Rector się nie mylił, główny kanał dzieli się na końcu na cztery odnogi. Ta po lewej prowadzi do piwnic piekarni. Z jej dachu można w miarę bezpiecznie rozejrzeć się po okolicy.

Pogrążony w całkowitych ciemnościach tunel zdawał się skręcać w lewo, a potem w prawo. Wprawdzie nie oznaczało to, że Zeke kręci się w kółko, ale mocno go dezorientowało. Miał jednak nadzieję, że trafi prosto na Denny Hill, gdy wydostanie się w końcu na powierzchnię.

Po przejściu wielu mil – jego zdaniem, rzecz jasna, w rzeczywistości bowiem pokonał dopiero ułamek tej odległości – tunel się rozszerzał, przechodząc w strukturę opisaną przez Rectora. Zeke wszedł do wylotu po lewej i przebył co najmniej sto stóp, zanim dotarł do końca – jak się okazało, ślepego zaułka. Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie cofnął się kilka kroków i nie znalazł bocznej odnogi. Nowy korytarz nie wyglądał

jednak na dzieło inżynierów, tylko na zwykły wykop. Nie było w nim też żadnych stempli ani zabezpieczeń. Miał wygląd prowizorki, która lada moment może się zapaść.

Ale i tak musiał tamtędy przejść.

W ścianach tego tunelu widział więcej gliny niż cegieł, były też wilgotne i cuchnące. Pod nogami także miał całą masę brei składającej się głównie z przemokniętych trocin, ziemi i gnijących korzeni. Oblepiały mu buty, jakby chciały go zatrzymać, lecz parł uparcie do przodu i w końcu za kolejnym załomem dostrzegł drabinę umieszczoną w zagłębieniu ściany.

Podskakując, pozbył się nadmiaru mułu z butów i chwycił za szczeble.

Wszedł po nich na wyższy poziom, do piwnicy tak mocno zakurzonej, że nawet myszy i karaluchy zostawiały w niej swoje ślady. Zobaczył tam też odciski stóp. I to niemało.

Na pierwszy rzut oka zliczył co najmniej dziesięć odmiennych śladów ludzi, którzy tędy przechodzili. Wmawiał sobie, że to dobry znak, że inni także przeżyli tę wyprawę bez większych problemów, ale prawdę mówiąc, odczuł narastający lęk na ich widok. Miał nadzieję, a nawet po części planował, że trafi do martwego miasta pełnego bezrozumnych zagrożeń.

Wszyscy wiedzieli o zgnilasach. Rector powiedział mu też o mieszkańcach tych okolic, którzy

mieszkali pod ziemią i rzadko wychylali nosy ze swoich kryjówek, liczył jednak, że uda mu się ich ominąć.

Ale te ślady stóp... Cóż...

Ich obecność w tym miejscu oznaczała, że może się nadziać na ludzi.

Po zwiedzeniu całej piwnicy i sprawdzeniu, że nie ma w niej niczego cennego, zdecydował, że dalej powinien podążać z najwyższą ostrożnością.

Idąc schodami, posuwał się blisko muru, próbując nie wychodzić z największego cienia. Głowę trzymał nisko, a broń w pogotowiu.

Prawdę powiedziawszy, myśl o aktualnej sytuacji podobała mu się coraz bardziej. Oto on, samotny chłopiec, staje przeciw całemu światu, wyrusza na niebywale niebezpieczną wyprawę – mimo że ma potrwać zaledwie kilka godzin. Chciał się poruszać zwinnie, niczym złodziej w nocy.

Zamierzał być niewidzialny jak duch.

Okna na parterze zabito szczelnie i wzmocniono deskami w każdym rogu. Pod ścianą butwiała długa lada, wszystkie szyby w niej zostały rozbite.

Zasłony zmięto i rzucono na stos. W przerdzewiałym zlewozmywaku piętrzyły się dziurawe blachy, a kasę ktoś rozwalił na drobne kawałki. Jej fragmenty zaścielały całą podłogę.

Przy ogołoconej spizarni znalazł drabinę. Nad jej szczytem dostrzegł

klapę. Zamki były otwarte. Nacisnął ją dłonią, głową i ramieniem. W końcu poddała się i uchyliła. Moment później był już na dachu.

I zaraz poczuł dotyk czegoś zimnego i twardego na karku. Zamarł ze stopą na ostatnim szczeblu drabiny.

– Witam.

– Ja również – odparł Zeke, nie odwracając głowy.

Starał się mówić niskim, chrapliwym głosem, ale był za bardzo wystraszony, więc zabrzmiało to bardziej piskliwie, niż sądził. Przed sobą nie widział nic prócz pustego dachu. W każdym razie w ograniczonym polu widzenia wizjera. Przypuszczał więc, że prócz niego jest tu tylko właściciel tego niezwykle zimnego rewolweru.

Odstawił lampę z najwyższą precyzją i ostrożnością, na jaką było go stać.

– Co ty tu robisz, chłopcze?

– To samo co pan – odparł. – Myszkuje.

– A co takiego ja robię twoim zdaniem? – zapytał przesłuchujący.

– Coś, na czym nie chce być pan przyłapany. Proszę mnie puścić. Nie mam pieniędzy ani niczego cennego. – Zeke wyjął powoli nogę z otworu.

Teraz, gdy trzymał ręce w górze, trudniej mu było zachować równowagę.

Zimny twardy przedmiot nawet na moment nie oderwał się od jego odsłoniętej skóry u podstawy czaszki.

– Nie masz pieniędzy, powiadasz?

– Ani centa. Czy mogę się odwrócić? Czuję się głupio, rozmawiając w ten sposób. Przecież może mnie pan równie łatwo zastrzelić, kiedy będziemy stali twarzą w twarz. Nie jestem uzbrojony. Proszę mnie wypuścić. Ja nic do pana nie mam.

– Pozwól mi zajrzeć do swojej torby.

– Nie – zaparł się Zeke.

Wzmógł się nacisk na jego kark.

– Tak.

– To tylko papiery. Mapy. Nic cennego. Ale pokażę panu coś fajnego, jeśli mnie pan wypuści.

– Coś fajnego?

– Proszę spojrzeć. – Zeke spróbował się lekko obrócić, lecz nie za bardzo mu to wyszło. – Proszę – powtórzył, próbując zyskać na czasie. –

Jestem pokojowo usposobionym człowiekiem – stwierdził górnolotnie. –

Wyznaję pokój Maynarda i nie chcę nikomu sprawiać kłopotów.

– Widzę, że wiesz co nieco o Maynardzie.

– Nawet sporo – wymamrotał chłopak. – Maynard był moim dziadkiem.

– Daj spokój – odezwał się człowiek za jego plecami. Zabrzmiało to raczej na zdziwienie niż niedowierzanie. – Nie jesteś jego wnukiem.

Wiedziałbym o tym, gdyby dorobił się jakiegoś.

– Nie kłamie. Mogę to udowodnić. Moja mama to...

– Wdowa Blue? – przerwał mu przesłuchujący. – Faktycznie, zaczyna mi coś świtać, że miała potem syna – dodał i zamilkł.

– Tak. Miała mnie.

Zeke poczuł, że zimny krąg znika z jego karku, postanowił więc wykorzystać tę szansę i zrobił krok do przodu, nadal trzymając ręce w górze.

Odwrócił się powoli i aż sapnął z niedowierzania.

– Zamierzał pan zastrzelić mnie z butelki?

– Nie – odparł mężczyzna, wzruszając ramionami. Na flaszcze pozostały resztki czarno-białej nalepki.

– W życiu nie słyszałem o kimś, kto by potrafił

strzelać z butelek. Po prostu chciałem się upewnić.

– Co do czego?

– Że zrozumiesz – odparł zwięźle, opadając ciężko na obmurowanie dachu, co wskazywało, że tam właśnie siedział, kiedy Zeke mu przeszkodził, otwierając klapę.

Człowiek ten miał na twarzy maskę, co w tej okolicy było koniecznością, a na grzbiecie gruby sweter zrobiony na drutach i dwa płaszcze – ten na wierzchu był albo ciemnogranatowy, albo czarny. Z przodu ciągnął się szereg wielkich guzików, a poniżej Zeke ujrzał parę zbyt dużych spodni. Na nogach mężczyzna miał buty nie do pary. Jeden duży i brązowy, drugi krótszy i czarny. Przed nim leżała dziwnie wyglądająca laska. Podniósł

ją, obrócił i ułożył na kolanach.

– Co z tobą, człowieku? – zapytał Zeke. – Dlaczego mnie tak nastraszyłeś?

– Dlatego, że tu przyłazłeś – odparł mężczyzna tonem nie sugerującym chęci do żartów. – A właściwie czego tu?

– Czego tu co?

– Czego tu szukasz? Po coś tu przyłazł? To nie miejsce dla dziecka, nawet dla potomka Maynarda. Cholera, możesz tu sobie napytać o wiele większych kłopotów, jeśli będziesz rozgadywał na prawo i lewo, kim jesteś, bez względu na to, czy mówisz prawdę czy kłamiesz. Ale szczęściarz z ciebie

– powiedział mężczyzna.

– Szczęściarz? Po czym pan poznał?

– Choćby po tym, że trafiłeś na mnie, a nie na kogoś innego.

– I gdzie tu niby to szczęście? – zapytał Zeke.

– Choćby w tym, że nie dziabnąłem cię czymś, co by naprawdę zabolało – stwierdził człowiek w

masce, machając od niechcenia trzymaną w dłoni butelką.

Chłopak nie widział przy nim niczego, czym można by zrobić komuś krzywdę, ale postanowił nie wspominać o tym. Podniósł lampę, poprawił

torbę i spojrzał na mężczyznę spode łba.

– A pan powinien się cieszyć, że nie wyjąłem pistoletu.

– Masz pistolet?

– Tak, mam – przyznał Zeke zadziornie, prostując plecy.

– A gdzie?

Chłopak wskazał na torbę.

– Jesteś jednak głupkiem – mruknął człowiek w przydużych rzeczach, a potem uniósł butelkę do ust. Szkło uderzyło z głośnym brzęknięciem o maskę przeciwgazową. Spojrzał ze smutkiem w oczach na flaszkę i zakręcił nią, poruszając resztką płynu.

– Ja jestem głupkiem? Przyganiał kocioł garnkowi, jak zwykła mawiać moja mama, panie obszarpaniec.

Mężczyzna obrzucił go takim spojrzeniem, jakby miał zamiar powiedzieć coś nieprzyzwoitego na temat jego matki, ale zmilczał.

– Chyba nie dosłyszałem twojego imienia, chłopcze – burknął po chwili.

– Bo się nie przedstawiłem.

– Zatem zrób to teraz. – W wypowiedzianych kategoriycznym tonem słowach krył się cień groźby. Nie spodobało się to chłopcu.

– Nie. Pan pierwszy mi się przedstawi, a ja się zastanowię, czy zdradzić swoje imię. Nie znam pana i nie mam pojęcia, co pan tutaj robi. No i... –

zaczął grzebać w torbie, by w końcu wydobyć z niej stary rewolwer dziadka.

Trwało to nie mniej niż dwadzieścia sekund, lecz mężczyzna siedzący na skraju dachu nawet nie drgnął, choć miał na to czas. – No i mam broń.

– Ano masz – mruknął napotkany, z jego tonu jednak nie wynikało, by przejął się pokazem siły. – I w końcu wzięłeś ją do ręki. Nic masz jakiegoś pasa do niej, no wiesz, kabury?

– Nie potrzebuję.

– Jasne – mruknął mężczyzna. – A teraz mów, jak się nazywasz?

– Jestem Ezekiel. Ezekiel Wilkes. Albo Zeke. A pan? – zapytał

chłopak.

Jego rozmówca uśmiechnął się pod maską, zapewne dlatego, że udało mu się zmusić go do wyjawienia imienia, zanim sam podał swoje. Ezekiel zauważył to, ponieważ spoglądał mu prosto w oczy, które zwięziły się w charakterystyczny sposób.

– Ezekiel. Wilkes. Nie dziwię ci się, chłopcze, że odpuściłeś sobie kolor. – Widząc, że chłopak zbiera się do protestu, dodał szybko: – Nazywam się Alistair Chaos Osterude, ale możesz mnie nazywać jak wszyscy Rudi, jeśli masz ochotę.

– Masz na drugie imię Chaos?

– Skoro tak mówię, to mam. A teraz, mój drogi Ezekielu Wilkesie, racz mi wyjaśnić, co tutaj robisz, u licha? Nie powinieneś być teraz w szkole, pracy czy gdzie tam chadzacie? A jeszcze lepiej: czy twoja mama wie, gdzie polazłeś? Słyszałem, że z niej twarda sztuka. Idę o zakład, że wkurzy się niepomernie, kiedy zauważy twoje zniknięcie.

– Mama jest w pracy. Będzie w domu dopiero za kilka godzin, a ja zdążę do tego czasu wrócić. Jak to mówią, czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ale po co ja marnuję czas na gadki z tobą? Proszę o wybaczenie, muszę już zniknąć.

Wsunął rewolwer na powrót do torby i odwrócił się plecami do Rudiego. Oddychał z trudem przez filtry maski, starając się zorientować, gdzie trafił i jak dalej iść.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Osterude, nie ruszając się z miejsca.

– Nie twój interes.

– Nie mój, racja. Gdybyś mi jednak powiedział, mógłbym wskazać ci drogę.

Zeke podszedł do krawędzi dachu i spojrział w dół, lecz niewiele zobaczył przez gęste lepkie opary. Machanie lampą nie pomogło, jak okiem sięgnąć wszędzie widniała taka sama połyskująca żółto mgła.

– Mógłbyś mi powiedzieć, jak się dostać na Denny Hill – poprosił.

– Mógłbym, a jakże – odparł Rudi i zaraz zapytał: – A dokładnie w które miejsce na wzgórzu? To całkiem spory teren. A, rozumiem, chcesz się dostać do domu.

– To nie mój dom – zaprotestował Zeke bez namysłu. – Nigdy w nim nie byłem. Nigdy go nie widziałem.

– A ja i owszem – stwierdził Chaos. – To była całkiem miła buda.



– Była? Już jej nie ma?

– Nic mi o tym nie wiadomo – zaprzeczył Rudi, kręcąc głową. – Z tego co wiem, nadal tam stoi. Tyle że już nie jest tak przytulny jak kiedyś. Nic a nic. Zguba zeżarła całą farbę i mocowania. Wszystko ma tam teraz barwę żółtobrazową.

– Ale wiesz, gdzie to jest?

– Mniej więcej. – Rudi zdjął nogę z nogi, wstał i ruszył przed siebie chybottliwym krokiem, opierając się na lasce. – Mogę cię tam bez trudu zaprowadzić, jeśli naprawdę chcesz.

– Tak, chcę tam pójść – przyznał chłopak. – A czego chcesz w zamian za pomoc?

Rudi zastanowił się nad odpowiedzią, a może tylko czekał, aż coś wpadnie mu do głowy.

– Chcę się rozejrzeć po tym domu – odparł w końcu. – Twój ojczulek był bogatym człowiekiem, ale nie jestem pewien, czy jego chatę już obrobiono.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– To co powiedziałem – prychnął Chaos. – Te domy i fabryczki nie mają już właścicieli, a w każdym razie nikt się nimi nie przejmuje. Połowa ludzi, którzy kiedyś tu mieszkali, już nie żyje. A ci, którzy zostali, tacy jak ja... – szukał słowa, które nie zabrzmiałyby zbyt brzydko i jednocześnie nie miałyoby się z prawdą. – My je oczyszczamy. Znaczą ratujemy porzucone mienie. Nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

Coś nie pasowało w logice tego wywodu, lecz Zeke nie potrafił

powiedzieć co. Rudi chciał się targować, on zaś nie miał mu nic do zaoferowania. Z drugiej jednak strony, jeśli ten staruch nie oszukiwał, sprawa wydawała się czysta i prosta.

– Niech będzie – odparł Zeke. – Jeśli zaprowadzisz mnie do tego domu, pozwolę ci zabrać z niego, co zechcesz.

– Dziękuję za pozwolenie, paniczku Wilkes – prychnął Rudi. – To bardzo uprzejme z pana strony.

Zeke dobrze wiedział, kiedy ktoś się z niego nabija, ale nic sobie z tego nie robił.

– Tak sądzisz? Coś mi się wydaje, że chyba nie będę potrzebował

takiego zgryźliwego przewodnika. Jak już wspominałem, mam mapy miasta, sam mogę poszukać drogi.

– No i masz pistolet, tak. Zdaje się, że wspominałeś coś o nim. Dzięki niemu jesteś twardzielem gotowym na spotkanie Zguby, zgnilasów i takich wyrzutków jak ja. Rzekłbym, że mógłbyś ruszać choćby zaraz. – Usiadł na obmurowaniu dachu, jakby się nagle rozmyślił.

– Pewnie, że sam mogę znaleźć drogę – odparł buńczucznie Zeke, głośniejszy, niż powinien.

– Nie drzyj się tak, chłopcze – uciszył go Rudi, machając ostrzegawczo dłonią. – Dla twojego i mojego dobra, powiadam. Możesz tutaj trafić na kogoś znacznie gorszego niż ja, wierz mi, wolałbyś nie wiedzieć, o czym mówię. Daję słowo.

## ROZDZIAŁ 6

Istniały dwie drogi, którymi można się było dostać za mur otaczający dawne centrum Seattle. Kto chciał pokonać tę przeszkodę, mógł to zrobić, przechodząc nad lub pod nią. Jeśli wierzyć zeznaniom Rectora, Zeke wybrał

drogę dołem.

Chłopak nie wiedział, co dokładnie Zeke zabrał ze sobą, wyruszając na tę eskapadę, ale był pewien, że miał przy sobie jedzenie, amunicję i rewolwer dziadka zabrany z nocnej szafki przy łóżku, w której przeleżał ostatnie szesnaście lat. Wziął także kilka drobiazgów należących do Maynarda na wymianę. Jego spinki, kieszonkowy zegarek i muszkę. Rector pomógł mu, organizując znoszoną maskę przeciwgazową.

Zanim Briar wyrzucono z budynku sierocińca, Rector zdążył jej jeszcze powiedzieć o jednej ważnej rzeczy.

– Proszę mnie posłuchać, mogę się założyć o całego dolara, że on wróci maksymalnie za dziesięć godzin. Musi to zrobić. Maskę będzie działała tylko przez taki czas. Maksymalnie. Pani syn wie doskonale, że jeśli nie znajdzie tam żadnego schronienia, ma natychmiast zawrócić. Proszę po prostu na niego czekać. Jeśli nie pojawi się do rana, wtedy może pani zacząć się martwić. Ale jestem pewien, że on tam nie zginie, co to, to nie.

Gdy oddalała się od zabudowań sierocińca, brnąc w strugach rzęsistego deszczu, miała ochotę głośno wrzasnąć, lecz zdawała sobie sprawę, że potrzebuje całej energii, jaką posiada, by dotrzeć spokojnie do domu.

Poczucie niepewności i wściekłości wyczerpało ją do cna, wciąż też wmawiała sobie, że Zeke doskonale się przygotował do wyprawy.

Nie wspiał się na mur, by zejść z drugiej strony prosto do centrum miasta wypełnionego hordami wygłodniałych zgnilasów i band pospolitych przestępców. Zabezpieczył się dobrze. Zabrał ze sobą wystarczająco dużo zapasów. Istniały więc spore szanse na to, że wyjdzie z tego cało. Dziesięć godzin w masce, a gdy nie znajdzie w tym czasie schronienia, zrezygnuje i wróci za mur. Nie jest głupcem, więc nie zostanie w martwym mieście. A skoro znalazł wejście, zdoła się też stamtąd wydostać.

Kanał, którym przeszedł pod murem, miał wylot w kanałach burzowych na brzegu oceanu, który zwały głazów chroniły przez przyptykami. Briar nigdy wcześniej nie pomyślała, że stare kanały mogą być nadal drożne i prowadzić do odgradzonej części miasta. Były częścią większego systemu,

który został zniszczony i zamknięty już po katastrofie na wszelki wypadek. Rector twierdził jednak, że społeczność zamieszkująca centrum oczyściła kilka z nich z gruzu narzuconego przez Kościotrzepa, co umożliwiało łatwiejsze otwieranie niektórych zapór.

Dziesięć godzin upłynie o dziewiątej. Mniej więcej.

Briar postanowiła poczekać do tej godziny. Powrót do domu na pewno by jej nie uspokoił, mógł ją co najwyżej jeszcze bardziej przybić i rozdrażnić, a podążenie za synem w tym momencie także nie wydawało się sensownym pomysłem. Gdyby wyruszyła teraz, ryzykowałyby, że wchodząc za mur, minie się z nim gdzieś po drodze. Tym sposobem nie miałyby szans na odnalezienie go. Nie wiedziałyby też, co się z nim stało.

Nie, Rector miał rację. Mogła jedynie czekać. Zresztą wcale nie tak długo. To tylko kilka godzin.

Dość czasu, by dostać się na brzeg zatoki i ominąć sięgające pasa zamulone zbiorniki, przechodząc po głazach i ostrych klifach, które kryły wyloty kanałów odpływowych biegnących z osiedli na Przedmieściach.

Noc była ciemna i mokra, lecz Briar wciąż miała na sobie ubranie robocze, w tym ciężkie buty, które doskonale chroniły stopy, były zaś na tyle elastyczne, że pozwalały wyczuwać pod podeszwami kamienie. W sam raz na przeprawę przez głazy. Odpływ zaczął się już dawno – dzięki ci, Boże, choć za to – ale silny wiatr nadal niósł sporo słonej zawiesiny znad oceanu.

Przemokła do suchej nitki, nim udało jej się pokonać ostatnią pofalowaną łączę z piachu oraz kamieni i ujrzała oblepione wodorostami mechanizmy, które niegdyś opuszczały i podnosiły rury znikające pod powierzchnią wody.

To tutaj się znajdował częściowo zasypyany gruzem i szczątkami drewna murowany cylinder prowadzący prosto pod ulice dawnego miasta.

Po wielu latach kontaktu ze słoną wodą i żrącymi ulewami, po przetrwaniu niezliczonych burz, taranowany nieustającym przybojem wylot tunelu wyglądał, jakby miał się zawalić, gdy tylko Briar go dotknie albo postawi w nim stopę. Niemniej gdy się zbliżyła i przyłożyła obie dłonie do ściany, a potem pchnęła z całych sił, mur nawet nie drgnął.

Przeszła, kucając pod uchyloną klapą, i pozwoliła się prowadzić ognikowi płonącemu w lampie. Miała w niej nafty na wiele godzin, nie musiała się też kłopotać takimi niedogodnościami jak utonięcie w spuszczonej kanałami burzowymi deszczówce. Jednak tutaj, w klaustrofobicznym smolistym wnętrzu ceglanego kanału, światelko lampy wydawało jej się rachityczne i takie wątłe. Sfera światła rozciągała się zaledwie na przestrzeni kilku stóp.

Briar wytężyła słuch do granic możliwości, ale do jej uszu docierał

jedynie chlupot wody spływającej dnem, wycie wiatru i kapanie deszczu, który wdzierał się do wnętrza przez otwory w zmurszałym sklepieniu.

Tak blisko centrum nie była od narodzin Ezekiela.

Jak daleko znajdowała się teraz od tego miejsca? Co najwyżej pół mili, aczkolwiek w takich ciemnościach i warunkach doczołganie się do celu pod górkę z pewnością zajęłoby znacznie więcej czasu niż przejście tego odcinka po powierzchni. Briar wyobraziła sobie syna idącego z lampą w jednej ręce i z rewolwerem w drugiej. Ciekawe, czy wolał go trzymać w dłoni czy raczej za paskiem?

Czy on w ogóle wie, jak go użyć, gdyby zaszła taka konieczność?

Wątpiła w to. Może zatem wziął go na wymianę? To by było nawet niegłupie, pomyślała. Jeśli jego dziadek jest dla tamtych ludzi bohaterem, to niewielkie przedmioty codziennego użytku i rzeczy osobiste powinny mieć dla nich sporą wartość i można za nie kupić cenne informacje.

Szła w głąb tunelu, dopóki nie znalazła kępy w miarę suchego mchu.

Wymacała palcami niewielkie wgłębienie w ścianie i postawiła w nim lampę, sprawdzając kilkakrotnie, czy jest wystarczająco stabilna. Oparła się potem plecami o kamienie i czekała, starając się ignorować ziąb i wilgoć, która po zaoblonych ścianach ściekała jej za kołnierz. Chwilę później zapadła w niespokojną drzemkę, mimo że była przerażona do granic, wściekła, zmarznięta i chora z niepokoju.

I ocknęła się.

Boleśnie.

Głowa omsknęła jej się w tył, trafiając na wystającą z rumowiska cegłę.

Była oszołomiona i skołowana. Nie pamiętała momentu zaśnięcia, więc dość gwałtowne przebudzenie spowodowało wielokrotnie większy szok.

Potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, gdzie jest i co tutaj robi. I jeszcze jednej, by zauważyć, że wszystko wokół drży i dygocze. Kolejne poluzowane cegły posypały się ze sklepienia, o mały włos nie rozbiły lampy.

Briar chwyciła ją i zakryła własnym ciałem, zanim kolejne odpryski spadły na miejsce, gdzie przed chwilą stało jedyne źródło światła. Łoskot spadających fragmentów obmurowania był ogłuszający. Zdawać się mogło, że w tym wąskim kanale wybuchła regularna wojna.

– Nie, nie, nie – jęczała, usiłując uciec. – Nie teraz. Nie teraz, Boże drogi, nie teraz.

Trzęsienia ziemi były w tej okolicy dość częste, ale naprawdę groźne zdarzały się na szczęście raz na wiele lat. Trudno było jednak ocenić siłę wstrząsu, siedząc w wąskim gardle starego kanału odpływowego.

Briar wypadła z tunelu prosto w mrok nocy. Zdziwiła się też niepomnie, widząc, jak blisko dotarła przybierająca woda w czasie jej pobytu w kanale. Nie miała przy sobie zegarka, lecz wszystko wskazywało na to, że przespała co najmniej kilka godzin i dawno minęła już północ.

– Zeke! – zawołała z nadzieją, że jej syn jest teraz gdzieś w kanałach i szuka drogi wyjścia. – Zeke! – starała się przekrzyknąć ryk kataklizmu wstrząsającego obmywaną falami ziemią.

Nikt nie odpowiedział na to wołanie, słyszała jedynie ryk bałwanów rozbijających się o kamienisty brzeg. Wylot kanału zadrżał. Briar nie mogła uwierzyć, że ta potężna konstrukcja może się poruszać z taką łatwością, jakby była dziecięcą zabawką. Widziała jednak na własne oczy drgające mocno rury i równie starą maszynię, której zadaniem była niegdyś stabilizacja wylotu.

Nagle wszystkie elementy tej konstrukcji wygięły się, a potem runęły niczym domek z kart. W górę trysnęły kłęby pyłu zduszone natychmiast wszechobecną wilgocią.

Briar zamarła. Kompensowała lekko ugiętymi nogami drgania ziemi, trzymając się nadal prosto, wymyślając równocześnie tysiąc jeden powodów, dla których nie powinna spanikować.

Dzięki Bogu, że zdążyłam stamtąd wyjść, pomyślała. Przeżyła już kilka poważniejszych wstrząsów, więc wiedziała, jak straszne jest uczucie, gdy człowiek nie ma pewności, czy rozedrgane sklepienie nie zwali mu się zaraz na głowę.

– Zeke’ a nie było w kanałach – powtarzała sobie. – Gdyby tamtędy przechodził, musiałby mnie zauważyć. Nie było go w tunelu, kiedy się zawalił. Nie było go tam.

Ale to oznaczało, że nadal przebywa za murem, albo już martwy, albo bezpieczny.

Gdyby nie wierzyła w tę ostatnią opcję, z pewnością by wybuchnęła płaczem, a łzy na pewno by jej nie pomogły. Zeke pozostał w mieście, a trzęsienie ziemi odcięło mu drogę powrotu.

Teraz nie miała już powodu, by dalej czekać.

Teraz musiała wyruszyć mu na ratunek.

A skoro nie istniała już droga pod murem, Briar mogła go pokonać tylko górą.

Piaszczysta łącha wciąż się chwiała, choć już znacznie słabiej, ale zdesperowana kobieta nie zamierzała czekać, aż się zupełnie uspokoi.

Naciągnęła mocniej kapelusz, ścisnęła w dłoni rączkę lampy i zaczęła się wspinać na błotniste zbocze, nie bacząc na uderzające o siebie z trzaskiem głazy i trzęsące się wciąż na fundamentach paskudne domy Przedmieść.

Dwiema drogami można się dostać za mur, dołem i górą – tak powiedział Rector.

Dołem nie przejdzie. Musi to zrobić górą.

Może i byli ludzie, którzy potrafiliby się wspinać na tak wysoką ścianę, niemniej Briar z pewnością nie należała do nich. Gdyby zainstalowano na murze jakieś drabiny albo ukryte schody, Zeke skorzystałby z nich, zamiast się szwendać po mrocznych tunelach.

Przejście górą wymagało dostępu do jakiejś maszyny latającej.

Kupcy udający się w głąb kontynentu, jeśli tylko mogli, wracali nad górami. Nie da się ukryć, że przy tak silnych i nieprzewidywalnych prądach powietrznych ryzykowali nieustannie, a ogromne wysokości utrudniały im oddychanie, niemniej piesze wędrówki przez ośnieżone przełęcze były równie niebezpieczne, nie mówiąc już o tym, że trwały znacznie dłużej.

Jazda wozem była jeszcze trudniejsza, ponieważ trzeba było zadbać nie tylko o siebie, ale i o ciągnące go zwierzęta. Statki powietrzne nie były najdoskonalszym rozwiązaniem tego problemu, lecz wiciu przedsiębiorców uznawało je za najrozsądniejsze wyjście.

Tyle że nie o tej porze roku.

W lutym całe wybrzeże spowijały strugi lodowatych deszczy. Nad górami padał śnieg albo szalały burze, podczas których zeppelinami miotało jak liśćmi na wietrze.

Jedynymi statkami powietrznymi, które startowały o tej porze roku, były balony z kontrabandą. W chwili gdy dotarło to do Briar, zrozumiała coś jeszcze: żaden szanujący się obywatel nie skieruje tak wartościowej jednostki nad teren poza murami Seattle. Ryzyko zetknięcia ze żrącymi oparami Zguby było zbyt wielkie.

Ona jednak wiedziała coś jeszcze o tym toksycznym gazie.

Był cenny.

Chemicy potrzebowali go do wytwarzania soku cytrynowego. A jedynym jego źródłem było centrum miasta. Statki powietrzne latały nad zamkniętym centrum regularnie nawet w najgorszą pogodę. Te dwa fakty kołatały jej po głowie, dopóki nie połączyła ich w jedną jakże logiczną konkluzję, którą zamierzała wcielić w czyn.

Po głównym trzęsieniu ziemi pojawiły się wstrząsy wtórne, ale i one zaniknęły po chwili. Gdy tylko ziemia zamarła w bezruchu, Briar Wilkes pobiegła przed siebie.

Po drodze do domu mijała stosy ruin, płaczących i nawołujących się ludzi, którzy stali na środku brukowanej ulicy w przemoczonych koszulach nocnych. Tu i ówdzie widać było zarzewia pożarów konsumujących zawalone domy. W oddali słychać już było dzwony zwołujące ochotniczą straż pożarną, kolejne dzielnice budziły się z chaosu jedna po drugiej.

Nikt nie rozpoznał pędzącej przed siebie Briar, gdy z lampą w dłoni wspinała się po zboczu wzgórza, omijając miejsca, w których zawaliły się wielkie konstrukcje, blokując całkowicie drogę. Tam, na dole, przy plaży trzęsienie ziemi nie wydawało się zbyt potężne, ale ziemia potrafiła zachowywać się czasami bardzo dziwnie i nie wszędzie drżała z jednakową siłą. Te wstrząsy były niemal tak straszne jak...

*Dla niej były tak samo straszne jak wspomnienie Kościotrzepa przesuwającego się głęboko pod jej nogami, rozrywającego ściany piwnicy, kruszącego ziemię, miażdżącego kamienie i niszczącego wszystko, co napotkał na swojej drodze.*

I nie była jedyną, która tak myślała. Chyba każdy mieszkaniec Przedmieść odnosił podobne wrażenie, gdy ziemia zaczynała drżeć po raz kolejny.

Briar nie przejmowała się domem ojca; przetrwał nie takie kataklizmy.

Kiedy dotarła na miejsce, nie poczuła wielkiej ulgi, widząc, że nadal stoi i nic nie wskazuje na to, by został uszkodzony. Tylko widok czekającego na ganku Zeke'a mógł ją w tym momencie powstrzymać.

Otworzyła drzwi i wpadła do zimnego zaciemnionego wnętrza, które wciąż wydawało się tak kompletnie puste jak wtedy, gdy je opuszczała.

Jej dłoń zamarła na gałce drzwi prowadzących do sypialni ojca.

Wahała się przez moment, czy powinna złamać pielęgnowany od tylu lat zwyczaj.

Zacisnęła jednak palce i przekręciła ją mocno.

W środku panowały niezmacone ciemności, dopóki nie rozgoniła ich przyniesioną lampą. Ustawiła ją na szafce nocnej, zauważając przy okazji, że szuflada, z której Zeke zabrał wspomniany przez Rectora rewolwer, wciąż jest otwarta. Wiele by dała, aby wziął co innego. Ta broń była zabytkiem, kiedyś należała do teścia Maynarda. Ojciec nigdy z niego nie wystrzelił, prawdopodobnie nie dało się tego zrobić, ale o tym Zeke nie mógł przecież wiedzieć.

Znów poczuła wyrzuty sumienia, choćby dlatego, że mogła mu tak wiele wyjaśnić, powiedzieć. Coś. Cokolwiek.

Zrobi to, gdy przyprowadzi go do domu.

Gdy znajdą się tutaj znowu razem, opowie mu o wszystkim, co zechce wiedzieć. O każdej historii albo fakcie. Niech pozna całą prawdę, byle tylko przeżył tę eskapadę. Może i Briar była wyrodną matką, a może zrobiła dla niego wszystko, co mogła. Teraz, gdy Zeke błąkał się po zatrutym centrum ogrodzonego murem miasta, wśród nieumarłych ofiar Zguby łaknących świeżego mięsa i band rzezimieszków gnieźdzących się po zniszczonych domach i piwnicach, nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Niemniej musiała iść tam za nim, aby odpokutować za wszystkie pomyłki, przemilczenia, zapomnienia i kłamstwa, jakimi go przez te lata karmiła.

Położyła dłonie na gałkach drzwi wielkiej szafy Maynarda i otworzyła ją na oścież. Cofnęła się o krok, robiąc marsową minę. Fałszywe dno uniosło się, gdy wsunęła kciuk w odpowiedni otwór.

Poczuła w żołądku lodowaty ciężar.

Wszystko leżało na swoim miejscu, tak jak pamiętała.

Chciała pochować te rzeczy razem z ciałem Maynarda. Wtedy nie wyobrażała sobie, że mogłaby ich

kiedykolwiek potrzebować. Ale stróże prawa przyszli i wykopali jego ciało. A gdy je zwrócili, było całkiem nagie.

Zdjęli z niego wszystkie ubrania, które z takim mozolem wcześniej nałożyła.

Pół roku później Briar znalazła je na progu domu, starannie złożone i upchnięte do sporej torby. Nigdy się nie dowiedziała, kto je zwrócił i dlaczego to zrobił. Uznała, że Maynard zbyt długo spoczywał w ziemi, by go ponownie niepokoić. I tym sposobem rzeczy, których używał na co dzień, trafiły do ukrytej szuflady pod dnem szafy.

Wyjmowała je teraz jedną po drugiej i układała na łóżku.

Karabin, odznakę, twardy skórzany kapelusz, pas z wielką owalną sprzączką i kaburę pod pachę. Ciężki płaszcz wisiał jak duch w czeluści czworonożnej szafy. Ściągnęła go z haczyka i wystawiła na światło. Czarny jak noc za tymi ścianami, gruby wełniany trencz został natarty tłuszczem, dzięki czemu stał się nieprzemakalny. Jego mosiężne guziki zmatowiały, ale wciąż mocno się trzymały. W jednej z kieszeni Briar znalazła gogle, których nigdy wcześniej u ojca nie widziała. Zdjęła swój przemoczony płaszcz i zamieniła go na okrycie Maynarda.

Kapelusz był nieco za duży, miała za to o wiele więcej włosów na głowie niż Maynard, co skompensowało różnicę. Pas ze sprzączką, na której wyryto litery MW, okazał się za długi, lecz nie przejęła się tym, tylko przewlekła go przez szlufki swoich spodni. Po zapięciu owalny kawał

ciężkiego metalu zwisał jej nisko na brzuchu.

Z tyłu szafy stał płaski brązowy kufer pełen amunicji, szmat i oliwy.

Briar nigdy wcześniej nie czyściła powtarzalnego spencera ojca, ale tysiące razy widziała, jak to robił, więc znała na pamięć każdy ruch. Przysiadła na skraju jego łóżka i powtórzyła każdą zapamiętaną czynność. Gdy zalsnił w końcu w słabym blasku skręconej lampy, wyjęła woreczek z gotowymi nabojami i włożyła je do magazynka.

Na dnie kuferka znalazła pudełko pełne zapasowej amunicji. Chociaż pokrywała je gruba warstwa kurzu, poukładane w nim naboje, mimo wieloletniego leżakowania, wyglądały jak nowe. Zapakowała je do sakwy, którą wypatrzyła pod łóżkiem. Dorzuciła do nich też gogle ojca, swoją maskę przeciwgazową jeszcze z czasów ewakuacji, kapciuch z tytoniem i całą zawartość słoja po kawie, który przezornie ukryła za piecykiem. Było tam ze dwadzieścia dolarów. Nie miałyby tak wielkiej sumy, gdyby nie to, że otrzymała właśnie kolejną wypłatę.

Nie przeliczyła banknotów. I tak wiedziała, że za tyle nie zajechałaby zbyt daleko. Niemniej powinno to wystarczyć na pokonanie muru. A jeśli się okaże, że kwota jest za mała, pomyśli nad innym rozwiązaniem.

Zauważyła pomiędzy grubymi zasłonami w oknie sypialni ojca, że niebo zaczyna się już różowić na horyzoncie – co oznaczało, że spóźniłaby się do pracy, gdyby oczywiście miała zamiar iść do oczyszczalni. Od dziesięciu lat nie miała jednego dnia wolnego, ale nie dbała o to, czy darują jej tę



nieobecność czyją wyleją.

Za nic nie pójdzie tam dzisiaj.

Musiała zdążyć na prom płynący na wyspę Bainbridge, tam gdzie stacjonowały i tankowały paliwo statki powietrzne lokalnych biznesmenów.

Jeśli przemytnicy nie korzystali z tego samego portu, z pewnością znajdzie tam kogoś, kto wskaże jej drogę do miejsca, skąd przerzucają kontrabandę.

Wcisnęła strzelbę do skórzanego futerału i przewiesiła go sobie przez plecy, potem podniosła sakwę i zamknęła drzwi do szafy. Moment później zostawiła za sobą mroczny pusty dom.

## **ROZDZIAŁ 7**

Zanim Briar dotarła do promu, zrobiło się całkiem jasno. Niebo pokrywała warstwa szarej jak pleśń zawiesiny, ale w świetle słońca prześwitującego tu i ówdzie przez chmury widziała wyraźnie zarysy zalesionej wyspy za pasmem wody.

Tu i ówdzie spomiędzy drzew sterczały kopulaste kształty. Nawet z tak dużej odległości mogła zobaczyć ogromne statki powietrzne czekające na załogi i ładunek.

Prom zaskrzypiał i zanurzył się głębiej, gdy wchodziła na jego pokład.

O tak wczesnej porze znajdowało się na nim tylko kilku podróżnych, ona była jedyną kobietą. Wietrzyko znaczyło pianą fale i szarpało rondem jej kapelusza, dlatego ściągnęła go niżej, prawie na oczy. Jeśli ktoś ją rozpoznał, nie okazał tego w żaden sposób. Może dlatego, że widział karabin albo zniechęcała go do tego zadziorna postawa. Briar opierała się obiema dłońmi o poręcz, stojąc na szeroko rozstawionych nogach.

A może po prostu wszyscy mieli ją gdzieś.

Większość pasażerów promu stanowili marynarze rozmaitego sortu.

Mieszkańcy wyspy pracowali albo przy obsłudze statków powietrznych, albo na pirsie przy łodziach. Towar dostarczany drogą powietrzną musiał jakoś trafić do miasta, na przeciwległy brzeg.

Nigdy wcześniej nie zadawała sobie pytania, dlaczego nie umieszczono hangarów bliżej Przedmieść, dopiero w tej chwili zaczęła rozważać tę kwestię i doszła do pewnych konkluzji. Krótko mówiąc, do wniosku, że ci ludzie wolą trzymać swoje interesy z dala od ciekawskich oczu, zapewne z podejrzanych powodów. A wiadomo, im bardziej podejrzana działalność, tym większej potrzebuje anonimowości.

Po godzinie podskakiwania na krótkiej fali trzeszczący przeraźliwie, pomalowany na biało prom przycumował do przystani na przeciwległym brzegu.

Stanowiska załadunkowe ciągnęły się na sporej długości nabrzeża jedno obok drugiego,

pooddzielane drewnianymi pomostami opancerzonymi przy linii wody grubą połyskliwą warstwą skorupiaków. Przed nimi znajdował się spory plac, za którym widniały grube stalowe rury wynurzające się z ziemi i znów znikające pod nią. Przymocowano do nich z tuzin statków powietrznych w rozmaitym stadium remontu. Przymocowano je masywnymi, wielkimi jak beczki szczypcami z brązu.

Latające maszyny różniły się od siebie, i to bardzo. Niektóre były małe, jak choćby zwykłe balony na ciepłe powietrze, z nieodłącznymi gondolami tkwiącymi tuż pod ich obłymi brzuchami. Inne robiły znacznie większe wrażenie, ich kadłuby przypominały niektóre statki pływające po morzu, tyle że podwieszono je pod ogromnymi zbiornikami wodoru i napędzano śmigłami.

Briar nigdy wcześniej nie była na Bainbridge. Nie mając pewności, od czego powinna zacząć, stanęła na samym środku lądowiska, po którym dopiero zaczęli się krzątać pierwsi kupcy. Obserwowała załogi zgłaszające się do pracy, ludzi przenoszących ładunki na wozy, a potem z nich na pokłady łodzi.

Nie był to łatwy proces, ale przywożone drogą powietrzną towary udawało im się przenosić z niezwykłą płynnością.

Po pewnym czasie jeden z mniejszych statków powietrznych przechylił

się nagle i dwaj członkowie jego załogi ześlizgnęli się zwinnie po linach, by odczepić trzymające go w doku kotwy. Gdy szczęki się rozwarły, marynarze wrócili tą samą drogą do sporej gondoli. Z niej wciągnęli zaczepy i zamocowali je na uchwytach.

Obok Briar przystanął starszy mężczyzna w kapitańskiej czapce, by przypalić fajkę.

– Bardzo pana przepraszam – zagaiła – który z tych statków przeleci najbliżej muru Seattle?

Spojrzał krzywo znad fajki, mierząc ją wzrokiem, zaciągnął się i odpowiedział:

– Jest pani po niewłaściwej stronie wyspy.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że powinna pani pójść tamtą drogą. – Wskazał fajką błotnisty szlak, który znikał między drzewami.

– Do samego końca. Tam znajdzie pani kogoś, kto będzie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Zawahała się, kładąc dłoń na sakwie, ponieważ czuła przemożną potrzebę, by coś wziąć do ręki. Kolejny statek powietrzny oderwał się od rurowego doku, robiąc miejsce dla nowo przybyłej jednostki. Na jego burcie dostrzegła wymalowane litery. Z tego co pamiętała, była to nazwa firmy, nie samego statku.

– Proszę pani? – zawołał kapitan.

Briar odwróciła się do niego i zauważyła zdziwienie, z jakim spoglądał

na jej pasek.

– To wcale nie taka wielka wyspa – dodał. – Dotarcie do...

alternatywnego lądowiska nie zajmie pani wiele czasu, jeśli jego pani szuka.

Podziękowała mu i spojrzała na błotnistą niby-drogę.

– Był pan bardzo uprzejmy – stwierdziła.

– Raczej zrobiłem, co mogłem, by nie kłamać – odparł.

Ktoś opodal wykrzyknął nazwisko. Mężczyzna w kapitańskiej czapce uniósł rękę i skinął głową. Briar raz jeszcze przyjrzała się wskazanej jej drodze. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że nikogo na niej nie widziała.

Nie miała pojęcia, czy powinna iść dalej z pełną nonszalancją, czy raczej zakraść się tam skrycie, dlatego zastosowała metodę godzącą oba te style i wycofała się spokojnie w kierunku niewielkiego wzgórza, z którego zeszła w koleiny porośniętego trawą przetartego szlaku.

Między nimi błoto było suchsze. Ostrożnie próbując grunt, przeszła na drugą stronę szlaku, a potem między drzewa, zostawiając za sobą lądowisko.

Nigdy nie czuła się dobrze w lesie. Była dzieckiem miasta, tam się urodziła i wychowała, a między rozłożystymi pniami pokrytymi grubą chropawą korą czuła się taka malutka, że natychmiast oblatywał ją strach, iż zaraz jak w bajkach wypadnie zza nich jakiś wilk.

Szła wzdłuż szlaku, starając się nie utknąć na dobre w rozpaćkanym błocie. Za pierwszymi wzgórzami droga robiła się szersza i równiejsza, ale nadal Briar nie spotkała żywej duszy zmierzającej w tym samym albo przeciwnym kierunku.

– Może dlatego, że jest jeszcze wcześniej – mruknęła do siebie.

Im bardziej oddalała się od brzegu, tym drzewa robiły się wyższe, las gęstniał też z każdym krokiem. Właśnie dlatego nie zauważyła drugiego lądowiska, zanim dosłownie nie znalazła się pośrodku doków.

Zatrzymała się natychmiast i cofnęła na szlak tylko po to, by stwierdzić, że kończy się w tym właśnie miejscu. I że nie jest już sama.

Na skraju polany trzech masywni lotnicy palili fajki. Na jej widok wyjęli cybuchy z ust. Briar nie miała pojęcia, jak powinna się zachować w tej sytuacji, niemniej postanowiła, że nie da tego poznać po sobie. Najpierw obejrzała sobie zacumowane tu statki, potem przeniosła wzrok na gapiącą się w milczeniu trójkę.

Większość jednostek uwiązano do drzew, zupełnie jak konie. Pnie, na których owinięto liny, były wystarczająco grube i sztywne, by utrzymać tak wielki ciężar. Chwiały się i trzeszczały przy każdym

podmuchu wiatru, ale na razie żaden ze statków powietrznych nie zerwał się z cumy. Jednostki ukryte na polanie różniły się od tych, które Briar widziała przy przystani. Nie lśniły tak bardzo i nie miały tak bardzo jednolitej struktury. Wyglądały raczej na poskładane z niezbyt pasujących do siebie części pochodzących z większych i cięższych statków niż na wytwory porządnej manufaktury.

Jeden z mężczyzn palących fajkę na skraju polany przypominał Briar człowieka, z którym pracowała w oczyszczalni. Był bardzo blady i brudny, miał na sobie workowate ubranie i gruby fartuch, z którego kieszeni wystawały długie skórzane rękawice.

Stojący obok niego lotnik był Mulatem o długich włosach zaplecionych w warkoczyki i związanych z tyłu szeroką szarfą. Miał na sobie gruby marynarski golf z wywiniętym kołnierzem znikającym pod gęstą czarną brodą.

Ostatni z palaczy był najlepiej ubrany z całej trójki. Skórę miał czarną jak węgiel i błękitną marynarkę z błyszczącymi mosiężnymi guzikami. Kącik jego ust z prawym uchem łączyła długa różowa blizna, którą zszyto złotymi szwami. Połyskiwały w promieniach wschodzącego słońca, gdy wybuchnął

śmiechem na widok Briar.

Zaczął od gardłowego chichotu, a skończył trzęsącym brzuchem radosnym rżeniem, do którego po chwili dołączyli pozostali lotnicy.

– Witam – powiedział, gdy w końcu przestał się krztusić. Sądząc z akcentu, pochodził z gór, i to raczej z południa. – Zgubiła się pani?

Poczekwała, aż skończy się ten napad wesołości.

– Nie – odparła.

– Aha – skwitował czarnoskóry, unosząc znacząco brew. – Zatem przybywa pani do Canterfax-Mar w konkretnym celu, jak mniemam?

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatnim razem gościliśmy tutaj taką damę.

– Co chciał pan przez to powiedzieć? – zapytała.

Wzruszył ramionami, wydymając grube wargi.

– Tylko tyle, że ma pani do nas zupełnie inny interes niż większość pań. Zatem słucham, czego szuka pani na naszym skromnym lądowisku. Z

tego co widzę, ma pani bardzo konkretny cel.

– Muszę gdzieś polecieć. Szukam syna. Możecie mi w tym pomóc?

– To zależy, szanowna pani – odparł. Zostawił swoich kompanów i podszedł do niej.

Nie potrafiła powiedzieć, czy chciał ją postraszyć, czy tylko lepiej się jej przyjrzeć, ale musiała przyznać, że jak na swój wzrost wyglądał

przerazająco. Nie był wyższy od jej ojca, lecz miał naprawdę szerokie bary i ręce masywne jak kłocce drewna. Jego mięśnie wypychały szerokie rękawy błękitnej marynarki. Mówił niskim donośnym głosem, który brzmiał, jakby się dobywał z samego środka potężnej klatki piersiowej.

Briar się nie cofnęła ani nie spuściła wzroku. Nie poruszyła nawet palcem u nogi.

– Od czego zależy?

– Od wielu rzeczy. Muszę na ten przykład wiedzieć, dokąd życzy sobie pani polecieć i na jak długo.

– Musi pan?

– Rzecz jasna. Ten statek powietrzny należy do mnie. Widzi go pani?

Oto „Wolny Kruk”, tak go nazwałem. Po części jest kradziony, po części kupiony, a resztę sam zrobiłem... Ale lata jak należy.

– Całkiem niezły – stwierdziła Briar, ponieważ uznała, że powinna go pochwalić. Wskazana jednostka wyglądała bowiem imponująco. Miała na burcie znak, widziała jego część i prawie udało jej się go odczytać.

Kapitan skrócił jej męki.

– Są tam litery CSA, ponieważ to tam, w Stanach Konfederacji, mój ptaszek został stworzony. Na szczęście udało mi się go zdobyć i znaleźć mu lepsze zastosowanie. Dlatego dzisiaj, w czas wojny i przygody, mogę powiedzieć śmiało, że to skrót od Czas Zwiedzić Amerykę, ponieważ to właśnie robię.

– Na razie nie jesteśmy jeszcze w Ameryce.

– Myli się pani, cały ten kontynent to Ameryka. Wie pani, że nazwano go tak na cześć pewnego włoskiego kartografa? A tak na marginesie, ten zakątek mapy, w którym pani mieszka, będzie niedługo pięknym stanem. To nieuniknione – zapewnił ją. – Trochę cierpliwości, gdy wojna się skończy, przyjdą zmiany.

– O ile wojna się skończy – burknęła.

Przyglądał się jej uważnie z bliska, stojąc o krok i nie spuszczać wzroku z kapelusza, a potem z odznaki, którą przypięła z boku pasa. Z

wyraźnym podziwem stwierdził:

– Coś mi się nie wydaje, by pani reprezentowała ten rząd. W życiu nie słyszałem o kobiecie, która byłaby stróżem prawa, aczkolwiek ta blaszka wygląda niezwykle autentycznie – wskazał na odznakę.

– W dodatku wiem, czyją była własnością. Poznają te inicjały. – Tym razem jego paluch powędrował w kierunku sprzączki pasa ozdobionej wielkimi literami MW. –

Nie mam pojęcia, dlaczego stary Maynard pilnuje teraz dostępu do pani gaci, ale nosi pani jego znak, dlatego ja i moi szanowni przyjaciele możemy uznać, że nie przychodzi w złych zamiarach.

– Nie chcę kłopotów – zapewniła go. – Nie szukam ich i nie mam zamiaru sprawiać. Staram się odnaleźć syna, a ponieważ nikt po tamtej stronie nie kwapił się z pomocą, przyplłynęłam tutaj.

Czarnoskóry kapitan uścisnął jej dłoń.

– Może zatem dobijemy targu – powiedział. – Ale najpierw proszę powiedzieć, bo nie uczyniła pani tego dotąd: cóż to za miejsce, do którego można dolecieć tylko przy pomocy ludzi z tej strony wyspy?

– Seattle – odparła. – Muszę się dostać za mur, do miasta. Tam poszedł

mój syn.

– Pani syn już nie żyje – mruknął, kręcąc głową. – Albo stał się jednym z tych przeklętych.

– Wątpię. Dostał się do miasta i został tam uwięziony.

– Dostał się za mur, powiada pani? A niby jakim to sposobem? Nie widzieliśmy tu żadnego dzieciaka.

– Przeszedł systemem dawnych kanałów.

– W takim razie powinien wrócić tą samą drogą!

Briar przestała go słuchać. Cofnęła się o krok. Starła się opanować drżenie głosu, gdy mówiła:

– Nie może! Tej nocy było trzęsienie ziemi, musieliście je poczuć nawet tutaj. Stare kanały zawaliły się po nim i przejście zostało zamknięte.

Muszę się dostać za mur i uwolnić syna. Muszę to zrobić, rozumie pan?!

Uniósł ręce w górę i cofnął się także, ale znacznie dalej, prawie do czekających na skraju polany kolegów. Szeptali między sobą przez dłuższą chwilę, potem wrócił i znów stanął przed nią.

– Nie, nie rozumiem – odparł. – Przecież tam nie ma powietrza, którym można oddychać, o czym na pewno pani wie. Tam można znaleźć tylko śmierć.

– I ludzi – wtrąciła pospiesznie. – Tam nadal mieszkają i pracują ludzie.

– Mówi pani o sztywniakach? Owszem, wiemy o nich, tyle że oni przebywają tam od lat, więc mieli czas się nauczyć, jak unikać pożarcia albo zagazowania. Ile lat ma pani syn?

– Piętnaście. Ale jest sprytny i uparty.

– Każda matka mówi to samo o swoich pociechach – zbył ją. – A jak zamierza pani się wydostać z miasta, jeśli ją tam zabierzemy? Wespnie się pani na mur czy wykopie nowy tunel?

– Tego punktu planu jeszcze nie opracowałam – wyznała – ale na pewno coś wymyślę.

– Następna dostawa gazu będzie za niecały tydzień – odezwał się Mulat stojący za kapitanem, wyjmując z ust fajkę. – Jeśli przeżyje do tej pory, będzie mogła się ucześcić rzuconej liny.

– Zachęcasz ją do tej wyprawy? – zapytał czarnoskóry, obracając się na pięcie.

– Dlaczego nie? Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy podrzucić jej do miasta, skoro chce za to zapłacić.

– Choćby dlatego, że nie mamy dzisiaj sprzętu do odebrania gazu –

dopowiedział kapitan, patrząc prosto w oczy Briar, chociaż to nie ona zadała pytanie. – Dwie najlepsze sieci potargaliśmy ostatnim razem o wieżę i nadal nie zostały załatane. A poza tym do tej pory nie padło ani jedno słowo dotyczące zapłaty, stąd moje przypuszczenie, że nasz niespodziewany gość z pewnością nie jest nadzianą wdówką.

– Nie jestem – przyznała. – Ale mam trochę pieniędzy...

– Aby nakłonić nas do lotu nad miasto przed odebraniem sieci, potrzebowałyby pani nieco więcej niż trochę pieniędzy. Uwielbiam pomagać damom w opałach, ale biznes to biznes.

– Rozumiem... Czy znajdę tutaj kogoś innego, kto tam poleci?

– Znaczy się kogoś na tyle głupiego, by dał się na mówić na lot za mur? Sam nie wiem. – Wsunął ręce do kieszeni unijnej marynarki. – Nie sądzę.

– A Clay? – wtrącił znowu Mulat. – To pies na ładne kobietki i do tego gorący wyznawca pokoju Maynarda.

Briar nie miała pojęcia, czy drwią z niej, czy raczej jej schlebiają, po namyśle stwierdziła jednak, że lepiej się trzymać tej drugiej wersji.

– Clay? Któż to taki? Mogę z nim porozmawiać?

– Może pani. – Kapitan skłonił głowę. – Naprawdę życzę powodzenia w poszukiwaniach tego urwisa, ale ostrzegam, Seattle to piekielnie niebezpieczne miejsce. Nie dla kobiety, a tym bardziej nie dla dziecka.

– Proszę mnie zaprowadzić do tego Claya – oświadczyła lodowatym tonem. – Nie dbam o to, czy tam nie przeżyje nawet pies czy szczur. Muszę się znaleźć za murem, zanim słońce dzisiaj zajdzie, tak mi dopomóż Bóg... a nawet Maynard – dodała, przypominając sobie słowa Rectora.

– Jak sobie pani życzy. – Podał jej ramię, które przyjęła, mimo iż nie była pewna, czy powinna to zrobić. Postanowiła jednak, że dopóki inni będą wobec niej mili, ona zachowa się w podobny sposób. Nie miała pojęcia, ile pomocy może potrzebować ze strony tych przemytników, więc na wszelki wypadek robiła dobrą minę do złej gry, choć bała się ich przeraźliwie.

Przedramię kapitana było tak twarde, na jakie wyglądało pod rozciągniętym do granic możliwości rękawem marynarki. Briar z trudem powstrzymywała się od nerwowego przebierania palcami. Kapitan poklepał

ją uspokajająco po wierzchu dłoni.

– Póki nosi pani znak Maynarda – powiedział – i nie łamię jego pokoju, nikt pani tu nie robi krzywdy. Nie ma powodu do obaw.

– Wierzę panu – odparła, choć sama nie była pewna, czy to prawda. –

Niemniej moje zdenerwowanie nie wynika bynajmniej z powodu pańskiej bliskości.

– Martwi się pani o syna?

– Tak. Przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska, kapitanie...

– Hainey, Croggon Hainey – przedstawił się. – Po prostu kapitan albo kapitan Hainey, jeśli woli pani kurtuazję. Dla przyjaciół Crog.

– Może być kapitan. Dziękuję za okazaną mi pomoc.

Uśmiechnął się szeroko, szczerząc rzędy szokująco białych zębów.

– Proszę jeszcze nie dziękować. Na razie niczego nie zrobiłem, a mój przyjaciel i wspólnik może mieć kompletnie odmienne zdanie i odmówi pani pomocy.

Crog poprowadził ją środkiem polany pomiędzy trzeszczącymi cicho olbrzymami przycumowanymi do pobliskich drzew. Latające maszyny poruszały się tam i z powrotem w powietrzu, objijając się lekko o szczyty drzew, trąc dnami gondol o wiecznie zielone gałęzie i ptasie gniazda.

Najbliższa wyglądała dość marnie, jakby jej twórca nie do końca wiedział, co chce osiągnąć, mimo wszystko jednak sprawiała wrażenie solidnej konstrukcji. Do tego stopnia, że człowiek mógł mieć wątpliwości, czy zdoła się oderwać od ziemi. Podwieszono pod nią przypominającą kształtem kanu stalową gondolę wielkości solidnego domostwa i dwa zbiorniki na gaz na pewno nie mniejsze niż wozy transportowe. Połączono je z kadłubem nitami, gwoździami i śrubami, a całość zwisała nad polaną utrzymywana trzema długimi grubymi linami.

Z dna gondoli zwisała kołysząca się łagodnie drabinka sznurowa. Obok niej, w cieniu rzucanym przez ten przedziwny statek powietrzny, siedział

mężczyzna na składanym drewnianym krzeselku. W zgięciu łokcia trzymał



butelkę whiskey. Poruszała się ona rytmicznie z każdym jego oddechem i gdyby nie gogle na jego oczach, można by z góry założyć, że zasnął

kamiennym snem.

Crog zatrzymał się kilka jardów od pochrapująco cicho współnika i odezwał się teatralnym szeptem:

– Pani pozwoli, że przedstawię jej kapitana Andana Claya. A tam, nad jego wysoko sklepioną czaszką, może pani podziwiać jego przesławny statek

„Naamah Darling”. Proszę go obudzić, tylko delikatnie i w miarę możliwości zachowując bezpieczny dystans.

– Zaraz, zaraz, nie zamierza pan chyba...

– To pani prosi o przysługę, zatem ten zaszczyt pozostawiam pani.

Można mu dać kuksańca. Życzę powodzenia. Jeśli Clay nie wyrazi zgody, mogę pani zaproponować wyłącznie rejs za trzy dni, gdy polecimy po gaz.

Jeśli jednak uda się pani nakłonić go do zrzucenia w mieście, proszę zapamiętać: „Wolny Kruk” pojawi się we wtorek przy Wieży Smitha. Wtedy podejmę panią bez żadnych kosztów dodatkowych, aczkolwiek jakiś drobny upominek byłby mile widziany.

Zdjął jej dłoń ze swojego przedramienia, lecz natychmiast zacisnęła kurczowo palce na rękawie jego marynarki.

– Dziękuję – wyszeptała. – Naprawdę dziękuję. Jeśli odbierze mnie pan we wtorek, znajdę jakiś sposób, aby to panu wynagrodzić. Znam parę miejsc w centrum, w których może być coś wartościowego. Na pewno się to panu opłaci.

– W takim przypadku to ja pani będę winny podziękowania.

Moment później zniknął za płataniną konarów, lin i wiszących statków powietrznych. Briar tymczasem robiła, co mogła, by nie kulić się przed mężczyzną śpiącym w cieniu „Naamah Darling”.

Andan Cly ni to siedział, ni to leżał na składanym krzeselku. Jasne włosy miał tak krótko przycięte, że na pierwszy rzut oka wydawał się kompletnie łysy. Uszy natomiast znajdowały się bardzo wysoko na czaszce.

W lewym Briar zauważyła trzy srebrne ćwieki. W prawym nie miał za to ani jednego. Ubrany był w brudny podkoszulek i brązowe spodnie, których nogawki niknęły w cholewach wysokich butów.

Briar uważała z początku, że jest za zimno, by mógł zasnąć w tak lekkim stroju, ale gdy zbliżała się do cienia, poczuła, że temperatura rośnie z każdym krokiem. Zdażyła się spocić, zanim stanęła przed Clayem. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że usadowił się tuż pod bojlerami, które nieustannie podgrzewały gaz wypełniający pokrywę statku.

Nie nadepnęła na żadną gałązkę, nie trąciła też stopą kamyczka.

Zamarła w miejscu, wpatrując się tylko intensywnie, lecz i to wystarczyło, by go obudzić. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, wyprostował się na krześle, a potem niezdarnym zaspanym ruchem przesunął gogle na czoło.

– Czego? – zapytał tonem sugerującym, że nie do końca spodziewa się odpowiedzi.

– Andan Cly? – odpowiedziała pytaniem i zaraz dodała: – Kapitan

„Naamah Darling”?

– Mówię – burknął. – Do kogo?

– Słucham?

– Do kogo mówię?

– Jestem... pasażerką. To znaczy chcę nią być. Chcę się dostać w pewne miejsce, a kapitan Hainey kazał mi porozmawiać o tym z panem. –

Pominięła resztę wypowiedzi Croga.

– Poważnie?

– Tak.

Przekręcił głowę w lewo, potem w prawo. Briar usłyszała, jak trzeszcza mu wszystkie stawy.

– Dokąd chce pani lecieć?

– Za mur.

– Kiedy?

– Teraz.

– Teraz? – Zabrał butelkę z zagłębienia w łokciu i postawił ją na ziemi obok krzeselka. Wzrok miał już całkiem trzeźwy. Orzechowe, niemal miedziane oczy lśniły mu mocno, mimo iż nadal znajdował się w cieniu rzucanym przez statek. Gapił się na nią, nie mrugnawszy nawet powieką, dopóki nie poczuła się niepewnie.

– Syn mi uciekł – streściła swoją opowieść. – Poszedł do miasta. Idę go odnaleźć.

– Nigdy wcześniej pani tam nie była?

– W każdym razie nie zaglądałam tam od czasu postawienia muru.

Dlaczego pan pyta?

– Bo gdyby pani tam była, nie wierzyłaby dzisiaj, że dzieciak mógł tam przeżyć.

Odpowiedziała mu równie hardym spojrzeniem prosto w oczy.

– Mój syn potrafi przeżyć w takich warunkach. Jest cwany i przygotował się dobrze.

– Jeśli poszedł za mur, jest zwykłym głupkiem – poprawił ją Andan.

– Nie jest głupkiem, po prostu został... źle poinformowany. – Użyła najwłaściwszego określenia, aczkolwiek wypowiedzenie go na głos wiele ją kosztowało. – Proszę mnie wysłuchać, potrzebuję pomocy. Mam ze sobą dobrą maskę, a za murem na pewno znajdę drogę. Crog obiecał, że podejmie mnie we wtorek...

– Naprawdę wierzy pani, że dożyje tam do wtorku?

– Tak. Wierzę.

– W takim razie proszę wybaczyć, ale z pani też idiotka.

– Może mnie pan obrażać do woli, jeśli tylko zabierze mnie pan za ten mur.

Uśmiechnął się półgębkiem, jakby miał zamiar ją wyśmiać, lecz kąciki ust zatrzymały mu się w pół drogi.

– Pani mówi poważnie. I jest uparta. Niemniej będzie tam pani potrzebowała czegoś więcej niż to – wskazał palcem karabin – i znak Maynarda, jeśli chce przetrwać cała i zdrowa.

– Jeśli będę przestrzegała pokoju...

– Wtedy część ludzi, których pani spotka po wewnętrznej stronie muru, także będzie go przestrzegać. Ale na pewno nie wszyscy. Jest tam szaleniec nazwiskiem Minnericht, który rządzi częścią miasta, i spora liczba Chińczyków, którzy mogą, choć niekoniecznie odnosić się z szacunkiem do białej kobiety. Chociaż bandyci będą najmniejszym problemem. Widziała pani kiedyś zgnilasa? Takiego naprawdę wygłodniałego?

– Tak. Widziałam ich podczas ewakuacji.

– Akurat – prychnął, kręcąc głową, lecz nawet wtedy nie oderwał

wzroku od sprzączki jej paska. – Tamci nie byli nawet głodni. Ci, z którymi będzie pani miała do czynienia, nie jedli od dobrych piętnastu lat. To oni stanowią problem. I poruszają się całymi stadami.

– Mam sporo amunicji – poklepała dłonią sakwę.

– I stary powtarzalny sztucer, jak widzę. Na pewno będzie użyteczny w tych warunkach, ale gdy skończy się amunicja, wpadnie pani w łapy zgnilasów albo kumpli Minnerichta. A może zadziobią panią kruki. Z tymi cholernymi ptaszyskami nie da się dogadać. Pozwoli pani, że zadam jej pytanie.

– Jeszcze jedno?

– Tak, jeszcze jedno – burknął gniewnie i wskazując palcem na jej podbrzusze dodał: – Skąd pani to ma?

– Co? – Sądząc z kierunku, chodziło mu chyba o sprzączkę do pasa. –

A... dlaczego pan pyta?

– Ponieważ już ją widziałem. I chcę wiedzieć, skąd ją pani wytrzasnęła.

– To nie pański interes – stwierdziła.

– Domyślam się. Tak samo nie moim interesem będzie, co się z panią stanie po tamtej stronie, pani Blue.

Zatkało ją na dłuższą chwilę, mogła jedynie przełknąć ślinę. Strach ścisnął ją za gardło tak mocno, że nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Ja się tak nie nazywam – wydukała w końcu.

– Przecież wiem, kim pani jest – stwierdził.

– Nie – pokręciła głową, choć nieco zbyt mocno. – Już nie. Od czasu wybudowania muru noszę nazwisko Wilkes. Tak samo jak mój syn, jeśli koniecznie musi pan wiedzieć. – Pozostałe słowa wypluła z siebie zbyt szybko, jakby nie potrafiła ich powstrzymać: – Uważa, że jego ojciec był

niewinny, po części dlatego, że jak pan słusznie zauważył, jest głupkiem.

Poszedł za mur, bo chciał udowodnić, że ma rację.

– A to da się udowodnić?

– Nie – odparła. – Choćby dlatego, że to nieprawda. Ale Zeke, jak pan doskonale wie, to jeszcze dziecko. Pozjadał wszystkie rozumy i nie przyjmuje do wiadomości, że może być inaczej. Musiał tam pójść i przekonać się na własne oczy.

– Rozumiem – skinął głową. – Ale wie o znaku Maynarda i znalazł

drogę za mur. Poszedł dołem, jak sędzę.

– Tak, kanałami. Niestety w nocy było trzęsienie ziemi, które zasypało stary kanał odpływowy. Zeke nie może stamtąd wyjść, a ja nie mogę się dostać do środka. A teraz proszę powiedzieć: zabierze

mnie pan do miasta czy nie? Jeśli chce pan odmówić, proszę nie zwlekać, znajdę kogoś innego.

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, mierząc ją dość obojętnym spojrzeniem. Rozmyślał nad czymś, i to dość intensywnie. Briar nie miała pojęcia, co mu może chodzić po głowie ani dlaczego tak szybko domyślił się prawdy. Nic miała nawet pewności, czy pokrewieństwo z Maynardem pomoże jej w tej sprawie.

– Od tego należało zacząć – stwierdził w końcu Andan.

– Od czego?

– Od powiedzenia, że jest pani córką Maynarda. Dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Ponieważ oznaczałoby to automatycznie, że zostanę potraktowana jak wdowa Blue. Nie wiem, czy w takim przypadku koszt nie przewyższyłby hipotetycznego zysku.

– Rozumiem – przyznał, wstając.

Zajął mu to kilka sekund. Było co podnosić z krzeselka.

Gdy wyprostował się w końcu, stając pod dnem gondoli „Naamah Darling”, Briar ujrzała przed sobą najwyższego człowieka, jakiego spotkała w życiu. Umięśniony potężnie Andan Clay, mierzący siedem i pół stopy, był

kimś więcej niż tylko kawałem chłopca. Wyglądał przerażająco. Szczerze mówiąc, nie grzeszył urodą, a jeśli dodało się jego prostacki wygląd do rozmiarów giganta, człowiek z trudem przewycięzał ochotę, by wziąć nogi za pas, ledwie go zobaczył.

– Przestraszyłem panią? – zapytał, wyjmując z kieszeni parę długich rękawic i naciągając je na wielgachne dłonie.

– A powinnam się pana bać?

Założył drugą rękawicę i schylił się po butelkę.

– Nie – rzucił, spoglądając po raz kolejny na sprzączkę przy pasie. –

Pani ojciec ją nosił.

– Jak i wiele innych rzeczy.

– Ale nie pochowano go we wszystkich. – Andan wyciągnął do niej dłoń. Uścisnęła ją z ulgą. Jej palce zniknęły na moment w czeluści rękawicy.

– Witam na pokładzie „Naamah Darling”, pani Wilkes. Może popełniam błąd, zabierając panią, było nie było, to dość ryzykowna splata dawnego długu, jako że może pani tam zginąć, ale i tak dostanie się pani do miasta, jeśli nie ze mną, to z kimś innym.

– To prawda.

– Zatem najlepsze co mogę zrobić, to przygotować panią na tę wyprawę. – Wskazał kciukiem grzejniki nad swoją głową i dodał: – Dysze lada moment będą rozgrzane. Zabiorę panią za mur.

– Za... ten stary dług?

– To dług stary, ale też niemały. Siedziałem w areszcie na stacji, kiedy pojawiła się Zguba. Razem z bratem odnieśliśmy pani ojca do domu. Mimo to nie przeżył. – Pokręcił głową raz jeszcze. – Nie był nam nic winien, a mimo to wrócił, by nas wypuścić. I dlatego, pani Wilkes, jeśli nie ma innego sposobu... teraz pomogę pani tam wrócić.

## ROZDZIAŁ 8

Zeke z wielką niechęcią wykonywał polecenia Rudiego. Zamknął się i słuchał. Gdzieś w dole, chyba na poziomie ulicy, usłyszał jakieś szuranie i drapanie. Niestety, nie mógł niczego dostrzec, zastanawiał się więc, czy Chaos nie próbował go przypadkiem nastraszyć.

– Niczego nie widzę – mruknął.

– I dobrze – odparł Rudi. – Jeśli ich widzisz, zazwyczaj jest już za późno na ucieczkę.

– Ich, czyli kogo?

– Zgnilasów. Widziałeś ich kiedyś?

– Tak – przyznał Zeke. – I to wielu.

– Wiele? Ciekawe, jakim cudem mogłeś na nich trafić na Przedmieściach? Wątpię, abyś kiedykolwiek trafił na jednego albo dwóch, ale pewności nie mam. Może mówisz prawdę i to ja się mylę. Niemniej tutaj jest ich zawsze wielu. Chadzają stadami, jak psy. Minnericht uważa, że jest ich co najmniej kilka tysięcy. Zamkniętych w miejscu, skąd nie da się wyjść i gdzie nie ma pożywienia.

Zeke nie chciał, by Rudi zobaczył, że się boi, dlatego prychnął

pogardliwie.

– Tysiące, powiadasz? To sporo. Kim jest ten Minnericht i ile czasu zajęło mu ich zliczenie?

– Nie wymądrzaj się, smarkaczu – burknął Chaos, przykładając butelkę po raz kolejny do maski w okolicach ust. Tak bardzo chciał się napić, lecz nie mógł tego zrobić. – Staram się być dobrym człowiekiem, który wyciąga do ciebie pomocną dłoń. Jeśli jej nie potrzebujesz, skacz, proszę, z tego dachu na ulicę, pobaw się w berka z nieumarłymi, a zobaczysz, czy mnie to obejdzie. Dam ci nawet dobrą podpowiedź: nic a nic.

– Nie dbam o to! – Zeke znów podniósł głos, a gdy Rudi zeskoczył z obmurowania dachu, on także się cofnął i o mały włos wpadłby do otworu z drabiną, którym dostał się na górę.

Rudi zamachnął się dziwną laską i podetknął mu ją pod brodę.

– Zamknij pysk – syknął. – Nie będę się powtarzał, bo nie muszę.

Narób smrodu i przywab tu zgnilasów, a osobiście zepchnę cię na ulicę.

Możesz ściągać sobie na głowę problemy, jeśli je lubisz, ale mnie z tego wyłącz. Cieszyłem się ciszą i spokojem, zanim się tu pojawiłeś, więc jeśli nadal będziesz mi tu bruździł, ukręcę ci ten cholerny łeb.

Zeke, nie spuszczać wzroku z Rudiego, wsunął dłoń do torby, by poszukać rewolweru. Mężczyzna jednym płynnym ruchem laski strącił pasek torby z jego ramienia, posyłając ją na dach.

– To nie są Przedmieścia, chłopczyku. Jeśli tutaj będziesz się zachowywał jak idiota, ktoś natychmiast obije ci tyłek albo da w zęby.

Narobisz problemów, a zostaniesz przerobiony na gówno zgnilasów, zanim nastanie ranek.

– Do jutrzejszego ranka jest jeszcze sporo czasu. – Zeke nie spuszczał z oczu zakończenia laski, która wciąż mierzyła w jego krtań.

– Wiesz, o czym mówię. Uspokoisz się zaraz czy wstąpimy na wojenną ścieżkę?

– Już na niej jesteśmy.

Rudi cofnął laskę i obrzucił jej koniec uważnym spojrzeniem. Postawił ją potem na dachu i oparł się o nią mocno. W drugiej ręce wciąż trzymał butelkę, mimo iż była niemal pusta.

– Nie wiem nawet, czemu się tobą przejmuję – burknął, gdy stanął

ponownie na nogach. – Chcesz zobaczyć ten dom czy nie?

– Chcę.

– Zatem będziesz robił, co ci każę, albo nigdy nie ujrzysz go na własne oczy. Zrozumiano? A teraz zamknij pysk i nie odzywaj się, dopóki ci na to nie pozwolę. I trzymaj się blisko mnie. Nie oszukuję i nie próbuję cię wystraszyć, mówiąc, jak niebezpieczna jest ta okolica. Idę o zakład, że nie przeżyłbyś tutaj jednej godziny, gdybyś poszedł na własną rękę. Jeśli nadal chcesz to zrobić, proszę bardzo, idź, droga wolna. Niemniej postąpisz znacznie mądrzej, jeśli będziesz się trzymał mnie. Wybór należy do ciebie.

Zeke zebrał z dachu swoją torbę i zastanawiał się nad wyborem, tuląc ją do piersi. Jego sytuacja wyglądała nie najlepiej, i to z wielu powodów.

Po pierwsze, nie cierpiał, kiedy ktoś mówił mu, co ma robić, zwłaszcza gdy tym kimś był nieznajomy obdartus, który wyglądał na ochlapusa tylko czekającego na okazję do kolejnej popijawy. Po drugie, miał spore wątpliwości co do motywów kierujących człowiekiem, który najpierw groził

mu, a potem nagle obiecywał pomoc. Zeke nie ufał Rudiemu, dlatego nie wierzył w ani jedno jego słowo.

Więcej nawet, nie lubił go.

Ale gdy zerkał za krawędź dachu i widział w dole wirującą leniwie zawieszinę o barwie gnijących cytrusów, a potem przenosił wzrok na sąsiedni wysoki budynek, na którym siedziała setka wielkich czarnych ptaszysk wpatrujących się w niego łapczywie złotawymi ślepiami... zaczynał mieć wątpliwości, czy samotna wyprawa ma jakikolwiek sens.

– Te ptaki... – powiedział, wolno cedząc słowa. – Dawno tu są?

– Oczywiście – odparł Rudi, obracając butelkę i wylewając resztkę płynu za krawędź dachu. Gdy ją opróżnił, została odstawiona w kąt. – Są bogami tego miejsca, jak wszystkie inne stworzenia.

Zeke przyglądał się sąsiedniej budowli, jej gzymsom, parapetom i innym wystającym elementom, na których roilo się od granatowoczarnych piór i złotawych ślepi ledwie widocznych w bladym świetle rodzącego się właśnie dnia.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Rudi podszedł do najbliższego mostka i podciągnął się na półkę obok niego. Skinieniem ręki kazał chłopcu iść w swoje ślady.

– Są wszędzie i widzą wszystko – mówił. – Czasami ci pomogą, czasami zaatakują. Nigdy nie możesz być pewny, jak się zachowają. Nie rozumiemy ich i prawdę powiedziawszy, chyba nie lubimy. Niemniej –

wzruszył ramionami – są tutaj. Idziesz czy nie?

– Idę – odparł Zeke, lecz jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca.

Coś było nie tak z jego stopami. Nie miał pojęcia, o co chodzi, dopóki budynek nie zakołysał mu się mocniej pod nogami.

– Rudi? – Zawołał z takim wyrzutem, jakby sądził, że to wina jego towarzysza i kategorycznie żądał zaprzestania głupich kawałów.

Wstrząsy nasilały się z każdą chwilą.

– To trzęsienie ziemi – poinformował go Chaos. – To tylko trzęsienie ziemi, chłopcze. Trzymaj się.

– Czego?



– Czegokolwiek.

Zeke cofnął się od otworu w dachu i przycupnął w narożniku obok miejsca, gdzie czekał mężczyzna w masce. Przywarł do obmurowania całym ciałem, modląc się, by wstrząsy nie nabrały większej mocy i by budynek, na którego dachu się znaleźli, przetrwał kataklizm w stanie nienaruszonym.

– Trzeba przeczekać – odezwał się Rudi, ale w jego głosie zabrakło pełni przekonania, aczkolwiek nie było w nim także zaskoczenia. Trzymał się ceglaneanego muru, a w pewnym momencie położył nawet dłoń na ramieniu Zeke’a, aby go uspokoić.

Chłopak nie poczuł się wcale bezpieczniej, niemniej dziękował Bogu za to, że w tak trudnym momencie nie jest sam i ma obok siebie kogoś innego. Chwycił dłoń Rudiego i trzymając się jej, podpełzł bliżej narożnika.

Gdy wstrząsy osiągnęły apogeum, zamknął oczy, ponieważ nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.

– Twoje pierwsze? – zapytał Chaos swobodnym tonem, chociaż nadal nie puszczał dłoni Zeke’a.

– Pierwsze poważne – odparł chłopak. Zęby mu dzwoniły, gdy mówił, więc natychmiast zamknął usta.

Wstrząsy ustały tak szybko i niespodziewanie, jak się zaczęły. To znaczy nie w jednej chwili, lecz po ostatnim naprawdę silnym wahnięciu łomot nagle przycichł i budynek przestał drzeć. Teraz kołysał się co parę sekund, o wiele delikatniej jednak.

Wszystko to nie trwało dłużej niż dwie minuty.

Zeke miał nogi miękkie jak galareta. Udało mu się stanąć na nich, dopiero gdy oparł się o ścianę i rękę Rudiego. Kolana uginały się pod nim, ale zdołał je zablokować. Wyprostował plecy i czekał. Z tego co pamiętał, wstrząsy i hałasy mogły powrócić w każdej chwili.

Nie wróciły.

Podobnie jak nie wrócił ryk towarzyszący trzęsieniu. Przed momentem był ogłuszający, a teraz Zeke słyszał wyłącznie łoskot spadających cegieł i tynku osypującego się na płyty chodnika.

– To było... – jęknął, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. – To było...

– To było zwykłe trzęsienie ziemi i tyle. Robisz z igły widły.

– Nigdy wcześniej nie przeżyłem takiego.

– No to masz je już za sobą – burknął Rudi. – Choć nie było wcale takie straszne. Wydawało ci się silniejsze, bo jesteśmy na dachu. Tak czy inaczej, powinniśmy się zbierać. Istnieją spore szanse, że wstrząsy zasypały część kanałów i będziemy musieli szukać obejść.

Otrzeptał się z pyłu, obejrzał laskę i wygładził płaszcz.

– Możesz zostawić tutaj lampę – powiedział. – Szczerze mówiąc, radziłbym ci to zrobić. Za moment będziemy mieli wystarczającą ilość światła, a niosąc ją z sobą, jeszcze rozwalisz szkło albo gdzieś ci się zgubi.

Zresztą zaraz wrócimy na poziom ulicy, a tam jej płomień może zwrócić na nas uwagę tych, których bardzo nie chcemy spotkać.

– Nie zostawię lampy.

– A ja ci mówię, że to zrobisz. Nie proszę, chłopcze. Nie pójdziesz ze mną, jeśli się jej nie pozbędziesz. Spójrz, możesz ją zawiesić tutaj, w tym kącie. Zabierzesz ją, jak będziesz wracał do domu.

Zeke zgodził się, acz bardzo niechętnie. Postawił lampę w najbliższym narożniku dachu i przykrył dokładnie znalezionymi w pobliżu śmieciami.

– Jesteś pewien, że nikt jej nie ukradnie?

– Mocno bym się zdziwił, gdyby zniknęła – zapewnił go Rudi. –

Chodźże wreszcie. Słońce już wschodzi, a my musimy wykorzystać blask dnia do maksimum. Dom twoich rodziców jest daleko stąd.

Zeke wspiał się za nim na półkę. Niepokoił się, czy kruchy pomost, zbudowany z ułamanych żerdzi, płyt i innych resztek, utrzyma kulejącego mężczyznę, ale mimo głośnych trzasków i drżenia nie załamał się pod ich wspólnym ciężarem.

Chłopak cieszył się, że nie widzi poziomu ulicy, lecz nie powstrzymało go to od zapytania:

– Jak wysoko jesteśmy?

– Tylko kilka pięter nad ziemią. Zanim zejdziemy na poziom ulicy, będziemy musieli się wspiąć jeszcze wyżej. Mam nadzieję, że nie cierpisz na lęk wysokości.

– Skądże! – odparł Zeke. – Lubię się wspinać.

– Świetnie. Czeka nas cała masa wspinaczek.

Przeszli pomostem do okna w budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Zabity deskami otwór wydawał się ślepym zaułkiem, ale Rudi przesunął

doskonale zamaskowaną dźwignię i przeszkoda otworzyła się do wnętrza budynku, pozwalając im wejść do mrocznego i pachnącego wilgocią pomieszczenia, przypominającego nieco piekarnię, od której Zeke rozpoczął

swój pobyt w tym mieście.

– Gdzie jesteście? – wyszeptał.

Rudi zapalił świecę zapalką, mimo że było już dawno po wschodzie słońca.

– Moim zdaniem w piekle – odparł.

## ROZDZIAŁ 9

Andan Cly mówiąc „teraz”, tak naprawdę miał na myśli: „Kiedy wróci reszta załogi”. Zapewnił jednak Briar, że to opóźni wylot co najwyżej o godzinę, ale jeśli w tym czasie znajdzie inną, lepszą ofertę, niech się nie zastanawia, tylko ją przyjmuje. Potem zaprosił ją na górę, do swojej kajuty, i powiedział, by czuła się jak u siebie w domu, chociaż byłby wdzięczny, gdyby niczego nie dotykała.

Sam został na zewnątrz, gdzie zajął się obowiązkami, czyli kręceniem zaworami i sprawdzaniem wskaźników.

Briar wspięła się po chybotałej drabinie sznurowej do furty burtowej i moment później znalazła się w bardzo dużym pomieszczeniu – choć to akurat wrażenie mogło wynikać z faktu, że było niemal całkowicie puste. Z powały zwisały wielkie płaskie pakunki podwieszane na szynach, które można było opuszczać i przesuwac za pomocą systemu dźwigni. Przy obu burtach oraz na dziobie i rufie znajdowało się także kilka skrzyń i beczek przytwierdzonych na stałe do pokładu. Natomiast cały środek ładowni był pusty, wisiały nad nim tylko lampy naftowe przypominające światła pozycyjne tradycyjnych statków, umieszczone na tyle wysoko i daleko od powały i ścian, by mocniejszy wstrząs nie mógł ich porozbijać. W każdej zamiast płonących knotów Briar widziała dziwaczne szklane bańki jarzące się żółtawym światłem. Zastanawiała się, skąd ktoś taki jak Cly ma do nich dostęp.

Na prawej burcie, z dala od drabiny sznurowej, zauważyła ciąg drewnianych stopni przytwierdzonych do ściany.

Wspięła się po nich. Na wyższym poziomie znalazła kabinę wypełnioną rurami, przyciskami i dźwigniami. Trzy czwarte burty zajmowała gruba tafla szkła, miejscami przydymionego, podrapanego, a nawet pokruszonego, tyle że od zewnętrznej strony. Na szczęście nie zauważyła na niej ani jednej rysy, a gdy stuknęła w nią paznokciem, rozległ się głuchy odgłos, tak różny od normalnego brzęknięcia.

Na mostku znajdowały się dźwignie o wiele dłuższe od jej przedramienia oraz jaskrawo pomalowane przyciski zajmujące większą część kapitańskiej konsoli. Z podłogi wystawały ustawione pod kątem pedały, a z paneli nad głową zwisał ciąg zapadek.

Z zupełnie niezrozumiałego powodu Briar poczuła nagle, i to bardzo wyraźnie, że jest obserwowana. Zamarła więc, kierując wzrok na przeszkloną ścianę. Nie słyszała za sobą żadnego dźwięku – nawet oddechu, stąpania czy skrzypienia drewnianej podłogi – niemniej była pewna, że nie jest tutaj sama.

– Fang! – zawołał z dołu Cly.

Briar podskoczyła na ten dźwięk i obróciła się błyskawicznie.

Zobaczyła przed sobą człowieka. Stał tak blisko, że mógłby ją pochwycić, gdyby tylko chciał.

– Na górze jest kobieta. Postaraj się nie wystraszyć jej na śmierć!

Fang okazał się szczupłym, choć w żadnym razie nie wychudzonym niskim mężczyzną – na pewno nie był wyższy niż Briar. Włosy miał tak czarne, że połyskiwały granatowo, zaczesywał je do tyłu i spinał wysoko na głowie w koński ogon.

– Witam – odezwała się niepewnie.

Nie odpowiedział, mrugnął jedynie skośnymi piwnymi oczyma.

Głowa Clya wychynęła z otworu w podłodze.

– Wybacz pani – przeprosił Briar. – Powinienem panią ostrzec. Fang jest w porządku, choć to najcichszy sukinsyn, jakiego w życiu spotkałem.

– Czy on... – zaczęła, lecz zaraz umilkła, obawiając się, czy to pytanie nie będzie zbyt obcesowe. – Czy mówi pan po angielsku? – zwróciła się do stojącego przed nią człowieka w luźnych spodniach i mandaryńskiej bluzie.

– On w ogóle nie mówi – odpowiedział za niego kapitan. – Ktoś obciął

mu język, ale kto i dlaczego, nie wiem. Za to doskonale rozumie, co się do niego mówi. Po angielsku, chińsku, portugalsku i cholera wie po jakiemu jeszcze.

Fang odsunął się od Briar i położył płócienny chlebak obok siedzenia po lewej. Wyjął z niego pilotkę i nałożył ją na głowę. W tylnej części miała wycięty otwór, przez który mógł wystawić koński ogon.

– Proszę się nim nie przejmować – kontynuował Cly. – To porządny facet, chociaż ma takie imię.

– Skąd się wzięło? – zapytała Briar.

Kapitan wspiął się na szczyt schodów i ruszył do przodu mocno pochylony. Był zbyt wysoki, by poruszać się po kajucie w postawie wyprostowanej.

– Z tego co wiem, takie mu nadano. Pewna kobieta z chińskiej dzielnicy na południu, w Kalifornii, twierdziła, że imię to oznacza człowieka dumnego i prawego, chociaż w naszym języku kojarzy się z jadowitością albo kąsaniem. Musiałem uwierzyć jej na słowo.

– Z drogi – rozległ się kolejny głos.

– Ja ci na drodze nie stoję – odparł Cly, nawet się nie odwracając.

Z dołu nadszedł kolejny mężczyzna, tłuścawy i uśmiechnięty. Miał na głowie futrzaną uszankę, ubioru dopełniał brązowy skórzany płaszcz zapięty na niezbyt pasujące do siebie mosiężne guziki.

– Rodimer, to pani Wilkes. Pani Wilkes, to Rodimer. Proszę go ignorować.

– Ignorować? Mnie? – udał obrazę, gdyż nie udało mu się zamarkować braku zainteresowania osobą Briar. – Chyba zacznę wznosić modły, aby pani tego nie robiła. – Chwycił dłoń pasażerki i złożył na niej wilgotny długi pocałunek.

– No dobrze, nie będę robiła – zgodziła się, wrywając dłoń spod jego ust. – Czy to już wszyscy? – zapytała Clya.

– Tak, wszyscy. Gdybym miał jeszcze jednego członka załogi, zabrakłoby nam miejsca na ładunek. Fang, zajmij się linami. Rodimer, grzejniki mają odpowiednią temperaturę, są gotowe do działania.

– Poziom wodoru sprawdzony?

– Zatankowaliśmy do pełna w Bradenton. Powinno go wystarczyć jeszcze na kilka rejsów.

– Jak rozumiem, zlokalizowałaś przeciek?

– Zlokalizowałam. – Cly skinął głową. – Czy pani – zwrócił się do Briar – leciała kiedykolwiek takim statkiem?

Przyznała uczciwie, że nie.

– Ale nic mi nie będzie – zapewniła.

– Oby. Sama pani posprząta po sobie, jeśli żołądek tego nie wytrzyma.

Rozumiemy się?

– Oczywiście. Czy będę mogła usiąść?

Rozejrzał się po wąskiej kabinie, nie znalazł jednak żadnego wygodnego miejsca.

– Zazwyczaj nie zabieramy pasażerów – usprawiedliwił się. – Musi nam pani wybaczyć, ale nie ma tu kajut pierwszej klasy. Proszę przynieść sobie tutaj jakąś skrzynkę, jeśli ma pani ochotę wyglądać na zewnątrz, albo –

wskazał potężną dłońią niewielki kolisty właz z tyłu kabiny – przejść do przedziału sypialnego. Tam mamy hamaki. Wprawdzie nie są zbyt wygodne, ale da się na nich siedzieć. Nie ma pani choroby lokomocyjnej?

– Nie.

– Pytam, żeby się upewnić, bo z tyłu może nieźle kiwać.

– Przecież już mówiłam, że nie zrobi mi się niedobrze – ucięła rozmowę, zanim zdążył coś dodać. – Zostanę tutaj. Chcę to zobaczyć.

– No to proszę się rozgościć – odparł. Chwycił ciężką skrzynię i przesunął ją pod samą burtę. – Dotarcie do muru zajmie nam godzinę. Do tego będziemy potrzebowali trzydziestu minut na dokonanie zrzutu. Spróbuję wysadzić panią gdzieś, gdzie... Wprawdzie tam nie ma bezpiecznych miejsc, niemniej...

Rodimer się wyprostował i zmierzył Briar zupełnie innym spojrzeniem.

– Zamierza pani iść za mur? – zapytał głosem odrobinę zbyt melodyjnym jak na jego wygląd i posturę. – Boże Wszechmogący, Cly!

Chcesz wysadzić tę panią w samym środku Seattle?

– Ta pani złożyła mi propozycję nie do odrzucenia. – Kapitan obserwował Briar kątem oka.

– Pani Wilkes... – zaczął Rodimer, wolno cedząc słowa, jakby to nazwisko nic mu nie mówiło, gdy usłyszał je po raz pierwszy, ale po gruntownym przemyśleniu uznał, iż może mieć większe znaczenie, niż przypuszcza. – Pani Wilkes, miasto za murem nie jest miejscem dla...

– ... damy. Tak, wiem. Uprzedzano mnie o tym. Nie jest pan pierwszym, który to mówi, ale wolałabym, aby nie kończył pan tego zdania.

Muszę się dostać za mur i uczynię wszystko, by tego dokonać. Kapitan Cly był na tyle miły, że zgodził się ułatwić mi zadanie.

Rodimer zamknął usta, pokręcił głową i ponownie skupił się na przyrządach, którymi był otoczony.

– Jak pani sobie życzy, madame. Niemniej muszę dodać, że cholernie żałuję, iż nie ma pani zamiaru wysłuchać, co mam do powiedzenia.

– Nie mam zamiaru powtórzyć – ale to jeszcze nie powód, żeby się umawiać na mój pogrzeb. Wróć stamtąd we wtorek.

– Hainey obiecał, że wyciągnie ją podczas następnego odbioru –

wtrącił Cly. – Jeśli przetrwa do tego czasu, będzie mogła bezpiecznie wrócić.

– Źle się z tym czuję – wyznał Rodimer. – Zostawianie kobiety w tym mieście jest według mnie czymś wysoce niewłaściwym.

– Możliwe – mruknął Cly, siadając na swoim fotelu – ale odlecimy, jak tylko Fang wróci, a ona poleci z nami i zostanie w mieście, jeśli nie rozmyśli się po drodze. Mógłbyś wciągnąć windę dziobową?

– Tak jest. – Pierwszy mat pochylił się i pociągnął jedną z długich dźwigni. Gdzieś nad nimi coś ciężkiego odłączyło się od jednego mechanizmu i przywarło do drugiego. Szczęknięcie, które rozległo się przy okazji, dotarło aż do kabiny.

Kapitan chwycił za rączkę wiszącą mu nad głową i przyciągnął drażek do piersi.

– Pani Wilkes, za panią na burcie wisi sieć na ładunek. Przymocowana jest na stałe. Może się pani jej przytrzymać, jeśli będzie trzeba, jak choćby teraz. Najlepiej objąć ją oburącz.

– Czy... będzie nami mocno rzucało?

– Raczej nie, przynajmniej z tego co mi wiadomo. Mamy dobrą pogodę, ale w pobliżu muru są silniejsze prądy powietrzne. Jest tak wysoki, że wiatry wiejące z gór rozbijają się o jego ściany. Czasami trafiamy tam na przykre niespodzianki.

Fang pojawił się w kabinie tak samo cicho jak za pierwszym razem.

Tym razem Briar nie westchnęła głośniejsz na jego widok, lecz nie zrobiło to na niemym Chińczyku żadnego wrażenia.

Zorientowała się, że wystartowali, po niewielkiej zmianie kąta nachylenia podłogi. Gałęzie ocierały się zewnętrzną powłokę z głośnym chrzęstem, gdy „Naamah Darling” wzbijał się w górę. Początkowo leciał

wolno niesiony tylko wypornością gazu pompowanego do zbiorników znajdujących się nad kabiną, bez pomocy śmigieł czy innych źródeł napędu.

Nie drżał też ani się nie kołysał. Leciał tak wolno, że z trudem dawało się wyczuć zmianę wysokości, dopóki nie zostawił w dole czubków najwyższych drzew.

Start przebiegł o wiele spokojniej i ciszej, niż oczekiwała Briar. Oprócz trzeszczenia lin i skrzypienia metalowych łączy nie słyszała żadnych dźwięków. Potem jednak Cly przyciągnął do swoich kolan okrągłą kolumnę, naciskając po drodze trzy guziki. W tym samym momencie wewnątrz mostka wypełnił narastający świst pary mknącej z grzejników do rur, a potem do dysz, które nadały statkowi prędkości i pchnęły go w kierunku chmur.

Działanie odrzutu spowodowało także lekkie przechylenie kadłuba, gdy

„Naamah Darling” skręcał na wschód, idąc jednocześnie w górę przy akompaniamencie kolejnych chrzęstów, trzasków i jęków.

Po osiągnięciu wymaganego pułapu statek Clya ustabilizował lot i posuwał się gładko do przodu, popychany od czasu do czasu strumieniami rozgrzanej pary wytryskującej z dysz. Briar opuściła swoje siedzisko na skrzynce i stanęła za fotelem kapitana, by przyjrzeć się niebu i widocznej w dole ziemi.

Znajdowali się tak wysoko, że nie potrafiła rozróżnić łodzi i promów krążących nieustannie

pomiędzy wyspą a brzegiem kontynentu, ale gdy minęli w końcu pas wody i znaleźli się ponownie nad lądem, bez trudu rozpoznawała kolejne osiedla, a nawet większe ulice. Tereny oczyszczalni ciągnęły się przez równinę zajmującą brzeg zatoki. Na sąsiadujących z nią wzgórzach i łączących je stromych przełęczach pełno było domów, do których tuż przed nimi masywne konie ciągnęły właśnie wielkie cysterny z wodą, realizując cotygodniową dostawę.

Szukała wzrokiem swojego domu, lecz nie potrafiła go odnaleźć.

Chwilę później w oddali pojawił się zarys muru otaczającego centrum Seattle – kręta szara toporna masa górująca nad zabudowaniami Przedmieść.

„Naamah Darling” zbliżył się do niej, ale zanim minął szczyt, skręcił i zaczął

lecieć wzdłuż ceglanej zapory.

– O tej porze roku – uprzedził Cly wiszące już w powietrzu pytanie pasażerki – żaden statek powietrzny, przynajmniej należący do oficjalnych kompanii kupieckich, nie zbliża się tak bardzo do zamkniętego miasta.

Wszyscy wybierają trasę północną, kierując się na góry. Gdybyśmy polecieeli prosto i zaczęli podchodzić do lądowania, ktoś by nas na pewno zauważył.

– I co wtedy? – zapytała.

– Z czym?

– Pytałam, co by było, gdyby ktoś nas zauważył.

Cly, Rodimer i Fang wymienili wiele mówiące spojrzenia.

– Nie wiecie – odpowiedziała za nich – ale nie macie zamiaru się o tym przekonywać.

– Mniej więcej – rzucił przez ramię kapitan. – Kwestie ruchu po niebie nie zostały jeszcze uregulowane tak szczegółowo jak po drogach. Na to też przyjdzie pora, niemniej dzisiaj jedyne władze interesujące się tą sprawą mają na głowie wojnę prowadzoną daleko na wschodzie. Widziałem kilka rządowych jednostek w okolicy, ale na moje oko to byli klasyczni dezenterzy.

Wątpię, aby zajmowały się tutaj ściganiem innych statków powietrznych albo ich kapitanów. Moim zdaniem znacznie bardziej powinniśmy się obawiać ataku ze strony innych podniebnych piratów.

– Mówiąc o dezenterach, miał pan na myśli statki takie jak Croggona Haineya? – zapytała.

– Tak, właśnie o takie jednostki mi chodziło. Nie mam pojęcia, czy kradzież zabaweczki należącej do przegrywającej strony przyniosła mu jakiś pożytek, ale...

– Oni jeszcze nie przegrali – wtrącił Rodimer.



– Przegrzywają wszystkie starcia od prawie dziesięciu lat. Szczerze mówiąc, zrobiliby przysługę wszystkim, gdyby znaleźli jakieś spokojne miejsce i podpisali akt kapitulacji.

Rodimer nacisnął jeden z pedałów, kładąc na nim stopę, i jednocześnie przełączył kontakt nad głową, trącąc go wierzchem dłoni.

– To cud, że Konfederaci nadal się trzymają. Gdyby nie ta trasa kolejowa...

– Tak, wiem. Gdyby nie milion innych celów, które rozwalili lata temu.

Ale jest, jak jest, i tylko Bóg w niebiesiech wie, jak długo jeszcze pociągną – dokończył Cly.

– A dlaczego tak to was obchodzi? – zapytała Briar.

– Mnie osobiście nie bardzo – wyznał kapitan. – Może z wyjątkiem tego, że chciałbym, aby ten kraj przyłączył w końcu terytorium Waszyngtonu, ponieważ tylko w ten sposób napłyną do nas prawdziwe amerykańskie pieniądze. Może dzięki nim uda się w końcu zrobić porządek z naszym miastem. W Klondike nie ma już złota, o ile w ogóle kiedyś tam było, a my nie zarabiamy wystarczająco wiele, by sobie poradzić ze wszystkimi problemami. – Wskazał ręką na okno po swojej prawej. – Ktoś musi w końcu coś z tym zrobić, ale jeden Jezus wie, że żaden z naszych oficjeli nie ma nawet cienia pomysłu, jak podejść do tej sprawy.

Jego pierwszy oficer pokiwał głową.

– Ale my całkiem nieźle sobie tutaj radzimy. Zresztą nie tylko my.

– Istnieją lepsze sposoby zarabiania na życie. I uczciwsze. – W głosie Clya pojawiła się nuta napomnienia, więc natychmiast zrezygnowali z drażenia tego tematu.

– Co pan powiedział o podniebnych piratach? – zapytała wobec tego Briar.

– Ja tylko wspomniałem o ich istnieniu. Na szczęście w tych okolicach nie ma ich zbyt wielu. Mało kto ma na tyle mocne nerwy, by schodzić niżej po ten gaz. Niektórzy z nas widzą to tak: pomagamy mieszkańcom Przedmieść, likwidując powoli zagrożenie, jakie ze sobą niesie Zguba. Wie pani, gaz wciąż się wydobywa z ziemi, wypełniając przestrzeń wewnątrz muru jak zupa talerz. Zbierając go, pomagamy miastu.

– Jeśli pominiemy milczeniem, na co go potem przerabiacie –

zauważyła Briar.

– Ja tego nie robię i to nie mój problem – odparł Cly zupełnie spokojnie, jakby nie obraziła go ta uwaga.

Nie dyskutowała z nim, ponieważ dość już miała awantur.

– Jesteśmy już na miejscu? – zapytała, widząc, że „Naamah Darling” zwalnia i zawisa nad murem.

– Tak, dotarliśmy do celu. Fang?

Chińczyk wstał z fotela i zszedł po drewnianych stopniach. Kilka sekund później Briar usłyszała, jak coś wielkiego obraca się albo toczy. Zaraz potem statek się zachwiał i opadł nieco, gdy odzyskał równowagę.

Dosłownie w chwili gdy „Naamah Darling” na powrót znieruchomiał, Fang wrócił. Miał na twarzy maskę przeciwgazową, a na rękach tak grube skórzane rękawice, że z trudem poruszał w nich palcami.

Skinął głową Clyowi i Rodimerowi, którzy odpowiedzieli tym samym.

– Ma pani maskę? – zapytał kapitan.

– Tak.

– Proszę ją założyć.

– Już? – Sięgnęła do sakwy i wyjęła maskę. Paski i sprzączki były mocno poplątane, musiała je kolejno rozprostować i dopiero potem nałożyć uprząż na głowę.

– Tak, już. Fang otworzył luk ładowni i rzucił kotwicę na szczyt muru.

Gaz jest gęsty i ciężki, więc na razie nie ma niebezpieczeństwa, że się wzniesie powyżej poziomu ładowni, ale gdy znowu ruszymy, pęd powietrza może go roznieść po całym statku.

– Dlaczego zakotwicyliście do muru?

– Żeby „Naamah Darling” był stabilniejszy. Wspominałem pani o tutejszych prądach powietrznych. Nawet w tak spokojny dzień istnieje niebezpieczeństwo gwałtownego podmuchu, który może porwać stojący wolno statek i znieść go w dół. Dlatego kotwiczymy jednostki do szczytu, używając lin długości kilkuset stóp. Dzięki nim możemy odbić w kierunku miasta, jak nie przymierzając, szalupa od pirsu. – Odpiął pasy, odsunął

kolumnkę steru i wstał z fotela. Przeciągnął się, w ostatniej chwili przypominając sobie, że nie może wyprostować pleców, dzięki czemu nie wyrznął czołem w szybę. – Potem wyrzucamy puste zbiorniki i włączamy maksymalny ciąg. Dysze popychają nas z powrotem nad mur, a zbiorniki szybują za nami, napełniając się po brzegi gazem. Dodatkowa moc unosi nas też w górę, ponieważ jak już wspominałem, gaz jest cięższy, niż się pani wydaje. Trzeba całej mocy, jaką posiada nasza ślicznotka, by wzbić się ponownie w powietrze.

Briar założyła maskę na głowę, zapięła wszystkie paski, ale nie dociągała ich jeszcze, żeby móc rozmawiać. Zostawiła ją sobie chwilowo na czole.

– Czyli mówiąc w skrócie, szybujecie nad skażoną częścią miasta, opuszczacie zbiorniki, a potem

odpalacie silniki, które wynoszą was za mur.

– Tak to wygląda w skrócie. Musi pani teraz poczekać na koniec dryfowania. Wyszadzimy panią na jednej z rur doprowadzających powietrze.

Ześlizgnie się pani po niej albo zejdzie. Sugerowałbym kombinację obu technik. Proszę zapierać się rękoma i kontrolować opadanie stopami. Do powierzchni ziemi daleko i nie wiadomo, co tam pani zastanie.

– Nie wiecie tego? – Nadal trzymała maskę na czole, nie mając zamiaru odciąć się od nich za jej grubą skórą.

Cly podrapał się po policzku, a potem nałożył własną maskę, wielką i czarną, zakrywającą nos i usta. Gdy dociągnął paski, uszczelniając ją, jego głos brzmiał jak przytłumiony szept.

– Jeśli wysadzimy panią przy rurach doprowadzających powietrze, ma pani spore szanse wylądować w przepompowni. Niestety nie mam pojęcia, jak ona może wyglądać. Nigdy nie byłem w takim miejscu. Wiem tylko, że służy sztywniakom do zdobywania czystego powietrza.

Rodimer także nałożył maskę na swoje krągłe oblicze. Teraz tylko Briar nie miała ochrony na twarzy. A zaczynała już wyczuwać Zgubę w powietrzu, gorzkawy posmak tego, co czaiło się poniżej. Musiała w końcu opuścić maskę i uczyniła to bez dalszego wahania.

To było paskudne uczucie. Maską pasowała, ale nie do końca. Pasemko gumy otaczające część twarzową podwinęło się, uciskając skórę, a całość, ciężka i niewygodna, odstawała nieco na czole i policzkach. Briar poprawiła górne paski, starając się nie powyrywać sobie przy okazji zbyt wielu włosów.

Wnętrze maski cuchnęło gumą i... przypalonymi tostami. Ciężko jej było oddychać, nie mówiąc już o smaku wciąganego do płuc powietrza.

– Cóż to takiego? – zapytał Cly. – Stara MP80?

Skinęła głową.

– Z czasów ewakuacji.

– Dobry model – przyznał. – Ma pani zapasowe filtry węglowe?

– Nie, ale te nie były zbyt długo używane. Powinny sporo wytrzymać.

– Na pewno przydadzą się na jakiś czas. Może nawet na cały dzień, jeśli będzie pani miała odrobinę szczęścia. Proszę chwilę poczekać. – Sięgnął

pod konsolę i wyjął karton pełen czarnych krążków różnej wielkości. – Jaki ma pani rozmiar?

– Dwa i trzy czwarte.

– Mam trochę takich. Proszę wziąć kilka. Nie są zbyt ciężkie, przydadzą się w razie czego. – Wybrał cztery, przymierzając je do siebie, a potem oglądając pod światło padające zza szyby. Usatysfakcjonowany ich stanem podał filtry Briar. Gdy chowała je do sakwy, dodał: – A teraz proszę uważnie posłuchać. One nie wystarczą do utrzymania pani przy życiu przez kilka dni, a nie mam ich aż tak dużo, żeby panią zaopatrzyć. Musi pani szukać zabezpieczonych miejsc, w których jest powietrze nadające się do oddychania. Mają ich tam trochę na dole, tego akurat jestem pewien. Niestety nie mam pojęcia, jak je znaleźć.

Briar, opuszczając głowę, by zapiąć sakwę, uderzyła się boleśnie spodem maski w obojczyk.

– Dziękuję – powiedziała. – Był pan dla mnie bardzo miły, za co jestem niezmiernie wdzięczna. Jak już znajdę się tam, to znaczy w domu, mam na myśli ten dawny dom, w którym zresztą nie mieszkałam długo, poszukam pieniędzy, tych prawdziwych, i innych... cennych rzeczy. Chciałam tylko powiedzieć, że jakoś to panu wynagrodzę.

– Proszę się tym nie kłopotać – odparł ledwie słyszalnym głosem. –

Wystarczy mi, jeśli pani przeżyje. To ja tutaj jestem komuś coś winien, ale nie będę mógł uznać tego długu za spłacony, jeśli pani stamtąd nie wróci.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecała. – Proszę mi tylko wskazać drogę, abym mogła odszukać syna.

– Oczywiście. – Wskazał jej schody do ładowni. – Panie przodem.

Zejście po nich, gdy maska trzęsła się przy każdym kroku, nie należało do najłatwiejszych, nie mówiąc już o tym, że Briar nie widziała zbyt dobrze przez okrągłe grube soczewki, które zawężyły mocno pole widzenia. Smród panujący wewnątrz także ją zniesmaczał, lecz nie mogła nic na to poradzić, więc postanowiła udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku, oddycha bez trudu i nie czuje ciężaru zdzierającego jej skórę ze skalpu przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

W ładowni Fang obsługiwał bloki służące jako hamulce dla lin, na których wisały poszczególne zbiorniki na gaz. Rodimer pracował po drugiej stronie pomieszczenia, chwytając powleczone warstwą gumy puste worki i wypychając je na zewnątrz przez otwarty luk.

Briar przysunęła się ostrożnie do krawędzi prostokątnego otworu w dnie gondoli, by spojrzeć w dół. Nie zobaczyła jednak prawie nic, co bardzo ją zdziwiło, a nawet zaszokowało.

W luku widać było jedynie brązową mgłę, która spowijała miasto z wyjątkiem szczytów kilku najwyższych budynków. Żadnych ulic ani ciągów zabudowań. Żadnych śladów życia. Słyszała jedynie odległe, gorzko brzmiące skargi skrzeczących głośno czarnych ptaszysk.

Ale im dłużej wpatrywała się w ten widok, tym więcej niewyraźnych szczegółów dostrzegała w prześwitach między gęstszymi tumanami gazu. Tu na moment wyłonił się fragment dziwnego totemu, by zaraz zniknąć w rdzawej zawieszynie. Tam mignęła strzelista wieża kościoła, lecz opar połknął ją niemal natychmiast.

– Mówiliście coś o rurach doprowadzających powietrze...

W tejże chwili dostrzegła je. Statek wisiał dokładnie nad nimi, musiała wychylić się nieco mocniej, by trafiły w pole jej widzenia. Rura była jasna, pomalowano ją na jaskrawożółty kolor, teraz upstrzony w wielu miejscach ptasim guanem. Chwiała się lekko w przód i w tył, trzymana w ryzach przez wyglądające bardzo delikatnie dziwne rusztowanie, które przypominało jej nieco krynolinę. Briar nie widziała, do czego ta konstrukcja jest umocowana, ale przypuszczała, że musi to być jakiś budynek bądź pień uschniętego drzewa.

Rura wznosiła się wysoko nad powierzchnię brudnej mgły. Była na tyle szeroka, że mogłyby się w niej zmieścić dwie osoby. Briar wychyliła się jeszcze mocniej, aby sprawdzić, gdzie się kończy.

– Nadal jesteśmy za nisko – zawołał do niej Cly. – Proszę nam dać jeszcze chwilę. Wzbijemy się o kilka stóp, wtedy będzie pani mogła zeskoczyć. Gaz jest gęsty, będzie nas wypychał w górę, dopóki nie ściągniemy ładunku.

– Zeskoczyć? – powtórzyła za nim, mało się nie dławiając.

Świat pod jej stopami wirował, tak odległy, wyblakły i bezdenny.

Gdzieś tam, w tej gęstej mgle, był uwięziony i zagubiony jej piętnastoletni syn. Prócz zrozpaczonej matki nikt inny nie mógł zejść na dół, aby go uratować. Tylko ona zamierzała go odnaleźć i zabrać za trzy dni na pokład

„Wolnego Kruka”.

Skupianie się na tej myśli dla dodania sobie otuchy i odpędzenia koszmarnych wizji spaliło jednak na panewce.

– Rozmyśliła się pani? – zapytał Rodimer. Nawet przez grubą maskę Briar usłyszała ton nadziei w jego głosie.

– Nie. Nikt inny po niego nie pójdzie. On ma tylko mnie. – Mówiła te słowa, nie potrafiąc oderwać wzroku od mrocznego wiru kłębiącego się pod dnem gondoli.

Tymczasem „Naamah Darling” wzbijał się powoli w górę, wypychany przez masy gęstego gazu, dzięki czemu Briar miała coraz lepszy widok. Z

tego poziomu dostrzegła w odrażającej zawieszynie zarysy kolejnych rur.

Chwiały się niczym czułki gigantycznego owada kryjącego się we mgle.

Oplecione rusztowaniami kołysały się nieustannie pchane porywami wiatru, ale zawsze wracały do pionu.

W tejże chwili znaleźli się nad wylotem najbliższej rury. Była tak blisko, że Briar mogłaby jej dotknąć, gdyby się wychyliła. I zrobiła to, wyciągając dłoń przez otwarty luk. Jej palce musnęły

nieco szerszy kołnierz obramowania wylotu.

Rura była nierówna w dotyku i zarazem dziwnie śliska. Jakby wykonano ją z wielu warstw grubej tkaniny pokrytej potem warstwą wosku.

Niestety, przez tak grube soczewki nie była w stanie dostrzec innych szczegółów, musiała więc poprzestać na zgadywaniu. Do usztywnienia długiego rękawa użyto drewnianych obręczy. Znajdowały się mniej więcej co cztery stopy jedna od drugiej, nadając całości wygląd dżdżownicy o segmentowanej budowie.

W końcu statek osiągnął najwyższy punkt, wylot rury znalazł się prosto pod jego gondolą.

– Teraz, pani Wilkes, albo nigdy – powiedział kapitan.

Zaczerpnęła głęboko tchu, co było dość bolesnym przeżyciem, gdyż powietrze musiało najpierw pokonać filtry, zanim trafiło do płuc.

– Dziękuję – powtórzyła raz jeszcze.

– Proszę nie zapominać: zaparcie się rękami spowolni zjazd w dół.

– Nie zapomnę – obiecała.

Skinęła głową w stronę Rodimera i Fanga, a potem uchwyciła się mocno obramowania rury. Cly przeszedł na drugą stronę prostokątnego luku.

Oplątał sobie sieć towarową wokół nadgarstka, by nie stracić równowagi.

– Dalej – ponaglił ją. – Pomogę pani.

Mimo że nie tknął jej palcem, czuła go za sobą, wiedziała, że stoi z wyciągniętą dłonią gotów powstrzymać upadek, gdyby próbowała wyskoczyć w złym momencie. Nagle chwycił ją wolną ręką za łokieć.

Oparła się na nim i ostrożnie postawiła nogę na obramowaniu rury.

Teraz mogła się odbić od pokładu „Naamah Darling” i przywrzeć mocno do kołnierza. Zacisnęła powieki, ale niemal natychmiast otworzyła je znowu.

Wolała patrzeć, choć na sam widok robiło jej się niedobrze. Rura nie była wcale tak stabilna, na jaką wyglądała. Chwiała się na wszystkie strony i drgała. Mimo iż wszystkie te ruchy były dość wolne, leżąc na jej szczycie na tej wysokości, Briar miała z nimi spory problem. Wystarczyło przesunięcie o ułamek cala w przód bądź w tył, by zapierało jej dech w piersiach.

Z góry, z luku ładowni „Naamah Darling”, obserwowały ją trzy pary czujnych oczu. Statek znajdował się wciąż tak blisko, a jego kapitan miał

wystarczająco długie ręce, by sięgnąć po nią, gdyby o to poprosiła, i wciągnąć ją z powrotem na pokład. Była to tak kusząca alternatywa, że z trudem zdołała ją odrzucić.

Zamiast prosić o pomoc, zaczęła powoli zwalniać chwyt, drżący palec po palcu, i przesuwać ręce po kołnierzu. W końcu mogła usiąść na nim i przerzucić drugą nogę do wewnątrz. Zamarła w tej pozycji na moment jak przed włożeniem stóp do zbyt gorącej kąpieli. Potem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie przez ramię – na tyle krótkie, żeby nie zmienić zdania –

zanurkowała w głąb mrocznej rury prowadzącej do przepompowni czystego powietrza.

Wodnistą szarość poranka natychmiast zastąpiła smolista czern.

Zmianie tej towarzyszył głośny huk.

Robiła, co mogła, by spowolnić tempo zsuwania się w mrok, rozcapierzając ręce i nogi, lecz już po chwili dotarło do niej, że musi jedną dłonią podtrzymywać maskę, żeby nie zerwał jej pęd powietrza. Tyle że gdy to robiła, mogła balansować tylko trzema kończynami. A to nie wystarczało do kontrolowania lotu we wnętrzu rury, w której raz po raz rozlegały się upiorne dźwięki, jakby gdzieś tam w dole czekał na nią dyszący potwór.

Czuła uderzenia powietrza. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Wyczuwała instynktownie, że zbliża się do dna, chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak uważa. Zmusiła się więc do ostatniego desperackiego wysiłku, aby nie uderzyć z impetem w ziemię. Głowę trzymała prosto, stopami, kolanami i prawą dłonią zapierała się do granic bólu. I zatrzymała się w końcu, gdy jej stopy natrafiły na nieco grubsze ożebrowanie niż te, które mijała wyżej. Poczuta, że coś pociąga poty jej płaszcz wraz z zasysanym powietrzem, a potem popycha je w przeciwnym kierunku przy akompaniamencie głośnego sapnięcia. Była wdzięczna Bogu, że nie włożyła na tę wyprawę spódnicy.

Kierunek przepływu powietrza zmieniał się mniej więcej co dziesięć sekund.

W smolistej ciemności pod stopami nie mogła dostrzec niczego, ale pomiędzy głośnymi sapnięciami do jej uszu docierały pomruki jakiejś maszyny i dźwięczny klekot uderzającego o siebie metalu.

Kolejne oddechy rozwiewały ze świstem włosy Briar, szarpiąc połami jej płaszcz i sakwą. Kapelusz unosił się jej nad głową niczym prawdziwy balon, utrzymując się tylko dlatego, że nałożyła uprząż maski na zawiązany pod brodą rzemień.

Nie mogła tkwić w tym miejscu w nieskończoność, niemniej bała się efektów dalszego spadania w mroczną czeluść. Każdemu oddechowi maszyny towarzyszył klekot kojarzący się jej z pracą wielkich kół zębatych.

Wydawał się bliski, choć nie aż tak bardzo, by mógł stanowić bezpośrednie zagrożenie. Aczkolwiek w tej sytuacji ciężko jej było ocenić, co może naprawdę być niebezpieczne.

Gdy pęd powietrza znów zmienił kierunek, odważyła się zdjąć stopę z obręczy i oprzeć ją na ścianie

poniżej. Poruszyła nią wokół, starając się wymacać coś na ślepo. Nie wyczuła jednak niczego, więc opuściła ją jeszcze bardziej, przenosząc cały ciężar ciała na ręce, co było w tym momencie nieco łatwiejsze, gdyż podmuch powietrza znów zmienił kierunek.

Opuściła nogę o kolejne kilka cali. Niestety, mimo, że miała ostatnią obręcz na wysokości piersi, jej dyndające wyciągnięte stopy nadal na nic nie trafiły. Zaryzykowała i opuściła się jeszcze bardziej, zawisając na rękach.

Jest!

Stopy otarły się o coś miękkiego. Odsunęła to na bok, gdy nacisnęła nieco mocniej podszwą, ale zaraz poczuła miękką powierzchnię w innym miejscu. Cokolwiek to było, wydawało się wystarczająco mocne, więc w końcu z umęczonych dłoni wypuściła krawędź obręczy.

Spadła, lecz niedaleko, lądując na czworaka.

Niewielkie wybrzuszenia pod jej dłońmi i kolanami popękały z cichym sykiem, a gdy powietrze znów zmieniło kierunek, poczuła, jak kawałki czegoś wlatują w górę, wplątując się jej we włosy. To były ptaki, martwe –

niektóre nawet od dawna, sądząc po kruchości truchel i smrodzie rozkładu.

Odłamane skrzydła furkotały w powietrzu unoszone silnym prądem. W tym momencie poczuła wielką radość, że niczego nie widzi.

Z początku się zastanawiała, dlaczego martwe ptaki nie unoszą się w górę rury przy każdym „wydechu”, dość szybko jednak zrozumiała, że miejsca, gdzie zalegały truchła, nie były narażone na oddziaływanie prądów powietrza. Utwierdziła się w tym przekonaniu, gdy spróbowała wstać i przywaliła głową w jakąś przeszkodę.

Znajdowała się w niewielkim zagłębieniu służącym zapewne do zbierania padliny. Za drugim razem podźwinęła się znacznie wolniej, wyciągając w górę obie ręce, aby oszczędzić sobie kolejnego bolesnego przeżycia, i obmacała dokładnie całą komorę.

Dotknęła koniuszkami palców ściany. Gdy nacisnęła nieco mocniej, poczuła, że mur ustępuje, i zrozumiała, że nie ma do czynienia z przeszkodą wykonaną z cegieł albo kamienia. Była jednak grubsza od znanych jej materiałów. Możliwe, że wykonano ją ze skóry. Najprawdopodobniej z kilku warstw sklejonych ze sobą, ale tego nie mogła być pewna. Zaczęła ją obmacywać, szukając szwów lub jakiegoś zamka.

Nie znalazłszy niczego takiego, przytknęła ucho do miękkiej przeszkody. Była niemal pewna, że słyszy po drugiej stronie ludzkie głosy.

Ściana była zbyt gruba albo mówiący stali za daleko, by dało się zrozumieć słowa, niemniej nie miała wątpliwości, że ktoś tam rozmawia.

Zaraz też zaczęła sobie wmawiać, że to dobry znak – skoro w mieście nadal żyją ludzie i w sumie



dobrze się mają, to i Zeke powinien być wśród nich bezpieczny.

Wydawało jej się jednak, że jest zbyt wcześnie, by zwracać na siebie uwagę tych ludzi. Dlatego przysiadła w tym mrocznym miejscu pełnym padniętych skrzydlatych stworzeń, rozmyślając, jakie ma szanse, aby się dowiedzieć czegoś o tym, co może ją czekać po drugiej stronie. Miała zarazem świadomość, że nie może siedzieć na tym cmentarzysku w nieskończoność. Nie mogła udawać, że jest tutaj bezpieczniejsza. Musiała zacząć działać.

A nade wszystko wydostać się z tych ciemności.

Zwinęła dłonie w pięści i zaczęła uderzać w miękką powierzchnię ściany.

– Hej! – wołała. – Czy ktoś mnie słyszy?! Jest tam kto? Hej! Utknęłam w tym... czymś! Jak stąd wyjść?!

Chwilę później mechaniczny oddech zelżał, zwolnił i w końcu zamarł

zupełnie. Teraz do Briar znacznie wyraźniej dochodziły głosy z drugiej strony. Ktoś usłyszał jej wołania, o czym bez wątpienia świadczyła nerwowa wymiana zdań. Niestety, tak stłumiona, że nie dało się określić, czy ci ludzie są wściekli, zadowoleni, zdziwieni czy może przestraszeni.

Uderzała w ścianę raz po raz, wołając o pomoc, póki za jej plecami nie pojawiła się smuga światła. Obróciła się, rozdeptując przy okazji kolejne truchło, i osłoniła maskę dłońmi. Słup światła, mimo że bardzo wąski, raził

jej oczy, jakby spoglądała prosto w słońce. Chwilę później w jasność wrył się obrys gołej głowy.

Usłyszała wypowiedane przez mężczyznę słowa, szybkie i niezrozumiałe. Machał do niej ręką, jakby ją przywoływał. Jakby ponaglał do wyjścia ze zbiornika do wychwytywania martwych ptaków.

Wyciągnęła ręce przed siebie i ruszyła w jego kierunku.

– Pomóż mi – prosiła, starając się panować nad głosem. – Tak, tak, dziękuję. Wyciągnij mnie stąd.

Ujął ją za rękę, przyciągnął do siebie i za ścianę do pomieszczenia pełnego dokładnie obudowanych palenisk. Zacisnęła powieki, by zminimalizować ból w oczach po tak nagłym wyjściu z kompletnych ciemności prosto w blask płomieni i drażniącego dymu czy pary. Aby obejrzeć wszystkie zakamarki pomieszczenia, musiała obrócić głowę, maska bowiem mocno ograniczała jej pole widzenia.

Za sobą po lewej dostrzegła ogromne miechy, identyczne jak te, których ludzie używali w domowych paleniskach, tylko wielokrotnie od nich większe. Tymi poruszała skomplikowana machina – zęby na jej kołach były większe od dorodnych jabłek. Obok znajdowała się dźwignia, która wprawiała je w ruch i umożliwiała korzystanie z miechów. Teraz spoczywała przy obudowie urządzenia, jakby nie od niej zależało, czy to monstrum ożyje.

W rzeczy samej głównym napędem owej maszyny był znajdujący się parę jardów dalej spory, mocno okopcony piec. Miał otwarte drzwiczki, obok nich stał mężczyzna z szuflą. Z miechów wystawały cztery rury, każda zrobiona z innego materiału i pomalowana na inny kolor. Metalowy cylinder łączył je z piecem. Żółta biegła tam, skąd wyszła Briar, niebieska, z materiału, prowadziła do sąsiedniego pomieszczenia, a szara – która mogła być kiedyś biała – zniknęła w sklepieniu.

Ludzie stojący wokół zadawali pytania w języku, którego Briar zupełnie nie rozumiała. Czuli też dotyk dłoni chwytających ją za ręce i klepiących po plecach. Można by pomyśleć, że pracuje tutaj tuzin mężczyzn, ale nie, było ich zaledwie czterech.

Sami Azjaci, zapewne Chińczycy, domyśliła się, widząc ich wysoko wygolone czoła i warkocze. Spoceni na całym ciele, noszący grube fartuchy, które chroniły ich nogi i odkryte klatki piersiowe, mieli też gogle z zaciemnionymi szklarni, aby nie oślepli, patrząc prosto w ogień, który kazano im podsycać.

Briar odsunęła się od nich, przechodząc w spokojniejszy kąt pomieszczenia, gdzie nie było pieca ani otwartego paleniska.

Gdy poszli za nią, nadal gadając w języku, którego nie potrafiła zidentyfikować, sięgnęła za plecy i

wyjęła karabin. Wymierzyła w najbliższego, potem w drugiego, trzeciego, czwartego i w dwóch kolejnych, których zwabiły do kotłowni podniesione głosy kompanów.

Nawet przez węglowe filtry maski czuła kwaśny posmak spalenizny unoszący się w powietrzu. Dławił ją, choć przecież nie powinien. Oczy także zaczynały jej łzawić, mimo że nie miały kontaktu z atmosferą na zewnątrz.

Tego było już za wiele – zamaskowani gadający bez ustanku mężczyźni, te paleniska, łopaty, maszyny i kubły węgla. Półmrok panujący w zamkniętych klaustrofobicznych pomieszczeniach potrafił przytłoczyć mimo blasku rozżarzonych węgla i jasnożółtych płomieni bijących z palenisk pieców. Wokół niej roilo się od ruchomych cieni. Były ostre i przerażające, zwłaszcza gdy przesuwały się po mechanizmach i ścianach.

– Trzymajcie się z dala ode mnie! – zawołała Briar, nie myśląc zupełnie o tym, że mogą jej najzwyczajniej w świecie nie rozumieć lub nie słyszeć, skoro mówiła przez maskę. Potrząsnęła więc karabinem, dźgając lufą powietrze na prawo i lewo.

Azjaci podnieśli ręce i cofnęli się, nie przestając na moment terkotać między sobą. Może i nie znali angielskiego, ale karabin przemówił do nich w bardzo zrozumiałym języku.

– Jak mogę stąd wyjść? – zapytała w nadziei, że któryś jednak zna choć parę angielskich słów i zdoła się z nią porozumieć. – Wyjście! Jak stąd wyjść?

Ktoś odpowiedział jej z kąta jednosylabowym słowem, lecz nie usłyszała go za dobrze. Odwróciła się szybko, by sprawdzić, kto się odezwał, i ujrzała starszego mężczyznę o siwych włosach i równie jasnej brodzie. Jego oczy pokryte były bielmem, nawet przy tak marnym oświetleniu, jakie panowało w miechowni, widziała, że ma do czynienia z niewidomym.

Azjata uniósł kościstą rękę i wskazał korytarz pomiędzy jednym z pieców a maszyną większą od wozu. Nic zauważyła go wcześniej. Pograżony był w mroku i nie szerszy od biurka. Najwidoczniej służył wyłącznie za wejście i wyjście dla ludzi.

– Wybacz – przeprosiła go. – Wybaczcie – powtórzyła, kierując to słowo do pozostałych, ale nie opuściła karabinu. – Wybaczcie – dodała raz jeszcze, cofając się w głąb korytarza.

Gdy znalazła się w węższej jego części, natychmiast zaczęła biec. Po kilku krokach coś uderzyło ją w twarz, nie zareagowała jednak, pochyliła się nieco i jeszcze bardziej przyspieszyła, widząc przed sobą nieco lepiej oświetlony odcinek, w którym stało kilka osłoniętych świec. Obejrzała się i dostrzegła w półmroku za sobą niezbyt szerokie pasma zwisającego z sufitu materiału powleczonego warstwą gumy. Tworzyły coś w rodzaju zasłony, blokującej dostęp dymu i iskier do tej części pomieszczenia.

Po lewej zauważyła też kilka okien, zasłoniętych albo zaklejonych podobnym materiałem, papierami, smołą, jednym słowem wszystkim, co mogło powstrzymać napływ zabójczego gazu.

Briar dyszała wewnątrz maski, walcząc o każdą porcję tlenu wciąganego do płuc. Niestety, nie mogła

się zatrzymać i odpocząć, nie teraz, gdy lada moment Azjaci mogli ruszyć za nią w pościg. Nie mogła stanąć, zanim się nie dowie, gdzie wylądowała.

Otoczenie wydawało jej się znajome. Może nie bardzo, na pewno nie bywała tutaj zbyt często, lecz w dawnych czasach za dnia mogła tu zajrzeć kilka razy. Czuła ból w klatce piersiowej i pieczenie w łokciach otartych podczas szaleńczej jazdy żółtą rurą.

Ale myślała teraz wyłącznie o wyjściu. O tym, gdzie się znajduje, dokąd ją zaprowadzi i co tam znajdzie.

Korytarz wychodził na sporą halę zastawioną wyłącznie beczkami oraz skrzyniami różnego kształtu i wielkości. Wisiały tu też dwie lampy, po jednej na każdym końcu długiej drewnianej ludy. Dzięki nim widziała wszystko wyraźniej mimo ograniczeń, jakie zawdzięczała masce.

Wytężyła słuch, lecz nie dotarły do niej żadne dźwięki świadczące o pościgu. Zwolniła więc nieco, by odzyskać oddech i przyjrzeć się lepiej stojącym tu skrzyniom i przybitym na nich stemplom. Trudno jej jednak było odzyskać spokój. Musiała wciągać powietrze przez filtry, by napełnić nim płuca, a było go wciąż zbyt mało bez względu na to, jak bardzo się starała.

Maszkę zaś bała się zdjąć, było na to za wcześnie, najpierw musiała znaleźć wyjście prowadzące na ulicę, które wciąż wypełniała gruba warstwa gęstego gazu. Zaczęła czytać napisy na skrzyniach, wypowiadając je pod nosem, jakby to była mantra.

Len. Smoła pogazowa. Ośmiopensowe gwoździe. Półgalonowe butelki ze szklą.

Za sobą usłyszała głosy. Może to byli tamci Azjaci, a może zupełnie kto inny.

Wielki drewniane wrota z przeszkolonymi otworami zostały zabezpieczone smolistą masą. Briar naparła na nie ramieniem. Nawet nie drgnęły, stały jak wmurowane, nie wydając najmniejszego dźwięku. Obok nich po lewej znajdowało się okienko identycznie zabezpieczone. Zakryto je deskami, zalepiając łączenia i boki roztopioną smołą.

Po prawej zauważyła kolejną ladę. A za nią schody prowadzące w dół, w jeszcze gęstszej ciemności. Nad nimi ktoś umieścił kilka świec.

Mimo głośnego dyszenia i szelestu maski ocierającej się o włosy Briar słyszała wyraźnie odgłos zbliżających się kroków. Głosy także stały się wyraźniejsze, a ona nie miała gdzie uciec. Mogła albo zawrócić do korytarza wypełnionego zbliżającymi się Azjatami, albo zaryzykować zejście po schodach prosto w paszczę czającego się tam być może niebezpieczeństwa.

– Idę na dół – wyszeptała do siebie. – Tak, idę na dół.

Mało brakowało, a stoczyłaby się z trzeszczących przeraźliwie stopni.

## **ROZDZIAŁ 10**

Zeszli na parter hotelu przylegającego do piekarni. Zeke podążał tuż za Rudim i bladym płomieniem

niesionej przez niego świeczki. Gdy zeszli do piwnic, trafili do kolejnego tunelu obramowanego cegłami i rurami. Schodzili nim jeszcze niżej – chłopak wyczuwał stromiznę przy każdym kroku.

– Wydawało mi się, że mamy wejść na wzgórze – zauważył w końcu.

– Dojdziemy i tam – uspokoił go przewodnik. – Już ci mówiłem, czasami trzeba zejść niżej, żeby dostać się wyżej.

– Wydawało mi się, że tam stały głównie domy mieszkalne. Mama opowiadała mi wyłącznie o sąsiadach i ich posesjach. A my kręcimy się po podziemiach jakichś dużych budynków, takich jak choćby ten hotel.

– Budynek, przez który przechodziliśmy przed chwilą, nie był hotelem, tylko kościołem – wyjaśnił mu Rudi.

– Trudno to zauważyć, kiedy człowiek widzi budynek z perspektywy piwnicy – narzekał Zeke. – Kiedy w końcu będziemy mogli zdjąć te maski?

Ponoć mieliście mieć tutaj świeże powietrze. Tak mi przynajmniej mówił

mój kolega Rector.

– Sza! – uciszył go Rudi. – Słyszałeś?

– Niby co?

Stali obok siebie zastygli w bezruchu pod poziomem ulicy, między ścianami pokrytymi pleśnią i jakimś paskudztwem. Osadzone w sklepieniu świetliki dawały tylko tyle światła, by mogli widzieć najbliższe otoczenie.

Zeke nie mógł wprost uwierzyć, że na zewnątrz jest już dzień. Wątki blask padający z góry nie był w stanie przebić ciemności panujących pomiędzy kolejnymi świetlikami. Na sporej przestrzeni w tunelu panowała ćma jak w kałamarzu. Rudi i Zeke przemykali z ciemności w ciemność, jakby tylko tam mogli znaleźć bezpieczną kryjówkę, w której nikt ich nie dostrzeże i nie dotknie.

Tu i ówdzie ze sklepienia kapwały krople wody, które jakimś cudem zdołały przeniknąć tak głęboko pod ziemię. Z góry dobiegały też odgłosy podobne do turkotu kół, ale chłopak nie słyszał niczego, co by się poruszało gdzieś blisko.

– Czego mam nasłuchiwać? – zapytał.

Rudi zmrużył oczy za soczewkami.

– Wydawało mi się, że ktoś idzie za nami. A maski zaraz zdejmujemy.

Musimy tylko dojść...

– Tak, wiem, na wzgórzu.

– Zamierzałem powiedzieć – warknął mężczyzna gniewnym tonem –

że najpierw musimy dojść do tej części miasta, w której najmniej się teraz dzieje. Ale żeby tam dotrzeć, trzeba pokonać tę dzielnicę, dopiero potem dostaniemy się do zabezpieczonych budynków. Tam będziesz mógł zdjąć maskę.

– Zatem na wzgórzu nadal mieszkają ludzie?

– Tak. Oczywiście. Tak – powtórzył, lecz natychmiast zamilkł, znów wyęzając słuch.

– O co chodzi? – zapytał Zeke, wsuwając dłoń do torby. – To zgnilasy?

– Nie sądzę – odparł Rudi – ale coś tu jest nie tak.

– Ktoś za nami idzie?

– Cicho – syknął Chaos. – Coś jest nie tak.

Zeke dostrzegł to pierwszy. Coś kryło się na skraju najbliższej plamy ciemności, w której nikt nie mógł ich dostrzec ani tknąć. Nie poruszało się, raczej zmieniało kształt, z bezpostaciowej formy mniej więcej jego wzrostu przeobraziło się w coś bardziej kanciastego – i bez wątpienia noszącego ubranie, w mroku błysnął bowiem refleks odbity od wypolerowanej powierzchni guzika.

Najpierw z ciemności wyłoniły się buty tej postaci, potem nogawki wetknięte w cholewy, wypchane kolana prostujące się, jakby ten ktoś właśnie wstawał. Do tego mankiety kurtki, szwy koszuli i w końcu profil, wyraźny i szokujący.

Głos uwiązał mu w gardle, ale Rudi nie potrzebował dodatkowego ostrzeżenia, już się obracał na zdrowej nodze.

Zeke się zdziwił, widząc, iż mężczyzna unosi laskę do ramienia, jakby to była strzelba, moment później jednak, gdy jej koniec celował w czającą się w mroku postać, Rudi pociągnął za jakiś mechanizm ukryty w ręczce. Huk, który dotarł do uszu chłopaka, był równie głośny i ostry jak każdy wystrzał z broni palnej, jaki zdarzyło mu się wcześniej słyszeć – aczkolwiek musiał

przyznać, że niezbyt często był świadkiem strzelaniny.

Przez tunel przetoczyło się echo wystrzału, a obserwująca ich postać zniknęła w mroku.

– A niech to szlag – zaklął Rudi. – Za szybko pociągnąłem za spust.

Przestawił jakąś dźwigienkę na lasce, przeładował ją i wymierzył

ponownie w ciemność skrywającą prześladowcę, który nie padł jak długi po pierwszym strzale. Zeke ukrył się za plecami Rudiego, gdyż lufa broni wodziła od prawej do lewej i z powrotem.

Chłopak z trudem łapał dech, był też na wpół ogłuszony hukami broni.

– Widziałem go! – wydarł się. – Stał tam! Czy to był zgniłaś?

– Nie. Zamkniesz wreszcie tę paszczę? Zgnilasy nie...

Zamilkł w pół zdania, słysząc charakterystyczny świst zakończony metalicznym stuknięciem w zmurszałe cegły. I zobaczył źródło tego dźwięku tuż przy swojej głowie. Mały nóż z oprawioną w skórę rączką wbił się w ścianę tuż obok jego ucha – tak blisko, że sekundę czy dwie później zaczęło lekko krwawić.

– Czy to ty, Angelino? – warknął Rudi, a potem dodał, zniżając głos: –

Teraz widzę cię lepiej, rusz się, a przewentyluję ci flaki. Przysięgam na Boga. Wylaż stamtąd natychmiast i stań w miejscu, gdzie będziemy cię obaj widzieli.

– Za jak wielką idiotkę masz mnie, ty stary capie? – Mówiąca te słowa osoba miała dziwny głos i akcent, którego Zeke nie potrafił rozpoznać.

– Za wystarczająco durną, byś chciała przeżyć następną godzinę –

odparł Rudi. – I nie zgrywaj się tu przede mną, księżniczko. Nie powinnaś wkładać rzeczy brata, jeśli chcesz podejść kogoś w ciemnościach. Stąd widzę, jak lśnią jego guziki – poinformował. Ledwie skończył mówić, kurtka śmignęła w powietrzu i wylądowała w kręgu światła.

– A to suka! – syknął Rudi, omiatając tunel laską. Popchnął Zeke'a ręką w tył, w kolejną strefę cienia, gdzie nie docierało światło dnia. Zamarli tam, kuląc się obok siebie i nasłuchując zbliżających się kroków. Ciszę przerwały dopiero słowa dobiegające z oddali:

Dokąd prowadzisz tego chłopca, Rudi? Co masz zamiar z nim zrobić?

Zeke pomyślał, że albo jest zachrypnięta, albo ktoś zranił ją kiedyś w krtań. Chrypiała, jakby ktoś oblepił jej migdałki smolą.

– Nie twoja sprawa, księżniczko – burknął Chaos.

Zeke nie potrafił się powstrzymać, by nie zadać tego pytania, choć wiedział, że nie powinien tego robić.

– Dlaczego nazywasz ją księżniczką?

– To ty, chłopcze? – odezwała się znowu. – Jeśli masz choć odrobinę oleju w głowie, zostaw tego starego dezertera w spokoju. On cię nie zaprowadzi w bezpieczne miejsce.

– Idę do mojego domu! – wrzasnął Zeke prosto w ciemność.

– Idziesz prosto na śmierć albo jeszcze gorzej. On cię prowadzi do swojego szefa, licząc na jakieś

profity. Zapewniam cię, że tą drogą nie dotrzesz do żadnego domu, chyba że mieszkałeś w podziemiach dawnej stacji kolejowej.

– Powiedz jeszcze słowo, Angelina, a zacznę strzelać! – ostrzegł ją Rudi.

– Śmiało – zachęciła go. – Oboje wiemy, że w tym grzmiącym kiju masz co najwyżej dwa naboje. Zatem strzelaj, zostało mi jeszcze tyle noży, że przerobię cię na tatar, choć wystarczy jeden, żeby cię spowolnić wystarczająco.

– Czy ja rozmawiam z księżniczką? – dopytywał się Zeke.

Rudi zatkał mu usta czymś kościstym obleczonym w gruby materiał.

Chłopak przypuszczał, że to łokieć, ale w tych ciemnościach nie mógł tego sprawdzić. Poczuł za to krew sączącą się z dziąsła między zębami. Chwycił

się za szczękę i wymamrotał pod nosem wszystkie przekleństwa, jakie znał.

– Odejdź, Angelina. To nie twoja sprawa.

– Ja wiem, dokąd zmierzasz, czego nie można powiedzieć o tym chłopcu. A to znaczy, że to także moja sprawa. Możesz sprzedać własną duszę, stary draniu, ale na pewno nie pociągniesz za sobą tego dzieciaka. Nie pozwolę ci, byś go zaprowadził na ziemię niczyją.

– Tego dzieciaka? – zachnął się Zeke. – Ja mam nazwisko, paniusiu!

– Wiem. Jesteś Ezekiel Blue, choć mama nazywa się teraz Wilkes.

Słyszałam, jak mu to mówiłeś tam, na dachu.

– Ja się nim teraz opiekuję! – wrzasnął Chaos.

– Zabierasz go do...

Zabieram go w bezpieczne miejsce! Robię to, o co mnie poprosił!

Kolejny nóż świsnął w ciemności, wyleciał z cienia i na powrót się w nim skrył. Rudi jęknął cicho. Zeke nie usłyszał charakterystycznego stukotu o cegły za jego plecami. Moment później kolejne ostrze przecięło powietrze, lądując na ceglach z cichym trzaskiem. Rudi wystrzelił, zanim nadleciało trzecie, lecz zaskoczenie bądź przypadek nie pozwoliły mu dobrze wycelować i kula poszła górą.

Najbliższa podpora tunelu rozszczerpiła się, zatrzęsała i runęła...

podobnie jak ściana gruzu znajdująca się za nią. Zapadlisko się rozszerzyło, sięgając po kilka jardów w każdym kierunku, ale Rudi na to nie czekał, kuśtykał już pospiesznie, opierając się na strzelającej lasce. Zeke chwycił się poły jego płaszcza i gnał za nim w kierunku następnego lawendowego świetlika, który wpuszczał do tunelu światło dzienne.



Posuwali się do przodu małymi krokami, uciekając przed zawałającym się coraz szybciej sklepieniem. W tej chwili między nimi a kobietą, z którą rozmawiali w grobowej ciemności, znajdował się z akr ziemi i kamieni.

– Przecież tędy przyszliśmy! – zaprotestował Zeke, widząc, gdzie Rudi go ciągnie.

– Bo tunel przed nami jest zasypany. Ale nic to, cofniemy się po własnych śladach i znajdziemy obejście.

– Kim ona jest? – wysapał chłopak. – To prawdziwa księżniczka? – A potem ze szczerym zdumieniem w głosie dodał jeszcze: – Czy to na pewno kobieta? Mówiła jak mężczyzna. Mniej więcej.

– Chrypiała, bo jest stara – odparł Rudi, zwalniając kroku, gdy zauważył, że za nimi jest tylko zawał. – Jest tak stara jak te wzgórza, wredniejsza od borsuka i paskudna niczym owoc kazirodztwa.

Zatrzymał się pod kolejnym świetlikiem, tym razem purpurowym, by obejrzeć się w świetle. Właśnie tam Zeke dostrzegł na jego ręce krew.

– Trafiła? – zapytał głupio, o czym sam doskonale wiedział.

– Tak, trafiła.

– Gdzie nóż? – Chłopak chciał go koniecznie zobaczyć, więc nie spuszczał z oczu rozcięcia w grubym płaszczu.

– Wyjąłem go tam, na miejscu. – Chaos sięgnął do kieszeni i pokazał

mu niewielkie umazane posoką ostrze. – Nie mam zamiaru go wyrzucać. Po mojemu jeśli cisnęła nim we mnie, to jest teraz mój.

– Jasne – zgodził się Zeke. – Nic ci się nie stało? I gdzie teraz pójdziemy?

– Jakoś to przeżyję. Pójdziemy tamtym tunelem. – Rudi wskazał

kierunek. – A tamtym przyszliśmy. Księżniczka pokrzyżowała nam plany, ale tędy też przejdziemy. Chciałem po prostu ominąć tereny należące do Chińczyków.

Chłopak chciał zadać tak wiele pytań, że nie potrafił się zdecydować, od którego zacząć. W końcu uznał, że pierwsze będzie najwłaściwsze.

– Kim ona jest? To prawdziwa księżniczka?

– Żadna tam dama – burknął Rudi – tylko stara baba. Można by ją uznać za księżniczkę, gdyby Indianie mieli królewskie rody.

– To indiańska księżniczka?

– Taka z niej indiańska księżniczka jak ze mnie odznaczony wieloma medalami porucznik. To znaczy kiedyś może i była księżniczką, ale teraz na pewno już nie jest. – Spojrzał na ramię i skrzywił się, bardziej jednak ze wściekłości niż z bólu.

– Byłeś porucznikiem? A w jakiej armii?

– Zgadnij.

Pod następnym świetlikiem Zeke przyjrzał się płaszczowi Rudiego i zauważył na nim kilka ciemniejszych granatowych plam.

– Chyba Unii, sądząc po kolorze płaszcza. I nie mówisz z takim akcentem jak Południowcy, których widywałem.

– Tu mnie masz – mruknął Chaos.

– Ale nie walczysz już po ich stronie?

– Nie. Nie walczę. Wydaje mi się, że przeżuli mnie wystarczająco dokładnie, zanim wypluli. Jak sądzisz, dlaczego kuleję? Dlaczego muszę chodzić o lasce?

– Może dlatego, żeby inni nie wiedzieli, że jesteś uzbrojony – odparł

chłopak, wzruszając ramionami. – Dzięki temu możesz zabijać innych z zaskoczenia.

– Bardzo zabawne – odparł Chaos, lecz sądząc z tonu, on także uśmiechnął się pod nosem. Po dłuższej chwili, gdy Zeke już uznał, że to jedyna reakcja na jego słowa, dodał jeszcze: – Dostałem odłamkiem szrapnela pod Manassas. Rozwalił mi całe udo od tyłu. Pozbyli się mnie potem, a ja, odchodząc, ani razu się nie obejrzałem.

Zeke zapamiętał jednak, jak nazwała go Angelina.

– Dlaczego mówiła, że jesteś dezertorem? – wrócił do tematu. –

Naprawdę zdezerterowałaś?

– Ta baba jest starą dziwką i zabójczynią na dodatek. To skończona wariatka, ma przy tym na pieńku z facetem, dla którego czasem pracuję.

Chce go zabić, ale nie ma na to szans, dlatego tak się wścieka. I wyżywa się na pozostałych. – Sięgnął do zagłębienia w ścianie, postawił w nim świecę i wyjął zapałki. – Tam już nie ma świetlików – wyjaśnił. – Nie będziemy potrzebowali wiele światła, tyle że bez niego też się nie obejdziemy.

– Jak jest na wojnie? – zapytał Zeke, zmieniając temat.

– Istna jatka, ty głupi szczyłu – obsztorcował go Rudi. – Wszyscy, których lubiłem, poginęli, a

większość tych, których sam bym z największą przyjemnością zastrzelił, przeżyło i jeszcze dostało medale. Wojna nie jest sprawiedliwa. To nie zabawa, chłopcze. I tylko Bóg jeden wie, czemu trwa od tak dawna.

– Wszyscy mówią, że powinna się niedługo skończyć. – Zeke powtarzał słowa zasłyszane nie tak dawno temu. – Anglicy podobno mają wycofać swoje wojska z Południa. Może i przełamali blokadę już dawno temu, ale...

– Za moment znowu zostanie przywrócona – zgodził się Rudi. – Północ przydusza ich powolutku, co jest najgorszym rozwiązaniem. Dla obu stron zresztą. Ileż to razy życzyłem sobie, aby ta sytuacja uległa odmianie, ale wiesz, jak to mówią: „Gdyby życzenia były końmi, żaden żebrak nie chodziłby pieszo”.

– W życiu nie słyszałem tego powiedzenia. – Zeke wyglądał na skołowanego. – Nie jestem nawet pewien, czy je dobrze zrozumiałem.

– Znaczy to tyle, że gdybyś słuwał na jedną dłoń, a na drugą składał spełnione życzenia, o wiele szybciej zapełniłbyś tę pierwszą.

Chwycił świecę i uniósł ją wysoko, prawie pod drewniane sklepienie.

Wszystko wokół nich było wyblakłe i przesiąknięte wilgocią. Słyszeli nad głowami odgłosy krzątający, ktoś przechodził w jedną stronę, potem w drugą. Zeke się zastanawiał, czy słyszą echa kroków zgnilasów czy może raczej sztywniaków, ale tego chyba nawet Rudi nie wiedział – a jeśli było inaczej, nie wykazywał chęci, by podzielić się tą wiedzą.

Za to bardzo chętnie mówił o wojnie.

– Chciałem przez to powiedzieć, że gdyby ten ich generał, zdaje się Jackson mu było, zginął pod Chancellorsville, na co wszystko wtedy wskazywało, wojna potrwałaby kilka lat krócej, a Południe musiałoby paść na kolana o wiele wcześniej. Facet tymczasem się wykaraskał i nadal walczyli pod jego przewodem, utrzymując linię frontu. Drań oślepi na jedno oko, nie miał ręki i straszył dzieciaki, kiedy wychodził na ulicę, ale łeb miał

nie od parady i potrafił dowodzić wojskami. To trzeba mu przyznać.

Skręcił po raz kolejny, tym razem tunel biegł w lewo i nieco pod górę.

Kilka schodków doprowadziło ich do kolejnego kanału, znacznie staranniej wykończonego. Tutaj znów trafili na świetliki, Chaos mógł więc zdmuchnąć świeczkę i odstawić ją do wnęki w ścianie.

– A potem – kontynuował – gdyby udało się zbudować linię kolejową wprost do Tacomy, a nie tę prowadzącą na południe, pozbawilibyśmy ich najlepszego szlaku zaopatrzeniowego, co też skróciłoby walki o parę ładnych lat.

– No tak, to zrozumiałem – chłopak skinął głową.

– Świetnie, ponieważ usiłuję ci wytłumaczyć, że z konkretnych powodów ta wojna wciąż trwa, a większość z nich nie ma nic wspólnego z twardym oporem stawianym przez Południowców. Rządzi nami łut szczęścia i przypadek. No i fakt, że na Północy mieszka znacznie więcej ludzi, co w końcu musi przeważać szalę zwycięstwa. Zobaczysz, jak nie jutro, to za jakiś czas będziemy świadkami końca tej wojny.

– Też mam taką nadzieję – odparł po chwili Zeke.

– Dlaczego?

– Mama chce jechać na wschód. Uważa, że tam będzie nam lepiej, oczywiście jeśli wojna się skończy. W każdym razie lepiej niż tutaj. – Kopnął

kawałek zmurszałej cegły i poprawił torbę na ramieniu. – Życie tutaj... jak by to powiedzieć... nie jest łatwe. Gdzie indziej z pewnością nie może być gorsze.

Rudi nie skomentował tej wypowiedzi od razu.

– Chyba wiem, dlaczego jest ci tu tak ciężko – stwierdził po chwili. – I twojej matce też. Przyznam, że zastanawiałem się już, dlaczego nie zabrała cię stąd, kiedy byłeś mniejszy. Za moment dorośniesz, staniesz się mężczyzną i sam będziesz mógł decydować, co dla ciebie jest lepsze, a nawet wyjechać. Byłbym mocno zdziwiony, gdybyś za parę lat nie zapragnął

wstąpić do armii.

Zeke zaszurał stopami, aby wyrównać krok z idącym teraz szybciej Chaosem. Tunel wznosił się coraz bardziej.

– Już o tym myślałem – przyznał. – Ale... ale nie mam pojęcia, jak się dostać na wschód, a gdybym nawet zdołał się dostać na pokład lecącego tam sterowca albo do pociągu towarowego, nie wiedziałbym, co ze sobą począć w obcym świecie. A poza tym...

– Poza czym? – Rudi obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem.

– Poza tym nie potrafiłbym jej tego zrobić. Czasami... czasami zachowuje się jak wariatka, chociaż przez większość czasu ciężko wyciągnąć z niej choćby słowo. Przy czym wiem, że stara się, jak może. Robi wszystko, żeby nie było mi źle, i haruje jak wół, żeby wykarmić nas oboje. Dlatego tak mi się spieszy. Chcę znaleźć to, po co tu przyszedłem, i wrócić do niej.

Zeke usłyszał jakieś głosy, ktoś rozmawiał w tunelu przed nimi, lecz zbyt daleko, by zrozumieć wypowiedziane słowa.

– Kto to może być? – zapytał. – Czy powinniśmy zachować ciszę?

– Tutaj zawsze lepiej być cicho – odparł Rudi. – To Chińczycy.

Powinniśmy ich unikać, jeśli to tylko możliwe.

– A jeśli nam się nie uda?

Rudi nie odpowiedział, zaczął za to ładować naboje do laski, kuśtykając przed siebie. Gdy skończył, strzelba znów zaczęła mu służyć za narzędzie do podpierania.

– Słyszałeś te dźwięki? – zapytał. – Takie świsty, jakby wiatr wiał tam i z powrotem?

– Słyszałem.

– To miechy pracujące w kotłowni. Chińczycy je obsługują. To oni zapewniają nam czyste powietrze do oddychania, o ile w tym mieście cokolwiek można nazwać czystym. Zasysają je na dół takimi wielkimi rurami, które zmajstrowali. Te ich przepompownie są potwornie brudne, gorące i głośnie, a mimo to Chińczycy obsługują je nieustannie. Jeden Bóg wie, dlaczego to robią.

– Może po to, żeby mogli oddychać? – zgadywał Zeke.

– Gdyby tylko tego chcieli, wystarczyłoby wyjść poza mur. Ale oni nie wyszli. Zostali w mieście i zaczęli pompować powietrze do uszczelnionych budynków. Dzięki temu niedługo będziesz mógł zdjąć maskę. Wiem, że noszenie jej to nic przyjemnego, dlatego żał mi cię. Już dawno dotarlibyśmy do bezpiecznej strefy, gdyby ta stara dziwka nie... – nie dokończył myśli, tylko przesunął dłonią po zranionym ramieniu. Rana przestała już krwawić, lecz jeszcze na dobre nie zaschła.

– Czyli nie lubisz ich i dlatego nie będziemy im ufać?

– Mówiąc w skrócie, trafiłeś w sedno – przyznał Rudi. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie wrócili do swoich żon i dzieci. Siedzę tu tyle lat, a nadal nie wiem, co ich trzyma w tym przeklętym miejscu.

– Do żon i... Chcesz powiedzieć, że to sami mężczyźni?

– Głównie. Słyszałem, że mają tam teraz paru wyrostków, a i pewnie jakieś stare baby się znajdują, ktoś im w końcu musi gotować i prać. Dlaczego tak jest, nie wiem, więc nawet nie pytaj, niemniej jedno jest pewne: nie powinno ich być tutaj. Wiele lat temu ustanowiono prawo zabraniające im sprowadzania rodzin do Ameryki. Ci ludzie mnożą się szybciej od królików.

Przysięgam na Boga, gdyby im na to pozwolić, w mgnieniu oka zaludniliby cały Dziki Zachód. Dlatego rząd uznał, że to najprostszy sposób, by nie osiedlali się na naszej ziemi. Nie mieliśmy nic przeciw temu, by na nas pracowali, ale nie chcieliśmy, aby tu zostawali.

Zeke miał jak zwykle całą masę pytań o przyczyny tego stanu, czuł

jednak zarazem, że nie powinien kontynuować tematu.

– No tak – stwierdził więc. – Chyba zrozumiałem. Ale kto by pompował powietrze, gdyby oni odeszli?

– Chyba nikt – musiał przyznać Rudi. – Chociaż kto wie, czy nie znaleźliby się chętni. Minnericht

pewnie zapłaciliby komuś. Zresztą nie mam pojęcia, co by było gdyby.

Znów to nazwisko. Ezekielowi podobało się jego brzmienie, dlatego postanowił je wymówić na głos.

– Minnericht. Nie powiedziałaś mi jeszcze, kim on jest.

– Później się tego dowiesz, chłopcze – zbył go Rudi. – A teraz trzymaj język na wodzy. Zbliżamy się do Chinatown, a ludzie, którzy tam mieszkają, nie chcą mieć z nami do czynienia, podobnie jak my z nimi. Musimy obejść ich kotłownię. Wprawdzie panuje tam niemożliwy hałas, ale te sukinsyny mają lepszy słuch niż orły wzrok.

Zeke nastawił uszu. Z czasem zaczął wychwytywać głuche sapnięcia zduszone metrami otaczającej ich ziemi i brukiem biegnącej powyżej ulicy.

Zbyt wolne i głośnie jak na oddech żywej istoty. No i te głosy teraz, gdy zbliżyli się bardziej, o wiele wyraźniejsze. Już wiedział, dlaczego nie potrafił

ich zrozumieć. Ci ludzie mówili w nieznanym mu dziwnie brzmiącym języku.

– Tędy. Szybciej.

Chłopak starał się trzymać tuż za przewodnikiem, a ten co pewien czas przystawał.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał za którymś razem Zeke.

– Ręka mnie boli – wyznał Rudi. – Biodro zresztą też, ale za cholere nic na to teraz nie poradzę. Tędy – powtórzył, wskazując kierunek. –

Idziemy.

– Nie wiem, czy dasz radę doprowadzić mnie na Denny Hill, skoro jesteś ranny...

– Powiedziałem, idziemy.

Przekradli się obok kotłowni, przemierzając korytarze pod klekoczącymi bez ustanku machinami i obsługującymi je ludźmi.

– To już niedaleko – poinformował chłopaka Rudi. – Jak tylko dotrzemy do końca tego tunelu, będziemy w domu.

– Czyli na wzgórzu?

– Chyba ci to już mówiłem.

– Tak – wymamrotał Zeke, aczkolwiek nic nie wskazywało na to, że posuwają się w górę. Wręcz przeciwnie, powoli schodzili znów w dół, i to nie w tym kierunku, w którym powinni iść. Zamiast

przejsć wzdłuż wybrzeża, kierowali się w samo serce zamkniętej części miasta.

Doszedłszy do tych wniosków, poczuł, że wpadł w pułapkę, ale nie widząc sposobu na wybrnięcie z sytuacji, postanowił iść dalej za swoim przewodnikiem. Miał zamiar towarzyszyć Rudiemu, póki nie znajdzie lepszego rozwiązania. Na tym niej więcej polegał jego plan.

Tymczasem Chaos przyłożył wyprostowany palec do dolnej części maski i zastawił drogę laską, jakby chciał powiedzieć, żeby jego towarzysz zamilkł i zamarł w miejscu. Niecierpliwość, z jaką uczynił te gesty, odniosła spodziewany skutek. Zeke zatrzymał się przed kolejnym załomem tunelu, chociaż zżerała go ciekawość, co też tam może się czaić.

Ulżyło mu, gdy w końcu odważył się wystawić głowę za narożnik ściany. Młody Chińczyk stał przy stole, na którym znajdowały się przeróżnej maści soczewki, dźwignie i rury. Był odwrócony plecami do korytarza, w którym czaili się Rudi i Zeke. Pochylał się przy tym mocno, wpatrując się intensywnie w coś, czego z tej odległości nie widzieli.

Rudi machnął gniewnie ręką, jakby chciał powiedzieć, że wyjście z ukrycia będzie oznaczało bolesną śmierć. Zadziwiające, jak wiele treści człowiek może przekazać tylko za pomocą ruchu palców.

Zeke się przyglądał, jak jego przewodnik sięga do kieszeni i wyciąga z niej nożyk, który księżniczka wbiła mu niedawno w ramię. Krew na jego ostrzu już zaschła, ale w miejscach gdzie jej nie było, metal wciąż połyskiwał.

Mężczyzna przy stole miał na sobie długi skórzany fartuch oraz ciężkie gogle. Garbił się i był całkiem łysy, jeśli nie liczyć długiego warkocza. Miał

już tyle lat, że mógłby być ojcem jakiegoś szkraba. Im dłużej Zeke mu się przyglądał, tym bardziej był przekonany, że ten człowiek nie zamierza nikogo skrzywdzić.

Nie miał jednak całkowitej pewności, więc wolał się nie odzywać.

Później się zastanawiał: czy coś by dało, gdyby był w tym momencie krzyknął?

Niestety nie potrafił tego ustalić.

Rudi wślizgnął się za plecy niższego od niego młodzieńca, chwycił go i przeciągnął ostrzem noża po jego krtani, zasłaniając mu zdrową ręką usta.

Chińczyk wierzgnął, atak jednak był szybki i zdecydowany.

Walcząc ze sobą, kręcili się obaj wokół własnej osi, jakby tańczyli walca. Zeke nie mógł uwierzyć, że człowiek może tak bardzo krwawić. Z

szerokiej od ucha do ucha rany tryskały kaskady, całe hektolitry posoki. W

jednej chwili spłynęły nią wszystkie soczewki, dźwignie i rury.

Zeke przywarł do ściany, opierając się plecami o framugę drzwi.

Musiał zacisnąć obie dłonie na ustach, by nie wydać krzyku przerażenia.

Naciskając na policzek, przypomniał sobie o bolesnym kuksańcu łokciem, jaki otrzymał od swojego przewodnika. Poczł w ustach posmak ni to pomarańczy, ni to miedzi.

Zastanawiał się nawet przez moment, czy to aby nie krew spływająca po fartuchu walczącego wciąż Chińczyka, jej strugi zalały już całą podłogę od ściany do ściany, lecz zaraz uświłdmił sobie, że odczuwa ból wewnątrz ust i że to jego krew.

Świadomość tego nie na wiele się zdała, nadal czuł się tak, jakby miał

za moment zwymiotować.

Niestety, miał na twarzy maskę, a jej zdjęcie w tym miejscu oznaczałoby błyskawiczne zadławienie się na śmierć. Przełknął więc mocno ślinę razem z podchodzącą mu do gardła żółcią i przewycięzył potrzebę wyrzucenia z żołądka całej jego zawartości.

Moment później, gdy walka dobiegła końca i Rudi wepchnął

zwiotczale ciało kopniakiem pod stół, przy którym Chińczyk jeszcze przed chwilą pracował, Zeke zauważył, że nie nosił maski.

– On... – dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

– Nie patrz się na mnie w ten sposób, chłopcze. Ten człowiek wydałby nas bez zastanowienia, zanim zdążyłbyś się z nim przywitać. Weź się w garść. Musimy stąd zniknąć, zanim ktoś zauważy, co tu się stało.

– On... – chłopiec spróbował raz jeszcze. – On... nie... nie miał...

– Maski? – dokończył za niego Chaos. – Nie, nie miał. My też za chwilę zdejmemy nasze. Ale jeszcze nie teraz. Mogą nas zmusić do wyjścia na powierzchnię, jeśli nas przyuwają. – A gdy zakradł się do drzwi po przeciwległej stronie, dodał szeptem: – Lepiej mieć je niepotrzebnie, niż nie mieć, kiedy są potrzebne.

– To prawda – przyznał Zeke i aby uspokoić podchodzącą znów do przetyku treść żołądka, powtórzył raz jeszcze: – To prawda. Idę... za tobą.

– Świetnie. Od tej pory trzymaj się blisko.

## **ROZDZIAŁ 11**

Na dole schodów Briar trafiła do pomieszczenia z zapadniętą podłogą.

Na środku zapadlisko miało niemal stopę głębokości, przy ścianach najwyżej dwa, trzy cale. Stały



tam wózki pełne węgla, które można było przetoczyć tam, gdzie miały dotrzeć przez otwór wybity w przeciwległej ceglanej ścianie.

Tunel ten był wyjątkowo dobrze oświetlony. Nie widząc innej drogi ucieczki, Briar precyzyjnie się między wózkami wypełnionymi czarnym urobkiem. Na podłodze nie ułożono torów, została jednak utwardzona i wyłożona kamieniem, aby koła nie grzęzły podczas transportowania ładunku

– zapewne przy wydatnej pomocy jakiejś maszynerii, sądząc po systemie mocno wytartych łańcuchów i dźwigni, które widziała na podłodze i ścianach.

Pod sklepieniem między filarami wisiała gruba lina, do niej podwieszano przeszklone latarnie w stalowych klatkach.

Briar podążała wzdłuż liny, pędząc tak szybko, jak tylko mogła. Wciąż trzymała w rękach sztucer Maynarda, gotowa podnieść jego lufę i wystrzelić, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale na razie przeszkadzał jej tylko w biegu. Nie spotkała po drodze ani jednej osoby, a jeśli Chińczycy ruszyli w pościg za nią, poruszali się nadzwyczaj sprawnie i cicho. Zza jej pleców nie dochodził

tupot stóp, nie słyszała także głosów, kaszlnięć ani wybuchów śmiechu z kierunku, w którym podążała.

Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej tunel rozdzielał się na cztery bardzo podobne do siebie odnogi. Każda z nich była przesłonięta gumowaną segmentową kotarą przypominającą bardzo tę, która zabezpieczała miechownię.

Briar rozsunęła pasma gumowanego materiału, tylko na kilka cali, w sam raz, żeby mogła zerknąć na drugą stronę.

Dwa tunele były oświetlone, w dwóch kolejnych panowały kompletne ciemności. W jednym z oświetlonych ktoś się głośno kłócił. W drugim panowała cisza. Bez namysłu wybrała ten, w którym było spokojniej, mając nadzieję, że to naprawdę lepszy wybór. Niestety, zaledwie dwadzieścia stóp dalej trafiła na grubą żelazną bramę, do której ruszenia trzeba by stada słoni.

Jej futryna trzymała się na palach wbitych głęboko w podłogę, grube bale ledwie wystawały ponad powierzchnię kamienia. Była mocno pochylona na zewnątrz, jakby uległa działaniu potwornej siły, która usiłowała pokonać najeżoną ostrzami przeszkodę. Po drugiej stronie Briar widziała ścianę z grubych bali pokrytą zwojami drutu kolczastego. Wstawione w nią kloce przypominały barwę i wyglądem podkłady kolejowe. Obok nich zauważyła wielką poziomą zasuwę, którą blokowano tę masywną drewnianą zaporę.

Gdy przyjrzała się jej uważniej, zauważyła wyraźne linie w miejscach, gdzie ruchoma część wpasowana była w resztę konstrukcji.

Przywarła do bramy, wsuwając ręce pomiędzy kraty, by obmacać jej drugą stronę. Dość szybko wyczuła pod palcami skobel. Nie był

zabezpieczony, tylko opuszczony na leże, więc bez problemu go obróciła, otwierając sobie drogę.

Podbiegła do zasuwy i spróbowała ją pociągnąć do siebie, ale uchylne drzwi nawet nie drgnęły. Potem ją popchnęła. Ściana drewna poddała się z głuchym zgrzytem, wpuszczając do podziemnej komory strumienie powietrza. Briar nie musiała czuć charakterystycznego zapachu przez filtry maski ani patrzeć przez polaryzowane szkła, by wiedzieć, z czym ma do czynienia.

Za balami znalazła kamienne schody. Prowadziły w górę, na powierzchnię.

Nie zastanawiała się długo, żeby przypadkiem nie zmienić zdania i nie szukać innej drogi wyjścia z podziemi. Szybciej dotrze do celu, jeśli będzie się poruszała ulicami. Przecisnęła się przez szparę w drewnianej ścianie na klatkę schodową, potem oparła się o odchylone bale i zamknęła za sobą przejście. Chwyciła sztucer i ruszyła przed siebie, zachowując wzmożoną ostrożność. Była bowiem w samym centrum Seattle. Na skażonej ziemi otoczonej murem, którą z tego co wiedziała, zamieszkiwały krwiożercze monstra i bezwzględni ludzie.

Dzięki sztucerowi czuła się bezpieczniej. Ścisnęła go mocno w dłoniach i dziękowała w duchu zmarłemu ojcu, że znał się tak doskonale na broni.

Ze schodów nie widziała nic prócz wypełnionego brudną szarością prostokąta, ale to nie była typowa dla tej pory roku pokrywa chmur, tylko wymuszony wysokością muru wieczny zmierzch, który panował w rzucanym przez niego cieniu. Pojawiające się zimą tylko na kilka godzin blade, zasnute mgłą słońce nie miało szans przebić się do tego miejsca.

– Co to za ulica? – mruzczała do siebie Briar, jednak brzmienie własnego głosu nie uspokajało jej tak bardzo jak dotyk chłodnej stali. – Gdzie ja jestem?

Coś było nie tak z tymi drzwiami, lecz zrozumiała, o co chodzi, dopiero gdy przyjrzała im się dokładniej. Nie miały klamki, gałki ani niczego innego, co służyłoby do otwierania. Wykonano je tak, by nikt z zewnątrz nie mógł się dostać do środka, jeśli nie życzą sobie tego właściciele.

Gdy dotarło to w końcu do niej, o mało nie spanikowała. W razie potrzeby nie mogła liczyć na ucieczkę w bezpieczne miejsce. Ale nie przybyła tu przecież, by uciekać.

Miała plan. Musiała wyjść na ulicę, dotrzeć do najbliższej tabliczki z jej nazwą, sprawdzić, gdzie jest, a potem ruszyć w kierunku...

Czego? No tak. To jednak był też jej dom.

Mieszkała w budyńeczku na zboczu wzgórza bardzo krótko, zaledwie kilka miesięcy, nawet nie rok. A odkąd się dowiedziała, że za murem żyją ludzie, zyskała pewność, że dom został ograbiony ze wszystkiego, co mogło stanowić jakąś wartość. Sądziła jednak, że rabusie mogli przeoczyć kilka użytecznych rzeczy. Leviticus skonstruował wiele machin i urządzeń, a najcenniejsze jego zdaniem pozamykał w przemysłnych skrytkach, których normalni włamywacze w życiu by nie znaleźli.

Poza tym wiedziała, że plan Ezekiela polega na dotarciu do laboratorium ojca w poszukiwaniu dowodów jego niewinności.

Czy on w ogóle wie, gdzie dokładnie jest ten dom?

Według niej nie mógł wiedzieć, ale jeszcze niedawno była przekonana, że nie potrafiłby się dostać do miasta za murem, tymczasem życie pokazało, że się myliła. Jej syn był bardzo pomysłowym chłopcem, musiała mu to przyznać. Najrozsądniej byłoby więc założyć, że i tym razem dopnie swego.

Briar powoli zbierała się w sobie, stojąc na obłupanych kamiennych stopniach i obserwując pogrążoną w półmroku ulicę. Nikt nie próbował

otworzyć ponownie drzwi, nikt jej nie szukał. Nie docierały tu też żadne dźwięki, nawet głośny klekot maszyn pracujących we wnętrzu budynku.

Może nie będzie tak źle.

Przeniosła obutą stopę na wyższy stopień. Na następny wspięła się równie wolno i cicho. Starła się obserwować drzwi za sobą, sprawdzając jednocześnie perspektywę ulicy, co było dość trudnym zadaniem, zważywszy na ograniczone pole widzenia w masce.

Słyszała wiele opowieści o zgnilasach, widziała też kilku w pierwszych dniach po pojawieniu się Zguby, nie miała jednak pojęcia, ilu mogło zostać po tej stronie muru. Na pewno większość musiała skonać po jakimś czasie, rozpaść się z powodu postępującego rozkładu i z braku pokarmu. A te, które przetrwały, z pewnością są w opłakanym stanie, słabsze może nawet od kociąt, o ile nadal mogą się poruszać.

To właśnie usiłowała sobie wmówić, wspinając się na kolejne stopnie.

Przykucnęła, aby do ostatniej chwili trzymać głowę jak najbliżej nawierzchni ulicy. Cały czas też rozglądała się czujnie we wszystkich kierunkach, wyciągając mocno szyję.

Było ciemno, ale nie na tyle, by potrzebowała źródła światła, choć już niedługo cienie rzucane przez mur i ściany okolicznych budynków zamienią to miejsce w smoliście mroczną czeluść.

Jej oczy znalazły się na poziomie pokrytego szlamem i mokrego od deszczu bruku, na którym zalegała warstwa Zguby. Kamienna kostka była popękana i pokruszona. Na całej powierzchni ulicy widać było zapadliska i wybrzuszenia. Oraz mnóstwo gruzu. Widziała wywrócone do góry kołami wozy, obok leżały szkielety rozszarpanych koni i psów, które przypominały teraz sterty luźnych kości połączonych strzępami wyschniętych ścięgien i szarozielonkawej skóry.

Briar obróciła wolno głowę w lewo, potem w prawo. Niestety, nie mogła spojrzeć zbyt daleko.

Gęsta gazowa zawiesina pozwalała zobaczyć to, co się znajdowało nie dalej niż pół przecznicy od miejsca, gdzie stała, dlatego nie była w stanie określić, w jakim kierunku biegnie ta ulica. Nie widząc słońca, nie miała pojęcia, gdzie jest geograficzna północ, południe, wschód albo zachód.

Najlżejszy nawet podmuch wiatru nie rozwiewał jej włosów wystających spod kapelusza. Nie słyszała szumu wody ani śpiewu ptaków. A kiedyś mieszkali tutaj tysiące tych latających stworzeń, głównie kruków, wron i mew. Wszystkie potrafiły narobić nieludzkiego hałasu, gdy ich stada

przelatywały koło domu, słychać było nieustający łopot skrzydeł i skrzeczenie, którym się nawoływały. Kompletna cisza pogłębiała upiorność tego miejsca. Nie było ptaków, nie było ludzi. Nie skrzypiały wozy, podkowy koni nie uderzały o bruk.

Nic się nie poruszało.

Podpierając się ręką, Briar wstała i wysunęła się z zagłębienia. Jej obute w skórę buty pozwalały stąpać bezgłośnie, więc nie zakłócała martwej ciszy żadnym dźwiękiem.

W końcu stanęła na otwartej przestrzeni, tuż pod ścianą obok schodów prowadzących do piwnicy.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był szelest wydawany przez włosy ocierające się przy uchu o paski uprząży podtrzymującej maskę, a gdy przestawała się poruszać, nawet te tak ciche odgłosy milkły.

Stała na środku wzniesienia, widziała dolną część ulicy, która opadała pod znacznie ostrzejszym kątem i niknęła w zawiesinie gazu. W oddali widać było stragany zagracone pustymi skrzynkami. Kiedy przeniosła wzrok w drugą stronę, nieco wyżej od miejsca, gdzie stała, dostrzegła przekrzywiony znak i ogromny zegar pozbawiony wskazówek.

To musi być...

– Targowisko. Jestem w pobliżu Pike Street.

O mało nie wypowiedziała tej nazwy na głos, na szczęście zdołała się opamiętać w porę i wymamrotała ją niemal bezgłośnie. Ulica dobiegała do targowiska i tam się kończyła, dalej był brzeg zatoki, to znaczy byłby, gdyby nie mur odcinający tę część miasta od nabrzeży.

Budynki za jej plecami musiały stać przy Commercial Avenue, szerokiej ulicy biegnącej niegdyś wzdłuż brzegu oceanu, który dzisiaj znajdował się za wysokim na dwieście stóp ceglanym murem.

Jeśli przejdzie kilka przecznic, każda ulica przecinająca Pike Street powinna doprowadzić ją do miejsca, którego poszukiwała.

Trzymała się blisko ścian mijanych domów. Szła z bronią gotową do strzału, omiatając wzrokiem na przemian górę i dół ulicy. Oddychanie przez filtry maski nie zrobiło się nawet odrobinę łatwiejsze, ale zaczynała się już do tego przyzwyczajać, zresztą i tak nie miała innego wyjścia. Mięśnie klatki piersiowej bolały ją już od dodatkowego wysiłku, jakiego wymagało każdorazowe napełnienie i opróżnienie płuc. W dodatku dolna część lewej soczewki bez przerwy zachodziła jej parą, jeszcze ograniczając i tak niewielkie pole widzenia.

Wchodząc na wzgórze, oddalała się od muru, którego nie miała nawet szans zobaczyć. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą majaczył jej za plecami, potem stał się tylko wysokim cieniem, a gdy zniknął zupełnie we mgle, od razu zapomniała o jego obecności.

Idąc, nieustannie kalkulowała. Jak daleko jeszcze do lawendowego domu na wzgórzu? Ile czasu będzie potrzebowała, by dotrzeć do niego biegiem, spokojnym krokiem albo czając się przez cały

czas, by pozostać niewidoczną w trzymających się nad ziemią cuchnących oparach gazu?

Poruszała ustami w masce, starając się dmuchnąć na zaparowane szkło.

Nie udało się. Para mocno przylgnęła do soczewki.

Westchnęła głośno, za drugim razem usłyszała zabawne echo tego dźwięku.

Zaskoczona potrząsnęła głową. To na pewno efekt związany z mocowaniem maski albo z tym, że tak szczelnie przylega do czoła. A może przyczyną tego dźwięku były włosy ocierające się o zewnętrzną część skórzanej osłony? Albo postawienie buta na jakiejś luźnej części wyłożonego płytami chodnika? Taki dźwięk mógł dobiec zewsząd. Było tu przecież tak cicho. Cisza aż dzwoniła w uszach.

Nie potrafiła poruszyć stopą. Podobnie było z rękami zaciśniętymi kurczowo na sztucerze. Nawet kark jej zeszytywniał, jakby się obawiała, że kręcąc głową, ponownie wywoła ten dźwięk albo wręcz przeciwnie. Gorsza od jego ponownego usłyszenia byłaby tylko świadomość, że to nie ona go wydawała.

Briar cofnęła się tak wolno, że nawet luźne poły jej płaszcza nie miały szansy załopotać przy tym ruchu, modląc się, żeby za nią nie było niczego.

Trafiła obcasem na krawężnik i dopiero tam się zatrzymała.

A potem uniosła nogę i postawiła ją na granitowym bloku.

Dźwięk się powtórzył. Coś jakby świst i do tego jęk. Kojarzył się z sykiem lub sapaniem kogoś duszonego. Ale wokół było spokojnie, wciąż panował bezruch. Zdawać się mogło, że ten dźwięk nie ma źródła.

Szept.

Briar usiłowała ustalić, skąd dobiegał, uznała bowiem, że teraz, gdy się powtórzył, na pewno nie jest wytworem jej wyobraźni, co więcej, zaczynała mieć pewność, że dochodzi gdzieś z lewej, od strony muru. Spomiędzy straganów, na których nikt od szesnastu lat nic nie sprzedał ani nie kupił.

Szept przerodził się w pomruk, a potem umilkł.

Briar w tym momencie zamarła, to znaczy zamarłaby, gdyby już od dłuższej chwili się nie poruszała. Pragnęła całkowicie wtopić się w tło. Stać się niesłyszalną i niewidzialną. Jednakże nie miała gdzie się ukryć, w każdym razie w polu widzenia nie było żadnego miejsca, które oferowałoby schronienie. Miała za sobą rzędy starych straganów. Drzwi do nich zostały pozabijane deskami, podobnie zabezpieczono okna. Gdy zrobiła krok do tyłu, nadziała się ramieniem na narożnik ceglanego budynku.

Dźwięk ustał.

Nowy rodzaj ciszy wydal się Briar jeszcze straszniejszy niż poprzednie poczucie całkowitej pustki. Było znacznie gorzej, bowiem zasnuty gazową zawiesiną krajobraz teraz nie był już tak martwy. Teraz wstrzymywał oddech i nasłuchiwał.

Briar zdjęła lewą dłoń z lufy sztucera i sięgnęła w tył, starając się namacać koniec ściany. Jej palce wyczuły w końcu to miejsce, mogła bezgłośnie wycofać się za załom muru. Wprawdzie nie była to zbyt bezpieczna kryjówka, ale przynajmniej nie będzie jej widać z targowiska.

Maska uciskała ją coraz mocniej, zaparowana soczewka rozpraszała, a smród gumy i spalenizny drażnił jej gardło.

Zakreśliło ją w nosie, lecz zagryzała mocno zęby, dopóki nie minęło.

Za rogiem kolejne westchnienie rozdarło ciszę. Ucichło, a potem się powtórzyło, znacznie jednak głośniejsze. Dołączył do niego kolejny dźwięk, potem trzeci. Chwilę później nie była w stanie ich zliczyć.

Pragnęła zacisnąć powieki i odciąć się od tych hałasów, ale nie potrafiła się do tego zmusić, bez przerwy zerkając zza węgła, by wypatrzeć źródło niepokojących dźwięków. A nasilały się z każdą chwilą. Jedyne co mogła i powinna teraz zrobić, to uciekać.

Środek ulicy był w miarę pusty, pobiegła więc tam, lawirując pomiędzy wywróconymi powozami i przeskakując przez sterty gruzu ze ścian powalonych trzęsieniami ziemi.

Nie dbała już o zachowanie ciszy.

Jej stopy uderzały o bruk, karabin obijał się o udo, gdy Briar pędziła w dół zbocza, mimo że wiedziała, iż tym sposobem oddala się od celu. Nie mogłaby pokonać tego wzniesienia, nie potrafiła zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza do płuc, by poradzić sobie z takim wysiłkiem. Zatem pozostała jej tylko droga w dół. W stronę podnóża wzniesienia, ale niezupełnie w przeciwnym kierunku, pocieszała się w myślach. Biegła bowiem wzdłuż muru i znajdującego się za nim wybrzeża. Commercial Avenue biegła w dół, to prawda, niemniej okrążała wzgórze, więc Briar mogła przebiec nią dowolną odległość i nie oddalała się za bardzo od celu.

Zaryzykowała i zerknęła w tył, potem drugi raz, coraz bardziej przyspieszając, gdyż zrozumiała, jaki błąd popełniła w swoich kalkulacjach.

Zbliżali się z zastraszającą szybkością.

Te dwa szybkie spojrzenia uświadomiły jej, że teraz powinna zrobić tylko jedno: biec, biec i nie zatrzymywać się nawet na moment.

Na razie byli daleko. Właśnie wyłaniali się zza zakrętu szeroką lawą, kuśtykając, podrygując i kołysząc się dziwnie, a mimo całej tej niezdarności w ruchach pokonując przestrzeń w zadziwiająco szybkim tempie. Bardziej nadzy niż odziani, z szarą skórą nie przypominającą w niczym widoku ludzkiego ciała, wlewali się tłumnie w gardziel alei. Zgnilasy pędziły przed siebie, nie bacząc na nic, pokonując każdą przeszkodę, na którą mogły się wdrapać, i omijając te, które spowolniłyby zbytnio

pościg.

Bez cienia lęku, nie odczuwając bólu, wpadały na wozy i sterty gruzu, odbijały się od nich, ale nie przystawały nawet na moment. Przebijały się przez spróchniałe deski, rozdeptywały szkielety zwierząt, a gdy któryś się potknął i padł, z równą obojętnością był miażdżony stopami swoich pobratymców.

Briar wciąż miała przed oczyma widok pierwszych nieszczęsnych ofiar zatrucia Zgubą. Większość konała w bólach, lecz kilku przeżyło. Jęcząc i z trudem chwytając ustami powietrze, pożerali wszystko, co im wpadło w ręce.

Nie myśleli o niczym innym, tylko o jedzeniu, pragnęli wyłącznie świeżego krwistego mięsa. Zwierzęta nie cieszyły się wielkim wzięciem, aczkolwiek nie gardzili i nimi. Prawdziwym przysmakiem był jednak człowiek – o ile zgnilasy posiadały jakikolwiek zmysł smaku.

A teraz pragnęły nade wszystko dopaść Briar.

Gdy obejrzała się po raz pierwszy, było ich tylko czterech. Za drugim razem, dosłownie po kilku krokach, widziała już ośmiu. Bóg jeden wie, ilu ich było, gdy dobiegła do następnej przecznicy.

Weszła na wysoki krawężnik i ruszyła dalej chodnikiem.

Pędząc przed siebie, widziała namalowane na płytach wielkie litery, ale była zbyt roztrzęsiona, by odczytać, jaką ulicę mijała. Choć czy to miało jakieś znaczenie, skoro przecznica biegła w stronę szczytu wzgórza, na który za cholere nie dotarłaby w tym stanie?

Wciąż brakowało jej powietrza, mimo że biegła w dół, nie obciążając tak bardzo układu oddechowego. Czuła w krtani żywy ogień. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze wytrzyma. A ilekroć zwalniała, by przejść pod pogrążoną w gazowej zawieszynie przeszkodą lub ją ominąć, traciła trochę przewagi nad ścigającymi ją bestiami.

Kątem oka dostrzegła pionowy stalowy pręt, moment później drugi.

To była drabina prowadząca na schody przeciwpożarowe. Uświadomiła to sobie zbyt późno, by pochwycić jej szczeble i wspiać się do góry. Nie potrafiła zdecydować, czy rezygnując z zawrócenia do drabiny, zmarnowała doskonałą okazję do ucieczki, czy raczej uniknęła śmiertelnej pułapki.

Straciłaby wiele sił, wdrapując się po pionowej ścianie, ale tam mogła przecież znaleźć schronienie. Czy zgnilasy potrafiłyby pójść w jej ślady?

Słyszała coraz wyraźniej charkot wydawany przez wygłodniałe wściekłe bestie. Wiedziała, że zaczynają ją doganiać. To nie one przyspieszały, tylko ona zwalniała. Nie miała jednak szans na wykrzesanie z siebie choćby odrobiny dodatkowej energii. Bez względu na to, jak bardzo się starała, i tak nie mogła zaczerpnąć więcej powietrza do płuc.

A mgła była wszędzie, czasem rzadsza, w innych miejscach gęstsza. W

jednym z takich przersedzeń mignęła jej ściana budynku i kolejna drabina.

Gaz skrył ją po sekundzie, a zaparowana lewa soczewka dodatkowo utrudniała jej odszukanie.

Tym razem nie miała czasu na roztrząsanie wszystkich za i przeciw.

Dopadła do metalowych prętów, chwyciła za nie, by wyhamować. Zaciśnęła palce na najbliższym szczeblu i uwiesiła się na nim z całych sił.

Podciągała się, próbując znaleźć na ceglany murze oparcie dla stóp, dopóki nie trafiła kolanem na najniższy stopień.

Pierwszy zgniłaś nie zdołał jej chwycić za zwisającą wciąż stopę, ale wczepił się palcami w płaszcz, szarpiąc za niego jak oszalały.

Dłonie Briar zaczęły się ześlizgiwać ze szczebla, więc zaciśnęła palce z całych sił, by utrzymać się w górze. Przełożyła ramię za metalową konstrukcję, aby zawisnąć na nim i zyskać możliwość kopnięcia atakującego ją potwora. I zrobiła to. Nie mogła go zranić, lecz celnie wymierzone razy powinny go odepchnąć albo połamać mu nadgniłe paluchy, gotowa była zrobić cokolwiek, byle ją puścił.

Nie mogła się wspiąć wyżej, dźwigając uczonego płaszcz zgnilasa, więc wisiła nad nim uczonego ręką drabiny, widząc, że reszta hordy już nadbiega, by dokończyć dzieła.

Rozkołysała ciało w nadziei, że tym sposobem strząśnie napastnika. Jej głowa i łokieć obijały się przy tym boleśnie o ścianę, a gdy uderzyła się o drabinę, aż zadzwoniło jej w uszach.

W końcu kombinacja kopnięć i szarpnięć posłała zgnilasa prosto pod nogi nadbiegających kamratów. Włazili na niego, by sięgnąć wyżej kościstymi łapskami, które wyglądały, jakby ktoś próbował je poogryzać, ale Briar była już tak wysoko, że nie mieli na to szans. Chyba że zdołaliby wejść na drabinę.

Czy to było w ogóle możliwe?

Nie miała pojęcia i nie chciała tego sprawdzać. Wspinała się, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, dłoń za dłonią, stopa za stopą.

Momentalnie znalazła się poza zasięgiem łap nawet tych najwyższych długorękich potworów. Nie zatrzymywała się jednak, jeszcze nie teraz.

Zwłaszcza że drabina zaczęła drzeć, jakby potwierdzały się najgorsze koszmary Briar i zgnilasy znalazły sposób, by dosięgnąć szczebli, albo uwiesiły się na konstrukcji, usiłując ją wyrwać ze ściany i rzucić ofiarę na ulicę. Każdy wysiłek był niewystarczający, jeśli chodziło o ucieczkę przed tymi monstrami.

Briar widziała, jak śruby mocujące zaczynają się wyginać i z przeciągłym jękiem wychodzić spomiędzy cegieł.



– O Boże... – wyszeptała. Zakłębaby szpetnie, gdyby tylko miała w płucach wystarczającą ilość powietrza.

Spojrzała w górę, ale koniec drabiny znikął w żółtawej zawieszynie.

Równie dobrze mogła mieć przed sobą dziesięć stóp wspinaczki, jak i dziesięć pięter.

Dziesięć pięter?... Takiej wysokości na pewno nie pokona.

Drabina się zachwiała i zatrzęsała mocno. Jedna z podpór zupełnie się poddała. Zanim konstrukcja zaczęła się walić, Briar pochwyciła obramowanie najbliższego okna i zawisała na nim. Stała teraz w rozkroku z jedną nogą na szerokim parapecie i z drugą na szczeblu drabiny, która gięła się i przechylała coraz bardziej. Jasne było, że długo nie wytrzyma.

Zwisający z ramienia sztucer zaklekotał o kamienny parapet.

Briar zaryzykowała i oparła się najmocniej, jak tylko mogła na drabinie. Odsunęła się tym samym od okna, by wziąć zamach i uderzyć kolbą w szybę. Cios był tak mocny, że strzaskał szkło, a pociągnięta jego impetem Briar straciła równowagę, gdy ponownie próbowała się chwycić muru.

Nie trafiła tam, gdzie chciała, zdołała jednak opaść prawą nogą na parapet.

Ostre odłamki wbiły się jej w łydkę, ale zignorowała ból, zaciskając zęby, i podciągnęła się do okna. Gdy zawisała we względnej równowadze z nogą na zewnątrz i głową w środku, wymierzyła ze sztucera w dół. W jej polu widzenia pojawiała się co chwilę paskudna, pokryta bliznami łysa głowa. Briar podziękowała Bogu, że miała wcześniej czas przeładować broń.

Strzeliła. Czaszka zgnilasa eksplodowała. Coś brązowego i lepkiego plasnęło o jej maskę. Gdyby nie fragmenty zakrwawionych kości spływające po soczewce nie wiedziałyby, że potwór był tak blisko.

Na miejscu pierwszego zgnilasa pojawił się już następny, wykorzystując jego martwe ciało, by sięgnąć wyżej.

Nie sięgnął. Jego oczodół zamienił się w krwawą miazgę, a z rany wylotowej trysnęła fontanna resztek mózgu. Padł jak ścięty, pozostawiając jedną dłoń na szczeblu. Trzeci trzymał się niżej, dlatego Briar musiała strzelić dwukrotnie, by go zabić. Pierwsza kula roztrzaskała mu tylko czoło, za to druga weszła w kark, miażdżąc kręgi, na których trzymała się czaszka.

Szczęka potwora opadła, a potem cała głowa przetoczyła się w tył i oderwała od ciała.

Zgniłaś numer trzy, padając, podciął nogi czwartemu. Piąty stracił

twarz, gdy kula trafiła go w okolice nosa.

Kolejni zbliżali się ze wszystkich stron, ale drabina była chwilowo od nich wolna. Briar wstrzymała oddech i podciągnęła się na parapet wybitego okna. W nodze nadal miała odłamki szyby, lecz nie

miała czasu na wydłubywanie ich z poranionej skóry. Nie teraz, gdy zgnilasy odkryły ponownie sztukę radosnego wspinania się po drabinach.

Stała na podłodze, oparła się o framugę i wysunęła sztucer na zewnątrz. Nie strzelała jednak, starała się użyć jego lufy jak dźwigni, aby wydłubać osłabione śruby ze ściany. Jedna strona konstrukcji wisiała już w powietrzu, druga kiwała się, zgrzytając, gdy poruszała bronią tam i z powrotem, luzując kolejne mocowania, dopóki całkowicie nie wyszły spomiędzy cegieł. Drabina zaczęła się w końcu odchylać od ściany, powoli, bez głośnych protestów, a gdy osiągnęła zbyt wielki kąt, runęła w dół z głośnym hukem.

Trzy zgnilasy – numer sześć do osiem – spadły razem z nią, ale to niewiele zmieniało sytuację, jako że za nimi pojawiły się już następne.

Wiły się i wrzeszczały jakieś trzy piętra poniżej.

Briar cofnęła się od okna, próbując uspokoić oddech. To chyba najczęściej podejmowana przeze mnie czynność po tej stronie muru, pomyślała. Dopiero po dłuższej chwili przysiadła, by powymować odłamki szkła z poranionej nogi.

Skrzywiła się, jeżdżąc palcami po pociętych spodniach. Nie podobało jej się, że musi odsłonić skórę w miejscu, gdzie jest tyle Zguby, tyle że oczyszczenie ran w rękawicach byłoby niemożliwe. Ściągnęła więc tę z prawej dłoni, starając się ignorować obecność lepkiego powietrza.

Mogło być gorzej.

Nie znalazła w nodze odłamka większego niż ziarnko słonecznika. Nie krwawiła zbyt mocno, ale rozdarcia w materiale sprawiały, że Zguba miała łatwiejszy dostęp do ranek, przez co Briar odczuwała o wiele silniejsze pieczenie. Gdyby miała ze sobą bandaż albo chociaż jakąś czystą szmatę, mogłaby obwiązać łydkę. Niestety, nie zabrała ze sobą żadnych środków opatrunkowych, pozostało jej więc zadbać jedynie o to, by powymować wszystkie odłamki szkła.

Gdy uporała się z tym zadaniem, przeniosła wzrok na otaczające ją meble i sprzęty.

To na pewno nie było najwyższe piętro budynku, sądząc po schodach widocznych po przeciwnej stronie pomieszczenia. Wszystko wskazywało na to, że trafiła do hotelu. Na podłodze przy oknie leżało mnóstwo odłamków stłuczonej szyby, część doleciała nawet na ciężkie łoże z mosiężnym wezglowiem, które po tylu latach pokryło się odrażającym brązowym nalotem. Przy ścianie zauważyła połamany stolik nocny. W rogu leżała miska i potłuczony dzbanek.

Podłoga skrzypiała, gdy stawiała na niej stopy, ale te dźwięki były o wiele mniej stresujące od nieustannego jazgotu dochodzącego z zewnątrz.

Coraz to nowe zgnilasy dołączały do czekającego na ulicy tłumu, zwabiane z dalszych okolic hałasem. W końcu znajdą sposób, by dostać się do środka, to było raczej pewne, albo Briar zabraknie filtrów do maski i zadławi się Zgubą na śmierć.

Tym wszakże nie musiała się teraz przejmować. Chwilowo była bezpieczna. A w każdym razie nieco

bezpieczniejsza niż jeszcze parę minut wcześniej. W tym miejscu pojęcie „bezpieczeństwo” było bardzo względne.

Wyglądając przez okno, widziała skrzyżowanie z przecznicą biegnącą w dół zbocza. Zgnilasy roiły się przy narożniku, tam gdzie wypisana była nazwa ulicy. Ale to akurat nie miało teraz znaczenia, i tak nie mogła zejść na dół i kontynuować wędrówki. Nie dało się przejść tymi ulicami. Zapewne tak było od momentu uwolnienia Zguby. Briar spróbowała, ponieważ nie знаła innej drogi. Starła się zachować kompletną ciszę, była nadzwyczaj ostrożna, lecz to nie wystarczyło. I oto efekt. Ulice mogła przebyć tym samym sposobem co mur.

Albo górą, albo dołem. Przejście nimi kosztowałoby ją zbyt wiele.

Briar podeszła do klatki schodowej i pchnęła drzwi, wrywając je z zawiasów. Schody miały tylko kilka kondygnacji. Ruszyła w górę, aby rozejrzeć się z góry.

Na schodach panowały kompletne, niczym niezmacone ciemności.

Zawodzenia tłoczących się na zewnątrz zgnilasów powoli cichły, aż w końcu stały się ledwie słyszalne. Próbowła zapomnieć o nich, wsłuchując się we własny oddech.

Nie potrafiła ich jednak odegnąć od siebie. Jęki wciąż wibrowały jej w uszach, zmuszając do nasłuchiwania, choćby nie wiadomo jak bardzo starała się pozbyć ich ze świadomości. Przed oczyma miała widok łuszczącej się szarej skóry na kościstych palcach oderwanej dłoni, która została na szczeblu drabiny.

Powoli zbierała się w sobie. Gdy zwolniła kroku, oddech także się jej uspokajał. Wspinanie się po schodach w tak wolnym tempie nie obciążało płuc jak ucieczka.

Na szczycie schodów znalazła drzwi prowadzące na dach, na którym znalazła kilka śladów dawnego życia. W rogu leżała para rozbitych gogli, pustą torbę ktoś zmiął i rzucił w kałużę żółtawej wody zbierającej się w zagłębieniu papy. Wokół widać było także liczne odciski butów.

Ruszyła ich tropem w kierunku krawędzi dachu. Kończyły się przy obmurowaniu, zastanawiała się więc, czy człowiek, który je zostawił, zeskoczył czy może spadł. W oddali dostrzegła zarys budynku po przeciwnej stronie ulicy. Był wyższy o jedno piętro. Dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie stała, znajdowało się okno. Z jego parapetu można było się dostać na sąsiedni budynek pomostem wykonanym z dwojga drzwi zbitych w taki sposób, aby jedno skrzydło stanowiło przedłużenie drugiego. Konstrukcja ta przypominała most zwodzony, który można podnosić bądź opuszczać w zależności od stopnia zagrożenia.

W dole Briar zauważyła jednego ze zgnilców, który podążył za nią aż za róg budynku. Stał tam, zadzierając głowę, i zawodził tęsknie, co natychmiast ściągnęło masę innych wygłodniałych nieumarłych. Za moment otoczą cały budynek szczelnym kordonem.

Z tego co widziała Briar, dom po przeciwnej stronie wyglądał na całkowicie opuszczony. Okna miał albo zabite, albo szczelnie zasłonięte grubymi kotarami. Gdy na nie patrzyła, nie drgnęły ani razu.

Może będzie miała więcej szczęścia, jeśli zejdzie na sam dół. Dostała się na ulicę z piwnic, więc może marsz przez podziemia okaże się najbezpieczniejszy?

Całkiem niedaleko, ale na pewno gdzieś poniżej, coś zatrzeszczało głośno i rozpadło się z hukiem. Zawroźnienie nieumarłych stało się o wiele głośniejsze, lecz nie tylko z powodu wciąż rosnącej ich liczby.

Briar sięgnęła do sakwy po naboje i szybko naładowała magazynek sztucera. Jeśli zgnilasy włamały się do budynku, będzie musiała się przebić przez nich, by dotrzeć do piwnic.

Ręka trzymająca pudełko z nabojami zamarała, choć tylko na moment.

Jeśli nieumarli dotrą do schodów przed nią, zostanie uwięziona. Szybko dokończyła ładować broń. Uwięziona na dole, uwięziona na górze. Żadna różnica, w obu przypadkach będzie zgubiona. Lepiej mieć naładowaną broń pod ręką i kilka opcji do wyboru.

Kakofonia głosów wciąż narastała. Briar zaczęła się nawet zastanawiać, czy zgnilasy już nie odcięły jej możliwości poszukania wyjścia przez piwnice. Schowała resztę naboji do sakwy i wychyliła się za obmurowanie.

Tłum nieumarłych na ulicy wcale się nie przerzedzał. Liczba zgnilasów zdążyła się za to potroić, to już nie była skromna garstka, która zapędziła ją do tego hotelu.

Nie potrafiła jednak dostrzec, którędy się dostawały do budynku. Nie znikwały pojedynczo albo grupami, by kontynuować łowy na nią –

gdziekolwiek ich widziała, tłoczyli się tylko przy zabitych oknach i przy ścianach.

Znów usłyszała charakterystyczny trzask pękającego przegniłego drewna.

Skąd dochodził? I co go powodowało?

Zgnilasy zawyły i poruszyły się nerwowo. One także usłyszały te dziwne dźwięki i zaczęły szukać ich źródła. Z drugiej jednak strony nie zamierzały tak łatwo porzucać wyczutej zdobyczy zapędzonej w kozi róg.

– Hej, ty tam, na hotelu Seaboard! Masz maskę?

Dźwięk tych słów przeraził ją bardziej niż skowyt zgnilasów. Były bardzo głośne i wyraźne, ale brzmiały w jej uszach dziwnie i niezwykle obco.

Docierały do niej skądś z dołu, na pewno jednak nie z poziomu ulicy.

– Hej, ty tam, na dachu hotelu Seaboard, zadałem ci pytanie: masz maskę czy właśnie umierasz?

Briar nie miała pojęcia, czy ten hotel nazywa się Seaboard, jej zdaniem wszakże ten człowiek kierował swoje słowa właśnie do niej. Zawołała więc najgłośniejszym, jak potrafiła:

– Tak! Mam maskę!

– Co mówisz?

– Mówię, że mam maskę!

– Słyszę, że coś mówisz, ale za cholerę nie rozumiem. Mam nadzieję, że masz na twarzy coś z filtrami! Kimkolwiek jesteś, padnij i zatkać dobrze uszy!

Rozglądała się nerwowo po morzu zgnilasów, szukając źródła tych rozkazów.

– Gdzie jesteś? – próbowała odkrzyknąć, co było nader głupie z jej strony, bowiem człowiek z głośnikiem nie mógł jej usłyszeć z powodu ryku wydawanego przez setki nieumarłych tłoczących się na ulicy.

– Powiedziałem – powtórzył nieco metaliczny głos – padnij i zakryj dobrze te pieprzone uszy!

Briar zauważyła ruch w jednym z wybitych okien po drugiej stronie ulicy. Błysnęło coś jasnego i niebieskiego, potem zniknęło na mgnienie oka i pojawiło się znowu, tym razem w asyście jasnego światła i brzęczącego dźwięku. Owo brzęczenie zdawało się przenikać ciało i kości, jakby było ostrzeżeniem nadawanym prosto do mózgu.

Nie musiał powtarzać jej po raz trzeci.

Przypadła do dachu, zwinęła się w najbliższym rogu obmurowania i przycisnęła dłonie do uszu. To nie wystarczyło, więc otoczyła głowę rękami, ale i tak nie powstrzymała ostrych jak igły elektrycznych trzasków. W końcu nie wytrzymała, włożyła głowę do sakwy i zamarła z twarzą tuż przy ceglany murku i warstwie papy dosłownie na moment przed ogłuszającą eksplozją. Jej ciało przeszła fala uderzeniowa wywracająca wszystkie wnętrzości, lecz trwająca znacznie dłużej niż podobny efekt po wystrzale z działa.

Gdy minęło najgorsze i dzwonienie w uszach przycichło nieco, do Briar dotarła kolejna instrukcja wypowiedziana mechanicznym głosem.

Niestety nie była w stanie jej zrozumieć ani się poruszyć.

Powieki miała nadal zaciśnięte, rękami przytrzymała sakwę na głowie, a kolana podciągnęła pod brodę tak mocno, że nie mogła ich rozprostować.

– Nie... – wyszeptała, nie mogąc poruszyć szczękami. – Nie słyszę cię...

– Wstawaj! Wstawaj natychmiast!

– Nie mogę...

– Masz trzy minuty, żeby zabrać dupę w troki, zejść na dół i dostać się do nas. Po tym czasie zgnilasy się pozbierają, a kiedy to nastąpi, mnie tu już nie będzie. Jeśli chcesz przeżyć, będziesz mnie

potrzebował, durny stary draniu!

– Tylko nie draniu – mruknęła Briar na tę typowo męską tyradę.

Spróbowała przekuć irytację w impuls, który pozwoliłby jej się ruszyć.

Niestety, to także nie na wiele się zdało.

Bardzo powoli rozluźniała ciało, staw po stawie, począwszy od rąk i nóg. Podniosła się w końcu i stanęła, choć kolana jeszcze jej drżały.

Opadła na nie, by zabrać z dachu sakwę i sztucer, który ześlizgnął jej się z ramienia. Kiedy go podniosła, musiała raz jeszcze wysilić rozedrgane mięśnie. W uszach wciąż jej dzwonił ten okropny dźwięk i kolejne okrzyki człowieka czekającego po drugiej stronie ulicy. Nie przestawał wrzeszczeć, mimo że nie mogła go zrozumieć. Wciąż była tak wstrząśnięta, że nie potrafiła iść i słuchać jednocześnie.

Drzwi na klatkę schodową nie były zamknięte na zasuwkę.

Gdy oparła się o nie ramieniem, o mało nie zleciała ze schodów. Tylko dzięki resztkom instynktu nie upadła i zdołała zbiec na dół. Chwiała się ciągle i miała zawroty głowy, ale im dłużej była na własnych nogach, tym łatwiej przychodziło jej utrzymać równowagę. Zanim dotarła na parter, mogła znów przyspieszyć, niemal biec.

Wszystkie okna przestronnego holu szczelnie pozabijano. Było tu ciemno jak diabli, jedyne źródło światła stanowiły promienie popołudniowego słońca przesączające się wąskimi pasami przez szpary między deskami. Briar potrzebowała krótkiej chwili, by wzrok jej się przyzwyczaił do tej zmiany, potem dostrzegła ladę recepcji pokrytą grubą warstwą kurzu i dziesiątki odcisków stóp na podłodze.

Główne wejście zabezpieczono wyjątkowo grubą dechą. Briar oderwała ją i pociągnęła za masywne uchwyty.

Panika, którą poczuła w tym momencie, zadziwiła ją. Była pewna, że wyczerpała już wszystkie pokłady strachu, gdy jednak drzwi ani drgnęły, poczuła znowu, jak miękną jej nogi.

– Halo! – usiłowała krzyczeć przez drzwi, kiedy opanowała trochę nerwy. – Halo? Jest tam kto?

Ale nawet w jej uszach te wołania były zaledwie cichym pomrukiem.

Człowiek znajdujący się po drugiej stronie z pewnością by ich nie usłyszał.

Teraz rozumiała, jak głupio postąpiła. Powinna była zejść na któreś z pięter i poszukać innego wyjścia przeciwpożarowego. Po jaką cholere zbiegała na sam parter?

W głowie nadal jej szumiało po niedawnej eksplozji bólu, z trudem ogniskowała wzrok.

– Pomóżcie mi! Wypuście mnie stąd!

Uderzała w drzwi kolbą sztucera, robiąc sporo hałasu.

Kilka chwil później usłyszała stukanie dochodzące z drugiej strony.

– Co z tobą, u licha? Mam cię stamtąd wyprowadzić czy co?

– Jakbyś zgadł – wymamrotała uradowana, że słyszy czyjś głos, choć nadal nie miała pewności, jakie zamiary żywi wobec niej ten człowiek. Mógł

ją uratować albo obrabować z maski i zabić. Ale cokolwiek od niej chciał, zadał sobie wystarczająco wiele trudu, by nawiązać kontakt, a to już było coś.

– Wypuść mnie stąd! – powtórzyła nieco głośniejsze.

– Odsuń się od drzwi!

Nauczona doświadczeniem zareagowała na polecenie od razu i ukryła się za kontuarem recepcjonisty. Coś walnęło w drzwi z ogromnym hałasem i nie mniejszą siłą, nie rozbiło ich jednak. Drugi cios naruszył zawiasy, a trzeci wysadził drzwi z framugi.

Do holu wpadł razem z nimi potężny mężczyzna, z trudem wyhamowując.

– Ty... – zaczął i przerwał w pół słowa. – Jesteś kobietą.

– Zgadza się – odparła, wytaczając się zza kontuaru.

– Dobrze. Chodź za mną, tylko szybko. Za minutę się ockną.

Mężczyzna przemawiał do niej cienkim głosikiem przez zakrywający mu twarz hełm, który przypominał skrzyżowanie końskiego łba z odwołaniem ośmiornicy. Jego maska rozszerzała się u dołu i dzieliła na dwa okrągłe filtry umieszczone po obu stronach nosa. Konstrukcja wyglądała na ciężką, ale i mężczyzna, który nosił ten hełm, do ułomków nie należał.

Mimo że z trudem mieścił się w drzwiach, nie był otyły. Wrażenie ogromu potęgował masywny pancerz, który okrywał jego ciało. Na barkach miał osłony ze stali, kark i szyję okrywał mu wysoki metalowy kołnierz sięgający powyżej krawędzi hełmu. Łokcie, przeguby oraz inne stawy chroniła gruba kolczuga, którą połączono poszczególne elementy zbroi.

Całość na miejscu utrzymywały grube skórzane pasy spięte na klatce piersiowej i brzuchu.

Wyglądał jak człowiek, który postanowił przerobić rycerską zbroję na wyjściową marynarkę.

– Kobieto, nie mamy na to całej nocy – ponaglił ją.

Chciała mu odpowiedzieć, że do nocy jeszcze daleko, lecz wciąż była oszołomiona i przestraszona. Czowała też irracjonalną radość z pojawienia się opancerzonego osobnika.

– Już idę – wymamrotała.

Ruszyła chwiejnym krokiem, odbijając się od jego ramienia, i dopiero po kilku krokach odzyskała równowagę.

Nie podtrzymał jej, by pomóc, ale i nie popchnął, by ruszała się szybciej. Po prostu odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku wyłamanych drzwi.

Poszła jego śladem.

– Co to było? – zapytała.

– Zapytasz później. Uważaj, jak idziesz.

Ulica i chodniki pełne były wijących się i mamroczących zgnilasów.

Briar miała początkowo problem z omijaniem ich ciał, gdy zobaczyła jednak, że jej towarzyszy zaczyna się oddalać, przestała zwracać uwagę na szczegóły i stawiała nogi tam, gdzie wypadło, obok i na nieumarłych. Jej buty łamały kościste kończyny i miażdżyły klatki piersiowe. Zaczepiła obcasem o twarz leżącej kobiety, odzierając ją z wyschniętej skóry do gołej czaszki i rozwlekając strzępy gnijącego ciała po płycie chodnika.

– Zaczekaj – poprosiła.

– Nie czekam. Spójrz na nich – odparł i sam przestał zważać na rozkładające się ciała.

Briar pomyślała, że jej przewodnik dziwnie się wyraża, ale wbrew sobie popatrzyła w dół: zgnilasy leżały wszędzie, zajmując całą powierzchnię ulicy, przy krawężnikach i ścianach. Wybałuszając oczy i wywalając jęzory.

W tym momencie zrozumiała, o co chodziło opancerzonemu mężczyźnie. Potwory zaczynały się żywiej ruszać. Wyciągały ku niej ręce składniej i z większym zdecydowaniem. Kopiące bruk stopy obracały się, jakby nieumarli próbowali znaleźć punkt podparcia i wstać. Z każdą sekundą odzyskiwali więcej zmysłów – o ile można było w odniesieniu do nich mówić o zmysłach – albo najzwyklejszą w świecie koordynację ruchów.

– Tędy. Szybciej.

– Staram się.

– Za mało. – Wyrzucił rękę do tyłu i chwycił Briar za nadgarstek. Z

taką łatwością, jakby nic nie ważyła, przyciągnął ją do siebie ponad kolejnymi zwałami przytomniejących nieumarłych.

Jeden z tych odrażających tworów rzucił się nagle, próbując chwycić Briar za kostkę. Kopnęła, mierząc w pątkowatą kończynę, ale chybiła, ponieważ mężczyzna w masce szarpnął ją jeszcze raz,



pociągając za sobą między siedzącymi już jęczącymi zgnilasami.

– Dobra, teraz idziemy prosto – powiedział.

– Czyli gdzie?

– Do podziemi. Pospiesz się. Tędy.

Wskazał na kamienną budowlę ozdobioną wizerunkami sów. Sądząc po napisie zdobiącym główne wejście, kiedyś musiał być tu bank. Wyłamane drzwi zastąpiły ciężkie skrzynie z grubych desek, wszystkie okna w polu widzenia zabezpieczono kratami.

– Jak...

– Trzymaj się blisko mnie. Najpierw idziemy w górę, potem w dół.

Wokół nie było niczego, co by przypominało drabinę, nawet prowizoryczną, ani innych bezpiecznych dróg prowadzących w górę, ale gdy Briar zadarła głowę, zobaczyła nad sobą spodnią część rozklekotanego balkonu.

Człowiek w marynarce ze stali wyjął zza pasa paskudnie wyglądający ciężki hak na długim sznurze i rzucił nim w górę. Kiedy hak zniknął za krawędzią balkonu, opancerzony zbawca pociągnął za sznur i ściągnął

rozkładaną drabinę. Zsunęła się z głośnym terkotem jak zbyt pospiesznie opuszczony most zwodzony.

Mężczyzna pochwycił jej dół i przytrzymał. Najniższy szczebel znajdował się mniej więcej na wysokości pasa Briar.

– Wchodź.

Skinęła głową, przerzuciła sztucer przez plecy, aby podczas wspinaczki mieć wolne ręce.

Ale zdaniem jej towarzysza nie poruszała się wystarczająco szybko.

Poczuła na sobie jego dłoń – podsadził ją z całych sił, pomagając jej odbić się od chodnika. Nie protestowała jednak przeciw tak jawnemu naruszeniu swojej cielesności: dzięki temu zdołała pochwycić wyższy szczebel i podciągnąć nogi na tyle, że i one znalazły oparcie.

Ciężar jej ciała ustabilizował wiszącą nad chodnikiem drabinę, a gdy opancerzony zbawca poszedł jej śladem, metalowa konstrukcja wydała żaloszny jęk i zatrzęsała się mocniej, lecz wytrzymała. Przy każdym ruchu protestowała jednak, skrzypiąc głośno i złowieszczo, jakby chciała dać im znak, że nie została stworzona do dźwigania tak wielkich obciążeń.

Briar nie zważała na to, wspinała się najszybciej, jak potrafiła, czując, że szczeble opadają pod jej stopami, ilekroć o wiele cięższy mężczyzna posuwał się o stopień wyżej.

Mocny klaps w pośladek wyrwał ją z zamyślenia.

– Tam. Na pierwszym piętrze. Tylko nie wybij okna. Można je otworzyć.

Skinęła głową, zeszła z drabiny na balkon. Okno było opuszczone, ale nie zamknięte. W dolnej części jego ramy zauważyła małą zasuwę.

Pociągnęła za nią i otworzyła je bez trudu.

Mężczyzna stanął za nią na balkonie. Drabina za jego plecami natychmiast wróciła na swoje miejsce. Pozbawiona obciążenia złożyła się płynnie, zawisając na takiej wysokości, do jakiej żaden zgniłaś, choćby najwyższy i dysponujący najdłuższymi kończynami, nie mógł dosięgnąć.

Briar pochyliła głowę i wsunęła się bokiem do środka. Opancerzony mężczyzna poszedł jej śladem. Przestał się już poruszać z takim pośpiechem i nerwowością. Teraz gdy znaleźli się wewnątrz banku, z dala od nieumarłych, zdecydował się nawet zrzucić część pancerza.

Odczepił stalowe rękawy, rozprostował ręce, potem przekrzywił szyję w obie strony, rozciągając mięśnie karku. Musiał się zająć też linką doczepioną do haka. Zrobił to sprawnie, zwijając kolejne pętle na przedramieniu, a potem narzędzie do ściągania drabiny wróciło za jego pas.

Następnie wyjął z kabury na ramieniu tulejowate urządzenie nieco dłuższe od jego uda. Wyglądało z grubsza jak pistolet, ale zamiast spustu miało mosiężne wioselko i kratkę na wylocie lufy, bardzo podobną do tej, którą Briar widziała na masce swojego wybawiciela.

– Gzy to ten przedmiot narobił takiego hałasu? – zapytała. – On powalił

tych zgnilasów?

– Tak, madame – odparł. – Oto Oszołamiający Ogłuszacz doktora Minnerichta, a mówiąc w skrócie, Stokrotka. To niezwykle użyteczna broń i jestem dumny, że ją mam, chociaż niestety ma także kilka ograniczeń.

– Jak choćby te trzy minuty?

– W rzeczy samej, działa tylko przez trzy minuty. Źródło zasilania znajduje się tutaj – wskazał palcem na uchwyt pokryty płataniną cieniotkich rurek z mosiądzu i szkła. – Ponowne naładowanie go trwa całą wieczność.

– Wieczność?

– No, jakiś kwadrans na pewno. To zależy.

– Od czego?

– Od elektryczności statycznej – odparł. – Ale nie pytaj mnie, co to takiego. Pojęcia nie mam, na jakiej zasadzie to działa.

Przyglądała się z niekłamanym zachwytem urządzeniu potrafiącemu narobić takiego hałasu.

– Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Kim jest ten doktor Minnericht?

– To dupek, ale czasami nawet on może się do czegoś przydać. A teraz pozwól, że cię zapytam, kim jesteś i co porabiasz w naszym pięknym, aczkolwiek niezbyt czystym mieście?

– Szukam syna – odparła, pomijając pierwszą część pytania. – Wiem, że przyszedł tutaj wczoraj w nocy, korzystając ze starego kanału odpływowego.

– Kanały są zamknięte.

– Teraz tak. Po trzęsieniu ziemi. – Oparła się o parapet zbyt zmęczona, by mówić dłuższymi zdaniami. – Wybacz... – dodała, nie precyzując za co przeprasza. – Wiedziałałam o mieście, zdawałam sobie sprawę, że jest tu źle, ale...

– Tak, wiem. Właśnie to „ale” zabije cię, jeśli nie zachowasz wystarczającej ostrożności. Powiadasz zatem, że przyszedł tu w poszukiwaniu dziecka? – Zmierzył ją wzrokiem. – Ile masz lat? – zapytał bez ogródek i Briar zaczęła żałować, że nie widzi jego twarzy zasłoniętej szczelnie hełmem.

– Wystarczająco wiele, by dorobić się syna, który jest na tyle głupi, żeby tu przyłązić – odparła. – Ma piętnaście lat. Nie widziałeś go w tej okolicy?

– Piętnaście lat, powiadasz? Czy to najdokładniejszy rysopis, jaki możesz mi podać?

– A ilu zagubionych piętnastolatków mogłoby tędy przechodzić w minionym tygodniu?

– Zdziwiłabyś się – stwierdził, wruszając ramionami. – Wielu przybłądów z Przedmieść przyłązi za mur. Patrzą, co by tu ukraść albo przehandlować. Są też tacy, którzy chcieliby się nauczyć, jak robić sok ze Zguby. Rzecz jasna, mało który przeżywa takie wycieczki. – Mimo soczewek maski mężczyzna zauważył, że Briar zmrużyła oczy, więc dodał pośpiesznie:

– Nie twierdzę, że twój syn musi zginąć, co to, to nie. Powiadasz, że pojawił się tutaj wczoraj?

– Tak, wczoraj.

– Cóż, jeśli żyje, to pewnie nic mu nie będzie. Nie widziałem go tutaj, co wcale nie znaczy, że tędy nie przechodził. A jak ty się dostałaś za mur?

– Podrzucił mnie tu jeden z lotników.

– Który?

– Posłuchaj – przerwała mu, unosząc ostrzegawczo dłoń. – Chcesz pogadać? Możemy kontynuować tę rozmowę w innym miejscu? Muszę jak najszybciej zdjąć tę maskę. Czy Iii w pobliżu jest jakieś

zabezpieczone pomieszczenie, w którym da się normalnie oddychać? Zaczynam się dusić.

Ujął jej twarz w obie dłonie, przesunął do światła i obejrzał uważnie maskę.

– To stary model, ale jeden z lepszych. Jeśli jednak filtry się zapchały, jej jakość nie będzie miała znaczenia. Dobra. Chodź za mną na parter. Mamy tutaj służbę połączoną z systemem tuneli.

Sprowadził ją na dół, tym razem nie popychając ani nie ciągnąc za rękę. Po prostu poszedł przodem.

Przy wejściu do holu, do którego nie docierało światło dzienne, na drzwiach wisiała lampa oliwna. Mężczyzna wziął ją, zapalił i trzymając wysoko nad głową, oświetlał im dalszą drogę do piwnic.

– Dziękuję – rzuciła Briar, gdy przeszła za nim przez pogrążony w ciemności hol i znalazła się na prowadzących w dół schodach. – Powinnam to powiedzieć wcześniej, ale naprawdę jestem wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś.

– Tylko wykonywałem swoją robotę – odparł.

– Jesteś kimś w rodzaju komitetu powitalnego miasta Seattle?

Pokręcił głową.

– Nie, ale mam oko na hałasujących przybyszów takich jak ty.

Większość dzieciaków śpi spokojnie i trzyma gęby na kłódkę, ale gdy z zewnątrz dochodzą strzały, robi się niespokojnie. Dlatego wychodzę i sprawdzam, co się dzieje. – Płomień w lampie zamigotał, więc zakręcił nią, by nasączyć mocniej knot. – Czasami trafiam na kogoś, kogo nie chcielibyśmy tu widzieć, wtedy nie reaguję. Natomiast jak widzę małą kobietkę z wielką spluwą, to zupełnie inna sprawa. Taka gratka nie trafia się tutaj codziennie.

Natknęli się na drzwi uszczelnione lepikiem. Każde pęknięcie w deskach zostało dodatkowo zabezpieczone paskiem skóry.

– Jesteśmy na miejscu. Kiedy otworzę te drzwi, przejdiesz jak najszybciej na drugą stronę. – Podał jej latarnię. – A ja tuż za tobą. Mam nadzieję, że wiesz, dlaczego drzwi nie mogą być zbyt długo otwarte.

– Wiem – potwierdziła, odbierając od niego lampę.

Wyjął z kieszeni pęk czarnych kluczy, miał ich tam co najmniej tuzin.

Wybrał właściwy i wepchnął go pod gumową uszczelkę w miejscu, gdzie przynajmniej według Briar, nikt przy zdrowych zmysłach nie umieściłby zamka. Niemniej gdy przekręcił dłoń, usłyszała ciche kliknięcie, drzwi poruszyły się lekko, kiedy przesuwał rękę.

– Liczę do trzech. Jeden, dwa... trzy. – Pociągnął drzwi do siebie. Lepik puścił z cichym cmoknięciem.

Briar wkroczyła w jeszcze gęstsze ciemności, a mężczyzna w zbroi, zgodnie z zapowiedzią, skoczył za nią, momentalnie zatrzasnął zamek.

– To już niedaleko – zapewnił ją.

Zabrał na powrót lampę i poprowadził ją korytarzem, w którym co chwilę natykali się na kolejne zasłony z pasów gumy albo grubej skóry, a potem innym, węższym i krótszym, lecz pozbawionym przeszkód. Na jego końcu znajdowały się dziwne drzwi, bardziej przypominające parawan z grubego płótna. Zabezpieczono je wokół lepikiem, podobnie jak każde inne drzwi w podziemiach, na które Briar do tej pory się natknęła. Tutaj jednak trudno było mówić o szczelności.

Gdy przyłożyła ucho do naciągniętego płótna, usłyszała wyraźnie, że przepuszcza powietrze.

– Uważaj. Tutaj obowiązuje ta sama zasada. Musisz być szybka. Raz, dwa... trzy.

Nie musiał szukać klucza ani zamka, te drzwi odsuwały się na bok po zmyślnej szynie. Zniknęły w ścianie, piszcząc przeraźliwie.

Briar przeskoczyła do następnego pomieszczenia, w którym na sporym stole wypalało się kilka świec. Wokół niego znajdowało się sześć krzeseł

przysuniętych niemal do samego blatu. W głębi widziała jakieś skrzynie, więcej świec i wylot korytarza zasłoniętego znajomymi już pasami skóry.

Mężczyzna mocował się przez chwilę z drzwiami, lecz zdołał je w końcu zamknąć. Przeszedł potem na drugą stronę pomieszczenia i tam zaczął

ściągać elementy zbroi.

– Nie zdejmuj na razie maski. Poczekaj jeszcze chwilę – poradził. –

Ale czuj się jak u siebie w domu.

Metalowe osłony zabręczwały, gdy składał je na blacie stołu. Jego rurowy pistolet soniczny, czyli Stokrotka, także wylądował obok opancerzenia z głośnym łoskotem, co mogło wskazywać na jego pokaźną wagę.

– Spragniona? – zapytał.

– Tak – odparła ochryple.

– Mamy tu wodę. Może nie jest zbyt smaczna, ale gasi pragnienie. No i mamy mnóstwo piwa. Lubisz coś mocniejszego?

– Jasne.

– Możesz już zdjąć maskę, jeśli chcesz. Ja jestem przesadnie ostrożny, dlatego zdejmuję sprzęt z

twarży dopiero po minucie od zamknięcia drzwi z filtrem. – Sięgnął do skrzyni oznaczonej napisem: „Wyroby gliniane” i wyjął

z niej kubek. W kącie stała ciemnobrązowa beczka. Zdjął z niej przykrywkę i zaczerpnął wody do naczynia.

Potem postawił je przed Briar.

Spojrzała na wodę łapczywym wzrokiem, ale nie chciała zdjąć maski pierwsza, a on nie kwapił się jeszcze do tego. Zauważył jej wahanie i sięgnął

do pasków podtrzymujących dziwaczne ustrojstwo na jego twarzy. Hełm zsunął mu się na klatkę piersiową, gdzie zawisł na dłuższym rzemieniu, odsłaniając płaską szeroką twarz. Dość przeciętnie wyglądającą, niespecjalnie urodziwą, choć też niezbyt brzydką. Z tego oblicza emanowała inteligencja. Mężczyzna miał krzaczaste ciemne brwi, płaski nos i zaciśnięte mocno grube wargi.

– Oto i ja – oznajmił. – Może nie piękniejszy, ale na pewno lżejszy. –

Teraz, gdy nie korzystał ze wzmacniacza w masce, mówił niskim, nieco nosowym, z pewnością jednak ludzkim głosem. – Jeremiasz Swakhammer, do usług szanownej pani. Witam w podziemiach.

## **ROZDZIAŁ 12**

Rudi pędził przed siebie sporymi susami, zawijając sztywną nogą z zaskakującą szybkością. Zeke ledwie za nim nadażał, dysząc przy tym okropnie. Z trudem wciągał powietrze przez filtry, które zaczynały się już zapychać. Walczył też z bólem, jaki sprawiało mu sztywne uszczelnienie maski ocierające skórę na policzkach przy każdym ruchu.

– Poczekaj – wyjęczał.

– Nie – odparł Chaos. – Nie ma czasu.

I pędził dalej. Zeke był niemal pewien, że usłyszał w jego głosie zupełnie nowy ton, coś jakby wściekłość albo smutek. Docierała też do niego kakofonia niezrozumiałych, ale podobnych do siebie okrzyków, nawoływań i płaczliwych odpowiedzi kolejnych ludzi.

Wiedział, że zostali odkryci, a raczej usiłował sobie wmówić, że znaleziono ofiarę niepotrzebnej brutalności Rudiego. On sam nie zrobił

przecież nic złego. Tutaj panowały jednak zupełnie odmienne zasady niż na Przedmieściach. Czy ktoś jednak mógłby ich winić za zabicie kogoś w samoobronie, zwłaszcza podczas wojny?

Z drugiej wszakże strony wciąż miał przed oczyma obraz tego dziwnie wyglądającego cudzoziemca w grubych okularach, wykrwawiającego się ze zdziwioną miną. Zabitego zupełnie bez powodu.

Tunele w tej okolicy nie były już tak proste, a ciemności bardziej przytłaczające, niemniej chłopak pędził w ślad za swoim przewodnikiem, któremu przyglądał się z coraz większą podejrzliwością.

Przyląpał się nawet na myśli, że chciałby, aby księżniczka, kimkolwiek jest, wróciła i dokończyła sprawę. Może mógłby jej zadać przy tej okazji kilka dodatkowych pytań?

Może nie rzuciłaby w niego nożem? Liczył, że nie zginęła pod tym zawalem.

Miał nadzieję, że przeżyła.

Znowu ujrzał oczami wyobraźni zapadające się sklepienie tunelu, usłyszał potworny ryk towarzyszący waleniu się ścian na odcinku pomiędzy nimi a starą Indianką, i zaczął wątpić, czy miała jakiegokolwiek szansę na przetrwanie. Pocieszał się jednak, że gdyby była głupia i niezdarna, nie zdołałaby dożyć tak podeszłego wieku. Poczł dziwne ukłucie w sercu, gdy to pomyślał, spoglądając na plecy pochylonego, uciekającego niezdarnie mężczyzny w wojskowym płaszczu.

Rudi obejrzał się moment później, wołając:

– Idziesz czy nie?

– Idę, idę.

– No to nie oddalaj się nawet na krok ode mnie. Nie dam rady cię nieść, bo mi się znowu otworzyła rana. Nie mogę robić wszystkiego za nas dwóch.

– Dokąd idziemy? – zapytał Zeke i natychmiast pożałował, gdyż dźwięki wydobywające się spod maski zabrzmiały bardzo płaczliwie.

– Wracamy, tak jak przedtem. Najpierw musimy zejść niżej, żeby potem dostać się wyżej.

– Nadal zmierzamy w kierunku wzgórza? Prowadzisz mnie na Denny Hill?

– Przecież już ci mówiłem, że cię tam doprowadzę – wysapał Rudi. –

W tym mieście nie ma prostej drogi łączące te dwa punkty, i wybacz, że nie byłem tak niewidoczny, jak byś chciał. Wybacz mi, na rany Chrystusa. Nie miałem dzisiaj w planach nadziewania się na noże. Bywa, że plany ulegają zmianie, chłopcze. Trzeba czasami iść okrężną drogą. Tak jak teraz.

– Idziemy okrężną drogą?

– Tak, okrężną – odparł Rudi. Przystanął pod kolejnym świetlikiem, wskazując stos skrzyń pozwalających dosięgnąć drabiny. Nad jej szczytem w sklepieniu widać było okrągły właz. – Musimy się tam wspiąć, ale ostrzegam, to może nie być takie łatwe, na jakie wygląda.

– Się wie – mruknął Zeke, chociaż wcale nie miał pewności, czy wszystko jest jak trzeba. Miał coraz większe problemy z oddychaniem, szczerze mówiąc, wzrastały z każdym krokiem. Nie potrafił zaczerpnąć głębszego tchu, a Rudi nie pozwalał mu nawet na chwilę odpocząć.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o zgnilasach?

Pamiętam. Chłopak skinął głową, mimo że Chaos był odwrócony do niego plecami i nie mógł tego zobaczyć.

– One są dwa razy gorsze od twoich najokropniejszych wyobrażeń –

kontynuował Rudi. – Dlatego posłuchaj mnie teraz. – Odwrócił się i wymierzył palcem w twarz Zeke'a. – Poruszają się niezwykle szybko, o wiele szybciej, niż można by sądzić po ich wyglądzie. Potrafią biegać i kasać.

A jeśli chcesz przeżyć, trzeba będzie odciąć każdą część ciała, w którą cię ugryzą. Rozumiesz, co mówię?

– Niezupełnie – wyznał szczerze chłopak.

– W takim razie masz mniej więcej półtorej minuty na ogarnięcie tematu, bo musimy się wydostać na powierzchnię, zanim nasi rozwścieczeni skośnoocy przyjaciele dopadną nas i zabiją na miejscu. Zapamiętaj trzy zasady: trzymasz się blisko mnie, zachowujesz kompletną ciszę, a jeśli zostaniemy dostrzeżeni, wspinasz się jak małpa.

– Mam się wspinać?

– Dobrze słyszałeś. Masz się wspinać. Jeśli zgnilasy będą mocno zdesperowane, mogą nawet wleźć na drabinę, ale nie pójdzie im to zbyt łatwo i na pewno nie szybko. Dlatego jeśli będziesz mógł się wspiąć do jakiegoś okna albo na schody przeciwpożarowe, nie zastanawiaj się nawet przez chwilę. Właz jak najwyżej się da.

– A jeśli zostaniemy przy tym rozdzieleni? – Zeke poczuł, jak do żołądka zaczyna mu się wlewać strumień rozpalonej lawy.

– To zostaniemy rozdzieleni. Każdy będzie się ratował na własną rękę, chłopcze. Przykro mi to mówić, ale powinieneś wiedzieć. Jeśli mnie otoczą, nie wracaj po mnie. Jeśli ciebie zagonią w ślepy zaułek, ja na pewno nie przybędę z odsieczą. Życie tu jest ciężkie, a śmierć szybka.

– Pytałem, co będzie, jeśli nas po prostu zmuszą do rozdzielenia.

– Jeśli do tego dojdzie, zasada jest taka sama – burknął Rudi. – Staraj się wejść jak najwyżej. Dostań się na dach budynku i pokaż mi się. Jeśli to będzie możliwe, przedostanę się do ciebie. I tu przypomnę ci o zasadzie numer jeden: nie oddalaj się za bardzo ode mnie. Nie zdołam cię ochronić, jeśli będziesz ganiał po ulicach jak lunatyk.

– Nie zamierzam tego robić – obruszył się Zeke.

– I dobrze – mruknął Rudi.

Głosy w korytarzu nadal przybierały na sile, pościg był chyba coraz bliżej. Zeke nasłuchując, wylapywał już poszczególne głosy. Brzmiały bardzo gniewnie, jakby ci ludzie pragnęli natychmiastowej zemsty. Zeke czuł



się paskudnie, nie tylko bowiem przyglądał się śmierci człowieka, ale też przyłożył do tego ręki, nawet jeśli jego jedyną winą było to, że stał tam jak słup, nie wiedząc, co robić. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym podlej się czuł. Podobnie było z myśleniem o mieście nad ich głowami, po którym krążyły stada wygłodniałych nieumarłych. Oni także psuli mu samopoczucie.

Nie miał jednak innego wyjścia, tkwił w tym po uszy. Nie było dla niego drogi powrotu, przynajmniej z tego miejsca. Szczerze mówiąc, nie miał

nawet pojęcia, gdzie się teraz znajdują, więc nie byłby w stanie opuścić miasta na własną rękę, gdyby nawet bardzo chciał.

Podążył więc za Rudim, gdy ten podważył z głośnym sapnięciem ciężki właz i wydostał się na ulicę, równie ponurą i mroczną jak tunele, które do tej pory przemierzali.

Zachowywał się dokładnie tak, jak mu kazano.

Trzymał się blisko przewodnika, zachowując ciszę. Nie było to zresztą zbyt trudne: cisza panująca na tych ulicach była tak kompletna, że łatwiej mu przychodziło utrzymywać ten stan niż naruszać. Od czasu do czasu słyszeli tylko szybki nerwowy trzepot skrzydeł, gdy któryś z wielkich czarnych ptaków przelatywał przez chmury zabójczego gazu wypełniającego przestrzeń otoczoną murem. Zeke zaczął się nawet zastanawiać, jakim cudem zdołały przeżyć, skoro tak często wdychały zabójczą przecież Zgubę.

Nie odważył się jednak zapytać.

Trzymał się jak najbliżej kulejącego mężczyzny, naśladowując każdy jego ruch. Gdy Rudi przypadał do ściany i lustrował przestrzeń przed sobą, Zeke robił to samo. Gdy Rudi powstrzymywał oddech i nasłuchiwał, Zeke naśladował go, mimo iż brakowało mu tlenu i dusił się w masce. Unosił

głowę i spoglądał w górę, dopóki przed oczami nie zaczynały mu latać gwiazdy. Wciągał powietrze po raz kolejny, dopiero gdy naprawdę musiał to zrobić.

Pole widzenia miał ograniczone do kilku jardów w każdym kierunku.

Zguba była gęsta, barwa zawiesiny mieściła się gdzieś pomiędzy jasnym gównem a płatkami słonecznika. Nie przypominała konsystencją mgły, wyglądała raczej jak toksyczne opary. Kiedy człowiek w nie wchodził, czuł

się, jakby miał głowę w nisko rozpiętej chmurze.

W miejscach gdzie ubranie nie zasłaniało ciała, czyli pomiędzy krańcem rękawic a mankietem rękawa i na karku nad kołnierzem, Zeke czuł

nieustanne swędzenie. Z trudem powstrzymywał się od drapania, pamiętając o ostrzeżeniu Rudiego. Przewodnik zmierzył go wzrokiem, pokręcił głową i wyszeptał:

– Nie rób tego, jeśli podrażnisz skórę, będzie jeszcze gorzej.

Otaczające ich budynki wydawały się pozbawionymi granic zamazanymi prostopadłościanami. Ich okna i drzwi były albo wyłamane, albo zabite deskami na amen. Zeke zakładał, że te, które zabezpieczono na dolnych piętrach, służą żywym mieszkańcom za schronienie, więc gdyby znalazł w miarę bezpieczny sposób, by dostać się do wnętrza, mógłby znaleźć relatywnie bezpieczną przystań. Co innego myśleć o tym, co innego zrobić. Widział tu i ówdzie schody przeciwpożarowe, plątaninę żelaznych kratownic, które wyglądały krucho jak elementy domku dla lalek. Mógłby się po nich wspiąć, ale co dalej? Czy musiałby wybić okno, by wejść do środka?

Rudi mówił, że ludzie zostawiają lampy i świece tam, gdzie często przechodzą.

A Zeke myślał teraz o jednym: jak uciec od tego człowieka.

Zdziwił się, gdy zrozumiał, że to właśnie robił przed chwilą. Nie znał

nikogo więcej w tym mieście. Widział tylko dwoje innych mieszkańców, w tym jednego zamordowanego przez Rudiego. Drugi, kobieta, usiłował zabić z kolei jego kulawego przewodnika. Jeśli więc ocenić sytuację bezstronnie, w tym mieście albo się zabijało, albo samemu ginęło. Szanse były jak jeden do jednego. Doszedłszy do tego wniosku, nie poczuł się jednak lepiej.

Idąc krok w krok za Rudim, raz jeszcze wspomniał Chińczyka. I znów zawartość żołądka zaczęła podchodzić mu do gardła.

Nie. Nie mógł na to pozwolić. Nie teraz, kiedy miał maskę na twarzy.

A nie mógł jej zdjąć, bo to byłoby równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Musiał zapomnieć o tamtym widoku.

Pragnął uspokoić nerwy i dokonał tego.

Rudi znowu ruszył do przodu mocno pochylony, z opuszczonymi ramionami. Wysunął przed siebie laskę, w której – Zeke wiedział już teraz –

miał tylko dwa naboje. A cóż znaczą dwa strzały, kiedy naprzeciw stoi horda krwiożerczych zgnilasów?

Ledwie o nich pomyślał, w pobliżu rozległ się cichy pomruk.

Rudi zamarł w pół kroku. Zeke uczynił to samo.

Mężczyzna odwrócił wolno głowę, spojrział w lewo, najpierw w dół, potem w górę. Zdaje się, że szukał najlepszej drogi ucieczki.

– To zgnilasy? – zapytał bezdźwięcznie Zeke, ale Rudi nie mógł

widzieć ruchu warg pod maską, więc nie odpowiedział.

Po pierwszym jęku usłyszeli inny, jakby ktoś odpowiedział na pytanie.

Drugi dźwięk był bardziej urywany i wyższy, bełkotliwy, jak gdyby istocie go wydającej brakowało zębów. Po jęku usłyszeli odgłos kroków, powolnych i niepewnych. Dobiegały z tak bliska, że Zeke poczuł napad panicznego strachu.

W tym samym momencie Rudi odwrócił się do niego, pochylił tak mocno, że ich maski nieomal się zetknęły filtrami i wyszeptał jak najciszej:

– Idziemy tam. – Wskazał palcem pobliskie skrzyżowanie i ulicę biegnącą w prawo. – Kilka przecznic. Wysoka wieża o białych ścianach.

Wejdz na pierwsze piętro. Możesz wybić okno, jeśli będziesz musiał. – Po tych słowach przymknął oczy na kilka sekund, a gdy je otworzył, dodał

jeszcze: – Pędź, chłopcze, jeśli ci życie miłe.

Zeke nie był jednak pewien, czy zdoła się zmusić do jakiegokolwiek wysiłku, nawet jeśli od tego będzie zależało jego życie. Płuca bolały go przy każdym oddechu, jakby ktoś obwiązał mu żebra grubą liną, a gardło paliło żywym ogniem. Gdy spojrzał ku ulicy wskazanej przez Rudiego, zauważył, że biegnie w dół, czyli w kierunku przeciwnym, niż chciał iść.

Przez głowę przewijały mu się wszystkie zapamiętane wcześniej mapy miasta, jedna po drugiej, ale im więcej im się przyglądał w myślach, tym bardziej był pewien, że nie tędy droga. Pozostawało jednak pytanie, czy byłby w stanie pobiec teraz pod górę. I gdzie miałby znaleźć schronienie, jeśli nie w opisanej przez Rudiego wieży?

Panika powróciła, wypełniając całą przestrzeń pod maską, lecz to nie miało już żadnego znaczenia. Jęki, stęknienia i szelest kroków nasilały się z każdą chwilą, był pewien, że jeszcze moment i te stworzenia znajdą się tuż obok.

Rudi ruszył pierwszy. Kulawy czy nie, potrafił biegać, tyle że robił

przy tym sporo hałasu.

Gdy uderzył sztywną nogą o bruk, jęki natychmiast stały się bardziej intensywne, wyższe, przechodząc w pisk. W otaczających Zeke'a oparach zapanował gorączkowy ruch. Stado się zwoływało. Stado wyruszało na łowy.

Chłopak zaczerpnął głębiej tchu, starając się opanować skołatane nerwy. Obrócił się w stronę ulicy biegnącej w dół z boku i rzucił ostatnie spojrzenie przez ramię. Nie zobaczył nic prócz wirujących oparów Zguby.

Zebrał wszystkie siły i zaczął uciekać.

Bruk był spękany i nierówny. Może zniszczyło go trzęsienie ziemi, a może nadgryzł po prostu ząb czasu. Zeke się potknął, ale odzyskał

równowagę, przy kolejnym zachwianiu musiał się podeprzeć rękoma, ocierając je przy okazji do

krwi. Odbił się jednak od bruku jak piłka i mknął

dalej.

Słyszał za sobą w gęstej mgle odgłosy pogoni. Nieumarli nadchodzili szeroką ławą.

Nie oglądał się. Skupił wzrok na podrygującej niezdarnie sylwetce Rudiego, który gnał naprzód, coraz szybciej zresztą ku ogromnemu zdziwieniu Ezekiela. Może starzec przywykł już do poruszania się w masce ograniczającej dopływ tlenu albo nie był aż tak poważnie ranny, jak się wydawało. Tak czy owak zbliżał się już do białej budowli, która nagle wychynęła z gęstej mgły w dole pogrążonej w mroku ulicy.

Opary rozbijały się o wieżę niczym fale przyboju, jakby była głazem wystającym z dna oceanu.

Zeke znalazł się przy niej kilka sekund po tym, jak dostrzegł białe ściany. I tu zaczęły się problemy. Za cholerę nie wiedział, jak ma się dostać na pierwsze piętro. Nie widział w pobliżu żadnych schodów przeciwpożarowych ani nawet drabiny. Po prawej miał ogromny portal z osadzonymi w nim masywnymi drzwiami z brązu, które zablokowano dodatkowo ciężkimi kłodami obwiązanyymi łańcuchem.

Pchany pędem nie potrafił się zatrzymać, wylądował więc na białej ścianie, amortyzując uderzenie obiema rękami. Zasyczał z bólu, gdy otarte dłonie zetknęły się z zimnym kamieniem. Nie cofnął ich jednak, tylko zaczął

obmacywać ścianę wokół okna zabitego deskami i płatami blachy, szukając jakiegoś oparcia dla rąk i nóg w bogato zdobionej framudze.

Rozglądał się wokół, lecz nigdzie nie widział swojego przewodnika.

– Rudi! – zapiszczał zbyt przerażony, by krzyknąć głośniejsze, ale i zbyt wystraszone, by milczeć.

– Tutaj! – Głos dobiegał spoza pola jego widzenia.

– Gdzie?

– Tutaj – usłyszał raz jeszcze, tym razem głośniejsze, ponieważ Rudi znajdował się tuż przy nim. – Przejdź nieco dalej. Ale pośpiesz się, bo nadchodzą.

– Słyszę. Są...

– Wszędzie – syknął Rudi. – Dobrze, wyczuwasz to? – Chwycił dłoń Zeke'a i nakierował ją na występ mniej więcej na wysokości jego klatki piersiowej.

– Tak.

– Właż na górę, chłopcze.

Przerzucił łaskę przez ramię i podciągnął się w górę.

Zaimprovizowana drabina pozwoliła mu wspiąć się wyżej. Zeke dobrze ją widział teraz, gdy wiedział, gdzie szukać. Zrobiono ją z kawałków sklejki przytwierdzonych do kamiennej elewacji.

Miał jednak problem z dosięgnięciem wyższego szczebla. Był niższy od Rudiego i nie tak silny. I wyczerpany z powodu braku powietrza oraz smrodu gumy, który docierał do jego nozdrzy przy każdym wdechu.

Rudi sięgnął w dół i chwycił jego dłoń. Jednym szarpnięciem podciągnął go na tyle wysoko, by chłopak zdołał oprzeć stopy na pierwszym występie, i nakierował jego ręce na kolejne szczeble.

– Jak szybko umiesz się wspinać? – zapytał.

Zeke pokazał mu, wchodząc na piętro ze zwinnością jaszczurki. Skoro wiedział, gdzie wsuwać palce, mknął w górę, nie szukając po omacku prowizorycznych uchwytów. Nie myślał nawet o tym, że któryś może być obluzowany. Stawiał stopy na krawędzi kolejnych płyt, prostował nogi i wyciągał ręce w kierunku następnego szczebla. Rudi szedł za nim, ale nieco wolniej. Mimo że radził sobie zadziwiająco dobrze na równej przestrzeni, wspinanie się na pionową ścianę ze sztywną nogą stanowiło dla niego spory problem. Jęczał więc głośno przy każdym ruchu.

– Zaczekaj – wychrypiał, lecz Zeke nie rozumiał, dlaczego miałby to robić. Widział przed sobą okno z niewielkim balkonem, które wyglądało nader obiecująco.

– Tam idziemy? – zapytał.

– Gdzie? – Rudi zadarł głowę, o mało nie gubiąc kapelusza.

– Do tego okna? Tam...

– Tak, tam. Ruszaj, zaraz do ciebie dołączę.

Przy oknie Zeke zauważył uchwyt przypominający nieco te, które montowano w drzwiczkach piecyków, wydało mu się więc logiczne, że dzięki niemu zdoła je otworzyć. Pociągnął, ale framuga ani drgnęła.

Pociągnął więc drugi raz, jeszcze mocniej, i udało mu się uchylić okno. Rama wysunęła się z taką łatwością, że mało brakowało, a chłopak straciłby równowagę i spadł z balkonu.

– Ostrożnie, przyjacielu – napomniał go Rudi. Właśnie dotarł na górę i oparł się rękoma o balustradę, dysząc ciężko. Odpoczywał w tej pozycji, dopóki Zeke nie otworzył do końca okna.

Ulica pod nimi pociemniała, jednakże nie z powodu zbliżającego się zmierzchu, tylko od kłębiących się ciał. Gęsty tłum nieumarłych falował

niczym gotująca się zupa w kotle. Gdy Zeke spojrział w dół, nie dostrzegł

poszczególnych zgnilasów, tylko nieustannie poruszającą się szarą masę, z której Iii i ówdzie wystawała rozcapierzona dłoń albo łysa głowa. Reszła ciało

niknęła w szarawej zawieszynie.

– Nie zwracaj na nich uwagi – poradził mu Rudi. – Włóż do środka, żebyśmy mogli zdjąć w końcu te cholerne maski. Nie wytrzymam nawet minuty dłużej.

Zeke w pełni popierał tę propozycję. Przeniósł nogę przez parapet i opuścił ją po drugiej stronie, wsuwając się do wnętrza budowli o białych ścianach. Druga noga poszła w ślad za pierwszą i już był w środku.

Rudi wtoczył się tuż za nim, po prostu przewalił się przez parapet i wylądował plecami na podłodze. Leżał tak przez kilka chwil, dysząc ciężiej, niż pozwalała maska.

– Zamknij to cholerne okno, chłopcze – wycharczał w końcu. –

Wpuszczasz nam tu Zgubę.

– No tak. – Zeke opuścił okno. Z tej strony było to trudniejsze, zwłaszcza że wszystkie ruchome krawędzie obito materiałem, aby uszczelnić otwór. W końcu jednak udało mu się ta sztuka i okno przylgnęło do framugi z cichym plaśnięciem. – Czy mogę już zdjąć maskę? – zapytał natychmiast.

– Nie, jeszcze nie. Nie na tym piętrze, chyba że chcesz się zaraz pochorować. Zejdziemy na dół. Tam jest inne wejście do tuneli i tam też będziesz mógł się w końcu pozbyć maski.

– Wracamy do tuneli? Żeby się dostać nimi na wzgórze? – pytał Zeke, zdając sobie sprawę, że Rudi i tak go okłamie, ale nie dbał o to. Chciał mu jedynie przypomnieć o obietnicy, nawet jeśli jego przewodnik nie miał

zamiaru jej dotrzymać.

– Tak, tak, na wzgórze. Stąd możemy się tam dostać, ale niekoniecznie idąc górą. Ta cholerna wieża jest z dala od innych zabudowań, nie ma z nimi żadnych połączeń. A gdyby nawet były, musielibyśmy dalej chodzić w tych cholernych maskach.

Zeke przesunął palcami po uszczelnieniu maski i podrapał się po odsłoniętym kawałku skóry.

– Ja też wolałbym ją zdjąć.

– Zatem musimy zejść na dół. Jeśli znajdę te cholerne schody –

powiedział Rudi, siadając i masując twarz w miejscach, których nie zakrywała maska.

– Jeśli znajdziesz schody?

– Dawno tutaj nie byłem – usprawiedliwił się Chaos, a potem wstał, podpierając się na lasce.

Zakołysał się mocno, ale ustał.

Chłopak rozglądał się tymczasem po pokoju. Okna na tym piętrze nie były zabite, a powietrze wewnątrz wydawało się o wiele bardziej przejrzyste, niż na ulicach. Dziwaczne kształty zajmujące sporą część podłogi okazały się meblami, które ktoś osłonił dawno temu pokrowcami. Zeke pomacał

najbliższą płachtę materiału i wyczuł pod palcami twardy podłokietnik krzesła. Obok stała sofa, przed nią stolik, a gdy podniósł głowę, dostrzegł nad sobą szkielet żyrandola – kiedyś niewątpliwie dzieła sztuki, dzisiaj zupełnie ogołocoony z kryształów.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał.

– To... – Rudi rozejrzał się ciekawie dookoła. – Pewnie czyjś gabinet.

Tak, chyba jesteśmy w pomieszczeniu, które było kiedyś czyimś biurem.

Sam nie wiem. W każdym razie znajdujesz się chłopcze, w słynnej Wieży Smitha.

– Dlaczego tak ją nazwano?

– Ponieważ wybudował ją facet nazwiskiem Smith – odparł zwięźle Chaos. – Wiesz, jak wygląda maszyna do pisania?

– Tak... jakby – mruknął Zeke.

– Rozumiem. A mówi ci coś nazwa Smith Corona?

– O tak – zapewnił go chłopak. – Wytwórnica broni.

– Nie, nie. To byli Smith i Wesson. Tę wieżę wybudował facet produkujący maszyny do pisania. Patrz pod nogi, chłopcze. Nie położono jeszcze części podłóg, a na schodach brakuje poręczy. Budowa jeszcze trwała, gdy wybuchła epidemia Zguby. W zasadzie wszystko trzyma się kupy, ale tu i ówdzie trzeba uważać.

– Czy ona jest wysoka?

– Wieża? O tak, jest wysoka. To najwyższy budynek w promieniu wielu mil, mimo że paru ostatnich pięter w końcu nie wybudowali.

– Chcę wejść na samą górę – oświadczył Zeke. – Chcę spojrzeć na miasto z tej wysokości. – Nie dodał jednak: „Żeby się zorientować, gdzie naprawdę jesteśmy, i sprawdzić, jak bardzo mnie okłamujesz”.

– Myślałem, że chcesz popatrzeć na wzgórze – mruknął Rudi, mrużąc oczy pod maską.

– Wzgórze też chętnie zobaczę. Czy wyższe piętra są jakoś zabezpieczone albo zamknięte?

– Większość na pewno – przyznał Rudi. – Tylko to jest dostępne, bośmy je sobie otworzyli, żeby mieć drogę do środka. Jeśli zejdziesz na dół

albo pójdziesz do góry, możesz ściągnąć maskę, tylko pamiętaj, aby ją ponownie nałożyć, jak dotrzesz na najwyższe piętra. Statki powietrzne lubią cumować na szczycie tej budowli, a ich dok jest na otwartej przestrzeni. Ale żeby tam się dostać, musisz pokonać naprawdę dużo schodów, chłopcze.

Jesteś pewien, że lego właśnie chcesz?

– A ty nie wejdiesz tam ze mną? – zapytał Zeke lekko wyzywającym tonem. Chciał przetestować swojego przewodnika i zmęczyć go jeszcze bardziej, namawiając do tej eskapady. Domyślił się już, że w pewnym momencie będzie musiał uciekać, a gdy do tego dojdzie, wolałby mieć większe szanse na umknięcie kulawemu mężczyźnie. A nade wszystko na zniknięcie mu z pola widzenia, zanim użyje tej piekielnej laski.

– Mogę iść tam z tobą – zapewnił go Rudi. – Idź na główny korytarz, tam na rogu powinna być lampa naftowa. – Rzucił mu pudełko zapalek. –

Załatw nam trochę światła.

Zeke wykonał jego polecenie. Rudi moment później dołączył do niego.

– Widzisz tamtą zasłonę? – zapytał.

– Tę czarną?

– Tak. To zabezpieczenie. Zrobiono ją z jedwabiu pokrytego lepikiem.

Na samym dole jest dźwignia, która ją blokuje. Wyciągnij ją, wtedy będziemy mogli przesunąć zasłonę. – Oparł się na lasce i obserwował Zeke'a wykonującego jego polecenia – A teraz skacz na drugą stronę – powiedział i natychmiast poszedł w ślady chłopaka.

Zeke zasunął drzwi i zablokował je dźwignią. Otoczyły ich kompletne ciemności rozjaśniane dającym czerwony blask migotliwym płomieniem lampy.

– Przejdźmy dalej i zdejmijmy w końcu te maski.

– A tutaj nie da się oddychać?

– Może i by się dało, ale nie chcę tego sprawdzać. Osobiście wolę mieć między sobą a Zgubą przynajmniej dwie zapory, zanim zdejmę maskę. –

Rudi wziął od chłopaka lampę i powędrował z nią na koniec korytarza, gdzie przecisnął się przez zasłonę z pasów skóry. Po kilku sekundach po tej stronie znajdowała się już tylko jego dłoń trzymająca laskę. Przywołał Zeke'a, kiwając na niego palcem.

Za zasłoną było już jaśniej, aczkolwiek i tu światło wydawało się jakiś szare i mdłe.



Zanim chłopak się tam precyzyjnie, Rudi zdjął już maskę. Widząc swobodnie oddychającego człowieka, Zeke poczuł nieodpartą chęć, by natychmiast się pozbyć skórzanego kagańca. Zerwał maskę z twarzy i odetchnął najbardziej cuchnącym powietrzem, jakie kiedykolwiek wciągnął do płuc. Nic zraziło go to jednak, odór i metaliczny posmak był niczym w porównaniu z możliwością zaczerpnięcia oddechu pełną piersią.

– Mogę oddychać! To powietrze cuchnie gorzej od gówna, ale mogę oddychać!

– Tutaj nawet najczystsze powietrze cuchnie siarką i dymem – przyznał

Rudi. – W dole nie jest takie złe, ale tutaj zastało się po prostu, bo nie ma którejś uciec. A w podziemiach nauczyliśmy się, jak zmuszać je do cyrkulacji.

Zeke przyjrzał się masce i zauważył, że jej filtry zmieniły kolor.

– Będę potrzebował nowych – stwierdził. – Wydawało mi się, że powinny wytrzymać co najmniej dziesięć godzin.

– Jak myślisz, synku, ile czasu spędziliśmy dzisiaj razem? Na pewno nie mniej. Powiedziałbym nawet, że dużo więcej. Ale nie panikuj. Filtrów ci u nas dostatek, po tym jak ten cholerny czarnuch obrabował pociąg z zapasami dla Konfederatów. A jeśli ci ich zabraknie, zawsze możesz się schronić w jednym z tuneli. W tej okolicy jest ich naprawdę wiele.

Zapamiętaj jednak prostą zasadę: staraj się zawsze, aby od Zguby dzieliły cię co najmniej dwie zapory.

– Zapamiętam – obiecał mu Zeke, ponieważ ta akurat rada wydała mu się sensowna.

Nagle z odległego zakamarka niedokończonej wieży dotarł do nich głośny huk, jakby coś upadło. Jego echo cichło w miarę upływu czasu, aż zupełnie umilkło.

– Co to było? – zapytał chłopak.

– Zabij mnie, a nie wiem – odparł Rudi.

– Zdaje się, że ten dźwięk dochodził z wnętrza wieży.

– Owszem – przyznał były porucznik, podnosząc laskę, aby móc z niej natychmiast wystrzelić, gdyby zaszła taka potrzeba.

Do ich uszu dotarł kolejny identyczny huk, tym razem o wiele łatwiejszy do zidentyfikowania. Coś spadało po schodach, przy których stali.

– Nie podoba mi się to – mruknął Rudi. – Lepiej wracajmy na dół.

– Nie możemy – wyszeptał rozgorączkowany Zeke. – Ten dźwięk dochodzi z dołu. Powinniśmy iść w

górze.

– Głupiś. Jak pójdziemy w górę, znajdziemy się w pułapce, kiedy tylko dotrzemy do końca tych schodów.

Na tym zakończyła się ich dyskusja, gdyż inny dźwięk, nie mniej głośny i złowieszczy, dobiegł z wyższych pięter wieży. Wyglądało na to, że zbliża się do nich – i to z niewiarygodną szybkością – jakaś świszcząca parą rozklekotana machina.

– A to co... ?

Zeke nie dokończył pytania. W górze pojawił się ogromny statek powietrzny niosący pod sobą rozchybotaną gondolę i spore metalowe zbiorniki, którymi uderzył w szczyt wieży, odbił się od niej i rąbnął w sąsiednie budynki, po czym zawrócił, podchodząc do awaryjnego lądowania.

Szyby w oknach zadrżały, a cały świat zachybotał jak podczas niedawnego trzęsienia ziemi.

Rudi natychmiast założył maskę, Zeke spóźnił się z tym o zaledwie sekundy, mimo że chciało mu się wyc na samą myśl, że znów będzie musiał

oddychać przez filtry. Były porucznik pognął w kierunku schodów, chociaż podłoga uciekała mu spod stóp.

– Na dół! – wrzasnął i co rusz padając na rozkołysanych stopniach, gnał ku piętrům tonącym w kompletnych ciemnościach.

Zeke nie miał przy sobie lampy, nie wiedział też, skąd mógłby ją wziąć. Odgłosy wydawane przez uciekającego w popłochu Rudiego były równie głośne jak huk rozlegający się przy każdym zderzeniu sterowca ze szczytem wieży. Ale Zeke nie zląkł się, gdy stanął na podeście rozchybotanych, pogrążonych w ciemnościach schodów.

Nie pobiegł w dół, tylko zaczął się wspinać do góry.

Moment później zrobiło się jeszcze ciemniej, mrok runął na niego jak kaskada wody, zwał ziemi albo samo niebo.

## **ROZDZIAŁ 13**

Briar opróżniła pierwszy kubek wody, potem drugi. I zapytała o piwo.

– Chcesz się napić?

– Nie, zastanawiałam się tylko, dlaczego je robicie.

Swakhammer nalał sobie kufel cuchnącego kwasem piwa i usiadł przy stole naprzeciw Briar.

– Może dlatego – powiedział – że łatwiej zrobić z wody skażonej Zgubą piwo, niż ją oczyszczać? Po

przepędzeniu otrzymujemy ten cienkusz, ale on przynajmniej nas nie zabija ani nie zamienia w zgnilasów.

– Rozumiem – mruknęła, bo to miało sens.

Nie spróbowałyby jednak tych żółtawych szczyń, gdyby nawet od tego miało zależeć jej życie. Nawet z tej odległości cuchnęły gorzej od rozpuszczalnika.

– Trzeba czasu, żeby się do niego przyzwycząić – przyznał – ale jak już człowiek przywyknie, to nawet nieźle smakuje, paninie dosłyszałem twojego nazwiska.

– Jestem Briar – przedstawiła się.

– Briar i co dalej?

Rozważała, czy nie powinna podać fałszywego nazwiska, lecz szybko odrzuciła ten pomysł. Rozmowa z kapitanem „Naamah Darling” dodała jej odwagi.

– Kiedyś Wilkes – rzuciła. – Teraz też.

– Briar Wilkes. Czyli jesteś... no tak. Nic dziwnego, że wołałaś trzymać język za zębami. Kto cię tu przywiózł? Cly?

– Zgadza się. Kapitan Cly. To on podrzucił mnie za mur, niejako po drodze. Skąd wiedziałaś?

Upił kolejny łyk piwa i wyjaśnił:

– Wszyscy wiemy, jakim cudem uszedł przed Zgubą. To żaden sekret.

Cly nie jest skończonym draniem. Porządnym obywatelem też nie, ale daleko mu jeszcze do dna. Ufam, że nie robił ci żadnych problemów.

– Zachował się jak prawdziwy dżentelmen – zapewniła.

Uśmiechnął się, odsłaniając dziwnie spasowane dolne zęby.

– Trudno mi w to uwierzyć. To wielki kawał skurczybyka.

– Wielki, owszem, ale i tobie niczego nie brakuje pod tym względem.

Wystraszyłeś mnie jak cholera, kiedy wpadłeś przez te drzwi. Wyglądałeś jak potwór, nawet ten zniekształcony głos zdawał się sugerować nieludzkie pochodzenie.

– O tak. Niezły jest. Ale dzięki tej masce mogę o wiele swobodniej oddychać niż w czymś takim jak twoja. Dzięki pancerzowi nie muszę się też obawiać, jeśli nie zdążę uciec przed którymś ze zgnilasów. Ogryzają do kości każdego, kogo uda im się dopaść i przewrócić. – Wstał, by dolać sobie piwa, lecz nie usiadł, zamarł w zamyśleniu, opierając rękę z kuflem, na drugiej dłoni. – Zatem

powiadasz, że jesteś córką Maynarda? Wydawało mi się, że wyglądasz znajomo, ale nie domyśliłbym się, gdybyś sama nie powiedziała.

A zatem twój zaginiony syn musi być...

– Ezekiel. Ma na imię Ezekiel, ale wszyscy wołają na niego Zeke.

– Tak, tak. A Zeke jest wnukiem Maynarda. Sądziś, że on się tym komuś pochwali?

Briar skinęła głową.

– Na pewno. Wie, że to może być tutaj pomocne, i nie zdaje sobie sprawy, a w każdym razie nie do końca, że równie dobrze może przez to ucierpieć. Bynajmniej nie przez to, że jest z Maynardów. Raczej z powodu ojca. – Westchnęła i poprosiła o kolejny kubek wody. Gdy Swakhammer go napełniał, dodała jeszcze: – To nie jego wina. Jeśli już, to ja zawiniłam.

Powinnam była mu powiedzieć... Boże. Nigdy mu nic nie mówiłam. I dlatego wybrał się do miasta. W poszukiwaniu własnych korzeni, by znaleźć coś, dla czego warto żyć.

Kolejny kubek z mętłą wodą stanął przed nią na stole. Podniosła go i wypła połowę zawartości duszkiem.

– Czyli Ezekiel przybył tutaj w poszukiwaniu ojca?

– Czy szuka Leviego? Na swój sposób na pewno. Wydaje mu się, że zdoła dowieść niewinności ojca, jeśli znajdzie dowody na to, że rosyjski ambasador zapłacił za przeprowadzenie testów przed ukończeniem Kościotrzepa. Dlatego Zeke wybrał się na poszukiwanie dawnego laboratorium ojca, bo tylko tam mogą być dokumenty, które ewentualnie oczyszczą imię Leviego. – Briar dopiła wodę. Swakhammer zaproponował

jej kolejną porcję, lecz odmówiła stanowczym gestem.

– Może mu się udać?

– Słucham?

– Czy może mu się udać. Czy będzie w stanie udowodnić, że Blue nie był winien tej afery ze Zgubą?

Pokręciła głową i o mały włos nie wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Nie. Skądże!... Na Boga, to niemożliwe. Levi był równie winny jak Kain. – Niemal natychmiast pożałowała ostatnich słów. Nie chciała, by jej nowy kompan zaczął zadawać pytania, więc dodała pospiesznie: – Może Zeke w głębi duszy zdaje sobie z tego sprawę. Może chce po prostu dotrzeć tam, gdzie sięgają jego korzenie, albo zobaczyć na własne oczy rozmiar zniszczeń. To jeszcze dziecko. – Ze wszystkich sił starała się ukryć irytację. –

Bóg jeden wie, dlaczego to robi.

– Nie miał okazji poznać ojca, jak mniemam?

– Dzięki Bogu nie było mu to dane.

Swakhammer rozparł się wygodnie na krześle za stołem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Dlatego, że dzięki temu Levi nie miał okazji, by go zepsuć albo zmienić. – Mogła powiedzieć znacznie więcej, ale uznała, że to powinno wystarczyć w rozmowie z nieznanym. – Mam nadzieję, że ta wojna na wschodzie skończy się któregoś pięknego dnia i będę miała szansę spakować rzeczy i wyjechać gdzieś daleko, gdzie nikt nas nie będzie znał. To chyba najlepsze, co możemy zrobić. Na pewno nie będzie nam gorzej niż tutaj.

– Tutaj wcale nie jest tak źle – zaprotestował, uśmiechając się ironicznie. – Popatrz tylko na mój pałac!

– Jest gorzej niż źle, o czym wiesz równie dobrze jak ja. Dlaczego więc zostałeś za murem? Dlaczego ty i cała reszta wybraliście taki sposób życia?

Swakhammer wzruszył ramionami i dokończył piwo.

– Każdy ma jakieś powody – odparł, odstawiając kufel do skrzyni. – Ty także możesz tutaj zamieszkać, jeśli zechcesz. Albo jeśli okoliczności cię do tego zmuszą. Życie nie jest tu łatwe, ale czy w tych czasach gdzieś jest lepiej?

– Chyba masz rację.

– Tak czy inaczej, tutaj można zarobić trochę grosza. Mamy tu prawdziwą wolność i sporo możliwości, jeśli ktoś wie, gdzie ich szukać.

– Jakich możliwości? – zapytała. – Mówisz o grabieniu domów dawnych bogaczy? Te źródła niedługo wam powysychają. Tutaj, za murem, macie tylko tyle, ile zdołacie ukraść albo uhandlować.

– Nie zapominaj o Zgubie – rzucił, zmieniając znowu pozycję. – Ona nie zniknie, a nikt inny nie ma pojęcia, co z nią zrobić. Gdyby nie to, że da się ją przerobić na sok, nie byłoby z niej żadnego pożytku.

– Sok cytrynowy zabija ludzi.

– Ludzie też zabijają ludzi. I psy. Albo konie, które poniosą. Choroby, gangrena, nawet niemowlęta potrafią się zadławić. A co powiesz o wojnie?

Uważasz, że na wschodzie nie giną teraz ludzie? Daję ci słowo, padają tam masowo jak muchy. Wojna zabije ich znacznie więcej niż Zguba. Może nawet tysiącrotnie więcej.

Briar wzruszyła ramionami, lecz nie po to, by zaprzeczyć tym zarzutom.

– Trafna uwaga bez wątpienia. Ale mój syn nie zadławił się jako niemowlę i raczej nie polegnie na tej wojnie. Największym zagrożeniem dla niego będzie zaćpanie się na śmierć tym narkotykiem, ponieważ jest jeszcze dzieckiem, a jak ci zapewne wiadomo, dzieciom brakuje rozumu. Zrozum mnie dobrze, ja ci niczego nie zarzucam. Wiem, jakimi prawami rządzi się nasz świat, wiem też, że człowiek musi robić wszystko, by przeżyć.

– Nie muszę się tłumaczyć przed tobą.

– Wcale tego nie wymagam. Wygląda jednak na to, że i tak to zrobisz, aby bronić swoich racji.

Odsunął krzesło od stołu i zmierzył ją wzrokiem groźnym, acz nie do końca.

– Wystarczy tego dobrego. Pozostańmy przy tym, że rozumiemy się wzajemnie.

– Myślę, że to rozsądna propozycja. – Potarła oczy i podrapała się po łydce, w miejscu gdzie płytkie ranki po wbitym szkle wciąż ją swędziały.

Tyle dobrego, że przestały już krwawić.

– Jesteś ranna? – zapytał Swakhammer zadowolony, że może zmienić temat rozmowy.

– To tylko kilka zadrapań. Nie byłoby tak źle, gdyby gaz ich nie podrażnił. Nie masz przypadkiem jakiegoś bandaża? Powinam opatrzyć nogę choćby dla przyzwoitości. Spodnie też mi się za chwilę rozpadną, przydałaby się więc igła i nitka.

Na jego twarzy pojawił się znów łotrzykowski uśmiech.

– Wygląda na to, że przydałaby ci się sekretarka albo chociaż porządny hotel. Obawiam się, że niewiele mogę ci załatwić w tych okolicznościach, ale wiem chociaż, gdzie cię zaprowadzić. Tam ktoś na pewno opatrzy ci ranę.

– Co masz na myśli? – Briar nie spodobał się sposób, w jaki to powiedział. – Gdzie zamierzasz mnie zabrać?

– Musisz zrozumieć jedno – mówił, nakładając na powrót opancerzone rękawy i biorąc pod pachę maskę. – Wstęp tutaj jest, jak by to powiedzieć...

zastrzeżony. Miasto nie jest dla każdego, co nam się bardzo podoba. Niestety, bez przerwy mamy do czynienia z przybyszami zrzuconymi ze statków powietrznych i przychodzącymi przez kanały, którzy pragną wprowadzać u nas zmiany. Ludziom się ubzdurało, że za murem kryją się wielkie skarby, więc wielu usiłuje położyć na nich łapę. – Wskazał głową na jej maskę, sakwę i sztucer oparty o stół.  
– Weź swoje rzeczy.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała po raz drugi, nieco bardziej natarczywie, zaciskając palce na broni.

– Słodziutka, gdybym chciał ci zrobić krzywdę, już dawno zabrałbym ci tę zabawkę. – Wskazał na

spencera. – Zamierzam cię zabrać w miejsce należące do twojego ojca. To znaczy w pewnym sensie. Rusz się wreszcie.

Mamy już późne popołudnie, niedługo zaczną się zmierzchać, a to miasto nocą robi się o wiele mniej przyjazne. Musimy się przedostać pod naprawdę paskudnymi rejonami, a o tej porze dnia wszyscy pakują się do tuneli.

– Jest aż tak źle?

– Może być. Zanim zmusiłaś mnie do zmiany tematu, starałem się wyjaśnić, że mamy tutaj istne piekło. Dlatego właśnie musimy obserwować wszystkich nowo przybyłych. Nie chcemy mieć więcej problemów, niż już mamy.

Briar odpoczęła nieco, ale nadal czuła się niepewnie. Najbardziej denerwował ją sposób, w jaki zakończyła się ta rozmowa. Zrzuciła sztucer na ramię, potem to samo zrobiła z sakwą, do której upchnęła maskę.

Kapelusz ojca pasował znacznie lepiej, gdy nie miała na twarzy żadnej osłony, więc postanowiła zostawić go na głowie.

– Ja chcę jedynie odnaleźć syna – zapewniła Swakhammera. – Jak tylko go odzyskam, zaraz opuścimy miasto.

– Zdaje się, że nie rozumiesz, jak wiele problemów może narobić kobieta, zwłaszcza twojego pokroju, nawet jeśli tego nie chce. Jesteś córką Maynarda, a jego nazwisko jest tutaj najbliższym synonimem słowa „prawo”.

– Przecież on nie żyje. – Aż zamrużyła ze zdziwienia. – I to od szesnastu lat.

Swakhammer odsunął skórzaną zasłonę i przytrzymał ją, by Briar mogła przejść, lecz ona nie miała specjalnej ochoty mieć go za plecami.

Niestety, nie była w stanie zmienić tej sytuacji. Ruszyła więc przodem.

Mroki korytarza rozświetlał teraz wyłącznie płomyk jego lampy.

– Wiem, że nie żyje, ale może to i dobrze, zwłaszcza z naszego punktu widzenia. Ze zmarłym nie można się sprzeczać. Zmarły nie może zmienić zdania ani ustanawiać nowych zasad. Nie zachowa się też jak bydło, zniechęcając do siebie ludzi. Zmarły może pozostać święty. – Poklepał ją po ramieniu i podał jej lampę. – Trzymaj przed sobą, żebym miał lepsze pole widzenia.

Nagle uniósł palec, jakby sobie przypomniał, że czegoś nie zabrał.

Poprosił, by poczekała. Przepchnął się za zasłonę i wrócił po kilku sekundach, cuchnąc dymem.

– Musiałem pogasić świece – wyjaśnił. – Podejdź bliżej z tą lampą.

Przy ścianie tunelu zaraz za zasłoną leżał metalowy pręt. Swakhammer zaczął go przeciągać przez zapętlone końcówki kolejnych pasów skóry.

– Czy... – Briar nie była pewna, jak ma zadać to pytanie. – Czy zamykasz to przejście?

Prychnął rozbawiony jej uwagą.

– Tylko dociążam zasłonę. Im więcej barier dzieli podziemia od zewnątrz, tym czystsze mamy w nich powietrze. A miechy potrafią miotać tymi pasami, kiedy zaczyna się wietrzenie.

Przyglądała się temu, co robił, zwracając uwagę na każdy szczegół.

Fascynowała ją technologia stosowana przez tych ludzi: filtry, zapory, miechy... Seattle w dawnych czasach było prostą kupiecką osadą bogaczącą się na złocie Alaski, a potem przemieniło się w ciągu zaledwie kilku dni w piekło wypełnione zabójczym gazem i hordami zombie. Mimo to część mieszkańców została za murem. Kolejni wciąż wracali. I adaptowali się do nowych warunków.

– Mogę jakoś pomóc?

– Wystarczy, że trzymasz lampę. Ja już kończę. – Pasy zasłony zostały połączone stalowym prętem, a całość zablokowana, gdy jego końce trafiły do specjalnych wyżłobień w futrynie. To powinno załatwić sprawę. Możemy już iść. Chcesz nieść lampę? Proszę bardzo. Idziemy prosto, potem na rozwidleniu skręcimy w prawo, jeśli laska.

Briar ruszyła korytarzem, którego pokryte mchem i porostami ściany odbijały echem dźwięk spadających nieustannie kropel wody. Czasami skądś z góry dobiegał łoskot albo klekot, lecz Briar się nie przejmowała, widząc, że Swakhammer kompletnie to ignoruje.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że udajemy się do... mojego ojca? –

zapytała, oglądając się przez ramię. W migotliwym świetle lampy twarz człowieka w pancerzu wyglądała na znacznie szczuplejszą niż w rzeczywistości.

– Idziemy do baru U Maynarda. To stara knajpa przy placu. Dzisiaj nie wyróżnia się niczym, jest równie martwa jak każde inne miejsce za murem, niemniej w piwnicach wciąż mieszkają ludzie i nadal prowadzą interes.

Pomyślałem, że od niej powinniśmy zacząć, bo przydałyby ci się nowe filtry, a kto wie, czy i nie lepsza maska. Poza tym jeśli twój syn opowiadał

napotkanym ludziom, że jest wnukiem Maynarda, ktoś mógł go tam właśnie zaprowadzić.

– Tak uważasz? Naprawdę? Obawiam się, że on naprawdę robi wszystko, by dotrzeć do domu Leviego.

Korytarz się rozwidlał, tym razem na trzy.



– Idziemy środkowym – poinformował ją Swakhammer. – Pytanie tylko, czy chłopak wie, gdzie się ten dom znajduje.

– Chyba nie wie, ale mogę się mylić. Jeśli natomiast mam rację, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, od czego rozpocząłby poszukiwania.

– Od baru U Maynarda – zapewnił ją mężczyzna w pancerzu. – To nie tylko miejsce najbezpieczniejsze, ale i najbardziej uczęszczane.

– A jeśli go tam nie będzie? – zapytała Briar pod nosem, na wpół do siebie, starając się jednocześnie, by ręka, w której trzymała lampę, nie zadrżała zbyt mocno.

Nie odpowiedział od razu. Najpierw podszedł i ostrożnie odebrał jej lampę. Uniósł ją wyżej, jakby czegoś wypatrywał w mroku.

– Tu jesteś – mruknął i Briar także dostrzegła wymalowaną na ścianie nazwę ulicy i strzałkę skierowaną w górę. – Wybacz. Przez chwilę wydawało mi się, że zabłądziliśmy. Nie chadzam tą trasą zbyt często. Zazwyczaj trzymam się bliżej placu.

– Aha.

– A co do twojego syna: jeśli nie będzie go w barze... to go nie będzie.

Można jednak popytać, czy ktoś go nie widział albo o nim nie słyszał. Jeśli się okaże, że nie, rozpowiesz o nim obecnym, co może się okazać bardzo pomocne. Jak się bywalcy baru dowiedzą, że bliski krewniak naszego dawcy praw zaginał gdzieś i błąka się po mieście, poruszą niebo, Zgubę i ziemię, aby go odszukać. Zrobią to, żeby móc potem opowiadać, że widzieli go na własne oczy.

– Nie mówisz tego wszystkiego tylko po to, żebym poczuła się lepiej?

– Niby dlaczego miałbym to robić?

Gdzieś nad ich głowami upadło coś tak ciężkiego, że wszystkie rury podskoczyły na leżach.

– Co to było? – zapytała Briar. Przysunęła się bliżej Swakhammera, ostatkiem sił zwalczając potrzebę wydobycia broni.

– Zgnilasy?... Nasi chłopcy?... Minnericht testujący nowe zabawki?...

Trudno powiedzieć.

– Minnericht – powtórzyła. Już po raz trzeci słyszała to nazwisko. –

Czy to ten człowiek, który stworzył twoją... Stokrotkę?

– Ten sam.

– Zatem to jakiś naukowiec? Wynalazca?

– Ktoś w tym rodzaju.

– Co to miało znaczyć? – Briar zmarszczyła brwi.

– To człowiek, który ma całą masę zabaweczek i bez przerwy wymyśla nowe. Większość z nich jest niebezpieczna jak szlag, ale stworzył też parę przezabawnych rzeczy. Czasami robi takie mechaniczne cudeńka. To dziwak, bywa, że robi się bardzo nieprzyjazny. Zapytaj, jeśli chcesz.

– O co mam zapytać? – Spoglądała prosto przed siebie, w niknący stopniowo w mroku zawilgły tunel.

– O to, co podejrzewasz. Nie jesteś pierwszą osobą, która zauważyła podobieństwo Minnerichta do twojego zaginionego męża.

– Mojego byłego męża – podkreśliła różnicę. – Wcale o nim nie myślałam – skłamała.

– W takim razie jesteś durna jak but. W tym mieście nie ma chyba człowieka, który by się nad tym nie zastanawiał.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz – zaprotestowała, aczkolwiek miała niemal absolutną pewność, że jest wręcz przeciwnie. – Seattle może nie było wielkim miastem, ale wystarczająco dużym, by mieszkało w nim więcej naukowców. Zresztą ten cały Minnericht mógł tutaj przybyć już po katastrofie.

– Równie dobrze może być starym poczciwym Levim, który zmienił

styl ubierania i przybrał nowe nazwisko.

– Nic zrobiłby tego – zaprzeczyła tak szybko, że od razu wiedziała, iż musiało to wyglądać podejrzanie. Moj mąż nie żyje. Nie wiem, kim jest ten wasz Minnericht, ale to z pewnością nie Levi, tego akurat jestem pewna.

– Tędy. – Swakhammer wskazał jej jeszcze ciemniejszy korytarz zakończony drabiną. Po niej mogli się dostać do wyłożonego ceglami kanału.

– Chcesz iść pierwsza czy za mną?

– Pójdę za tobą.

– Nie ma sprawy. – Chwycił drucianą rączkę lampy w zęby i zszedł po stopniach, o mało nie przypalając sobie koszuli.

– Skąd wiesz? – zapytał, gdy dotarł na sam dół.

– Skąd co wiem?

– Skąd wiesz, że Minnericht to nie Leviticus? Powiedziałaś to z ogromną pewnością w głosie, pani... przepraszam, wdowo Blue.

– Jeśli nazwiesz mnie tak jeszcze raz, zastrzelę cię – obiecała, stawiając stopę na pierwszym szczeblu, by zejść za nim.

– Postaram się zapamiętać. Niemniej odpowiedz na moje pytanie: skąd wiesz, że to nie jedna i ta sama osoba? Z tego co mi wiadomo, nikt nigdy nie odnalazł ciała pana Blue. A jeśli je znaleziono, to nikomu tego nie zgłoszono.

Zeskoczyła z ostatniego szczebla i stanęła przed nim. Mimo iż rozprostowała całkowicie plecy, sięgała mu ledwie do ramienia.

– Nikt nie znalazł jego ciała, gdyż zginął tutaj, w mieście, w tym samym czasie co wielu innych ludzi, a potem nikomu nie chciało się tutaj wracać i szukać. Może jego ciałem zajęły się zgnilasy albo rozłożyło się spokojnie w jakimś ustronnym miejscu i rozpadło na proch. Jedno tylko mogę ci powiedzieć: mój były mąż jest martwy, na pewno nie mieszka sobie za murem, w miejscu, na które spadło tyle nieszczęść za jego sprawą. Nie rozumiem, jak można wpaść na coś tak bezsensownego.

– Naprawdę? Nie potrafisz? – Uśmiechnął się znacząco i pokręcił

głową. – Tak, to naprawdę trudno zrozumieć... Szalony naukowiec konstruuje dziwaczną maszynę, która obraca w perzynę całe miasto, a potem, ledwie opadł kurz po katastrofie, w tymże mieście pojawia się inny szalony naukowiec, który zaczyna konstruować kolejne dziwactwa.

– Przecież ktoś z was musiał widzieć Minnerichta na własne oczy?

Wszyscy wiedzieli, jak wyglądał Levi.

– To prawda, wielu znało pana Blue, ale nikt nigdy wcześniej nie widział tu Minnerichta. Facet chodzi w masce na twarzy, gapiąc się zawsze w ziemię. Mieli tu taką pannicę, która zaglądała do niego, zwała się Evelyn jakaś tam. Zabawiał się z nią do momentu, kiedy naćpała się za bardzo i wyszła pospacerować w oparach Zguby. Po tym wyczynie zaczęła się przemieniać. – Spojrzał Briar prosto w oczy i dodał: – To było kilka lat temu, zanim nauczyliśmy się, jak bezpiecznie oddychać. Metodą prób i błędów, zwłaszcza błędów. Ale to miejsce dla prawdziwych twardzieli, więc nikt nie narzekał. Evie nie była taka twarda jak inni. Zachorowała i zaczęła się zmieniać w nieumarłą, więc nasz doktor, dobra dusza, strzelił jej w łeb.

– Ależ to... – Briar nie potrafiła znaleźć właściwego określenia.

– To najprostsze i najpraktyczniejsze rozwiązanie problemu. Mamy wystarczająco dużo zgnilasów buszujących po ulicach. Nie potrzebowaliśmy kolejnego. Chodzi o to – wrócił do sedna – że zanim Evelyn zesza, zdążyła opowiedzieć ludziom, że widziała jego twarz. Ma ją ponoć strasznie poranioną, jakby uległ poparzeniu czy coś w tym rodzaju. Twierdziła, że niemal nigdy nie zdejmuje maski przeciwgazowej, nawet kiedy są w podziemiach, gdzie można normalnie oddychać.

– No proszę. To po prostu jakiś nieszczęśnik, który ukrywa oszpeconą twarz. Dlaczego od razu

zakładacie najgorsze rozwiązanie?

– W takiej sytuacji żadne założenie nie może być dobre. Facet jest szalony, podobnie jak twój mąż. I ma talent do tworzenia i naprawiania mechanizmów. – Przez moment wydawało jej się, że Swakhammer powie coś zupełnie innego. – Nie twierdzę, że to na pewno Levi. Choć muszę też przyznać, że zdaniem wielu z nas może nim być.

– Daj spokój – prychnęła Briar. – Gdybyście naprawdę uważali, że to Blue, już dawno wywleklibyście go na ulicę i nakarmili nim zgnilasów.

– Uważaj tu – ostrzegł ją i podniósł lampę wyżej, by oświetlić nierówności podłoża. – My też nie wpadliśmy na to od razu. Z początku wydawał nam się tylko kolejnym przybyszem. Potem niepewność stopniowo narastała. Trwało to dobrych kilka lat. Aż któregoś dnia ktoś podzielił się podejrzeniami z kolegą podczas prywatnej rozmowy i pogłoska zaczęła się rozprzestrzeniać. Nic nie mogło jej powstrzymać.

– Ja to zrobię.

– Może zrobisz, a może nie. Jeśli lubisz problemy, spróbuj. Chętnie to zobaczę. Przez ostatnie kilka lat stary doktor robił nam więcej problemów, niż był wart, jeśli nie liczyć tych użytecznych zabaweczek. – Poklepał lufę Stokrotki, kręcąc głową. – Odwalił kawał dobrej roboty, ale przy okazji uczynił też wiele złego. Nie za bardzo nadaje się na przywódcę.

– Zdaje się, że powiedziałeś przedtem, że nie macie tutaj żadnych przywódców.

– Nic takiego nie mówiłem – zagrzmiał. – Chodźmy. To już niedaleko, daję słowo. Słyszysz?

– Niby co? – Gdy zadawała to pytanie, do jej uszu dotarły stłumione dźwięki muzyki. Nie była zbyt głośna ani melodyjna, za to całkiem radosna.

– Zdaje się, że Varney znowu gra, a raczej usiłuje grać. Jeszcze nigdy nie zagrał niczego dobrze, ale trzeba mu przyznać, że ćwiczy, kiedy tylko może. U Maynarda stała kiedyś pianola, tylko że walec już dawno przerdzewiał. Chłopcy w niej pogmerali, dzięki czemu dzisiaj można jej używać jak zwykłego pianina. Od postawienia muru nikt jej jednak nie stroił, czego efekty już powinnaś słyszeć.

– Dziwi mnie, że robicie tu tyle hałasu. Wydawało mi się, że w tym mieście ludzie wolą zachowywać kompletną ciszę. Zgnilasy mają podobno niezły słuch.

– Na pewno nie słyszą nas za dobrze, gdy siedzimy pod ziemią. Głos się niesie korytarzami, ale warstwa gleby tłumi go niemal zupełnie. –

Wskazał głową sklepienie tunelu. – A jeśli nawet cokolwiek do nich dociera, to i tak nie mają jak się dostać do nas. I bar U Maynarda, i sporą część placu potężnie umocniono, mało które miejsce może się z nim równać pod tym względem. To najbezpieczniejsza część miasta za murem. Tyle mogę powiedzieć.

Ta uwaga przypomniała jej znowu o Ezekielu. Zmówiła szybką modlitwę w myślach, zwracając się

do każdego, kto mógł ją usłyszeć, prosząc, aby jej dziecko znalazło drogę do tej fortecy za murem.

– Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, znajdziemy tam mojego syna – dodała.

– Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, zgadza się. Czy to rezolutny szczeniak?

– Tak. O Boże, tak. Nawet za bardzo jak na mój gust.

Muzyka zrobiła się głośniejsza, dobiegała zza okrągłych drzwi, które zabezpieczono z obu stron. Swakhammer podniósł skórzaną zasłonę i zaczął

szukać pod nią skobla.

Briar w tym czasie przyglądała się znakowi na drzwiach: zygzakowatej poziomej linii, która coś jej przypominała.

– Co to za znak?

– Nie poznajesz?

– Nie. Zygzakowata linia... Czy ona coś oznacza?

Wyciągnął rękę w jej kierunku. Zareagowała na ten gest nerwowo, o mały włos odskoczyłaby z krzykiem. Na szczęście zdołała się w porę opanować, a moment później zrozumiała, że sięgał do sprzączki u pasa.

Podważył ją jednym palcem, żeby mogła się jej lepiej przyjrzeć.

– To inicjały twojego ojca. Oznacza się nimi bezpieczne miejsca, gdzie może przyjść każdy, kto przestrzega warunków jego pokoju.

– Więc to tak – mruknęła. – Ale ze mnie idiotka.

– Nie przejmuj się. Zdolności manualne, takie jak pisanie, nigdy nie były mocną stroną Willarda. Cofnij się teraz z łaski swojej. Te drzwi są zabezpieczone z obu stron, tak na wszelki wypadek. – Ujął za uchwyt i zaparł

się z całych sił, by otworzyć drzwi.

– Na jaki wypadek?

– Na przykład zawalenia się sklepienia albo awarii miechów, albo rozszczelnienia zabezpieczeń na wyższym poziomie, co doprowadziłoby do skażenia. O takich przypadkach mówię. Tutaj wszystko jest możliwe.

Uwierzyła mu i przekroczyła szeroki próg.

## ROZDZIAŁ 14

Bar wyglądał jak tysiące podobnych mu lokali działających na ziemi.

Widoczna różnica polegała wyłącznie na braku okien. Przy jednej ze ścian ustawiono masywny kontuar z drewna wykończonego mosiądzem. Za nim ktoś zamontował spękane lustro. Dzięki niemu odbicia licznych świateł na każdym z przysadzistych kwadratowych stołów rozjaśniały dodatkowo przestronną salę, tworząc cieplejszą atmosferę.

Przy pianinie na obrotowym stołku siedział siwowłosy mężczyzna w zielonym płaszczu. To on uderzał z furją w klawisze, które wyglądały jak pożółkłe zęby. Obok niego stała otyła damulka z jedną ręką. Podawała mu stopą rytm melodii, nad którą z takim mozołem się biedził. Stojący za barem szczupły facet rozlewał tymczasem wściekle żółty napój, którym musiało być tutejsze podle piwo.

Trzech mężczyzn siedziało przy kontuarze, sześciu czy siedmiu przy stołach, a jeden, półprzytomny, spoczywał na podłodze, opierając się plecami o tylną ścianę obudowy pianina. Kufel wciąż trzymany w dłoni i durnowaty uśmiech na ustach sugerowały, że nie jest ofiarą jakichś porachunków, lecz padł tam sam z siebie.

Na widok Swakhammera kilku bywalców uniosło naczynia w niemym geście pozdrowienia. Kiedy ich oczy spoczęły na Briar, w sali zapanowałyby grobowa cisza, gdyby nie natrętny brzęk pianina. Ale i ta kocia muzyka ucichła, gdy jednoręka kobieta dostrzegła nieoczekiwanego gościa.

– Jeremiaszu – odezwała się ochryłym głosem nałogowej palaczki cygar. – Kogoś nam tu przyprowadził?

Briar mogła wyczytać z, zaciekawionych twarzy tych ludzi co najmniej kilka rzeczy. Zastanawiała się, jak w miarę łagodnie rozczarować tych nieszczęśników, lecz jej towarzysz i zbawca zrobił to pierwszy.

– Lucy – odpowiedział jednorękiej, a zarazem wszystkim pozostałym –

to nie taka osoba, jak myślisz.

– Jesteś tego pewien? – zapytał ktoś z sali. – Jak na mój gust jest ładniejsza od tych, co tu zagląдают.

– Nie wątpię. – Odwrócił się do Briar i rzekł przeproszającym tonem: –

Co jakiś czas zagląдают tutaj panienki z zewnątrz. Mogą zarobić fortunę w tydzień, ale sama wiesz, jak tu jest. Trzeba być mocno zdesperowanym, żeby się zapaść za mur.

– Mhm – mruknęła Briar.

– No dobrze. – Swakhammer obrócił się do gości baru. – Pozwólcie, że będę czynił honory domu. Ta dama to Lucy O’Gunning, ona teraz kręci tym interesem. Idąc dalej: przy pianinie siedzi Varney, za pianinem na podłodze widzisz Hanka, przy kontuarze zasiadają panowie Frank, Ed i Willard. W

tamtym kącie mamy Allena i Davida, w karty grają Squiddy i Joe. A ostatni dwaj dżentelmeni to Mackie i Tim. Zdaje się, że to już wszyscy. – Po chwili ciszy dodał: – A to pani Briar Wilkes. – Nagle bar wypełnił się ponownie szmerem ściszonych rozmów, co jednak nie speszyło i nie uciszyło Swakhammera. – Podrzucił ją do nas nasz wspólny znajomy kapitan Cly. A skoro zdecydowała się na pobyt w naszym znanym i lubianym kurorcie i jedynej w swoim rodzaju oazie spokoju za murem, uznałem, że powinna zacząć zwiedzanie od tego niezwykle znanego i szanowanego przybytku, który nosi imię jej ojca. Pani Briar ma kilka pytań, które chciałaby wam zadać, a ja dodam tylko, że mam nadzieję, iż odpowiecie na nie z wrodzoną uprzejmością.

Nikt nie podniósł głosu, by rzucić jakieś oskarżenie pod jej adresem, uznała więc, że przejdzie od razu do wyjaśnienia powodów swojej wizyty.

– Szukam syna – wymamrotała. – Czy ktoś z was go widział? Ma na imię Ezekiel, ale wołają go Zeke. Zeke Wilkes. Ma dopiero piętnaście lat i jest całkiem zmyślnym dzieciakiem, mimo że wpadł na taki idiotyczny pomysł jak przejście za mur. Miałam nadzieję, że ktoś z was go widział.

Ma...

Nikt jej nie przerwał, by podzielić się przydatną informacją. Mówiła więc dalej, z każdym słowem nabierając pewności, jaki będzie efekt. Aby odwlec ten moment, wypowiadała kolejne nic nie znaczące zdania.

– Jest mniej więcej mojego wzrostu, za to chudy jak patyk. Ma przy sobie kilka przedmiotów należących do jego dziadka. Domyślam się, że przyniósł je tutaj na wymianę albo żeby za ich pośrednictwem udowodnić, że mówi prawdę o swoim pochodzeniu. Dotarł za mur wczoraj, nie wiem o jakiej porze, ale musiał przejść przez system kanałów przed trzęsieniem ziemi, bo wstrząsy zasypały wyjście. Czy ktokolwiek z was... – Skrzyżowała spojrzenia z kilkorgiem bywalców, lecz w żadnym z nich nie dostrzegła potwierdzenia. Niemniej musiała dokończyć pytanie: – ... widział go tutaj?

Nikt nie odpowiedział ani nie skinął głową.

– Myślałam, że... zgodnie z tym, co mówił mi pan Swakhammer, ktoś mógł go przyprowadzić tutaj, kiedy się dowiedział, kim Zeke jest. Sądziłam...

Nie musieli nic mówić. Znała odpowiedź, lecz desperacko pragnęła, by ktoś mimo wszystko rzucił choć słowo. Wkurzało ją, że tylko ona się odzywa, zamierzała jednak przemawiać, dopóki ktoś jej nie uciszy.

Lucy zdecydowała się skrócić jej męki.

– Pani Wilkes, bardzo mi przykro – powiedziała. – Nie widziałam go, co jeszcze nie znaczy, że stała mu się krzywda. Za murem jest wiele uszczelnionych budynków, w których mógł znaleźć schronienie i odpocząć. –

Briar musiała być bliższa łez, niż sądziła, gdyż właścicielka baru podeszła do niej, poprawiając po

drodze szal. – Masz za sobą upiorny dzień, kochanie. To widać. Pozwól, że znajdę ci miejsce i postawię drinka. Potem dopowiesz nam resztę tej historii.

Briar skinęła głową i przełknęła z trudem ślinę.

– Nie powinnam – zaczęła protestować. – Muszę go szukać.

– Wiem, kochanie. Niemniej kilka minut odpoczynku tylko dobrze ci zrobi. Załatwimy ci też czyste filtry, a w tym czasie opowiesz nam o wszystkim. Może uda nam się jakoś ci pomóc. Zobaczmy. Czy Jeremiasz oferował ci już nasze piwo?

– Tak, ale dziękuję. Mam też zapasowe filtry, tylko nie widziałam na razie potrzeby ich wymiany.

Lucy zaprowadziła Briar do najbliższego wolnego stołka barowego i usadziła ją na nim. Frank, Ed i Willard natychmiast się przesiedli bliżej. Za plecami słyszała też szuranie przesuwanych i opuszczanych krzeseł. Pozostali goście baru także zbliżyli się do kontuaru.

Lucy użyła jedynej ręki, aby ich odgonić, a w każdym razie zatrzymać w przyzwoitej odległości od Briar, po czym weszła za kontuar i mimo wcześniejszej odmowy nałapała jej piwa.

– Proszę – rzuciła, stawiając gliniany kufel przed zdesperowaną matką.

– Cuchnie jak końskie szczyny z lekką nutką mięty, ale jak powiadają: każdy port dobry, jeśli złapie cię sztorm. A skoro za murem nie mamy portów, napij się przynajmniej piwa, kochana. Rozgrzeje cię i pobudzi.

– Nam zazwyczaj mówi, że od tego świństwa rosną włosy na piersiach

– wtrącił Varney, odwracając się od pianina.

– Wracaj do tłuczenia w klawisze, głupi dziadu. W taki sposób mi nie pomożesz. – Lucy sięgnęła pod kontuar i wyjęła szmatę, którą wytarła resztki rozlanej piany.

Briar zastanawiało, dlaczego ta kobieta nosi rękawiczkę na jedynej ręce. Długa, z delikatnej dobrze wyprawionej skóry, sięgała jej aż do łokcia.

Podtrzymywały ją tam zapinki podobne do tych, jakimi kobiety zwykły przypinać pończochy do pasów. Palce Lucy wydawały się przy tym dziwnie sztywne, a gdy ścisnęła mocniej szmatę, Briar usłyszała ciche kliknięcia.

– Spróbuj – zachęcała ją Lucy. – Daję ci słowo, że przeżyjesz, choć nie przeczę, że po pierwszym łyku możesz kichać przez dłuższą chwilę. To zdarzyło się wielu ludziom przed tobą, więc nikt nie będzie miał ci za złe.

Nie były to specjalnie zachęcające słowa, lecz Briar postanowiła, że nie sprawi zawodu krągłolicej kobiecie o puszystych siwiejących już włosach.



Powąchała płyn musujący w kuflu, a potem uniosła go do ust. Już po zapachu się zorientowała, że nawet niewielka ilość napoju może ją zatkać na amen, dlatego po przyłożeniu kufla do ust przełknęła piwo jak najszybciej. Wolała nie myśleć, co zrobi z jej żołądkiem.

Kobieta za barem uśmiechnęła się i poklepała ją po ramieniu.

– Widzisz? Jakoś poszło. Może nie jest najsmaczniejsze, za to sprawia, że czujesz się lepiej. A teraz, dziecino – ponagliła ją – powiedz Lucy, jak można ci pomóc.

Briar raz jeszcze – tym razem zażawionymi od piwa oczami –

popatrzyła na właścicielkę baru. Sukienka kobiety została dokładnie zszyta w miejscu, gdzie powinno się znajdować jej ramię. Lucy zauważyła jej spojrzenie i powiedziała:

– Nie przeszkadza mi, że się gapisz. Wielu ludzi to robi. Mogę ci opowiedzieć, jak do tego doszło, jeśli oczywiście masz ochotę słuchać. Ale teraz my czekamy na wyjaśnienie, co tutaj robisz.

Briar była zbyt wyczerpana, by wdawać się w pogaduszki, a działanie piwa dodatkowo ściągnęło jej krtań. Dopiero po dłuższej chwili zdołała wydobyć z siebie głos.

– To wszystko moja wina. Jeśli coś mu się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę. Wszystko zepsułam i nie mam pojęcia, jak to naprawić... i... i... Czy ty krwawisz? – Przechyliła głowę i zmarszczyła brwi, widząc, że kropelka ciemnej cieczy spada na polakierowane drewno kontuaru.

– Czy ja krwawię? Nie, kochanie, to tylko olej. – Rozprostowała palce z cichym metalicznym klekotem. – Mam mechaniczną rękę, która ma tendencje do przeciekania. Wybacz, nie chciałam cię rozpraszać. Mów dalej.

To wszystko twoja wina, powiedziałaś, a ja zamierzałam zaprotestować przeciw temu stwierdzeniu, ale dopiero jak skończysz swój wywód.

– Mechaniczna ręka?

– Mniej więcej do łokcia – wyjaśniła Lucy. – Połączono ją z moimi kośćmi i mięśniami. Ale wracajmy do tego, co powiedziałaś.

– Niesamowite.

– Nie o tym mówiłaś.

– Nie, oczywiście – zreflektowała się Briar. – Tylko że ta ręka jest taka zadziwiająca... A ja... – Westchnęła i pociągnęła drugi łyk paskudnie smakującego piwka. Zadrzała na całym ciele, gdy ściekało przełykiem do żołądka. – A ja – powtórzyła – chyba powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia. Całą resztę słyszeliście wcześniej. Szukam Ezekiela, a nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Jeśli nie...

– To wszystko twoja wina, tak, już mówiłaś. Strasznie jesteś dla siebie surowa. Chłopcy tak często

są nieposłuszni rodzicom, że nie warto o tym nawet wspominać. A jeśli twój syn jest wystarczająco zdolny, by wywinąć ci numer w tak wielkim stylu, powinnaś raczej czuć dumę, że udało ci się wychować takiego ostrego zawodnika. – Oparła się na łokciu, pozwalając, by mechaniczne przedramię spoczęło na kontuarze. – Nie mów mi tylko, że uważasz, iż potrafiłabyś go powstrzymać przed przyjściem tutaj.

– Sama nie wiem. Pewnie by mi się nie udało...

Ktoś stojący za Briar poklepał ją przyjacielsko po ramieniu.

Zaskoczyło ją to, lecz w tym geście nie było nic sprośnego, więc nie odsunęła się z odrazą. Więcej nawet, to była chyba najbardziej przyjazna ludzka reakcja, z jaką się spotkała na przestrzeni ostatnich lat. Czując ten dotyk, zapomniała na moment o dręczącym ją poczuciu winy i smutku.

– Pozwól zatem, że cię zapytam – mówiła tymczasem Lucy. – Co by było, gdybyś udzieliła mi szczerych odpowiedzi na wszystkie pytania, które ci zadawał? Czy poczułby się usatysfakcjonowany?

– Nie, z pewnością nie – przyznała.

– A przyjąłby je chociaż?

– Nie sędzę.

Barmanka westchnęła współczująco.

– Sama widzisz – powiedziała. – I tak nie oparłby się myśli o odnalezieniu dawnego domu. Bez względu na okoliczności przyszedłby tutaj, by go przeszukać. Chłopcy już tacy są, uparci i beużyteczni, a gdy dorastają, stają się jeszcze gorsi.

– Ten chłopak jest moim synem – przypomniała jej Briar. – Kocham go, ale nie mogę znaleźć.

– Znaleźć? Przecież tak naprawdę, kochanie, jeszcze nie zaczęłaś szukać! Swakhammer – zwróciła się do mężczyzny w pancerzu – jak długo włóczyłeś tę biedną kobietę po podziemiach? – zapytała.

– Przysięgam, Lucy, że przyprowadziłem ją prosto tutaj – zapewnił. –

Sprawdziłem szybko, kim jest, i...

– Lepiej, żeby to była prawda. Gdybyś zaprowadził córkę Maynarda w inne miejsce albo do kogoś innego – zaakcentowała mocniej ostatnie słowa –

wygarbowałabym ci skórę tak, że świeciłbyś w ciemnościach. Tylko nie mów mi, że potrzebowałeś czasu, by odkryć, kim ona jest. Rozpoznałam ją, jak tylko ujrzałam jej twarz. Tobie nie powinno to zabrać wiele więcej czasu.

Zapamiętałam ją, choć była wtedy jeszcze dziewczynką. To już tyle... a niech mnie... To było szmat czasu temu, i to jakiego czasu!

Chór głosów dobiegających zza pleców Briar poparł jej słowa. Nawet Swakhammer wymamrotał pod nosem:

– A jakże!...

– A teraz dopij piwo, bo musimy porozmawiać szczerze.

Wykonanie tego zadania okazało się o wiele trudniejsze. Teraz gdy Briar była bliska płaczu, kolejne łyki nie przechodziły tak łatwo jak pierwszy.

– Bardzo dziękuję – wyszeptała. Gruda wielkości solidnej pięści blokowała jej krtań po przełknięciu kolejnego haustu piwa, więc zabrzmiało to bardzo chrapliwie. – Najmocniej przepraszam.

Zazwyczaj... zazwyczaj nie... Nie przywykłam do takiego życia. Jak słusznie zauważyłaś, ostatnio mamy ciężkie czasy.

– Chcesz jeszcze piwa?

Briar ku swojemu niepomiernemu zaskoczeniu zauważyła, że jej kufel jest pusty. To był całkiem mocny trunek, wiedziała więc, że nie powinna, go nadużyć.

– Owszem, ale tylko odrobinę – powiedziała. – Muszę zachować trzeźwość umysłu.

– O to się nie martw, naszym piwem nie sposób szybko się upić.

Potrzebujesz teraz chwili odpoczynku, zebrania myśli i rozmowy. Zbierzcie się tu wszyscy – przywołała gestem pozostałych gości baru, zachęcając ich do przysunięcia krzeseł. – Wiem, że myślisz teraz tylko o opuszczeniu tego lokalu i rozpoczęciu poszukiwań, i wcale ci się nie dziwię. Niemniej posłuchaj teraz uważnie, dziecino: masz na to jeszcze czas. Nie, nie patrz na mnie w ten sposób. Tak czy inaczej, masz jeszcze czas. Odpowiedz mi na jedno pytanie: czy on przyszedł tu we własnej masce?

Briar pociągnęła solidny łyk z kufła i ze zdziwieniem zauważyła, że nie smakuje już tak ohydnie. Nadal czuła w ustach posmak bardziej pasujący do dna dawno nie mytego zlewu, lecz im więcej piwa przelewało się jej przez gardło, tym łatwiej mogła je przelić.

– Tak. Miał maskę. Dobrze się przygotował do wyprawy.

– Znakomicie, to znaczy, że mógł przetrwać co najmniej pół dnia. A skoro od jego przyjscia tutaj minęło znacznie więcej czasu, możemy przyjąć, że znalazł sobie jakąś kryjówkę.

– Albo już nie żyje.

– Fakt, albo już nie żyje. – Lucy zmarszczyła brwi. – Tę możliwość także musimy brać pod uwagę. Tak czy owak niewiele mu pomożesz, dopóki nie zbierzesz się w garść i nie wymyślisz sensownego planu działania.

– A jeśli jest gdzieś uwięziony i potrzebuje pomocy? Jeśli otoczyły go zgnilasy i kończy mu się

powietrze? Jeśli...

– Wymyślając takie rzeczy, nie pomożesz jemu i nie ulżysz sobie.

Chcesz myśleć w ten sposób, proszę bardzo, możemy spróbować. Powiadasz, że jest gdzieś uwięziony i potrzebuje pomocy. Świetnie, jak chcesz znaleźć to miejsce? Pomyślałaś, jak to się skończy, jeśli zaczniesz szukać gdzie indziej, a on w tym czasie umrze?

Briar skrzywiła się nad kuflem, wiele by dała, żeby słowa kobiety nie były tak boleśnie sensowne.

– Rozumiem. Od czego według ciebie powinnam zacząć?

Gdyby Lucy miała obie ręce, zapewne zaklaskałaby z radości. Ale nie miała, mogła więc jedynie postukać mechaniczną dłonią o kontuar i zawołać:

– Znakomite pytanie! Zaczniemy od ciebie, rzecz jasna. Powiadasz, że dostał się za mur systemem kanałów burzowych. Dokąd zmierzał?

Opowiedziała im o domu i o tym, że Zeke zamierzał udowodnić niewinność ojca za pomocą dokumentów świadczących o żądaniach rosyjskiego ambasadora. Dodała też, że jej zdaniem chłopak nie miał bladego pojęcia o dokładnej lokalizacji domu.

Swakhammer stał spokojnie za nią, mimo że słuchał tej opowieści już po raz wtóry. Zachowywał się tak, jakby liczył na ujawnienie nowych, nieznanym mu jeszcze faktów. Opierał się o kontuar na wprost rozbitego lustro. Teraz gdy Briar widziała go naraz z kilku stron, wydawał się jej jeszcze straszniejszy.

Gdy podała im już wszystkie szczegóły tej sprawy, jakie przysły jej do głowy, w barze U Maynarda zapadła kompletna cisza. Przerwał ją dopiero Varney, mówiąc:

– Dom, w którym mieszkałaś, mieści się na wzgórzu, o ile dobrze pamiętam. Przy Denny Street.

– Zgadza się. O ile jeszcze stoi.

– Który to? – zapytał jeden z mężczyzn siedzących na stołkach barowych, zdaje się, że Frank.

– Lawendowy z kremowymi ozdobami – wyjaśniła.

– A gdzie mieściło się laboratorium? – zapytał z kolei ten, którego Swakhammer nazwał Squiddym. – W piwnicy?

– Tak, w piwnicach. Było wielkie. Daję słowo, nie wiem, czy nawet nie większe od stojącego nad nim domu. Ale...

– Ale co? – zainteresowała się Lucy.

– Ale zostało poważnie uszkodzone. – Mimo otępiającego ciepła, jakie dał jej alkohol, poczuła

zimne ułkucie niepokoję. – Zejście tam będzie bardzo niebezpieczne. Część ścian się zawaliła, wszędzie jest pełno szkła. Wygląda tam jak nie przymierzając w fabryce kryształów po wybuchu bomby –

zakończyła, zniżając głos.

Wspomnienia wróciły w jednej chwili. Machina. Zniszczone schody, na które zbiegła, szukając męża. Zapach wilgotnej ziemi i pleśni, głośny syk pary wydobywającej się ze szczelin w cielsku Kościotrzepa. Smród palącego się oleju i klekot kół zębatych obracających się gdzieś za ścianą dymu.

– Tunel... – wyszeptęła.

– Słucham? – odezwał się Swakhammer.

– Tunel – powtórzyła. – Varney... przepraszam, ty jesteś Varney, prawda? Powiedz mi, skąd wiedziałeś, który dom był nasz?

Zapytany wypluł kawałek tytoniu do spluwaczki stojącej na samym końcu kontuaru.

– Mieszkałem w tej okolicy – odparł. – Razem z synem, zaledwie kilka przecznic dalej. Często żartowaliśmy, jak by dom wyglądał, gdyby zamiast na lawendowo machnąć go na niebiesko.

– Czy ktoś jeszcze wie o tym domu? Nie ukrywaliśmy miejsca naszego zamieszkania, z drugiej jednak strony mało kogo to kiedyś interesowało. –

Gdy nikt nie odpowiedział, dodała jeszcze: – Rozumiem. Teraz ta wiedza także nie jest powszechna. A wiecie, gdzie była dzielnica finansowa?

– Finansowa? – Lucy uniosła znacząco brew.

– Okolica, w której roilo się od banków. Wszyscy przecież wiedzieli, gdzie są banki.

– O tak – zapewnił ją Swakhammer. – Nie dało ich się przeoczyć. Stały w kwartale zaczynającym się za Trzecią Aleją, tam gdzie dzisiaj są same ruiny i wielka dziura w ziemi. Dlaczego o nie pytasz?

– Ponieważ ta dziura w ziemi może prowadzić... Wszyscy wiecie, dlaczego pytam. To Kościotrzep ją wydrążył, nawet Levi się do tego przyznawał. Po tym jak dotarł pod dzielnicę finansową i doprowadził do zawalenia banków, zawrócił do domu. Z tego co wiem, Kościotrzep wciąż jest gdzieś w ruinach laboratorium. – Odsunęła opróżniony niemal do końca kufel na bok i postukała palcem o blat. – Załóżmy na moment, że Zeke nie może znaleźć domu, ponieważ nikt nie wie, gdzie się znajduje. Za to wszyscy wiemy, co się stało z bankami, i zgodnie z tym co powiedział Jeremiasz, każdy może wskazać miejsce, gdzie stały. Gdyby Zeke dotarł do tej dziury, mógłby uznać, że trafił do domu, jeśli znajdzie jakieś źródło światła.

Lucy znów uniosła znacząco brew, lecz zaraz opuściła obie, robiąc zafrasowaną minę.

– Problem w tym, moja droga, że tunel zawalił się w kilku miejscach.

To była zwykła dziura wydrążona w miękkiej ziemi i niewiele już z niej zostało. Do diabła, gdybyś wybrała się dzisiaj na spacer po wzgórzu, zobaczyłabyś sporo zapadlisk, jakie po sobie pozostawił, pochłaniając drzewa, a nawet ściany stojących opodal budynków. Dodaj do tego trzęsienie ziemi z wczorajszej nocy. Nie, tymi tunelami na pewno za daleko by nie dotarł.

– Nie mam zamiaru się o to sprzeczać – zapewniła Briar. – Wątpię jedynie, czy Zeke pomyślałby o tym wszystkim. Idę o zakład, że spróbowałby lej drogi. Gdyby wpadł na taki pomysł, uznałby się za prawdziwego geniusza. Hm...

– Hm? – zawtórował jej Varney.

– Zdaje się, że zabrał ze sobą mapy – wyjaśniła i dodała: – Znalazłam w jego pokoju papiery, wśród nich było kilka map. Nie wiem, na ile mogły być pomocne, nie mam nawet pojęcia, czy zaznaczono na nich lokalizację banków, dzielnicę finansową czy jak ją tam wtedy zwano. Powiedźcie, czy tutaj, w tej części miasta, jest jeszcze ktoś, kogo Zeke mógł poprosić o pomoc w znalezieniu domu? Twierdźcie, że bar nie jest jedynym uszczelnionym schronieniem za murem. Tak przecież mówiliście. Macie tu wiele innych podobnych kryjówek. – Mówiąc te słowa, rozglądała się po podziemnym lokalu. – Spójrzcie tylko na to miejsce. Wykonaliście kawał

nieprawdopodobnie dobrej roboty. Wasz bar nie różni się niczym od lokali, które widziałam na Przedmieściach. Kiedy się dowiedziałam, że ludzie żyją za murem, nie byłam w stanie pojąć, dlaczego tu zostali. Teraz już wiem.

Zamieniliście część piekła w miejsca nadające się do zamieszkania...

W tym momencie rozległ się brzęczyk alarmu, na jego dźwięk wszyscy obecni w barze zareagowali podobnie.

Swakhammer wyjął z kabur dwa wielkie rewolwery i zakręcił ich bębenkami, sprawdzając, czy są naładowane. Lucy sięgnęła pod ladę po dziwnie wyglądającą kuszę. Przesunęła jakąś dźwigienkę i rękojeść broni otworzyła się szeroko. Ułożyła ją na blacie dołem do góry i wsunęła do środka mechaniczną dłoń. Mechanizm zablokował się na niej z metalicznym trzaskiem. Nawet siwowłosa Varney o patykowatych członkach przygotował

się do ewentualnego starcia. Uniósł wieko pianina i wyjął z ukrycia dwie dubeltówki. Wsunął je pod pachy i odwiódł kurki.

– Nabiałś go chociaż? – zapytała barmanka, spoglądając na sztucer.

Briar miała go na plecach, ale natychmiast znalazł się w jej dłoniach.

– Tak – odparła, chociaż nie pamiętała, ile naboji pozostało w ukrytym magazynku. Ile razy strzeliła, wisząc w tym oknie? Czy załadowała sztucer po wejściu do pokoju? Tak czy inaczej kilka razy powinna z niego wypalić.

– Co się dzieje? – zapytała Swakhammera, ponieważ stał najbliżej. –

Co to za dźwięk?

– Oznacza problem. Nie wiem jeszcze jakiego rodzaju. Może być źle albo to nic takiego.

Squiddy wyciągnął wielki mosiężny, złowrogo wyglądający kanister, który przypominał lufę działka.

– Lepiej się przygotować na najgorsze.

– Dzwonek jest przyczepiony do drutu rozciągniętego przed zachodnim, czyli głównym wejściem. Tym, którym weszliście. Jeremiasz przeprowadził cię obok alarmu, pewnie go nawet nie zauważyłaś.

Do dźwięku brzęczyka dołączył charakterystyczny jęk, którego nie sposób było pomylić z niczym. Dobiegał z komory za szczelnymi drzwiami.

– Gdzie twoja maska, dziecino? – zapytała Lucy, nie odrywając oczu od drzwi.

– W sakwie. Dlaczego pytasz?

– Gdyby zmusiły nas do odwrotu, będziemy musieli się wydostać na powierzchnię. – Chciała mówić dalej, ale w tym momencie coś ciężkiego walnęło w drzwi, nieomal wysadzając je z zawiasów. Za nimi rozlegało się coraz więcej jęków, coraz bardziej pobudzonych i coraz głośniejszych. Briar szybko naciągnęła maskę na twarz.

Lucy spojrzała na Swakhammera.

– A co ze wschodnim tunelem?

Ruszył od razu do podłużnych drzwi za pianinem.

– Jest niezbyt pewny – ocenił.

– A co z budynkiem powyżej? – zapytał Allen. – Może tam będzie bezpiecznie?

W tejże chwili nad ich głowami rozległ się głuchy łomot. Rozkładająca się stopa zawadziła o jakiś występ w drewnianej podłodze. Nikt już nie pytał, czy tam może być bezpiecznie.

Varney wymierzył w wykrzywione drzwi.

– Musimy iść na dół – rzucił.

– Moment – powstrzymała go Lucy.

Swakhammer przebiegł zza pianina do zachodniego wyjścia, ciągnąc jedną ręką podkład kolejowy, a drugą nakładając maskę. Squiddy pospieszył

mu z pomocą i chwycił ciężki kloc drewna z drugiej strony. Wspólnie udało im się umieścić go w

masywnych klamrach wmurowanych w ściany po obu stronach drzwi. Równocześnie z drugiej strony dobiegło łomotanie, drewno zaczęło trzeszczeć, jakby lada moment miało się poddać. Podkład wytrzymywał napór, ale mosiężne i stalowe chwytały, na których był oparty, zaczynały się wysuwać ze ścian.

– Jak mogę wam pomóc? – zapytała Briar.

– Używając sztucera – poradziła jej Lucy.

– I możesz go użyć – dodał Swakhammer, pędząc na drugi koniec sali, gdzie łomem podniósł klapę osadzoną w podłodze. Varney stanął obok i oparł ją o swoje biodro. Mężczyzna w pancerzu powrócił pod kontuar i stanął

plecami do Lucy. Wymierzył oba rewolwery w drzwi prowadzące go zachodniego tunelu.

– Stań tutaj. – Lucy wskazała miejsce Briar. – Przyjmij pozycję obronną i strzelaj w głowę każdemu zgnilasowi, który spróbuje przejść przez te drzwi. To najlepszy sposób, żeby ich powstrzymać.

– Wschodni tunel nie jest już bezpieczny – zameldował Frank, zatraskując drzwi za pianinem i blokując je metalową sztabą. W tej samej chwili rozległ się głuchy łomot od strony głównego wejścia.

– Dolny poziom jest nadal czysty! – zawołał Swakhammer. – Bronimy fortu czy skaczymy? Ty decydujesz, Lucy.

– Dlaczego ja zawsze o wszystkim muszę decydować? – zachnęła się jednoręka.

– Bo to twój cholerny bar.

Zawahała się, ale w tym momencie frontowe drzwi pękły w zwolnionym tempie. Blokujący je kloc odsunął się w tył.

– Frank, powiedziałeś, że...

– Wschodnie wyjście zablokowane, szefowo.

– A to – wskazała na rozwalone drzwi, przez które widać było kawał

szarej skóry i wybałuszone ślepie – raczej beznadziejna sprawa.

Briar uniosła broń do ramienia, wymierzyła i nacisnęła spust. Gałka oczna zniknęła, lecz chwilę później kolejna zajęła jej miejsce.

– Niezły strzał – oceniła Lucy. – Ale Bóg jeden wie, ilu ich tam jeszcze jest. Skaczymy. Niech to wszystko szlag trafi. Nienawidzę sprzątać po tych stworach. Dobra. Wszyscy wychodzimy. Varney, ty pilnujesz klapy.



Swakhammer idzie przodem. Pozostali wycofują się kolejno do kłapy. Briar też.

– Nie. Ja zostaję z wami.

– Nikt tu nie zostanie. Wszyscy się wynosimy. – Nie oglądając się, jednoręka rzuciła: – Spieprzajcie mi stąd, stare dranie, i to na jednej nodze.

Kiedy się obróczę, chcę zobaczyć tylko Varneya trzymającego kłapę.

Briar rzuciła okiem w stronę przepychanki rozgrywającej się po drugiej stronie sali. Frank, Ed, Allen i Willard już zniknęli pod podłogą, Varney wkopywał właśnie do otworu wciąż ledwie przytomnego Hanka.

– Gotowe – zameldował moment później, gdy pijak zleciał na pysk, drąc się wniebogłosy.

– Świetnie – mruknęła Lucy.

Ledwie zamknęła usta, spory kawałek framugi oderwał się od ściany, uderzając w blat kontuaru. W otworze natychmiast pojawiły się trzy szpetnie wyglądające ręce, które próbowały pochwycić cokolwiek żywego. Nieumarli napierali na pozostałe deski oddzielające ich od wnętrza ewakuowanego baru. – Ty przodem, Briar.

Swakhammer zaklął głośno, pokazując drzwi za pianinem.

– Za wami! – ostrzegł.

– Mam ich wystarczająco wielu przed sobą – odparła ze stoickim spokojem Briar i znów wypaliła.

Mężczyzna w pancerzu podbiegł do wschodniego wejścia i podparł je własnym ramieniem. Zgnilasy napierały równie mocno jak te z drugiej strony lokalu.

– Nie utrzymamy się tu! – jęknął, odsuwając się, gdy pierwsze kościste paluchy zaczęły chwytać go za zbroję. Obrócił się na pięcie, wyszarpując rewolwery. Wypalił z nich przez drzwi, nie mierząc jednak tak dokładnie jak Briar. Pociski przebijały drewno, bardziej je niszcząc niż szkodząc stojącym za nim zgnilasom. Gdy odpadł jeden z dolnych kawałków skrzydła, pojawiła się w nim natychmiast zniekształcona stopa – poruszała się po podłodze, jakby nieumarły chciał coś wymacać.

– Idź! – zawołała Briar, przeładowując sztucer, by oddać kolejny strzał

do stworów pojawiających się w wyrwie przed nią.

– Ty pierwsza – odparła Lucy.

– Jesteś najbliżej wyjścia!

– Dobrze – zgodziła się jednoręka, ominęła koniec kontuaru i zniknęła w otworze za kłapą.

Gdy z dołu dobiegł zduszony huk świadczący o tym, że właścicielka baru wylądowała na niższym poziomie, Briar odwróciła się szybko i zobaczyła zbliżającą się maskę Swakhammera. Była nie dalej niż dwie stopy od jej twarzy.

Swakhammer chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą tak mocno, że o mało nie postrzeliła go z bólu i zaskoczenia. Zdołała jednak przenieść broń za siebie, gdy opuszczał ją na niższy poziom.

Drzwi poddały się jedne po drugich. Zarówno wschodnie, jak i zachodnie wpadły do środka i do sali wlały się masy pokiereszowanych szarych ciał.

Briar widziała je kątem oka. Nie zawahała się i nie zwolniła nawet na moment, ale spojrzeć mogła. To nikomu nie szkodziło. Nieumarli zbliżali się z niewiarygodną prędkością. W życiu by nie podejrzewała, iż okaleczone, ledwie trzymające się ciała mogą być tak zwinne i szybkie. Na jednym ze zgnilasów dostrzegła podarte resztki koszuli. Inny nie miał na sobie nic prócz butów. Skóra odłaziła mu miejscami od wyschniętego ciała, odsłaniając poczerwiałe kości.

– Na dół! – rozkazał Swakhammer. Nacisnął dłonią na jej głowę, spychając Briar.

Byłaby spadła jak Hank, ale w ostatnim momencie trafiła dłonią na pierwszy uchwyt i zawisała na nim, uderzając boleśnie kolanami o ścianę i niższe elementy drabiny. Schodziła szybko w dół, ześlizgiwała się nawet, dopóki nie wyczuła pod stopami twardego gruntu. Padła na ziemię, opierając się o podłogę gołymi dłońmi. Natychmiast pożałowała, że rękawice zostawiła w kieszeni płaszcza. A jeśli ich tam nie było, nie miała pojęcia, gdzie je podziała.

Ktoś ujął ją za łokieć, z mroku wychynęło zatroskane oblicze Franka.

– Nic ci się nie stało? – zapytał.

– Nie – odparła, zebrała się z ziemi i odsunęła, zanim Swakhammer wylądował ciężko w tym samym miejscu, rozchlapując na wszystkie strony wodę.

Natychmiast wyciągnął rękę w górę i pochwycił metalowe klamry umocowane w spodniej części klapy.

– Lucy – powiedział i nie musiał dodawać nic więcej.

Natychmiast stanęła przy nim, w mechanicznej dłoni ściskając trzy stalowe sztaby, które miały posłużyć za skoble. Podawała je kolejno Swakhammerowi, a ten umieszczał je w leżach rozmieszczonych po każdej stronie blokującej przejście klapy.

Kościste palce skrobały deski od drugiej strony, szukając gniewnie jakiegokolwiek szparki. Swakhammer zabrał z góry łom, który teraz się przydał jako dodatkowe umocnienie zamknięcia. Wcisnął go obok jednej ze sztab, dociskając mocniej deski do podłogi.

Briar usiłowała się rozeznac w tunelu, słysząc nad głową tupanie nóg i skrobanie rąk nieumarłych. Zastanawiała się, gdzie trafili. Tak głęboko pod powierzchnią ziemi nie była jeszcze nigdy, to więcej niż pewne. Zeszła pod piwnice budynku i znalazła się w mrocznych, dusznych i wilgotnych trzewiach.

To miejsce nie przypominało w niczym wykończonych ceglami tuneli, którymi Swakhammer prowadził ją do baru U Maynarda. Była to raczej dziura wykopana w ziemi pod fundamentami budynku. Myśl o jej niestałości mocno niepokoiła Briar. Przypominała jej podobne miejsce pod piwnicą innego budynku: przypominała tunele wyłobione przez tę piekielną maszynę pod piwnicami jej własnego domostwa.

Cuchnęły tak samo mułem, mchami i odorem rozkładu. Kojarzyły się z czymś nie do końca rozwiniętym, nienarodzonym.

Zadrżała i przytuliła mocniej sztucer, ale ciepło broni, z której przed chwilą strzelała, nie było w stanie dotrzeć pod gruby płaszcz. Pozostali także tulili się wokół niej. Ich niepokój się udzielał, zdenerwowała się do tego stopnia, że zęby zaczęły jej dzwonić ze strachu.

W końcu, gdy zabezpieczono klapę i trzeba było się ruszyć z miejsca, zwalista sylwetka Swakhammera przesunęła się w mroku obok Briar.

– Gdzie są lampy, Lucy? – zapytał mechanicznym głosem. – Mam nadzieję, że zostało ich tu kilka.

– Jest jedna – odparła.

Briar nie spodobał się ton jej głosu, zwłaszcza gdy wypowiadała ostatnie słowo, jakby miała poczucie wielkiej winy.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nafta w niej się kończy – wyjaśniła Lucy. – Nie wiem, jak daleko zdołamy z nią dotrzeć. Weź ją ode mnie, Jeremiaszu. Ty masz krzesiwo.

– Mam, a jakże.

Przedmiot, który trzymał w dłoni, był rozmiaru sporego jabłka, ale i tak Swakhammer miał problem, by go użyć. Jego wielgachne paluchy osłonięte grubą rękawicą były zbyt sztywne.

– Daj mi to – powiedziała Briar, ściągając maskę i odkładając ją do torby. Wyciągnęła dłoń po krzesiwo. – Co mam zrobić?

– Załóż maskę – odparł, podając jej trzymany w dłoni przedmiot. –

Będziemy musieli wyjść na powierzchnię, zanim znów zejdziemy do podziemi. – Dopiero po tym wykładzie wskazał jej przycisk umieszczony na powierzchni krzesiwa. – Tu naciśnij. Nie, szybciej. Mocniej. Z całych sił.

Starła się wykonywać instrukcje, w końcu po czwartej czy piątej próbie snop iskier spadł na osmalone kawałki wikliny. Małeńki płomyk wydobył z mroku grupkę skulonych postaci.

– I co dalej?

– Teraz oddaj mi krzesiwo i załóż maskę. Lucy, pomóc ci przy twojej?

– Nie wydurniaj się, chłopcze. Dam sobie radę sama – odparła barmanka. Wyciągnęła spod spódnicy złożoną maskę i jednym strzepnięciem rozdzieliła warstwy skóry. Widząc pytające spojrzenie w oczach Briar, wyjaśniła: – To jeden z wynalazków Minnerichta. Jest lżejsza od twojej i wydajniejsza, ale nie działa tak długo jak tradycyjne maski. Tak cienkie filtry zapychają się już po godzinie, dlatego trzymam ją pod podwiązką na specjalne okazje.

– Godzina nam wystarczy? – zapytała Briar.

Lucy wzruszyła ramionami, po czym nałożyła maskę na twarz ruchem, który nie mógłby być płynniejszy, gdyby posiadała obie ręce.

– Musi. Zanim wyjdziemy, trzeba znaleźć skrytkę ze świecami.

Stłoczeni wokół niej bywalcy baru przygotowali i nałożyli swoje maski. Briar dołączyła do nich, aczkolwiek z wyraźną niechęcią.

– Nienawidzę jej – burknęła.

– Nikt ich tu nie kocha – zapewnił ją Varney.

– Jeśli nie liczyć Swakhammera – wybełkotał Hank. Nadal wyglądał na zamroczonego, lecz miał już otwarte oczy i stał na własnych nogach. Można było powiedzieć, że jego stan uległ wyraźnej poprawie. – On swoją uwielbia.

Mężczyzna w pancerzu przekrzywił głowę, spoglądając w jego kierunku.

– Oczywiście – odparł. – Ale bądźmy szczerzy: moja maska wygląda odjazdowo.

– Kto powiedział, że mężczyźni nie są próżni? – rzuciła Lucy przez warstwę skóry z wbudowanym filtrem.

– Na pewno nie ja.

– Świetnie. W takim razie nie mogę cię nazwać kłamcą. Ech, wy mężczyźni i te wasze zabawki.

– Proszę – wtrąciła Briar. Ciasnota tych podziemi deprymowała ją, a wilgoć zaczynała się już dostawać pod ubranie. – Co robimy? Dokąd idziemy? Lucy mówiła, że najpierw trzeba wyjść na powierzchnię, żeby potem znów zejść do podziemi.

– Zgadza się – przytaknął Swakhammer. – Później wrócimy i posprzątamy U Maynarda.

Zmarszczyła czoło pod maską.

– Zatem udajecie się do innego schronienia. To znaczy bezpieczniejszego. Może powinnam się od was odłączyć i wyruszyć na poszukiwania Ezekiela?

– Nie, nie. Nie możesz tego zrobić. Nie teraz, kiedy w okolicy roi się od tych stworów, a ty masz zużyte filtry w masce. Nie dasz rady, żeby nie wiem co. Wycofamy się do Skarbców i tam przegrupujemy siły.

Porozmawiamy o oczyszczeniu górnej drogi i dotarciu do banków.

– Jesteś parszywym despota, wiesz? – mruknęła.

– Ale za to sensownie gadam – odparł, nie wyglądając bynajmniej na urażonego.

Willard podniósł lampę, aby Swakhammer mógł lepiej ustawić odbłyśnik. Wkrótce tunel utonął w potokach wilgotnego jak sok pomarańczowego blasku.

Krople wody połyskiwały na niewykończonych ścianach. Briar poczuła się nieco pewniej, widząc stemple rozstawione w równych odstępach. Ich podstawy niknęły w rozmiękłym podłożu, a szczyty opierały się o sklepienie, które na tym odcinku było spodnią stroną podłogi baru. Pod ścianami stał rząd łopat, ich styliska zostały częściowo wchłonięte przez gliniastą ziemię.

Z trudem dawało się je dostrzec za wózkami. Wzrok Briar minął je i powędrował wzdłuż torów. Zrozumiała w końcu, że nie zeszli do zwyczajnej piwniczki – to miejsce miało znacznie większe znaczenie.

– O co tu chodzi? – zapytała. – W jakim celu wykopaliście ten tunel?

– Żeby zejść niżej – wyjaśniła Lucy. – Jak najniżej. Zabezpieczamy się przed takimi sytuacjami jak ta. Nie możemy się zbliżyć do powierzchni. Nie mamy odpowiednich materiałów ani funduszy, by zabezpieczyć tereny na górze. Te tunele nie dają nam wielkiej swobody, ale jesteśmy tu bezpieczni przed tym, co czyha na zewnątrz. Jeśli więc chcemy stworzyć nowe schronienia i szlaki komunikacyjne, musimy wkopywać się coraz niżej.

Briar rozprostowała ramiona, by zaczerpnąć głębiej tchu. Skrzywiła się mocno, czując ziemisty posmak powietrza wciąganego do płuc.

– I nie obawiacie się, że kopiąc dalej, zdestabilizujecie to, co zostało z miasta? Przecież te budynki mogą się zawalić.

– Minnericht – rzucił z ostatniego rzędu Frank, jakby to nazwisko było dostateczną odpowiedzią na wszystkie pytania.

– To pieprzony potwór – dodał Swakhammer – i zarazem genialny wynalazca. To on daje nam plany. Przeliczył wszystko i nauczył nas, jak kopać i wywozić urobek, by nie zagrozić stojącym powyżej budynkom. Ale i tak przestaliśmy kopać jakieś pół roku temu.

– Dlaczego? – zapytała.

– To długa historia – burknął, jakby nie zamierzał się wdawać w dalsze wytłumaczenia. – Ruszajmy.

– Dokąd idziemy? – zadała kolejne pytanie, idąc już za nim.

– Przecież mówiłem, do Skarbców. Spodoba ci się tam. Stamtąd jest też bliżej do dawnych banków. Tam wyjdziemy na powierzchnię i rozejrzemy się. Może znajdziemy tam ślady bytności twojego syna.

– Bliżej do banków?

– Nawet bardzo blisko. Idziemy do budynku Swedish Trust, jedyne, który nie zapadł się podczas katastrofy. Kościotrzep osłabił jego fundamenty, ale sam budynek wytrzymał. Tylko jego skarbiec okazał się za ciężki i zapadł

się do tunelu wykopanego przez maszynę twojego męża. Teraz służy nam za główne wejście. – Podniósł wyżej lampę i spojrzał przez ramię. – Nikt się nie zgubił?

– Są wszyscy – zapewniła go Lucy. – Pospiesz się, wielkoludzie.

Idziemy tuż za tobą.

Miejscami tunel rozszerzał się tak bardzo, że migotliwy płomyk nie był

w stanie sięgnąć tonących w mroku ścian, na innych odcinkach z kolei zwężał się do tego stopnia, że Swakhammer musiał się przesuwac bokiem, aby przejść dalej. Briar dreptała tuż za nim, podążając za migotliwym żółtawym płomykiem, który wypędzał cienie z wnętrza jej znoszonej maski.

## **ROZDZIAŁ 15**

– Wstawaj. Obudź się, chłopcze. Żyjesz jeszcze czy już po tobie?

Zeke nie wiedział, kto wypowiada te słowa ani czy są skierowane do niego. Czuł swędzenie na policzku od podbródka aż po ucho – to było pierwsze, na co zwrócił uwagę. Skóra go paliła, jakby tracąc przytomność, upadł twarzą na rozpalone fajerki. Potem poczuł ogromny ciężar w okolicach żołądka, jakby leżało na nim coś wielkiego i twardego. Na koniec pojawił się ból w plecach, zdaje się, że leżał na czymś nierównym i chyba ostro zakończonym.

Ktoś szarpał go za ramię tak mocno, że głowa chwiała mu się w przód i w tył, próbując chyba tym sposobem zwrócić na siebie uwagę.

Coś tu dziwnie pachniało.

– Obudź się wreszcie, chłopcze. Nie udawaj martwego. Przecież widzę, że oddychasz.

Zeke nadal nie wiedział, kto do niego mówi. Na pewno nie była to jego matka. I nie... Rudi. To imię natychmiast przywróciło go do przytomności.

Przypomnienie sobie całej reszty było trudne i... bolesne. Już wiedział, gdzie się znajduje. Przynajmniej z grubsza.

Otworzył oczy, ale nie rozpoznał pochylającej się nad nim twarzy. Była niemalże androginiczna za starości, uznał jednak, że należy do kobiety.

Mogłaby być moją babką, pomyślał, aczkolwiek w słabym świetle latarni nie potrafił dostrzec zbyt wielu szczegółów. Miała skórę nieco ciemniejszą niż on, przypominającą kolorem szwedzkie kapciuchy na tytoń albo włosie jeleni. Marynarka, którą nosiła, należała kiedyś do mężczyzny. Skrojono ją na znacznie postawniejszą osobę. Spodnie miały podwinięte nogawki.

Musiała je też spiąć w pasie, żeby nie spadały. Jej oczy przypominały barwą czystą kawę, a krzaczaste siwe brwi opadały na nie jak markizy osłaniające okno wystawowe.

Poruszała rękoma jak krab, szybko i ze znacznie większą siłą, niż można by sądzić po tak kruchym wyglądzie. Uciskała mu boki twarzy.

– Widzę, że oddychasz.

– Tak... psze pani – odparł.

Zastanawiał się, dlaczego leży w takiej pozycji. I gdzie podziewa się Rudi. Dręczyły go pytania o to, jak dostał się w to miejsce i jak długo w nim przebywa. A nade wszystko się martwił, jak zdoła w takim stanie wrócić do domu.

Krzaczaste brwi za wizjerem maski nastroszyły się mocniej.

– Nie nawdychałeś się czasem Zguby?

– Nie wiem, psze pani. – Nadal leżał na plecach, usiłując znaleźć odpowiedzi. Gapił się na tę kobietę zbyt oszołomiony, by zrobić coś więcej, niż tylko odpowiadać w najprostszy sposób.

Dopiero gdy wstała, Zeke zrozumiał, że do tej pory kucąca u jego boku.

– Gdybyś się nawdychał, nie byłbyś teraz taki wygadany. Na moje oko nic ci się nie stało, jeśli czegoś sobie nie połamałeś przy tym upadku. Czujesz jakieś pogruchotane kości?

– Nie jestem pewien, psze pani.

– Pani... Masz się za żartownisia. – To na pewno nie było pytanie.

– Nie próbuję być zabawny – wymamrotał zbyt słaby, by usiąść. Coś wielkiego i płaskiego nie pozwalało mu dźwignąć tułowia. Gdy zacisnął na tym palce, zrozumiał, że leży pod drzwiami. – Dlaczego leżą na mnie?

– Chłopcze, gdyby nie te drzwi, pewnie postradałbyś życie. Osłaniały cię jak tarcza, kiedy spadałeś ze schodów. Dzięki nim nie zostałeś zmiądzony, choć w takiej sytuacji wydawało się to nieuniknione. Pytasz, co się stało... Widzisz, w szczyt wieży uderzył statek powietrzny. Przydzwoił prosto w ścianę, można by powiedzieć, że to było coś w rodzaju lądowania awaryjnego. Gdyby

walnął nieco mocniej, przebiłby się na wylot przez nieukończony piętrowy, a ty byłbyś teraz małym trupkiem.

– Chyba tak, psze pani. Psze pani... ? – zaczął zadawać pytanie.

– Przestań mówić do mnie „psze pani”.

– Dobrze, psze pani – powtórzył z przyzwyczajenia, nie ze złości.

– Przepraszam. Zastanawiałem się tylko, czy pani jest tą księżniczką, którą spotkaliśmy w tunelu?

– Możesz mi mówić „panno Angelino”. To mnie w pełni zadowoli, chłopcze.

– Jestem Zeke, panno Angelino – przedstawił się.

Prostując nogi, zdołał odsunąć drzwi na bok. Dzięki temu mógł usiąść.

Przy pomocy kobiety wstał, ale musiała go podtrzymywać, żeby znowu nie zwał się z nóg. Przed oczami rozbłysły mu gwiazdy, oczy zaszyły mgłą. Nic nie widział prócz tych światełek błyskających we wnętrzu głowy. Żył pulsowały mu mocno na skroniach.

Zdołał się jednak zebrać w sobie. Uznał nawet, że tak właśnie się czuł

na moment przed utratą przytomności, a potem pomyślał, że księżniczka Angelina ma silniejszy chwyt niż niejeden mężczyzna, którego spotkał na swojej drodze.

Podtrzymała go, wręcz uniosła, by w końcu mógł stanąć o własnych siłach pod ścianą.

– Nie wiem, co się stało z twoim dezenterem – stwierdziła nagle. –

Pewnie ciebie też porzucił.

– Rudi mi mówił, że nie zdezerterował – zapewnił ją Zeke.

– Bo jest nie tylko dezenterem, ale i kłamcą. Masz tu swoją maskę.

Powietrze w tych pomieszczeniach nie jest za czyste. W czasie kolizji wyleciało kilka okien na górnych kondygnacjach i do środka cały czas sączy się gaz. Jesteśmy teraz w piwnicach, tutaj powietrze wciąż jest najczystsze, ale wszystkie zasłony są zniszczone.

– Moja maska... Miałem mocno zapchane filtry.

– Już masz nowe. Docięłam dwa moje na wymiar i wymieniłam ci.

Powinny wystarczyć na jakiś czas, a już na pewno na opuszczenie tego miasta.

– Nie mogę wrócić w tej chwili – jęknął. – Muszę się najpierw dostać na Denny Hill.



– Chłopcze, jesteś kawał drogi od tego wzgórza. To właśnie chciałam ci powiedzieć tam, w Dzikich Tunelach. Stary Osterude nie prowadził cię wcale do domu. Moim zdaniem chciał cię oddać potworowi zwanemu doktorem Minnerichem. Jeden Jezus Chrystus wie, co by się z tobą stało, gdybyś wpadł w jego łapy, ja nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. Zeke –

dodała już nieco łagodniejszym tonem – tam, na zewnątrz, czeka na ciebie mama. Jeśli nie wrócisz do domu, zacznie się o ciebie niepokoić. Nie możesz jej tego zrobić. Nic pozwól, żeby uznała, iż straciła dziecko.

Przez jej twarz przemknął grymas bólu. Oblicze Angeliny zastygło na moment, wyglądało, jakby zostało wykute w kamieniu.

– Psze pani...

Poruszyła się i wrażenie skamienienia zniknęło.

– Nie wolno robić matkom takich rzeczy. Wracaj do domu. Nie było cię cały dzień, a mamy już za sobą większą część nocy, lada moment zacznie świtać. Chodź ze mną, proszę. – Wyciągnęła do niego dłoń, którą ujął

głównie dlatego, że nie wiedział, jak się powinien zachować. – Znam jeden skrót, którym możesz wrócić na Przedmieścia.

– Może... może to faktycznie najlepsze rozwiązanie – stwierdził. – W

końcu mogę tu znowu przyjść.

– Oczywiście, jeśli naprawdę chcesz się dać zabić. Staram się wyświadczyć ci przysługę.

– Wiem i dziękuję za to – odparł, wciąż czując się niepewnie. – Ale wolałbym jeszcze nie wracać. Chciałbym najpierw zobaczyć dom mojego ojca.

– Nie zdołasz tam dojść w tym stanie, młody człowieku. Spójrz tylko na siebie: głowa rozbita, ubranie w strzępach. Masz szczęście, że tu nie zginąłeś. Masz szczęście, że szłam za wami, aby wyrwać cię przy pierwszej okazji ze szponów tego demona z grzmiącym kijem.

– Podobała mi się ta jego laska – wyznał Zeke, z niechęcią przyjmując od niej maskę. – Fajna była. Pomagała mu chodzić i zarazem bronić się w razie zagrożenia. Po wojnie, na której został ranny...

– Osterude nie został ranny na żadnej wojnie – wtrąciła. – Zdążył zwiąć z frontu, zanim zrobiło się naprawdę gorąco. Zranił się w udo, gdy kilka lat temu spadł z drabiny, po pijaku zresztą. Od tamtej pory pali opium, żłopie gorzałkę i ten żółty sok, żeby nie czuć bólu. Zapamiętaj sobie jedno, chłopcze: on nie jest twoim przyjacielem. A raczej nigdy nim nie był. Nie wiem, czy waląca się ściana przygniotła także jego. W każdym razie nie mogłam go znaleźć pod gruzami.

– Jesteśmy w piwnicy? – Zeke postanowił zmienić temat.

– Przecież już ci mówiłam. Zjechałeś tu po schodach z samej góry, kiedy statek powietrzny rozbił się o szczyt wieży.

– Statek powietrzny rozbił się o wieżę? – dopytywał się chłopak. –

Dlaczego?

– Na pewno nie zrobiono tego celowo, głupku. Skąd mam wiedzieć, dlaczego tak się stało? Brink jest doskonałym kapitanem, ale nie wiedziałam, że lata teraz takim statkiem. Może jest nowy i nie nauczyli się nim jeszcze sterować. To musiał być wypadek, tyle mogę ci powiedzieć. A teraz chłopaki siedzą na szczycie i dokonują potrzebnych napraw, żeby odlecieć.

Jego wzrok powoli się przyzwyczajał do ostrego światła lampy trzymanej przez Angelinę. Nie była to jednak tradycyjna lampa naftowa.

– Cóż to takiego?

– Lampa.

– Jaka?

– Dobra i jasna. Taka, której deszcz mi nie zgasi – wyliczyła. – Zbieraj się już, chłopcze. Musimy się wspiąć kilka pięter do miejsca, gdzie przycumowano statek. To po części stary dobry piracki zeppelin zwany

„Clementine”. Jak się zapewne domyślasz – zniżyła konfidencjonalnie głos –

kiedy mówiłam, że kapitan lata nowym statkiem, nie miałam na myśli całkiem nowej konstrukcji. Chodziło mi raczej o to, że go nie ukradł.

– Chce mnie pani oddać w jego ręce? – zachnął się Zeke. – Nie podoba mi się to. Piraci zrzucą mnie ze szczytu muru.

– Nic ci nie zrobią – upierała się przy swoim. – Znają mnie doskonale, bo wiele towaru od nich kupiłam, więc dotrzymają danego mi słowa. Nie będą się z tobą pieścić, ale na pewno dostarczą cię na drugą stronę w lepszym stanie, niż jesteś.

Angelina popchnęła go w kierunku zasypanych gruzem schodów, zupełnie jak matka.

– No chodźże wreszcie – ponagliła go. – Droga na górę jest łatwiejsza, niż to się zdaje. Wszystko zważyło się na sam dół razem z tobą.

Zeke wciąż nie wiedział, co myśleć, gdy wspinał się za nią między tonami gruzu. Na schodach panowała absolutna ciemność rozjaśniana wyłącznie blaskiem lampy trzymanej przez Angelinę. Nawet gdy dotarli na wyższe piętra, widział przez okna w mijanych niewykończonych pomieszczeniach, że na zewnątrz noc jest czarna jak atrament. Wiedział, że ciemności są najgłębsze tuż przed świtem.

– Zostawiłem jej wiadomość... Mama zabije mnie za to jak nie.

– Zależy, kiedy wrócisz – stwierdziła Angelina. – Sztuka polega na tym, by nie było cię wystarczająco długo, wtedy bowiem wygasa złość i pojawia się niepokój... Ale jeśli nie ma cię zbyt długo, narastająca obawa może się znów przerodzić we wściekłość.

– Pani też musi mieć dzieci – wysapał, z uśmiechem wynurzając się za nią na kolejny podest.

Nie okazała radości. Zeke wiedział o tym. Mimo że nosiła maskę, potrafiłby rozpoznać charakterystyczny ruch mięśni na policzkach.

Zatrzymała się jedynie przed większą kupą gruzu, jakby się zawahała, a potem spokojnie podjęła wędrówkę.

– Kiedyś, dawno temu, miałam córkę – odparła.

Ton, jakim wypowiedziała to zdanie, był tak znaczący, że Zeke natychmiast stracił ochotę na drażnienie tematu.

Dyszał ciężko, pnąc się w ślad za Angeliną, i zastanawiał się, skąd ta wątła kobiecina czerpie energię i siły. Te rozważania naprowadziły go na kolejne niezbyt stosowne sprawy. Korciło go, by ją zapytać, ile ma lat, lecz zdołał się powstrzymać i zamiast tego rzucił:

– Dlaczego ubiera się pani jak mężczyzna?

– Bo czuję się, jakbym nim była.

– Dziwne.

– I co z tego? – zapytała, a potem zaraz dodała: – Możesz też zadać to drugie pytanie. Przecież widzę, jak cię korci. Masz je wymalowane na twarzy, w sumie nie musisz nawet otwierać ust, żebym wiedziała, o co chcesz zapytać.

Zeke nie miał pojęcia, o co jej chodziło. Za żadne skarby świata nie zamierzał jednak poruszać kwestii liczby wiosen, które przeżyła, chodząc po tej ziemi, dlatego znów spróbował zmienić temat.

– Dlaczego tutaj jest tak mało młodych ludzi?

– Młodych ludzi?

– No, Rudi mógłby bez problemu być moim ojcem. Widziałem też kilku Chińczyków, ale większość wyglądała staro, a nawet starzej. No i...

panią. Czy wszyscy tutaj są...

– ... starzy? – dokończyła za niego. – Mając na uwadze to, że twoje pojęcie starości jest zupełnie inne niż moje, masz rację, synku. Tak samo jak słusznie się domyśliłeś, że muszą być tego powody. Tyle

że to żadna skomplikowana sprawa. Sam byś znalazł odpowiedź, gdybyś tylko wysilił mózgownicę.

Zeke odsunął zawaloną podporę, aby przejść dalej, nie wspinając się na nią.

– Jestem teraz zbyt zajęty, by rozmyślać o takich rzeczach – stwierdził.

– A to ci dopiero! Zbyt zajęty, by mieć czas na myślenie. Kiedy jesteś zajęty, musisz myśleć w dwójnasób. Inaczej nie przeżyjesz tutaj dłużej niż pchła na końcu psiego ogona. – Zatrzymała się na kolejnym podeście i poczekała, aż Zeke pokona ostatnie schody. Unosząc lampę, zlustrowała kolejne piętro. Słyszałam ich gdzieś tutaj, znaczy się ludzi z załogi tego statku powietrznego. To dość opryskliwe typy, jakkolwiek na to patrzeć, ale krzywdy ci nie zrobią. Będziesz myślał w trakcie lotu, prawda, synku?

– Tak, psze pani.

– Dobrze. W takim razie powiedz mi, zanim wejdziemy na kolejne schody, dlaczego twoim zdaniem nie ma tutaj dzieci?

– Bo... – Przypomniał sobie uwagę Rudiego dotyczącą braku kobiet wśród tutejszych Chińczyków. – Bo nie ma tutaj kobiet. A to one zazwyczaj zajmują się dziećmi.

– Nie ma kobiet? – Udała, że czuje się urażona. – A ja to niby co? Nie kobieta? Mamy tu sporo kobiet.

– Ale mnie chodziło o młode panny – plątał się, wiedząc, że brnie coraz bardziej. – To znaczy młodszych od... chciałem powiedzieć, takich, które mogą mieć dzieci. Rudi powiedział mi, że Chińczycy nie mają tu żadnych kobiet, stąd wiem.

– Patrzcie no tylko. Rudi powiedział ci prawdę na jakiś temat. Był u Chińczyków, znaczy się. „Nie ma w mieście chińskich kobitek, bo ja ich tam nie widziałem”, to właśnie ci powiedział. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Ja wiem o co najmniej jednej kobiecie, która mieszka za tym murem. To jednoręka barmanka nazwiskiem Lucy O’Gunning. Ta kobitka potrafi jedyną ręką rozwalać drzwi, mężczyzn i zgnilasów. To naprawdę twarda suka. – W

głosie Angeliny dało się wyczuć cień podziwu. – Ale muszę przyznać, że ma już swoje lata i równie dobrze mogłaby być moją córką. Albo twoją matką, a nawet babką. Myśl dalej, chłopcze, może dojdiesz do tego, dlaczego nie mamy tutaj dzieci.

– Może mi pani podpowie – poprosił, wspinając się jej śladem po zakurzonych stopniach. Nie miał pojęcia, ile pięter pokonali do tej pory, lecz był już potwornie zmęczony i nie miał ochoty na dalszy marsz w górę.

Księżniczka zdawała się tego nie zauważać. Nie zwolniła nawet na moment, a skoro to ona dzierżyła w ręku jedyne źródło światła, musiał się jej trzymać.

– Chcesz podpowiedzi? Dobrze, dostaniesz ją. He lat minęło od postawienia muru?

– Piętnaście – odparł. – Plus minus kilka miesięcy. Mama mówiła, że budowę zakończono w dniu moich urodzin.

– Naprawdę?

– Tak słyszałem.

Zaczął się zastanawiać, ile lat mogą mieć teraz ludzie, którzy wtedy nie byli oseskami. Przypomniał sobie, ile lat miała jego mama, gdy kończono budować mur. Niespełna dwadzieścia przed piętnastoma laty.

– Większość ludzi mieszka tutaj od czasu katastrofy? – wysapał przez maskę, wolno cedząc słowa ze zmęczenia.

– A i owszem, większość.

– Jeśli byli wtedy dorośli... tak między dwudziestką a trzydziestką –

dodał szybko – to teraz dobiegają czterdziestki albo już ją przekroczyli.

Zatrzymała się i odwróciła, trzymając lampę przed sobą. O mało nie dostał nią w czoło.

– I wymyśliłeś! Grzeczny chłopczyk. Umie myśleć, choć dyszy jak szczeniak po biegu... – Po chwili namysłu dodała jeszcze: – Słyszałam, że w Chinatown jest kilku chłopców. Sprowadzili ich tutaj ojcowie albo wujowie.

Niektórzy mogą też być sierotami. Sama nie wiem. Minnericht, kiedy zmienił

nazwisko, także sprowadził tutaj trochę młodej siły roboczej. Ale powinieneś zrozumieć jedno: młodzi ludzie, którzy pojawili się za murem długo po katastrofie, nie są w stanie wytrzymać w takim miejscu. Nie zostają tutaj długo. I szczerze mówiąc, nie winię ich za to.

– Ja też – odparł, pragnąc z całego serca, żeby ktoś spełnił trzy jego życzenia. Pierwszym byłoby odstawienie do domu. Był wyczerpany, cuchnące powietrze przepuszczane przez filtry przyprawiało go o mdłości, skóra piekła niemiłosiernie wokół krawędzi maski. Gdy tylko przymykał

oczy, dręczył go widok zabijanego Chińczyka. Chciał się znaleźć jak najdalej od jego ciała, to znaczy za murem.

– Jeszcze chwila – obiecała Angelina.

– I co?

– I będziesz leciał do domu.

– Czy pani umie czytać w myślach? – zapytał, mrużąc oczy pod wizjerem.

– Nie – odparła. – Ale potrafię czytać z ludzi.

Zeke usłyszał pomruk gdzieś powyżej, jakby po lewej. Do tego brzęk narzędzi uderzających o metal i przekleństwa ludzi odzianych w ochronne maski. Budynek chwiał się co chwila, jakby coś w niego nieustannie uderzało. Zeke musiał się przytrzymać ściany, by ustać na nogach. Rudi miał

rację co do dwóch rzeczy: w Chinatown nie było kobiet, a na najwyższych piętrach wieży brakowało poręczy.

– Pani Angelino? – zagaił, gdy po kolejnym zakręcie świat wokół

zrobił się o kilka odcieni jaśniejszy.

– Czego chcesz? – zapytała. – Już prawie jesteśmy. Widzisz? Okna są powybijane i wpada przez nie poświata księżyc. Zbliżamy się do miejsca, gdzie zderzyli się z tą kupą gruzu.

– Świetnie. Ale tak się zastanawiam... bo Rudi nie chciał mi powiedzieć, pani też omija ten temat, a ja jestem ciekawy, kim jest ten tajemniczy doktor Minnericht, o którym wspominaliście.

Księżniczka się nie zatrzymała, za to spojrzała przez ramię i zadrżała, jakby zobaczyła ducha albo scenę zabójstwa. Zdaje się, że zeszywniała nieco, sądząc po jej ruchach. Wyglądała jak wymizerowany zegar, który ktoś nakręcił tak mocno, że mu zaraz sprężynka pęknie.

– To nie jest jego prawdziwe nazwisko – powiedziała.

Znów się odwróciła, o mało nie uderzając Zeke'a lampą. Idąc przodem, nie miała pojęcia, ile przestrzeni ich dzieli. Nawet przez tak niewielkie wizjery maski chłopak widział głębokie kaniony bruzd na jej twarzy, do tego sokoli nos i głęboko osadzone lekko skośne oczy, które dopełniały tego złowieszczego krajobrazu.

Pochwyciła ramię Zeke'a wolną ręką i przyciągnęła go do siebie. Mało brakowało, a rozgrzane mocno szkło lampy oparzyłoby mu czoło.

Potrząsnęła nim, a potem powiedziała:

– Jeśli coś pójdzie nie tak, o jednym powinieneś wiedzieć: znajdujemy się na jego ziemi, w części miasta, którą on rządzi. Jeśli śmierć zajrzy nam w oczy, a ty nie zdołasz wsiąść na pokład tego statku i trafisz w jego łapy, powinieneś być przygotowany na to spotkanie.

Z góry dobiegł stek przekleństw, ci ludzie mówili po angielsku, ale z wieloma obcymi akcentami. Zeke starał się ich nie słuchać, tak samo jak unikał wzrokiem głębokich bruzd na twarzy Angeliny. Niestety, trzymała go mocno i chcąc nie chcąc spoglądał jej prosto w oczy.

– To żaden doktor i na dodatek nie jest Niemcem, choć używa nazwiska sugerującego takie pochodzenie. Nie jest najemnikiem ani obcokrajowcem, ani tym bardziej człowiekiem stąd. Tak lubi

o sobie mówić

– poinformowała go Angelina i nagle zaczęła mówić dalej takim tonem, jakby coś nagle wpadło jej do głowy. – Cokolwiek ci powie – wysyczała z płonącymi oczyma – nie wierz mu. Nie pochodzi stąd i nie jest tym, za kogo się podaje. Nigdy nie powie ci prawdy na temat swojego pochodzenia, bo za wszelką cenę stara się je ukryć. Jeśli cię znajdzie, zatrzyma cię na zawsze, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewna. Cokolwiek od niego usłyszysz, to nie będzie prawda. Jeśli to zrozumiesz, będziesz miał szansę na przeżycie. Niewielkie, ale zawsze. Niemniej... – zamilkła nagle, lecz zauważył, że gniew rozpalający jej twarz zmalał do rozmiarów maleńkiego płomyczka. – Niemniej musimy zrobić wszystko, by do spotkania z nim nigdy nie doszło – dodała, klepiąc Zeke’a po głowie i czochrając po włosach.

Ten ostatni ruch poruszył także mocowania maski, co podrażniło skórę wokół uszczelki. – Chodźmy na górę do tego statku.

Puściła go i z uśmiechem na twarzy ruszyła na kolejny ciąg niekończących się schodów. Tym razem dotarli wreszcie na otwarty szczyt wieży i poczuli powiew świeżego powietrza.

Ezekiel powtarzał sobie, że to tylko pozory, ponieważ nawet na takiej wysokości pełno było wokół trującego gazu. Nie mógł wszakże zaprzeczyć, że wiatr wiejący zza muru niósł miły chłodek. To jednak nic nie znaczyło i na pewno nie powinien zdejmować maski – mimo że oddałby wszystko, byle pozwolono mu ją zedrzeć z twarzy. Wciąż był wstrząśnięty tyradą Angeliny i zaniepokojony gniewnym tonem, jakim mówili ludzie pracujący wyżej.

Angelina szła przodem z lampą i to ona powitała załogę statku powietrznego siarczystym przekleństwem, które rozbawiło Zeke’a. Piraci odwrócili głowy do zbliżającej się kobieciny z dziwnym niezwykle jasnym źródłem światła i idącego za nią chudego kędzierzawego chłopca.

Było ich co najmniej pięciu, tylu w każdym razie widział Zeke.

Rozrzucony po całym piętrze zajmowali się naprawianiem gigantycznego kadłuba – z miejsca gdzie stał Ezekiel, nie było widać jego końca –

większość zbijała młotkami wystające ze szkieletu sterowca nity, inni łatali dziury w poszyciu. Tylko niewielka część olbrzyma otarła się o ścianę, wybijając w niej wszystkie okna jak leci.

„Clementine” albo utknął na szczycie wieży, albo został do niej przycumowany na sztywno. Zeke nie potrafił powiedzieć, jak jest naprawdę i czy w tej sytuacji ma to jakieś znaczenie.

Przycisnięty do filarów nośnych budynku statek powietrzny zdawał się wnikać do pomieszczenia, w którym pięciu ludzi pracowało nad usunięciem najpoważniejszych uszkodzeń. Największe rozdarcie zmniejszało się sukcesywnie, gdy potężnie zbudowany mężczyzna prostował kolejne skrawki blachy przy użyciu łomu wielkości pnia młodego drzewka. W tym samym czasie biały pirat w pomarańczowej masce na twarzy starał się przyciągnąć krawędzie otworu do siebie, oplatając je gęstą siecią lepkich lin.

Dwaj z pięciu piratów odpowiedzieli Angelinie jeszcze bardziej wyrafinowanymi przekleństwami. Jeden z nich wyglądał na herszta tej bandy.

Spod uprząży jego maski wystawały jaskraworude włosy, masywne ciało pokrywały liczne tatuaże i blizny. Na jednej z jego rąk Zeke dostrzegł

rybę pokrytą srebrnymi łuskami, na drugiej pirat miał granatowego byka.

– Jesteś już gotów do odlotu, kapitanie Brink? – zapytała go Angelina.

– Tak, księżniczko – odparł. – Jak tylko uda nam się załatać tę szczelinę w poszyciu, będziemy mogli się wznieść w powietrze z jednym, a może nawet z dwoma pasażerami. To ten twój przyjaciel?

– Tak, to ten chłopak – odparła, ucinając wszelkie domysły, jeśli ci ludzie mogli je mieć. – Możecie go wysadzić gdziekolwiek na zewnątrz, byle znalazł się za murem. Zapłacę resztę umówionej sumy, jak pojawicie się tutaj następnym razem.

Poprawiając maskę, pirat obejrzał sobie Zeke'a z góry na dół, jakby oglądał wystawionego na sprzedaż konia.

– Nie ma sprawy, księżniczko. Chciałbym tylko zaznaczyć, że nasza następna wizyta może się nieco opóźnić. Chwilowo musimy wykonać inny lot, i to daleki.



– A to niby dlaczego? – zapytała.

– Powiedzmy, że w poszukiwaniu nowych rynków zbytu – odparł

zwięźle i zaraz dodał: – To nic takiego, czym powinniście się martwić.

Wsiadaj na pokład, chłopcze. A ty, Angelino, na pewno nie chcesz wyskoczyć za miasto?

– Nie, kapitanie, dziękuję. Mam tu kilka spraw do załatwienia. I jednego dezertera do odstrzału – dodała pod nosem, ale Zeke to usłyszał.

– Chyba nie zamierza go pani zastrzelić? – zapytał – Masz rację, nie zamierzam. Raczej zadżgam go nożem – rzuciła mimochodem, przyglądając się pracującym piratom. – Ten statek nie przypomina, tego na którym ostatnio latałeś – powiedziała do Brinka.

Kapitan wyklepywał właśnie młotkiem kolejny płat blachy.

– Szczerze mówiąc, to nowa jednostka – odparł, przerywając na moment. – Masz dobre oko, kobieto.

– Ale nadal nazywa się „Clementine”?

– Zgadza się. Nazwałem go tak po mojej mamie, której nie było dane dożyć pierwszego rejsu tej ślicznotki.

– Jakie to miłe z twojej strony – mruknęła, lecz mimo że bardzo się starała, Zeke zdołał wychwycić w jej głosie powątpiewanie.

– Czy coś jest nie tak? – zapytał szeptem.

– Skąd – odpowiedziała, nie zniżając głosu. – Wszystko w porządku.

Znam tych gości – zapewniła go. – Ten tam to kapitan Brink, czego mogłeś się już domyślić, za nim masz pierwszego oficera Parksa, a ten z siecią to Guise, jeśli się nie mylę.

– Nie mylisz się – przyznał kapitan, nie oglądając się nawet. – A ci dwaj, których nie rozpoznałaś, to Skyhand i Bearfist. Są braćmi.

Przywiozłem ich z ostatniej wyprawy do Oklahomy.

– Z Oklahomy? – powtórzyła Angelina. – Jesteście moimi braćmi? –

zawołała w kierunku wspomnianych mężczyzn.

– Ma pani braci, o których nie wie? – zdziwił się Zeke.

– Ależ skąd, głupku – burknęła, lecz bez jadu w głosie. – Zastanawiam się tylko, czy są z tego samego plemienia co ja.

Żaden z braci nie odpowiedział. Grzebali w wielkim silniku, zanurzając w nim ręce po łokcie. Z jednej strony był osmalony, z drugiej wciąż unosiła się para.

– Nie myśl, Angelino, że okazują ci brak szacunku – wtrącił kapitan. –

Żaden z nich nie zna jeszcze dobrze angielskiego. Wątpię też, by zrozumieli, gdybyś zagadała do nich w języku Duwamiszów. Ale są wytrzymalsi od mułów i znają się na obsłudze maszynierii.

Pod paskami podtrzymującymi maski braci Zeke dostrzegł długie czarne włosy. Skórę na przedramionach mieli brązową, choć to akurat mogli zawdzięczać warstwie brudu albo smaru. Niemniej wyglądali na Indian, podobnie jak Angelina. W każdym razie albo nie zdawali sobie sprawy, że kapitan rozmawia na ich temat, albo mieli to po prostu gdzieś.

– Jak pani poznała tych ludzi? – zapytał Zeke półgłosem.

– Tutaj wszyscy się znamy.

– No dobrze, za kilka minut będziemy mogli ruszyć – oświadczył

kapitan. Zdaniem Ezekiela zabrzmiało to tak, jakby starał się ukryć podniecenie.

Pierwszy oficer Parks wyrżał przez okno, to znaczy spróbował

wyrzeć, bo po drugiej stronie ściany miał kadłub swojego statku powietrznego. Obrzucił potem zdziwionym wzrokiem kapitana, ale ten tylko machnął ręką, jakby zachęcał załogę do zwiększenia tempa pracy.

– Jak blisko celu jesteśmy? – zapytał.

– W sumie moglibyśmy już odlecieć – stwierdził Guise, grubas w spodniach z podwiniętymi nogawkami i podkoszulku. – Pakujmy się na pokład i znikajmy stąd.

Angelina przyglądała się tej scenie z widoczną obawą, gdy jednak zauważyła, że Zeke na nią patrzy, natychmiast ukryta ją za maską optymizmu.

– Już czas – powiedziała. – Było mi niezwykle miło poznać cię, chłopcze. Wyglądasz mi na dobre dziecko, mam więc nadzieję, że matka nie spierze cię zbyt mocno. Wracaj do domu, może zobaczymy się jeszcze kiedyś.

Zeke myślał, że zaraz weźmie go w ramiona, ale księżniczka nie zrobiła tego. Po prostu cofnęła się na klatkę schodową i zniknęła mu z oczu, idąc na niższe piętro.

Zeke pozostał pośrodku zrujnowanego pokoju z powybijanymi oknami i okrętem wojennym wiszącym za ścianą.

Okręt wojenny.

Słowo to nie chciało opuścić jego umysłu, choć nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. „Clementine” był tylko zlepkiem niezbyt dobrze pasujących do siebie części, które tworzyły statek powietrzny zdolny do przenoszenia ciężkich ładunków na drugą stronę gór. Może zaniepokoiło go, że sterowiec ma mocno opancerzone segmenty wpasowane w czarny matowy kadłub?

– Przepraszam, gdzie mam... – zaczął zadawać pytanie kapitanowi, który pakował właśnie narzędzia do cylindrycznej skórzanej torby mogącej zmieścić dorosłego człowieka.

– Gdzie chcesz – odparł pośpiesznie pirat. – Księżniczka opłaciła twoją podróż, a my nie zamierzamy jej oszukać. To już starowinka, ale nie chciałbym się znaleźć na jej celowniku. Wolę, by moje flaki zostały tam, gdzie są.

– Cóż... dziękuję, sir. Mam po prostu... wejść do środka?

– To chyba oczywiste. Tylko trzymaj się blisko włazu. W tej sytuacji będziemy musieli cię wykopać na zewnątrz z nieco większej wysokości, niż byśmy chcieli.

– Zamierzacie... – Zeke zrobił wielkie oczy. – Zamierzacie wyrzucić mnie na zewnątrz?

– Owszem, ale najpierw obwiążemy cię liną. Nie chciałbyś chyba rozdyżdać się o ziemię?

– Nie chciałbym – przyznał Zeke, lecz nadal nie był pewien, czy kapitan żartuje, i ze strachu nogi zaczynały mu mięknąć.

Niepewność chłopca, wzmocniona niepokojem dostrzeżonym w oczach Angeliny, jeszcze wzrosła, gdy obserwował nerwową krzątanicę otaczających go mężczyzn. A zaczęli się zwijać, ledwie księżniczka zniknęła im z oczu, co sprawiało wrażenie, że była to inscenizacja robiona wyłącznie na jej użytek. Nie spodobała mu się ta konkluzja.

Kadłub statku powietrznego przylegał szczelnie do ściany wieży, więc załoga nie zamykała włazu znajdującego się praktycznie nad krawędzią podłogi, by móc swobodnie chodzić w tę i z powrotem. Zeke wskazał ręką w tamtym kierunku, na co kapitan skinął głową, zachęcając go do wejścia na pokład.

– Tylko niczego nie dotykaj! To rozkaz, chłopcze, więc lepiej mnie posłuchaj, inaczej pozostanie ci tylko modlitwa o skrzydła, kiedy wzbijemy się w powietrze. Jak będziesz grzeczny, zrzucimy cię na linie – obiecał.

Zeke uniósł obie dłonie i zawołał:

– Słyszałem. Słyszałem! Niczego nie będę dotykał. Wejdę tylko do środka i... – W tym momencie zdał sobie sprawę, że nikt go nie słucha, więc zamilkł i przekroczył wysoki próg włazu.

Wnętrze gondoli było szare, zimne i nie do końca suche. Za to jaśniejsze, niż myślał, dzięki wielu małym lampom gazowym rozwieszonym wzdłuż burt na uchylonych ramionach. Jedna z nich została stłuczona, jej części leżały na pokładzie.

Wyprostował się i uważnie rozejrzał po wszystkich zakamarkach, trzymając jednak ręce z daleka od skomplikowanego systemu dźwigni i rączek zwisających z sufitu. Matka zwykła mówić, że powinien unikać zła jak diabeł święconej wody, uznał więc, że dzisiaj zastosuje się do tego porzekadła, jakby od tego miało zależeć jego życie.

Ładownia wciąż była otwarta. Gdy Zeke zajrzał do niej, dostrzegł stosy skrzyń ustawionych w rogach i worki zwisające spod sufitu. Jego przyjaciel Rector powiedział mu co nieco na temat metod pozyskiwania i przetwarzania Zguby, dlatego domyślił się od razu, czym są te gumowane sflaczałe pojemniki. Za to nie miał bladego pojęcia, co może być w nieoznakowanych skrzyniach. Wywnioskował jednak, że „Clementine” nie przyleciał tutaj po gaz, tylko z dostawą.

Ktoś na zewnątrz upuścił ciężkie metalowe narzędzie. Zeke odskoczył

jak oparzony, ale w pobliżu nie dostrzegł nikogo, kto mógłby zauważyć, że oddalił się od włazu, przy którym kazano mu stać. Zdażył wrócić na czas, zanim Guise i Parks wkroczyli na pokład z resztą narzędzi. Żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi, za to idący za nimi kapitan od razu zapytał:

– Stałeś tu cały czas?

– Tak, sir.

– Dobry chłopczyk. Nad twoją głową wisi pas, chwyć się go mocno.

Zaraz odbijamy.

– Już? – zdziwił się Zeke.

Guise ściągnął kamizelkę wiszącą na jednym z foteli i nałożył ją na grzbiet.

– Wolałbym odlecieć stąd dwadzieścia minut temu, ale teraz też nie powinno być problemów.

– Zgadzam się – poparł go Parks. – Lada minuta mogą nam sięść na ogonie.

Gdy kończył mówić, dostrzegł kątem oka chłopca i powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Wiem – przyznał kapitan, odpowiadając na nie wyrażoną myśl pierwszego oficera. – A Guise zmarnował nam co najmniej czterdzieści minut, tak że godzinę przewagi na starcie szlag trafił.

Parks zacisnął zęby tak mocno, że linia jego szczęki widoczna poza zasłoną maski wyglądała jak wykuta z granitu.

– Nie moja wina, że dysze zostały źle oznaczone. Przecież nie wpakowalibyśmy nas celowo w sam środek tej wieży.

– Nikt nie mówi, że to twoja wina – uspokoił go Brink.

– I lepiej, żeby tego nie powiedział – odwarknął jego pierwszy oficer.

– Ja na pewno nie powiem – wtrącił Zeke, uśmiechając się nerwowo.

Zignorowali go. Indiańscy bracia wrócili na pokład i od razu zajęli się zamykaniem włazu. Zaokrąglone drzwi zablokowały się, ale przyciągane siłą czworga potężnych ramion i dźwigni powoli osiadły na kołnierzu. Na koniec Indianie zablokowali je pokrętłem umieszczonym pośrodku i zajęli swoje miejsca w niewielkiej sterówce.

– Gdzie są te cholerne odpowietrzniki? – Guise wyciągnął rękę w górę, lecz zaraz zacisnął ją w pięść.

– Poszukaj na lewym panelu – poradził mu kapitan.

Otyły mężczyzna opadł na rozchybotany środkowy fotel. Zaparł się stopami o mocowania konsoli i spróbował się przysunąć do niej, siedzisko wszakże nawet nie drgnęło.

Zeke cofnął się pod ścianę i tam pozostał, wsunawszy dłoń w zwisającą z sufitu pętlę. Zauważył, że jeden z Indian spogląda w jego kierunku, więc rzucił od niechcienia:

– Wygląda na to... że od niedawna nim latacie.

– Niech ktoś uciszy tego gnojka – warknął Parks, nie odwracając głowy. – Wisi mi, jak to zrobicie, byle więcej się nie odzywał.

Kapitan wodził wzrokiem pomiędzy pierwszym a stojącym w oddali Zekiem, w końcu utkwiał spojrzenie w chłopaku.

– Już nic nie mówię! – bełkotał Zeke. – Już się zamykam. Przepraszam, ja tylko... tak sobie rzuciłem luźną uwagę.

– Nikogo nie obchodzi, co masz do powiedzenia – ofuknął go Guise.

– Zamknij jadaczkę – poparł go kapitan – a nic ci się nie stanie. Nie chcę mieć zatargów z tą obłąkaną staruchą. Nie zmuszaj mnie, bym kazał cię zrzucić z pokładu bez sieci albo chociaż liny. Zrobimy to, jeśli zajdzie taka potrzeba, a jej powiemy, że przydarzył ci się wypadek. Niczego nam nie udowodni.

Tyle Zeke już wiedział. Skulił się jak tylko potrafił, wciskając między wręgi. Ze strachu nie mógł nawet odetchnąć.

– Zrozumiano? – mruknął pirat, spoglądając mu prosto w oczy.

– Tak, sir – wyszeptał chłopak. Chciał jeszcze zapytać, czy może już zdjąć maskę, ale obawiał się kolejnego wybuchu złości. Zdawał sobie sprawę, że każdy z obecnych na pokładzie gotów by go zastrzelić bez mrugnięcia okiem, gdyby usłyszał z jego ust nawet tak niewinne słowa jak

„dzień dobry”.

Uszczelnienie maski drażniło mu skórę, a paski uprząży gniotły w głowę tak mocno, że zaczynał się obawiać, czy nie wycisną mu mózgu oczodołami. Chciało mu się płakać, był jednak tak przerażony, że nie potrafił

nawet pociągnąć nosem.

Guise zaczął naciskać guziki w przypadkowej kolejności, nieomal waląc w nie pięścią, jakby nie wiedział, do czego służą.

– Nie ma tu dźwigni zwalniającej te cholerne chwytaki. Jak mamy odlecieć od tej...

– Przecież nie dokowaliśmy normalnie – uspokoił go Parks. –

Walnęliśmy w wieżę i wbiliśmy się w ścianę. Trzeba wyjść i odepchnąć kadłub własnymi rękami.

– Nie ma na to czasu. Gdzie jest przycisk uwalniający kotwiczki?

Gdzieś tu powinna być dźwignia. Rzuciliśmy je, żeby ustabilizować gondolę na czas remontu, ale jak je wciągnąć z powrotem?

– Może tym? – podsunął Brink. Pochylił się nad pierwszym oficerem i pociągnął bladą dłonią jedną z dźwigiemek.

Stuknięcia dobiegające z zewnątrz zmniejszyły napięcie w sterowni.

– To było to? Zwolniliśmy kotwiczki? – dopytywał się Guise, jakby pozostali orientowali się w tym lepiej niż on.

Odpowiedział mu statek, odsuwając się od zmasakrowanej ściany nieukończonyj wieży. Zachwiał się, a potem zaczął powoli opadać w dół.

Zdaniem Zeke'a „Clementine” nie tyle wystartowała, ile oderwała się bezwładnie od budowli. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy poczuł, jak sterowiec zaczyna dziobem sunąć w dół. Wyprostował się po chwili, niemniej dolnymi pokładami wciąż kiwało jak fotelem na biegunach.

Zeke był już o krok od zwymiotowania.

Mdliło go, odkąd był świadkiem zamordowania młodego Chińczyka.

Od tamtej pory paliło go w przełyku i musiał się mocno starać, by powstrzymać nudności.

– Ja zaraz... – zaczął.

– Puść pawia do maski – ostrzegł go kapitan – a będziesz musiał

oddychać przez rzygowiny, dopóki nie znajdziesz się na ziemi. Zdejmij maskę, a padniesz trupem na miejscu.

Zeke'owi się odbiło, poczuł w masce żółć i wszystko to, co zjadł

ostatnio, choć prawdę powiedział, nie pamiętał, kiedy to było.

– Nie – wycharczał, ponieważ mówienie pozwalało mu się skupić na czymś innym niż podchodząca do krtani treść żołądka. – Nie zwymiotuję –

mruknął do siebie, mając nadzieję, że go zrozumieli, i przynajmniej przestaną sobie zaprzętać nim głowę.

Lewa dysza bluznęła parą, wprowadzając sterowiec w łagodny korkociąg, zanim załoga zdołała wyrównać kurs i rozpocząć wznoszenie.

– Za wolno – rzucił kapitan.

– Idź do diabła! – odwrzasnął Parks.

– Wznosimy się – oznajmił Guise. – Kurs stały.

– Wynosimy się stąd – dodał kapitan.

– Szlag!... – zaklął jeden z Indian.

To było pierwsze angielskie słowo, jakie Zeke usłyszał z jego ust, ale nie wróżyło niczego dobrego. Mimo że bardzo się starał, nie był w stanie powstrzymać pytania.

– Co się dzieje?

– Jezu! – jęknął Brink, zezując w prawe okno. – Crog i jego koleś znaleźli nas. Do diabła, miałem nadzieję, że zabierze im to nieco więcej czasu. Zapnijcie cholerne pasy. Trzymajcie się mocno albo wszyscy zginiemy.

## **ROZDZIAŁ 16**

Swakhammer oświetlił latarnią stos pogruchotanych skrzyń, które ktoś porzucił w tym miejscu, ustawiając je byle jak na miękkim podłożu. Jedyna droga prowadziła akurat przez nie.

– Idę pierwszy – oznajmił. – Znajdujemy się na tyle daleko od pubu, że nie powinniśmy trafić na główny rój. Te stwory są bezmyślne. Będą próbowały przebić się przez podłogę, dopóki nie pozdzierają sobie rąk, a im głośniejsze będą hałasowały, tym więcej ich się tam zleci.

– Odwracając uwagę od nas – mruknęła Briar.

– Miejmy nadzieję. Jeśli rozejrzemy się tutaj, zyskamy pewność.

Postawił masywną nogę na najniższej ze skrzyń, która zagłębiła się w miękkim podłożu na parę cali. Gdy przestała grzęznąć w mule, dostawił

drugą nogę i wspiął się ostrożnie na szczyt pryzmy. Wzmocnione metalowe skoble przesunęły się z głośnym zgrzytem, który ludziom zamkniętym w ciasnym tunelu wydał się głośniejszy niż wystrzał armatni.

Wszyscy momentalnie zamarli i ucichli.

– Słyszysz coś? – zapytała Lucy.

– Nie, ale pozwól, że się rozejrzę – wyszeptał Swakhammer.

Briar zrobiła krok do przodu i wyciągnęła but z gęstej mazi zalegającej na dnie tunelu, lecz zmuszono ją zaraz, by zanurzyła go ponownie w mocno cuchnącej brei. Nie było tu miejsca, gdzie człowiek mógłby choć na chwilę zapomnieć o wilgoci i zapachu mokrej ziemi.

– Czego szukacie? Kolejnych zgnilasów?

– Mhm – mruknął, podważając ramieniem zapadnię i rozprostowując nieco kolana. – We wschodnim tunelu roiło się od nich. Przekradliśmy się pod nimi, ale nie wiem, czy udało nam się odejść na wystarczającą odległość, by znaleźć się za rojem. A teraz zamknijcie jadaczki na moment – rozkazał.

Skrzynie pod jego stopami zatrzeszczały przeraźliwie, zapadając się w muł z głośnym chlupotem. Zdawać się mogło, że sterta zaraz się zawali. Nic takiego jednak się nie stało, tak że Swakhammer zdołał się wyprostować we względnej ciszy i bezszelestnie podnieść klapę.

– I co tam? – zapytał Hank zbyt głośno.

Lucy go uciszyła, lecz spoglądała na nogi Swakhammera, nie kryjąc, że sama ciekawa jest odpowiedzi.

– Chyba czysto – odparł mechaniczny głos. Nie brzmiał zbyt pewnie, ale zgromadzeni na dole nie słyszeli w tle szeleszczenia, drapania i jęków, więc przyjmowali tę ciszę za dobry znak. Swakhammer opuścił klapę i jak najbardziej zniżając przekształcony przez urządzenia głos, wyjaśnił:

–

Jesteśmy w piwnicach apteki przy Drugiej Alei, dokładnie pod podziemnym składzikiem Pete’a. Z tego co mi wiadomo, to pomieszczenie nie ma bezpośredniego połączenia z barem U Maynarda. Lucy, ty wiesz, jak się stąd dostać do Skarbców?

– Jedną przecnicę w dół i jedną na prawo.

– Świetnie. A teraz słuchajcie, zwłaszcza Briar: pomiędzy tym miejscem a Skarbcami nie ma żadnych zapadni, więc jak przyjdzie co do czego, trzymajcie się jak najbliżej razem i pędźcie przed siebie co sił w nogach.

– Zapadni?

– Tak nazywamy miejsca, przez które można zejść do zabezpieczonych kryjówek, czyli potocznie



mówiąc, zapaść się pod ziemię. Wiesz, o czym mówię. Po wyjściu na powierzchnię musimy na niej pozostać, póki nie dotrzemy w pobliże Skarbców. To najbliższe i najbezpieczniejsze miejsce w tej okolicy, jeśli nie liczyć baru. A tam nie możemy wrócić przez najbliższe dwa dni, jeśli nie dłużej.

– A niech to szlag! – jęknęła Lucy. – Dopiero co doprowadziłam salę do porządku po ostatnim wjeździe.

– Nie przejmuj się. Pomożemy ci. Ale teraz musimy zwiewać i przeczekać najgorsze. W zaciszu spróbujemy rozgryźć, jakim cudem zdołały odkryć nas tak szybko.

– Nie – zaprotestowała Briar. – Nie zamierzam kryć się pod ziemią tak długo. Muszę odnaleźć syna.

Lucy położyła ciężką metalową dłoń na jej ramieniu.

Kochanie, Skarbce są bliżej twojego domu niż jakakolwiek inna kryjówka. Właśnie tam powinien dotrzeć twój syn, jeśli naprawdę chce znaleźć Kościotrzepa. Posłuchaj mnie uważnie: dostaniemy się tam i być może trafimy na kogoś, kto go widział. Rozpytamy i puścimy wiadomość między ludźmi, ale musisz się trzymać z nami, jeśli chcesz pożyć wystarczająco długo, by go odnaleźć.

Briar chciała zaprotestować, niemniej po przemyśleniu zmilczała.

Skinęła głową Swakhammerowi, jakby mówiła mu, że zgadza się na tę propozycję. Chyba tak to zrozumiał, ponownie bowiem otworzył klapę i zniknął w otworze prowadzącym na wyższy poziom.

Jeden po drugim uciekinierzy z baru wspinali się na niestabilny stos skrzyń i krzeseł, aby się przedostać do dawnych podziemi znanej apteki.

Płomyk w latarni Swakhammera zamrugał, mało brakowało, a zgasłby zupełnie. Na szczęście Frank i Willard zdążyli znaleźć kilka świec, dzięki którym znów mieli pewniejsze źródło światła. Przełamali je na pół, by w przestronnym pomieszczeniu zrobiło się jeszcze jaśniej, lecz Lucy ostrzegła ich, by uważali, gdzie je stawiają.

– Trzymajcie je wysoko, panowie. W tych skrzyniach jest sporo starej amunicji przysypanej trocinami. Wystarczy jedna iskra, żeby to wszystko wyleciało w powietrze, więc naprawdę uważajcie. Czy wszyscy są już na górze? – zapytała na koniec.

– Tak – odparł Hank. On szedł ostatni i zamknął za sobą klapę.

– Wszyscy mają sprawne maski?

Stojący wokół niej kolejno kiwali głowami. Dociągnęli paski, pozapinali luźne sprzączki, ustawili wizjery na wysokości oczu. Briar wygrzebała z sakwy kapelusz i nałożyła go na głowę. Sztucer przewiesiła przez ramię. W kieszeniach płaszczka znalazła rękawice. Podziękowała w myślach Bogu, że się nie zgubiły. Nie chciała mieć nawet skrawka odsłoniętej skóry, gdy znowu znajdzie się na zewnątrz.

Kiedy Swakhammer wspinał się cichutko po schodach, by otworzyć kolejne drzwi, właśnie naciągała

rękawice na pokryte szlamem palce.

Mężczyzna w pancerzu odsunął rygiel, trzymając przy piersi odbezpieczony rewolwer. Drzwi odchyliły się na kilka cali, na tyle, by mógł wyjrzeć przez szparę. Spojrzał najpierw w lewo, potem w prawo. Uznał, że droga jest wolna, i dał znak czekającym na dole uciekinierom.

– Szybko. Zachowujcie kompletną ciszę i trzymajcie nisko głowy.

Okna nie są tutaj dokładnie pozastłaniane. Uważny zgniłaś może nas wypatrzeć. Nie pozwólcie na to.  
– Przeszedł przez całą aptekę i wrócił do pomieszczenia na zapleczu, aby wyprowadzić pozostałych.  
– Chodźcie.

Szybciej. Tak, przyjaciele, idźcie, będę pilnował tyłów. Wyjdziemy tymi bocznymi drzwiami. Widzicie je? Są za ladą. Starajcie się nie wychylać zza kontuaru i pogaście wszystkie świece. Wiem, żeśmy je dopiero co zapalili, ale nie mam pojęcia, czy okna na górze są właściwie zasłonięte, więc nie powinniśmy ryzykować. Jeśli nas zauważą, nie zdążymy uciec. Schowajcie je dobrze w kieszeniach, jeszcze nam się przydadzą. Gotowi?

– Tak – odpowiedział mu chórek ściszonych głosów, zduszonych filtrami maski i ściśniętymi z nerwów krtaniami.

– No to idziemy – rozkazał Swakhammer.

Lucy wyszła pierwsza. Mężczyzna w pancerzu zajął pozycję na samym końcu niedługiej linii, pilnując z rewolwerem w dłoni i Stokrotką na plecach, by zgnilasy nie zaszły ich od tyłu.

Briar się skuliła, szła wolno w kucki, ze zgarbionymi plecami i na wpół

ślepa z powodu nieprzeniknionych ciemności, brnąc przez zakurzony sklep z wielkimi, choć bardzo brudnymi oknami.

W głównym pomieszczeniu apteki także nie było zbyt jasno.

Swakhammer zostawił lampę w piwnicy, teraz mieli do dyspozycji tylko jedną świecę z bardzo krótkim knotem. Lucy trzymała ją tuż przy piersi, więc niewiele mogli zobaczyć. Niemniej nawet przy tak małej ilości światła Briar widziała po drodze blaty, na które woda skapywała przez dziury w powale mocno podniszczonego budynku. Deski na podłodze i framugi okien były zbutwiałe od wilgoci i wszechobecnej żrącej Zguby.

– Lucy, jesteś już przy drzwiach? – zapytał Swakhammer zupełnie głośno, jakby nie zniżył tym razem głosu.

Skinęła głową i położyła mechaniczną dłoń na masywnej belce, która blokowała przejście od wewnątrz. Przyłożyła ucho do skrzydła i nasłuchiwała przez chwilę.

– Kompletna cisza – wyszeptała.

– Dobrze. Odsuńcie się. Idę przodem.

Chwiejnym krokiem przedostał się na czoło kolumny. Lucy cofnęła się pod ladę, by mógł otworzyć drzwi. Obejrzał się na pozostałych i oznajmił:

– Teraz najgorsze przed nami. – Głową wskazał na rękojeść Stokrotki sterczącą mu nad ramieniem. – Ale zrobmy co w naszej mocy, aby wszystko skończyło się bezboleśnie. To tylko dwie przecznice.

– Dwie przecznice – powtórzyła za nim Briar.

Przełknęła głośno ślinę i po raz kolejny pomyślała, że mimo wszystko czyni postępy w poszukiwaniach. Podchodzi coraz bliżej. Dociera do dzielnicy, w której może się znajdować jej syn, zatem jest to krok w dobrym kierunku.

Swakhammer odebrał świecę od Lucy i otworzył powoli drzwi.

Przyczajeni za nim ludzie cofnęli się o pół kroku, żeby miał więcej miejsca.

Na zewnątrz panowały egipskie ciemności.

Briar mogła to wywnioskować wcześniej, zważywszy na niezmacony mrok wewnątrz apteki, aczkolwiek łudziła się, że to po części wina brudu zalegającego na nie do końca zabitych oknach. Nie zdawała sobie bowiem sprawy, jak długo tu już tkwi.

– Jest noc – mruknęła z podziwem w głosie.

Lucy wyciągnęła mechaniczną rękę i ścisnęła jej ramię.

– Trzeba czasu, by do tego przywyknąć – wyszeptała. – Siedząc pod ziemią, trudno powiedzieć, jaka jest akurat pora dnia, a teraz, w zimie, dni są takie krótkie. W każdym razie wciąż mamy sobotę. Idziemy prosto przed siebie, a potem pod górkę. W Skarbcach może być ktoś, kto coś wie o twoim synu. Tylko najpierw musimy się tam dostać. Na wszystko więc przyjdzie pora.

– Na wszystko przyjdzie pora – zgodziła się Briar.

Swakhammer zgasił ostatnią świecę, zaciskając palce okryte grubą skórą na jej knocie. Gdy otwierał drzwi szerzej, by precyzyjnie się na zewnątrz, Briar wstrzymała oddech, jakby się obawiała, że z mroku za moment wynurzą się nieumarli i wymordują ich co do jednego.

Nic takiego się nie zdarzyło. Swakhammer wypuścił wszystkich na zewnątrz i zamknął drzwi, upewniwszy się, że będzie temu towarzyszył tylko leciutki trzask. Potem odwrócił się i wyszeptał ledwie słyszalnie:

– Trzymajcie się blisko siebie. Możecie się wziąć za ręce, jeśli potraficie. Idziemy przecznicę na północ, potem skręcamy na zachód i pokonujemy podobną odległość. Briar ze swoim powtarzalnym sztucerem będzie naszą strażą tylną. Tylko nie strzelaj przy byle okazji. Im mniej hałasu, tym lepiej dla nas.

Kiwając głową, Briar otarła skrajem rónda kapelusza o fasadę budynku.

Z ciemności, która ją kryła, nie nadszedł żaden protest, i to wystarczyło Swakhammerowi za odpowiedź. Cofnęła się na koniec kolumny i zdjęła spencera z ramienia. Trzymała go teraz w dłoniach, gotowa natychmiast strzelać.

Starła się ogarniać wzrokiem sytuację z przodu i z tyłu – przed nią szedł zasypiający na stojąco Hank. Wystarczyła chwila nieuwagi, by opuścił

swoje miejsce w szeregu. Briar musiała go popchnąć we właściwym kierunku, żeby nie zbłądził.

Wlókł się jednak niemiłosiernie wolno, a ona nie mogła sobie pozwolić na odłączenie od grupy. Nie miała pojęcia, dokąd idą, a raczej nie pamiętała zbyt dobrze topografii tej okolicy, zwłaszcza że teraz, nocą, wokół panowały egipskie ciemności, tak gęste, że z trudem dostrzegała plecy osób idących przed nią. Po gwiazdzistym niebie i żółtych rurach służących do zasysania powietrza nie było nawet śladu. Grube szkła starej maski ograniczały jej pole widzenia do tego stopnia, że nawet aby dojrzeć odcinającą się od mglistej mrocznej przestrzeni poszarpaną linię szczytów uszkodzonych ścian, musiała się ogromnie skupić.

Niestety nie mogła poświęcić zbyt wiele czasu na przyglądanie się okolicy. Hank zataczał się coraz mocniej, co rusz uderzając ramieniem w ścianę. Chwyciła go za rękę i podparła lufą sztucera, żeby łatwiej się utrzymał w pionie. Co za pieprzona pijana menda, zganiła go w myślach, nie odezwała się jednak słowem. Musiała mocno się zapierać, by utrzymać go na nogach.

– Co z tobą, człowieku? – zapytała w końcu, popychając go do przodu i używając własnego ciała w charakterze podpory.

Mruknął coś w odpowiedzi, lecz nie zrozumiała nic ponad to, że ma w sobie zbyt wiele żółtego piwka, które ciągle mąciło mu w głowie. Chciała mu pomóc, ale było to dość trudne w tak gęstym mroku, gdy niewiele widziała, a on wymykał się jej i szorował ramieniem po ścianie.

– Ciszej tam z tyłu! – rozkazał Swakhammer. Jego przekształcony mechanicznie głos zabrzmiał jak syk.

– Staram się go utrzymać... – zaczęła Briar i zaraz zamilkła. – Hank –

wyszeptała. – Weź się w garść, człowieku. Musisz iść sam. Ja cię nie uniosę.

Jęknął głośniejsze i chwycił ją za rękę.

Nie protestowała, myśląc, że chce się na niej wesprzeć, by ruszyć dalej.

Popchnęła go nawet w kierunku kolumny skulonych postaci. Niemniej ten jęk wydał jej się jakiś znajomy, kołatał po głowie, jakby znaczył coś więcej, niż przypuszczała z początku.

Hank zatoczył się po raz kolejny i znów musiała go chwycić i wesprzeć własnym ramieniem. Potknął się jednak o własną nogę i padł jak długi na chodnik, pociągając Briar za sobą.

Zacisnęła dłoń na jego ręce, on zrobił to samo.

– Zaczekajcie! – zawołała za znikającymi w mroku postaciami najciszej, jak tylko zdołała.

Szelesty dobiegające z tamtego kierunku ucichły natychmiast, co świadczyło o tym, że została usłyszana.

– Co się dzieje? – zapytała z mroku Lucy. – Gdzie jesteś?

– Za wami. Z Hankiem. Coś z nim jest nie tak – szeptała z maską w jego włosach. Twarz miał wtuloną w jej obojczyk.

Jednoręka barmanka zaklęła.

– Hank, ty zapijaczony dziadu. Jeśli zabiją nas przez ciebie, przysięgam, że uduszę cię osobiście. – Jej szept stawał się głośniejszy z każdym słowem. Mówiąc, wracała po swoich śladach. Błada poświata zagubionego, odbitego od resztek jakiegoś okna blasku księżycyca zamigotała na odsłoniętej mechanicznej ręce Lucy, zdradzając jej pozycję.

Briar dostrzegła ją kątem oka, cała uwagę skupiała bowiem na uprząży maski oplatającej głowę wiszącego na niej mężczyzny.

– Moment – szepnęła w stronę Lucy.

– Tak, kochanie – odparła tamta. – Jestem już blisko.

– Nie to chciałam powiedzieć. Zaczekaj... zostań tam, gdzie jesteś.

Wyczuła je, gdy przesunęła dłonią po jego włosach: luźne zapięcia, które powinny trzymać maskę Hanka na twarzy.

Rzęził. Odepchnęła go od siebie. Gdy dotknęła jego klatki piersiowej, jej drgania nie przypominały ruchu, jaki towarzyszy oddychaniu. Hank coraz mocniej zaciskał dłonie na jej przegubie, potem przedramieniu i w końcu na talii, starając się zbliżyć.

Nie pozwoliła na to. Odepchnęła go od siebie kolbą sztucera.

Lucy w tym czasie zbliżyła się do nich, przyklękła przy nim i spróbowała go podnieść.

– Nie mów mi tylko, stary draniu, że schlałeś się do tego stopnia, by adorować naszego gościa.

Briar chwyciła ją za mechaniczną dłoń, zanim spoczęła na jego ramieniu.

– Zostaw – poprosiła. Wstała, pociągając Lucy za sobą. – Nie dotykaj go, Lucy. Miał za luźną maskę. Nawdychał się Zguby.

– O Jezu...

- Co tam się dzieje? – zapytał Swakhammer.
  - Idźcie – odpowiedziała mu Lucy. – Zaraz was dogonimy.
  - Dajże spokój – zirytował się mężczyzna w pancerzu. Cichy chrzęst świadczył, że i on wraca.
  - Zaraz was dogonimy – powtórzyła. – Zabierz resztę pod ziemię –
- dokończyła w pośpiechu, widząc, że Hank wstaje.

Briar także widziała unoszącą się coraz wyżej zwalistą sylwetkę.

- To zbyt szybko – mruknęła do siebie, a może do Lucy. – Nic mógł się zmienić tak szybko. Na to trzeba kilku dni.
- Kiedyś tak było, teraz jest inaczej.

Nie potrafiły się ruszyć, dopóki Hank stał nieruchomo.

- Co teraz zrobimy? – wyszeptała Briar.
- Musimy go załatwić. Wybacz – powiedziała Lucy. Briar miała nadzieję, że kierowała te słowa do dopiero co przemienionego zgnilasa, który wyciągał w ich kierunku kościste łapska.

Jednym ruchem ręki poderwała sztucer. Nie widziała w mroku sylwetki stwora, który jeszcze przed chwilą był Hankiem, ale gdy z ciemności dobiegł

kolejny jęk, wypaliła.

Trafiła. Pocisk odrzucił go w tył i powalił na chodnik. Nie wiedziała jednak, czy go zabiła. Nie dbała jednak o to, podobnie zresztą jak Lucy.

Jednoręka barmanka pociągnęła ją za sobą, byle dalej od tego miejsca.

Po kilku krokach zderzyły się ze ścianą, wzdłuż której sunęli wszyscy po opuszczeniu apteki, i przywarły do niej. Ich przyspieszone głośnie oddech zdradzały tę prowizoryczną kryjówkę.

Uciekinierzy ruszyli w stronę niedalekiej już przecznicy. Swakhammer robił, co mógł, by w ich szeregach nie wybuchła panika. Gdy znaleźli się blisko skrzyżowania, mężczyzna w pancerzu zebrał ich wokół siebie pod ścianą i powiedział na tyle głośno, by idące na końcu Lucy i Briar także go usłyszały:

- Na rogu skręcamy w prawo.
- Wiem – odparła barmanka. Już nie szeptała, w jej głosie słyhać było frustrację i strach.
- Ciszej! – syknął Swakhammer, też o wiele głośniejszym głosem.

– Teraz szeptanie i tak nie ma sensu. Już nas usłyszeli – burknęła Lucy, holując za sobą Briar. W mechanicznej dłoni wciąż trzymała rozgrzaną lufę sztucera. – Ruszaj, wielki draniu. Ja i Briar będziemy pilnowały tyłów.

– Lucy...

– Uciekaj, człowieku ze stali. Jeśli przestaniesz się ze mną kłócić, będziemy mogły zrobić to samo – ofuknęła go.

Kolejne jęki dobiegały ze wszystkich stron pogrążonego w mroku miasta. Nieumarli informowali się wzajemnie, zaalarmowani hukami wystrzału, gnani niepojętym głodem i pragnieniem zakosztowania świeżego mięsa. Zbierali się, nie zważając na otaczające ich ciemności.

Lucy spojrzała na sztucer Briar, a potem pociągnęła ją za róg, zza którego dobiegał klekot zbroi Swakhammera zagłuszający kroki pozostałych uciekinierów. Hyli już dość daleko, niemniej jednoręka barmanka poruszała się z taką pewnością, jakby doskonale wiedziała, co robi, więc Briar poddała się jej woli i pędziła tuż za nią.

To miały być tylko dwie przecznice, tak mówili ci ludzie, ale nie raczyli wspomnieć, że będą to najdłuższe kwartały, jakie zbudowano w tym wszechświecie. A zgnilasy już poczuły ich zapach, złapały trop, jakkolwiek wyszukiwały swoje ofiary.

Briar wyszarpnęła lufę sztucera ze sztucznej dłoni.

– Nie trzymaj mnie za broń – poprosiła. – Mogę jej potrzebować.

– Chwyć się w takim razie za wiązanie fartucha. Nie możemy się rozdzielić.

Briar wsunęła palce za lniane wstęgi, poprawiła dłoń, by mieć lepszy chwyt.

– Mam – powiedziała. – Ruszaj. Jak daleko jeszcze?

Lucy nie odpowiedziała, tylko puściła się biegiem w mrok.

Róg. Briar wyczuła go, gdy walnęła ramieniem w ścianę i odbiła się od niej, podążając śladem barmanki. Lucy pociągnęła ją w prawo, bliżej muru, i pognęła w nowym kierunku. Głuchy tupot nóg pozostałych uciekinierów był

teraz o wiele wyraźniejszy.

– Oddalają się – wysapała Briar. – A my?

– Tak jakby – odparła Lucy i w tym momencie wpadła na nadchodzących z przeciwka zgnilasów.

Briar krzyknęła. Barmanka machnęła niesamowitą mechaniczną ręką jak bronią, niczym maczugą waląc nią w łeb każdą bestię, jaka się znalazła na jej drodze. Zanim Briar ustawiła się w dogodnej pozycji do strzału, pierwszy zgniaś został zmiażdżony o ścianę, mózg trysnął mu oczodołami.

Strzelała praktycznie w ciemno, nie mając pojęcia, czy trafia w cokolwiek.

– Uważaj! – wrzasnęła Lucy.

Nie ostrzegała jednak swej towarzyszki przed zostaniem w tyle.

Moment wcześniej wystrzelona przez matkę Ezekiela kula świsnęła jej tuż koło ucha.

– Wybacz! – odkrzyknęła Briar, przeładowując szybko i pakując kolejny nabój w największą cizbę nieumarłych. Puściła fartuch barmanki i była teraz zdana wyłącznie na siebie, Lucy wszakże nie miała zamiaru jej zostawiać.

Briar nacisnęła spust po raz kolejny, modląc się, by w magazynku były jeszcze naboje, nie zdążyła jednak wystrzelić. Lucy chwyciła ją w pasie i przeniosła nad ciałami dwóch zabitych zgnilasów, ale Briar poczuła, że coś łapie ją za rękę. Poczuła taki sam paniczny strach jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała charakterystyczny charkot wydobywający się z krtani ożywionego ciała.

– Złapali mnie! – wrzasnęła.

– Nie złapali! – zapewniła Lucy, puszczając ją i sięgając grubym jak armatnia lufa ramieniem ku pokrytej złuszczoną skórą pustej już czaszce.

Kości chrupnęły pod naciskiem stalowych palców, a Briar nagle zdała sobie sprawę, że nieumarły pochwycił ją zębami.

– Lucy! – jęknęła. – Lucy... on mnie chyba ugryzł!

– Później się temu przyjrzymy – wysapała barmanka. – Chwyć się fartucha, mała. Będę jeszcze potrzebowała tej ręki. Drugiej niestety nie mam.

Briar zrobiła, co jej kazała, i znów pobiegła za Lucy. Bardziej na wyczucie, bo nic właściwie nie widziała przed sobą. Barmanka używała mechanicznej ręki niczym tarana, roztrącając kolejnych zgnilasów jak machina napędzana silnikiem parowym.

Ulice miasta były mroczniejsze niż powierzchnia oceanu o północy, Briar drżała więc z obawy, że lada moment potkną się o jakąś przeszkodę i padną jak długie. Biegły bez przeszkód, póki z oddali nie dobiegło wołanie:

– Hej, moje panie! Tutaj!

– Odpalaj Stokrotkę – rozkazała Lucy. – Odpalaj, bo nas załatwią!

– Dopiero się rozgrzewa!

– Pieprzony złom! – prychnęła barmanka. – Jak ja nie cierpię tego durnego ustrojstwa. Nigdy nie działa, kiedy... – Zgniłaś wychynął z mroku, wyciągając łapska w kierunku jej piersi. Zdzieliła go w skroń. Padł



bezwładnie na chodnik. – ... go najbardziej potrzebujemy – dokończyła.

Były już tak blisko celu, że mężczyzna w pancerzu usłyszał nawet tak cicho wypowiedziane słowa.

– Działa bez zarzutu – odparł. – Odpalę ją za kilka sekund. Szanowne panie zatkają uszy!

Briar nie była pewna, czy może wykonać jego polecenie, ale gdy dotarło do niej ostrzegawcze buczenie, przypadła do barmanki, zakrywając lewą dłonią ucho, a prawą przytykając do głowy Lucy, która mając tylko jedną rękę, nie była w stanie osłonić się przed działaniem bomby sonicznej.

Sama wtuliła odsłonięte ucho w pierś towarzyszki niedoli.

Razem padły na ziemię, wtulając się w płyty chodnika, gdy nad nimi przetaczała się lala uderzeniowa. Wysuwające się w ich kierunku kościste łapy opadły, a kiedy największe natężenie dźwięku minęło, pozostawiając tylko dzwonienie w uszach, Swakhammer zaczął odliczać mechanicznie brzmiącym głosem.

Briar i Lucy stanęły chwiejnie na nogach. Obie były zdezorientowane, ale Lucy pozbierała się pierwsza.

– To chyba tam – powiedziała.

Rozległ się głośny trzask, potem huk i w pobliżu rozbłysło oślepiające czerwono-białe światło, które wydobyło z mroku panoramę ruin otaczających szeroką ulicę.

– Nie musimy ukrywać się już w mroku ani zachowywać ciszy –

stwierdził Swakhammer, podchodząc do nich z zapaloną flarą w dłoni. – Nic wam się nie stało?

– Chyba nie – odparła Lucy mimo wcześniejszej skargi Briar.

Swakhammer chwycił je za ręce i pociągnął za sobą. Szły chwiejnym krokiem, potykając się co rusz o nieumarłych leżących tam, gdzie powaliła ich fala dźwiękowa.

– To były... – Briar wdepnęła w coś miękkiego, ale zaraz uwolniła stopę – ... najdłuższe dwie przecznice... – poślizgnęła się na czymś wilgotnym i lepkim – ... w moim życiu.

– Co takiego?

– Nieważne.

– Uwaga na schody.

– Jakie znowu schody? – zdziwiła się Briar.

– Te. Uważaj. Schodzimy na dół.

Zobaczyła je, lecz tylko dlatego, że znalazły się pod jej stopami. Spod ziemi, z dołu schodów osłoniętych stosami worków wypełnionych czymś ciężkim i miękkim, może piaskiem, buchało jasne żółtawe światło. Briar szła, wykorzystując worki jako poręcz. Za to Lucy trzymała się środka schodów.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że z jej ręką jest coś nie tak. Nawet w półmroku i pomimo gorączkowych ruchów Briar dostrzegła, że coś po niej ścieka. Słyszała też dziwny klekot, jakby mechaniczne części się obluzowały.

Sama czuła silne pulsowanie w dłoni. Drżała też na samą myśl o zdjęciu rękawicy. Nie chciała tego oglądać, ale musiała sprawdzić, co jej zrobił ten nieumarły, i to naprawdę szybko. Jeśli żywy trup przegryzł się przez grubą skórę, nie zostało jej wiele czasu.

Potknęła się o coś na skrzypiących schodach i o mało nie spadła do sporego pomieszczenia na samym dole. Było w nim tak jasno, że po dłuższym pobycie w absolutnych ciemnościach na ulicy nie widziała nic prócz rozpalonego w kącie ognia, od którego bił nieznośny żar.

– Straciliśmy Hanka – powiedziała Lucy.

Swakhammer nie pytał o szczegóły. Sięgnął ręką do dźwigni zamontowanej obok podwójnych drzwi przypominających nieco te, które montowano w schronach przeciwburzowych. Masywne skrzydła zaczęły się zamykać, najpierw powoli, potem opadły z hukiem na swoje miejsce. Całą futrynę obklejono pasami nawoskowanego materiału, który zapewniał

szelność. Gdy Swakhammer się upewnił, że wszystko jest w porządku, podniósł z ziemi grubą kłodę i wsunął ją w klamry, blokując wejście od środka.

– Pozostali dotarli do celu? – zapytał.

– Mam nadzieję – odparła Lucy.

Briar zmrużyła oczy, powoli odzyskiwała wzrok. Tak, wszyscy pozostali bywalcy baru znajdowali się w tym pomieszczeniu, co razem z ludźmi będącymi tu wcześniej dawało piętnaście osób. Obok paleniska siedziało kilku szepczących pomiędzy sobą Chińczyków. Wszyscy mieli ręce złożone na piersiach.

W pierwszej chwili Briar zamarła ze strachu, sądząc, że wróciła w to samo miejsce, z którego uciekła tuż po wylądowaniu w mieście. Gdyby tak było, miałaby do czynienia z tymi samymi ludźmi, którym groziła wtedy sztucerem. Chwilę to trwało, ale w końcu dotarło do niej, że to raczej niemożliwe. Znajdowali się teraz zbyt daleko od dawnego targowiska i kotłowni, do której się dostała brudną żółtą rurą.

Węglowy pył unióś się z podłogi, gdy miechy obok paleniska zaczęły pompować czyste powietrze z innej rury, by wprowadzić je do podziemi, wydając charakterystyczne odgłosy ni to wdychania, ni dmuchania.

Z początku Briar nie widziała miechów ani rury, lecz wiedziała, że się nie myli. To pomieszczenie

przypominało kotłownię, do której wpadła, aczkolwiek miechy i paleniska wydawały się mniejsze, a mechanizmy obsługujące skomplikowaną maszynię wyglądały zupełnie inaczej.

Powiedziałyby nawet, że dziwnie znajomo.

Swakhammer zauważył, że przygląda się palenisku, i natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem.

– Druga połowa tej lokomotywy na nic by nam się tu nie zdała. Ktoś ją porzucił, potem zalała ją woda. Ściągnęliśmy ją tutaj i teraz służy nam za palenisko pod kotłem sprężającym parę. Nie ma w podziemiach bardziej wydajnego systemu.

Skinęła głową.

– Genialne – przyznała.

– Mnie tego nie mów. – Lucy przysiadła na blacie ciężkiego stołu ustawionego tuż obok drzwiczek paleniska. W bijącym od niego blasku przyglądała się ręce, której nie mogła już wystarczająco kontrolować.

Mechanizm zadrgał i oparł się o wierzch jej uda, gdy usiłowała obejrzeć uszkodzoną część. Cieniutki strumyczek oleju trysnął z pęknięcia, zalewając jej bluzkę.

– A niech to... – syknęła.

Varney, który nie odezwał się słowem, odkąd uciekli z baru, przysiadł

się do niej. Ujął mechaniczną rękę i obrócił ją, przyglądając się mechanizmom pod różnym kątem.

– Rozwaliłaś ją doszczętnie. Musi ci teraz nieźle ciążyć. I jak widzę, zgubiłaś gdzieś kuszę.

– Wiem – burknęła.

– Ale spokojna głowa, da się naprawić. Tu ją nadgryźli – pokazał. – I tutaj. Chyba zerwali też jedno z cięgieł. Naprawimy ją i będzie jak nowa.

– Tyle że nie dzisiaj – powiedziała, rozwierając dłoń, która natychmiast zwinęła się w pięć wbrew jej woli. – To musi poczekać. – Spojrzała na najbliższego z Azjatów i odezwała się do niego po chińsku.

Skinął głową i kucnąwszy, zniknął w jednym z niskich tuneli. Wrócił

chwilę później z pasem w rękę. Lucy odebrała go i natychmiast przekazała Varneyowi.

– Przywiąż mi ją mocno, kochany. Wolałabym nie poranić nikogo tej nocy. To znaczy nieumyślnie.

Gdy owijał ją pasem, by mechaniczna ręka przylegała cały czas do jej ciała, Lucy skinęła głową do Briar.

– Już czas, dziecko. Lepiej wcześniej niż później.

Swakhammer zdjął maskę i włożył ją sobie pod pachę.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Hank ją ugryzł. On albo któryś inny zgniłaś. W prawą dłoń. Musi zdjąć rękawicę, żebyśmy obejrzeliby ranę.

– Nie wiem, czy to był Hank, ale raczej nie przebił się przez rękawicę.

Na pewno zabołało, chociaż nie wiem...

– Zdejmuj ją! – rozkazał Swakhammer. – Natychmiast. Jeśli zęby przebiły skórę, każda minuta pogorszy sprawę. – Podeszedł do niej i wyciągnął rękę, sięgając po jej dłoń. Wyszarpnęła ją i przytuliła do piersi.

– Nie – poprosiła. – Nie rób tego. Sama ją zdejmę i sprawdzę.

– Dobrze, ale będę nalegał, żebyś mi pokazała ranę. – Jego twarz nie wyrażała gniewu ani złości, lecz nie zostawiał jej też wyboru. Pochylił się nad nią, rozkładając ręce, jakby kłaniał się przed przepuszczeniem jej w drzwiach. Otwartą dłonią wskazywał palenisko starej lokomotywy. Tam było najgoręcej, ale i najjaśniej.

– Dobrze – zgodziła się Briar. Podeszła tak blisko, jak tylko pozwalał

nieznośny żar, potem przykucnęła obok pokrytego sadzą stopnia i zdjęła kapelusz, a potem maskę. W końcu, pomagając sobie zębami, rozpięła mocowanie na nadgarstku i ściągnęła grubą rękawicę.

Spojrzała na wierzch dłoni i dostrzegła kolistą rzęd sinych krwiaków tuż poniżej najmniejszego palca. Przyjrzała im się dokładnie, zbliżywszy rękę do oczu i obracając ją powoli.

– I co? – zapytał Swakhammer, chwytając ją i pociągając w górę, żeby sprawdzić na własne oczy.

– Chyba jest w porządku – odparła. Nie wyrywała się. Spoglądała na niego, ponieważ chciała usłyszeć opinię kogoś, kto zna się na tym lepiej, nawet jeśli mocno się tego obawiała.

Wszyscy wstrzymali oddech – z wyjątkiem miechów. Wzdychały głośno, rytmicznie, a żółta rura pomiędzy nimi drgała przy każdej zmianie kierunku przepływu powietrza.

– Chyba rzeczywiście nic się nie stało – oświadczył Swakhammer po dłuższej chwili. – Miałaś sporo szczęścia. I cholernie dobre rękawice. –

Wypuścił w końcu powietrze wstrzymywane w potężnej klatce piersiowej i cofnął ręce.

– Tak, to doskonałe rękawice – przyznała. Tak mocno jej ulżyło, że nie potrafiła znaleźć innych słów. Przytuliła obolałą dłoń do piersi i opadła na stopień, aby dać odpocząć podkurczonym nogom.

Willard dołączył do Varneya, obaj siedzieli teraz obok Lucy.

– Szkoda Hanka – rzucił jakby od niechcienia. – Dlaczego go straciliśmy?

Nie zadał tego pytania łamiącym się głosem, nie było w nim wielkiego żalu, lecz nie zabrzmiało zbyt wesoło.

– Przez maskę – wyjaśniła Lucy. – Nie leżała za dobrze. Paski były poluzowane i nawdychał się za dużo Zguby.

– To musiało się stać – mruknął Willard.

– Cały czas mu to groziło. Ale był zbyt pijany, by się tym przejmować, no i się doigrał... Will, pomóż mi z maską, przyjacielu – zmieniła temat Lucy.

Obróciła głowę i spróbowała instynktownie poruszyć dłońią, która tylko zadrżała na jej mostku. – Pomóż mi ją zdjąć.

– Oczywiście – odparł. Sięgnął na tył jej głowy, rozpiął paski i zdjął

maskę z twarzy. Potem zajął się swoją. Wkrótce wszyscy mogli oddychać swobodnie.

Chińczycy wrócili w pobliże paleniska, skąd spokojnie obserwowali przybyłych wyjątkowo ciemnymi oczyma. Czekali, by pozwolono im wrócić do pracy. Swakhammer zrozumiał pierwszy, że zaczynają się niecierpliwić.

Musiał wyczytać to w gestach, ich twarze bowiem nadal pozostawały niewzruszone.

– Powinniśmy przejść dalej – powiedział. – Te miechy muszą popracować co najmniej dwie godziny, żeby oczyścić powietrze w podziemiach po wydarzeniach tej nocy.

Pochylił głowę, nie sposób jednak było stwierdzić, czy to tylko zdawkowe skinienie czy pełen szacunku ukłon, i rzucił kilka słów w ich języku. Wypowiadał je wolno i trochę niezdarnie, jakby parzyły go w usta, ale z reakcji Chińczyków Briar wywnioskowała, że dziękował za udzielenie schronienia bądź przeproszał za przeszkodzenie w pracy.

Szczupłolicy, odziani tylko w fartuchy Chińczycy docenili jego wysiłki. Uśmiechając się szeroko, kiwali mocno głowami, nie kryjąc zadowolenia, że obcy wreszcie wyniosą się z ich miejsca pracy.

Varney i Willard szli po obu stronach Lucy. Swakhamer prowadził

grupę, mając u swego boku Briar. Reszta – Frank, Ed, Allen, David, Squiddy, Joe, Mackie i Tim – wlekli się z tyłu. Szli w zbitej grupce, milcząc. Tylko Frank i Ed wspominali na głos Hanka.

– Gównno to wszystko warte, powiadam ci – narzekał Frank. – Gdzie tu sprawiedliwość? Powinniśmy pójść pod wejście na dworzec i ściągnąć Minnerichtowi stado zgnilasów pod frontowe drzwi.

– Można by się tam dostać przez chińską dzielnicę – wtórował mu Ed.

– Założę się, że by nas przepuścili. Na pewno by to zrobili, gdybyśmy im powiedzieli, po co tam idziemy.

– Ciekawe, czy ci lotnicy, którzy dokują przy forcie albo na wieży, nie zechcieliby zrobić małego zamieszania, gdyby ich o to poprosić? – rzucił

Frank.

– Dajcie spokój – poprosiła ich idąca przodem Lucy. – Nie wciągajcie innych w te swoje pijackie plany. Nikt się nie wybiera w pobliże stacji. Nikt nie będzie kusił losu, zgnilasów i doktorka. Nie potrzebujemy kolejnych problemów.

Sądząc po głosie, następnym narzekającym był Mackie.

– Ile jeszcze musimy się nacierpieć, zanim powiemy dość? – rzucił.

– Nieco więcej niż dzisiaj – zapewniła go Lucy, ale na tym skończyła reprimendę.

Mackie musiał mieć ostatnie słowo.

– Ciekaw jestem, co by pomyślał, gdyby zgnilasy zagryzły mu paru przyjaciół w jego własnym salonie. – Dodałby coś jeszcze, lecz barmanka się zatrzymała i tak długo patrzyła mu w oczy, aż zamilkł.

Korytarz o okrągłych ścianach poprzedzielany śluzami, których drzwi zamykały się z cichym sykiem, prowadził w dół, skręcając jednocześnie lekko w lewo.

– Czy to były Skarbce? – zapytała Briar.

– Niezupełnie – odparł Swakhammer. – Prawdę powiedziawszy, jest tu tylko jeden skarbiec, ale nazwa w liczbie mnogiej zakorzeniła się w naszym języku i tak już zostało. W tych korytarzach zazwyczaj nocują mieszkańcy najbliższych okolic. Powiedzmy, że to taka kamienica, tylko leżąca pod ziemią. Niewielu jednak tutaj mieszka. Zdecydowana większość wybrała domy na obrzeżach ogrodzonego terenu, na przykład takie jak te stare rezydencje na Denny Hills. Tylko one mają wystarczająco obszerne głębokie piwnice.

– To ma sens – przyznała.

– Tak, niemniej życie z dala od utartych ścieżek ma też swoje minusy.

Za każdym razem gdy ci czegoś zabraknie, musisz przebyć bardzo długą i niebezpieczną drogę. Wiesz dobrze, o czym mówię. Musieliśmy pokonać tylko dwie przecznice, a mimo to straciliśmy człowieka. Pomyśl, co się może wydarzyć, kiedy masz do przejścia osiem albo dziewięć razy tyle. A ci ludzie często to robią.

– Dlaczego?

– Tam się o wiele lepiej mieszka. Wiesz, o czym mówię? – Pochylił

się, by otworzyć obite metalem drzwi z niewielkim zabezpieczonym okienkiem. – Może nie jest tam najczyściej i nie do końca wygodnie, za to o wiele bezpieczniej.

– Myślałam, że tak właśnie miało być w barze U Maynarda.

Swakhammer machnął lekceważąco ręką.

– Tutaj mamy tych drani – stwierdził. Zakładała, że chodzi mu o Chińczyków. – Oni mają sytuację pod kontrolą. Wiedzą, co trzeba robić, jak zaczynają się kłopoty. Tak czy inaczej, oto twój pokój, pani Wilkes.

Wyciągnęła szyję, by zajrzeć do środka, i zobaczyła to, co jej obiecywał: dość czyste i całkiem przyzwoicie urządzone pomieszczenie z dwoma miejscami do spania, stołem i wanną. Były też trzy parujące rury biegnące wzdłuż ściany.

– Uważaj na nie – powiedział. – Dostarczają ciepło do pokoju, ale nie radzę ich dotykać, bo się poparzysz.

– Dzięki za ostrzeżenie.

– Briar, kochanie. – Lucy przepchnęła się na początek kolejki. Nie chciałabym ci się narzucać, mam jednak spory problem z tą uszkodzoną ręką.

Zazwyczaj nie potrzebuję niczyjej opieki, ale dzisiaj byłabym wdzięczna za poświęcenie mi odrobiny czasu.

– Oczywiście. My, dziewczyny, musimy się trzymać razem. – Kto jak kto, ale ona doskonale wiedziała, dlaczego kobieta może nie chcieć, by jej zastępcze ręce były męskie, nawet jeśli ich właściciel był dżentelmenem o najczystszych intencjach.

Wpuściła Lucy przodem, potem sama przysiadła na krawędzi łóżka. W

tym czasie Swakhammer dodał kolejne dość użyteczne wyjaśnienia.

– Na końcu tunelu znajdziesz wygodki, to te pomieszczenia po lewej.

Może nie wyglądają najlepiej i cuchnie w nich okropnie, ale tylko z nich można tutaj korzystać. Wodę trzymamy po przeciwnej stronie tunelu, w beczkach przy kotłowni obsługiwanej przez Chińczyków. Jeśli będziesz potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, Lucy z pewnością pomoże.

– Świetnie – rzuciła Briar, a kiedy się oddalił, prowadząc za sobą rząd pozostałych mężczyzn jak kaczka swoje pisklaki, zamknęła od środka drzwi i zasiadła na drugim łóżku.

Lucy przechyliła się już tak mocno, że jej głowa spoczywała na poduszce.

– Tak naprawdę nie potrzebuję zbyt wiele pomocy – stwierdziła. – Po prostu nie chciałam spędzić reszty nocy w towarzystwie tych marudnych facetów. Oferowali mi pomoc, ale nie wiem, czy byłabym w stanie ją przyjąć.

Briar skinęła głową. Rozwiązała sznurówki, zdjęła buty, potem usiadła obok barmanki, by uwolnić i jej stopy.

– Dzięki, kochanie, ale wolę, żeby buty zostały tam, gdzie są. Łatwiej nie ściągać butów, niż próbować je wcisnąć następnego ranka. A jutro czeka mnie naprawa tego ustrojstwa. – Poruszyła ramieniem, próbując podnieść mechaniczną rękę.

– Jak sobie życzysz – odparła Briar. – Czy mam coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Lucy się wyprostowała i przesunęła siedzeniem koc leżący na łóżku.

– Nie. Nic więcej mi nie potrzeba. A tak na marginesie, cieszę się, że nie straciłaś ręki. Człowiek bez niej nie jest już taki sam.

– Ja też się cieszę – odparła Briar. – Hank przemienił się tak szybko.

Dlaczego teraz trwa to tak krótko?

Lucy przekręciła głowę tam i z powrotem, moszcząc się na poduszce.

– Nie wiem na pewno, dlaczego tak się dzieje, mam jednak pewne podejrzenia. Zguba za murem gęstnieje z upływem czasu. Jeśli kiedyś spojrzę na niebo nocą, człowiek widział gwiazdy. Dzisiaj to praktycznie niemożliwe. Możesz zobaczyć księżyc, ale tylko w pełni i kiedy mocno świeci. Samej Zguby także nie widać, choć wiesz dobrze, że ona tu jest, wiesz również, że zbiera się za murem. Wiesz, co się stanie – dodała, przesuając się wyżej i opierając głowę na tyle wysoko, by wygodnie dalej rozmawiać – za jakiś czas.

– Nie. Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Ten mur jest jak ścianki misy. A każda misa w końcu się napelni. Z

tego co wiadomo, Zguba wydobywa się spod ziemi. A to oznacza, że jest jej tutaj coraz więcej. Gaz jest ciężki, więc trzyma się dna jak zupa. Któregoś dnia będzie go tu jednak za dużo. Przeleje się prosto na Przedmieścia. I kto wie, czy po pewnym czasie nie pochłonie reszty świata.

Briar wróciła na swoje łóżko i rozsznurowała gorset. Zebra ściskane przez tyle godzin zabolęły, zapiekły nawet, jakby żal im było utraty tej podpory. Pomasowała się po brzuchu i rzuciła:

– Czarno widzisz to wszystko. Ile czasu twoim zdaniem zostało do wypełnienia przestrzeni po wewnętrznej stronie muru?



– Sama nie wiem. Może sto lat. Albo tysiąc. Nie sposób przewidzieć.

My tutaj nauczyliśmy się z tym żyć. Nie jest łatwo, ale jak widzisz, dajemy jakoś radę. Któregoś dnia świat może potrzebować naszego doświadczenia w tej materii. Może przesadzam ze skalą kataklizmu, ale jeśli nawet do niego nie dojdzie, możesz być pewna jednego: Przedmieścia zostaną zalane, i to wcale w nie tak odległej przyszłości, a twoi ziomkowie dadzą wiele, żeby się dowiedzieć, jak przetrwać.

## ROZDZIAŁ 17

„Clementine” oderwał się od wieży z gracją uczącego się latać pisklęcia. Zeke poczuł, jak wymioty podchodzą mu już nie tylko do przełyku, ale i nieco dalej. Zdołał je jednak przełknąć i zacisnął dłonie mocniej na pętli, na której się kołysał jak wielki polec słońiny z załzawionymi oczami.

Wbił wzrok w wąską pętlę, starając się oderwać myśli od kwaśnego posmaku w ustach i wirującej masy wypełniającej mu żołądek. To zwykły pasek, zauważył. Ktoś przerzucił go przez uchwyt i zapiął, tworząc długą pętlę, za którą można było się złapać. Na mosiężnej sprzączce z ołowianą podlewką zauważył wygrawerowane litery: CSA.

Gdy statek powietrzny wykonywał kolejne ewolucje, mknąc nad ukrytymi pod warstwą Zguby ulicami, Zeke wrócił myślami do Rudiego.

Zastanawiał się, czy kulawy mężczyzna mógł być dezerterskim z armii Unii.

Potem jego myśli zdryfowały w kierunku wojny toczonej na wschodzie.

Naprowadził go na nie pas Konfederata, który służył teraz jako uchwyt na...

w jego głowie znów pojawiło się to słowo: na okręcie wojennym.

To dało mu tyle do myślenia, że w końcu zapomniał o posmaku w ustach piekącym nie gorzej niż rozpalona lawa.

Nad konsolą zauważył ciąg haków. Na podobnych wieszano zazwyczaj broń. Obok znajdowała się prostokątna skrzyneczka opatrzona napisem: AMUNICJA. W głębi kajuty widać było drugi wąż zamykany pokrętelem, niemal identyczny jak ten, którym wszedł na pokład. Zeke zakładał, że za nim powinna się znajdować ładownia tej jednostki. Ostatecznie do miejsca, gdzie przechowuje się towar, powinno prowadzić dobrze zabezpieczone wejście, ale nie rozumiał, dlaczego musi być uszczelnione takim mechanizmem. Dziwiło go także opancerzenie pokładu i ścian wokół

tamtego włazu.

– O Boże – wyszeptał pod nosem. – O Boże. – Po czym skulił się najmocniej, jak tylko potrafił, i wtulił w załom stalowej burty.

– Nadlatują od sterburty! – wrzasnął Guise.

– Uniki! – Nie wiadomo, czy te słowa Parksa były rozkazem czy raczej informacją dla pozostałych członków załogi. W każdym razie kapitan zdążył

już rozpocząć kolejny gwałtowny zwrot.

Brink uwiesił się na aparaturze nad swoją głową i nerwowo pociągał za kolejne rączki zwisające z sufitu. Gdy szarpnął dźwignię pod trapezowatym urządzeniem, od strony zbiorników gazu dobiegło głośne buczenie, które zaczęło się przeradzać w pisk.

– Przegrzewamy się! – ostrzegł Parks.

– A kogo to obchodzi? – burknął w odpowiedzi kapitan.

Przez szerokie okno zajmujące niemal cały przód półkolistej sterówki Zeke widział widmowy kształt innego statku powietrznego, o wiele mniejszego od „Clementine”, który szedł na nich kursem kolizyjnym.

– Pójdą w górę... – mamrotał pod nosem Guise. – Muszą pójść w górę.

– Nie zamierzają iść w górę! – rozdarł się nagle Parks.

– Już za późno! – zawołał kapitan.

– Dlaczego nie wykonaliśmy tego uniku? – zapytał z wyraźnym przekąsem pierwszy oficer.

– Nie potrafię obsługiwać tych cholernych dysz... – Kapitan zrezygnował z dalszych tłumaczeń i walnął łokciem w wielki jak jego pięść czerwony przycisk.

„Clementine” wystrzelił w górę niczym przerażony jeleń, rzucając wszystko i wszystkich na pokładzie w tył, potem na boki i w końcu do góry.

Niestety, nie zdołali umknąć przed prześladowcą. Drugi statek walnął w nich mocno. Zderzeniu w przestworzach towarzyszył przeraźliwy zgrzyt giętego metalu i rozrywanego poszycia. Zeke miał przy tym wrażenie, że zęby wibrują mu tak mocno, iż lada moment powypadają z dziąseł. Na szczęście cudownym zrządzeniem losu wszystkie pozostały na miejscu. Kilka sekund później okręt Brinka wyrównał lot. Zdawać się mogło, że umknął z pułapki.

– Wzbiliśmy się! – oznajmił kapitan. – Widzicie ich gdzieś? Gdzie się podziali?

Wszyscy wbili spojrzenia w przeszklone okna, nerwowo wypatrując śladu napastników.

– Nigdzie ich nie widać – stwierdził w końcu Parks.

– Przecież nie mogliśmy ich ot, tak po prostu zgubić – ripostował

Guise.

Pierwszy oficer przełknął najpierw ślinę, by się nieco uspokoić, a potem odparł:

– Ścigają nas znacznie mniejszą jednostką. Może wcale im nie zależało na uderzeniu w nas. Może ich statek nie był w stanie przetrzymać takiego zderzenia.

Zeke nie potrafił rozprostować zaciśniętych do bólu palców, nie mógł

więc puścić pasa, którego był uczepiony, lecz i on wyciągał szyję, by wyrzeć na zewnątrz.

Wstrzymywał przy tym oddech, inaczej bowiem nie mógł go uspokoić. Nie był nigdy najpobożniejszym chłopcem, tak samo jak jego matka nie należała do kobiet przesiadujących w kościele, ale od kilku chwil modlił się żarliwie i na okrągło, by jednostka, którą właśnie zgubili, już nigdy więcej nie pojawiła się w ich polu widzenia.

Stracił jednak resztki nadziei, gdy usłyszał kolejne utyskiwania Parksa.

– Nie, nie, nie, nie, nie!

– Gdzie?

– Poniżej!

– Gdzie? Nic nie widzę! – denerwował się kapitan.

Kolejny potężny cios zachwiał kadłubem „Clementine”. Pasek, na którym wisiał Zeke, zerwał się i chłopak runął jak długi na podłogę.

Kołysanie gondoli posłało go najpierw prosto na burzę, potem znów na środek pokładu sterówki. Podniósł się szybko i na czworaka próbował się przedostać w pobliże grodzi. Przechylił statku rzucił go na wzmocniony właz do ładowni. Uchwycił się z całych sił pokrętła i zawisł na nim.

Gdzieś pod pokładem rozległ się jęk giętej płyty poszycia. Moment później puściła z głośnym trzaskiem. Nity wystrzeliły z niej niczym seria karabinowych pocisków. Kilka z nich musiało trafić w dyszę, zaczęła bowiem wydawać naprawdę dziwne dźwięki.

Za przednią szybą sterówki widać było skłębiony tuman Zguby. Zeke dopiero po chwili zrozumiał, co to oznacza. Pikowali prosto w zabójczy gaz, aby rozbić się o to, co kryła gęsta żółtawa zawiesina.

– Zaraz się rozbijemy! – wrzasnął, ale nikt go nie słuchał.

Załoga przekrzykiwała się wzajemnie, skupiając całą uwagę na kolejnych komendach, nic więc dziwnego, że zlekceważyła piskliwy krzyk dziecka.

– Lewa dysza!

– Wyłączona albo uszkodzona, albo... cholera wie co z nią! Nie potrafię znaleźć panelu stabilizatora.

– Ten idiota mógł go nie zamontować. Pełna moc prawej, hamulce powietrzne. Jezu Chryste, jeśli nie

wyprowadzimy tego złomu teraz, nie będziemy mieli na to czasu.

– Nadlatują znowu!

– Czy oni całkiem poszaleli? Zabiją nas, jeśli strącą ten statek!

– Wątpię, aby ich to obchodziło...

– Spróbuj ten pedał. Nie ten, tamten! Kopnij go, ciśnij ile wlezie...

– Nie działa!

– Podnosimy dziób...

– Za wolno!

Zeke zacisnął powieki. Czuł niemalże, jak pęd upadku wciska mu oczy w czaszkę.

– Zginę tutaj albo na ziemi, kiedy ten statek się o nią roztrzaska. Nie tego chciałem... – mamrotał do siebie, jako że nikt inny nie chciał go słyszeć.

– Nie tego chciałem. O Boże.

Dno gondoli otarło się o coś twardego, ale raczej zrobionego z cegieł

niż z metalu. Z dołu dobiegał rumor walącej się ściany i łomot gruzu spadającego na bruk.

– W co uderzyliśmy? – zapytał Parks.

– W mur.

– Ten otaczający miasto?

– Nie wiem!

Pozbawiony kontroli statek kręcił się w kółko, uderzając o kolejne twarde i ostre konstrukcje, co pozwoliło mu wytracić pęd, a nawet wznieść się ponownie. Zmiana kierunku była tak gwałtowna, że Zeke poczuł w ustach kolejną falę żółci. Zapluł sobie przy tym wizjerzy maski.

Moment później „Clementine” zamarła, szarpnąwszy się zupełnie jak pies, gdy mu się smycz skończy. Zeke puścił pokrętło i padł twarzą na pokład.

– Mają nas na uwięzi – burknął ponuro kapitan. – A niech to szlag, dopadli nas.

Ktoś nastąpił Ezekielowi na rękę. Chłopak jęknął, lecz nie miał czasu na zbędne żale. Słyszał już rytmiczne stukanie do włazu w burcie.

Ktokolwiek się do niego dobijał, był wielki i bezgranicznie wściekły. Zeke odczołgał się szybko do

swojego schronienia przy władze do ładowni.

Przywarł do pokrętła, obserwując, jak kapitan i jego ludzie dobywają pistoletów i noży. Wszyscy opuścili swoje stanowiska na zabezpieczonych pasami fotelach. Początkowo starali się zapobiec otwarciu włazu, który uszkodzony już przy pierwszym uderzeniu o Wieżę Smitha, ledwie się trzymał na zawiasach. Napinali ramiona i zapierali się nogami, niemniej przeciwnicy po drugiej stronie byli albo silniejsi, albo bardziej zdeterminowani. Pokrywa włazu odsuwała się cal po calu.

Zeke nie miał gdzie iść, nikt też nie liczył na jego pomoc. Przyglądał

się więc w niemym podziwieniu, jak z jednej strony w szparę wsuwa się potężna czarnoskóra dłoń, a z drugiej jej mocno otłuszczony biały odpowiednik. Ręka Murzyna pochwyciła Parksa za włosy i walnęła jego głową o kołnierz grodzi.

Pierwszy oficer nie stracił jednak przytomności i zdążył ciąć nożem, zanim zniknęła za stalową przegrodą, rosząc ją krwią, ale tylko po to, by pojawić się znowu kilka sekund później – tym razem z długim nożem.

Większa dłoń po drugiej stronie włazu mogła należeć do giganta lub nawet tego niesamowitego zwierza zwanego gorylem, którego Zeke widział

kiedyś w cyrku. Nie była pokryta sierścią, na pewno jednak była najdłuższa, jaką udało mu się zobaczyć w swoim niezbyt długim życiu. Wzdrygnął się na myśl o rozmiarach człowieka, do którego należała.

Wielgachna łapa opadła niżej, pochwyciła najbliższy but i pociągnęła mocno. Guise runął jak długi i zaczął wierzgać obiema nogami, kopiąc we wszystko, w gródź, rękę i właz. Olbrzym wycofał się, choć znowu tylko na moment. Gdy wsunął dłoń po raz drugi, trzymał w niej rewolwer. Wypalił z niego, dziurawiąc kulą stopę leżącego wciąż pirata. Ale na tym nie koniec.

Pocisk przebił się przez wierzch buta, wyrył sporą bruzdę w udzie nieszczęśnika, a potem zagłębił w jego miękkim przedramieniu. Grubas zawył i zaczął strzelać ze swojej broni w kierunku włazu, ręki napastnika i wszystkiego, co znalazło się przed lufą.

Niestety, kula nie mogła przebić grubej płyty ze stali, a i dłoń napastnika nie została uszkodzona.

Właz odchylił się o kolejne pół stopy. Poddawał się sile napierających na niego mężczyzn. Kapitan widząc to, opuścił posturunek obok kryzy i podbiegł do miejsca, gdzie Zeke wpijał się w pokrętło blokujące drzwi do ładowni. Kopniakiem odpędził chłopaka, nabijając mu przy okazji sporego sińca na żebrach i obijając boleśnie nogę.

– Brońcie wejścia! – rozkazał.

Jego oficerowie robili, co mogli, ale Guise wciąż paskudnie krwawił, a Parks miał na czole wielkiego guza o barwie zgniłego owocu. Indiańscy bracia zastąpili ich, zapierając się z całych sił o środkową część stalowej płyty wypychanej przez bezwzględnych napastników.

Dowódca otworzył tymczasem wyjście awaryjne, które sądząc po pisku zawiasów, od dawna nie było używane. Zeke widział na własne oczy, jak kapitan wychyla się pod pokład, chwytając czegoś, a potem, jak nie przymierzając pajak, wypelza na zewnątrz przez prostokątny otwór wypełniony kłębowiskiem Zguby. Słyszał łomot butów i kolan po zewnętrznej stronie poszycia, gdy pirat gramolił się w górę w poszukiwaniu haków abordażowych, które mógłby odciąć albo wyrwać gołymi rękami.

Zeke nie potrafił sobie wyobrazić, by ktoś mógł wyjść na zewnątrz statku lecącego nie wiadomo jak wysoko i wspinać się po jego poszyciu bez żadnego zabezpieczenia i gwarancji, że nie spadnie na coś wystarczająco miękkiego. Niemniej słyszał dźwięczne uderzenia na burcie i dachu gondoli wszędzie tam, gdzie trafiały okute buty i dłonie kapitana.

– Co on wyprawia? – wściekał się Parks, lecz Zeke ledwie rozumiał

jego słowa. W uszach wciąż mu dzwoniło po niedawnej wymianie ognia w niewielkiej zamkniętej przestrzeni.

– Zajął się hakami – odparł Guise pomiędzy spazmami bólu. Oparł się plecami o właz, pomagając braciom, i jednocześnie usiłował zacisnąć opaskę blokującą krwawienie. – Odcina je.

Zeke chciał im pomóc, lecz nie wiedział, co mógłby zrobić. Miał też szczerą ochotę dać nogę, ale stąd nie było ucieczki, chyba żeby się zdecydował na skok prosto w Zgubę, co by oznaczało upadek z wysokości na ziemię, najprawdopodobniej zakończony bolesną śmiercią.

Obok Guise'a leżał na pokładzie wielki nóż Bowie. Zbyt daleko jednak, by ktokolwiek z obrońców mógł go dosięgnąć. Zeke rozciągnął się na podłodze i zagarnął go stopą. Kiedy się zorientował, że nikt nie protestuje, szybko go chwycił i przycisnął do piersi.

Moment później usłyszał dźwięk przypominający otwieranie denka puszek i „Clementine” zakołysała się mocniej. Właz, który oddzielał wnętrze sterowni od atakujących ją ludzi, zatrzasnął się ponownie. Gdy oba statki się rozdzieliły, atakujący stracili możliwość napierania na niego.

– Załatwione! – wrzasnął Brink, aczkolwiek w środku ledwie go było słychać.

Członkowie załogi odetchnęli z ulgą. Ktoś mógł spaść podczas dość raptownego rozdzielenia latających machin, ale tego Zeke mógł się jedynie domyślać.

Powyginany właz nie pasował już do kryzy, ostatni z naruszonych podczas walki zawiasów poddał się właśnie z cichym jękiem i masywna płyta metalu poleciała w dół ku niewidocznemu miastu.

Wszyscy zastygli, w milczeniu odliczając sekundy dzielące moment wypadnięcia włazu od uderzenia o ziemię. Zeke doliczył do czterech, zanim z dołu dobiegło echo zderzenia metalu z ulicznym brukiem. Na razie byli wysoko. Nawet bardzo wysoko.

Kapitan wślizgnął się do sterówki przez wyjście awaryjne. Zamknął je dokładnie i pognał na fotel pilota. Nie zważał na niestabilny lot ani na to, że utracili drzwi oddzielające ich od zabójczej cuchnącej atmosfery.

– Wynosimy się stąd – zakomenderował, ciężko dysząc z wyczerpania.

– Natychmiast. Jeśli nie pokonamy muru, jesteśmy załatwieni.

Parks pochylił się nad bezwładnym ciałem Guise'a, wyjął mu z dłoni dźwignię, a potem wysunął nad leżącym nogę, by nacisnąć na jakiś pedał.

Chyba nie trafił na właściwy, a może wręcz przeciwnie. W każdym razie

„Clementine” wierzgnęła, wznosząc się w górę i odrzucając Zeke'a od jego bezpiecznej przystani, jaką było pokrętko na drugim włazie.

Chłopak przetoczył się, wyleciał w powietrze i pomknął prosto na niezabezpieczony otwór w burcie. Nie puszczając noża, wyciągnął ręce, by chwycić się krawędzi kołnierza uszczelniającego, zawiasu bądź innej wystającej części. Teraz gdy statek wznosił się pod takim kątem, nikt nie mógł mu podać pomocnej dłoni. Rozpołowiony zawias był zbyt ostry, by chłopak mógł go pochwycić, dłoń zetknęła się z gołym metalem, który rozciął rękawicę i ciało. Zeke zawisł na moment, w połowie leżąc wewnątrz statku, a w połowie wisząc za burką, lecz ból w ręce był zbyt wielki.

Puścił się i wyleciał w przestrzeń.

Walnął o coś naprawdę twardego o wiele wcześniej, niż się spodziewał.

Moment później pochwyciła go wielka dłoń, którą widział wcześniej w szczelinie między burką a włazem. Uścisk był niewiarygodnie mocny. Zeke czuł się, jakby wkręcono mu bark w stolarskie imadło.

Wpadłem jak z deszczu pod rynnę, pomyślał w panice.

Nie potrafił się zdecydować, czy ma walczyć czy też poddać się od razu, ale jego ciało zadziało instynktownie, chociaż pod nogami miał

wyłącznie bezmiar oparów Zguby. Zaczął się szarpać i wić jak szalony, byle tylko wysmyknąć się z palców olbrzyma.

– Ty głupi szczyłu! – zagrzemiał mu nad uchem głos pasujący mocą do rozmiarów dłoni. – Naprawdę chcesz, żebym cię puścił?

Zeke burknął coś w odpowiedzi, nikt go jednak nie słuchał. Wielkolud uniósł go i wciągnął na pokład drugiego sterowca. Chłopak starał się nie oddychać zbyt mocno, żeby nie wciągać do płuc wymiocin, którymi zapaskudził jakiś czas temu wizjer maski. Wisiał w powietrzu przed najwyższym człowiekiem, jakiego w życiu widział albo o jakim słyszał. Ten gigant musiał przykucnąć, by zmieścić się w otworze prowadzącym na pokład statku. Właz nie otwierał się na zawiasach – przesuвано go po specjalnych szynach umieszczonych na burcie i na pokładzie. Mężczyzna miał

na twarzy dopasowaną maskę, bez wystających na zewnątrz urządzeń filtrujących. Wyglądał w niej jak łysy pies o długim pysku.

Zza jego pleców dobiegały rozgniewane głosy.

- Uwolnił się. Ten suczy pomiot własnoręcznie odciął haki!
- Przecież wiedzieliście, że ten złodziej to cholernie szczywany lis.
- Udało mu się podnieść tego dziwnego ptaszka! Właśnie teraz!

Mój okręt oddala się z każdą chwilą, aleja go nie stracę! Słyszycie? Nie stracę mojego okrętu!

Wielkolud zostawił na moment wierzgającego chłopca i rzucił przez ramię:

- Już straciłeś swój cholerny statek, Hainey. Pogódź się z tym. Cały czas próbujemy go odzyskać. I spróbujemy raz jeszcze za chwilę.
- Dlaczego za chwilę, a nie teraz? – upierał się mówiący z głębi kabiny.
- Teraz nic nie możemy zrobić – odpowiedział mu inny głos, wysoki. –

Ledwie lecimy, durniu.

- Lepiej wnieśmy się wyżej!
- Przecież się nie wznosimy. Opadamy.

Zza ramienia masywnego niczym górską przełęcz dobiegły kolejne słowa:

- Rodimer ma rację. Mamy uszkodzony statek i tracimy wysokość.

Albo usiądziemy awaryjnie, albo się rozbijemy.

- Chcę odzyskać statek, słyszysz, Cly?
- Przede wszystkim nie powinieneś pozwolić, by ci go ktoś ukradł, Crogg. Ale chyba wiem, dokąd oni zmierzają. – Spojrzał znów na Ezekiela trzymanego wciąż nad wirującą w dole zawieszoną, która zalewała ledwie widoczne w dole miasto. – Nieprawdaż?
- Nie – warknął chłopak. Zabrzmiało to, jakby się dąsał, lecz tak naprawdę chodziło tylko o to, że dławił się, trzymany tak dziwnie, nie mając możliwości zaczerpnięcia tchu przez zarzygane filtry.
- Nie wiem, gdzie oni lecą.

- Śpiewasz nie tę piosenkę, którą chcielibyśmy usłyszeć – stwierdził

wielkolud, poruszając nadgarstkiem, jakby zamierzał poluzować chwyt.

- Nie! – zawołał chłopak. – Proszę. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie oni lecą!
- Jak to możliwe, skoro jesteś członkiem załogi?



– Nie jestem. Mieli mnie wywieźć z miasta! Naprawdę. Proszę mnie puścić! Ale w środku statku! Proszę! Robi mi pan krzywdę. Ręka mnie boli.

– I powinna. To nie masaż leczniczy ani naciąganie stawów – rzucił

mężczyzna, lecz już znacznie łagodniejszym tonem. Wniósł Zeke’a do kabiny z taką łatwością, jakby prznosił kota z kosza do kosza. Cały czas patrzył jednak na niego dziwnie.

Wymierzył długi jak nóż kuchenny palec prosto między oczy Ezekuela i powiedział:

– Nawet nie drgnij, jeśli ci życie miłe.

– Zastrzel gnojka, jeśli nie zechce gadać – poradził właściciel najbardziej poirytowanego głosu.

– Zamknij paszczę, Crog. Za kilka minut wyśpiewa wszystko, co wie.

Teraz musimy się zająć posadzeniem tego ptaszka, zanim sam rąbnie o ziemię. – Zasunął włącznik i zasiadł na wielgachnym fotelu przed szybą imponujących rozmiarów. Obejrzał się na Zeke’a i dodał:

– Ja nie żartowałem, chłoptasiu. Widziałem, jak rzuciłeś nóż, ale jeśli ukryłeś jeszcze jakąś broń, to marnie będzie z tobą. Za kilka minut dokończymy rozmowę.

Ezekiel przykucnął na podłodze. Zaczął rozmasowywać obolałe ramię i rozciągać mięśnie karku.

– Nie mam pojęcia, gdzie lecą – zapewnił olbrzyma. – Wsiadłem na pokład tamtego sterowca nie dalej jak godzinę temu. Nie wiem o nich nic.

Biorąc pod uwagę umiejscowienie fotela oraz to, że przemawiał w imieniu pozostałych członków załogi, Zeke uznał, iż ma do czynienia z kapitanem jednostki.

– Doprawdy? – zdziwił się wielkolud. – Popilnuj go, Fang.

Z cienia wysunął się szczupły mężczyzna, którego Ezekiel do tej pory nie zauważył. Był Chińczykiem. Miał na twarzy maskę przeciwgazową i pilotkę z wycięciem na spory warkocz, oraz prostą mandaryńską bluzę, tak charakterystyczną dla jego ziomków. Zeke przełknął głośno ślinę. Po części z poczucia winy, po części ze strachu.

– Fang? – zapytał piskliwie.

Chińczyk nie skinął głową, nie drgnął też ani nie mrugnął okiem. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy statek zanurkował w kierunku ziemi.

Wydawać się mogło, że jego stopy wrosły w deski pokładu. Utrzymawał

pion i spokój jak woda wypełniająca przechyloną wazę.

– Ja tylko chciałem opuścić to miasto – mruczał Zeke do siebie, ponieważ nikt nie chciał go słuchać.

– Ja tylko...

– Trzymajcie się – ostrzegł raczej, niż rozkazał kapitan.

To była dobra rada, ponieważ zaczęli opadać po coraz ciaśniejszej spirali.

– Wsiadły hamulce powietrzne – zameldował ktoś z załogi z wymuszonym spokojem.

– W ogóle nie działają? – zapytał wielkolud.

– Nie, ale...

Sterowiec otarł się o ścianę budynku, wydając koszmarny zgrzyt rozrywanego metalu. Zeke słyszał trzask kolejnych szyb, które pękały pod naporem przesuwającej się w dół masy.

– Zatem kompensujcie dyszami.

– Nie mam kontroli nad prawą.

– No to wkręcimy się w ziemię jak nie przymierzając korkociąg.

Wykonać!

Do uszu chłopaka dotarł ogłuszający ryk. Chciałby się czegoś chwycić, ale nie widział niczego stosownego. Przywarł więc do pokładu, rozkładając szeroko ręce i próbując znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Udało mu się przy okazji kopnąć Fanga, który stał tam, gdzie mu kazano, lekceważąc ostrzeżenie kapitana.

– Schodzimy, chłopaki – poinformował spokojnie wielkolud.

– Dwa razy jednego dnia! – zachnął się czarnoskóry mężczyzna w granatowej bluzie, zdaje się, że Crog. – A niech mnie!

– Gdybym wiedział, że jesteś takim szczęściarzem, nie proponowałbym ci podwózki – zapewnił go kapitan.

Ziemia zbliżała się błyskawicznie. Po każdym niekontrolowanym obrocie przed szybą pojawiał się ten sam punkt miasta, tylko znacznie lepiej widoczny, co zwiastowało rychłe, ale i twarde lądowanie.

– Gdzie ten fort? – denerwował się olbrzym. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nutka niepokoju, a kto wie, czy nawet nie strachu.

– Na szóstej.

– Od czego licząc? Gdzie?

– Tam.

– Widzę – przyznał nagle i pociągnął dźwignię nad swoją głową. –

Mam nadzieję, że nikogo tam nie ma.

– Jeśli ktoś był, już dawno usłyszał, że nadlatujemy – odparł człowiek siedzący w fotelu pierwszego oficera. – Jeśli nie zdążył zwać do tej pory, sam sobie jest winien. – Dodałby coś jeszcze, lecz w tym właśnie momencie statek zadarł ostro dziób, zwalniając mocno i nieomal wywijając koziółka. Po tym manewrze przez przednią szybę widać było wyłącznie zasnutą Zgubą niebo.

Zeke był pewien, że znów zwymiotuje, i pewnie zrobiłby to, gdyby miał więcej czasu. Dno gondoli otarło się o ziemię. Uderzenie było na tyle mocne, że mało brakowało, a sterowiec odbiłby się od niej. Niestety, ugrzązł

na dobre i rozorał ziemię na przestrzeni kilkudziesięciu jardów, zanim zdołał

się zatrzymać w jakimś kompleksie budowli.

Gdy świat przestał w końcu drżeć, a gondola zamarła w miejscu mocno przechylona na jedną burtę, Zeke wstał niezdarnie i chwycił się za głowę.

Coś mokrego poczuł przez rękawicę, bez patrzenia wiedział, że to krew. Wyczuwał spore rozcięcie na skórze, głębokie i poszarpane. Zdawał

sobie sprawę, że musi wyglądać okropnie. Być może zabić się podczas tego awaryjnego lądowania, rozbijając czaszkę o gródź, właz czy w co tam nią trafił podczas tego szalonego szusu. Czy to właśnie powiedzą jego matce? Ze jej syn zginął podczas katastrofy statku powietrznego gdzieś na terenie miasta za murem, gdzie pod żadnym pozorem nie powinno go być?

Starał się porzucić tę myśl, ale przejmujący ból nie pozwolił na to.

Stopy odmówiły mu posłuszeństwa, nie chciały się opierać o deski pokładu.

Zatoczył się z jedną ręką przyciśniętą do rany i drugą wyciągniętą dla złapania równowagi, a może szukając wyjścia.

Statek zatrzymał się z poważnym przechylem na lewą burtę. Właz, którym Zeke dostał się do sterowni, został niemal całkowicie zniszczony. A to oznaczało, że wszyscy są uwięzieni w tej kabynie.

Tak sądził do chwili, gdy prostokątna kłapa w podłodze otworzyła się z głośnym trzaskiem.

## ROZDZIAŁ 18

Uśmiech powoli zniknął z twarzy Lucy.

– Czy mogę ci zadać pytanie?

– Oczywiście – odparła Briar, wysuwając obolałą dłoń spod zakurzonej kołdry. Pościel pachniała czystością, ale i... starością, jakby przeleżała długi czas w szafie i rzadko była używana. – O ile

pozwołisz mi potem też o coś zapytać.

– Nie ma sprawy. – Barmanka poczekała, aż ucichnie gulgotanie w rurach, a potem zaczęła mówić, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wiem, czy Jeremiasz wspominał ci, że mamy tutaj pewnego człowieka, zwiemy go doktorem Minnerichem, aczkolwiek nie potrafię powiedzieć, czy to jego prawdziwe nazwisko czy przybrane. To on skonstruował mi tę rękę.

– Swakhammer wspominał mi o nim.

Lucy ułożyła się wygodniej, głębiej wpełzając pod koc, a potem podjęła temat.

– Tak, nasz doktor to naukowiec. Wynalazca, który pojawił się za murem wkrótce po katastrofie. Nie mamy pojęcia, skąd przybył, nie wiemy też, co z nim jest nie tak. Zawsze nosi maskę, nawet w podziemiach, gdzie powietrze jest czyste, dlatego nikt nie potrafi opisać jego twarzy. Ale to naprawdę łebski człowiek. Specjalizuje się w takich właśnie mechanizmach.

– Wskazała na swoje ramię.

– Albo w takich jak Stokrotka.

– Tak, to też jego specjalność. Dziwny z niego człowiek. Potrafi zrobić coś z niczego, co go wyróżnia spośród ludzi, których znam – stwierdziła, zaraz jednak dodała: – Oprócz jednej osoby, rzecz jasna. – Co sugerowało, że zaraz padnie pytanie, na które Briar wolałaby nie odpowiadać.

– Do czego zmierzasz, Lucy? – uprzedziła je więc, obracając się na bok i podpierając na łokciu.

– Och, dajże spokój. Nie jesteś aż tak nierozgarnięta. Nie zastanawiałaś się jeszcze nad tą kwestią?

– Nie.

– Nic a nic? Cholernie wiele tu zadziwiających zbiegów okoliczności.

Ludzie zbyt dużo mówią, żeby to było...

– To nie on – przerwała jej Briar. – Daję słowo.

Barmanka przymknęła oczy, lecz nie ze zmęczenia. Wyraz jej twarzy sugerował raczej rozbawienie, co dodatkowo rozżłościło jej towarzyszkę.

– Odważne słowa, zwłaszcza jak na kobietę, która nie miała okazji rzucić okiem na naszego straszliwego doktora.

Briar zamierzała oświadczyć wprost: „Nie muszę go oglądać”, spojrzała jednak w pytające oczy Lucy i powiedziała wolno, cedząc słowa:

– Nie wiem, kim jest doktor Minnericht, ale to z pewnością nie Leviticus. Mój mąż był nieco szalony, przyznaję, jednego natomiast jestem pewna: szaleństwo nie przeszkodziłoby mu przyjść po mnie,

zwłaszcza że miał na to tak wiele lat. A jeśli nie po mnie, to z pewnością po Ezekiela.

– Tak bardzo cię kochał?

– Kochał? Nie. Tutaj nie chodzi o miłość. Raczej o posiadanie. Byłam po prostu kolejną rzeczą, która należała do niego, i to na papierze. A Zeke należy do niego poprzez pokrewieństwo. Nie. – Pokręciła głową i opuściła ją na poduszkę z pierza. – On nigdy by nie odpuścił. Przyszedłby po nas, czybyśmy tego chcieli czy nie.

Lucy przetrawiła jej odpowiedź, Briar wszakże nie potrafiła wyczytać z jej twarzy, do jakich wniosków doszła.

– Domyślam się, że znałaś go lepiej niż inni.

– To prawda – przyznała obecna pani Wilkes. – Choć czasami wydaje mi się, że w ogóle go nie znałam. Czasami tak bywa. Ludzie potrafią zwodzić. A ja byłam bardzo naiwna, więc nie miał z tym problemu.

– Byłaś jeszcze dzieckiem.

– A jaka to różnica? Rezultat jest ten sam. Teraz pora na moje pytanie.

– Wal śmiało – zachęciła ją Lucy.

– Dobrze. Nic musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

– Jak sobie życzysz, niemniej uprzedzam: nie ma takiego pytania, które by mnie zawstydziło.

– Świetnie, ponieważ skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie interesuje mnie kwestia twoich rąk. Jak je straciłaś?

Lucy znowu się uśmiechnęła.

– Powiem ci. Zresztą żadna to tajemnica. Prawą straciłam w czasie ewakuacji, kiedy wszyscy uciekaliśmy stąd, żeby nie zginąć albo się nie przemienić. Mieszkałam po drugiej stronie miasta, bliżej wysypiska niż tego miłego pagórka, na którym stał twój dom. Z mężem, Charliem, prowadziłam lokal odwiedzany głównie przez mężczyzn. Zaglądały tam stare wilki morskie i rybacy w natartych tłuszczem pelerynach, a i wędrowni handlarze obwieszani pobrzękującymi rondlami nie należeli do rzadkości... Wpadali do nas, by coś zjeść. Wybacz, powinnam to zaznaczyć na samym początku, to nie był, broń Boże, żaden dom schadzek. Byliśmy właścicielami knajpki o połowę mniejszej i skromniejszej, niż bar U Maynarda. Nazwaliśmy ją Pod Rozpieszczoną Foczka. Podawaliśmy głównie piwo i inne trunki, do tego ryby gotowane albo pieczone z Chlebem. To był nasz własny interes, mój i Charliego, może nie doskonały, ale nam pasował. – Odchrząknęła, aby przeczyścić gardło. – I szesnaście lat temu ze wzgórza nadjechała ta piekielna machina, ryjąc tunel pod fundamentami miasta. Tę część historii sama znasz.

Wiesz też zapewne, i to lepiej niż ktokolwiek inny, że Zguba pojawiła się w Seattle za sprawą

Kościotrzepa.

– Nie wiem, Lucy – zapewniła ją Briar najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Nikt tego nie wie.

– Minnericht uważa, że wie – odparła barmanka, na moment odbiegając od tematu. – Sądzi, że Zguba ma coś wspólnego z górami.

Twierdzi, że Mount Rainier to wulkan, a wulkany wyrzucają trujące gazy. A jeśli nie mogą tego zrobić, trucizna gromadzi się w ich wnętrzu. Dopóki coś tam się nie dokopie i nie uwolni jej.

Briar uznała, że to teoria równie dobra jak każda inna.

– Wprawdzie nie wiem za wiele o wulkanach – stwierdziła – ale brzmi to dość wiarygodnie.

– Czy ja wiem?... Tak w każdym razie gada doktor Minnericht. A on mi wygląda na deczko stukniętego. Zrobił mi tę rękę, więc mam u niego dług wdzięczności, co jednak nie musi jeszcze oznaczać, że przestanę dostrzegać, jak wiele problemów na nas ściągnął.

– Wróćmy jednak do ciebie i Charliego – zaproponowała Briar. W tym momencie nie chciała rozmawiać o Minnerichcie. Było na to jeszcze za wcześnie. Nie wiedzieć czemu na sam dźwięk jego nazwiska odczuwała drażniący niepokój. Jej zdaniem nie mógł być Levilieusem, chociaż nie potrafiłaby wytłumaczyć, skąd ta pewność. W tej sytuacji wszakże liczyło się tylko jedno: dla tych ludzi Minnericht mógł być nawet duchem Leviego.

– A tak – mruknęła barmanka. – W mieście pojawiła się Zguba i musieliśmy uciekać. Gdy nadszedł rozkaz ewakuacji, byłam właśnie na targowisku, uzupełniałam zapasy. Ogłoszenie alarmu wywołało panikę. A Charlie został w naszej knajpce. Byliśmy małżeństwem od dziesięciu lat i nie chciałam go zostawić na pastwę losu, ale żołnierze zmusili mnie do tego.

Zgarnęli mnie i wywieźli z miasta, jakbym była jakimś zachlanym obszcymurem leżącym na chodniku. Wtedy stawiano już zapory zrobione z płacht nawoskowanego płótna rozpiętego na stelażach. Może nie były zbyt szczelne, ale i tak lepsze niż nic. Robotnicy dzień i noc ustawiali je jedna obok drugiej. Kilka dni później, gdy opadła już pierwsza fala paniki, zdobyłam maskę i przekradłam się kolo nich, aby wrócić do mojej Foczki i Charliego. Gdy dotarłam na miejsce, zauważyłam, że ktoś powybił

wszystkie okna. Ludzie rozwalili je kamieniami, żeby nas okraść. Nie mogłam w to uwierzyć. Jak można rabować innych w takiej chwili?!

Weszłam do środka, cały czas go wołając. Odpowiedział mi głos z zaplecza.

Przeskoczyłam przez ladę i wpadłam do kuchni. Leżał na podłodze pokąsany, cały we krwi. Na szczęście większość tej posoki nie należała do niego.

Zastrzelił trzech zgnilasów z tych, którzy chcieli się do niego dostać, a wiesz, jakie one są: rzucają się na człowieka niczym stado wygłodniałych wilków na jelenia. Zabił ich, ale sam padł od ukąszeń.

Odgryzły mu ucho i część stopy, miał też sporą ranę na szyi. – Westchnęła głośno, musiała też znowu odchrząknąć. – Umierał i na domiar złego przemieniał się. Nie wiedziałam wtedy, co się stanie prędzej. Na początku niewiele rozumieliśmy, więc nie miałam pojęcia, że nie powinnam klękać obok niego. Głowa chwiała mu się bezwładnie, oczy zaczęły już wysychać, nabierając charakterystycznej szarozółtej barwy. Chciałam go stamtąd wyciągnąć. Miałam nadzieję, że zdołamy jakoś dotrzeć do szpitala. Głupia byłam nieprzeciętnie. Do tego czasu zamknięto już pierścień zapór i nie mogłam liczyć na niczyją pomoc.

Jakoś go jednak postawiłam na nogi. Nie był zbyt postawny, a jakiej postury jestem, sama widzisz. Po kilku krokach zaczął się ze mną szarpać, sama nie wiem dlaczego. Wolę myśleć, że przeczuwał już nadchodzący koniec i odpychał mnie od siebie, ponieważ chciał, abym chociaż ja ocalała. Niestety, postawiłam na swoim. Byłam zdecydowana na wszystko, byle wyciągnąć go z tego piekła i ocalić. On natomiast robił, co mógł, by tam zostać. Podczas tej szamotaniny wywaliliśmy się na podłogę kolo lady i zanim zdołałam go znów podnieść, już się zmienił. Zaczął jęczeć, potem ślina pociekła mu z ust.

Tyle razy go pokąsali, że trucizna znalazła w końcu drogę do mózgu. I wtedy to się stało. Wtedy mnie ugryzł. Chwytał zębami za kciuk, ledwie naruszył

skórę, ale i to wystarczyło. Zdałam sobie sprawę, że już po nim, zanim zaczął

patrzeć na mnie w ten wredny sposób i zanim poczułam potworny smród z ust. Charlie nigdy by mnie nie skrzywdził. – Znowu musiała przełknąć ślinę, lecz jeszcze nie płakała. W blasku świec nie było widać łez w jej oczach.

Rury znowu zapiszczały głośno, dając jej wymówkę. Wykorzystała ją skrzętnie i podjęła opowieść, dopiero gdy znów zapadła cisza.

– Powinnam go dobić. Byłam mu to winna. Tyle że za bardzo się bałam. Dotąd nie potrafię sobie tego wybaczyć. Ale dzisiaj jest już po sprawie i nie da się niczego naprawić. W każdym razie uciekłam na Przedmieścia i znalazłam kościół, w którym pozwolono mi modlić się i płakać.

– A co z ukąszeniem?

– Z ukąszeniem... – powtórzyła Lucy. – A tak... Ciało wokół rany zaczęło gnić, zakażenie rozszerzało się z każdym dniem. Trzy zakonnice przytrzymały mnie, gdy ksiądz dokonywał pierwszej amputacji.

– Pierwszej? – zdziwiła się Briar.

– Tak. Początkowa operacja okazała się niewystarczająca. Obciął mi tylko dłoń do nadgarstka. Za drugim razem przyniósł porządniejszą piłę i odjęli mi rękę aż do łokcia. Za trzecim straciłam ją do reszty razem ze stawem barkowym. To w końcu załatwiło sprawę. Za każdym razem o mało nie umarłam z bólu. Rana jątrzyła się i paliła żywym ogniem przez wiele tygodni. Wtedy pragnęłam już tylko, by zakażenie pokonało mnie w końcu albo by ktoś skrócił moje męki jednym strzałem. Byłam zbyt słaba, by utrzymać broń w drugiej dłoni...

Zawahała się, a może była już po prostu zmęczona. Briar jednak drażyła temat.

– Co było potem? – zapytała.

– Jakoś wydobrzałam. Ale zanim jako tako doszłam do siebie, minęło z półtora roku. Gdy wyszłam ze szpitala, opętało mnie jedno pragnienie.

Chciałam zakończyć męki Charliego. Zasłużył sobie na lepszy koniec, nawet jeśli miało to oznaczać wpakowanie mu kulki w oko.

– Wtedy stał już mur.

– Zgadza się. Niemniej można było się dostać do miasta więcej niż jedną drogą, co sama niedawno odkryłaś. Dotarłam na skażony teren kanałem odpływowym, jak twój syn. I zostałam tu.

– Nie do wiary... – Briar pokręciła głową. – A jak było z drugą ręką?

No i z tym mechanizmem?

– Pytasz o drugą rękę? No tak. – Przekręciła się znów na materacu, głośno szeleszcząc kocem. Potem ziewnęła przeciągle i na koniec, zanim ponownie zamknęła usta, zdmuchnęła świecę stojącą obok jej łóżka. – Drugą rękę straciłam jakieś dwa lata później tutaj, w mieście. Ekspłodowało jedno z nowych palenisk. Zabiło trzech obsługujących je Chińczyków i oślepiło czwartego. Ja dostałam w przedramię kawałkiem rozpalonego do białości metalu. I to wszystko.

– Rozumiem – odparła Briar, po czym pochyliła się i zgasła swoją świecę. – To musiało być straszne. Tak mi przykro.

– Przecież to nie twoja wina – rzuciła w ciemności Lucy. – Jeśli już, to tylko moja, bo nie musiałam przesiadywać tam aż tak długo. A poza tym wtedy mieliśmy już naszego pokręconego doktora, który mnie naprawił.

Briar usłyszała szelest świadczący o tym, że jej towarzyszka znów przewraca się na materacu. Lucy ziewnęła raz jeszcze, wydając przy okazji wysoki dźwięk kojarzący się z czajnikiem, w którym woda zaczyna dopiero wrzeć.

– Trochę to trwało, zanim wykombinował, jak powinna działać taka proteza. Narysował wiele planów i szkiców. Poskładanie mnie do kupy uznał

za wielkie wyzwanie. A kiedy skończył robotę i pokazał mi swoje dzieło, byłam tak załamana tym widokiem, że się zapałam: wolałabym umrzeć, niż je nosić. Wyglądało tak dziwnie i ciężko. Wydawało mi się, że nigdy nie zdołam go podnieść, a co dopiero używać na co dzień. Nie powiedział mi jednak, jak chce je zmusić do działania. Zaproponował drinka, którego przyjął z wdzięcznością. Zgasłam jak zdmuchnięta świeca i obudziłam się, wrzeszcząc wniebogłosy. Doktor i jeden z jego pomocników przywiązali mnie do stołu operacyjnego i wywiercili mi dziurę w kości. Zwykłym wiertłem do drewna.



– Chryste, Lucy...

– To moje najgorsze wspomnienie. Nawet utrata rąk nie była takim koszmarem. Ale teraz... – Znow chyba się przewróciła z boku na bok albo spróbowała poruszyć ręką. Mechanizm zaklekołał głośno pod kocem. – Teraz cieszę się, że ją mam. Mimo że tak wiele mnie kosztowała.

Z tonu, jakim barmanka wypowiedziała ostatnie zdanie przed zaśnięciem, Briar wywnioskowała, że Lucy zapłaciła za protezę w sposób, który zupełnie się jej nie podobał. Było jednak zbyt późno, a i jej kleiły się już oczy, więc darowała sobie dalsze pytania. Odkąd przekroczyła mur, nie tylko biegła, wspinała się albo kryła w mroku. Co więcej, do tej pory nie udało jej się trafić na ślad syna, co mogło oznaczać – choć nie musiało – że nie żyje.

Gdy starała się uspokoić myśli, poczuła burczenie w żołądku i zdała sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy ostatnio jadła. Na samo wspomnienie chleba jej żołądek usiłował opuścić ciało i udać się na poszukiwanie pożywienia. Nie miała pojęcia, gdzie tutejsi mieszkańcy trzymają żywność, postanowiła więc nie puszczać żołądka samopas, tylko zwinęła się w kłębek na łóżku, obiecując mu, że pierwsze co zrobi rankiem, to zapyta o śniadanie.

Briar Wilkes nie była specjalnie pobożną kobietą, nie wierzyła też zbyt mocno w Boga, którego imię przywoływała często nadaremno w swoich wypowiedziach. Niemniej gdy przymknęła oczy, starając się odciąć myśli od rytmicznie popiskujących rur, zaczęła się modlić o pomoc i o syna, który... z tego co wiedziała, mógł już nie żyć.

A potem się obudziła.

Było to tak nagłe przebudzenie, że przez moment myślała, iż nie zdążyła jeszcze zasnąć. Ale nie, wyczuwała w otoczeniu jakieś zmiany.

Wyteżyła słuch, lecz od łóżka jednoręki barmanki nie dobiegały żadne szmery. Za to w szparze pod drzwiami widziała bladopomarańczową poświatę.

– Lucy? – wyszeptała.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi z sąsiedniego posłania, zaczęła więc obmacywać stoliczek, dopóki nie trafiła na świecę i leżące obok zapalki.

Słaby płomyk potwierdził jej podejrzenia: tak, była tu sama.

Wgniecenie w kształcie półksiężyca wskazywało miejsce, gdzie jeszcze niedawno leżała Lucy. Rury przestały świszczeć, ale gdy Briar przyłożyła do jednej z nich wierzch dłoni, poczuła umiarkowane ciepło. Pokój był

kompletnie pusty, wiedziała to, mimo że świeca nie potrafiła oświetlić go całego.

Obok miski zauważyła przeszkloną lampę. Zapaliła ją i dodała kolejne źródło światła do migotliwego płomyczka. Mogła zostawić ogarek na stoliku przy łóżku. W misie znalazła wodę. Na jej widok poczuła ogromne pragnienie, już się pochylała, by nabrać jej w dłoń, gdy przypomniała

sobie o beczkach stojących w korytarzu przy kotłowni, w których miała się znajdować lepsza, bo bardziej oczyszczona woda przeznaczona do picia.

Ochlapała więc tylko twarz, naciągnęła buty i zasznurowała gorset.

Wolała mieć go na sobie w podziemiach, kojarzył jej się ze sztywnym pancerzem albo przyporą, dzięki której mogła zachować pion, gdy była zbyt zmęczona lub wystraszona, by stać prosto.

Drzwi zamknięto na zamek otwierany dźwignią, co tłumaczyło, jak Lucy mogła opuścić to pomieszczenie bez niczyjej pomocy. Briar nacisnęła drewnianą rączkę i wyszła na korytarz. Tutaj co kilka kroków na ścianach wisiały małe pochodnie.

Wciąż była zdezorientowana. Z której strony przyszła?

Z lewej, pomyślała.

– Dobrze, idź na lewo – mruknęła pod nosem.

Nie widziała końca tunelu, ale po kilku jardach zaczęła słyszeć odgłosy pracy kotłowni. Ogień w palenisku nie ryczał już tak głośno, a miechy nie pompowały pary. Poruszały się teraz powoli, łagodnie, natleniając wewnątrz pieca rozgrzanego do czerwoności, lecz stygnącego zgodnie z rozkładem.

Beczki stały obok drzwi, tam gdzie jej powiedziano. Wystrugane z drewna kubki znalazła na półce powyżej.

Bóg jeden wie, kiedy ostatni raz je myto, dla Briar jednak nie miało to większego znaczenia. Chwyciła pierwszy, który nie lepił się od brudu, i odsunęła wieko beczki drugą ręką. Woda wydawała się czarniejsza od smoły, ale była to wyłącznie gra cieni. Smakowała nie gorzej od tej, którą uzyskiwano za murem po pełnym procesie oczyszczenia, więc Briar osuszyła kubek do dna.

Woda pobudziła żołądek. Znów rozległo się głośne burczenie, a moment później inny ucisk, w nieco niższej partii brzucha, uświadomił pani Wilkes, że pora udać się do wychodka. Na drugim końcu korytarza znalazła drzwi. Nie były zamknięte. Gdy wróciła zza nich po kilku minutach, czuła się znacznie lepiej niż przed zaśnięciem.

Miała jednak wrażenie, że nie jest sama, choć nie wiedziała dlaczego, dopóki nie zdała sobie sprawy, że słyszy głosy ludzi rozmawiających gdzieś w pobliżu. Wychodziło więc na to, że pomyliła podsłuchiwanie kogoś z byciem podsłuchiwanym. Gdyby w całkowitej ciszy zatrzymała się tam, gdzie stała, mogłaby zrozumieć, o czym ci ludzie mówią. Gdyby zaś zrobiła kilka kroków w prawo, usłyszałyby ich rozmowę o wiele wyraźniej.

– To zły pomysł. – Głos Lucy brzmiał, jakby się czemuś przeciwstawiała.

– Nie wydaje mi się. Powinniśmy ją zapytać.

– Już z nią o tym rozmawiałam. Wątpię, aby się na coś takiego zgodziła.

Drugi głos należał do Swakhammera, oczywiście nie noszącego teraz maski.

– Powinniśmy ją zapytać – powtórzył. – Nie jest dzieckiem i może odpowiadać za siebie. To może się okazać pomocne, ona powinna najlepiej wiedzieć.

– Jest tego pewna, a skoro już mowa, o dzieciach: ma teraz na głowie ważniejszy problem – stwierdziła Lucy.

Briar zakradła się za róg i przywarła plecami do drzwi, które przesunęły się o cal.

– A mnie się wydaje, że ona mówi jak kobieta, która wie więcej, niż chce powiedzieć. Jeśli tak jest naprawdę, nie powinniśmy jej zmuszać do ujawniania reszty – kontynuowała tymczasem jednoręka barmanka.

– Nie będziemy nikogo do niczego zmuszać – odparł Swakhammer i zamilkł na moment. – Wystarczy, że zobaczymy ich reakcję podczas spotkania, i wszystko będzie jasne. Doktorek nie zdoła się przed nią ukryć pod żadną maską, a wtedy ludzie, którzy się go do tej pory obawiali, powstaną.

– Albo spróbuje ją zabić, żeby go nie wydała, i przy okazji sprzątnie mnie, bo to ja będę musiała ją tam zaprowadzić.

– Twoja ręka wymaga poważnej naprawy.

– Już się nad tym zastanawiałam i uznałam, że wolę iść z nią do Huojina. On też jest niezłym mechanikiem. Ponaprawiał paleniska po awarii w ubiegłym miesiącu. Nie wspominając już o kieszonkowym zegarku Squiddy’ego. To sprytny gość. Powinien dać sobie radę z moją ręką.

– Ech, ty i ten twój Chińczyk!... Przyjaźnij się z nim dalej, a ludzie wezmą cię na języki.

– A niech mielą nimi, ile chcą. Wiesz równie dobrze jak ja, że będziemy potrzebowali Chińczyków. Prawda jest taka, że bez nich nie zdołamy utrzymać tej maszyny w ruchu.

– Prawda czy nie, mam złe przeczucia co do nich. Są jak te pieprzone kruki, które siadają na szczytach murów. Za cholerę ich nie zrozumiesz, kiedy zaczynają krakać do siebie, i w każdej chwili mogą się obrócić przeciw tobie, o czym oczywiście dowiadujesz się, kiedy jest już za późno na ratunek.

– Głupis stwierdziła Lucy. – Ci ludzie nie rzucą ci się do gardła tylko dlatego, że ich nie rozumiesz.

– A co z Yaozu?

– Nie możesz nazywać ich wszystkich bękartami – prychnęła pogardliwie – z powodu jednej czarnej owcy. Gdybym ja tak postąpiła, już nigdy nie odezwałabym się do żadnego mężczyzny. Dlatego pohamuj konie, Jeremiaszu. I daj spokój Briar Wilkes w sprawie Minnerichta. Ona nie chce o nim rozmawiać, więc jestem pewna jak wszyscy diabli, że tym bardziej nie otworzy ust do niego.

– Widzisz, o tym właśnie mówię! Unika rozmawiania o nim, bo nie jest głupia. Musiała się nad tym

zastanawiać. Jeśli zapytamy wprost, może się zgodzić...

Briar popchnęła drzwi mocniej, otwierając je na całą szerokość.

Swakhammer i Lucy znieruchomieli, jakby przyłapała ich na czymś nieprzyzwoitym. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole, na którym stała miseczka suszonych fig i stos kolb kukurydzy.

– Możecie pytać, o co chcecie – oświadczyła, aczkolwiek nie obiecała, że usłyszą odpowiedzi. – Może nadszedł już czas, żeby obie strony wyłożyły karty na stół. Chcę, żebyśmy porozmawiali o tym waszym doktorze, pragnę też, żeby Lucy mogła spokojnie naprawić rękę, i ślinka mi cieknie na widok tych fig bardziej nawet niż na bożonorodzeniowe ciasto, ale najbardziej zależy mi teraz na odnalezieniu syna. Siedzi za murem już od... sama nie wiem jak długo. To już drugi dzień, jak sędzę. Musi być bardzo samotny, może nawet nie żyje. W żadnym razie jednak nie zamierzam go tutaj zostawić. Zdaję sobie równocześnie sprawę, że nie odszukam go w tym mieście sama, więc oferuję wam pomoc w zamian za waszą.

Swakhammer poniósł dorodną figę z samej góry i rzucił ją Briar.

Pochwyciła owoc w locie, pożarła go w dwa kęsy, a raczej w półtora, po czym usiadła obok Lucy na wprost potężnie zbudowanego mężczyzny, ponieważ uważała, że z tego miejsca łatwiej będzie go rozgryźć.

Lucy poczerwieniała na twarzy, ale nie z gniewu. Była zawstydzona, że została przyłapana na obgadywaniu innej osoby.

– Nie miałam zamiaru plotkować o tobie za twoimi plecami, kochanie.

Niestety Jeremiasz wpadł na paskudny pomysł, a ja chciałam mu go wyperswadować.

– Chce, żebym poszła z tobą do Minnerichta, kiedy będziesz go prosiła o naprawienie ręki – podsumowała beznamiętnym tonem Briar.

– Tak to można ująć w skrócie.

Swakhammer oparł się łokciami o blat i zaczął skubać kaczan kukurydzy, robiąc przy tym najpoważniejszą minę, na jaką było go stać.

– Musisz zrozumieć jedno: ludzie ci uwierzą, kiedy go zobaczysz i stwierdzisz, że to nie Blue, albo wręcz przeciwnie. A jeśli Minnericht okaże się nowym wcieleniem Leviticusa, będziemy go mogli pociągnąć do odpowiedzialności i wygnać z miasta. Na przykład przekazując w ręce odpowiednich władz, żeby mogły go osądzić.

– Chyba żartujesz – zachnęła się Briar.

– Jestem poważny jak nigdy! Prędzej czy później ludzie wywleką go na ulicę i wydadzą na żer zgnilasom. Niemniej nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że ty nie chcesz, aby stała mu się krzywda.

– Mylisz się. – Sięgnęła po kolejną figę i pociągnęła łyk wody z utrzymanego wciąż w dłoni kubka. Swakhammer sięgnął tymczasem do skrzyni stojącej za jego krzesłem i wyjął z niej woreczek suszonych jabłek, na które Briar natychmiast się rzuciła.

– Sprawa ma się tak – oświadczył, przybierając znów oficjalną minę, gdy ona z lubością wgryzała się w kolejne owoce. – Minnericht jest... jest...

geniuszem. Prawdziwym geniuszem bona fide, nie takim, o jakich się czyta w gazetach. Ale ma też fioła. Siedzi tutaj i traktuje to miejsce jak swoje królestwo od dziesięciu, a może nawet od dwunastu lat, czyli odkąd w końcu pojeśliśmy, że będzie nam potrzebny. – Nie lubił o tym wspominać, Briar zrozumiała to, gdy usłyszała, jak wymawia słowo „potrzebny”. – Na początku wszystko jakoś się układało – dodał. – Nie zorganizowaliśmy się jeszcze, a życie tutaj przypominało istny dom wariatów, bo nie znaleźliśmy tych wszystkich sztuczek, które ułatwiają nam życie.

– Było dobrze, bo trzymał się na uboczu i nie narzucał nikomu –

wtrąciła Lucy. – A potrafił pomóc, jeśli było trzeba. Część Chińczyków traktowała go jak jakiegoś maga, ale – zakończyła bez owijania w bawełnę –

nie trwało to zbyt długo.

– Dlaczego zmienili nastawienie? – zapytała Briar ustami zapchanymi jabłkiem. – Macie tu coś jeszcze do jedzenia? Nie chcę być nieuprzejma, ale konam z głodu.

– Poczekaj. – Swakhammer wstał i podszedł do szeregu skrzyń, które najwyraźniej służyły tutaj za szafki. Lucy kontynuowała opowieść, gdy on zaczął w nich grzebać.

– Zmiana nastąpiła, kiedy ludzie zrozumieli, że na Zgubie można robić niezłe pieniądze, jeśli przerobi się ją na tak zwany sok cytrynowy. A mówiąc

„ludzie”, mam na myśli doktora Minnerichta. Z tego co słyszałam, eksperymentował z gazem, aby go zmienić w coś mniej szkodliwego. Albo wręcz odwrotnie. Tylko on wie, jak było naprawdę.

Swakhammer wrócił do stołu, niosąc jakieś zawiniątko. Podał je Briar, która położyła pokaźny pakunek na stole i zaczęła go rozwiązywać.

– Co to jest? – zapytała.

– Suszony łosoś – odparł. – Lucy zapomniała dodać, że nasz doktorek zwykł testować działanie swoich wynalazków na naszych chińskich przyjaciółach. Zdaje się, że kazał im wdychać sok jak opium. Wielu zmarło od takiej kuracji, a reszta zwróciła się przeciw niemu.

– Poza Yaozu – dodała barmanka. – Został prawą ręką Minnerichta i przejął dowodzenie operacjami biznesowymi. Jest podstępny jak wąż i na swój sposób sprytniejszy od szefa. Razem zarabiają niesamowite pieniądze, zarządzając tym miniimperium opartym na sprzedaży żółtego narkotyku, ale na co je wydają, Bóg jeden raczy wiedzieć.

– Tutaj, w mieście? – zapytała Briar, odrywając kawałek ryby i pakując go w usta. Słone mięso zwiększało jej pragnienie, lecz nie wstawiała od stołu, mimo że skończyła się jej woda w kubku.

– O tym właśnie mówię. Tutaj pieniądze nie mają wielkiej wartości.

Ludzie cenią sobie wyłącznie przedmioty, które można wymienić za czystą wodę i jedzenie. A wokół pełno jest jeszcze nietkniętych bogato wyposażonych domów, które można obrabować. Nie przeczesaliśmy nawet dziesiątej części ogrodzonego terenu. Moim zdaniem jedyne sensowne wytłumaczenie, to że doktor sprowadza za te pieniądze stal, sprzęt i mechanizmy. Przecież nie może wyczarowywać tych swoich wynalazków z powietrza, a większość metali zostawionych za murem już dawno przestała się nadawać do czegokolwiek.

– Dlaczego?

– Wilgoć i Zguba przyspieszają korozję. Można spowolnić ten proces, jeśli pamięta się o oliwieniu metalowych części, a Minnericht wymyślił

szkliwo, coś w rodzaju tego stosowanego w garncarstwie, dzięki któremu stal przestaje być taka krucha.

– Przebywa w tej okolicy, przy King Street – dodała Lucy. – Tak ją nazwał, bo czuje się kimś w rodzaju króla tego miasta. Nikt tam nie chodzi, ludzie omijają ten zakątek, mimo że kilku Chińczyków wciąż mieszka w pobliżu granic swojej dawnej dzielnicy.

– Większość jednak przeniosła się na wyżej położone tereny, kiedy zaczął ich traktować nie lepiej niż szczury laboratoryjne. Sprawa wygląda tak, że doktor ma kontrolę nad wszystkim, co się tutaj dzieje. Ci powietrzni piraci: Cly, Mrawley, Grinstead, Winlock, Hainey i cała reszta, są podwładnymi Minnerichta. Płacą mu coś w rodzaju podatku za możliwość pozyskiwania Zguby. A wszyscy chemicy, którzy rafinują gaz na Przedmieściach, kupili technologię od naszego doktora. Nawet dilerzy i kurierzy muszą mu się opłacać. Jeśli ktoś ma problemy, dostaje towar w komis i płaci za niego po sprzedaży. Tylko że jeszcze nikt nie spłacił swoich długów w całości. Doktorek dolicza sobie odsetki, różne opłaty i tym sposobem każdy ani się obejrzy, jak należy do niego.

Briar opuściła wzrok na zepsutą mechaniczną rękę Lucy i zapytała:

– Ciebie też to spotkało?

Barmanka poruszyła się niespokojnie.

– Jak już wspomniałam, to było dawno, trzynaście czy czternaście lat temu. Ale od tamtej pory zawsze mu coś nie pasuje, cały czas uważa, że jestem mu coś winna. A to pieniądze, a to informacje albo jeszcze coś innego.

– Co by było, gdybyś mu ich nie dostarczała?

Zacisnęła na chwilę usta, zanim odpowiedziała.

– Przyszedłby i odebrał mi rękę. Może dla ciebie to niezbyt przekonujące wytłumaczenie, dlaczego pozwalam temu staremu draniowi traktować się jak jego własność, ale masz dwie zdrowe ręce, więc nie możesz wiedzieć, jak to jest, gdy zostanie ci tylko kikut, do którego możesz przytwierdzić mechaniczną protezę.

– A ty, Swakhammer?

Szukał przez chwilę odpowiednich słów, kiedy zaś je znalazł, powiedział:

– Życie tutaj bez dostaw z zewnątrz może być trudne. Nie potrafię zliczyć, ile razy wywinąłem się śmierci, zanim zdobyłem ten sprzęt.

Przedtem zdażyłem stracić brata i kuzyna. Tutaj sprawy inaczej się mają niż za murem. Robimy rzeczy, za które ludzie z Przedmieść, gdyby się dowiedzieli, postawiliby nas przed sądem. Minnericht także to wykorzystuje.

Grozi nam wydaleniem z miasta i wydaniem w ręce wymiaru sprawiedliwości.

– A Maynard nie żyje – wtrąciła znowu Lucy. – Nie mamy więc w policji nikogo, komu moglibyśmy zaufać.

I tak naprowadziła Swakhammera na jego oryginalny pomysł.

– Gdybyś rozpoznała w nim Leviticusa Blue, ludzie mieliby i na niego haka. Rozumiesz?

Briar mocno przechyliła kubek i wysączyła z niego ostatnią kroplę wody. Odstawiła naczynie na stół z głośnym hukiem.

– Mam jedno może niezbyt mądre pytanie – oznajmiła. – Czy ktokolwiek z was zapytał go o to? Znaczy, czy ktoś poszedł do niego i powiedział: „Czy Minnericht to pańskie prawdziwe nazwisko? Bo wygląda mi pan na Leviticusa Blue”?

– Przyniosę ci wody – mruknął i sięgnął po kubek.

– Oczywiście, że próbowaliśmy pytać – zapewniła ją Lucy, gdy Swakhammer wyszedł z pokoju. – Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

Wygląda na to, że cieszy się, iż ludzie plotkują na jego temat. Chce trzymać nas pod butem, a im mniej o nim wiemy i im bardziej się go obawiamy, tym bardziej jest zadowolony.

– Straszny z niego drań – przyznała Briar. – I chociaż nadal jestem pewna, że to nie Levi, muszę przyznać, że mają ze sobą naprawdę wiele wspólnego. Mogę pójść do niego z tobą, Lucy. Może nie będzie chciał mnie widzieć. Mówiłaś, że pojawił się tutaj dopiero jakiś czas po wybudowaniu muru. To by mogło świadczyć, że nie pochodzi stąd.

Swakhammer wrócił, niosąc pełen kubek wody, za nim do pokoju wszedł starszy Chińczyk trzymający ręce za plecami.

– Oto twoja woda, Briar, a to wiadomość dla ciebie, Lucy. Pogadaj z nim. Ja nie jestem w stanie zrozumieć, co mówi.

Barmanka powitała przybyłego, poprosiła, by przysiadł się do nich, a on odpowiedział serią dźwięków, które tylko Lucy była w stanie zrozumieć.

Gdy zamilkł, podziękowała grzecznie i Chińczyk opuścił pomieszczenie równie cicho, jak wszedł.

– O co chodzi? – zapytał Swakhammer.

Lucy wstała.

– Właśnie wrócił wschodnim tunelem z okolic baru U Maynarda.

Twierdzi, że widział tam znak. Wielką czarną dłoń. Wszyscy wiemy, co to oznacza.

Briar spojrzała na nią pytająco.

– Doktor dał nam do zrozumienia, że to jego sprawka – wyjaśnił

Swakhammer. – Chciał, żebyśmy wiedzieli, że zgnilasy były specjalnym prezentem od niego.

## **ROZDZIAŁ 19**

Zeke kopał we właz, nie zwracając uwagi na dzwonienie w uszach, dopóki szpara między stalowym skrzydłem a kryzą nie zrobiła się na tyle szeroka, by mógł przecisnąć się na zewnątrz, do miasta, które tak bardzo chciał opuścić. Tak czy owak w tej chwili wolał pójść w objęcia Zguby, niż pozostać w rozbitym statku powietrznym z członkami załogi, którzy powoli odpinali pasy i padali z jękiem na deski pokładu.

Milczący Fang zniknął mu z pola widzenia i dopiero po chwili Zeke dostrzegł go obok kapitańskiego fotela, skąd Chińczyk łypał na niego jednym okiem.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał wielkolud.

– Fajnie było, ale muszę już iść – odparł Ezekiel, próbując opanować głos. Uznał, że to całkiem niezła odzywka na pożegnanie tych ludzi, niestety szpara wciąż była zbyt wąska, by mógł się w niej zmieścić. Zaparł się o właz stopami i naparł z całych sił.

Tymczasem kapitan zdołał się uwolnić od pasów trzymających go na mocno przechylonym fotelu i mruknął coś do Fanga. Ten skinął głową w odpowiedzi.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – zapytał wielkolud.

Zeke nie odpowiedział. Przeciskał się właśnie na wewnątrz, zostawiając za sobą krwawe ślady w każdym miejscu, którego dotknął.



– Chłopcze? Fang, zatrzymaj go, jest ranny...

Ale Zeke był już na zewnątrz. Opadł na ziemię i oparł się plecami o właz, dociskając go ponownie do kryzy. Na chwilę tylko, lecz to wystarczyło, by rzucił się do ucieczki. Za jego plecami z wnętrza statku dobiegały jakieś krzyki. Mógłby przysiąc, że ktoś wołał go po imieniu.

Nie, to niedorzeczne. Przecież nie zdążył im się przedstawić.

Musieli wołać za nim, używając innego podobnego słowa, które skołowany umysł odbierał jako imię.

Odwracał głowę to w prawo, to w lewo, wciąż jednak niewiele widział.

Dotarł w pobliże ściany – z początku sądził, że to mur okalający miasto, ale nie, przeszkoda, na którą trafił, była o wiele niższa, zbudowana z grubych ostro zakończonych pali. Prześwity między nimi zalano czymś, chyba cementem, tworząc jednolitą i w miarę równą ścianę.

Ktoś na pokładzie statku wypowiedział słowo „fort”.

Gdy zebrał myśli, przypomniał sobie o miejscu zwanym Decatur, gdzie osadnicy się chronili, gdy miejscowe plemiona Indian zaczynały im sprawiać kłopoty. To chyba tutaj?

Zaostrzone pale otaczały go, jakby ktoś umieścił je tutaj celowo, by uniemożliwić mu ucieczkę. Stały tutaj i gniły, najpierw w wilgotnej, potem w zatrutej atmosferze, od ponad stu lat, sądząc po stanie odsłoniętych fragmentów drewna. Te sto lat powinno je obrócić w stopy próchna, a mimo to nadal tworzyły zwartą ścianę, na której nie było widać jednego uchwytu albo występu.

Wokół niego kłębiła się Zguba. Tuman zawęził mu pole widzenia do zaledwie kilku kroków. Zeke znów zaczął dyszeć, tracił kontrolę nad oddechem, powietrze przepływało przez filtry maski z głośnym świstem.

Guma przylegająca do twarzy powodowała świerzbienie skóry, a w ustach czuł przy każdym oddechu smród żółci i ostatniego przetrawionego posiłku.

Gdzieś za nim, za ścianą skłębionej żółtawej zawiesiny, ktoś kopał we właz rozbitego statku. Za moment ci ludzie wydobiją się na zewnątrz. Za moment zaczną go ścigać.

Bał się tego wszystkiego, co wydarzy się „za moment”, a gładka ściana nie chciała się poddać, gdy napierał na nią, szukając drogi ucieczki. Wyciągał

ręce wysoko z mocno wyprostowanymi palcami, nie zważając na coraz ostrzejsze pieczenie i klucie. Nie miał pojęcia, czy ten ból zwiastuje otarcia, złamania czy po prostu dłonie zeszywniały mu ze zmęczenia. Usiłował

pochwycić najmniejsze nawet wybrzuszenie, obmacywał łapczywie najwęższe szparki i pęknięcia w cemencie, szukając dziury albo drzwi, którymi dałoby się przejść na drugą stronę. Nie był zbyt duży. Mógłby się precyzyjnie przeczisnąć przez naprawdę mały otwór, gdyby musiał, ale zamiast tego w kompletnej

ciszy i bez ostrzeżenia... trafił na coś zupełnie innego.

Czyjaś mocarna ręka pochwyciła go za maskę, dociskając ją do ust, i porwała z ziemi jak piórko. Ktoś poniósł go wzdłuż ściany w kierunku tak gęstych ciemności, że mogły ukryć wszystko.

Na pewno znalazło się w nich schronienie dla wątłego chłopca i tego, kto go pochwycił. Człowiek ów miał tak mocarne ręce, że gdyby nie miękkość skóry, można by pomyśleć, iż zostały odlane z metalu.

Zeke nie szarpał się z dwóch powodów. Po pierwsze, zdawał sobie sprawę, że to całkowicie bezcelowe. Trzymał go mężczyzna nie tylko o wiele silniejszy, ale i wyższy. Oddychał swobodnie, nie wydając przy tym dźwięków, jakby miał za moment zwymiotować bądź wyzionąć ducha.

Krótko mówiąc, miał zatem nad Ezekielem olbrzymią przewagę. Po drugie, Zeke miał niejasne podejrzenia, że ten ktoś chce mu pomóc. Na pewno w każdym razie nie życzył sobie, aby schwytali Zeke'a ludzie z rozbitego statku, którzy klnąc głośno, wytaczali się właśnie z gondoli nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od kryjówki.

W chwili gdy Ezekiel zaczął myśleć o tym, że lada moment podejmą pościg, znajdą go i ponownie zawleką na pokład statku, człowiek, który go schwycił, zaczął się wycofywać głębiej w ciemność.

Zeke się nie opierał, a nawet pomagał, na ile potrafił, aczkolwiek niewiele mógł zrobić prócz obijania się o pogrążone w kompletnym mroku załomy ścian. Po jakimś czasie usłyszał cichy zgrzyt i poczuł powiew chłodniejszego powietrza na ramionach.

Jeszcze kilka kroków, kolejny zakręt... i usłyszał trzask drzwi zamykanych tuż przed swoim nosem. Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu ze schodami i dwoma ledwie tłącymi się świeczkami nad poręczą.

Człowiek, który go schwycił albo uratował – Zeke nadal nie wiedział, co jest bliższe prawdy – puścił go i pozwolił mu się obrócić. Nie mając pojęcia, czy znajduje się w niebezpieczeństwie, Zeke postanowił okazać pełną uległość.

– Dziękuję. Gdyby nie pan, ci ludzie z pewnością by mnie zabili!

Para wąskich piwnych oczu spoglądała na niego ze spokojem. Były bardzo ciemne, emanowały chłodną inteligencją, lecz niczego więcej nie potrafił z nich wyczytać. A ich właściciel się nie odzywał. Spoglądał tylko z góry na Ezekiała – ponieważ był wyższy o kilka cali od niego – z rękoma złożonymi na piersi. Miał na sobie coś w rodzaju pidżamy, ale czystej, niepomiętej i bielszej od wszystkiego, co Zeke widział za tym murem.

– Oni by mnie zabili, prawda? – bąknął chłopak, gdy nie otrzymał

odpowiedzi. – Ale pan... pan tego nie zrobi?

– Jak się nazywasz? – odezwał się w końcu mężczyzna z wyczuwalnym lekkim obcym akcentem.

– Ostatnio wszyscy mnie o to pytają – odparł Ezekiel, znając wszakże swoje położenie, a był zamknięty w tym ciasnym pomieszczeniu z nieznanym silnym człowiekiem, dodał pośpiesznie: – Jestem Zeke...

Ezekiel Wilkes. Nie zamierzam nikomu utrudniać życia. Chciałem jedynie wydostać się z miasta. Filtry w masce mi się pozapychały, boję się, że nie przeżyję tutaj zbyt długo. Czy... może mi pan pomóc?

Raz jeszcze musiał poczekać na odpowiedź.

– Tak, mogę ci pomóc – stwierdził w końcu mężczyzna. – Chodź ze mną, Ezekielu Wilkesie. Znam kogoś, kto pewnie chętnie cię zobaczy.

– Mnie? Niby czemu?

– Z powodu twoich rodziców.

Zeke zamarł, serce w piersi waliło mu w takim tempie, że jego rytmiczne bicie zmieniło się w jednostajny ryk.

– Dlaczego? – wyszeptał. – Nie chcę nikomu przysparzać problemów.

Przyszedłem tutaj w poszukiwaniu... Chciałem... Proszę pana, ja wiem, że mój tata narobił wam kłopotów i z pewnością nie jest dla was bohaterem, ale...

– Zdziwiłbyś się – przerwał mu mężczyzna łagodniejszym tonem. –

Tędy, Zeke. – Wskazał ręką na schody i widoczny w dole korytarz.

Chłopak ruszył w ślad za nim na trzęsących się z wyczerpania, ran i strachu nogach.

– O czym pan mówi? Dlaczego miałbym się zdziwić? Kim pan jest?

Znał pan mojego tatę?

– Jestem Yaozu i nigdy nie spotkałem człowieka nazwiskiem Leviticus Blue. Znam za to doktora Minnerichta, który na pewno zdoła ci wiele wyjaśnić. – Obejrzał się przez ramię, by spojrzeć Ezekielowi w oczy.

– Dlaczego miałbym go o coś pytać?

– Jesteś młodym człowiekiem – odparł Yaozu. – A młodzi ludzie w twoim wieku mają w zwyczaju kwestionować wpajane im zasady rządzące naszym światem. Wydaje mi się, że nasz doktor może być dla ciebie niezwykle interesującym... źródłem wiedzy.

– Słyszałem już o nim – przyznał ostrożnie Zeke.

– Od jak dawna przebywasz za murem? – zapytał Yaozu, skręcając za róg i zatrzymując się przed sporymi zdeformowanymi, ale i dobrze uszczelnionymi drzwiami. Podniósł skobel i popchnął je mocno. Grube skrzydło oderwało się z głośnym plaśnięciem od pokrytej smarem framugi.

– Nie wiem. Niedługo. Może dzień albo dwa – zgadywał Zeke, chociaż czuł się, jakby spędził tu co najmniej tydzień.

Yaozu przytrzymał drzwi i zaprosił go gestem, by przekroczył próg. Na ścianach po obu stronach umieszczono lampy, więc mógł odstawić świecę, którą oświetlał im drogę w mrocznych korytarzach.

– Wystarczy godzina za murami, żeby usłyszeć o naszym starym dobrym doktorze.

Zeke ruszył pod prąd mocnego chłodnego powiewu. Gdy wszedł do pomieszczenia, Yaozu natychmiast ruszył za nim.

– Jest tutaj kimś ważnym?

– Owszem, nawet bardzo ważnym – przyznał mężczyzna, lecz w jego głosie nie dało się wychwycić podziwu.

– A pan pracuje dla niego?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, ale gdy otworzył w końcu usta, Zeke usłyszał:

– Można tak powiedzieć. Mamy coś w rodzaju spółki. To wielki człowiek, który okiełznał elektryczność, mechanikę i parę.

– A jaka jest pańska rola?

– Moja? – Prowadzący Zeke'a mężczyzna mruknął coś pod nosem.

Zabrzmiało to jak „hm” albo stłumione „och”. – Jestem biznesmenem –

dodał zaraz. – To ja utrzymuję spokój w mieście, by doktor mógł pracować nad swoimi projektami. Za następnymi drzwiami będziesz mógł zdjąć maskę

– zmienił temat. – Są hermetycznie zamknięte. Staramy się oszczędzać czyste powietrze.

– Rozumiem.

Zeke obserwował, jak Yaozu otwiera kolejne drzwi ukryte za kurtyną z pasów skóry. Za nimi ujrzął nie kolejny korytarz, tylko niewielkie pomieszczenie oświetlone lampami wiszącymi w każdym kącie.

– Czyli jest pan kimś w rodzaju stróża prawa w tym mieście?

– Można tak powiedzieć.

– Mój dziadek też był stróżem prawa.

– Wiem – odparł Yaozu. Zamknął drzwi za sobą i ściągnął maskę, odsłaniając idealnie łysą głowę i gładką twarz człowieka, który równie dobrze mógł mieć dwadzieścia, jak i pięćdziesiąt lat. Zeke nie był w stanie odgadnąć jego wieku. – Możesz zdjąć maskę, ale uważaj – wskazał palcem głowę chłopca – Zdaje się, że jesteś poraniony.

– Jakie szczęście, że macie tutaj doktora.

– To prawda. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

– Teraz?

– Teraz.

Zeke nie usłyszał w głosie mężczyzny prośby. To był rozkaz, któremu nie mógł się przeciwstawić. Bał się. To chyba oczywiste, że musiał się bać po tym, co Angelina wypluła z siebie w gniewie. W zachowaniu tego nieziemsko spokojnego Chińczyka także było coś mocno niepokojącego, aczkolwiek nie potrafił powiedzieć dlaczego. Yaozu odnosił się do niego bardzo uprzejmie, lecz stalowy uścisk jego ręki i twardość w głosie nie pozostawiały złudzeń – z takimi ludźmi nie da się negocjować.

Ten człowiek oczekiwał, że jego polecenia będą wykonywane, ale Zeke nie należał do chłopców, którzy słuchają rozkazów.

Nie chciał jednak nawet myśleć, co by było, gdyby zaczął się stawiać temu człowiekowi albo uciekać, zwłaszcza teraz, gdy czuł przy każdym oddechu kłujący ból w klatce piersiowej. Musiał odłożyć te rozważania na później. Przyjdzie czas na układanie planu ucieczki, teraz musi nade wszystko ściągnąć maskę. A to może nie być takie łatwe.

Rany wokół pasków uprząży swędziały go i piekły, jakby ktoś posolił

mu je złośliwie, w końcu jednak udało mu się rozpiąć wszystkie sprzączki i odsunąć wizjer i filtry od twarzy. Rzucił maskę na podłogę i zaczął drapać zaczerwienienia na policzkach i czole.

Yaozu chwycił go za rękę i odciągnął ją od podrażnionej skóry.

– Nie drap. Tylko pogorszysz sprawę. Doktor da ci maść, która złagodzi swędzenie. Pierwszy raz nosisz maskę?

– Tak, po raz pierwszy miałem ją na twarzy dłużej niż kilka minut –

przyznał Zeke, opuszczając ręce, mimo że nadal miał ogromną ochotę się drapać.

– Rozumiem. – Yaozu podniósł jego maskę i obejrzał ją dokładnie, wywracając na lewą stronę, zwłaszcza okolice filtrów i wizjery.

– To stary model – zauważył. – I wymaga czyszczenia.

– Nie musi mi pan mówić – zachnął się chłopak. – Gdzie teraz idziemy? – zapytał.

– Nad dół. Do podziemi dawnego dworca, których tu wcześniej nie było. – Obrzucił Zeke’a taksującym spojrzeniem, zauważając znoszone ubranie i długie zmierzwiłone włosy. – Coś mi się wydaje, że warunki mogą ci się wydać wyjątkowo luksusowe.

– Luksusowe?

– Tak. Stworzyliśmy tam prawdziwy dom. Zdziwisz się, jak go zobaczysz.

– Na razie widziałem pod ziemią głównie obraz nędzy i rozpacz –  
mruknął Zeke.

– Ale na stacji jeszcze nie byłeś?

– Nie.

– W takim razie pozwól, że pierwszy cię tam zaproszę. – Podeszedł do ściany i nacisnął dźwignię.

W miejscu, którego Zeke nie widział, zachręściły łańcuchy i zaterkotały koła zębate. Ściana na wprost nich przesunęła się w bok, odsłaniając wspaniale umeblowany, zalany jasnym blaskiem pokój.

Pełno w nim było marmurów, mosiądzu oraz krzeseł z polerowanego drewna obitych miękkimi atłasami. Podłogę wyłożono mozaiką z kamienia i metalu. Odbijały się w niej wszystkie źródła światła, refleksy rzucane przez kryształy i płomienie świec. Niemniej im dłużej Zeke przyglądał się światłom, tym większej nabierał pewności, że nie ma do czynienia z płomieniami. Na kopulastym jasnym sklepieniu nie było nawet śladu po okopceniach.

Pierwsze pytanie zadał, jak tylko uspokoił oddech, a ściana wróciła na swoje miejsce.

– Co to za lampy na ścianach? Co je zasila? Nie czuję gazu, nie widzę dymu.

– Może dlatego, że są zasilane przyszłością. – Odpowiedź była nader enigmatyczna, ale nic nie wskazywało na to, że Yaozu nabija się z Ezekiela.

– Chodź. Przydzielę ci pokój i załatwię kąpiel. Zapytam doktora, czy nie znajdzie gdzieś nowego ubrania oraz czegoś do jedzenia i wody. Masz za sobą ciężkie dni, podczas których nie obchodzono się z tobą zbyt delikatnie.

– Dzięki – odparł Zeke, choć niezupełnie to miał na myśli. Spodobała mu się jednak wizja jedzenia, był też potwornie spragniony, chociaż rozumiał to, dopiero gdy usłyszał słowo „woda”. – Jak tu ładnie – dodał. –

Miał pan rację. Jestem zaskoczony... Ten salon robi niesamowite wrażenie.

– Doprowadzenie go do tego stanu nie było trudne. Te pomieszczenia nie pełniły nigdy roli dworca kolejowego. Nie zdążono ich ukończyć przed nadejściem Zguby. Doktor i ja wykończyliśmy pewną ich część, nazywaną od tamtej pory poczekalnią, wykorzystując materiały zgromadzone na budowie. Wcześniej też wyglądała świetnie, ale potrzebowała kilku kosmetycznych poprawek. – Wskazał głową na kopułowate sklepienie ozdobione ciągiem rur i wiatraków. W tym momencie nie obracały się w ogóle, lecz Zeke wiedział, że gdy wirują z pełną prędkością, wydają niezwykle miłe dla ucha brzmienie.

– Czy to system napowietrzania?

– Zgadza się. To nawiewy powietrza. Te wentylatory działają tylko kilka godzin dziennie, co w zupełności wystarcza. Sprowadzamy powietrze znad miasta, z bardzo wysoka. Nasze rury i węże sięgają ponad mur. Dzięki nim możesz tutaj swobodnie oddychać. Ale nie traktujemy tej części podziemi jak pomieszczeń mieszkalnych. Nasze pokoje, kuchnie i pralnie są tam.

Zeke ruszył za nim z ogromną ochotą, pragnąc zobaczyć resztę tego kompleksu. Zanim jednak opuścili rozświetloną poczekalnię o wysokim łukowatym sklepieniu, w której znajdowało się tyle wygodnych krzeseł, dostrzegł na przeciwległej ścianie kolejne drzwi. One też były zabezpieczone smarem i pasami materiału, jak wszystkie inne, na jakie Zeke trafiał za murem, od pozostałych wszakże różnił je jeden istotny szczegół –

wzmacniały je ciężkie sztaby i wielkie zamki.

Yaozu zaprowadził Ezekiela na platformę wielkości sporej szopy i zamknął za sobą niską kratę. Gdy pociągnął za dźwignię zamocowaną na łańcuchu, z oddali znów dobiegł klekot uderzającego o siebie metalu.

Platforma zaczęła opadać z taką gracją, jakby do tego właśnie została stworzona. Jazda nią w niczym nie przypominała ewolucji, jakie wykonywały pikujące statki powietrzne.

Zeke mimo to chwycił się mocno kraty.

Kiedy platforma stanęła, Yaozu położył rękę na ramieniu chłopca i otworzywszy drzwi, poprowadził go w głąb korytarza, w którym widać było szeregi drzwi po obu stronach. Wszystkie pomalowano na czerwono, wszystkie miały też na wysokości oka wizjery wielkości pensowej monety, którymi można było wyglądać na zewnątrz, a może zaglądać do środka.

Drzwi na samym końcu korytarza otworzyły się bez użycia klucza, gdy do nich podeszli, co skonfundowało mocno wystraszonego chłopaka. Czy powinien czuć ulgę na myśl, że nie zostanie tu uwięziony? A może niepokój z powodu braku prywatności?

Na szczęście sypialnia okazała się o wiele lepiej urządzona niż pokoje tego typu, jakie miał okazję widzieć do tej pory. Na łóżku z grubym materacem leżały puchate poduszki i kołdry. Światła dostarczały trzy lampy, jedna większa zwisała z sufitu, dwie mniejsze stały na nocnych stolikach. W głębi Zeke dostrzegł kotarę na długim karniszu. Wydało mu się, że dziwnie nie pasuje do tego

miejsca.

– Rzecz jasna tutaj nie ma okien – wyjaśnił Yaozu, widząc jego zdziwione spojrzenie. – Znajdujemy się dwu piętra pod ziemią. Doktor lubi po prostu widok zasłon. Rozgość się, proszę. W rogu masz misę i wodę do obmycia. Skorzystaj z niej. Przekażę doktorowi, że jesteś naszym gościem.

Sądzę, że osobiście opatrzy ci rany.

Zeke zaczął się myć w miednicy, w której woda po kilku minutach zrobiła się czarna jak sadza. Gdy uznał, że jest już wystarczająco czysty, obszedł cały pokój, dotykając po drodze wszystkich tych cudnych bibelotów.

Zajął mu to dłuższą chwilę. Yaozu nie kłamał: w pokoju nie było okna, nawet zamurowanego, tylko pokryta tą samą tapetą równa ściana.

Postanowił sprawdzić drzwi.

Gałka przekręciła się bez problemu. Drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem i chłopak mógł wysunąć głowę na korytarz, ale nie zobaczył nic nowego prócz kilku etażerek stojących pod ścianami i szerokiego grubego chodnika ciągnącego się od początku do końca pomieszczenia. Platforma windy wciąż znajdowała się na tym poziomie, a jej drzwi pozostały otwarte.

Przesłanie było jasne: mógł opuścić to miejsce, gdyby wiedział, jak uruchomić mechanizm, a nade wszystko gdyby tego chciał. Chyba że oni chcieli, aby tak to wyglądało. Zeke podejrzewał, że gdyby tylko wszedł na platformę, wszędzie zawyłyby alarmy, a w jego kierunku z tuzina ukrytych wyrzutni poleciałyby zatrute strzałki.

Wątpił, by ta wizja mogła się ziścić, ale na wszelki wypadek postanowił nie zbliżać się do platformy, która go tu przywiozła.

Moment później zauważył, że Yaozu zabrał jego maskę, i sytuacja od razu wydała mu się klarowniejsza.

Usiadł na skraju łóżka. Materace były miększe i bardziej sprężyste niż wypchane pierzem sienniki. Zakołysały się, gdy na nie opadał. Nadal chciało mu się pić, lecz zabrudził jedyną wodę, jaką miał w pokoju. Głowa go bolała, nie znał zaś sposobu, by temu zaradzić. Czuł głód, nie znalazł wszakże niczego, czym mógłby go zaspokoić. Podsumowując swoją sytuację, doszedł

do wniosku, że nie głód jest jego największym problemem, tylko skrajne wyczerpanie.

Podciągnął nogi na łóżko, nie zdejmując butów. Zwinął się w kłębek, przyłożył głowę do poduszki i zamknął oczy.

## **ROZDZIAŁ 20**

Briar wyszła, by się umyć, a gdy wróciła, Lucy siedziała na krześle, trzymając mechaniczną rękę na stole. Wokół niej leżały bolce, kółka i śruby.



Młody Chińczyk, może odrobinę starszy od Ezekiela, pochylał się nad nadgarstkiem, trzymając w dłoniach oliwiarę i szczypce.

Spojrzał na Briar przez osobliwe okulary z dodatkowymi ruchomymi soczewkami zamontowanymi po obu stronach.

– Briar! – wykrzyknęła zadowolona Lucy, starając się jednak nie poruszyć naprawianą ręką. – To Huojin, ale mówimy mu Huey. Zdaje się, że to mu zupełnie nie przeszkadza.

– Nic a nic – mruknął Chińczyk.

– Witaj... Huey – odezwała się Briar. – Jak ci idzie naprawa tej ręki?

Pochylił się mocniej nad otwartym przedramieniem, ustawiając głowę pod takim kątem, by lepiej widzieć odsłonięte części mechanizmu.

– Nieźle, ale i nie za dobrze. Ta ręka jest cudem techniki, z tym że to nie mój wynalazek i nie ja ją skonstruowałem. Muszę to wszystko najpierw porozgryzać – wyjaśnił. Mówił po angielsku z lekkim obcym akcentem, lecz całkiem dobrze i zrozumiale. – Gdybym miał dostęp do miedzianych rurek, chyba mógłbym sobie poradzić z naprawą. A tak muszę improwizować.

– Improwizować! Słyszałaś go? – Lucy wybuchnęła śmiechem. –

Uczył się angielskiego z książek. Kiedy by I mniejszy, ćwiczył go na każdym, na kogo trafił. A teraz mówi o wiele poprawniej niż większość pacanów, których znam.

Briar zaczęła się zastanawiać, co Huey mógł robić w podziemiach, będąc dzieckiem. Już otwierała usta, aby zapytać, pomyślała jednak, że to w sumie nie jej sprawa, i zrezygnowała.

– Cieszę się, że pojawił się tutaj i naprawi ci rękę. Możesz mi powiedzieć coś więcej na temat tego odbicia ręki zostawionego przed barem?

Co ono oznacza?

Lucy pokręciła głową.

– Minnericht lubi oznaczać swoje terytorium, szczając gdzie się da, zupełnie jak pies. Nie wiem tylko, czego chciał u nas w barze. Mieliśmy z nim spokój od jakiegoś czasu. Może doszedł do wniosku, że czas ściągnąć smycz i zwrócić na siebie uwagę? A może Squiddy znów mu czegoś nie spłacił?

– Swakhammer uważa, że któryś z ludzi Minnerichta mógł mnie zauważyć. Doktorek się wkurzył, że zamiast do niego zajrzałam do Maynarda.

Lucy nie odpowiedziała. Udawała, że obserwuje Hueya, który podniósł

właśnie niewielki panel i przykręcał go na swoim miejscu.

– To możliwe – przyznała w końcu. – Drań ma oczy i uszy prawie wszędzie. Mógł dziad jeden po prostu zapukać do nas czy zostawić wiadomość, ale nie. Wolał nasłać nieumarłych, żeby zmiękczyć nieco towarzystwo albo uszczuplić je o kilka osób. Tak nam dał do zrozumienia, co o tym sądzi. Ciekawe, co by powiedział, gdybyśmy się zakradli na ten jego dworzec i otworzyli kilka zamków. Niech się pobawi ze zgnilasami we własnych pieleszach. Potraktowałby to jak wypowiedzenie wojny. Dlaczego nie, możemy na to iść.

Huey dokręcił ostatnią śrubkę i zakończył pracę. Odsunął się i zdjął

skomplikowane szklane ustrojstwo z czoła. Zawisło mu na moment na uszach, lecz szybko odpiął klamry podtrzymującego je paska.

– Zrobione, pani O’Gunning. Chciałbym ją naprawić lepiej, ale tylko tyle mogłem zrobić.

– Spisałeś się doskonale, skarbie. Nie wiem, jak mam ci dziękować.

Jeśli tylko czegoś zapragniesz albo będziesz potrzebował, daj mi znać.

Zamówię to u lotników, jak tylko pojawią się znowu w mieście.

– Dostanę więcej książek? – zapytał.

– Niech będzie więcej książek. Przywiozą ci tyle, ile zdołają zabrać na pokład obiecała.

Chłopak zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

– Wie pani. kiedy przyleci „Namaah Darling”?

– Wybacz, ale nie mam bladego pojęcia, kochanie. Dlaczego pytasz?

Chciałbyś przekazać jakąś wiadomość Fangowi?

– Tak – odparł. – Chciałbym mieć kilka książek po chińsku, a on wie, gdzie można je dostać. Wie też, które są dobre.

– Załatwione, kochanieńki. Będę na wieży w przyszły wtorek i wypytam o to. – Przesunęła ostrożnie palcami po jego włosach. Mimo sztywności palców gest ten wypadł zgodnie z jej zamierzeniem, czyli przyjaźnie. – Jesteś złotym chłopcem, Huey. Dobrym i mądrym.

– Dziękuję pani – mruknął, po czym wycofał się, nisko kłaniając, na korytarz Skarbców.

– On naprawdę dobrze mówi – zauważyła Briar.

– Chciałabym przypisać sobie tę zasługę, ale nie mogę. Ja mu tylko dostarczam książki, z których się potem uczy. – Przesunęła rękę w lewo, potem w prawo, w górę i w dół. – Wiesz? – powiedziała. – Chyba przez chwilę będę miała z nią spokój. Nie powiem, żeby była w pełni sprawna, ale mogę ją przynajmniej kontrolować.

– Czy to znaczy, że zrezygnowałaś na dobre z wizyty u Minnerichta? –

zapytała Briar.

– Może tak, a może nie. Daj mi kilka godzin na przemyślenie sprawy.

A co z tobą? Nadal masz ochotę przejść się aż na King Street, żeby go zobaczyć?

– Chyba tak. Poza tym jeśli Swakhammer się nie myli, nie możesz mnie ukrywać w nieskończoność. On już wie, że gdzieś tu jestem, więc nie spocznie, dopóki nie wykurzy mnie z kryjówki i nie zmusi, żebym przed nim stanęła. Nie chcę, Lucy, żebyś miała przeze mnie kolejne problemy.

– Przywykłam już do nich, kochanie. Cały czas mamy z czymś problem. Jeśli nie pójdzie o ciebie, doktorek da nam w kość z innego powodu. Co powiesz na to, żebyśmy naskoczyły na Squiddy’ego?

Sprawdzimy, czy nie zechce cię zaprowadzić do dawnej dzielnicy bankowej.

Coś ci powiem. Jeśli twój chłopak tam trafił, Squiddy będzie najwłaściwszym człowiekiem, by go odnaleźć.

Briar aż uniosła brwi ze zdumienia.

– Naprawdę? – Starła się przypomnieć sobie, o którym z klientów baru U Maynarda rozmawiają. – Ten chudzielec z bokobrodami i kozią bródką?

– Właśnie. To pokrecony stary sukinkot, ale kto z nas nie jest lekko stuknięty? Posłuchaj uważnie. Squiddy za młodu, kiedy był w wieku Hueya albo trochę młodszy, zajmował się drobnymi kradzieżami. Zanim postawiono tu mur, planował włam życia do jednego z tutejszych sejfów. Sam opracowywał wszystkie szczegóły skoku, stąd też zna okolicę jak nikt i wszystkie zakamarki... Coś mi się wydaje, że wkurzył się niemożliwie, gdy Kościotrzep go uprzedził. – Poruszyła raz jeszcze ręką i skrzywiła się. – Nie zrozum mnie źle, on jest naprawdę w porządku. Bywa ostry, choć umiarkowanie, i zawsze stara się pomagać. Na pewno cię nie oszuka ani nie zostawi na pastwę losu.

– To pocieszające – mruknęła Briar.

– Dajże spokój. A skoro o tym mowa, lepiej się pospiesz. Niedługo znów zapadnie zmierzch. O tej porze roku za murem mamy tylko kilka godzin dnia, lepiej więc bierzmy się za Squiddy’ego, jeśli chcesz coś tam zobaczyć. On już wie, że przyjdiesz. Wspomniałam mu, że powinien cię oprowadzić. Wyglądało na to, że zapalił się do tego pomysłu.

Briar znalazła go przy stole w sąsiednim pokoju. Grał w karty z Willardem i Edem. Odłożył je, gdy ją zobaczył, i uchylił kapelusza. Nie wiedziała, jak powinna odpowiedzieć, skinęła więc tylko głową.

– Witam – powiedziała. – Lucy twierdziła, że będziesz tak uprzejmy i oprowadzisz mnie w godzinke czy dwie po dzielnicy bankowej, zanim zajdzie słońce.

– Zgadza się. Nie mam nic przeciw pracy w dzień świąty. Proszę poczekać, tylko zbiorę swój sprzęt.

Squiddy Farmer był chudeuszem w uszach, ramionach i pasie. Nosił

rukrowate spodnie i zapinany pulower tak obcisły, że można było policzyć mu wszystkie zębra. Narzucił na siebie wełniany sweter, który chociaż sięgał

mu aż do bioder, miał tak niewielki otwór na głowę, że nawet on miał

problem z przecięnięciem się przezeń. W końcu jego siwa czupryna i nastroszone bokobrody wychynęły z drugiej strony.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując pełen zestaw uzębienia, które zdaniem Briar rzadko miało kontakt z czymś tak prozaicznym jak szczoteczka do zębów. Ze stoliczka, na który odłożył karty, zabrał kulisty hełm z wycięciem na twarz.

Gdy zauważył, że Briar przygląda mu się z nieskrywanym zdziwieniem, wyjaśnił:

– To jeden z modeli od Minnerichta. Powiedział, że mogę go sobie wziąć, bo nikomu się nie spodobał i tylko się kurzy na półce.

– Dlaczego? – zapytała. – Przecież działa.

– Owszem, i to nawet całkiem nieźle, tylko jest strasznie ciężki. No i muszę docinać do niego filtry. Ale to mi nie przeszkadza. Lubię mieć szerokie pole widzenia, kiedy wychodzę na zewnątrz. – Pokazał jej obłe szkło ciągnące się od ucha do ucha. Musiała przyznać, że maska wygląda obiecująco.

– Może kiedyś zaczniesz robić lepsze wersje.

– Słyszałem, że już nad tym pracuje – przyznał Squiddy – ale jeśli nawet wyprodukuje taki hełm, nie pozwoli mi się do niego zbliżyć. Jesteś gotowa do wyjścia?

– Oczywiście. – Pokazała mu swoją maskę.

– Zatem chodźmy.

Nałożył kulisty hełm na głowę. Wyglądał w nim jak lizak. Briar dopasowała maskę, idąc za nim. Miała przy tym wrażenie, że dopiero przed momentem się jej pozbyła, niemniej rozumiała, że musi ją nosić, jeśli chce żyć, i co ciekawe, zauważyła, że zaczyna się do niej powoli przyzwyczajać.

Przedostali się mrocznymi korytarzami do kolejnych posklepanych naprędce schodów, którymi zeszlizli na jeszcze niższy poziom, gdzie do ich uszu zaczęło dochodzić miarowe mruczenie pracujących machin.

Squiddy nie należał do ludzi zbyt często proszonych o pełnienie roli przewodnika, więc Briar niewiele mogła się dowiedzieć o mijanych miejscach. Na szczęście od czasu do czasu przypominał

sobie o obowiązkach i rzucał zdawkowe uwagi.

– Cały czas wstawiamy kolejne filtry do tuneli. – Wskazał koronkową konstrukcję leżącą pod ich stopami. – To eksperyment.

– Jakiego rodzaju?

– Jak by to powiedzieć... Jeśli teraz chcemy gdzieś utrzymać czyste powietrze, pompujemy je tam aż znad muru. Jakiś czas temu ten nasz chiński chłopczyk stwierdził, że to może nie być konieczne. Powiedział, że oczyszczenie powietrza z gazu może wcale nie być trudniejsze i bardziej pracochłonne niż sprowadzanie tutaj czystego. Nie wiem, czy jest w tym choć odrobina racji, ale wielu naszych uznało, że warto spróbować.

– Pompowanie powietrza z tak wysoka musi być potwornie uciążliwe.

– Jest, oj, jest – przyznał.

Kratownice pod ich stopami brzęczały przy każdym kroku. Dotarli nimi do pomieszczenia z trzema parami jednakowo zabezpieczonych drzwi.

Squiddy poprawił bańkowaty hełm i sięgnął do jednej z trzech dźwigni wystających z podłogi.

– To najdalej wysunięta część podziemnych korytarzy – poinformował

ją. – Wyjdziemy z nich, a potem wrócimy środkowymi drzwiami. – Pokazał

je palcem. Z zewnątrz ich nie widać. Zadbaliśmy o to. Muszą być bardzo szczelnie zamknięte, bo gaz po drugiej stronie ma największe stężenie.

– Rozumiem – odparta. – Tutaj, w centrum, musi być najgorzej.

– Masz nowe filtry w masce?

– Zmieniłam je, zanim opuściliśmy Skarbce.

Chwycił dźwignię i naparł na nią z całej siły.

– Świetnie. Tutaj nie obowiązuje zasada ośmiu albo nawet dziesięciu godzin. Twoje filtry nie wytrzymają więcej niż dwie, góra trzy godziny.

Idziemy w pobliże szczeliny.

– Naprawdę?

– A jakże. – Dźwignia przesunęła się niemal do podłogi. Dołączony do niej niewidoczny łańcuch zabrzączał pod podłogą i masywna konstrukcja oderwała się wolno od framugi. – Dziura, z której wydobywa się gaz, jest dokładnie pod tutejszym oddziałem First Bank. Tam Kościotrzep zszedł

najgłębiej i tam gaz ma największe stężenie. I to jest zła wiadomość.

– Z twoich słów wynika, że masz też dobrą wiadomość – zauważyła Briar, gdy drzwi zaczęły się odchyłać, odsłaniając to, co zostało z dawnej dzielnicy finansowej.

– Jasne, mam też dobrą wiadomość! – zapewnił ją. – Otóż w tej okolicy nie ma tyłu zgnilasów co na peryferiach miasta. Gaz jest dla nich równie żrący jak dla nas, więc trzymają się z dala, a te, które tutaj zabłądzą, dość szybko padają. To mi o czymś przypomniało. Zapnij porządnie płaszcz. Mam nadzieję, że wzięłaś rękawice?

– Oczywiście – zapewniła go, pokazując obie dłonie.

– Dobrze. Naciągnij mocniej kapelusz, jeśli się da, to aż na uszy. Nie ma sensu odsłaniać ani kawałka skóry, jeśli można tego uniknąć. Zguba może cię poparzyć – ostrzegł z poważną miną. – A to boli, jakbyś oparzyła się o kuchenkę. Odbarwi ci też włosy, chociaż widzę, że masz już na nich złotawy nalot.

– Raczej pomarańczowy – poprawiła go z markotną miną. – Miałam kruczoczarne włosy, ale deszcze ze Zgubą narobiły mi sporo pasemek.

– Jeśli nie masz chusty, wetknij je pod kołnierz płaszcza. Zyskasz dodatkową osłonę karku.

– Świetny pomysł – przyznała i natychmiast zastosowała się do jego rady.

– Gotowa?

– Tak.

Jego koścista pociągła twarz falowała za nierównym szkłem wypukłego wizjera hełmu.

– No to ruszajmy – powiedział. – Zachowuj się jak najciszej, ale nie musisz się aż tak bardzo przejmować jak dotąd. Jak mówiłem, tutaj nie ma ich zbyt wiele. – Rzucił okiem na sztucer. – Jeremiasz twierdzi, że jesteś niezłym strzelcem.

– Bo jestem.

– Też dobrze – mruknął. – Ale powinnaś wiedzieć, że jeśli w tej okolicy dojdzie do strzelaniny, to istnieją spore szanse, że twoim celem nie będą zgnilasy. Minnericht ma wielu przyjaciół, choć bardziej pasuje do nich określenie „podwładni”. Czasami patrolują te okolice. To granica pomiędzy dawnym Chinatown a magazynami kolejowymi. Pamiętasz? Budowano tutaj nowy dworzec kolejowy, zanim zaczęto stawiać mur.

– Tak – mruknęła i zanim zdążył coś powiedzieć, dodała jeszcze: –

Słyszałam, że ten Minnericht mieszka w jej podziemiach.

– Też mi się to obilo o uszy. – Napał na drzwi, odsuwając je jeszcze o kilka stóp. Otwierały się nie

tylko w pionie, sunęły także w górę. Dopiero gdy otworzyły się całkowicie, Briar zrozumiała, że korytarz za nimi biegnie ostro pod górę.

– Widziałeś go kiedyś? – zapytała. – To znaczy Minnerichta?

– Nie widziałem – odparł Squiddy, odwracając głowę.

– Naprawdę? Jak to możliwe?

Przytrzymał drzwi, aby mogła przejść. Wyszła na zewnątrz w miejscu znajdującym się głęboko pod ziemią, w górze nad ich głowami widać było poszarpane krawędzie zapadniętej ulicy. Promienie popołudniowego słońca oświetlały jedną ze ścian pionowej studni.

– Normalnie – burknął. – Co w tym dziwnego?

– Przed chwilą twierdziłeś, że dał ci ten hełm. Słyszałam też, że miewasz u niego od czasu do czasu długi. Dlatego sądziłam, że go spotkałeś.

Zapytałam z czystej ciekawości. Chciałam się dowiedzieć, jak wygląda. – W

tym momencie uprzytomniła sobie, że musiał słyszeć plotki o pochodzeniu doktora, jak każdy w tym mieście zresztą, więc chociaż nie był świadkiem jej rozmowy ze Swakhammerem i Lucy, powinien się domyślać powodów jej zainteresowania tajemniczym wynalazcą.

Przewodnik zniknął za jej plecami i zamknął dokładnie uchylne drzwi.

Gdy wpasowały się we framugę, nie sposób ich było wypatrzyć. Od zewnątrz pokryto je warstwą gruzu i odpadków. Kiedy otwierały się przed kimś, musiał mieć wrażenie, że sama ziemia rozwiera przed nim swe czeluści.

– Przyznaję, wisiałem mu parę razy jakieś drobne kwoty – odparł w końcu Squiddy. – Ale tak naprawdę to był dług zaciągnięty u jego ludzi.

Kiedyś trzymałem z nimi przez jakiś czas. Krótki czas – dodał pośpiesznie. –

Ale nigdy dla niego nie pracowałem. Czasem posyłano mnie z jakąś mniej ważną sprawą, płacąc za to dodatkową gorzałką albo jedzeniem. – Mówiąc te słowa, stał obok drzwi z taką miną, jakby chciał się podrapać po głowie, gdyby to tylko było możliwe. – Jak odgradzono nas murem od reszty świata, nie od razu połapałem się w sytuacji. A przez pierwsze kilka lat było naprawdę trudno. Chociaż teraz też nie jest zbyt lekko, co widać. W tamtych czasach człowiek był gotów zabijać, żeby tylko mieć dostęp do powietrza.

Walczyliśmy ze zgnilasami o każdy zgniły owoc albo zabitego szczura.

– Robiłeś, co było konieczne. Ja to rozumiem.

– Tak było, tak było. Cieszę się, że należysz do ludzi wyrozumiałych. –

Wyszczerzył poźółkłe zęby w uśmiechu. – Wyglądałaś mi na taką osobę.

Pochodzisz skąd trzeba.

Z początku nie zrozumiała ostatniego zdania, lecz zaraz przypomniała sobie, dlaczego ją tak szybko przygarnęli.

– Cóż... – mruknęła, nie wiedząc, co powinna powiedzieć.

Przez ostatnie dwadzieścia lat udawiała wszystkim wokoło, że w niczym nie przypomina swojego ojca, a teraz zawdzięczała jego reputacji możliwość przeżycia w tym okropnym miejscu.

Zastanawiała się przy okazji, co by pomyślał, gdyby się o tym dowiedział. Osobiście uważała, że przejąłby się tym bardzo, ale nie była tego do końca pewna. Czyż nie myliła się co do niego już kilka razy?

– Dziękuję za te miłe słowa – powiedziała i na tym zakończyła rozmowę. Żadnych pytań więcej. Wolą słuchać ciszy niż kolejnych łgarstw.

– Powiedz, czego tu właściwie szukasz?

– Jakiegoś znaku – odparła. – To znaczy śladów mojego syna. Czegoś, co mogłoby wskazywać, że tutaj był.

– Na przykład czego?

Rozmyślała nad odpowiedzią, wspinając się po osypisku. Nad jej głową obok postrzępionej krawędzi zapadniętego bruku wisały resztki spróchniałych desek, którymi kiedyś wykładano chodniki. Drzazgi z nich sypały się jej na rondo kapelusza. Wiatru ucichł, wokół panowała idealna cisza. Czują się, jakby stanęła na dnie zastalego stawu, kłęby żółtawej zawiesiny wisały, gdzie tylko spojrziała. Przeraziła ją nawet myśl, że lada moment świat zamrze i zostanie uwięziona w tej mgle jak owad w bursztynie.

– Na przykład czegoś, co wygląda inaczej niż za twoją ostatnią bytnością tutaj – odparła. – Nowe odciski stóp czy coś w tym rodzaju. Sama nie wiem. Musisz mi mówić, co widzę, bo nie bardzo się orientuję w tej okolicy. Gdzie my właściwie jesteśmy?

– W miejscu, którym kiedyś sunął Kościotrzep. Jakiś czas później ulica się zapadła. Stoimy teraz na jej resztkach, ale tam – wskazał palcem w górę –

jest ta część dzielnicy, która ocalała. Bruk, chodniki i wszystko, co przetrwało katastrofę przed szesnastu laty.

– Niesamowite – mruknęła. – Strasznie tu ciemno. Prawie nic nie widzę.

– Przepraszam, powinienem zabrać lampę.

– Nie musisz przeproszać – zapewniła.



Ruszyła w kierunku przeciwległego krańca zapadliska i zobaczyła przed sobą niemal okrągły, choć mocno poszarpany wylot tunelu, który prowadził w głąb ziemi. Nie potrafiła przebić panujących w nim ciemności, więc nie wiedziała, czy gdzieś prowadzi czy zaraz się kończy.

– Halo! – zawołała bez wielkiego przekonania. Zdziwiłaby się mocno, gdyby usłyszała jakąś odpowiedź, ale ta nie nadeszła.

– Możemy wyjść na poziom ulicy, jeśli chcesz – odezwał się Squiddy.

– Tędy. – Poprowadził ją wąską ścieżką, wskazując deski i cegły, które zostały mocno przytwierdzone do ściany zapadliska. – Stromo tu, ale w miarę bezpiecznie. Z góry będzie lepszy widok.

– Świetnie. Idę za tobą.

Wspiął się na górę bez większych problemów, zwinnie i szybko, jakby miał o połowę lat mniej niż w rzeczywistości. Nie zatrzymał się nawet na moment, dopóki nie stanął na krawędzi urwiska przodem do mrocznej dziury.

Briar szła tuż za nim, przyjęła bez wahania jego dłoń, gdy zaoferował jej pomoc. Wciągnął ją na ulicę i wyszczerzył zęby w hełmie.

– Pięknie tu, nieprawdaż?

– O tak.

Gdyby ktoś kazał jej opisać to, co zobaczyła, na pewno nie użyłaby słowa „pięknie”. Gdyby nie знаła tak dobrze tej historii i nie wiedziała, gdzie jest, pomyślałaby, że to miasto padło jakiś czas temu ofiarą wojny.

Rozpościerająca się przed nią panorama równie dobrze mogła być efektem jakiegoś gigantycznego wybuchu czy innej plagi bożej. Tam gdzie kiedyś znajdowały się skarbcce pełne gotówki i budynki wiecznie pełne ludzi, teraz widniała szeroka głęboka szrama w ziemi. Powoli zablizniająca się rana, którą z czasem wypełniało coraz więcej gruzu z walących się resztek ścian.

Zauważyła coś, co skojarzyło się jej ze stosem rzecznych otoczków, ale gdy przyjrzała się dokładniej, zrozumiała, że to ludzkie czaszki, pokruszone i poszarzałe. Stoczyły się w płytkie zagłębienie i spoczywały z dala od reszty zapomnianych ciał.

Briar musiała walczyć o każdy oddech. Po ostrzeżeniu wypowiedzianym przez Squiddy’ego nie dziwiło jej to jednak. Niemniej wciągnięcie tu wystarczającej ilości powietrza do płuc wiązało się z niemałym wysiłkiem, filtry zapychały się błyskawicznie gęstą zawiesiną Zguby. Czuła się, jakby musiała oddychać, mając na twarzy gruby materac.

Jakim cudem ma się dowiedzieć, czy jej syn się pojawił w tym piekielnym miejscu?

Spoglądając w dół rozpadliny, nie widziała żadnych ścieżek ani szlaków, nie potrafiła nawet

dostrzec tego, którym się tutaj dostali. Na takim rumowisku nie sposób zostawić odcisku stopy. Nawet słoń przedostałby się tędy, nie zostawiając po sobie żadnych śladów.

Zalała ją fala bezradności. Zadrżała pod jej naporem, ale szybko zebrała wszystkie siły, by ją odeprzeć, chwytając przy okazji każdą myśl pozwalającą na zachowanie nadziei. Zabrakło jej jednak pomysłów. Nie byłaby w stanie namierzyć nawet całej armii Ezekielów, którzy by tędy przeszli. Dlatego wmawiała sobie nieustannie, że nie, nie może wskoczyć do tego mrocznego tunelu o tak wielkim przekroju, że dałoby się w nim postawić spory dom. Jej Zeke nie kona, dusząc się z braku powietrza, gdzieś na dnie dziury wyrytej przez jego ojca, zanim chłopak przyszedł na świat.

Nie, przecież musiał wiedzieć, że tutaj nie da się zbyt długo oddychać. Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Nie było go tutaj – powiedziała, a jej słowa odbijały się echem we wnętrzu maski.

– To chyba dobrze? – zapytał Squiddy. Jego krzaczaste brwi drgnęły nerwowo za szkłem wizjera. – Wolałabyś, żeby go tutaj nie było, co?

– To prawda – przyznała.

– Możemy tu wrócić jutro o świcie. Wtedy da się zajrzeć do tunelu. To nie zajmie wiele czasu. Jeśli nawet udało mu się tam zejść, nie oddalił się zbyt daleko.

– Może – pisnęła. – Tak. Nie wiem. Może. Robi się ciemno – dodała, ponieważ nie potrafiła się zdecydować na jedną odpowiedź. Która godzina?

– Tutaj zawsze jest ciemno – odparł. – Nie mam pojęcia, która godzina.

Za to jestem pewien, że zbliża się pora lunchu. Co zamierzasz teraz zrobić?

Na to pytanie też nie знаła odpowiedzi. Ale spróbowała ją znaleźć.

– A masz jakiś pomysł? Gdzie powinniśmy się jeszcze rozejrzeć? Czy tu w pobliżu są jeszcze jakieś kryjówki albo miejsca, gdzie dostarczane jest czyste powietrze?

Pękaty baniak obracał się tam i z powrotem, gdy Squiddy omiatał

wzrokiem najbliższą okolicę.

– Chyba nie mam żadnego pomysłu. Najbliższym miejscem, gdzie można swobodnie oddychać, jest noclegownia tutejszych Chińczyków.

Trzymają się blisko swojej dawnej dzielnicy, to w tamtym kierunku –

wskazał ręką.

– A doktor Minnericht?

– Tam mieszka. – Przesunął rękę o jakieś dziewięćdziesiąt stopni. –

Mniej więcej w takiej samej odległości. Tunele, z których wyszliśmy, są tu jedynym schronieniem z dostępem do czystego powietrza, ale wątpię, żeby wszedł do nich ktoś, kto nie ma pojęcia o ich istnieniu.

W mroku majaczyło miejsce, gdzie opuścili podziemia.

– Nie wątpię, że masz rację – przyznała Briar, ciesząc się, że Squiddy nie może dostrzec wyrazu jej twarzy, tak samo jak ona nie widziała jego oblicza.

Wrócili razem na dno tunelu, mając nad głową stopniowo ciemniejące bure sklepienie nieba. Drzwi zamknęły się za nimi z głośnym cmoknięciem, odcinając oświetlany przydymionym światłem płomieni świat machin od śmiertelnego zagrożenia.

– Przykro mi – powiedział Squiddy, nie zdejmując helmu, ponieważ nie minęli jeszcze przepisowych dwóch barier. – Chciałem znaleźć jakieś jego ślady. Szkoda, że się nie udało.

– Dzięki, że zabrałeś mnie na górę – odparła. – Nie musiałeś tego robić, dlatego tym bardziej jestem wdzięczna. Chyba już pójdę. Sprawdzę, jak się miewa Lucy. Jeśli nadal ma na to ochotę, może pójdziemy odwiedzić tego waszego doktorka.

Squiddy nie odpowiedział od razu, jakby najpierw musiał przeżuć rodzące się w jego głowie słowa.

– To może być całkiem rozsądny pomysł – rzekł po chwili. – Szanse na to, że doktor Minnericht odnalazł twojego syna i sprowadził go do siebie, też są duże. Któryś z jego ludzi mógł to zrobić. On ma swoje wtyczki niemal wszędzie.

Briar poczuła w krtani ucisk, jakby ktoś jej wpakował tam całą pięść.

Ta myśl przyszła jej już do głowy i chociaż Briar była absolutnie, całkowicie, stuprocentowo pewna, że ten człowiek nie może być jej byłym mężem...

nadal odczuwała ogromny niepokój. Jeśli była kiedykolwiek za cokolwiek wdzięczna, to chyba za to, że Zeke nie miał nigdy okazji spotkać swojego ojca. Dlatego robiło się jej niedobrze na samą myśl, że ktoś mógłby się teraz za niego podać.

Zamiast wykrzyzczyć te obawy tutaj, przez grubą skórę maski, czego naprawdę bardzo pragnęła, odchrząknęła tylko i powiedziała:

– Powiadasz, że doktor ma ludzi, którzy dla niego pracują? Wiele o nich słyszałam, ale jeszcze żadnego nie widziałam.

– Może tak uważasz dlatego, że nie noszą mundurów, po których można by ich poznać – odparł Squiddy. – Dość łatwo jednak wyłowić ich z tłumu. To przeważnie uziemieni lotnicy i handlarze, którzy przychodzą i odchodzą. Albo chemicy pracujący dla niego. Nasz doktor nie ustaje w wysiłkach, szukając nowych sposobów pozyskiwanie soku albo ulepszenia już znanych. Czasami

pracują dla niego wielkie draby zza muru, choć zdarzają się też zwykli narkomani, z tym że oni wykonują tylko drobniejsze roboty w zamian za narkotyki. Doktorek zebrał małą armię po tej stronie muru, jeśli chcesz znać prawdę. Ale skład jego oddziałów każdego dnia jest inny.

– Mówisz tak, jakby przewijały się przez nie tłumy ludzi. Czy to oznacza, że doktorek ma trudny charakter?

– Jeszcze jak – wymamrotał i zaraz dodał: – Tak przynajmniej słyszałem. Ale ty jesteś tutaj nowa i nie szukasz problemów, tylko syna. Nie sądzę, żeby chciał ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić. To biznesmen. A skrzywdzenie kogoś takiego jak ty chyba mogłoby zaszkodzić jego interesom. Tak przynajmniej ja to widzę. Ludzie, którzy dla niego pracują, nadal darzą ogromnym szacunkiem twojego ojca.

Minęła go i ruszyła tunelem prowadzącym do kwater. Nie odwracając się, zapytała:

– Z tego co słyszałam, Minnerichta to akurat nie dotyczy. Ponoć nie dba specjalnie o zachowanie pokoju, bał coś takiego nie bardzo mu leży.

– Możliwe – stwierdził. – Ale sądząc po tym, co widziałem, należysz do kobiet, które potrafią zadbać o siebie. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo.

– Naprawdę? Sztucer obijał się jej rytmicznie o plecy.

– Oczywiście. Jeśli nie będzie niczego chciał od ciebie, a na to wygląda, zostawi cię w spokoju.

Zatem tu jest pies pogrzebany. Doktorek mógłby czegoś od niej chcieć.

Jeden Bóg tylko wie, co by to mogło być, lecz jeśli już wie o jej obecności w mieście i zechce bronić swojej reputacji, z pewnością uznał ją za swojego wroga numer jeden. Nie zdjęła maski, dopóki nie minęła kolejnej kurtyny i nie usłyszała kojącego sapania miechów.

– Czas pozbyć się maski – oświadczyła.

– Skoro już o tym wspomniałaś, i ja zdejmę hełm.

Briar zsunęła kapelusz na plecy i wyplątała paski uprzęży z włosów.

– Nie tak szybko, złotko. – Lucy rozsunęła pasy skóry po przeciwnej stronie korytarza. – Na twoim miejscu nie rozgaszczałabym się jeszcze. Jeśli chcesz zobaczyć doktora, rzecz jasna.

– Witam. – Squiddy pozdrowił ją, przykładając palec do hełmu. Zdjął

go potem i dodał: – Mam nadzieję, że mnie te słowa nie dotyczą. Mam na dzisiaj dość łażenia po powierzchni. Jak wytykam tam głowę w hełmie, za każdym razem oddycha mi się trudniej.

– Nie, Squiddy, nie mówiłam do ciebie. Ale cieszę się, że spotkałam was oboje. Domyślałam się, że powinniście wracać mniej więcej o tej porze.

Jeśli wolno mi zauważyć, Briar, widzę na twojej twarzy smutek, ale nie rozpacz. Nie znaleźliście na górze żadnych śladów?

Briar pokręciła głową.

– Nie. Nie szukaliśmy wprawdzie zbyt długo, ale jak zapewne wiesz, nie ma tam wiele do oglądania.

– Święta prawda – przyznała jednoręka barmanka. – Okolica wygląda, jakby nielecha bomba tam wybuchła, i tak już chyba zostanie. Bo i któż by chciał zadać sobie trud i odbudowywać to zatrute cmentarzysko? Mamy tu ważniejsze rzeczy do roboty, a do tego zadania zabrakłoby nam ludzi, nie mówiąc już o zapasach filtrów. Toteż wszystkie te zapadnięte budynki będą tam sobie stały i rozpadały się do reszty.

– Nie da się tego zmienić – przyznała Briar. – Przyznam jednak, że jestem zdziwiona, widząc cię tutaj.

– Moja ręka znów działa, ale tymczasowe rurki zrobione przez Hueya są znacznie mniej trwałe, niż przypuszczałam. Muszę ją nosić na temblaku, żeby znowu coś nie strzeliło. – Potrzebowała chwili, by podejść bliżej i dokończyć myśl. Prawda jest taka, że nie da się żyć bez choćby jednej sprawnej ręki. Nic mam zamiaru zmuszać cię, żebyś poszła ze mną. Byłabym ostatnią osobą, która by cię namawiała, gdybyś odmówiła. Niemniej po naszej porannej rozmowie pomyślałam, że...

– Dobrze. Nie ma sprawy. Po tym wszystkim co powiedziałaś mi o tym człowieku, chętnie poznam go osobiście. – Wbiła pięść w wewnętrzną stronę sztywnej maski, by ją znów uwypuklić. – Wyglądam na zaskoczoną tylko dlatego, że na zewnątrz robi się już ciemno, a z tego co wiem, nie lubicie być na zewnątrz po zmroku.

Zanim Lucy zdążyła otworzyć usta, Squiddy wtrącił swoje trzy grosze.

– Dotarcie stąd na King Street to bułka z masłem – powiedział. – Ale ty, Lucy, nie zamierzasz chyba wędrować ulicami? Czy ja dobrze widzę, że masz przy plecaku dwie lampy? – Wskazał ręką na obwisły worek, który przerzuciła przez sprawne ramię.

– Tak, zabrałam dwie lampy i dodatkową miarkę nafty.

– Noszenie zapalonych lamp nie jest chyba zbyt rozsądnym pomysłem

– stwierdziła Briar. – Tym sposobem ściągniemy sobie na głowę wszystkich zgnilasów z okolicy.

– I co z tego? – prychnęła Lucy. – Będziemy poza ich zasięgiem. Poza tym nie możesz się zakraść na teren doktora. Najlepiej dotrzeć do niego w pełnym blasku i z przytupem, niech sobie nie myśli, że się czaimy. Dlatego przyszedłam tutaj, mając nadzieję, że was spotkam. Najkrótsza, najjaśniejsza i najgłośniejsza droga do posiadłości Minnerichta wiedzie tunelem leżącym na południe stąd, dlatego nie będziesz musiała wracać na powierzchnię.

Mimo że Briar nadal chciała wyruszyć, jej motywacja słabła z każdą chwilą.

– Nie sądzisz, że dzisiaj jest już za późno na takie wypadki?

– Za późno? Skąd. To tylko tak wygląda ze względu na porę roku, otaczający nas mur i gęstość Zguby w tym miejscu. Tutaj człowiek czuje się tak, jakby słońce nigdy nie wschodziło, nie więc dziwnego, że nie wiemy, kiedy zachodzi. – Poprawiła pas na ramieniu, opierając plecak w zagłębieniu nad biodrem. – Posłuchaj, kochanie, nie musisz ze mną iść, jeśli nie masz ochoty. Wrócę i poproszę Jeremiasza, on mnie odstawi o świcie. Spieszy mi się, ale nie aż tak bardzo, żebym nie przeżyła kolejnej nocy z na wpół

sprawną ręką. Może zresztą lepiej będzie, jeśli nie pojawisz się tam tak szybko.

Poczucie winy zwyciężyło nad nerwowością, a gdy Briar pomyślała, że Minnericht może jej powiedzieć coś na temat zaginionego syna, nie miała wyjścia.

– Nie, nie – zapewniła. – Pójdziemy dzisiaj, teraz. Pozwól mi tylko wymienić filtry. Te nie były świeże, więc wątpię, by wytrzymały drugą wycieczkę w te okolice.

– No tak, jasne. Mam nadzieję, że Squiddy ostrzegł cię przed tym.

– Oczywiście – zapewniła ją Briar, wykręcając stare filtry i wkładając na ich miejsce całkiem nowe. – Był naprawdę dobrym przewodnikiem i bardzo się cieszę, że mogłam iść tam w jego towarzystwie.

– Szkoda tylko, że nie udało się znaleźć twojego syna – powtórzył.

– To akurat nie twoja wina. Warto było jednak spróbować. Teraz nie mam już żadnych sensownych tropów prócz samego Minnerichta. – Nałożyła przykrywkę na komorę filtra i wcisnęła ją. – Mam ci pomóc nieść plecak? –

zapytała Lucy.

– Nie, kochanie, nie trzeba. Ale zapytaj za jakąś godzinę, może zmienię zdanie.

Perspektywa wyjścia na zewnątrz działała kojąco, aczkolwiek Briar nie wiedziała, z czego jednoręka kobieta może się tak cieszyć. Poczucie własnego kalectwa w tak niebezpiecznym środowisku powinno ją raczej przytłaczać.

– Skoro zamierzacie wyjść na zewnątrz – rzucił tymczasem Squiddy –

nie będę was zatrzymywał i wrócę do siebie. W pokoju po zachodniej stronie kotłowni toczy się ostra gra. Chińczycy co rusz muszą biegać po kolejne złote przedmioty. Może nie wygram żadnego, ale przynajmniej sobie na nie popatrzę. – Znów wyszczerzył zęby.

– W takim razie ruszaj, wracaj do Skarbców. A my ruszamy do siedziby doktora. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, powinniśmy wrócić przed nocą – oświadczyła Lucy.

Squiddy zniknął w tunelu, którym przysła jednoręka kobieta, za brązowymi pasami skóry, spiesząc do kart i znajomych czekających na niego w tunelach, a one, stojąc obok siebie, słuchały jego

cichnącego w oddali człapania.

## ROZDZIAŁ 21

Gdy Squiddy zniknął im z oczu, Lucy odwróciła się do swojej towarzyszki.

– Gotowa? – zapytała.

– Oczywiście. Prowadź... – odparła Briar, obserwując nerwową szamotaninę jednoręki barmanki.

– Mam ci pomóc z maską?

– To chyba dobry pomysł.

Dopasowała miękką część twarzową, by ściśle przylegała do policzków Lucy, i pozapinała sprzączki za uszami. Zauważyła, że jej jednoręka przyjaciółka zmieniła lekką maskę, którą miała przy sobie w barze, na znacznie solidniejszy model.

– Nie przyszczypałam ci przypadkiem włosów?

– Nie, dziecino. Jest dobrze. Wielkie dzięki. – Uśmiechnęła się dla dodania sobie odwagi, wyprostowała plecy i dodała jeszcze: – Czas ruszać.

Pomożesz mi przy otwieraniu drzwi tu i tam. Droga jest na tyle szeroka, że niemal cały czas będziemy mogły iść obok siebie, więc lepiej trzymaj się blisko mnie.

– Jak daleko musimy iść?

– Nie dalej niż milę. Z tym że będziemy się wspinać po schodach i czołgać po różnych ciasnych korytarzach, więc można powiedzieć, że zmęczymy się jak po przejściu dwóch mil.

Lucy nie żartowała. Nie mogła też utrzymać lampy w uszkodzonej ręce, Briar zatem musiała ją wziąć od niej i oświetlać drogę. Przez płataninę tuneli, zapór i kotar dotarły do pomieszczenia z rozklekotanymi schodami za uszczelnionymi drzwiami. Briar otworzyła je i ruszyła w górę, mając cały czas na oku idącą za nią Lucy. Mechaniczna ręka barmanki znów zaczęła przeciekać i nie nadawała się do niczego.

Briar spełniła prośbę Lucy i przywiązała jej rękę do ciała najsilniej, jak potrafiła. Od tej pory to ona szła przodem, gdy trafiały na jakieś zwięźnienie.

Przedostając się z jednego budynku na dach następnego, zmierzały coraz dalej na południe, aż w końcu dotarły tak blisko muru, że po wyjściu na kolejny dach ujrzały nad sobą jego mroczny kształt przesłaniający sporą część nieba.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Briar.

Ten dach nie przypominał poprzednio mijanych miejsc. Dziury połatano w nim kawałkami sklejki i mocno już pordzewiałymi metalowymi słupkami. Nad głowami natomiast miały ciąg trapezów, na

których powieszono wąskie kładki przesuwane pociągami dźwigni.

– Ten budynek? Nie wiem. Zdaje się, że kiedyś był tutaj hotel. A teraz... cóż, to coś w rodzaju stacji kolejowej. Nie twierdę bynajmniej, że mamy tu jakieś pociągi, bo nigdy nie było żadnego, ale...

– Ale to taki wasz rozjazd – podsumowała Briar.

Cofnęła się kilka kroków od zbitej z płyt wiórowych tablicy wielkości solidnego wozu i uniosła wyżej latarnię, by odczytać namalowane czerwoną farbą napisy. Była tam lista nazw i wskazujące kierunek strzałki.

– Widzisz? – rzuciła Lucy, wskazując na tę swoistą mapę. – Chcemy się dostać na King Street. Strzałka obok nazwy wskazuje, którą kładkę należy przyciągnąć.

– Czyli tę tu... po prawej.

– Nie, następną, widzisz? Tam jest dźwignia. Pociągnij ją z całych sił.

Briar przymierzyła się do drążka, który kiedyś był zwykłym kijem od miotły. Teraz miał barwę zieloną, identyczną jak strzałka na planie, co było całkiem sensownym pomysłem, uznała. Gdzieś nad jej głową zagrzechotał

przesuwający się łańcuch, odgłosowi temu towarzyszył jęk protestu wydawanego przez pordzewiały metal. Briar zauważyła ostre kontury czegoś ciemnego przemykającego jej nad głową. Gdy podłużny kształt opadł niżej, zrozumiała, że to polana smołą szeroka deska.

– Bez obaw, nie jest lepka – poinformowała Lucy, zanim Briar zdążyła zapytać. – Smoła chroni drewno przed wilgocią i Zgubą, ale posypaliśmy ją grubo trocinami, żeby nie była śliska. Wchodź na nią. Jest o wiele bardziej wytrzymała, niż się zdaje.

Wąska platforma miała wokół wysokie poręcze, wejść na nią można było dwójgciem drzwi – z przodu i z tyłu. Podpory wyglądały na tyle solidnie, że mogłyby utrzymać napór solidnego stada bydła.

– No, dalej – zachęcała barmanka. – Wsiadaj do wagonika. Zmieścimy się obie i jeszcze zostanie sporo miejsca.

Briar skorzystała z rady, a Lucy natychmiast dołączyła do niej, wspinając się z trudem, jako że bez pomocy rąk miała problemy z utrzymaniem równowagi. Briar musiała ją podtrzymać, by nie upadła.

– Mam iść po tym czymś?

– Zgadza się.

Kładka, na którą się dostały, niknęła w plątaniu innych podwieszanych tras, wind i dziwnych ustrojstw służących do transportu ludzi.

Kończyła się w oddali na szerszym pomoście łączniku. Lucy wskazała głową zieloną linię ciągnącą



się środkiem i cztery deski w tym samym kolorze przy wejściu. Jej oczy biegały jednak niespokojnie za wizjerem maski i moment później odezwała się zniżonym głosem:

– Nie oglądaj się teraz. Nie jesteśmy tu same. Ktoś jest powyżej, na tym dachu po prawej, i jeszcze jeden poniżej, w oknie po lewej.

Briar nie odwróciła głowy, ale sprawdziła dokładnie miejsca wskazane przez jednoręką barmankę. Lucy miała rację. Na dachu po prawej, w samym rogu, leżał mężczyzna w masce, z długim karabinem, przypatrujący się ich poczynaniom. W oknie po drugiej stronie majaczyła czarna sylwetka człowieka w kapeluszu, z zasłoniętą twarzą, także uzbrojonego. On również nie krył swojej obecności, jakby nie zależało mu na tym, czy ktoś go zauważy.

– To strażnicy? – zapytała Briar.

– Nie przejmuj się nimi aż tak bardzo. Przychodzimy z właściwej strony i nie czaimy się. Nie powinni nas zaczepiać.

– Czają się tu na przybyszów z zewnątrz?

– Na nowych, zgnilasów i niechcianych klientów – wyliczyła Lucy.

– Ja jestem tu nowa – zauważyła Briar.

– Oczywiście. Ale mnie dobrze znają.

– Może powinnam ich zapytać... – zaczęła.

– O co? – przerwała jej barmanka.

– O Zeke’a. Są przecież strażnikami. Mogli widzieć mojego syna, skoro pilnują tej okolicy.

Lucy pokręciła głową.

– Nie teraz. I nie ich. Ci ludzie nic ci nie opowiedzą, nawet gdyby coś wiedzieli. Większość z nich to zwykli najemnicy. Nie są zbyt przyjaźnie nastawieni. Daj im święty spokój.

Briar wyluskała jeszcze jednego uzbrojonego strażnika na innym dachu, a potem czwartego.

– Zawsze tylu ich tu sterczy? – zapytała.

Lucy patrzyła akurat w zupełnie innym kierunku, co oznaczało, że wypatrzyła też piątego.

– Czasami – mruknęła, lecz zabrzmiało to nieprzekonująco nawet w jej uszach. – Ale jak na komitet powitalny jest ich tu rzeczywiście wielu.

Ciekawe, o co może chodzić tym razem.

Nie było to zbyt pocieszające stwierdzenie, Briar jednak powstrzymała się od sięgnięcia po broń, nie przyspieszyła też kroku, przemierzając wąską kładkę zbudowaną z oblepionych lepikiem desek i grubych rur, wiszącą wysoko nad kłębami Zguby pokrywającymi ulicę poniżej.

– Dobrze i to, że żaden nie celuje do nas – mruknęła.

– To prawda. Może mają jakieś problemy na stacji. Albo czekają na kogoś. Kochanie, czy mogę cię prosić o przysługę?

– Czego ci trzeba?

– Trzymaj się nieco bliżej mnie. Ta część pomostu jest najbardziej nierówna, a ja bez rąk łatwo tracę równowagę.

Briar przełożyła sakwę i sztucer, żeby nie trącać nimi Lucy, potem objęła swoją towarzyszkę wędrówki w pasie i pomogła jej pokonać najgorszy odcinek kładki. Na końcu musiała pociągnąć jeszcze jedną dźwignię, która sprowadziła identyczną windę jak na pierwszym dachu.

– To już ostatnia – zapewniła ją Lucy. – Zwiezie nas na dół, do piwnicy. Widzisz już zabudowania dworca?

Briar wytrzymała wzrok i przez moment wydawało jej się, że dostrzega w żółtawym tumanie jasny krąg przedzielony dwiema czarnymi liniami.

– Tam? – wskazała.

– Zgadza się. To wieża zegarowa. Zdążyli ją ukończyć tuż przed tym, jak uderzyła w nas Zguba. A tutaj – wyjaśniła, gdy mechanizm windy zaskoczył i platforma zaczęła się opuszczać – miała być bocznica czy raczej wagonownia, do której odstawiano by niepotrzebne akurat składy. Aktualnie służy za coś w rodzaju holu.

– Holu?

– Tak. Wyobraź sobie, że to hotel. Sama zobaczysz, jak tam ładnie –

mówiła Lucy. – Ładniej nawet niż w Skarbcach. Nawet w tym mieście pieniądze dużo znaczą, a Minnericht jest prawdziwym krezusem.

Prowizoryczna winda zwoziła je powoli piętro za piętem. Zanurzały się w szkielecie gigantycznego nigdy nie ukończonego dworca kolejowego, a im niżej zjeżdżały, tym bardziej przytłaczały je widoki pustych surowych przestrzeni, które uświadamiały boleśnie, że na tym dworcu nie było, nie ma i nie będzie pociągów, biletów i pasażerów. To miejsce nigdy nie załśniło nowością, a dzisiaj wydawało się bardziej antyczne niż skrzydła muszek zatopionych w mętnej bursztynie.

Chmura pyłu wzbitego w powietrze obwieściła koniec podróży windą.

– Chodź, kochanie – powiedziała. – To już niedaleko, a im głębiej zjeździemy, tym dworzec wyda ci

się przytulniejszy.

– Od jak dawna on tu mieszka? – zapytała Briar, gdy opuszczała platformę, idąc w ślady Lucy.

– Nie mam pojęcia. Ale będzie już z dziesięć lat. W każdym razie miał

wystarczająco dużo czasu, by przystosować to miejsce do swoich potrzeb i upodobań.

Szły po betonowej matowej posadzce, na której nie było ani jednej kafli. Każdy krok ciężkich butów odbijał się wielokrotnym echem w pustej przestronnej hali. Kres tej posępnej pustki wyznaczała para czerwonych drzwi osadzonych w surowej ścianie. Były dokładnie uszczelnione pasami czarnego materiału. Briar dotknęła jednego z nich i przyjrzała mu się uważniej. Wydał się jej o wiele czystszy i dokładniej wykonany niż uszczelnienia, na które trafiła w innych częściach miasta.

– Jak się dostaniemy do środka? Mamy zapukać jakoś specjalnie czy zadzwonić? – zapytała, widząc, że drzwi nie mają żadnej gałki ani zamka.

– Pomóż mi wyjąć rękę z temblaka – poprosiła Lucy.

Briar rozwiązała węzły, a gdy skończyła, jej towarzyszka rozkołysała mechaniczną rękę i uderzyła nią trzykrotnie w drzwi. Dźwięk był ostry, jakby waliła w lity metal.

– One są...

– Stalowe, jak sądzę. Ktoś mi mówił, że doktor zrobił je z elementów wagonu kolejowego, ale słyszałam też innym razem, że zostały przeniesione z głównego wejścia, więc do końca nie wiem, skąd je wytrzasnął.

– Ale dostaniemy się nimi do środka?

Lucy wzruszyła ramionami na tyle mocno, że jej bezwładne mechaniczne ramię zakołysało się śmiesznie przy boku.

– Zgnilasy nie pukają. A nikogo innego się tu nie obawiają.

– Cudownie – mruknęła pod nosem Briar.

Moment później dźwięk odsuwanych zasuw uzmysłowił jej, że zostały usłyszane. Otwieranie drzwi trwało ponad pół minuty. W tym czasie odsuwano kolejne rygle, przekręcano klucze, zdejmowano blokady. W końcu zawiasy zapiszczały żałośnie, gdy masywne skrzydła zaczęły się rozwierać wolno i dostojnie. Za nimi stał szczupły mężczyzna w przydużej masce, rozglądający się podejrzliwie po wielkiej sali zwanej przez Lucy „holem”.

Był średniego wzrostu, miał na sobie typowe kowbojskie ubranie: płócienne spodnie, zapinaną na guziki koszulę i pas z dwoma rewolwerami na biodrach.

Na jego klatce piersiowej widać było jeszcze jeden pasek, na którym wisiał

karabin niewiele mniejszy od spencera Briar. Człowiek ten był młodszy od wszystkich innych, których spotkała do tej pory za murami, ale też o wiele starszy od jej syna. Nie miał chyba jeszcze trzydziestki, chociaż trudno było ocenić w tych warunkach.

– Witaj, Richardzie – odezwała się barmanka.

Briar nie potrafiła powiedzieć, czy witający ich mężczyzna nasrożył się po tych słowach, czy raczej ucieszył.

– Witaj, Lucy – odparł obojętnym tonem. – Czyżby ręka znów nawaliła?

– Zgadza się.

– A jak twoja przyjaciółka dostała się do miasta? – zapytał, zmierzyszy uprzednio wzrokiem Briar.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zdziwiła się Lucy.

– To się okaże. Jak tutaj dotarła?

– Ja też tu jestem – zaczęła się Briar. – Może mnie pan sam zapytać.

Prawdę mówiąc, kapitan Cly był tak miły, że podrzucił mnie tutaj na pokładzie „Naamah Darling”.

Lucy stała nieruchomo jak dziki zwierz pochwycony nocą w snop światła.

– Jest tutaj już od wczoraj – dodała po chwili, wolno cedząc słowa. –

Przyprowadziłabym ją wcześniej, ale mieliśmy problemy ze zgnilasami. W

każdym razie w końcu stoi przed tobą.

Briar miała wrażenie, że przebywa za murem znacznie dłużej, lecz gdy zaczęła przeliczać w myślach, okazało się, że faktycznie spędziła w mieście dopiero jedną noc i dwa pełne dni.

– Szukam syna – wyjaśniła, zanim padło następne pytanie. – On też przybył na tę stronę muru dwa dni temu. To długa opowieść.

Richard przyglądał jej się długo bez mrugnięcia okiem.

– Domyślam się – rzucił i zmierzyszy ją wzrokiem raz jeszcze, dodał:

– Lepiej wejdźcie do środka.

Odwrócił się plecami, poszły więc za nim, przekraczając progi dworca.

Poczuły mocny podmuch powietrza, gdy czerwone wrota zamknęły się za nimi z głośnym hukiem.

– Tędy – powiedział Richard.

Poprowadził je wąskim pomieszczeniem, które bez kozery można by nazwać korytarzem. Oświetlano go rozwieszonymi na ścianach lampami, takimi samymi, jakich używano na statkach. Przypominały Briar te, które widziała na pokładzie „Naamah Darling”. Pomyślała nawet, że zakołysałyby się, gdyby dotknęła którejs.

Szli tak długo, zachowując kompletne milczenie, że mało brakowało, by Briar podskoczyła ze strachu, gdy Richard odezwał się w końcu.

– Wydaje mi się, że ktoś tu na ciebie czeka – powiedział.

Nie potrafiła stwierdzić, czy na dźwięk tych słów powinna czuć rosnącą nadzieję czy raczej większe mdłości.

– Przepraszam, ale nie zrozumiałam – rzuciła, licząc na dalsze wyjaśnienia.

Nie otrzymała ich jednak.

– Lucy, czy uszkodziłaś sobie rękę podczas kolejnej bijatyki z Willardem?

Barmanka roześmiała się w głos, lecz bardziej ze zdenerwowania niż z rozbawienia.

– Nie. To zdarzyło się tylko raz. On rzadko sprawia problemy. To był

pojedynczy incydent... – Zamilkła na moment dodała po chwili: – Nie, tym razem rozwaliłam ją podczas walki ze zgnilasami. Mieliśmy z nimi problemy U Maynarda.

Briar się zastanawiała, czy Richard naprawdę nie wie, o jakich problemach mowa, czy może raczej sam przyłożył do nich rękę. Na razie nie odpowiedział na to pytanie, a Lucy uznała, że podtrzymywanie rozmowy z nim nie ma sensu.

Wkrótce dotarli do końca długiego pomieszczenia i ujrzeni znajomy już widok grubych gumowych pasów tworzących kurtynę. W tym miejscu były jednak o wiele równiejsze i przypominały z wyglądu normalne pofałdowane zasłony.

– Możecie zdjąć maski, jeśli chcecie – poinformował je Richard. –

Tutaj jest już w miarę czyste powietrze. – Sam pozbył się swojej, wkładając ją pod pachę. Odsłoniła zryty bliznami płaski nos i policzki tak zapadnięte, że można by w ich zagłębieniach pomieścić dorodne śliwki.

Briar najpierw pomogła Lucy ściągnąć maskę, którą włożyła do temblaka, potem zdjęła swoją i upchnęła ją w sakwie.

– Jestem gotowa na to spotkanie – oświadczyła.

– Zatem chodź za mną. – Odsunął jeden z pasów, o mały włos nie oślepiając Briar jasnym blaskiem panującym w pomieszczeniu za kurtyną.

– Powinnam była cię ostrzec – rzuciła Lucy, mrużąc oczy. – Doktor Minnericht ma bzika na punkcie oświetlenia. Uwielbia światło, więc otacza się nim wszędzie. Tworzy lampy, które działają na prąd i gaz, nie tylko naftowe. A w tym pomieszczeniu je testuje.

Briar rozejrzała się wokół, gdy jej oczy przywykły do jasności. Lampy rozmaitych kształtów i wielkości wisiły wszędzie, na każdym filarze i słupku. Przytwierdzono je do ścian, a także do siebie. Czasem całymi pękami. Część działała na znanej zasadzie, ich żółtawe płomienie dostarczały znajomej migotliwej poświaty, ale było tu także wiele innych, które dawały bardzo dziwnie wyglądające obce światło. Tu i ówdzie było niebieskawe albo wręcz białe. Czasem miało też zielonkawe halo.

– Przekażę informację o waszym przybyciu. Czy zechcecie poczekać na mój powrót w wagonie?

– Oczywiście – odparła Lucy.

– Znasz drogę.

Po tych słowach zniknął za załomem ściany. Trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi dobiegł po chwili z większej odległości, więc Briar, upewniwszy się, że są same, zapytała:

– O jakim wagonie mówił?

– Miał na myśli dawny wagon kolejowy. Minnericht odrestaurował

wagony i wyposażył w meble. Innych używa w charakterze magazynów albo pracowni. W niektórych tutaj, pod ziemią, mieszczą się miniaturowe pokoje hotelowe.

– Jakim cudem udało im się ściągnąć wagony kolejowe pod ziemię? –

zapytała Briar. – I co one tutaj robiły, skoro dworzec był jeszcze w budowie, gdy zaczęto stawiać mur?

Lucy minęła cały szereg świeczników, które czekały tylko na zapalenie.

– Pociągi przyjeżdżały do tego miasta, zanim zaczęto budowę dworca.

Wydaje mi się, że kilka wagonów mogło spaść tutaj po którymś z trzęsień ziemi, ale pewności nie mam. Doktorek mógł je tutaj ściągnąć osobiście albo zapłacił za to komuś. Możesz otworzyć te drzwi, dziecino?

Briar pociągnęła za dźwignię i kolejne dwuskrzydłowe drzwi rozsunęły się przed nimi. Za nimi panowała wyłącznie ciemność, a przynajmniej takie wrażenie odnosił człowiek wychodzący z jaskrawo oświetlonego pomieszczenia. Ale i tutaj mrok rozpraszały liczne osłonięte szkłem pochodnie. Płomienie buchające z okopconych metalowych kloszy rzucały płachty rozedrganego światła na sufit i ściany.

Gdy Briar uniosła głowę, dostrzegła tuż nad sobą nierówne sklepienie.

Lucy zauważyła jej spojrzenie.

– Bez obaw, kochanie. Wiem, że to sklepienie wygląda, jakby się zawaliło, i tak było w rzeczywistości, tyle że bardzo dawno temu i od tamtej pory ani drgnęło. Doktorek podstemplował je, wzmocnił też konstrukcję wagonów.

– Chcesz powiedzieć, że te wagony są przysypane?

– Niektóre są. Spójrz tam, kochanie. W tym doktor przyjmuje gości. W

każdym razie to w nim spotykał się ze mną. Ale możliwe, że wybrał to miejsce, ponieważ trzymał w nim sporo dodatkowych narzędzi. Sama nie wiem. W każdym razie tutaj się spotykaliśmy.

Wskazała głową brudne odrapane drzwi, które omal nie umknęły uwadze Briar. Obłożono je starymi podkładami kolejowymi, które tworzyły coś w rodzaju frontonu. Po obu jego stronach znajdowały się kolejne drzwi.

– Wchodzimy środkowymi – rzekła Lucy.

Briar sięgnęła do gałki w tym samym momencie. Po ostatnich kontaktach z masywnymi opancerzonymi wrotami drzwi wagonu wyglądały niezwykle krucho. Zasuwka, na którą je zamknięto, była tak mała, że mieściła się jej w dłoni. Chwyciła ją bardzo ostrożnie, jakby się obawiała, że sam dotyk może uszkodzić takie delikatne maleństwo.

Przesunęła ją z cichym kliknięciem i drzwi stanęły przed nimi otworem.

Podtrzymała je, by Lucy mogła wejść bez przeszkód do wnętrza, gdzie blask licznych lamp padał na rzędy błyskotek, narzędzi i przeróżnych urządzeń, których przeznaczenia nawet się domyślała. Stare siedzenia usunięto, tylko kilka pozostawiono pod jedną ze ścian wagonu, lecz wzdłuż, nie w poprzek. Cały środek wagonu zajmował bardzo długi stół, na którym rozłożono masę dziwacznych przedmiotów.

– Cóż to jest? – zapytała Briar.

– To są... te, no... narzędzia. Jesteś w jego warsztacie – dokończyła, jakby to było ostateczne wyjaśnienie.

Briar stanęła przed tym inwentarzem i przesunęła palcami po rurkach i kluczach tak dziwnych rozmiarów, że trudno było nawet pojąć, co można nimi przykręcać. Na ścianach przerobionego wagonu wisiały kolejne rzędy narzędzi, pod ścianami także sporo ich leżało. Żadne nie wyglądało na przedmiot, którym można zrobić coś pożytecznego. Nie widziała tu ani jednego zegara, chociaż zauważyła sporo kółek zębatach, a nawet wskazówek. Nie było też broni, tylko ostro zakończone narzędzia i szklane bańki z przypominającymi żyłki cienkimi drucikami w środku.

Z zewnątrz dobiegł charakterystyczny odgłos ludzkich kroków, cienkie podziurawione drzwi wagonu nie tłumiły zbyt dobrze dźwięków.

– Nadchodzi – wyszeptała Lucy. Sądząc z wyglądu, zaczynała panikować, nawet jej bezwładna ręka zadrżała nerwowo przy udzie. –

Wybacz – dodała pośpiesznie. – Nie wiem, czy postąpiłam słusznie, sprowadzając cię tutaj. Gdyby okazało się, że jednak nie, chcę, byś wiedziała, jak mi przykro.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

## **ROZDZIAŁ 22**

Briar wstrzymała oddech.

Maska doktora Minnerichta była równie skomplikowana jak ta, którą nosił Swakhammer, z tą tylko różnicą, że wyglądał w niej bardziej jak mechaniczny człowiek ze stalową czaszką opasaną cienkimi przewodami i zaworkami niż jak zakuta w żelazo bestia. Maskę zakrywała wszystko, od szczytu głowy aż po obojczyk. Na części twarzowej mieściły się spore gogle o niebieskawych szklach, były podświetlane od spodu, więc wyglądał w nich, jakby to jego oczy świeciły.

Bez względu na to, jak mocno wysilała wzrok, nie była w stanie dostrzec rysów jego twarzy. Nie potrafiła także powiedzieć, jak jest zbudowany, prócz tego, że nie jest kurduplem ani drągalem. Miał na sobie długi płaszcz, a właściwe trenz z ciemnokasztanowego weluru.

Kimkolwiek był, odwzajemniał jej spojrzenie. Odgłosy, jakie jego aparatura wydawała przy każdym oddechu, przypominały cichą melodię składającą się z serii piśnięć i sapnięć.

– Doktorze Minnericht? – odezwała się Lucy. – Dziękuję, że poświęca mi pan chwilę swojego niezwykle cennego czasu. To moja nowa przyjaciółka. Przywiózł ją tutaj „Naamah Darling”. Pomogła mi dotrzeć do pana, ponieważ moja nowa ręka znów nie domaga.

– Przykro mi to słyszeć – odparł, nie odrywając wzroku od Briar. Jego głos brzmiał bardzo mechanicznie, podobnie jak w przypadku Swakhammera. Bardziej jednak przypominał dzwonienie starego zegara pod wodą niż słowa wypowiedane do wiadra.

Wszedł do dobrze oświetlonego warsztatu, słuchając nerwowego szczebiotu Lucy, która nie potrafiła zamilknąć, gdy zamykał za sobą drzwi.

– Ma na imię Briar i szuka tutaj swojego syna. Miała nadzieję, że dotarły do pana jakieś wieści na jego temat albo że widział go któryś z pańskich ludzi patrolujących ulice miasta.

– Czy ona nie ma języka w gębie? – zapytał bardzo niewinnym tonem.

– W takich chwilach na pewno – rzuciła Briar i ponownie zamilkła.

Doktor wciąż był spięty, ale przybrał dość nonszalancką pozę. Wskazał

Lucy ławkę ustawioną obok stołu, zachęcając ją do ułożenia ręki na blacie, aby mógł się jej dokładniej przyjrzeć.



– Proszę siadać, pani O’Gunning – powiedział.

Za drzwiami znajdowała się skrzynia, na którą Briar nie zwróciła do tej pory uwagi. Doktor podniósł ją i podszedł do miejsca, gdzie sadowiła się właśnie Lucy. Briar cofnęła się kilka kroków, przesuając dłonią po zagraconej ścianie, dopóki nie wyczuła wolnego miejsca obok jednego z okien.

Zastanawianie się, czy ją rozpoznał i czy skwituje to w jakiś sposób, było dla niej straszliwym przeżyciem. Ona była już niemal pewna. To nie był

Leviticus Blue, mogłaby dać słowo, gdyby ktoś tego od niej zażądał, aczkolwiek nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w jego ruchach jest jednak coś bardzo znajomego. W głosie także zauważyła znajomy skądś rytm.

Minnericht odpiął klamry skrzynki, potem otworzył ją i zamocował na swojej masce dodatkowe soczewki.

– Pani pozwoli, że się przyjrzę – powiedział, jakby Briar w ogóle nie było w pomieszczeniu. – Cóż było przyczyną uszkodzenia?

– Zgnilasy – odparła Lucy drżącym głosem.

– Zgnilasy? Czemu mnie to nie dziwi?

„A czemu miałoby to pana dziwić? W końcu pan sam je tam ściągnął”, chciała powiedzieć Briar, ale w porę ugryzła się w język.

– Uciekliśmy z baru – referowała tymczasem Lucy. – Hank poczuł się źle po drodze. Miał źle dopasowaną maskę i przeistoczył się w jednego z nich. Wpadliśmy w tarapaty. Musiałam się przebijać do Skarbców z Briar u boku.

– Oj, Lucy, Lucy – mruknął doktor tonem, który pomimo maski zabrzmiał jak napomnienie. – A co z kuszą? Ile razy ci powtarzałem, że to bardzo delikatne urządzenie, a nie pałka?

– Kusza... nie użyłam jej... nie było czasu. Sam pan wie, co się dzieje, jak wybucha podobne zamieszanie. Człowiek potrafi wszystko zgubić.

– Zgubiłaś ją?

– Cóż... na pewno leży gdzieś w tunelach. Nie miałam jej przy sobie, gdy wychodziliśmy na powierzchnię. Później po nią wrócę. Na pewno nie została uszkodzona. – Skuliła się, gdy odkręcił górną pokrywę mechanicznej ręki i zaczął gmerać w środku długim wąskim śrubokrętem.

– Pozwoliłaś komuś grzebać przy tym stawie – stwierdził, a Briar wyczuła w jego głosie oburzenie, którego przez maskę nie sposób było zauważyć.

Lucy wyglądała, jakby miała ochotę paść na kolana i odczołgać się w kąt, ale nie drgnęła nawet,

tylko wyszczerzyła zęby w głupkowskim uśmiechu.

– W drodze wyjątku. Uszkodzenie było na tyle poważne, że straciłam kontrolę nad ręką, a nie chciałam, żeby ktoś oberwał przy kolejnym spazmie.

Dlatego poprosiłam Hueya, aby przy niej pogmerał.

– Huey... – powtórzył. – Chciałaś powiedzieć: Huojin. Słyszałem o nim. Z tego co wiem, cieszy się sporym szacunkiem w waszej dzielnicy.

– Ma... talent.

– Ja nieustannie poszukuję talentów – rzucił, nie odrywając oczu od mechanizmu, nad którym pracował. – Powinnaś go tu przyprowadzić. Z

chęcią bym z nim porozmawiał. Spójrz tylko, co tu nawyprawiał. Z czego twoim zdaniem, Lucy, jest zrobiona ta rurka?

– Ja... nie wiem – wystękała barmanka, lecz Minnericht jeszcze nie skończył.

– No tak, rozumiem, co chciał tym sposobem osiągnąć – dodał po chwili. – Niestety nie mogłem wiedzieć, jak wysoką temperaturę w środku wytwarza tarcie, i dlatego nie zdawał sobie sprawy, że to nie może zadziałać.

Mimo to z chęcią bym z nim porozmawiał. Myślę, że to uczciwa cena za dokonanie naprawy. A co ty o tym sądzisz, Lucy?

– Sama nie wiem... – bąknęła, wyglądając, jakby lada moment miała paść trupem. – Nie wiem, czy dziadek pozwoli mu...

– W takim razie niech przyjdzie tu z dziadkiem. Im większa gromadka, tym weselsza, jak powiadają.

W uszach wdowy po Leviticusie Blue nie zabrzmiało to jednak zbyt radośnie. Jakże w tej chwili pragnęła, by wagon, w którym przebywali, okazał się większy! Dzięki temu mogłaby się odsunąć jeszcze dalej od tego człowieka.

– Pani Briar, czy mógłbym prosić o niewielką przysługę?

– Oczywiście – odparła, ale zbyt zaschło jej w gardle, by mogła nadać temu słowu odpowiednią obojętność.

– Tam, za panią... – wskazał miejsce śrubokrętem. – Jeśli się pani odwróci, zobaczy pani skrzynkę. Czy może ją pani przynieść?

Skrzynka była cięższa, niż wyglądała, a ona wolałaby walnąć go nią w głowę, niż podać mu do rąk, niemniej zabrała ją i postawiła we wskazanym miejscu, na wolnej części siedziska ławki, po czym wróciła do swojego kąta.

Nadał nie spojrział w jej kierunku.

– Proszę się nie obawiać, pani Briar. Nie ugryzę pani w tej masce.

– Wiem – zapewniła.

– Zastanawiam się, co też nasza droga Lucy musiała pani naopowiadać, że trzyma się pani cały czas z dala ode mnie. Nie chce pani usiąść?

– Nie powie mi pan, czy widział mojego syna?

Zamarł z uniesioną ręką, trzymany w niej śrubokręt zawisł w powietrzu. Zaraz jednak Minnericht wrócił do pracy, zanurzył koniec narzędzia w ręce, przekręcił, a potem sięgnął do skrzynki po kolejną rurkę.

– Wybaczy pani. Rozmawialiśmy o pani synu?

– Wspomniałam o nim, jak sędzę.

– Czy powiedziałem, że go widziałem?

– Nie – przyznała Briar. – Ale nie powiedział pan też, że go nie widział. Zatem proszę wybaczyć mi tę bezpośredniość.

Minnericht zamknął panel kryjący mechanizm ręki, Lucy sprawdziła ją, a gdy się okazało, że działa sprawnie i reaguje poprawnie, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Zginała palce i prostowała je kolejno, jakby liczyła, potem wykręciła nadgarstek w dół, w górę i na boki.

Doktor w tym czasie obrócił się na siedzeniu, by spojrzeć w kierunku Briar.

– Pytała pani o niego lotników? Kapitan Cly... tak chyba nazywa się kapitan „Naamah Darling”, jeśli się nie mylę... widzi i słyszy znacznie więcej niż inni. Może dlatego, że jest tak niesamowicie wysoki?

– Proszę się nie wygłupiać – burknęła Briar i natychmiast zbeształa się w myślach za tę dziecinną odzywkę. Opryskliwość w niczym nie pomoże, już prędzej zniechęci go do niej, tyle że ta odwieczna zabawa miała ściśle określony przebieg, a ona nie potrafiła znaleźć innego rozwiązania. Była wściekła, ale jeszcze bardziej wystraszona, a w tych warunkach groziło to reakcjami, których zawsze się wstydziła. – Pytałam go o to, podobnie jak każdego innego lotnika, który poświęcił mi przysłowiową minutkę. Nikt go nie widział, co nie jest aż tak dziwne, skoro dostał się za mur nie od góry, tylko starym kanałem burzowym.

Nagle drgnienie widoczne za niebieskawymi podświetlonymi szklami musiało oznaczać uniesienie brwi.

– Dlaczego zatem nie skorzystała pani z tej samej drogi co on? Z

pewnością byłby to o wiele mniej stresujący sposób na dotarcie do naszego pięknego miasta Zguby.

– Tamtej nocy było trzęsienie ziemi. Tunele się zawaliły, więc musiałam znaleźć inną drogę. Może mi pan wierzyć, że spadanie z wysokości tysiąca stóp rurą prowadzącą do paleniska nie należy do moich ulubionych rozrywek.

– Z tym tysiącem stóp to lekka przesada – mruknął w odpowiedzi. –

Rura ma góra dwieście. Ale dziękuję za wiadomość o tym tunelu. Muszę go naprawić, im szybciej, tym lepiej. Dziwi mnie tylko, że pani pierwsza wspomina mi o tym. Sądziłem, że... – cokolwiek chciał powiedzieć, pozostało jego tajemnicą. Zamiast tego dodał: – Zadbam, żeby tunel został

naprawiony. Proszę mi jednak powiedzieć, pani Briar, jak zamierzała pani opuścić miasto? Jak chciała pani zabrać stąd syna, wiedząc, że przejście pod murem jest zasypane?

– Gdzie jest mój syn? – zapytała bez ogródek zaskoczona tak nagłą zmianą tematu.

– Dlaczego uważa pani, że wiem?

Jego odpowiedź była zbyt teatralna, by mogła uznać ją za prawdziwą.

– Gdyby pan nie wiedział, już dawno mielibyśmy tę sprawę za sobą. A skoro wie pan, gdzie on jest, ale nie chce powiedzieć wprost, musi pan czegoś od niego chcieć...

– Pani Briar – przerwał jej nieco głośniej, niż musiał. Natarczywość, z jaką wypowiedział te słowa, w połączeniu z ich dziwnym brzmieniem pozbawiła ją głosu. Nie chciała ulegać jego nakazom. – Po co ta złość?

Możemy porozmawiać o pani synu, skoro pani chce, ale proszę mnie o nic nie oskarżać ani nie wysuwać żądań. Jest pani gościem w moim domu. I dopóki będzie się pani zachowywała stosownie do tego statusu, może pani liczyć na odpowiednie traktowanie.

Oddech Lucy stał się tak płytki i spazmatyczny, że można było nim mierzyć czas lepiej niż tanim zegarkiem. Nadal siedziała na ławce za stołem, wydawać się mogło, że nie jest w stanie podnieść się z niej. Tak bardzo pozieleniała na twarzy ze strachu, że Briar była pewna, iż za moment zacznie wymiotować.

Na szczęście nie zrobiła tego. Wstała z trudem i wyszeptała:

– Proszę cię, Briar, zachowajmy spokój. Krzykiem niczego nie zwojujesz. Jak wspomniał doktor, jesteśmy jego gośćmi.

– Słyszałam, co powiedział.

– Zatem proszę cię, przyjmij do wiadomości, że on tu jest gospodarzem. Skoro powiedział, że porozmawiacie o twoim synu, na pewno się z tego nie wycofa. Ale proszę cię jak matka: zachowaj maniery.

Sposób, w jaki kazała jej panować nad nerwami, nie miał nic wspólnego z matkowaniem. Zachowywała się raczej jak wystraszone dziecko w obliczu awantury pomiędzy rodzicami.

Briar zachowała dla siebie to, co miała zamiar powiedzieć. Zajęło jej to chwilę, tak wiele żalów mogła mu wykrzyknąć prosto w twarz. Potem odezwała się absolutnie spokojnym głosem:

– Doceniam możliwość rozmawiania z panem. I jest mi obojętne, czy stanie się to w pana domu, gdzie jestem gościem, czy też gdziekolwiek indziej. Niemniej proszę pamiętać o jednym: przybyłam tutaj w określonym celu, nie po to, by się zaprzyjaźnić albo cieszyć gościnną. Przybywam do pana w poszukiwaniu mojego syna, proszę mi więc wybaczyć, że póki go nie odnajdę, skupiać się będę na czymś innym niż moje maniery.

Błękitne światło pod jego maską – te rozpalone ogniki na miejscu oczu

– pozostały całkowicie nieruchome.

– Rozumiem – powiedział. – I wybaczam.

Ledwie skończył mówić, z jego piersi zaczęło dobiegać ciche pikanie.

Przez moment zaskoczona Briar sądziła, że to odgłos pracy jego serca, mechanicznego urządzenia stworzonego rękami geniusza, lecz pozbawionego duszy czy choćby kropli krwi, Minnericht tymczasem po prostu sięgnął do kieszeni, wydobyl okrągły złoty zegarek, spojrzal na cyferblat i mruknal coś pod nosem.

– Robi się późno, moje panie. Pozwólcie zatem, że zaoferuję wam gościnną na tę noc. Może nie będą to kwatery porównywalne ze Skarbcami, ale powinny wam się spodobać.

– Nie! – zawołała Lucy zbyt głośno i zbyt szybko. – Nie możemy tak pana wykorzystywać, doktorze. Wróćmy do siebie.

– Daj spokój – zaprotestowała Briar. – Ja tu zostanę, dopóki nie usłyszę, co doktor wie o Ezekieli. Będę jego gościem, wedle życzenia. Nie musisz mi towarzyszyć, jeśli nie chcesz – dodała. Spojrzała Lucy w oczy, znacząco w swoim mniemaniu, i powiedziała już nieco łagodniejszym tonem:

– Nie obrażę się, jeśli zechcesz wrócić do domu. Teraz, po naprawie ręki, możesz iść sama.

W oczach barmanki dostrzegła coś więcej niż tylko obawę. Była tam też podejrzliwość i ciekawość zbyt mocna, by zdławił ją strach.

– Nie zostawię cię tu samej – powiedziała. – A poza tym nie chcę wracać po zmroku sama jak palec.

– Mogłabyś, gdyby zaszła taka konieczność. Cieszę się, że możesz mi towarzyszyć, ale nie poprosiłabym cię nigdy o to, gdybym wiedziała, że tego nie chcesz.

Minnericht wstał za stołką i wyprostował się po raz kolejny. Briar stała tuż przy nim, lecz nie potrafiła zdecydować – w końcu minęło tak wiele lat –

czy pasuje wzrostem i sylwetką do Leviticusa.

– Skoro już o tym mowa – wtrącił – miałbym do ciebie prośbę, Lucy.

– Przed chwilą powiedział pan, że zapłatą za naprawę ręki ma być przyprowadzenie tutaj Hueya. – Widać było, że ten pomysł jej się nie podoba.

– A ja zauważyłem, że nie raczyłaś wyrazić zgody na tę umowę –

odparł z podobnym niesmakiem. – Nie o tym jednak teraz mówię. Albo mi go tu sprowadzisz, albo będziesz żałowała, że tego nie zrobiłaś. Wydawało mi się, Lucy, że szanowałaś bar U Maynarda. Ze był coś dla ciebie wart.

– Niech pan nie będzie takim dupkiem – wypluła z siebie, zapominając o manierach w obliczu tak bezczelnej groźby.

– Jeśli zechcę, będę największym dupkiem świata – odparł, a Briar pomyślała, że jest właśnie świadkiem opadnięcia jednej z kurtyn. Ze widzi, jak jedna z masek zjeżdża w dół, choć wydawało się, iż mechaniczne części hełmu są przytwierdzone na stałe do Minnerichta. – Jutro albo pojutrze sprowadzisz mi tutaj Hueya, abym mógł z nim porozmawiać o majsterkowaniu, ale dzisiaj udasz się do mojego fortu.

– Do Decaturu? – zapytała Lucy, jakby ta propozycja mocno ją zaskoczyła.

– Tak. Chcę, abyś tam poszła i przekazała wiadomość ode mnie –

oświadczył. – Mamy dzisiaj znacznie więcej niespodziewanych gości niż tylko twoją przyjaciółkę, więc wolałbym, żeby znali swoje miejsce w szeregu.

– Czyli jakie? – zapytała.

– Czyli takie, jakie im wyznaczę – odparł, sięgając palcami okrytymi skórą rękawicy do kieszeni po zapieczętowany list. – Dasz go kapitanowi, którego tam spotkasz. Zdaje się, że ktoś wykorzystuje moją dawną siedzibę do naprawiania swojego statku.

Lucy była wściekła, lecz nie na tyle głupia, by mu to jawnie okazywać.

– Każdy z pana ludzi mógłby dostarczyć tę wiadomość – stwierdziła. –

Nie musi mnie pan wysyłać na ulicę w środku nocy między hordy zgnilasów tylko po to, bym opuściła mury tego dworca. Jeśli Briar uznała, że może tu zostać, niech tak będzie, ja po prostu

wrócę do siebie.

– Lucy... – westchnął, jakby te protesty rzeczywiście go męczyły. –

Oboje wiemy, że nie postawisz tej nocy stopy na żadnej ulicy. Jeśli nie poznałaś rozkładu tuneli łączących to miejsce z fortem, mając na to tyle lat, jesteś głupsza, niż myślałem. Wybierz południową odnogę na trzecim rozwidleniu. Oznaczono ją kolorem żółtym. A jeśli po wykonaniu zadania nie będzie ci się chciało iść aż do Skarbców, możesz wrócić tutaj, poproszę Richarda, by przygotował dla ciebie nocleg w brązowym skrzydle.

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem oznaczającym zakończenie rozmowy. W rękę wciąż trzymał list z rozkazami czy też żądaniem łapówki.

Lucy spoglądała to na jego maskę, to na dłoń. W końcu wyrwała mu kopertę z ręki i zmierzyła wzrokiem Briar. Zbyt wiele uczuć skupiło się na jej twarzy, by można stwierdzić, co chce tym sposobem przekazać.

– Zrób to, Lucy, jeśli tak tutaj działacie, mnie to zupełnie nie przeszkadza. Niedługo wrócę, zobaczymy się rankiem w Skarbcach.

Minnericht nie potwierdził jej słów, lecz nie zaprzeczył im także, mimo że Lucy dała mu dość czasu na to.

– Dobrze. Ale jeśli coś się jej przydarzy – rzuciła jednoręka barmanka

– nie przejdziemy nad tym do porządku dziennego. Skończy się udawanie, że wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi.

– Mam gdzieś, czy będziemy się przyjaźnili – odparł. – Dlaczego uważasz, że pani Briar może się przydarzyć coś złego? Nie powinnaś mi poza tym grozić w moim własnym domu. Idź stąd, zanim narobisz sobie poważniejszych kłopotów.

– Briar... – odezwała się barmanka. W tym jednym słowie kryło się błaganie i ostrzeżenie.

Matka Ezekiela wiedziała, że rozmowa roi się od aluzji, których nie jest w stanie zrozumieć, ponieważ nie zna ich kontekstu. Czegoś jej jednak brakowało w tym wymuszonym dialogu i cokolwiek to było, napawało ją niepokojem. Tak czy owak zaczęła kopać swój grób już jakiś czas temu, gdy zdecydowała się tu przyjść, więc spocznie w nim bez słowa skargi, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Bez obaw – rzekła do Lucy na pożegnanie. – Zobaczymy się rano.

Barmanka zaczerpnęła tchu. Mechanizmy w jej automatycznej ręce zatrzeszczały, jakby je rozciągała.

– Nie zostawię cię tutaj – powiedziała.

– Owszem, zrobisz to – stwierdził doktor Minnericht, odprowadzając ją do drzwi wagonu, a potem

wypychając za próg.

Odwróciła się na pięcie. Twarz jej płonęła z gniewu.

– To jeszcze nie koniec – oświadczyła, lecz odsunęła się, pozwalając mu zatrzaskać drzwi. Jej głos dobiegł z zewnątrz. – Wrócę tu jeszcze tej nocy.

– Nie radzę – burknął Minnericht, choć nie mogła go usłyszeć. Łomot jej oddalających się kroków pełen był wściekłości i upokorzenia.

Briar i doktor poczekali chwilę, a gdy na zewnątrz zapadła całkowita cisza, ona pierwsza zdecydowała się podjąć rozmowę.

– Co z moim synem? Proszę, mi powiedziec, gdzie jest albo jak się czuje. Chcę wiedziec, czy żyje.

Teraz on zmienil temat rozmowy bez ostrzeżenia.

– Wie pani, że nie znajdujemy się w głównym budynku dworca?

– Domyśliłam się. Jesteśmy w wagonie zagrzebanym pod ziemią. Nie mam pojęcia, gdzie pan mieszka ani co pan tam robi. Chcę tylko odzyskać syna. – Zaciskała dłonie w pięści i rozprostowywała palce, wygładzając nimi rytmicznie materiał na kieszeniach płaszcza. Potem chwyciła jedną ręką pasek od sakwy, jakby jej waga i świadomość, co się w niej kryje, mogła dodać Briar sił i odwagi.

– Pokażę pani – zaproponował, nie precyzując jednak, co ma na myśli.

Otworzył drzwi wagonu i przytrzymał je jak przystało na dżentelmena.

Wyszła na zewnątrz i natychmiast obróciła się twarzą do niego, ponieważ nie mogła znieść myśli, że człowieka jego pokroju ma za plecami.

Cały czas walczyła z myślami, starając się znaleźć w nich pokrzepienie i – co może ważniejsze – oparte na logice przekonanie, że to co podpowiada jej serce, jest prawdą i nie ma do czynienia ze swoim mężem, którego od dawna uważała za zmarłego. Nie potrafiła jednak zignorować znajomego sposobu poruszania się, stania czy nawet tych charakterystycznych spojrzeń z góry.

Chciała zerwać mu hełm z głowy i spojrzeć w twarz, aby uciszyć te wszystkie płaczące ostrzeżenia, które wypełniały jej głowę. Nieludzko pragnęła, aby powiedział lub uczynił coś, co mogłoby oddalić bądź też potwierdzić jej podejrzenia, że doktor wie, z kim ma do czynienia, i zamierza to wykorzystać.

Niestety, nie zrobił tego.

Poprowadził ją z powrotem do rzeźbiście oświetlonego korytarza, potem do innej platformy zawieszanej na blokach. Ta winda nie została jednak zrobiona z surowych desek jak pomosty prowadzące do dworca. Wykonano ją znacznie staranniej, można by nawet powiedziec, że miała



jakiś styl.

Doktor Minnericht pociągnął za dźwignię, rozsuwając żelazną kratownicę, która zamknęła ich w ciasnej klatce wielkości przeciętnej szafy.

– Zjeżdżamy piętro niżej – wyjaśnił, sięgając po rączkę wiszącą mu nad głową.

Pociągnawszy za nią, zwolnił łańcuchy i winda zaczęła opadać, docierając na następny poziom w zaledwie kilka sekund.

Po drugiej stronie kratownicy, która natychmiast się złożyła z głośnym klekotem, Briar ujrzała wielkie pomieszczenie kojarzące się jej jednoznacznie z salą balową. Emanowała od niej złota poświata, która odbijała się od wypolerowanych posadzek, luster i wielkich żyrandoli zwisających z sufitu niczym kryształowe korony drzew.

– Lucy mnie zapewniała, że tutaj jest jeszcze ładniej niż w Skarbcach –

stwierdziła Briar, gdy już odzyskała dech. – Widzę, że nie przesadzała.

– Lucy nie ma pojęcia o istnieniu tego poziomu – zapewnił ją. – Nigdy jej tu nie sprowadziłem. I nie jest to cel naszej wędrówki, tylko miejsce, które miniemy po drodze.

Briar szła pod połyskującymi światłami, które zdawały się podążać wszędzie tam, gdzie i ona. To nie były kryształy, jak początkowo sądziła, tylko szklane rurki połączone ze sobą cienkimi przewodami i zębatkami.

Starła się nie gapić na nie, lecz próżne były jej wysiłki.

– Skąd pan je ma? One... one... one są takie cudne. – Pragnęła z całych sił wyznaczyć, że przypominają jej coś z przeszłości, nie potrafiła tego jednak uczynić.

Spoglądając na snopy światła rzucające dziwne wzory na polerowaną posadzkę, przypomniała sobie o mobili, którą Levi zrobił, gdy zaczęli rozmawiać o dziecku. Kiedy Kościotrzep wyruszył na szalony rajd pod centrum miasta, nie wiedziała jeszcze, że nosi w łonie Ezekiela. Nie podejrzewała tego nawet, aczkolwiek oboje byli zgodni, że chcą mieć dziecko.

W tamtych czasach Levi stworzył świetlną konstrukcję tak piękną i zmyślną, że nawet ona, od dawna nie będąc już dzieckiem, wydawała się nią absolutnie zafascynowana. Ustawiła ją w rogu salonu, gdzie miała im służyć jako lampa, póki nie urządzią pokoju dziecinnego. Co jednak nigdy nie nastąpiło.

Tutaj żyrandole były o wiele większe, tak ogromne, że nie zmieściłyby się na porządnym łóżu. Nie dałoby się ich postawić w kącie pokoju ani zawiesić nad kołyską. Aczkolwiek w ich wyglądzie było coś niezwykle znajomego.

– Pierwszy wisi tam – poinformował ją Minnericht, widząc, z jakim zachwytem przygląda się jego dziełom. Wskazał ręką największy żyrandol. –

Przysłano go tutaj, aby zdobił halę główną przyszłego dworca. Jak pani widzi, nie przypomina w niczym pozostałych. Znalazłem go w jednym z zasypanych wagonów, spoczywał pod ziemią bezpiecznie zapakowany w skrzynie, jak zresztą niemal wszystko, co znajdowało się podówczas w południowej dzielnicy. Pozostałe wymagały nieco większego nakładu pracy.

– Nie wątpię – przyznała.

Za bardzo to wszystko było podobne. Czowała się naprawdę dziwnie, gdy opowiadał jej w tak znajomy sposób o rzeczach, które mu się podobały.

– To eksperymenty, przyznaję. Te dwa tutaj są naftowe, ale sprawiały mi za wiele problemów w obsłudze i w dodatku nie pachniały zbyt ciekawie.

Dwa po prawej zasila elektryczność, co moim zdaniem jest rozwiązaniem o wiele ciekawszym i rozsądniejszym. Niestety, prąd jest zdradziecki i niemal tak niebezpieczny jak ogień.

– Dokąd pan mnie prowadzi? – zapytała, raczej by przerwać mu ten pyszałkowy wywód niż z potrzeby.

– Tam, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

– Możemy to zrobić tutaj.

Jakby wzruszył ramionami pod pancerzem.

– To prawda – przyznał – ale tutaj nie ma gdzie usiąść, a ja cenię sobie wygodę. Pani nie chciałaby odpoczywać w nieco bardziej komfortowych warunkach?

– Owszem – odparła, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że raczej nie będzie jej to dane.

To, że po krótkiej chwili zatracenia, na początku konfrontacji z doktorem, siału się ponownie osobą cywilizowaną, nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Briar zdawała sobie doskonale sprawę, co się czaiło po drugiej stronie jego wylewności. To coś spod znaku czarnej dłoni.

Cuchnące śmiercią i skowyczące o świeże mięso. Coś, co jej się zupełnie nie podobało.

W końcu zbliżyli się do rzeźbionych w drewnie drzwi, zbyt ciemnych, by uznać je za barwione, i zbyt bogato ozdobionych jak na własnoręczne wykonanie. Zrobiono je z hebanu, który zdążył już nabrać koloru świeżej kawy. Na płaskorzeźbach widać było sceny batalistyczne. Sadząc po strojach, w bitwie uczestniczyli starożytni Rzymianie albo Grecy.

Gdyby Briar miała więcej czasu, z pewnością rozszyfrowałaby, jakie wydarzenia upamiętniono na tych drzwiach, niestety Minnericht nie pozwolił

na to.

Ponaglił ją, by przekroczyła próg. Znalazła się w komnacie wyłożonej bardzo grubym dywanem o

barwie płatków owsianych. Przed najniezwyklejszym kominkiem, jaki Briar w życiu widziała, stało wielkie biurko z nieco jaśniejszego drewna niż heban. Palenisko na ścianie zrobiono z cegły i szkła, wewnątrz znajdowały się przezroczyste rurki i baniaki wypełnione wrzącą wodą; bijące od nich ciepło ogrzewało pokój bez dymu i towarzyszącego mu zawsze popiołu.

Przed biurkiem, nieco z boku, stała obita czerwonym pluszem okrągła kanapa, a obok niej głęboki fotel.

– Proszę wybierać – zachęcił Minnericht.

Zdecydowała się na mniejszy z mebli. Moment później zapadła się w skrzypiącą głośno śliską skórę obitą mosiężnymi nitami.

Doktor zasiadł za biurkiem w dumnej pozie, jakby przywództwo było wpisane w jego naturę. Złożył dłonie i oparł je na blacie. Briar natychmiast poczuła uderzenie gorąca. Zaczęło się od potu za uszami. Nie musiała oglądać swojej twarzy, by wiedzieć, że zapłonęła czerwienią, co więcej, czuła, że szkarłat spływa niżej po szczupłej szyi aż na piersi. Cieszyło ją, że ma na sobie płaszcz i koszulę z wysokim kołnierzykiem. Dzięki temu Minnericht mógł dostrzec wyłącznie jej zaróżowione policzki i pomyśleć, że to efekt wejścia do dobrze ogrzanego pomieszczenia.

Z kominka za plecami doktora dobiegały bulgoty i pomruki. Od czasu do czasu nad paleniskiem pojawiały się niewielkie obłoczki pary. Minnericht spojrzał Briar w oczy i zapytał:

– Po co nam te śmieszne gierki, Briar?

Łatwość, z jaką wypowiedział to imię, powinna wywołać szeroki uśmiech na jej ustach, niemniej zdołała zwalczyć pokusę.

– Święta racja. Zadałam panu proste pytanie, a pan nie zechciał mi na nie odpowiedzieć, choć jestem przekonana, że nie byłoby to dla pana nic trudnego.

– Wiesz dobrze, że nie o tym mówiłem. Wiesz doskonale, kim jestem, a mimo to z niezrozumiałych dla mnie względów udajesz, że tak nie jest. –

Splótł palce i pozwolił dłoniom opaść na blat biurka. – Rozpoznałaś mnie przecież – dodał.

– Nie.

– Dlaczego ukrywałaś jego istnienie przede mną? – podszedł ją z innej strony. – Ezekiel musiał się urodzić wkrótce po tym... jak zbudowano mur, a może nawet wcześniej. Nie kryłem swojej obecności tutaj. Nawet ten dzieciak słyszał, że przeżyłem, dlatego dziwiłoby mnie, gdyby do ciebie ta wiadomość nie dotarła wcześniej.

Czy wymieniła przy nim imię syna? Była pewna, że nie, a Zeke nigdy wcześniej nie zdradził się nawet słowem, że wierzy, iż jego ojciec żyje.

– Nie mam pojęcia, kim pan jest. – Postanowiła trzymać się swojej wersji. Odpowiedziała mu tak

beznamiętnym tonem, na jaki było ją w tym momencie stać. – Mój syn wiedział, że jego ojciec nie żyje. To bardzo niewłaściwe z pana strony, że...

– Niewłaściwe? Nie będziesz mi mówić, kobieto, co jest właściwe, a co nie. Uciekłaś wtedy, gdy byłaś najbardziej potrzebna rodzinie. Zwiałaś, chociaż twoim zasranym obowiązkiem było trwać przy mężu.

– Pan nie ma pojęcia, o czym mówi! – oświadczyła z jeszcze większą pewnością. – Skoro to najgorszy czyn, o jaki może mnie pan oskarżyć, proszę wyjawić teraz swoje grzeszki.

Udał obrazę i odchylił się na fotelu.

– Moje grzeszki? To ty przysłałaś tutaj, licząc po cichu, że po tylu latach mogę cię nie rozpoznać. Zdaje się, że Lucy także wie, o co tu chodzi.

Musi wiedzieć, inaczej przedstawiłaby cię pełnym imieniem i nazwiskiem.

– Zachowywała ostrożność, ponieważ obawiała się o moje bezpieczeństwo w pańskiej obecności, co jak widać, było w pełni uzasadnione.

– Czy ja ci grożę? Czy okazałem cokolwiek prócz kurtuazji?

– Nadal mi pan nie powiedział, gdzie jest mój syn. A to ogromne grubiaństwo, zważywszy, że wie pan doskonale, jak bardzo martwię się o niego od paru dni. Zamiast tego dręczy mnie pan rozmową o rzeczach, które powinien pan zachować dla siebie.

Roześmiał się, ale spokojnie i jakby protekcyjnie.

– Dręczę cię? To dopiero oskarżenie, na Boga. Dobrze więc, Ezekiel jest cały, zdrowy i bezpieczny. Czy to chciałaś usłyszeć?

Tak było, niestety nie wiedziała, jak potwierdzić jego słowa.

Upewnienie się, czy to prawda, przy tych wszystkich maskach, kłamstwach i celowych zwodzeniach było niemożliwe.

– Chcę go zobaczyć – rzuciła, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie. – Nie uwierzę panu, póki sama nie zobaczę syna. I może pan to wreszcie z siebie wydusić. To co sugeruje pan nieustannie półsłówkami. O ile oczywiście ma pan tyle odwagi, by to zrobić, w co wątpię. Sporą część władzy, jaką posiada pan nad tymi ludźmi, zawdzięcza pan tej masce i ich wątpliwościom. Obawiają się pana, ponieważ nie są pewni, z kim naprawdę mają do czynienia.

– A ty jesteś pewna?

– Prawie.

Zerwał się z krzesła, jakby z jakiegoś powodu nie mógł na nim dłużej usiedzieć. Zrobił to tak

gwałtownie, że uwolnione od jego ciężaru odjechało i odbiło się od biurka. Stał plecami do niej, spoglądając na fałszywy kominek.

– Jesteś głupia – warknął. – Tak samo głupia jak wtedy.

Briar nie ruszyła się z miejsca, zachowała też poważny ton sprzed chwili.

– Możliwe. Mimo to jednak udało mi się dotąd przeżyć i da Bóg, jeszcze trochę pociągnę. Zatem słucham. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest i za kogo się uważa.

Jego płaszcz załopotał, gdy odwracał się na pięcie, by spojrzeć jej w twarz. Powiew wywołany przez ciężkie poły rozrzucił papiery zalegające na blacie i sprawił, że kryształ w stojącej obok lampie głośno zabrzęczały.

– Jestem Leviticus Blue. Nadal też pozostaję twoim mężem, którego porzuciłaś w tym mieście przed szesnastu laty.

Pozwoliła mu rozkoszować się tymi słowami przez moment, a potem odparła z pełnym spokojem:

– Nie porzuciłam Leviego. Gdyby był pan nim naprawdę, wiedziałby pan o tym.

Coś zaskrzeczało w masce doktora, potem rozległ się cichy syk, niemniej nie towarzyszył temu żaden widomy znak, że zamierza ją ściągnąć.

– Być może różnie pojmujemy znaczenie słowa „porzucenie”.

Roześmiała się w głos, lecz tylko dlatego, że nie potrafiła się powstrzymać. Nic był to ani zbyt głośny śmiech, ani radosny. Przebijało z niego raczej niedowierzanie.

– Niesamowity z pana człowiek. Nie jest pan Leviticusem, ale przyznaję, że doskonale odgrywa pan swoją rolę. Oboje wiemy, że nie mam do czynienia z moim byłym mężem. Zresztą nie dbam o to, kim pan jest. Nie obchodzi mnie pańskie prawdziwe nazwisko ani skąd pan się tu wziął. Chcę jedynie odzyskać syna.

– Szkoda – stwierdził, wysuwając szufladę szybkim ruchem. Zanim Briar zdążyła sięgnąć po sztucer, Minnericht mierzył w jej głowę z wielkiego lśniącego rewolweru. Odbezpieczył go spokojnym ruchem, nie opuszczając lufy. – Ponieważ twój syn zostanie tutaj ze mną, w miejscu, gdzie przebywa już jakiś czas i czuje się świetnie... Obawiam się, że ty też będziesz musiała skorzystać z mojej gościny.

Briar nie bez trudu zachowała spokój. Usiadła też wygodniej, zapadając się mocniej w miękkim fotelu. Została jej już tylko jedna karta i postanowiła nią zagrać, nie dając mu satysfakcji ujrzenia strachu na swojej twarzy.

– Nie – rzuciła. – Nie zostanie tutaj. Ja też nie zostanę. A pan, jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie, nie odważy się do mnie strzelić.

– Niby dlaczego?

– Zbyt wiele czasu zajęło panu doprowadzenie do tej sytuacji, całe to karmienie ludzi strzępkami informacji naprowadzających ich na myśl, że może być pan Levim, aby bali się i denerwowali, dzięki czemu zyskiwał pan przewagę i władzę nad nimi. Wiele razy sprzeczekali się w kotłowni, w barze U

Maynarda i Skarbcach, próbując mnie namówić na przyjście tutaj, ponieważ chcieli zyskać ostateczną pewność i liczyli, że ja w tym pomogę – mówiła, Minnericht tymczasem okrążył biurko, podchodząc do niej. Nie strzelił ani nie kazał jej zamilknąć, więc ciągnęła: – Pan natomiast starał się mnie przekonać, że jest Levim, toteż zakładam, iż na tym zasadza się pański plan.

Chce pan, aby ta wiadomość dotarła do nich niejako oficjalnie. Kradzież czyjejś osobowości to cholerne wyzwanie, ale jeśli chce pan tego dokonać, będzie pan potrzebował mnie, a w zasadzie moich słów.

Rewolwer zadrżał w jego dłoni, skierował lufę w sufit i przechylił głowę, jakby chciał o coś zapytać.

– Słucham?

– Powiedziała, że potwierdzę to, jeśli pan zechce. Może pan być Levim, mnie nic do tego. Powiem im to, co pan chce, żebym powiedziała, skoro tak panu na tym zależy. A mnie na pewno uwierzą. Nie ma na tym świecie innej osoby, która mogłaby potwierdzić to, co pan utrzymuje, albo temu zaprzeczyć. Jeśli mnie pan zastrzeli, ci ludzie dojdą do wniosku, że uczynił pan to ze strachu, bo przejrzałam pańskie zamiary i musiał mnie pan uciszyć. Jeśli jednak pozwoli mi pan odejść z Ezekielem, pozwolę panu stworzyć taką legendę, jaką pan tylko zechce. Nie będę panu bruździła.

To mogło być tylko złudzenie, niemniej Briar pomyślała, że błękitne światełka za soczewkami jego maski zrobiły się jakby bardziej przebiegłe.

– To nawet niegłupi pomysł – przyznał.

– Raczej cholernie dobry. A ja proszę tylko o jedno.

Nie odłożył broni, ale i nie wymierzył ponownie w jej głowę.

– O co? – zapytał.

Pochyliła się mocniej, oparcie puściło jej plecy, wydając przenikliwe skrzypnięcie.

– Zeke musi wiedzieć. Nie pozwolę, żeby żył złudzeniami i wierzył, że jest pan jego ojcem. Opowiem mu o wszystkim i pozwolę to przetrwać. On jeden musi znać prawdę.

Niebieskie światełka znów rozbłysły. Minnericht nie zaprotestował.

– Muszę to przemyśleć – powiedział i uderzył ją kolbą rewolweru w skroń z tak ogromną szybkością,

o jaką Briar nie podejrzewała by żadnego człowieka.

Nagła erupcja bólu ogłuszyła ją niczym gong, który huknie przy uchu.

Wszystko pogrążyło się w mroku.

## ROZDZIAŁ 23

Gdy Zeke się przebudził w urządzonym z przepychem pokoju w podziemiach dworca kolejowego, światła zdążyły już przygasnąć, a i posmak w ustach sugerował, że zasnął na dłużej, niż początkowo zamierzał.

Przeciagnał językiem po spierzchniętych wargach, by nawilżyć je choć trochę.

– Ezekielu Wilkes – odezwał się ktoś, zanim chłopak pojął, że nie jest sam. Przetoczył się natychmiast na drugi bok i zmrużył oczy.

Na fotelu opodal fałszywego okna siedział mężczyzna w gigantycznym hełmie, rytmicznie stukając w kolano palcem okrytej rękawicą dłoni. Miał też na sobie czerwony płaszcz, jakby był jakimś zagranicznym monarchą, oraz błyszczące, świeżo wypastowane czarne buty.

– Sir? – wymamrotał Zeke zbyt zaskoczony, by sformułować konkretniejsze pytanie.

– Sir? Zwróciłeś się do mnie bardzo grzecznościową formą. Biorę to za dobry znak.

Chłopak zamrugnął oczami, ale nie na wiele się to zdało. Nadal widział

to samo, a mężczyzna w fotelu nie ruszył się z miejsca.

– Znak czego?

– Twojego dobrego wychowania. Nie – powstrzymał Ezekiel, który podnosił się z łóżka. – Leż. Skoro już się obudziłeś, pozwól, że obejrzę to rozcięcie na głowie i twoją dłoń. Nie chciałem cię budzić grzebaniem w ranach. – Wskazał palcem na maskę. – Wiem, jak w niej wyglądam.

– To dlaczego jej pan nie zdejmie? Tutaj można oddychać bez problemu.

– W sumie mógłbym to zrobić – odparł nieznajomy, wstając z fotela i siadając na skraju łóżka. – Ale powiedzmy, że mam powody, by ją nosić.

– Obawia się pan czegoś?

– Powiedziałem przecież, że mam powody. Nie ruszaj się. – Docisnął

dłoń do czoła Zeke'a, a drugą odgarnął mu zmierzwione włosy. Jego rękawice były ciepłe i tak gładkie, że wydawać się mogło, iż dotyka głowy gołymi rękoma. – Jak do tego doszło?

– Pan jest doktor Minnericht? – zapytał chłopak, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

– Tak, jestem doktor Minnericht – odparł mężczyzna takim samym obojętnym tonem. Docisnął palec w jednym miejscu, postukał nim w drugim.

– Przynajmniej tak nazywają mnie dzisiaj ludzie w tym mieście. Powinieneś mieć założone szwy, ale z tego co widzę, przeżyjesz i bez nich. Zbyt wiele czasu minęło od zranienia, do rozcięcia poprzyklejały się włosy, no i co najważniejsze, przestało już krwawić. Nie widzę też żadnych śladów infekcji.

Zszywanie niczego już nie zmieni. Teraz pokaż dłoń.

Jeśli Zeke usłyszał całą resztę przemowy po słowie „tak”, nie dał tego po sobie poznać.

– Yaozu mówił, że znał pan mojego ojca.

Doktor cofnął dłonie i usiadł prosto.

– On ci to powiedział? Tak się wyraził?

Zeke zamyślił się głęboko, próbując przypomnieć sobie słowa Chińczyka. Zmarszczone brwi ściągnęły skórę na zranionym czole, więc skrzywił się z bólu.

– Nie pamiętam dokładnie, ale mówił coś w tym stylu. Że mógłby mi pan o nim coś powiedzieć czy coś takiego.

– O tak, z pewnością mógłbym ci o nim opowiedzieć – przyznał

doktor. – A co powiedziała ci o nim twoja matka, jeśli mogę zapytać?

– Raczej niewiele. – Zeke wygrzebał się z pościeli i usiadł. Mało brakowało, a jęknąłby głośno na widok doktora z tej perspektywy. Mógłby przysiąc, że ten człowiek nie ma oczu, a pod maską w ich miejscu znajdują się jasnoniebieskie światełka.

Właśnie rozjarzyły się mocniej, by po chwili przygasnąć. Zeke nie miał

pojęcia, co to mogło znaczyć. Doktor znów sięgnął po jego dłoń i zaczął ją owijać bardzo miękkim bandażem.

– Niewiele. Rozumiem. Czy to znaczy, że nic ci nie powiedziała?

Zatem jeśli dobrze rozumiem, wiesz tylko to, co głosi oficjalna historia, co powiedzieli ci koledzy z klasy albo co posłyszałeś od plotkarek na Przedmieściach?

– Mniej więcej.

– Więc nie znasz nawet połowy prawdy. Co ja mówię, nawet jej ułamka. – Światełka za soczewkami



zamigotały, jakby mrugał, a potem zaczął mówić wolniej, jak gdyby się uspokoił. – Oskarżono go o wypadek z Kościotrzepem, ponieważ ludzie nie znali prawdy, rozumiesz? Oskarżono go o sprowadzenie Zguby, dlatego że nikt w okolicy nie miał bladego pojęcia o geologii ani o tym, co się dzieje pod płaszczem Ziemi. Nie rozumieli, że chciał dać temu zapomnianemu przez Boga i ludzi skrawkowi ładu nową dziedzinę przemysłu. Jego pragnieniem było otwarcie nowego rozdziału w historii miasta i jego mieszkańców. Ale oni... – Minnericht zamilkł, by zaczerpnąć tchu, co Zeke wykorzystał, by wbić się ukradkiem w poduszki za plecami. – Oni nie mieli pojęcia, czym jest praca wynalazcy, nie potrafili pojąć, że sukces rodzi się z porażek.

Chłopak marzył o tym, by pokój, w którym siedzieli, był o wiele większy, dzięki czemu mógłby się oddalić jeszcze bardziej od tego człowieka, lecz skoro nie było to możliwe, postanowił zagadnąć go na inny temat.

– Widzę, że miał pan okazję bardzo dobrze go poznać – powiedział.

Minnericht wstał, oddalił się od łóżka o kilka kroków, a potem zaczął się przechadzać od miednicy do fotela z rękami złożonymi na plecach.

– Twoja matka... – zaczął, jakby chciał rozpocząć nowy temat, zamilkł

jednak po tych słowach, dzięki czemu Zeke mógł przełknąć dawkę jadu, jaką w nich usłyszał.

– Zapewne bardzo się o mnie niepokoi – wybąkał.

– Wybacz, ale to mnie zupełnie nie interesuje – odparł Minnericht, nie odwracając się nawet. – Niech się martwi, skoro to wszystko jej wina. Nie dość, że ukryła twoje istnienie, to jeszcze zostawiła mnie tutaj samego, jakbym stworzył dla niej jakieś więzienie, a nie pałac.

Zeke zamarł. Do tej pory starał się jak najmniej ruszać, więc nie bardzo wiedział, co jeszcze zrobić, by stanowiło to różnicę. Serce waliło mu ostrzegawczo pod żebrami, a gardło ścisnęło się coraz mocniej z każdą upływającą sekundą.

Człowiek zwany teraz doktorem nie dał mu czasu na przemyślenie tej sprawy. Obrócił się szybko.

– Zrozum mnie, proszę – rzucił, gdy jego płaszcz łopotał jeszcze. –

Musiałem wybierać. Musiałem iść na kompromisy. Stając przed tymi ludźmi w obliczu kataklizmu i poniesionych przez nich strat, choć naprawdę nie z mojej winy, musiałem wybrać odosobnienie i odzyskać zdrowie w odosobnieniu. Po tym co się wydarzyło – dodał jeszcze, uderzając w żałobne tony – nie mogłem przecież wyjść do nich i powiedzieć, że to nie była moja wina. Miałem stanąć na kupie gruzu i oznajmić im, że nie zrobiłem nic złego i nikogo nie skrzywdziłem? Kto by mnie wtedy posłuchał? Kto by uwierzył

w moje protesty? Muszę ci wyznać, młody człowieku, że sam bym sobie wtedy nie uwierzył.

– Czy pan próbuje mi powiedzieć... że...

Wysoki ton, jakim przemawiał Minnericht, nagle się załamał.

– Jesteś bystrym chłopcem. A w każdym razie powinieneś taki być moim zdaniem. Zresztą sam nie wiem. Twoja matka – znów wymówił to słowo w nader jadowity sposób – także miała swój udział w tworzeniu twojej natury.

– Hej! – zaprotestował Zeke, nagle zapominając o wszystkich ostrzeżeniach Angeliny. – Proszę nie mówić o niej w taki sposób! Musiała ciężko harować, a ludzie nie ułatwiali jej życia przez... przez pana właśnie.

Kilka dni temu mówiła mi, że ludzie z Przedmieść nigdy jej nie darują tego, co pan uczynił.

– Skoro oni jej nie darują, dlaczego ja miałbym to zrobić? – zapytał

doktor Minnericht, lecz musiał dostrzec wyzwanie w oczach chłopaka, zaraz bowiem dodał: – Wiele się wydarzyło przed laty. Naprawdę wiele, ale nie oczekuję że coś z tego zrozumiesz. Nie mówmy jednak o tamtych czasach, na to jeszcze za wcześnie. Nie teraz, kiedy się dowiedziałem, że mam syna. Nie sądzisz, że to chyba dobry powód do świętowania?

Zeke miał problem, by zebrać myśli i wziąć się w garść. Zbyt często bardzo się bał i za wiele razy dziwił, odkąd przeszedł na tę stronę muru. Nie wiedział, czy jest bezpieczny, aczkolwiek podejrzewał, że nie bardzo, na domiar złego człowiek, który go przetrzymywał, wyrażał się bardzo niepochlebnie o jego mamie. Tego było już za wiele.

O tyle za wiele, iż nie zwrócił specjalnej uwagi na to, że doktor Minnericht oświadczył, iż jest jego ojcem. Nie wiedział, dlaczego tak trudno mu w to uwierzyć. A potem przypomniał sobie, co mu księżniczka powiedziała przy rozstaniu: „Cokolwiek ci powie, nie wierz mu. Nie pochodzi stąd i nie jest tym, za kogo się podaje. Nigdy nie powie ci prawdy na temat swojego pochodzenia, bo za wszelką cenę stara się je ukryć”.

Jeśli jednak Minnericht nie kłamie?

Jeśli to Angelina była kłamczuchą? Twierdziła, że Minnericht jest skończonym potworem i wszyscy się go tu boją, ale żyła w najlepszej komitywie z podniebnymi piratami.

– Przyniosłem ci parę rzeczy – powiedział doktor, wskazując torbę.

Albo chciał przerwać tym sposobem niezręczną ciszę, która zapadła, gdy Zeke zaczął bić się z myślami, albo po prostu rzucił te słowa na pożegnanie.

– Kolacja będzie za godzinę. Yaozu przyjdzie tu i przyprowadzi cię na miejsce. Wtedy porozmawiamy, o czym zechcesz. Odpowiem na twoje pytania, a wiem, że masz ich wiele. Dowiesz się wszystkiego, ponieważ nie jestem taki jak twoja matka i nie mam przed tobą sekretów jak ona. – Idąc w kierunku drzwi, dodał jeszcze: – Lepiej będzie, jeśli zostaniesz w pokoju. Jak zapewne zauważyłeś, drzwi są wzmocnione od środka. Mamy trochę problemów na wyższym poziomie. Zdaje się, że zgnilasy podeszły zbyt blisko naszych linii obrony.

– Jest źle?

– Jest bardzo źle, ale nie beznadziejnie. Szanse na to, że dostaną się do środka, są znikome. Ostrożności jednak nigdy za wiele. – To powiedziawszy, wyszedł.

Zeke nie usłyszał chrzęstu klucza w zamku. Gdy spojrzął w stronę drzwi, zauważył, że można je zabarykadować od wewnątrz. Przypomniał

sobie także, że nie ma swojej maski. Jak daleko zaszedłby bez niej?

– Niedaleko – podsumował z goryczą w głosie.

Potem zaczął się zastanawiać, czy nie jest obserwowany albo czy ktoś go nie podsłuchuje. Na wszelki wypadek postanowił trzymać usta zamknięte na kłódkę i w kompletnej ciszy podszedł do wypchanej torby, którą doktor zostawił koło miednicy i czarki ze świeżą wodą.

Nie dbając, że może wypaść niedobrze albo że ktoś poczyta to za złe maniery, Zeke dopadł porcelanowego naczynia i nie oderwał od niego ust, dopóki go nie osuszył z ostatniej kropli ciecicy. Sam się dziwił, jak wielkie miał pragnienie, a gdy je ugasił, przyszła kolej na głód. Cała reszta wydarzeń także wydawała mu się niesamowita – statek powietrzny, kraksa, dworzec, doktor... Nadal nie miał pojęcia, na ile może mu ufać. Wiedział tylko, że własny żołądek go nie oszukuje – a był pusty od wielu, wielu godzin.

Pytanie tylko, od jak wielu? Jak długo tu jest? Spał już dwukrotnie, raz pod gruzami wieży, no i teraz w podziemiach dworca kolejowego.

Pomyślał o matce i szczegółowym planie, który gwarantował mu dostanie się za mur i bezpieczny powrót do domu, zanim Briar Wilkes zamartwi się na śmierć. Miał nadzieję, że nic jej się nie stało. I że nie zrobiła niczego szalonego ani nie zamartwiła się do reszty, aczkolwiek miał

świadomość, że zawalił, co tylko się dało.

W torbie zostawionej przez Minnerichta znalazł parę czystych spodni i koszulę, do tego skarpety, w których nie było najmniejszej nawet dziurki.

Pozbył się więc natychmiast brudnych rzeczy i włożył podarowane, pachnące i szeleszczące świeżością. Nawet bawełniane skarpety okazały się miłe w dotyku i wcale nie laskotały. Poczł się bardzo dziwnie, gdy naciągał na nie stare buciory. Znoszone kamasze uwierały go zawsze w kilku miejscach, przecierając skarpety i napierając mocno na odcisk z boku dużego palca.

Dzisiaj nie mogły jednak sięgnąć odkrytej skóry.

Na półce nad miednicą Zeke znalazł przenośne lusterko. Obejrzał w nim zakrwawioną wciąż ranę na głowie i otarcia na twarzy, które do tej pory wyczuwał, ale nie mógł ich widzieć.

Wciąż wyglądał na brudnego dzieciaka, choć już nie tak obszarpanego, jak mu się zdarzało w ciągu minionych kilku lat. Spodobało mu się to odbicie. Prezentował się doskonale mimo grubego bandaża

na dłoni, który psuł nieco ogólne wrażenie.

Yaozu pojawił się wkrótce, otwierając drzwi bez najmniejszego szmeru. Mało brakowało, a Zeke upuściłby trzymane w dłoni lustro, gdy ujrzał w jego rogu odbicie krępego Chińczyka.

– Mógłby pan chociaż zapukać – powiedział z wyrzutem, obracając się na pięcie.

– Doktor pragnie, abyś spożył z nim kolację. Sądzi, że możesz być głodny.

– Jestem głodny jak cholera – odparł chłopak i zaraz poczuł się głupio.

Uznał bowiem, że w nowym ubraniu i tak schludnym otoczeniu powinien się zachowywać mniej prostacko. Niewiele jednak mógł w tej sprawie zrobić.

Zwłaszcza w tej chwili, więc dodał pospiesznie: – Co będziemy jedli?

– Pieczone kurczęta, jak sądzę. Ale mogą być też ziemniaki albo makaron.

Chłopak poczuł ślinę w ustach. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz jadł pieczonego kurczaka.

– Pędzę za panem! – zawołał ze szczerym entuzjazmem, który natychmiast zastąpił wszelkie obawy krążące mu do tej pory po głowie.

Ostrzeżenia Angeliny i inne niewesołe myśli wyparowały, gdy podązał

korytarzem w ślad za Yaozu.

Drzwiami ozdobionymi w rogach rzeźbionymi smokami dotarli do pomieszczenia wyglądającego jak pozbawiony okien salon. W jego głębi znajdowała się godna niejednego pałacu jadalnia.

Nakryty białym obrusem długi, choć wąski stół biegł przez niemal całą jej szerokość. Otaczały go wysokie krzesła rozmieszczone w równych odstępach. Tylko dwa były odsunięte, jednakże nie na końcach, z których jedzący nie mogliby się nawet widzieć. Wybrano dwa stojące naprzeciw siebie przy jednym ze szczytów stołu.

Minnericht siedział już na jednym. Szeptał coś do stojącego obok człowieka w dziwnym stroju z bielmem na lewym oku. Zeke niestety nie słyszał, o czym rozmawiają. Skończyli, gdy doktor dostrzegł przybyłych i odesłał rozmówcę.

– Musisz umierać z głodu – powiedział na powitanie. – W każdym razie wyglądasz mi na wygłodzonego młodzieńca.

– O tak – przyznał chłopak, wślizgując się na drugie z przygotowanych miejsc i nie zastanawiając się zupełnie, gdzie ma usiąść Yaozu. Miał to gdzieś. Podobnie jak to, czy Minnericht jest fałszywym nazwiskiem, a noszący je człowiek jego ojcem. Jego myśli skupiały się wyłącznie na pokrytym złotawą skórką soczystym pieczonym mięsie leżącym na talerzu przed nim.

Obok na obrusie zobaczył serwetkę złożoną w kształt przypominający łabędzia. Zeke zignorował ją zupełnie i od razu wyciągnął rękę, sięgając po udko. Minnericht ujął w dłoń widelec, nie krytykując chłopaka za takie zachowanie.

– Matka powinna cię lepiej karmić – stwierdził tylko. – Domyślam się, że nie macie lekko na Przedmieściach, ale są jakieś granice. Dorastający chłopak musi się porządnie najeść.

– Mama mnie karmi... – zapewnił go Zeke, mówiąc z pełnymi ustami.

Nagle jednak zamilkł, jakby któreś z wypowiedzianych przez doktora zdań stanęło mu kością w gardle. Chciał właśnie zapytać o wyjaśnienie, gdy Minnericht uczynił coś zupełnie niespodziewanego.

Zdjął mianowicie maskę.

Trwało to chwilę i wyglądało na niezwykle skomplikowaną procedurę, podczas której trzeba było rozpiąć wiele miniaturowych klamer i zaczepek.

Niemniej gdy ostatni puścił i metalowa konstrukcja powędrowała na bok, doktor pokazał swoje ludzkie oblicze.

Nie była to zbyt piękna twarz, nie mówiąc już o tym, że nie była cała.

Pokryta guzami blizna, nie mniejsza od ludzkiej dłoni, ciągnęła się od ucha aż do skrajów górnej wargi, zamykając prawe nozdrze i zniekształcając mięśnie wokół ust. Doktor miał też problemy z zamykaniem prawego oka, ponieważ stracił niemal całą powiekę.

Zeke starał się ze wszystkich sił nie gapić na niego, ale niewiele to pomogło. Nie przestał jednak jeść. Jego żołądek przejął kontrolę nad ustami i dłońmi. Nie potrafił sobie też wyobrazić, że odsuwa od siebie tego przepysznego kurczaka.

– Możesz na mnie patrzeć do woli – powiedział Minnericht. – Masz ten rzadki przywilej. Pozwalam sobie odkrywać twarz tylko w dwóch miejscach.

W tej jadalni i w moim prywatnym apartamencie, więc na palcach jednej ręki da się policzyć osoby, które widziały mnie bez maski.

– Dziękuję – mruknął Zeke, lecz zabrzmiało to tak, jakby miał ochotę zakończyć to słowo znakiem zapytania, ponieważ nadal nie wiedział, czy powinien się czuć wyróżniony czy raczej zaniepokojony tym gestem gospodarza. Zaraz więc skłamał: – Nie wygląda pan aż tak źle. Widywałem na Przedmieściach ludzi znacznie gorzej poparzonych Zgubą.

– To nie są ślady po kontakcie z gazem. Zostałem poparzony przez ogień.

Doktor zaczął jeść, wkładając do ust znacznie mniejsze kawałki mięsa niż siedzący naprzeciw chłopak, który z największą ochotą wpakowałby do ust całą nogę kurczęcia, gdyby nikt na niego nie patrzył. Minnericht miał

częściowo sparaliżowaną twarz – Zeke zauważył to, obserwując, jak porusza ustami podczas jedzenia. Dostrzegł też, że nozdrza zupełnie mu się nie rozduwiają podczas oddychania.

Teraz gdy doktor mówił bez pomocy mechanizmów, widać było także, że musi wkładać wiele wysiłku, by słowa brzmiały wyraźnie.

– Synu – powiedział, a Zeke drgnął, nie sprzeciwił się jednak –

obawiam się, że mam dla ciebie nieco... jak by to powiedzieć... niepokojącą wiadomość.

Chłopak przestał żuć i natychmiast przełknął resztki jedzenia, które miał w ustach, jakby się obawiał, że może mu zostać odebrane.

– Co się stało?

– Dowiedziałem się właśnie, że twoja mama wyruszyła na poszukiwanie ciebie tutaj, do miasta za murem. Horda zgnilasów zaatakowała miejsce, gdzie dotarła, i od tamtej pory ślad po niej zaginął.

Mamy spore problemy z nieumarłymi po tej stronie muru. Wspominałem ci już, że walczyliśmy z nimi właśnie w tej chwili, więc nie dziwi mnie, że i ona, chociaż jest ostrożną kobietą, wpadła z ich powodu w tarapaty.

Chłopak przestał jeść.

– Chwileczkę. Co pan powiedział? Coś jej się stało? Przyszła tutaj, za mur, żeby mnie szukać?

– Obawiam się, że tak właśnie zrobiła. Muszę przyznać, że powinienem dodać jej kilka punktów za niespotykany upór i instynkt macierzyński. Nigdy nie używałeś przy stole serwetki?

– Nigdy. Gdzie ona jest?

Doktor zdawał się zastanawiać nad kolejnym ruchem, po chwili przedstawił sprawę w nieco innym świetle.

– Nikt mi nie doniósł, że zginęła. Nic nie świadczy też o tym, że została pokąsana. Po prostu... zniknęła po tym pożałowania godnym incydencie.

Może się jeszcze pojawi.

Na talerzu chłopaka niewiele już zostało, ale nie potrafił się przemóc, by sięgnąć po kolejny kawałek mięsa.

– Nie zamierza pan jej szukać? – zapytał, wciąż nie wiedząc, jaką odpowiedź wolałby usłyszeć, więc nie naciskał, gdy Minnericht się zastanawiał.

– Moi ludzie rozglądają się za nią – stwierdził w końcu.

Ezekielowi nie spodobało się to wymuszone i ostrożne wyjaśnienie, podobnie jak ton, którym zostało wygłoszone.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? – Podniósł piskliwy głos nieco wyżej, niż zamierzał. – Wiem, że nie była dla mnie idealną matką, ale i ja nie należę do najgrzeczniejszych dzieci, więc oboje dawaliśmy sobie w kość.

Jeśli przyszła tutaj za mną i ma kłopoty, muszę jej pomóc! Muszę... muszę się stąd wydostać i odszukać

– To wykluczone – rzekł stanowczym tonem doktor, lecz trwał w bezruchu, jakby nie wiedział, co ma teraz zrobić. – Nigdzie nie pójdziesz.

– Dlaczego? Bo pan tak mówi?

– Na zewnątrz dworca nie jest bezpiecznie. Przekonałeś się o tym na własnej skórze, Ezekielu.

– Ale ona jest moją mamą, a to wszystko moja wina i...

Minnericht ruszył się w końcu, wstał, odsuwając krzesło i zrzucając przy tym serwetkę na podłogę.

– Tak, to wszystko twoja wina, ale jestem twoim ojcem i nakazuję ci zostać tutaj, dopóki nie będzie bezpieczniej!

– Nie!

– Mówisz, że nie mogę cię zatrzymać tutaj? Obawiam się, że tkwisz w błędzie, synu.

– Nie jest pan moim ojcem. Mam pana za kłamcę i oszusta. Chociaż nie rozumiem, dlaczego tak desperacko chce się pan wcielić w Leviticusa Blue, którego wszyscy wokół nienawidzą. – Zeke także poderwał się z miejsca. W

pośpiechu o mało nie włożył przy tym dłoni do talerza. – Mówi pan o mojej mamie, jakby była panu bliska, ale tak nie jest. Nie zna jej pan zupełnie. Idę o zakład, że nawet pan nie wie, jak ma na imię.

Minnericht sięgnął po maskę i zaczął ją mozolnie podłączać i zapinać.

Zakładał ją, jakby była zbroją zdolną ochronić go przed tym werbalnym atakiem.

– Nie bądź głupi. Gdy brałem ją za żonę, nazywała się Briar Wilkes, a po ślubie mówiono na nią pani Blue.

– O tym wszyscy wiedzą. Proszę mi powiedzieć, jak ma na drugie imię

– zażądał tryumfującym tonem Zeke. – Idę o zakład, że tego już pan nie wie.

– A co to ma wspólnego z tą sprawą? Twoja mama i ja znaliśmy się dawno temu... zanim jeszcze

przyszedłeś na świat.

– Świetna wymówka, doktorze – stwierdził chłopak, przetapiając wszystkie łzy, które do tej pory wstrzymywał, w pałący sarkazm. – Jaki kolor mają jej oczy?

– Dość tego. Przestań albo cię do tego zmuszę.

– Tego też pan nie wie. Nie zna jej pan, tak samo jak mnie.

Hełm znalazł się w końcu na swoim miejscu, mimo że Minnericht nie uszczknął zbyt wiele jedzenia.

– Ja jej nie znam? Drogi chłopcze, wiem o niej o wiele więcej niż ty.

Znam jej najgłębsze sekrety, którymi z tobą na pewno się nie dzieliła...

– Nie dbam o to – rzucił Zeke. Zabrzmiało to jednak bardziej rozpaczliwie, niżby chciał. – Teraz liczy się tylko to, że muszę ją odnaleźć.

– Przecież ci powiedziałem, że moi ludzie jej szukają. To moje miasto!

– dodał gorączkowo. – Jeśli ona jest w mieście, które do mnie należy...

– ... to też jest pańska? – wtrącił Zeke.

Ku jego zdziwieniu Minnericht nie zaprzeczył. Zamiast tego oświadczył lodowatym tonem:

– Owszem. Podobnie jak ty.

– Ja tu nie zostanę.

– Nie masz wyboru. A może powinienem powiedzieć: masz, ale na pewno nie będziesz z niego zadowolony. Możesz zostać tutaj i żyć w komfortowych warunkach, podczas gdy moi ludzie zajmą się szukaniem twojej matki, albo wybrać się na powierzchnię bez maski i pozwolić, by gaz cię udusił bądź przemienił w nieumarłego, nie wspominając o innych równie przerażających możliwościach. Tak to wygląda. Aktualnie nie masz innego wyjścia, wracaj więc do swojego pokoju i czuj się tam jak u siebie w domu.

– Nic z tego. Znajdę jakiś sposób na wydostanie się z dworca.

– Nie bądź głupi – ostrzegł go doktor. – Ofiarowuję ci wszystko, czego ona ci odmawiała od urodzenia. Uczynię cię swoim spadkobiercą. Bądź

moim synem, a zyskasz znaczącą pozycję mimo uprzedzeń i nieporozumień, przez które mieszkańcy odwrócili się ode mnie.

Zeke myślał szybko, lecz niewiele przychodziło mu do głowy. Jedno wiedział na pewno: będzie potrzebował maski. Bez niej niczego nie zdoła, co do tego Minnericht się nie mylił.



– Nie chcę... – powiedział, ale nie zdołał znaleźć odpowiednich słów, by dokończyć to zdanie. Zaczął więc raz jeszcze od początku, już spokojniej w obliczu obojętnej bijącej od maski doktora.

– Nie chcę wracać do pokoju.

Minnericht wyczuł okazję do zawarcia satysfakcjonującego go kompromisu.

– Na zewnątrz także nie możesz wyjść – zauważył.

– Owszem – odparł chłopak. – Dotarło to do mnie, ale chcę wiedzieć, gdzie jest moja mama.

– Mogę cię zapewnić, chłopcze, że ja również. Zacziesz się zachowywać jak cywilizowany człowiek, jeśli ci coś przyrzeknę?

– Zobaczymy.

– Dobrze, podejmę takie ryzyko. Obiecuję ci zatem, że jeśli zdołamy odnaleźć twoją matkę, sprowadzimy ją tutaj i będziesz mógł się z nią spotkać, a nawet odejść z nią, jeśli taka będzie wasza wola. Czy to wystarczająco uczciwa propozycja?

W tym właśnie problem – oferta wydawała się zbyt korzystna.

– Jaki jest w tym haczyk?

– Nie ma żadnego haczyka, synu. A jeśli jakiś będzie, to tylko ze strony twojej matki. Ale jeśli naprawdę zależy jej na twoim dobru i przyszłości, sama namówi cię do pozostania tutaj. Jesteś bardzo mądrym dzieckiem, stąd wiem, że obaj będziemy mogli nauczyć się czegoś od siebie. Mogę zapewnić ci o wiele lepsze życie niż ona, na przykład...

– Aha, już rozumiem. Zapłaci jej pan, żeby mnie tu zostawiła.

– Nie bądź prostacki.

– No przecież o to panu chodzi, nie? – zauważył Zeke już bez gniewu w głosie. Był zaskoczony, zawiedziony i skołowany. Otrzymał jednak obietnicę, która była dobrym punktem wyjścia bez względu na to, czy zostanie dotrzymana. – Z tym że mnie to mało obchodzi. Możecie to załatwić między sobą, jak chcecie. Mam to gdzieś. Chcę tylko, żeby nic jej się nie stało.

– Widzisz, że możemy się dogadać? Znajdę ją i sprowadzę tutaj. Potem ustalimy resztę szczegółów. Na razie mamy do czynienia z pierwszym wspólnym, rodzinnym, rzekłbym, posiłkiem od wielu lat... Może powinniśmy go dokończyć – stwierdził, spoglądając gdzieś za plecy Zeke'a na człowieka, który stanął w progu. Był to ten sam dziwnie ubrany czarnoskóry mężczyzna z bielmem na oku. Sterczał z dumnie uniesioną głową, jakby chciał tym sposobem zwrócić na siebie uwagę Minnerichta.

– Chcę maskę – zażądał chłopak, zanim doktor do reszty stracił

zainteresowanie jego osobą.

– Nie mogę ci jej dać.

– Prosił mnie pan o zaufanie. Dlaczego miałbym je okazywać, skoro pan tak jawnie pokazuje, że mi nie ufa? – zapytał Zeke.

– Sprytny jesteś. Cieszysz mnie to niezmiernie. Niemniej maska jest potrzebna tutaj tylko do jednego: do wyjścia na zewnątrz, a chwilowo nie mogę uwierzyć, że dotrzymasz słowa i zostaniesz w podziemiach z własnej woli. Dlatego z wielkim żalem muszę ci odmówić spełnienia tego niezwykle rzeczowego życzenia.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? – zapytał chłopak, czując wściekłość, że Minnericht zbył go tak gładkimi słówkami.

– Ze nie dam ci maski. Ale nie musisz też wracać do swojego pokoju.

Możesz iść, gdzie zechcesz. Wiem, co cię ogranicza, i uwierz mi na słowo: nie ma takiego miejsca w moim królestwie, gdzie nie zdołałbym cię odnaleźć. Zrozumiano?

– Zrozumiano – przytaknął potulnie Zeke.

– Yaozu, po... Do diaska, Lesterze, gdzie się podziewa Yaozu?

– Nie mogę powiedzieć, sir – odparł czarnoskóry, co jednak wcale nie musiało znaczyć, że tego nie wie. Powodem jego milczenia równie dobrze mogła być obecność chłopaka.

– Świetnie. Po prostu wspaniale. Polazł gdzieś, żeby... A co mi tam.

Ty! – wskazał Lestera – idziesz ze mną, a ty – spojrzał na Zeke'a – czuj się jak u siebie w domu. Rozejrzyj się po dworcu. Możesz robić, co chcesz, ale radzę ci po dobroci: zostań w sercu tego kompleksu, najlepiej na tym właśnie poziomie. Gdy znajdę twoją matkę, przyprowadzę ją do ciebie. Bez względu na to co myślisz o mnie i w co wierzysz, gdyby nawet udało ci się jakimś cudem wydostać na powierzchnię i rozpocząć poszukiwania, i tak znajdę ją pierwszy. Dlatego siedź tutaj, jeśli nie chcesz być zostawiony tam na pastwę losu, kiedy wszyscy wrócimy do domu.

– To nie jest dom – zauważył Zeke z widoczną odrazą – ale przyjąłem pańskie słowa do wiadomości.

– I dobrze.

Było to bardziej lekceważące stwierdzenie niżli pochwała, lecz doktor gniewnie wymaszerował z pokoju, dosłownie ciągnąc za sobą Lestera.

Gdy obaj zniknęli za drzwiami, a chłopak został sam w jadalni, najpierw zaczął po niej krążyć jak tygrys w klatce, a potem wrócił do stołu, tyle że tym razem nie usiadł na krześle. Musiał przeanalizować tę sprawę raz jeszcze, a najlepiej mu się myślało, gdy miał żołądek pełny i swobodę ruchów. Zabrał więc resztę kurczaka z talerza. Ogryzał go, kręcąc się po jadalni, dopóki nie zostały same kości. Potem zjadł też mięso, które zostawił

Minnericht.

Po opróżnieniu obu talerzy i rozejrzeniu się za kuchnią Zeke beknął na cały głos i pograżył się ponownie w myślach o maskach przeciwgazowych.

Doktor Minnericht – którego wciąż wzbraniał się uznać za ojca –

musiał mieć ich tutaj kilka na wszelki wypadek. Jego maska była szczególna, zrobiona wyłącznie dla niego, niemniej Zeke widział na tym poziomie także kilka innych osób. Dla przykładu takiego Yaozu i tego Murzyna z bielmem na oku. W pozostałych pokojach, otwartych i zamkniętych, musi być przecież jeszcze wiele osób, które się zajmują utrzymaniem tego miejsca w czystości, a mechanizmów w ruchu. Z góry dobiegały odgłosy kroków, ciężkich, jakby chodzili tam postawni mężczyźni w podkutych butach. Czasami wyglądało to na klasyczny obchód strażnika, kiedy indziej słyszał szybki tupot wielu stóp.

Kimkolwiek jednak byli, nie zapuszczali się na niższy poziom.

Wchodzili i wychodzili. Musiało być więc jakieś miejsce, skąd zabierali maski. Gdyby trafił na szafkę czy pokój, gdzie przechowywano ten sprzęt, nie zawahałby się przed przywłaszczeniem sobie jednej.

Jeśli oczywiście zdoła je znaleźć.

Mimo dość długiego spaceru po podziemiach dworca nie udało mu się jednak trafić ani na skład masek przeciwgazowych, ani na innych ludzi. Ten poziom wydawał się wymarły, czemu przeczyły jednak od czasu do czasu dobiegające skądś kroki, stłumione odgłosy rozmów i piszczenie w ścianach rur, którymi płynęła para ogrzewająca te pomieszczenia.

Ktoś jednak musiał się zajmować utrzymaniem w czystości pokojów gościnnych, ktoś musiał tu też gotować i zbierać talerze po posiłkach –

wmawiał sobie Zeke, wędrując po pomieszczeniach, do których dał mu dostęp gospodarz.

Z czasem nos doprowadził go do kuchni, skąd zdołał zwędzić opakowane w papier woskowy płyty suszonej wołowiny, kilka błyszczących czerwonych jabłek oraz garść suszonych wiśni, tak słodkich jak cukierki, co sprawdził od razu. Nie znalazł jednak źródła świeżej żywności, którą podano na niedawny obiad, niemniej i ta skromna zdobycz ucieszyła go niezmiernie.

Zaniósł to wszystko do swojego pokoju, żeby mieć przekąskę na później.

Nie znalazł tego, czego najbardziej szukał, ale też jego pragnienie, by wyrwać się stąd natychmiast i za wszelką cenę, osłabło z czasem. Rozgościł

się więc we własnym pokoju, przysiadł na skraju zaścielonego łóżka i zaczął

się zastanawiać, co przyniesie przyszłość, trawiąc w spokoju kolację. Sytość po treściwym posiłku posłała go jednak dość szybko na koce, których miękkość i wygodność łóżka sprawiły, że postanowił

okryć się szczelniej i przymknąć z zadowolenia oczy. Tylko na moment, pomyślał, lecz zbudził się dopiero po świetle.

## ROZDZIAŁ 24

Zeke obudził się rano, zdecydowany zrealizować plan z poprzedniego wieczora. Upchał po kieszeniach ukradzione z kuchni jedzenie z wyjątkiem tego, co zjadł, kiedy wstał, i wrócił na korytarz prowadzący do windy. Krata była zamknięta, ale przesunął ją bez trudu. Niestety nie miał

bladej koncepcji, co zrobić, gdy znalazł się wewnątrz windy. Z drucianego sufitu zwisały cztery dźwignie. Z tego co wiedział, jedna z nich włączała alarm.

Gdzieś muszą być schody.

Gdzieś.

I inni ludzie, pomyślał w chwili, gdy zza zakrętu wyłonił się niesamowicie wysoki Chińczyk i wyglądający przy nim jak karzeł biały mężczyzna. Obaj zamilkli i stanęli jak wryci, mimo że przed momentem wyglądali, jakby bardzo im się spieszyło. Stali i spoglądali z lekkim niepokojem i zaciekawieniem na nieznanego chłopaka.

– Hej – powitał ich Zeke.

– Hej – odpowiedział biały. Był niski i pulchny. Dorównywał

wzrostem Ezekielowi, ale z pewnością był co najmniej czterokrotnie od niego cięższy. Pasek od spodni wyglądał na nim jak równik na globusie. Na zmierzwionych włosach miał zmiętą furazerkę. – Ty jesteś chłopakiem doktora?

– Jestem Zeke – przedstawił się chłopak, nie potwierdzając, lecz także nie zaprzeczając tej informacji. – A wy kim jesteście?

Odpowiedzieli mu jeszcze mniej konkretnie niż on im.

– Dokąd się wybierasz, bracie? Na górze szaleją zgnilasy. Jeśli masz choć odrobinę oleju w głowicy, nie powinieneś wyściubiać nosa z tego poziomu.

– Nigdzie się nie wybieram. Po prostu zwiedzam okolicę. Doktor powiedział, że mogę zaglądać, gdzie chcę.

– Tak powiedział?

– Nie kłamie.

Wysoki Chińczyk pochylił się, by lepiej widzieć Ezekuela, i wychrypiął

głębokim głosem:

– Gdzie Yaozu? My nie zajmujemy się niańczeniem dzieci.

– To należy do jego obowiązków?

– Może jemu się to bardziej podoba – odparł grubasek – skoro jest prawą ręką doktora. A może jest wręcz odwrotnie. Nie mam bladego pojęcia, ale wygląda na to, że to jego działka.

Zeke skinął głową, przyjmując to do wiadomości i zapamiętując na wypadek, gdyby ta informacja mogła się jeszcze przydać.

– Dobrze. Pozwólcie zatem, że zadam wam jedno pytanie. Jak mogę się dostać na wyższy poziom? Tutaj zwiedziłem już wszystkie zakamarki.

– Dotarło do ciebie, co powiedziałem? Nie słyszysz tego rabanu? Tam są zgnilasy, chłopcze. Nawet stąd je dobrze słychać.

– Na tamtym piętrze jest niebezpiecznie – dodał drażal z wąskimi piwnymi oczami. – Sztyniaki i zgnilasy to najpaskudniejsza kombinacja, jaką znam.

– Dajcie spokój. – Zeke próbował się z nimi spoufalić, widząc, że zaczynają się niecierpliwić odciąganiem ich od obowiązków. – Pomóżcie dziecku. Chcę się tylko rozejrzeć po swoim nowym domu.

Spoglądali na siebie, wzruszając co rusz ramionami, w końcu wyższy pociągnął za sobą korpulentnego i rzucił na odchodnym:

– Nie. Nie ma szans. Nie idź na górę, jeśli ci życie miłe. Tam jest prawdziwa jatka. Zgnilasy włożą do środka ze wszystkich stron, jakby ktoś ich tam wpuścił celowo. Ale to nie jedyny nasz problem.

– Co jeszcze się dzieje?

– Twój tata nie ma zbyt wielu przyjaciół poza tym dworcem, a i oni czasami potrafią narobić smrodu. Uwierz mi, nie chciałbyś trafić między nich i zgnilasów. A ja nie zamierzam być tym, którego posądzą, że cię tam wpuścił.

– Jeśli dostanę się na górę i zostanę zabity, nie pisnę ani słowa o tym, kto mi pokazał drogę – zapewnił go Zeke. – To jak? Umowa stoi?

Grubas się zaśmiał i wsadził kciuk za pas.

– Tu mnie masz – powiedział. – No niech ci będzie. Nic powiem ci, jak działa winda, bo się na tym nie znam i sam nie wiem, za co pociągnąć, by ruszyła, ale jeśli pójdiesz tym korytarzem, z którego przyszliśmy, i skręcisz na końcu w lewo, znajdziesz klatkę schodową. Gdyby ktoś pytał, ja ci tego nie powiedziałem. A jak wrócisz, pamiętaj, komu zawdzięczasz tę przysługę.

– Dzięki! – zawołał rozpromieniony Zeke. – Zapamiętam, spokojna głowa. Jesteś wielki, mistrzu.

– Się wie – odparł grubas.

Zeke ruszył w głąb korytarza różnym krokiem, utrzymując tempo pomiędzy szybkim chodem a sprintem. Znalazł schody po krótkiej chwili i popędził nimi w górę. Na wyższym poziomie czekały problemy, ale i ludzie posiadający maski przeciwgazowe. Nieważne, jakie modele, nieważne, komu będzie musiał je zwędzić – musiał zdobyć jedną, gdyby nawet miał zapłacić za to życiem.

Na schodach nie było światła, chłopak nie miał też pomysłu, w jaki sposób mógłby oświetlić sobie drogę, niemniej do pokonania było tylko jedno piętro, a mógł się poruszać także na słuch. Hałasy dochodzące z góry nasilały się z każdą chwilą.

Brzmiało to mniej więcej tak, jakby ciężcy mężczyźni biegali tam i z powrotem. Całości dopełniały czyjeś wrzaski. Gdy wspiął się w kompletnym mroku jeszcze kilka stopni, podłoga zakołysała się od silnej eksplozji.

Zwaliło go z nóg, chciał się chwycić poręczy, ale nie trafił na nią dłonią.

Wylądował więc na rękach i kolanach.

Zanim zdołał wstać, konstrukcja dworca przestała wibrować. Otrzepał

dłonie z pyłu o spodnie i przywarł do ściany. Szedł ostrożnie dalej, nie odrywając od niej ramienia, dopóki nie dostrzegł wąskiej linii światła wydobywającej się spod ukrytych w mroku drzwi.

Niestety, nie potrafił

wymacać dźwigni, która mógłby je otworzyć. Kiedy zaczął na nie napierać barkiem, hałasy po drugiej stronie nasiliły się jeszcze bardziej. Słyszac je, zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno chce skorzystać z tej drogi ucieczki.

Do stukotu butów i krzyku dołączył charakterystyczny huk broni palnej.

Zeke przestał szukać sposobu na otwarcie drzwi. Odgłosy bitwy skutecznie zniechęciły go do kontynuowania tej wyprawy. A za drzwiami walczone na całego, co stanowiło ogromny kontrast dla spokoju panującego piętro niżej. Czy o tym zagrożeniu Lester szeptał doktorowi Minnerichtowi na ucho?

Zeke nie widział jeszcze zgnilasa z bliska. To znaczy takiego prawdziwego, szalejącego z głodu, nie mówiąc już o całym stadzie.

Irracjonalny impuls ciekawości zmusił go do wznowienia poszukiwań dźwigni.

Jego palce trafiły na coś wystającego ze ściany, co mogło nią być, tyle że znajdowała się nieco wyżej niż tradycyjne klamki. Naciskał ją i pociągał, nic się jednak nie działo. Pociągnął raz jeszcze, wieszając się z całych sił, ale drzwi nawet nie drgnęły.

Za to coś rąbnęło w nie z drugiej strony.

Rąbnęło coś wielkiego i twardego, otwierając drzwi na oścież i więżąc rozplaszczonego Zeke'a pomiędzy skrzydłem i ścianą. Siła ciosu pozbawiła go tchu. Padł na podłogę, chwytając się za zranioną głowę, chociaż chronienie jej po fakcie nie było zbyt sensownym pomysłem. Jęknął cicho i wciągnął do płuc powietrze, w którym dało się wyczuć smród prochu strzelniczego i... Zguby. Powietrze wydawało się lepkie, osiadało w krtani, drażniąc ją i powodując kaszel, którego jednak nie sposób było wychwycić w harmidrze panującym po drugiej stronie.

Mimo to ktoś go usłyszał.

Ktoś odciągnął masywne odrzwia, zajrzał za nie i znalazł

zmalretowanego chłopca zasłaniającego dłońmi rozbitą głowę i twarz.

Człowiek ten rzucał ogromny cień. Kiedy Zeke odważył się spojrzeć pomiędzy palcami, zobaczył niemal wyłącznie ciemność, chociaż drzwi były otwarte na oścież.

– Ej, ty tam! Co tu robisz? Wstawaj – odezwał się mężczyzna przez aparat, który nadawał jego słowom mechaniczne brzmienie. Wydawać się mogło, że mówi w wiadrze.

– Czy... może pan... zamknąć te drzwi? – Zeke był roztrzęsiony i przerażony, a zza ściany dobiegały dźwięki coraz głośniejszej strzelaniny.

Odsunął ręce od twarzy i zerknął w górę na podświetloną postać. To co ujrzał, nie przypominało człowieka. To znaczy niezupełnie. Stał przed nim mężczyzna w czymś na kształt zbroi i w masce przypominającej łeb wołu.

Nie odzywał się jeszcze przez chwilę, mimo że w tym czasie od jego ramienia odbiło się co najmniej kilka pocisków.

– To nie jest bezpieczne miejsce dla dziecka – rzekł w końcu. – Co tu robisz? – Pytanie zostało zadane bardzo powoli, jakby odpowiedź na nie miała ogromne znaczenie.

– Staram się stąd uciec! – odparł Zeke. – Zabrali mi maskę tam, na niższym poziomie. Myślałem, że...

Przerwał mu huk o wiele głośniejszy od strzału z rewolweru. Dobiegł

zza mężczyzny w pancerzu.

– Co to było?! – Mało brakowało, by Ezekiel zaczął wrzeszczeć.

Olbrzym się zachwiał, jakby poczuł uderzenie w plecy. Musiał

pochwycić potężnymi rękoma framugę, by utrzymać pionową pozycję.

– To pistolet soniczny doktora Minnerichta – wyjaśnił. – Można z niego strzelać jak z broni palnej, tylko że... dźwiękiem. – Przez moment wydawało się, że doda jeszcze kilka słów wyjaśnienia na ten niezwykle frapujący temat, lecz zrezygnował i rzucił tylko: – Ucieczka stąd to niezły pomysł, ale

raczej nie tą drogą. Lepiej nie... – zamilkł na moment. – Ezekiel?

To ty?

– Kim pan jest i dlaczego pyta?

– Znam kogoś, kto cię szuka – odparł krótko człowiek w zbroi, co jednak nie usatysfakcjonowało chłopca. Od razu przyszedł mu na myśl olbrzym pilotujący statek powietrzny, który musiał lądować awaryjnie na terenie fortu.

Gigant blokujący mu drogę mógł być jego krewniakiem albo jeszcze gorzej: należeć do załogi. Powrót zaś na pokład między piratów był ostatnim z pragnień Zeke'a. Sytuację pogarszał dodatkowo fakt, że ten zamaskowany wielkolud znał jego imię. To mogło oznaczać, że podniebni piraci wiedzą już, kim on jest, i posłali za nim w pościg najemników.

– Nie – odparł więc pospiesznie, zaprzeczając wszystkiemu naraz. –

Nie wiem, o kim mowa. Proszę mnie puścić.

Mężczyzna pokręcił głową, aż krawędzie maski zatrzeszczały, trąc o opancerzony kołnierz.

– Możesz iść, ale nie na górę. Tam zginiesz w okamgnieniu.

– Potrzebuję maski!

– Coś ci powiem... – Mężczyzna obejrzał się przez ramię, chyba zauważył coś interesującego. – Zaczekaj, zaraz ci przyniosę maskę.

Przejście obok opancerzonego giganta wydawało się Ezekielowi niemożliwe mimo naprawdę ogromnej determinacji. Wyglądało jednak na to, że zamierza się oddalić na kilka sekund, co dawało pewną szansę...

– Dobrze – wyszeptał, kiwając szybko głową.

– Zostaniesz tutaj i nie ruszysz się na krok?

– Nie, proszę pana, nawet nie drgnę – zapewnił go Zeke.

– Świetnie. Wrócę za minutkę.

Ledwie opancerzony olbrzym zdążył się obrócić, chłopak przeniknął na korytarz pomiędzy jego plecami a futryną.

Zbyt przerażony, by zastygnąć w miejscu, i zbyt odsłonięty, by pozwolić sobie na wyprostowanie pleców, pełził tuż przy ścianie w kierunku pierwszej osłony, jaką zauważył, czyli stosu mocno już podziurawionych kulami skrzyń. Nagle poczuł falę gorąca, która przeorała mu grzbiet, drąc przy okazji koszulę.



Sięgnął natychmiast rękami na plecy, w kierunku palacej linii gdzieś między łopatkami, ale nie mógł dostać do tego miejsca, dlatego dał sobie spokój, gdy dotarło do niego, że nie zginął ani nie odniósł rany, która mogłaby skutkować rychłą śmiercią. Rozbita głowa, a nawet przecięta dłoń bolały go i tak znacznie bardziej.

Zapędzony w róg, przykucnął, przyglądając się z przerażeniem po otoczeniu.

Pomieszczenie zostało podzielone pomiędzy dwie walczące ze sobą frakcje. Słyszane z dołu odgłosy nie kłamały: trwała tutaj regularna bitwa.

Jednakże wbrew zapewnieniom nie widział w pobliżu ani jednego zgnilasa.

Nie było żadnych oblażących z ciała jęczących nieumarłych, których tak dobrze znał z opisów. Widział tylko ostrzeliwujących się wzajemnie ludzi, zarówno kobiety, jak i mężczyzn, ukrytych za różnymi przeszkodami rozstawionymi na pięknej niegdyś marmurowej posadzce. Po jednej stronie miał gromadę Chińczyków wspomaganą przez mężczyzn ubranych podobnie jak podniebni piraci, których widział na pokładzie „Clementine”. Po drugiej zauważył Lestera i ludzi wyglądających na mieszkańców podziemi dworca.

Z sufitu zwisały kaskady połyskujących lampek przypominające nieco stalaktyty spotykane w jaskiniach. Oświetlały niezwykle dokładnie każdy szczegół tej przerażającej strzelaniny, docierając do najbardziej nawet zakurzonego i pokrytego pajęczynami zakamarka.

Wzdłuż ścian stały liczne wyściełane ławy i wykonane z jedwabiu rośliny, które nie wymagały podlewania, aczkolwiek przydałoby im się łatanie po tyłu trafieniach kulami. Za ich donicami i powywracanymi rzędami siedzeń dawnej poczekalni kryły się grupki ludzi o zaciętych twarzach, starając się zmusić stronę przeciwną do poddania lub zabić ją bez pardonu.

Zeke nie miał pojęcia, gdzie trafił. Pomieszczenie to przypominało mu z wyglądu halę dworcową. Nie widział także, kim są ci ludzie i dlaczego ze sobą walczą. Rozpoznał jedynie twarz Lestera. Niektórzy strzelcy nosili maski, inni mieli odkryte twarze. Dostrzegł też trzy ofiary tego konfliktu, dwie leżące na polerowanym kamieniu twarzą do ziemi i jedną ułożoną na plecach. Ostatni z zabitych miał rozerwaną krtani i szeroko otwarte oczy, którymi wpatrywał się już tylko w niebo znajdujące się gdzieś wysoko nad tym sufitem.

Jego towarzysz, jeden z tych, którzy padli twarzą w dół, wciąż miał na sobie maskę.

Ku ogromnemu zdziwieniu Zeke’a olbrzym, którego spotkał przed chwilą przy drzwiach, właśnie klęczał przy nim i odpinał sprzączki uprzęży.

Głowa zabitego obracała się w jego rękach bezwładnie, jakby nie była umocowana do reszty ciała. Mężczyzna w zbroi poluzował ostatni pasek i uwolnił ją od skózanego kagańca.

Gigant obejrzał się i zlustrował wzrokiem wejście na klatkę schodową.

Gdy zauważył, że Zeke’a nie ma przy drzwiach, zaklął głośno i obrócił się wokół własnej osi. Kolejna kula odbiła się od jego naramiennika, wydając przy tym głośny dźwięk, jakby ktoś walnął w

cymbały, ale na klęczącym nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Dostrzegł chłopaka kulącego się za skrzyniami.

Przez moment Ezekiel miał wrażenie, że opancerzony olbrzym zdejmie z pleców wielką armatę i wypali z niej, rozrywając go na tysiące kawałków, tak że nawet własna matka go nie rozpozna.

Zamiast tego mężczyzna zwinął maskę i rzucił ją na tyle celnie, że wylądowała mu na kolanach. Zanim jednak dotarła do celu, wielkolud obrócił się na pięcie, wyjął potężny sześciostrzałowiec z kabury przy pasie i otworzył z niego ogień. Seria strzałów kierowanych kolejno w różne miejsca miała stworzyć zasłonę, dzięki której mógł się sam wycofać albo ułatwić

ucieczkę Zeke'owi.

Na samym końcu wielkiej hali znajdowały się drugie drzwi. W nie także uderzało coś, i to z ogromną siłą. Aczkolwiek to coś wcale nie musiało być takie silne. Wiele słabych rąk mogło czynić podobny raban.

Te uderzenia nie przypominały bowiem rytmicznych ciosów, jakie zadaje na przykład taran. Był to raczej grad uderzeń i pchnięć, od których masywne, wyglądające na opancerzone skrzydło drżało nieustannie. Nawet z tak daleka Zeke widział, że zabarykadowano je dodatkowo od wewnątrz, jakby spodziewano się ataku jakiejś armii.

Cóż to jednak miałyby być za armia?

Drzwi trzymały się na razie i nic nie wskazywało, że mogą się poddać, niemniej gigant w zbroi zawołał do chłopaka:

– Wracaj na schody! Znajdź inną drogę ucieczki, Ezekielu! Zmiataj stąd! – dodał moment później na wypadek, gdyby poprzednie słowa nie dotarły do właściwych uszu.

Zeke pochwycił maskę i przykucnął. Na lewo od niego jakiś mężczyzna wrzasnął i zwalił się na podłogę, ściągając na siebie wiszącą obok zasłonę. Gruba tkanina okryła go jak całun. Spod jej krawędzi na wypolerowany szary kamień wypływała szkarłatna struga.

## **ROZDZIAŁ 25**

Zeke wodził oczami tam i z powrotem, lustrując pomieszczenie w poszukiwaniu innego wyjścia. Co powiedział ten opancerzony olbrzym?

Znajdź inną drogę ucieczki? Przecież z tej poczekalni można wyjść tylko drzwiami, na które ktoś napierał od zewnątrz, albo schodami prowadzącymi na niższy poziom. Innej drogi nie znalazł.

Zakutemu w stal mężczyźnie skończyły się naboje.

Nie. Wystrzelał dopiero te z bębienka pierwszego rewolweru. Zatknął

bezużyteczną chwilowo spluwę za pas na osłoniętym stalową płytą brzuchu.

W kaburze przy drugim udzie miał identyczną broń. Wyszarpnął ją natychmiast i zaczął osłaniać ogniem swój odwrót.

Zeke doliczył się jeszcze ośmiu strzelających do siebie skulonych postaci, które kryły się za rzędami krzeseł oraz rozrzuconymi tu i ówdzie skrzyniami. Wydawało mu się, że przy tym tempie wymiany ognia za moment wszyscy pozbędą się całej amunicji i będą musieli zaprzestać dalszej walki. Na razie jednak ołów ciął powietrze z zadziwiająco regularnością, bębniąc o przeszkody niegorzej od niesionego wichrem gradu.

Zeke chciał się stąd wydostać. Odwrócony plecami wielkolud zbliżał

się do niego, usiłował zagonić go z powrotem na schody, co zważywszy na panującą tu atmosferę, nie było wcale takim głupim pomysłem.

Musiał tylko pokonać krótki odcinek odkrytej podłogi, ale mężczyzna w pancerzu skupiał właśnie na sobie uwagę wszystkich strzelców. Z drugiej jednak strony wielkolud mógł się udać za nim na niższy poziom dworca. Po krótkim namyśle Zeke uznał, że w hali panuje zbyt wielki zamęt i w dodatku szaleje tu śmierć.

Postanowił więc zaryzykować.

Skoczył przed siebie, lecz niezbyt daleko, a potem cały czas trzymając się blisko podłogi, pognał na czworaka, by po drugim skoku dotrzeć do schodów szybkim ślizgiem głową do przodu. Mężczyzna zakuty w stal trafił

tam niespełna piętnaście sekund później z o wiele większą gracją, niż można było się spodziewać, i natychmiast zatrzasnął za sobą drzwi. Zdażył

dosłownie w ostatniej chwili, ledwie bowiem skrzydło wpasowało się we framugę, rozległ się łomot, jakby uderzyło w nie od zewnątrz coś ciężkiego.

Zeke stoczył się po stopniach, rozpaczliwie szukając barierki, ale zatrzymał się dopiero na półpiętrze, skąd niczego nie widział. Teraz musiał

polegać wyłącznie na słuchu. Zdołał wrócić na klatkę schodową. Tutaj było o wiele spokojniej. Nawet odgłosy strzelaniny, tłumione grubymi kamiennymi ścianami, wydawały się o wiele cichsze.

Na myśl o tym, że wrócił do punktu wyjścia, doznał ogromnego zawodu, choć moment później uświadomił sobie, że ściska w dłoni maskę przeciwgazową.

Minnericht twierdził, że jej nie zdobędzie, ale jak widać, mylił się. Co prawda została zdjęta z głowy zabitego człowieka, chłopak jednak starał się nie myśleć o tym, czyją twarz zakrywała jeszcze przed chwilą. Przyjął –

należałoby raczej powiedzieć: starał s i ę przyjąć – filozoficzny punkt widzenia mówiący, że

zastrzelonemu nie była ona już do niczego potrzebna, więc ograbienie go wcale nie było czynem złym. Tej myśli postanowił się trzymać. Niestety, wystarczyło, że wsunął kciuk do środka, a do gardła podeszły mu mdłości, gdyż poczuł pod opuszką ciepłą wciąż wilgoć na szkle wizjera – pozostałość po ostatnim oddechu poprzedniego właściciela.

Maskę miał, owszem, nadal wszakże nie wiedział, co z nią zrobić i gdzie iść. Zastanawiał się nawet, czy nie ukryć jej gdzieś w przydzielonym mu pokoju i poczekać na zakończenie tych niepokoїв, lecz zaraz zrezygnował z tej myśli.

Mężczyzna w pancerzu na razie bronił swojej pozycji przy drzwiach, ale jak długo się tam utrzyma, tego Zeke nie wiedział. Zszedł więc na dół, do korytarza z wieloma zamkniętymi drzwiami i windą na końcu. Tam nie było nikogo prócz niego.

Nie wiedział jednak, czy to dobry czy raczej zły znak. Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że coś poszło nie tak i dlatego niedawna kolacja z doktorem zakończyła się tak dramatycznie. Chaos panujący na wyższym piętrze zaczynał się rozprzestrzeniać i coraz bardziej zagrażał bezpieczeństwu dolnego poziomu dworca. W tej chwili powstrzymywały go jedynie te atakowane nieustannie drzwi na klatkę schodową.

Zeke, sparaliżowany niemożnością podjęcia decyzji, wsłuchiwał się w słabnącą coraz wyraźniej strzelaninę. Dzięki temu zaczął wychwytywać bardzo ciche, bo na granicy słyszalności szmery, stukoty i szurania. Nie wydawały się zbyt agresywne. Za to mężczyzna podtrzymujący drzwi stękał głośno, zapierając się o nie z całych sił.

Nagle rozległo się charakterystyczne klekotanie łańcuchów. Ktoś uruchomił windę. Zeke zwinął zdobyczną maskę i wetknął ją pod koszulę.

Nie chciał zaskoczyć jadących windą ludzi, więc zaczął głośno krzyczeć.

– Halo! Jest tam kto? Doktorze Minnericht? Yaozu?

– Tutaj jestem – odpowiedział mu z mroku głos Chińczyka.

Pomocnik doktora zeskoczył z platformy, zanim dotknęła podłogi. Miał

na sobie długi czarny płaszcz, tak odmienny od stroju, w którym Zeke ujrzał

go po raz pierwszy. Sądząc po minie, był mocno zdenerwowany, a jego stan emocjonalny uległ dalszemu pogorszeniu na widok chłopca.

Jego ramię kryjące się w obszernym rękawie wystrzeliło do przodu i spoczęło na ramieniu Ezekiela.

– Wracaj do swojego pokoju i zabarykaduj drzwi tą ciężką sztabą.

Trzeba by katapulty, żeby wyrwać je z zawiasów. Tam będziesz bezpieczny, przynajmniej na razie.

– Co tu się dzieje?

– Mamy problem. Ukryj się i czekaj. Niedługo zapanuje spokój. –

Poprowadził Zeke'a w głąb korytarza, odciągając go od schodów i broniącego przejścia olbrzymia w pancerzu.

– Ale... ja nie chcę... się kryć. – Chłopak oglądał się co chwilę przez ramię. Ciekawiło go, jak rozwija się sytuacja na klatce schodowej.

– Życie jest ciężkie – odparł filozoficznie Yaozu. Gdy dotarli do właściwych drzwi, obrócił Zeke'a, by popatrzeć mu w oczy, i dodał

pospiesznie: – Doktor ma wielu wrogów, na szczęście mocno podzielonych i nie stanowiących zbyt wielkiego zagrożenia dla jego małego imperium za murem. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało, ale wygląda na to, że wszystkie frakcje naszych przeciwników postanowiły się nagle połączyć.

Podejrzewam, że to może mieć coś wspólnego z tobą albo twoją matką. Tak czy inaczej, nasi wrogowie nadchodzą, czyniąc przy okazji niezły zamęt.

– Zamęt? Jaki znowu zamęt?

Yaozu najpierw przyłożył palec do ust, potem wskazał nim na sklepienie.

– Słyszysz? Nie mówię o strzałach i tych wrzaskach. Słyszysz skrobanie? Jęki? To nie ludzie. To zgnilasy. Ruch przyciąga ich uwagę.

Sugeruje chodzącym trupom, że w pobliżu jest jedzenie. Jeśli chcesz przeżyć tę noc, zabarykaduj drzwi i nie otwieraj ich aż do rana. Nie straszę cię, tylko ostrzegam z zawodowego obowiązku.

Po tych słowach odszedł w głąb korytarza, szeleszcząc czarnym płaszczem, i moment później zniknął za załomem ściany.

Zeke natychmiast uciekł spod drzwi prowadzących do jego pokoju i wrócił pod klatkę schodową, mając nadzieję, że drzwi na górze znów będą otwarte, a sytuacja w poczekalni opanowana. Liczył, że walczący przeniosą się gdzieś indziej, dając mu tym samym szansę na poszukanie drogi ucieczki.

Z góry wciąż dobiegały odgłosy szamotaniny, a potem rozległ się odgłos przypominający bardziej ryk lwa niż ludzki krzyk.

Na jego dźwięk Zeke o mało nie zerwał się do ucieczki, niemniej chwilę później usłyszał coś jeszcze. Coś znacznie mniej przerażającego.

Cichy jęk zakończony sapnięciem. Brzmiał, jakby ktoś płakał gdzieś w pobliżu, za niedokładnie zamkniętymi drzwiami, które zdawały się prosić o sprawdzenie, co kryją za sobą.

Uznał, że powinien tam zajrzeć.

Pchnął drzwi i trafił do niewielkiej kuchni, nie przypominającej jednak zbyt tradycyjnych pomieszczeń, w których przygotowuje się posiłki. Do czego mogła służyć ta kanciapa pełna czarek, świateł, palników i garnków?

W środku panował niemiłosierny żar bijący od otwartego ognia. Zeke osłonił twarz ręką i zamarł w progu, nasłuchując. Jęk się powtórzył. Dobiegał

z za stołu, na którym leżał pusty worek.

– Hej, co ty tu robisz? – zapytał, odsunawszy gruby szorstki materiał. –

Nic ci się nie stało?

Na podłodze zwinięty w pozycji płodowej leżał Alistair Chaos Osterude z tak szerokimi źrenicami, że równie dobrze mógł nic nie widzieć albo ogarniać wzrokiem cały świat.

Ślinił się okropnie, wokół jego ust widać było wiele świeżych wrzodów, które przypominały jątrzące się wciąż oparzenia. Oddech miał

świszczący, jakby mu kto w gardle zamocował strunę skrzypiec.

– Rudi?

Mężczyzna pochwycił wyciągniętą dłoń Ezekiela i przyciągnął go do siebie. Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „nie”, ale równie dobrze mogło być inną sylabą oznaczającą opór.

– Sądziłem, że zginąłeś. Wydawało mi się, że zostałeś pogrzebany pod gruzami wieży. – Nie dodał, że jego dawny przewodnik wyglądał teraz na konającego. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, by jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Im dłużej się przyglądał leżącemu mężczyźnie, tym większej nabierał

pewności, że przydarzyło mu się coś strasznego – może nie został zraniony śmiertelnie, lecz niewiele brakowało. Cały kark miał poodcierany i zakrwawiony, prawe ramię zwisało mu dziwnie, jakby było bezwładne. Rana na barku krwawiła tak obficie, że cały rękaw koszuli miał już czerwony.

Złamał też laskę, jej obudowa rozszczerzyła się mniej więcej w połowie długości. Nie wyglądała na przedmiot zdatny do użytku, ciężko byłoby się na niej oprzeć, nie mówiąc już o strzelaniu. Chaos rzucił ją w kąt, jakby zupełnie mu na niej nie zależało.

– Rudi? – zapytał ostrożnie Zeke, stukając delikatnie w butelkę, którą leżący tulił do piersi. – Co się stało? Rudi?

Oddech Rudiego nagle przycichł, z płytkiego i świszczącego stał się niemal niesłyszalny.

Rozszerzone źrenice, którymi obserwował wszystko lub nic, zaczęły się zwaćzać i wkrótce stały się małe jak główki szpilek. Jego wnętrznościami targnął nagle mocny spazm, który wędrował od żołądka w górę klatki piersiowej, z rozedrganych ust wydobywał się coraz głośniejszy charkot. W

końcu głowa odskoczyła mu do tyłu i strumień cuchnących wymiocin bluznął na spodnią część blatu stołu, opryskując przy okazji rękaw Zeke'a.

Chłopak odskoczył.

– Co się z tobą dzieje, Rudi?

Osterude nie odpowiedział. Zrobił to za niego ktoś stojący w drzwiach.

– Umiera. Tak jak chciał.

Zeke obrócił się na pięcie tak gwałtownie, że walnął ramieniem o kant stołu. Zabolało. Musiał się za nie chwycić.

– Angelino, do diaska, nie mogłabyś chociaż zapukać? Jak Boga kocham, tutaj nikt nie ma tego w zwyczaju.

– A dlaczego miałabym to robić? – zapytała, wchodząc do pomieszczenia i przysiadając obok niego z głośnym chrupnięciem w kolanach. – Ty nie masz niczego, czym mógłbyś mnie zastrzelić a on nawet nie wie, że tu jestem.

Zeke dołączył do niej, także przysiadając, trzymał się przy tym blatu i musiał pochylić głowę, by widzieć część pomieszczenia za meblem.

Powinniśmy coś zrobić – stwierdził anemicznie.

– Niby co? Mówisz o niesieniu mu pomocy? Chłopcze, nie jestem w stanie mu pomóc, gdybym nawet chciała. Do diabła. Największa uprzejmość, jaką możemy mu teraz wyświadczyć, to kulka w łeb.

– Angelino!

– Nie patrz tak na mnie. Gdyby był psem, nie pozwoliłbyś mu tak cierpieć. Problem tylko w tym, że nie jest zwierzęciem, a ja nie widzę powodu, żeby nie miał trochę pocierpieć. Wiesz, co było w tej flaszcze? W tej, którą tuli, jak nie przymierzając swoje dziecię?

– Nie wiem. – Sięgnął po nią i wyjął ze słabnącej dłoni Rudiego.

Ciecz przelewająca się na dnie odrapanej butelki była gęsta i niezbyt przezroczysta. Miała na wierzchu żółtawozielony nalot i cuchnęła kwasem, podobnie jak Zguba, może z dodatkiem soli albo nafty.

– Jeden Bóg to wie. To laboratorium chemiczne, w którym pracowali nad najgorszymi specyfikami, próbując sprawić, aby nadawały się do picia, palenia albo wdychania. Zguba to bardzo, ale to bardzo zła rzecz i naprawdę ciężko przerobić ją na coś, co może przyjąć człowiek. Nasz dezert, czy jak kto woli Rudi, był uzależniony od wielu lat. To właśnie usiłowałam ci powiedzieć tam, w tunelu. Chciałam, abyś zrozumiał, że on prowadzi cię do Minnerichta w nadziei na nagrodę. Ta trucizna i tak zabiłaby go któregoś dnia, ale z tego co widzę, robi to jeszcze dzisiaj. – Skrzywiła się, spoglądając

na butelkę i leżącego na podłodze.

– Powinniśmy mu pomóc – rzucił Zeke, jakby nadal protestował wobec nieuchronności śmierci tego człowieka.

– Czy to znaczy, że dojrzałeś już do wpakowania mu kulki w łeb?

– Nie!

– Ja też nie mam na to ochoty. Uważam, że dostał tylko to, na co sobie zasłużył, czyli ból i śmierć w męczarniach. Swego czasu uczynił wiele zła, by dostać kolejną porcję tego cuchnącego napoju, pasty czy proszku. Zostaw go tutaj. Nakryj czymś, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej. On już nie wróci do tego świata. – Wstała, postukała dłonią o blat stołu i dodała jeszcze: – Idę o zakład, że nawet nie wiedział, co chleje. Wlazł tutaj w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się naćpać, i sięgnął po pierwszą flaszkę z brzegu.

– Naprawdę tak uważasz?

– Owszem. Tak to wyglądało moim zdaniem. Alistair nigdy nie grzeszył rozumem, a te resztki mózgu, które posiadał, już dawno zostały wypalone przez sok.

Zeke także podniósł się z kolan i zrzucił worek ze stołu prosto na drgającą konwulsyjnie głowę Rudiego. Gruby materiał stłumił nieco rytmiczny stukot kości o kamienną posadzkę. Nie mógł na to patrzeć.

– A pani co tu robi? – zapytał Angelinę po części dlatego, że chciał to wiedzieć, a po części z potrzeby zmiany tematu.

– Mówiłam ci przecież, że zamierzam go zabić.

– Wydawało mi się, że pani żartowała!

– Dlaczego? – zdziwiła się. Sądząc z wyrazu twarzy, naprawdę szczerze. – Nie był pierwszym człowiekiem po tej stronie muru, którego chciałam pozbawić życia, niemniej zajmował na mojej liście poczesne miejsce.

Zanim Angelina zdołała dodać coś jeszcze, Zeke spojrział z niepokojem na sufit. Hałasy dobiegające z góry cichły, od czasu do czasu słychać było gniewny hurkot. Odgłosy dobijania się do drzwi w głębi poczekalni umilkły.

– Schody – wyszeptał. – Tam był jakiś człowiek.

– Jeremiasz. Zgadza się. Wielki facet, szeroki jak sam mur. Miał na sobie sporo żelastwa.

– Tak, o nim mówię. Czy on jest... dobry? – zapytał Zeke.

Księżniczka zrozumiała, o co mu chodzi.



– Ma swoje przywary, jak każdy, ale przyszedł tutaj, by pomóc.

– Komu? Mnie? Pani? – Chłopak cofnął się, wystawił głowę za drzwi i rozejrzał się w obie strony. – Gdzie on się podział?

Angelina stanęła obok niego w progu, potem wyszła na korytarz.

– Zdaje się, że przyszedł tutaj, by pomóc twojej matce – wyjaśniła. –

Ona jest gdzieś w tych podziemiach. Jeremiaszu?! – zawołała.

– Nie tak głośno – próbował ją uciszyć Zeke. – Przyszedł tutaj po moją mamę? Wydawało mi się, że nikt nie wie, gdzie teraz jest.

– Skąd ten pomysł? Czy to wersja zdarzeń doktora Minnerichta? Nie pamiętasz, co o nim mówiłam, dumny chłopaku? Ten człowiek jest zdradliwszy od żmii. Twoja mama przyszła tu ze dwa dni temu albo wczoraj, a Jeremiasz poszedł za nią, ponieważ sądził, że nasz doktorek może jej zrobić krzywdę. Jeremiaszu! – wydarła się raz jeszcze.

– Ona jest tutaj? – Zeke chwycił staruszkę za łokieć i potrząsnął nim. –

Cały czas była na dworcu?

– Gdzieś tutaj w każdym razie. Miała wrócić do Skarbców przed świtem, ale się nie pojawiła, więc wszyscy sztywniaacy wyruszyli w kierunku dworca, aby ją odnaleźć. Wątpię, żeby odeszli, zanim ją dostaną. – Na koniec po raz trzeci wykrzyczała imię człowieka w pancerzu: – Jeremiaszu!

– Nie tak głośno – poprosił ją Zeke. – Nie powinna pani tak wrzeszczeć!

– A jak inaczej go tu znajdę? Uspokój się. Na tym poziomie nie ma żywej duszy, a przynajmniej nie było tu nikogo, kiedy ostatni raz sprawdzałam.

– Kilka minut temu był tutaj Yaozu – poinformował ją chłopak. – Sam go widziałem.

Angelina zmierzyła go surowym wzrokiem.

– Nie okłamuj mnie, chłopcze, dopiero co widziałam tego cholernego zółtka na powierzchni. Powiadasz, że zwiął na ten poziom? Skoro przyszedł

aż tutaj, musisz mi powiedzieć, w którą stronę pobiegł.

– Tam. – Zeke wskazał jej załom korytarza. – Na prawo.

– Jak dawno temu?

– Może kilka minut – dodał, lecz zanim się oddaliła, zdążył ją chwycić za rękę. – Gdzie mogą przetrzymywać moją mamę?

– Nie wiem, chłopcze, i nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Muszę ściagać tego zdradzieckiego bękarta.

– Chwileczkę! – Może nie był to krzyk, Zeke jednak włożył w to słowo znacznie więcej mocy niż w poprzednio wypowiedziane zdania. Nigdy wcześniej nie używał takiego tonu. Puściwszy jej rękę, dokończył już znacznie spokojniejszym głosem: – Twierdziła pani, że wszystko, co mi powie doktor Minnericht, będzie kłamstwem, ale nie tak dawno usłyszałem, że moja mama przyszła do miasta, by mnie szukać. Czy to prawda?

Rozprostowała rękę i spojrzała na niego wzrokiem, którego nie był w stanie rozszyfrować.

– To prawda – przyznała. – Przyszła tutaj za tobą. Minnericht zwabił ją do siebie razem z Lucy O’Gunning, którą wypuścił potem z podziemi dworca, dzięki czemu mogła wrócić po pomoc do Skarbców.

– Lucy... Pomoc... Skarbce... – powtarzał najważniejsze słowa z jej wypowiedzi, aczkolwiek nie rozumiał ich znaczenia. – Kim jest...

Angelina zaczęła się niecierpliwić.

– Lucy to jednoręka kobieta – wyjaśniła. – Jeśli ją zobaczysz, powiedz, kim jesteś, a zrobi wszystko, by cię stąd wyprowadzić.

Odsunęła się od niego i ruszyła biegiem w głąb korytarza, jakby uważała tę rozmowę za skończoną. Zeke dogonił ją i znowu chwycił mocno za rękę, osadzając w miejscu. To nie spodobało się starej Indiance. Pozwoliła się przyciągnąć chłopcu, ale z nożem w ręku. Jego ostrze poczuł na własnym brzuchu. Na razie mu nie groziła. Raczej dawała wyraźne ostrzeżenie.

– Zabieraj łapy – syknęła.

Puścił ją, słysząc te słowa, lecz zaraz zapytał:

– Gdzie mogli uwięzić moją mamę?

Rzuciła nerwowe spojrzenie na zakręt korytarza, potem spojrzała ze smutkiem na Ezekiela.

– Nie wiem, gdzie jest twoja mama. Zgaduję jednak, że musieli ją ukryć gdzieś w tych podziemiach. Może w jednym z pokoi tutaj, może piętro niżej. Zakradłam się tu kilka razy, ale nie mogę powiedzieć, bym znała te podziemia jak własną kieszeń. Jeśli spotkasz Jeremiasza, zostań z nim. To kawał chłopa i wie co robić, żebyś wyszedł stąd cały i zdrowy.

Zeke zrozumiał, że niczego więcej nie dowie się od niej, nie czekając zatem pognął w drugą stronę. Za plecami słyszał tupot stóp oddalającej się w przeciwnym kierunku Angeliny.

Podbiegł do pierwszych drzwi po lewej i otworzył je na oścież.

W pokoju za nimi znajdowało się tylko łóżko, miednica z wodą i komoda, czyli praktycznie to samo co w jego sypialni, tyle że sprzęty nie były tak czyste i eleganckie. Duszący zapach kurzu uświadomił mu, że pokój jest nieużywany od bardzo dawna. Wrócił na korytarz, wołając Angelinę, lecz przypomniał sobie natychmiast, że przed momentem ruszyła w pościg za Yaozu. Odkąd umilkł stukot jej butów o kamienną posadzkę, wokół

panowała kompletna cisza. Był sam w długim szerokim korytarzu z wieloma drzwiami.

Teraz jednak wiedział, co ma robić.

Sięgnął do gałki przy następnych drzwiach, ale okazały się zamknięte.

Wrócił do laboratorium. Rudi już nie oddychał albo robił to tak cicho i delikatnie, że Zeke, nawet nadstawivszy ucha, nie mógł tego usłyszeć, gdy zakradł się w pobliże stołu. Nie dotykając leżącego na podłodze worka, przeszedł pod przeciwległą ścianę i sięgnął po złamaną laskę.

Była bardzo ciężka. Wydawała się też solidna mimo długiego pęknięcia na boku.

Wrócił biegiem pod zamknięte drzwi i zaczął uderzać ostrym końcem w gałkę. Walił nią tak długo, aż mechanizm rozpadł się na kawałki, a same drzwi odchyliły się do wnętrza.

Zeke przekroczył próg pomieszczenia wypełnionego masą śmiecia.

Zgromadzone tutaj przedmioty nie wyglądały na cenne ani ważne, były za to bardzo stare, a niektóre mogły być groźne. Jedna ze skrzynek nie miała wieka. W środku Zeke zobaczył części do pistoletów, jakieś cylindry i zwoje drutu. W następnej, leżącej obok i otwartej, dostrzegł szklane rurki zagrzebane w trocinach.

Dalej jego wzrok nie sięgał, tylko bowiem dotąd docierało światło z korytarza.

– Mamo? – rzucił w ciemność, choć wiedział, że tutaj na pewno jej nie ma. Do tego pokoju od dawna nikt nie zaglądał. – Mamo? – zapytał raz jeszcze na wszelki wypadek. Nikt mu nie odpowiedział.

Następne drzwi były otwarte, znalazł za nimi kolejne laboratorium zastawione stołami, nad którymi wisiały lampy na uchylnych wysięgnikach, zapewniające doskonałe oświetlenie z każdej strony.

– Mamo? – zawołał dla zasady, a gdy nie nadeszła odpowiedź, po prostu ruszył dalej.

Kiedy się odwrócił, tuż przed swoim nosem, nie dalej niż o cal, dostrzegł pancerz człowieka, którego Angelina nazywała Jeremiaszem. Jakim cudem ten zakuty w stal olbrzym potrafił się poruszać niczym kot, tego Zeke nie potrafił zrozumieć. Niemniej stał teraz przed nim, uniemożliwiając mu wykonanie pierwszego od kilku dni sensownego ruchu.

– Z drogi! – warknął chłopak. – Muszę znaleźć mamę!

– Przyszedłem tutaj, żeby ci pomóc, głuptasie. Wiedziałem, że to ty –

oświadczył olbrzym, cofając się o krok, aby Zeke mógł opuścić laboratorium i wrócić na korytarz. – Wiedziałem.

– Gratuluję. Miał pan rację.

Pozostały już tylko jedne drzwi do otwarcia. Chciał ruszyć w ich kierunku, lecz Jeremiasz go powstrzymał.

– To zwykły schowek. Tam na pewno nie trzymają twojej mamy.

Moim zdaniem zabrali ją na niższy poziom, do apartamentów doktora – powiedział.

– A to nie są jego apartamenty?

– Nie. To pokoje gościnne.

– Był pan tu już kiedyś?

– Tak, bywałem. Jak myślisz, skąd miałbym to sprzącicho? Chodźmy do windy.

– Wie pan, jak ją uruchomić?

Jeremiasz nie odpowiedział, po prostu wszedł na platformę i przytrzymał kratę. Chłopak musiał podbiec i wskoczyć do klatki, która ruszyła w dół, zanim zdążył w niej wylądować.

– Co tu się dzieje? – zapytał, gdy zjeżdżali, trzęsąc się niemiłosiernie. –

Nikt nie chce mi powiedzieć, co tu się dzieje.

– To się dzieje – Jeremiasz sięgnął do rączki, która uruchamiała hamulec – że przyszliśmy się rozliczyć z cholernym doktorkiem.

– Dlaczego? Dlaczego teraz?

Mężczyzna w pancerzu pokręcił głową.

– Teraz jest równie dobry czas jak kiedykolwiek indziej. Pozwalaliśmy całymi latami, by traktował nas jak psy. A on to wykorzystywał, wykorzystywał i tak bez końca. Ale dzisiaj podniósł rękę na córkę Maynarda, a tego nie daruje mu żaden sztywniak z tego miasta.

Zeke poczuł wielką ulgę z dodatkiem wdzięczności przy okazji.

– Naprawdę przyszliście tutaj, by pomóc mojej mamie?

– Zjawiała się tutaj, ponieważ chciała cię znaleźć. Doktor nie pozwoliłby jej na to, tak samo jak nie wypuściłby was stąd żywych. Tego jestem akurat pewien – dodał, wieszając się na rączce, by

zatrzymać platformę. – Żadne z was nie powinno tutaj trafić, ale przyszlście oboje.

Odsunął kratownicę z taką siłą, że wyrwał ją z szyn i zepsuł. Zeke musiał wykopać ją, by wyjść z windy do kolejnego dobrze oświetlonego korytarza wyłożonego dywanami i otoczonego rzędami drzwi. Wyczuł nosem zapach dymu, ktoś tutaj rozpałił ogień. Wychwytywał znajome nutki w powiewach ciepłego powietrza. Czyżby ktoś palił orzechowymi polanami w kominku?

– Gdzie jesteśmy? Co to za korytarz? Mamo? Jesteś tu, mam?

Słyszysz mnie?

Na górze coś się stało. Głośny huk i towarzyszący mu wstrząs skojarzyły się Ezekielowi z wypadkami na wieży, gdy rozbił się o nią

„Clementine”. Wyczuł pod nogami charakterystyczne drzenie. Teraz, gdy był

tak głęboko pod ziemią, spowodowało o wiele większy atak strachu.

Sklepienie ugięło się nad ich głowami z głośnym chrupnięciem. Ze szpar w betonie posypały się strumienie pyłu i kurzu.

– Co to było? – zapytał Zeke.

– Skąd mam wiedzieć?

Gdy przetoczył się nad nimi huk eksplozji, usłyszeli dziwne ryki i pomruki. Nawet Zeke – który do tej pory myślał z żalem, że przyjdzie mu opuścić miasto za murem, nie zobaczywszy ani jednego nieumartego –

zrozumiał, co może je wydawać.

– Zgnilasy – mruknął Jeremiasz. – Całe stado zgnilasów. Miałem nadzieję, że te podziemia są lepiej zabezpieczone. Że to będzie prawdziwa forteca. Ale widzę, że Minnericht nie pomyślał o wszystkim. Lepiej będzie, jeśli wrócę na górę i tam ich powstrzymam.

– Ma pan zamiar ich powstrzymać? W pojedynkę?

– Część chłopaków doktora powinna się do mnie przyłączyć. Część z nich robi to, bo nie zamierza sprzątać bajzlu po zgnilasach, a reszcie za to właśnie doktorek płaci. Tak na marginesie, jeśli za kilka minut usłyszysz dobiegający z góry przeraźliwy hałas, nie biegnij tam od razu, żeby zobaczyć, co go spowodowało.

– Nie rozumiem – przyznał Zeke.

Jeremiasz już stał na platformie, poszukując właściwej dźwigni.

– Zostań tutaj i szukaj mamy – poradził chłopcu. – Może potrzebować pomocy.

Ezekiel podszedł do klatki windy.

– Co mam zrobić, jeśli ją znajdę? – zapytał. – Gdzie mamy iść?

– Na górę – rzucił człowiek w pancerzu. – A potem jak najdalej stąd pierwszym wyjściem, jakie znajdziecie. Zanim zapanuje tutaj ponownie porządek, rozpęta się na jakiś czas istne piekło. Wracajcie do Skarbców albo idźcie do wieży i tam poczekajcie na przylot kolejnego statku powietrznego.

Winda ruszyła w górę, zanim skończył mówić, trzęsąc się i zgrzytając, powiozła Jeremiasza na wyższe piętro. Gdy olbrzym zniknął z pola widzenia, Zeke znów został sam.

Miał przed sobą wiele drzwi do otwarcia i zaginioną mamę do odszukania. A to zwiastowało masę roboty, przy której nie musiał myśleć o zamieszanym panującym nad jego głową. Drzwi na samym końcu pomieszczenia były uchylone i chociaż znajdowały się najdalej, ruszył w ich kierunku, a po dotarciu na miejsce pchnął je mocno.

Znalazł źródło dymnego zapachu. Płomienie z murowanego kominka, na którym żarzyło się kilka polan, zalewały pokój pomarańczową poświatą.

Na samym środku, na dywanie przyozdobionym w rogach smokami, stało ciężkie biurko z czarnego drewna. Za nim Zeke widział głęboki obijany fotel z wyściełanym siedziskiem, przed nim dwa inne fotele. Chłopak nigdy wcześniej nie był w gabinecie, nie miał więc pojęcia, gdzie się znajduje, podobało mu się tutaj jednak i w dodatku było bardzo ciepło. Gdyby stało tu jeszcze łóżko, z radością by zamieszkał w tym pomieszczeniu.

Obszedł biurko, korzystając z tego, że nikt go nie obserwuje, i otworzył

górną szufladę. Znalazł w niej kartki papieru zapisane w jakimś obcym języku. W drugiej, niższej, z dziurką od klucza, ale na szczęście niezamkniętej, natrafił na coś znacznie bardziej interesującego.

Na pierwszy rzut oka sakwa wydała mu się znajoma. Był niemal pewien, że widział ją kiedyś na ramieniu mamy, aczkolwiek głowy by za to nie dał. Aby się upewnić, otworzył ją i zaczął gmerać w środku. Znalazł

garść naboju, gogle i maskę przeciwgazową, którą widział na oczy po raz pierwszy w życiu. Moment później wymacał sprzączkę do pasa z inicjałami MW i nieotwierany od kilku dni kapciuch na tytoń należący do Briar. Teraz już wiedział, że żadna z tych rzeczy nie jest własnością doktora.

Pochylił się, by wyjąć sakwę z biurka. Gdy zamykał szufladę, dostrzegł

sztucer schowany pod blatem w miejscu, gdzie broń była widoczna tylko dla osoby zasiadającej w masywnym fotelu.

Ją także wziął z sobą.

Pomieszczenie było puste i ciche, jedynym źródłem dźwięku był ogień trzaskający na palenisku. Zeke

pozostawił je w niemal nienaruszonym stanie, wracając na korytarz ze zdobytymi skarbami.

Po drugiej stronie znalazł następne drzwi, ale nie potrafił ich otworzyć.

Rozwalił gałkę laską Rudiego, nic to wszakże nie dało. Zamek trzymał tak jak przedtem. Próbował uderzać w nie ramieniem, lecz tylko nabił sobie sińca. Drzwi nawet nie drgnęły. Uznał więc, że najpierw zajmie się pozostałymi, a do tych wróci na samym końcu.

Kolejne, na przeciwległej ścianie, prowadziły do pustej sypialni.

Następne się otworzyły, dopiero gdy potraktował ich gałkę tępym końcem laski. Wprawdzie zamek wytrzymał ten akt wandalizmu, ale wystarczyło pół

minuty silnych kopnięć, by framuga sypnęła drzazgami, a same drzwi rozwarły się gwałtownie.

## **ROZDZIAŁ 26**

Briar śniła o trzęsieniach ziemi i machinach tak wielkich, że mogły bez trudu niszczyć całe miasta. Niektórym z tych rojeń towarzyszyła ledwie słyszalna palba z broni palnej i chyba coś jeszcze, aczkolwiek tego drugiego nie była pewna, dość szybko bowiem umilkło i więcej się nie powtórzyło. W

innych panował półmrok i cisza, a ona zapadała się w miękki materac tak wielki, że z powodzeniem by pomieścił cztery osoby.

Czuła zapach kurzu i nafty oraz suszonych kwiatów stojących w wazonie obok miednicy.

Levi też tam był.

– Nigdy mu o tym nie powiedziałaś, jak znam życie – mruczał.

Briar odpowiedziała mu, nie wstając z łóżka, gdyż powieki tak bardzo jej ciążyły, że nie potrafiła ich otworzyć.

– Nigdy mu o tym nie opowiadałam. Ale zrobię to przy pierwszej sposobności.

– Doprawdy? – Nie wyglądał na przekonanego, co najwyżej na rozbawionego.

Miał na sobie gruby lniany fartuch, który zwykł wkładać do prac w laboratorium, na plecy narzucił lekki płaszcz do kolan. Buty nosił

rozwiązane, jak zwykle zresztą. Jakoś mu to nie przeszkadzało. Na jego czole widziała zestaw połączonych ze sobą monokli wiszących na misternej skórzanej uprzęży.

Była zbyt zmęczona, by protestować, gdy podszedł i przysiadł na skraju łoża. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Uśmiechał się, jakby nic się nie wydarzyło i wszystko było w najlepszym porządku.

– Naprawdę – zapewniła go. – Opowiem mu o wszystkim, choćby miało mnie to wiele kosztować. Mam już dość trzymania tego w sekrecie.

Nie mogę dłużej ukrywać prawdy. I nie chcę.

– Nie chcesz? – Sięgnął po jej dłoń, ale nie pozwoliła się dotknąć.

Przewróciła się na bok plecami do niego i zwinęła w kłębek, podciągając nogi do brzucha.

– Czego chcesz? – zapytała. – Co ty tu w ogóle robisz?

– Śnię, kochanie – odparł. – Tak samo jak ty. Spójrz, kochanie. Tutaj i tylko tutaj możemy się spotkać.

– Zatem to też jest sen – mruknęła, czując w przełyku kwas wzbierających mdłości. – A ja przez krótką chwilę miałam nadzieję, że to jednak rzeczywistość.

– To była jedna rozsądna rzecz, jaką zrobiłaś w życiu – rzucił, poruszając się, lecz nie wiedziała, czy przysuwa się czy wręcz przeciwnie.

Materac uginał się pod jego ciężarem do tego stopnia, że zaczęła się po nim zsuwać.

– O czym mówisz? O tym, że mu nie powiedziałam?

– Gdybyś to uczyniła, już dawno byś go straciła.

– Przecież go nie straciłam – zaprotestowała. – Po prostu nie umiem go znaleźć.

Levi pokręcił głową. Wyczuwała ten ruch, jako że nie mogła go widzieć.

– Znalazł to, czego pragnął, i już nigdy nie wróci do domu. A chciał faktów. I ojca.

– Ale ty nie żyjesz – poinformowała go, jakby jeszcze o tym nie wiedział.

– Nie zdołasz mu tego wmówić.

Zacisnęła oczy i wcisnęła głowę w czeluść poduszki. Ulotny zapach materiału i jego miękkość kołysły jej lęki i smutki.

– Nie będę mu niczego wmawiała. Ja mu to pokażę.

– Jesteś głupia. Zawsze taka byłaś.

– Lepiej być żywym głupkiem niż martwym... – zaczęła.

– ...mamo – dokończył.



– Coś ty powiedział? – Aż otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Mamo.

Usłyszała to słowo raz jeszcze. Odwróciła głowę, uwalniając twarz z poduszki.

– O czym ty mówisz?

– To ja, mamo.

Poczuła się, jakby wystrzeliwano ją z armaty. Mknęła przez mrok ku światłu i... obudziła się nagle. Wyrwano ją z ciepłego miłego łóża i przeniesiono w znacznie mniej wygodne i bez wątpienia chłodniejsze miejsce. Ale stąd właśnie pochodził głos, który słyszała. Zaczęła pełznąć w jego kierunku, ni to ześlizgując się, ni to pnąc w górę. Byle go pochwycić...

– Mamo. O cholera, mamo. Mamo? Obudź się, proszę. Musisz się obudzić, bo nie uniosę cię, a musimy się stąd wydostać.

Przetoczyła się na plecy i spróbowała otworzyć oczy. Nagle zrozumiała, że nie może tego zrobić, ponieważ są już otwarte, tylko niczego nie widzi. Wszystko było zamazane, kątem oka dostrzegła jedynie gdzieś z prawej strony pełgający leniwie ognek. Nad nią zaś unosił się wielki cień.

Cień, który powtarzał w kółko jedno i to samo słowo.

– Mamo, mamo, mamo...

Czy trzęsienie ziemi z jej snu nadal trwa, czy to on nią potrząsa? Tak, to ręce cienia trzymały ją za ramiona, miotając nimi tam i z powrotem, dopóki coś nie trzasnęło jej w karku i nie jęknęła głośniej.

– Auć!

– Mamo?

– Auć – powtórzyła. – Przestań. Natychmiast przestań... dość tego.

Im jaśniejsza stawała się ta wizja, tym mocniej odczuwała pieczenie na policzku i wilgoć na tej części twarzy. Dotknęła tego miejsca, a gdy cofnęła palce, one także były wilgotne.

– Czy ja krwawię? – zapytała cień i zaraz dodała: – Zeke, powiedz, czy krwawię?

– Lekko – pocieszył ją. – Mniej nawet niż ja niedawno. W zasadzie masz tylko siniak i lekkie otarcie. Zakrwawiłaś całą poszewkę, ale skoro nie jest nasza, to nie widzę powodów do zmartwień. Chodź. Wstań. Musimy iść.

Wsunął jej rękę pod plecy i podniósł ją z pościeli, która naprawdę była tak miękka i delikatna jak ta ze snu. Pokój też wydał jej się znajomy, więc musiała być przez jakiś czas przytomna, skoro zapamiętała go ze szczegółami. Tyle że była tu teraz sam na sam z synem, który dwoił się i troił, by

postawić ją na nogi.

Nogi ugięły się pod nią, lecz zdołała w porę usztywnić kolana. Stała, opierając się na Ezekielu.

– Hej – mruknęła. – Hej, to ty, synku... To ty, prawda? Miałam taki dziwny sen.

– Tak to ja, wariatko – odparł z wyraźną radością w głosie. – Co tu robisz? Dlaczego przyjechałaś do tego nieszczęsnego miasta?

– Ja? Czekaj... – Mimo piekącego bólu w okolicach skroni spróbowała pokręcić głową, jakby czemuś przeczyła. – Moment. Podkradasz mi wszystkie kwestie. – Świadomość wracała jej z wolna, po czym naraz oprzytomniała zupełnie. – Po co? Po ciebie tu przyszedłam, durniu skończony.

Po to właśnie tu jestem.

– Ja też cię kocham, mamó – odparł z tak szerokim uśmiechem, że z trudem wypowiedział ostatnie słowa.

– A jednak cię znalazłam.

– Polemizowałbym, kto kogo znalazł, ale pozwól, że pokłócimy się o to później.

– Ale to ja przyszedłam tutaj, żeby cię znaleźć.

– Wiem. Jak już mówiłem, później będziemy się o to wszystko sprzeczać. Najpierw musimy się stąd wydostać. Księżniczka czeka na nas.

Gdzieś tutaj, jak sądzę. Musimy znaleźć ją, a potem Jeremiasza.

– Co znaleźć? To znaczy kogo? – Bębnienie w uchu nasiliło się do tego stopnia, że zaczynała wątpić, czyjej wstępna analiza stanu zdrowia pokrywa się z rzeczywistością. A może to mimo wszystko nadal jest sen?

– Księżniczka. Pani Angelina. Bardzo pomocna kobieta. Polubisz ją.

Jest naprawdę sprytna. – Puścił Briar i pozwolił jej stanąć o własnych siłach.

Zachwiała się, lecz nie przewróciła.

– Sztucer. Gdzie mój sztucer? – zapytała – Potrzebuję go. Miałam też torbę... z paroma rzeczami. Gdzie ona jest? Zabrał mi ją?

– Tak, zabrał, ale odzyskałem wszystko. – Włożył jej do rąk spencera i sakwę. – Ty musisz się nim posługiwać, bo ja nie potrafię.

– Nie nauczyłam cię strzelać.

– Nadrobimy te braki później. Chodźmy – zakomenderował.

Briar chciała zareagować śmiechem, nie mogła jednak.

Podobał jej się, gdy teraz na niego patrzyła, gdy prowadził ją jak dziecko, ponieważ nie zdołała jeszcze dojść do siebie. Ktoś dał mu całkiem niezłe ubranie i kto wie, może nawet wykąpał.

– Jakiś ty czysty – powiedziała.

– Wiem – mruknął. – Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Jakoś tu przeżyję – zapewniła go.

– Świetnie. Widzę, że już ci lepiej. Jesteś bardzo podobna do mnie.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała, ponieważ wydawał się znacznie lepiej zorientowany w sytuacji. – Czy to... podziemia dworca? Gdzie ten drań mnie zamknął, kiedy byłem nieprzytomna?

– Tak, to podziemia dworca – potwierdził Zeke. – Dwa poziomy pod salą z wielkimi żyrandolami.

– Tutaj jest jeszcze jeden poziom?

– Co najmniej, a może i więcej. Mamo, jesteśmy w istnym labiryncie.

Nie uwierzyłabyś. – Zatrzymał się przed drzwiami, otworzył je i szybko rozejrzał się po korytarzu. Potem wyciągnął rękę i dodał: – Zaczekaj.

Słyszysz to?

– Co? – zapytała zdziwiona. Stała obok niego, nasłuchując, potem rzuciła okiem na sztucer. Był naładowany, w sakwie także znalazła wszystko.

– Nic nie słyszę.

Stał jeszcze przez chwilę.

– Chyba masz rację. Wydawało mi się, że coś słyszałem, ale teraz niczego nie jestem już pewien. Na końcu korytarza jest winda, widzisz ją?

Wychyliła się za drzwi.

– Tak. Tam po prawej.

– Zgadza się. Musimy do niej pobiec. Jeśli nie zdołamy, Yaozu nas dopadnie, a tego naprawdę byśmy nie chcieli.

– My? – Briar nie chciała, by zabrzmiało to jak pytanie, wciąż jednak nie zdołała w pełni dojść do siebie, na razie więc musiała polegać na informacjach uzyskanych w trakcie rozmowy. A poza tym

tak się cieszyła z tego spotkania, że chciałaby słuchać Zeke'a i dotykać bez przerwy.

Gdzieś w oddali usłyszała strzelaninę. Ktoś tam używał większego kalibru niż tylko rewolwery. Na odpowiedź nie musiała długo czekać, tym razem seria była szybsza i cichsza. A więc pistolet.

– Co tam się dzieje? – zapytała.

– To długa historia – mruknął.

– Gdzie idziemy?

Wziął ją za rękę i wyprowadził na korytarz.

– Do Wieży Smitha. Tej wysokiej, przy której cumują statki powietrzne.

Biegając w ślad za nim, zaczęła sobie coś przypominać.

– Ale dzisiaj nie jest wtorek? Nie może być. Nie wydostaniemy się tą drogą... Moim zdaniem to nie najlepszy pomysł. Powinniśmy wrócić do Skarbców.

– Musimy tam iść, znaczy na wieżę – upierał się Zeke. – Jeremiasz mówił, że tam są jakieś statki.

Wyrwała mu się, gdy dotarli do windy. Za stalową kratą znajdowała się identyczna klatka jak ta, którą zjechała nie tak dawno do podziemi.

Otworzyła ją i wepchnęła syna do środka. Wchodząc za nim, oznajmiła:

– Nie. Muszę najpierw sprawdzić co z Lucy. Chcę się upewnić, że nic jej nie jest. Poza tym... – Kolejna strzelanina, tym razem znacznie bliżej. –

Poza tym tutaj dzieje się coś niedobrego. – Ściągnęła sztucer z pleców i ustawiła się w pozycji strzeleckiej, zanim winda ruszyła wolno w górę. –

Musimy wysiąść. Musimy unikać jego ludzi.

– To tylko zgnilasy – przekonywał ją Zeke, odciągając od kraty, którą próbowała otworzyć w trakcie jazdy. Nie udało mu się, matka wyskoczyła na wyższym piętrze. – Nie możemy teraz wysiąść. Księżniczka powinna czekać na nas na górze!

– Nie licz na to.

Briar obróciła się na pięcie i wymierzyła ze sztucera do niskiej kobieciny o patykowatych kończynach i siwych włosach zaplecionych w gruby warkocz. Wyglądała na Indiankę, ale trudno było ocenić, z jakiego pochodzi plemienia. Miała na sobie niebieską marynarkę, dobrze skrojony płaszcz i o wiele za duże spodnie. Trzymała się za bok, pomiędzy jej palców wyciekały strużki krwi.

– Pani Angelino! – Zeke podbiegi do niej.

Briar opuściła lufę spencera, szybko jednak zmieniła zdanie i podniosła ją znowu, aby nie dać się zaskoczyć z innej strony. Znajdowali się w wielkiej sali z wieloma zamkniętymi drzwiami. Nie potrafiła znaleźć niczego, co by mogło dać jej pojęcie, do czego służy to pomieszczenie. Było kompletnie puste, tylko pod jedną ze ścian umieszczono sporo poukładanych na sobie stołów. Obok dostrzegła stos połamanych i zgniętych na kupę mocno zakurzonych krzeseł.

– Nie potrzebuje pani pomocy? – zapytała, oglądając się przez ramię.

– Nie. – Odpowiedź była stanowcza. – Nie dotykaj mnie, chłopcze.

– Ale pani została pchnięta nożem!

– To tylko draśnięcie, chociaż zniszczyło mi nowe ciuchy. Hej –

zagadnęła Briar, stukając ją kościstą dłonią w ramię – jeśli zauważysz kompletnie łysego Chińczyka w czarnym płaszczu, wpakuj mu ode mnie kulkę między oczy, jeśli mogę prosić. Będę ci dożgonnie wdzięczna

– Postaram się – obiecała matka Ezekiela. – Naprawdę jesteś księżniczką?

– Owszem. Do tego wściekłą jak wszyscy diabli, ale teraz skupmy się na ucieczce stąd. Jeśli tu zostaniemy, dopadną nas.

– Wracamy do Skarbców – powiadomiła ją Briar.

– Albo na wieżę – upierał się Zeke.

– Oba cele są równie dobre – odparła Angelina – choć na waszym miejscu udałabym się raczej do fortu. Jeśli chcecie wrócić za mur, możecie poprosić starego Clya, żeby was zabrał z miasta, jak tylko skończy naprawiać

„Naamah Darling”.

– Cly jest tutaj? – zdziwiła się Briar. – W forcie?

– Naprawia statek.

Kolejna strzelanina nad ich głowami uświadomiła matce Ezekiela, że nie czas na zadawanie kolejnych pytań.

– Chwileczkę – poprosił Zeke. – Mamy iść na ten statek? Do tego kapitana wielkoluda? Nie ma mowy. Nie lubię go.

– Mówisz o kapitanie Clyu? – zapytała Briar. – To dobry człowiek. Bez obaw, zabierze nas stąd.

– Skąd ta pewność? – nie ustępował Zeke.

– Jest mi winien przysługę, a przynajmniej tak uważa. – Za załomem korytarza coś upadło i rozbiło się w drobny mak. Za ścianą rozległ się pospieszny tupot wielu zgniłych stóp. – Niedobrze – mruknęła.

– A nawet jeszcze gorzej – poparła ją Angelina, aczkolwiek w jej głosie nie dało się wychwycić złości.

Staruszka wyjęła ze skórzanej pochwy na plecach wielkokalibrową dwururkę i sprawdziła, czy jest naładowana. Rana na boku zaczęła obficie krwawić, ledwie ją puściła, lecz przyjęła to bez jednego skrzywienia.

– Znasz te podziemia? – zapytała ją Briar.

– Na pewno lepiej niż wy. Choć też nie za dobrze. Niemniej potrafię znaleźć wejście i wyjście, jeśli o to pytasz.

– Możesz nas zaprowadzić do Skarbców?

– Owszem, ale nadal radzę, żebyście szli do fortu – warknęła, odpychając Zeke’a, który pomagał jej iść. – Daj mi spokój, chłopcze. Sama potrafię chodzić. Kłuje mnie trochę w boku, ale na pewno od tego nie umrę.

– Dobrze to słyszeć – stwierdziła Briar – bo mamy problem.

Z szybu windy doszły ich głośnie jęki, w dach klatki zaczęły uderzać dziesiątki rąk. Moment później rozległ się zgrzyt i w dół posypały się skłębione ciała. Kilku zgnilasów zdołało się wydostać przez rozsuniętą kratę, pozostali wypełzali każdym otworem, jaki znaleźli.

Na czele nieumarłych szli kolejno: żołnierz, cyrulik i Chińczyk. Briar wymierzyła szybko i wpakowała dwie kule w oczodoły kolejnych zgnilasów, trzeciego, najbardziej oddalonego, trafiając tylko w ucho.

– Mamo! – wrzasnął Zeke.

– Stańcie za mną! – rozkazała Briar, lecz Angelina ani myślała jej słuchać i zdmuchnęła trzeciego nieumarłego, strzelając z dubeltówki.

Na leżące ciała wspięły się natychmiast następne zgnilasy, dyszące z pożądania i głodu. Szły tym razem ławą szeroką na sześciu, za nimi tłoczyło się drugie tyle poszarzałych postaci.

– Cofnijcie się! – zawołała Angelina. – Tam! – Wskazała drogę, oddając kolejny strzał.

Huk broni tego kalibru w ciasnym korytarzu był nie do zniesienia, zwłaszcza dla Briar i jej syna, którzy odnieśli obrażenia głów. Nie mieli jednak wyboru. Albo wytrzymają i będą strzelać dalej, albo się poddadzą i zginą. Obie kobiety zatem prowadziły nieustanny ogień do zbliżającej się masy nieumarłych, a Zeke sprawdzał drogę za ich plecami, będąc ich zwiadowcą na tyle, na ile potrafił wykonywać polecenia Angeliny.

– Po twojej prawej! To znaczy po tej drugiej prawej – poprawiła się natychmiast. – Tam powinny być drzwi, na samym końcu korytarza. Za kantorkiem!

– Są, ale zamknięte! – odkrzyknął Zeke. Ostatnie słowo utonęło w huku wystrzału spencera, Angelina jednak chyba zrozumiała.

– Osłaniaj mnie, złotko – rzuciła.

Zanim Briar zdążyła zareagować, Indianka obróciła się i odsunęła z drogi Zeke'a. Wpakowała śrut z drugiej lufy dubeltówki prosto w zamek i wyrwane z zawiasów drzwi poleciały daleko w tył.

– To wyjście zapasowe – wyjaśniła księżniczka. – Doktorek wciskał

swoim ludziom, że to ślepy zaułek, ale zamontował sobie na szczycie tych schodów właz na wypadek, gdyby musiał się szybko ewakuować.

Zeke odsunął resztki zmasakrowanego skrzydła na bok, złoszcząc się w duchu, że nie będą mieli czym zamknąć drogi za sobą. Niestety nie na to nie mógł poradzić, więc zaraz przestał sobie zaprzętać tym głowę. Chciał

przepuścić kobiety przodem, ponieważ jednak nie był uzbrojony, nie pozwoliły mu na to.

Matka chwyciła go jedną dłonią za kark i dosłownie wepchnęła w korytarz i sekundę później o mało nie wpadła na niego po oddaniu kolejnego strzału.

– Rusz tyłek! – pogoniła go Angelina, cofając się i przeładowując dubeltówkę.

Korytarz był mroczny i zagracony, lecz Zeke dostrzegł w końcu zarys schodów. Biegły w górę i w dół.

– Gdzie idziemy? – zapytał, stając na podeście, z którego wybiegały dwa ciągi stopni.

– W górę, na rany Chrystusa! – huknęła księżniczka, ponownie łamiąc śrutówkę. – Przedarliśmy się przez najgorszy odcinek, ale gdybyśmy zeszli na dół, odcięliby nas całkowicie. Jeśli chcecie przeżyć, musimy iść do końca tych schodów i wyjść na zewnątrz.

– Nie damy rady wyjść na górę – wysapała Briar, wystrzelivując ostatni nabój w kierunku drzwi. Powaliła nim idącego na czele hordy zgnilasa, jego czaszka rozprysnęła się na kawałki, zanim padł. Dzięki temu odległość od czoła nadchodzącej masy rozkładających się nieumarłych do zwężenia klatki schodowej zwiększyła się do mniej więcej dziesięciu jardów.

– W górę, niech będzie w górę – mruknął Zeke, pokonując pierwsze stopnie.

– Na następnym piętrze też są drzwi. Tylko ciemno tam jak nie wiem.

Musisz je wymacać. Powinny być otwarte, na ogół doktorek nie każe ich zamykać. Mam nadzieję, że mu się nie odmieniło – wydawała instrukcje Angelina z jakiegoś zacienionego kąta.

Zupełnie jej nie widział w tych ciemnościach. Po skręceniu na schody obie kobiety trafiły na przysłowiowe egipskie ciemności. Potraçały się nieustannie rękoma, łokciami i rozgrzaną od bezustannego prowadzenia ognia bronią, wycofując się w kierunku chaosu, jaki czynili żywi ludzie.

– Znalazłem drzwi! – oznajmił Zeke. Przekreślił gałkę i mało brakowało, by wylądował na podłodze, gdy poddały się bez najmniejszego oporu. Briar i księżniczka przecisnęły się jednocześnie, natychmiast zatrzasnąjąc je za sobą. Pod ścianą stała gruba podpora. Z trudem udało im się zawlec ją i zaprzeć o gałkę.

Drzwi zadrżały, lecz wytrzymały pierwsze uderzenie hordy wygłodniałych zgnilasów. Podpora zaczynała się jednak ślizgać po gładkiej posadzce, więc Angelina dopchnęła ją raz jeszcze i przez chwilę obserwowała, czy znów się nie ruszy.

– Jak długo wytrzymają te drzwi? – zapytał Zeke, ale nie otrzymał odpowiedzi.

– Gdzie jesteśmy, księżniczko? – odezwała się moment później Briar. –

Nie poznaję tego miejsca.

– Nałóżcie maski – rozkazała im Angelina, nie wdając się w żadne tłumaczenia. – Za moment będziecie ich potrzebowali. To dotyczy także ciebie, Zeke. Nakładaj maskę, i to już. Po wydostaniu się na powierzchnię będziemy musieli uciekać, ale nie uda ci się to, jeśli nie będziesz mógł oddychać.

Briar zawiesiła sobie sakwę na ramieniu, najwygodniej. Wcześniej uciekali w takim pośpiechu, że nie miała na to czasu. Dlatego zrobiła to teraz, z niekłamaną przyjemnością układając pasek w charakterystycznych zagłębieniach ciała. Wyjęła potem maskę i wsunęła głowę w skórzaną uprząż, pilnując, by Zeke zrobił to samo.

– Skąd ją masz? – zapytała. – To nie jest maska, którą zabrałeś z domu.

– Jeremiasz mi ją dał – odparł.

– Swakhammer? – zdziwiła się Briar. – Co on tutaj robi? – rzuciła pytanie w przestrzeń, niemniej Angelina poczuła się zobligowana do odpowiedzi.

– Nie wróciłaś na czas do Skarbców, kochanie, Lucy zebrała więc wszystkich przyjaciół i rozpętała to piekło. – Zacerpnęła głośno tchu, jak gdyby coś ją zabiło. W płucach świszczało jej, jakby zostały przebite czymś ostrym. Gdy Briar spojrzała na ranę w jej boku, zobaczyła, że krew wciąż z niej wypływa.

– Przyszli tu po mnie? Żeby mnie ratować?

– Oczywiście, że przybyli ci na ratunek. Ale też by rozpocząć wojnę, której pragnęli od wielu lat.



Nie chcę przez to powiedzieć, że nie chodziło im o wyrwanie cię z rąk doktora, bo to było ich głównym celem, niemniej potrzebowali także dobrej wymówki, by wzniecić powstanie, a twoje zniknięcie dostarczyło im naprawdę dobrego powodu do podjęcia walki.

Briar widziała nad swoją głową lampy świecące, choć nie widziała w nich płomieni. Zwisały na linach oplecionych cienutkimi przewodami, domyśliła się więc, że to nimi dostarczana jest energia, która rozpala szklane bańki. Nie dawały zbyt wiele światła, lecz wystarczało go, by mogli wspinać się dalej, nie ryzykując uderzenia się o coś albo wzajemnego postrzelenia.

Pod wielkimi plandekami spoczywały dziwne kształty przypominające jakieś maszyny, które ktoś postanowił pozostawić na uboczu. Obok nich złożono sterty skrzyń wypełniających sporą część tego niskiego, zimnego i zawilgłego pomieszczenia.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– Magazyn – wyjaśniła Angelina. – Na dodatkowe wyposażenie. Takie, które ukradł albo zamierza wykorzystać w przyszłości, jeśli nadarzy się okazja. Gdybyśmy mieli czas i odpowiednie narzędzia, poprosiłabym cię, żebyś podłożyła tu ogień. Wszystko co tutaj jest, służy do mamienia ludzi i zabijania ich.

– Jak te laboratoria chemiczne na samym dole podziemi – mruknęła Briar.

– Nie, to coś zupełnie innego. Masz przed sobą maszyny, które doktor mógłby sprzedać różnym klientom. To pozostałości po konkursie, który Rosjanie urządzili, by zyskać urządzenie zdolne do poszukiwania złota pod ziemią i lodem. One mogą z niego uczynić krezusa, jeśli ta wojna potrwa dłużej.

– Przecież doktor jest już wystarczająco bogaty – zauważył Zeke.

– Widocznie nie aż tak bardzo, jak by sobie życzył. Tacy jak on nigdy nie mają dosyć, prawda, pani Wilkes? Dlatego przerabia te maszyny na narzędzia zniszczenia, skoro nie było z nich pożytku w przemyśle wydobywczym. Odsprzeda je na wschodzie temu, kto zapłaci więcej.

Briar nie koncentrowała się na jej słowach. Chwyciła skraj najbliższej zasłony i uniosła ją, jakby to była sukienka. Po chwili wpatrywania się w mroczny kształt stwierdziła:

– Już ją kiedyś widziałam. Wiem, co to jest... to znaczy czym to powinno być... Nie mamy tutaj do czynienia wyłącznie z pozostałościami po konkursie.

– Słucham? – zainteresował się Zeke. – O czym ty mówisz, mamu?

– On kradnie wynalazki Leviego i przerabia je na własną modłę –

sprecyzowała. – To maszyny stworzone przez twojego ojca. Ta na przykład –

zrzuciła plandekę z podłużnego dźwigopodobnego opancerzonego urządzenia na kołach – miała służyć do budowy wielkich statków. W każdym razie tak ją zachwalał potencjalnym kupcom. Jej

zadaniem było... niestety zapomniałam, do czego dokładnie miała służyć. Zdaje się, że do przenoszenia fragmentów kadłuba w jedną i drugą stronę doku, żeby wyręczyć w tej pracy ludzi. Wtedy w to nie uwierzyłam i teraz też nie mam zamiaru.

– Dlaczego? – zainteresował się Zeke.

– Ilu właściciele stoczni, których znasz, potrzebowałyby przenośnika pocisków artyleryjskich i pojemników na proch? Nie byłam aż tak głupia, po prostu wolałam nie wiedzieć, co on tam produkuje.

– Zatem Minnericht nie jest... – zaczął jej syn.

– Oczywiście, że nie jest – zapewniła go Briar. – Przyznam, że przez moment tak myślałam. Jest podobnego wzrostu i... budowy. Rozumiesz? Jest taki jak on, ale to na pewno nie Levi.

– Wiedziałem. Cały czas to czułem.

– Naprawdę?

Zeke odwrócił się do Angeliny.

– Powiedziała mi pani, abym nie wierzył w ani jedno słowo tego człowieka, i posłuchałem pani. Ale on cały czas próbował mi to wmówić.

– Dobrze postąpiłeś – zapewniła go matka. – A co z tobą, księżniczko?

Dlaczego ty masz tak niezachwianą pewność, że doktorek nie jest moim byłym mężem? Ja miałam osobiste powody, by to sprawdzić, a co ciebie do tego skłoniło?

Indianka schowała dubeltówkę do futerału na plecach, spojrzała na ranę, skrzywiła się i nakryła ją dłonią.

– To stary sukinsyn. Zawsze taki był. A ja... – Angelina ruszyła w głąb oświetlonego korytarza, oddalając się od coraz bardziej nadwerężonych drzwi. – Cóż, ze mnie też suka.

– To pani syn? – Ezekielowi ze zdziwienia opadła szczeka.

– Może wyraziłam się nie do końca precyzyjnie. Dawno temu był

mężem mojej córki Sary. Doprowadził ją do szaleństwa, a potem zabił. – Do oczu napłynęły jej łzy, lecz nie przełknęła ich, choć powinna. Tę prawdę ukrywała w głębi serca od wielu lat, ale przez wypowiedzenie jej na głos wcale nie poczuła się lepiej. – Moja córka powiesiła się we własnej kuchni. I chociaż ten drań jej nie zastrzelił, nie podciął żył ani nie otrul... to jestem pewna, że tylko on był winien tej śmierci.

– Zatem wiesz, jak on się naprawdę nazywa? – wtrąciła Briar. – Bo na pewno nie Minnericht. Nie ma charakterystycznego niemieckiego akcentu jak ludzie z Hesji, których spotkałam.

– Nazywa się Joe. Joe Foster. Nie ma chyba człowieka ochrzczonego bardziej pospolitym imieniem i nazwiskiem, stąd też jego niechęć do nich, jak sądzę. Gdyby miał tylko okazję, natychmiast po uwolnieniu Zguby i zbudowaniu muru skradłby tożsamość Leviego Blue. Zrobiłby to od razu i bez wahania. Niestety, podczas ucieczki doznał poważnych obrażeń. Jeśli widzieliście jego twarz, wiecie, o czym mówię. Został poparzony w pożarze dawno temu, gdy ludzie sądzili jeszcze, że Zgubę da się zniszczyć ogniem. Z

tego powodu musiał przejąć osobowość Leviticusa wolniej, po kawałku, tak jak wykradał mu te wynalazki, narzędzia i zabawki. Potrzebował czasu, by zrozumieć, na jakiej zasadzie działają.

Briar nie potrafiła myśleć o złowieszczym doktorze Minnerichcie jako o Joem Fosterze. To nazwisko zupełnie do niego nie pasowało. Nie pasowało do człowieka o tak wybujałym ego i osobowości, które natychmiast przywołały jej na myśl dawno zmarłego męża. Nie rozmyślała o tym jednak zbyt długo.

– Posłuchaj – szepnęła Angelina, przykładając zakrwawione palce do ust. – Powiedz, czy nadal ich słyszysz.

Miała na myśli zgnilasów wciąż dobijających się do zablokowanych drzwi w korytarzu za nimi.

– Tak, słyszę ich – przyznała Briar.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Dopóki ich słyszemy, wiemy, gdzie się znajdują. A czy z góry także dobiegają jakieś dźwięki? – Oderwała palce od ust i wskazała nimi na sufit.

– Co tam jest? – zapytała Briar.

– Znajdujemy się pod poczekalnią, w której zaczęła się strzelanina.

– Tak, pamiętam – wtrącił Zeke. – Jeremiasz tam wrócił, kiedy usłyszał, że nadchodzą zgnilasy.

Gdy kończył to mówić, podziemiami dworca wstrząsnęła niezwykle głośna eksplozja. Tuż po niej usłyszeli odgłosy osypującego się tynku, spadających z wysokości cegieł. Po chwili, kiedy ucichły echa eksplozji, tylko łomot walących się gdzieś ścian dobiegał do ich uszu.

Zatrzymali się.

– To nie zabrzmiało jak Stokrotka – mruknęła Angelina, robiąc zatroskaną minę. – Wiesz, o czym mówię? – zapytała Briar.

– Tak, wiem. To na pewno nie był ten dźwięk.

– Słyszałem go raz. Jeremiasz powiedział, że wywołuje go pistolet soniczny.

– To niedobra wiadomość – wymamrotała pod nosem księżniczka. –

Jeżu, mam nadzieję, że nic mu się nie stało. To taki kawał chłopca i ma na sobie masę ciężkiego

sprzętu. Nie, na pewno nic mu nie jest. Ale zatrzymamy się tam na moment i sprawdzimy.

– Nie zostawię go tutaj – oznajmiła Briar. – Naprawdę mi pomógł. Jeśli jest ranny...

– Jeszcze się z gąskami nie witaj, pani Wilkes. Przyjdzie na to czas.

Nie słyszę już strzelaniny na górze, a ty?

– Ja też nie – przyznała Briar.

– To jest nas troje – dodał Zeke. – Może przenieśli się gdzie indziej albo wszyscy zginęli.

– Wolałabym, żebyś nie traktował tego tak lekko – napomniwała go matka. – Ja polubiłam tych ludzi. To moi przyjaciele z baru U Maynarda i ze Skarbców. Byli dla mnie dobrzy, chociaż wcale nie musieli. Pomagali mi cię szukać. Wątpię, abym zdołała przeżyć, gdyby nie oni.

Za kolejnymi drzwiami, nieoznakowanymi i niewyróżniającymi się niczym, Angelina wskazała kolejne schody. Briar nie przypuszczała, że tak szybko będzie musiała się znowu wspinać, ale nie narzekała. Ruszyła przodem, ciągnąc za sobą Ezekiela. Coraz bardziej martwiła się o zranioną w brzuch Indiankę i choć podziwiała jej upór i odwagę, nie dawała się zwieść buńczucznej pozie Angeliny. Staruszka potrzebowała doktora, prawdziwego i w dodatku naprawdę dobrego, a o takiego w tej okolicy było raczej trudno.

Jedyną tak tytułowaną osobą, o której Briar słyszała za murem, był...

Minnericht. Miała jednak przecucie, że gdyby nawet ich drogi ponownie się skrzyżowały, ten drań nie przejawiałby wielkiej ochoty na okazanie pomocy.

## **ROZDZIAŁ 27**

Briar przywarła do drzwi i nasłuchiwała uważnie, przyłożywszy ucho do szczeliny. Po drugiej stronie panowała idealna cisza, więc skorzystała z okazji i naładowała magazynek sztucera, wygrzebując po ciemku naboje z dna sakwy. Trochę to trwało, ale ona także potrzebowała tej chwili spokoju i odpoczynku.

– Idę przodem – oznajmiła w końcu. – Rozejrzę się.

– Ja też mogę iść pierwsza – zaprotestowała Angelina.

– Owszem, ale mój sztucer potrafi wystrzelić więcej niż dwa razy, jeśli zajdzie potrzeba. Lepiej przypilnuj mojego syna – rzekła Briar, przekręcając gałkę w drzwiach i pozwalając, by ich skrzydło powoli odsunęło się od framugi.

Wysunęła najpierw lufę sztucera, potem głowę z twarzą ukrytą za maską. Obróciła ją mocno w prawo i w lewo, aby ogarnąć całość pomieszczenia przez niewielkie szkła wizjerów. Jej własny oddech brzmiał

zbyt głośno, wzmacniany dodatkowo przez skórę maski zakrywającą nos i usta, tej samej, którą miała na sobie, gdy zeskakiwała z ładowni statku na szczyt żółtej rury. Nie przypuszczała, że zdoła do niej tak przywyknąć.

Poczekalnia wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednio. Wspaniale wykończona sala nosiła widoczne ślady gwałtownej, choć toczonej na niewielkiej przestrzeni bitwy. Ciała jej poległych uczestników leżały na posadzce i zwisały z rzędów obitych siedzeń. Na pierwszy rzut oka Briar doliczyła się jedenastu ofiar, potem zajęła się obserwacją ogromnej dziury w ścianie – otwór tych rozmiarów mógłby zrobić sam Kościotrzep.

W niej na skraju rumowiska, w które zamienił się kawał grubej ściany, Briar zauważyła ludzką stopę. Wyglądało to tak, jakby ktoś rąbnął w mur z całej siły, rozwalił go i padł w gruzach.

Przytomnie omiotła wzrokiem pozostałe zakątki poczekalni, ale sama przed sobą musiała przyznać, że zrobiła to pośpiesznie i niedbale. Nie niepokojąc księżniczki i syna, wciąż tkwiących na mrocznej klatce schodowej, podbiegła do otworu, z którego wystawała noga, i przeczołgała się na drugą stronę stosu cegieł, pokruszonego marmuru i zaprawy.

Pozwoliła, by spencer zsunął się jej z ramienia, i ułożyła go obok sakwy.

– Swakhammer – powiedziała, stukając palcem w jego hełm. –

Swakhammer!

Nie zareagował. Jego maska wydawała się nietknięta, reszta ciała również, aczkolwiek gdy wsunęła palce w szczelinę pancerza, wyczuła miejsce, które wydało jej się mocno opuchnięte. Znalazła też krew, i to całkiem sporo. Potem zauważyła, że jego noga spoczywa pod bardzo nienaturalnym kątem, musiała być złamana poniżej kolana. Gdy jej dotknęła, część łydki zakołysała się bezwiednie, obciążona okutym stalową blachą butem.

Zeke nie wytrzymał nerwowej atmosfery oczekiwania i opuścił

schronienie w chwili, gdy zabierała się do ściągnięcia Swakhammerowi maski. Podbiegł do dziury w ścianie i zapytał:

– Ktoś tam jest?

– Jeremiasz.

– Coś mu się stało?

– Tak – burknęła. Prawie udało jej się zdjąć hełm, chociaż ciągle się trzymał na kilku sprężynkach i przewodach. W końcu zdołała go odrzucić, ale nie poleciał zbyt daleko.

– Swakhammer? Jeremiaszu?

Wnętrze maski zalała krew ciekąca z jego nosa i – to zaniepokoiło Briar najbardziej – z jednego

ucha.

– Żyje? – dopytywał się Zeke.

– Martwi ludzie nie krwawią – zapewniła go matka. – Ale mocno oberwał. Jezu, Swakhammer. Co oni ci zrobili? Słyszysz mnie? Hej. –

Delikatnie plasnęła go dłonią po obu policzkach. – Hej. Co tu się stało?

– Natrafiłem na niego.

Filtrowany przez mechanizm maski głos Minnerichta spadł na nią niczym bicz boży, odbijając się głośnie od ścian hali pełnej zabitych ludzi i porozwalanych ścian. Serce zamarło w Briar ze strachu, chciała krzyknąć, ostrzec syna, by natychmiast uciekał do schronienia na schodach.

Stał jednak przy otworze, obok buta Jeremiasza, wysławiony na strzał, że bardziej nie można.

Spojrzała na twarz Swakhammera. Oczy olbrzyma poruszały się szybko pod zamkniętymi, splamionymi krwią powiekami. Żył, ale co to było za życie!... Oderwała od niego wzrok i zawołała na tyle głośno, aby dobrze ją było słychać w całej poczekalni:

– Nie jesteś Leviticusem Blue, choć nadawałbyś się na jego brata. A już na pewno posiadasz jego wyczucie czasu – dodała tak obojętnym tonem, na jaki tylko było ją stać.

Tutaj, w głębi otworu wybitego w ścianie, była na razie względnie bezpieczna. Doktor, o ile właśnie z nim miała do czynienia, nie widział, co robi, a w każdym razie niedokładnie. Wykorzystała więc tę przewagę i przetrząsnęła pospiesznie pancerz nieprzytomnego przyjaciela, szukając czegoś przydatnego. Zrezygnowała z podnoszenia sztucera, nie miała bowiem żadnych szans, żeby go ująć w rękę, przeładować i wymierzyć do Minnerichta, zanim on uczyni coś znacznie gorszego.

Przy boku Swakhammera leżał jeden z jego wielkich rewolwerów, lecz miał pusty bębenek.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem Leviticusem Blue.

Briar stęknęła głośno, usiłując podnieść Swakhammera, by sprawdzić, czy pod nim nie ma jakiejś broni.

– Owszem, twierdziłeś – rzuciła.

– Mnie też pan o tym zapewniał – wtrącił Zeke.

– Ucisz się – napomniwała go matka. Chciałaby powiedzieć o wiele więcej, nie było jednak na to czasu, dlatego od razu przeszła do dalszej części dialogu z zamaskowanym oprawcą. – Kto żyw, ten wie, o co ci chodziło: żeby sztywniacy się ciebie bali. Tylko że nie zdołałbyś tego dokonać pod własnym nazwiskiem. Mogłeś być wobec nich podstępny jak wąż, ale szybko się okazało, że to nie wystarczy, by zastraszyć tych ludzi.

– Zamilcz, kobieto. Ja uczyniłem z tego miejsca to, czym jest dzisiaj –

wyrzucił z siebie obronnym i zarazem gniewnym tonem. Zapewne trafiła w czułą strunę.

Briar miała nadzieję, że go zabolalo. Powinno, jeśli był podobny do Leviego, którego tak bardzo pragnął naśladować.

– Nie zamilknę, a ty, Foster, nie zmusisz mnie do tego, choćbyś się bardzo starał. A będziesz się starał. Należysz do mężczyzn, którzy uwielbiają krzywdzić kobiety, z tego co słyszałam, nie będę pierwszą twoją ofiarą.

– Nie dbam o to, co i gdzie słyszałaś – warknął. – Chcę tylko wiedzieć jedno i powiesz mi zaraz, kto wypowiedział w twojej obecności to nazwisko.

Wstała, prostując dumnie plecy. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, rzuciła:

– A ja chcę wiedzieć, kim ty jesteś, sukinsynu, że śmiesz nas wciągać w tę swoją wojenkę – zapożyczyła jedno z ulubionych powiedzonek Angeliny.

Teraz, gdy stała na nogach, widziała go tak dokładnie jak on ją.

Trzylufowa śrutówka, którą trzymał pewnie w dłoniach, budziła jej przerażenie. Nie mierzył w nią, tylko w Zeke'a, który tym razem posłuchał

rady swojej rodzicielki i zamknął się na dobre, choć równie dobrze mogło to być skutkiem widoku niesamowitej broni Minnerichta wycelowanej w jego głowę. Nie wiedziała tego i prawdę powiedziawszy, nie zamierzała się nad tym zastanawiać.

Spodziewała się, że doktor spróbuje grozić jej, przeliczyła się jednak.

Był sprytniejszy i okrutniejszy, niż przypuszczała.

– Ty uczyniłeś z tego miejsca to, czym jest dzisiaj? Uważasz zatem, że masz nad tym miastem władzę? Zachowujesz się, jakbyś ją miał, ale to akurat gównem prawda. Robisz przedstawienia, żeby ludzie myśleli, że mają do czynienia z największym i najbogatszym cwaniakiem w okolicy. Niestety, prawda wygląda inaczej. Gdybyś był choć w połowie tak sprytny, za jakiego się masz, nie musiałbyś podkradać wynalazków Leviego ani przerabiać machin porzuconych po konkursie na urządzenie wydobywcze. Widziałam je w twoim magazynie. Myślisz, że nie wiem, skąd je wzięłeś?

– Zamilcz! – wydarł się na cały głos.

Ona jednak robiła, co mogła, by skupiać całą uwagę na niej, nie na Ezekielu i szczupłej staruszce, która opuściła właśnie klatkę schodową i skradała się wzdłuż ściany, by zająć go od tyłu.

– Gdybyś był choć w połowie taki mądry, jakiego udajesz –

kontynuowała Briar jeszcze głośniejszym głosem, aby zagłuszyć wszystko inne – nie potrzebowałbyś mnie do

potwierdzenia swojej historii i nie musiałbyś sprowadzać tu tych chłopców. Levi był może szalony i okrutny, ale na tyle zmyślny, że nie mogłeś ukraść jego zabawek i po prostu uciec z nimi.

Kazałeś więc sprowadzić do siebie Hueya, bo on jest tutaj najmądrzejszy.

Chciałeś też nakłonić mojego syna, żeby został z tobą, karmiąc go stekiem podłych kłamstw. Gdybyś ty uczynił z tego miejsca to, czym teraz jest, nie musiałbyś posuwać się do tego wszystkiego.

Przesunął broń, teraz trzy opasłe lufy śrutówki mierzyły prosto w jej pierś. To cieszyło ją niezmiernie.

– Powiesz jeszcze słowo, a przysięgam, że... – wycharczał.

– Że co? – wrzasnęła, wpadając mu w słowo, i dodała pospiesznie, na jednym wydechu, bez przestanku, widząc, że Angelina jest tuż-tuż. – Idę o zakład, że nawet nie wiesz, jak działa ta broń. Najprawdopodobniej nie ty ją stworzyłeś. Ty tylko kradłeś pomysły Leviego i rzeczy, które on zbudował

własnymi rękoma. Wiesz dość, by zgrywać tutejszego króla, ale modlisz się co wieczór, żeby ktoś z twoich ludzi się nie zorientował, jaki słaby i bezużyteczny jesteś naprawdę!

Nie zawył, nie warknął, tylko odkrzyknął:

– Po coś tu przyszła? Po coście oboje tu przyleźli? Nie powinniście tutaj przychodzić! To nie wasza sprawa. Mogliście siedzieć na tyłkach w tej swojej obskurnej chałupie na Przedmieściach. Dawałem wam więcej, chciałem dać o wiele więcej, niż zasługujecie, a wcale nie musiałem tego robić! Nic wam nie byłem winien. Nic a nic!

– Jasne! – wrzasnęła raz jeszcze. – Nic nam nie byłeś winien, bo nie jesteś moim mężem i jego ojcem, więc w jednym masz rację: twoje życie to nie nasz problem. Ale nie połapałeś się w porę, panie Foster.

– Przestań mnie tak nazywać! Nie chciałem tego nazwiska. Nienawidzę go i nie chcę go słyszeć! Skąd je w ogóle znasz?!

Angelina mogła na to pytanie odpowiedzieć.

W mgnieniu oka, a nawet szybciej skoczyła mu na plecy i chwyciła go za gardło niczym puma, tyle że była o wiele groźniejsza od dzikiego zwierzęcia. W jednej chwili wyszarpnęła nóż, w następnej już tkwił pod brodą Minnerichta, w wąskiej szczelinie pomiędzy jego zbroją i maską.

Wykorzystała masę swojego ciała, by odchylić mu głowę i poszerzyć dostęp do grdyki i bladej skóry na szyi. Gdy to uczyniła, Zeke bez namysłu skoczył do dziury w ścianie oferującej mu nieco lepszą osłonę i stanął u boku matki.

– To za Sarę Joy Foster, której życie zakończyłeś dwadzieścia lat temu



– wysapała księżniczka i jednym cięciem przeciągnęła ostrzem po mięśniach odsłoniętej szyi, od jednego do drugiego końca szczeliny.

Doktor pociągnął za spust, wystrzeliwując dwa z trzech naboii, ale szok i utrata równowagi sprawiły, że nie był w stanie wycelować. Obracał się wokół własnej osi, kołysząc mocno i ślizgając po kamiennej posadzce, rosząc ją obficie krwią, która tryskała imponującymi fontannami z obu stron jego odchylonej wciąż głowy, jako że Angelina przecięła mu obie tętnice. Wciąż siedziała na jego plecach, ujeżdżając go jak dzikiego mustanga, dopóki nie padł na kolana, sięgając rękami ku niej bądź ranie i machając nimi w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby się oprzeć. Krew uciekała z niego jednak zbyt szybko.

Nie pozostało mu zbyt wiele czasu na walkę, więc postanowił

wykorzystać go do maksimum. Spróbował odwrócić strzelbę tak, by mierzyć za siebie, przez ramię, ale okazała się za ciężka. Stracił już zbyt wiele krwi i słabł z każdą chwilą. Gdy padł na czworaka, Angelina w końcu dała mu spokój.

Odkopnęła jego broń na bezpieczną odległość i przyglądała się ze spokojem, jak tryskająca krew wsiąka w jego wspaniałą pelerynę, tworząc ciemne plamy na imperialnej czerwieni.

Briar się odwróciła. Śmierć Minnerichta niewiele ją obchodziła, bardziej przejmowała się Swakhammerem, który nie krwawił wprawdzie tak spektakularnie jak doktor, lecz był równie bliski śmierci. Dla niego również mogło być już za późno na ratunek.

Zeke także cofnął się o parę kroków. Dopóki tego nie uczynił, nie wiedziała nawet, że ukrył się obok niej. Otwierał właśnie usta, by coś powiedzieć, zamarł jednak, widząc gorączkowe ruchy matki. Briar chwyciła sztucer, przeładowała i wymierzyła.

– Padnij – szepnęła, a on natychmiast wykonał jej polecenie.

Angelina kulejąc, ruszyła ku otworowi w ścianie, wspięła się na rumowisko i naładowawszy po drodze śrutówkę, wymierzyła w pierś wylaniającej się z załomu ściany Lucy O’Gunning. Jednoręka kobieta dopiero teraz dotarła do pomieszczenia, w którym właśnie zakończyła się walka.

Lucy zdołała odnaleźć i naprawić swoją kuszę, miała ją znowu na mechanicznej ręce, naciągniętą i gotową do strzału. Skierowała bełt ku księżniczce, zanim zdołała ją rozpoznać. Natychmiast opuściła broń, mówiąc:

– Co tu robisz, Angelino.. ? – W tym momencie dostrzegła też Briar i dokończyła, uśmiechając się szeroko: – A to ci spotkanie. Niech mnie kule biją! Nie mamy zbyt wielu kobiet za tym murem, ale jestem pewna, że żaden facet nie chciałby z nimi zadrzeć.

– Ty też się do nich zaliczasz, Lucy – zapewniła ją Briar. – Za wcześnie jednak na okazywanie radości. – Skinęła głową, wskazując Swakhammera, którego barmanka nie mogła widzieć. – Mamy problem.

Wielki i ciężki problem.

– To Jeremiasz! – krzyknęła Lucy, ledwie wetknęła głowę w otwór.

– Umiera. Musimy go stąd zabrać i przenieść w bezpieczniejsze miejsce.

– Ale i to nie da nam gwarancji, że przeżyje i wydobrzeje – dodała Angelina.

– Właśnie widzę. – Lucy zachowała mimo wszystko spokój, przynajmniej można tak było wnosić po tonie jej głosu. – Musimy go zabrać do... Musimy go... – mówiła wolno, cedząc słowa, jakby czekała, aż coś sensownego przyjdzie jej do głowy. I tak się stało. – Do kopalni.

– Doskonały pomysł – poparła ją natychmiast księżniczka. – Łatwiej nam będzie znosić go na dół, niż taskać pod górę. A jeśli znajdziemy wózek, będziemy mogły go przewieźć do Skarbców bez większych problemów.

– Coś za dużo tych „jeśli” – wtrąciła Briar. – Jak w ogóle zamierzacie się tam... ?

– Daj mi chwilę – przerwała jej Lucy. – A ty nigdzie się nie ruszaj, stary draniu – rzuciła na odchodnym w stronę Swakhammera. – Wytrzymaj.

Zaraz wrócę.

Jeśli ją usłyszał, nie okazał tego w żaden sposób. Jego oddech był tak płytki, że ledwie wykrywalny, a ruch gałek ocznych stał się o wiele mniej gorączkowy, teraz przetaczały się wolniej, od kącika do kącika i z powrotem.

Pół minuty później Lucy wróciła w towarzystwie Squiddy’ego, Franka i Allena, o ile Briar dobrze zapamiętała imiona tych ludzi. Frank nie wyglądał zbyt dobrze. Miał tak wielkiego siniaka pod okiem, że krwiak rozlewał się aż na nos i skroń. Allen trzymał się za zranioną dłoń. Niemniej wgramolili się bez słowa skargi pomiędzy kobiety, dźwignęli masywnego opancerzonego Swakhammera i ruszyli w dół rumowiska, na poły niosąc go, a na poły ciągnąc.

– Zaniesiemy go do windy – wyjaśniła Lucy. – Zjedziemy na najniższy poziom, tam powinniśmy znaleźć wózki. W tym miejscu Minnericht gromadził sprzęt, kiedy przejął kopalnię. Pospieszcie się, panowie. On długo nie pociągnie.

– Dokąd go zabieramy? – zapytał Squiddy. – Jemu trzeba lekarza, ale...

W tym momencie zauważyli wielką kałużę krwi i ciało zamaskowanego niktzemnika leżące w samym jej środku.

– Jezu – jęknął Frank. – On naprawdę nie żyje?

– Tak, jest zimny jak gład i chwala Panu naszemu za to –

odpowiedziała Angelina, sięgając po nogę Swakhammera, lecz nie tę złamaną. Założyła ją sobie na ramię. – Mnie też by się przydała porada lekarza – przyznała. – Ale pomogę wam, ten kawałek

Jeremiasza nie jest zbyt ciężki, jakoś dam sobie radę.

– Chyba znam pewnego człowieka – powiedziała Lucy. – To stary Chińczyk, który mieszka niedaleko dworca. Może nie stosuje metod leczenia, do których przywykliście, ale działają, a wy nie macie wielkiego wyboru, więc nie powinniście wybrzydzać.

– Chcesz wiedzieć, do jakiej medycyny przywykłem? – burknął Allen.

– Wolę zdechnąć, niż iść do łapiducha, taka jest prawda.

– Swakhammer też pewnie wolałby umrzeć, niż być leczony przez żółtków – rzuciła Lucy, podtrzymując plecy Jeremiasza niezwykle silnym mechanicznym ramieniem. – Bał się ich jak ognia. Mimo to zaryzykuję jego niezadowolenie, jeśli to pozwoli utrzymać go przy życiu.

– Mamo?

– Tak, Zeke?

– A co będzie z nami?

Briar zawahała się, lecz tylko na moment. Jeremiasz Swakhammer spoczywał na ramionach przyjaciół, podłogę za nimi znaczyły wszakże wyraźne strużki krwi. Z góry wciąż dobiegały jęki i tupot zgnilasów. Żałosne zawodzenie wygłodzonych nieumarłych potęgowało się z każdą chwilą, na dworzec bowiem wciąż przybywały nowe hordy, kłębiąc się przy każdej szparze w ścianie i wyłamanych drzwiach.

– Są wszędzie – stwierdziła, nie odpowiadając do końca na jego pytanie.

– Zejście na dół jest równie niebezpieczne jak wyjście na zewnątrz –

przyznała Lucy. – Nie mam pojęcia, jak długo to pomieszczenie będzie od nich wolne. Gdzie Stokrotka?

– Tutaj! – odparła natychmiast Briar, jakby i ona wpadła w tym samym momencie na ten pomysł. Potężny miotacz ręczny leżał na wpół zagrzebany pod warstwą tynku, który odpadł z sufitu, zdołała go jednak odkopać i z wielkim trudem wnieść nad głowę. – Chryste – jęknęła. – Ten potwór waży chyba z tonę. Lucy, wiesz, jak to działa?

– Nie do końca. Musisz przekręcić tę gałkę po lewej. Do samiutkiego końca. Będziemy potrzebowali całej mocy, jaką posiada to cudeńko.

– Zrobione. Co teraz?

– Teraz musi się rozgrzać. Jeremiasz twierdził, że Stokrotka gromadzi energię. Zanim będzie mogła wystrzelić, musi się naładować. Zabierzemy ją ze sobą do windy i odpalimy, kiedy ruszy. Nie sądzisz, że to będzie najsensowniejsze rozwiązanie?

– Masz rację – przyznała Briar. – Dźwięk rozniesie się po wszystkich piętrach, nie tylko na jednym poziomie. Powinno zadziałać, o ile zdołamy dotrzeć do windy. – Mówiąc to, oddała Stokrotkę Ezekielowi, chociaż jej syn nie chciał. – Weź ją – nakazała. – Ja będę szła przodem i oczyszczała drogę.

Były tu zgnilasy, paru nadal może się szwendać po korytarzu.

Przeładowała spencera i wyprzedziła grupkę niosącą nieprzytomnego Swakhammera oraz swojego syna, który zataczał się pod ciężarem ogromnej broni. Kopniakiem otworzyła drzwi na klatkę schodową i ruszyła w dół, nie napotykając żadnego oporu.

– Schody czyste! – krzyknęła do idących za nią ludzi. – Zeke, prowadź

ich za mną! Lucy, ile czasu trzeba na naładowanie Stokrotki? Długo nie była używana. Tylko mi nie mów, że najmarniej kwadrans!

– Jeśli Jeremiasz nie korzystał z niej ostatnio, powinna wystarczyć minuta – usłyszała odpowiedź, pędząc w dół schodów.

Nie dosłyszała jednak ostatnich wyrazów. W korytarzu na poziomie gościnnym zobaczyła kilku zgnilasów w różnym stadium rozkładu.

Naliczyła ich pięciu. Pochylali się nad szczątkami swoich pobratymców i ogryzali ciała niedawno zabitych. Mając tak interesujące zajęcie, nie zwracali uwagi na Briar, więc zlikwidowała ich szybko i bez problemów.

Cała podłoga zasłana była ludzkimi szczątkami, które powinny cuchnąć. Dopiero po chwili Briar zrozumiała, że nie czuje odoru dzięki masce i jej filtrom. Guma i węgiel śmierdziały na tyle mocno, że tłumiły wszystko, co docierało z zewnątrz, a ona po raz pierwszy od momentu przybycia za mur była im za to wdzięczna.

Tu i ówdzie widziała rozkładające się kończyny, które poodpadały od ciał, w rogu leżało kilku zdekapitowanych zgnilasów. Przez moment czuła niepokój na myśl o tym, kto mógł dokonać tego strasznego czynu, zaraz jednak uznała, że nic jej do tego, i zajęła się swoimi sprawami. W tej chwili wszyscy żywi, nawet ci, którzy do niedawna walczyli pomiędzy sobą, mieli jednego wroga, czyli nieumarłych, i kimkolwiek był człowiek, który pozbawił te bestie głów, miał u niej dług wdzięczności.

Te części ciała, które mogła bez trudu poruszyć, odkopnęła pod ścianę, aby oczyścić drogę, jednocześnie sprawdzając, czy ktoś z leżących nie zdradza oznak życia. Jeden z nich faktycznie otworzył jedyne oko i wyszczerzył do niej poźółkłe zębiska. Briar bez namysłu strzeliła mu w twarz.

Zeke wypadł z drzwi prowadzących na klatkę schodową. Stokrotkę przełożył przez ramię. Trzymał ją, jakby była snopkiem siana albo kawałkiem pnia.

– Co teraz, mam? – zapytał, okazując widoczne zniecierpliwienie. Na to pytanie na razie nie znała odpowiedzi.

– Nie wiem – odparła. – Musimy się stąd wydostać. I od tego zaczniemy.

– Pójdiesz z nimi? Do Chinatown?

– Nie pójdzie – odpowiedziała mu Angelina.

Ona pierwsza opuściła klatkę schodową, wciąż trzymając nogę Swakhammera na ramieniu. Zaraz po niej na korytarz wyszedł Frank podtrzymujący złamane podudzie, a potem Lucy i Frank trzymający nieprzytomnego wielkoluda pod pachami.

– Co takiego?

– Wy idziecie do fortu. Wejdziecie na pokład statku, który tam naprawiają. Niedługo powinien być gotowy do odlotu – wyjaśniała Angelina, z trudem wypowiadając słowa. Sama była już wykończona.

– On was stąd zabierze.

– Poza miasto? – zapytał Zeke.

– Raczej poza tę jego część, którą ogrodzono – wysapała Lucy ukryta za karkiem Jeremiasza. – Pomóżcie nam wpakować go do windy i zjedźcie z nami na dół, a jak tylko z niej wyjdziemy... – musiała poprawić ciężkie brzemie, jęcząc przy tym cicho – użyj tej cholernejsz Stokrotki i wracajcie na górę. Tylko tamtędy zdołacie się przedostać do fortu.

Briar wciąż nie była przekonana, lecz wykonała posłusznie pierwszą część polecenia i pomogła im zapakować Jeremiasza do klatki. Squiddy i Frank podtrzymywali go, podczas gdy Lucy gmerała przy dźwigniach, próbując uruchomić mechanizm.

– Jak tylko znajdziemy się na dole i przeniesiemy Jeremiasza do tuneli kopalni, uruchomię windę, by wróciła na górę, rozumiesz? Będziecie musieli wskoczyć do niej, bo tym razem nigdzie się nie zatrzyma po drodze.

– Rozumiem – odparła Briar – ale nie jestem pewna...

– Ja niczego nie jestem już pewna – zapewniła ją jednoręka barmanka –

niemniej wiem jedno: masz syna, a ten dworzec lada moment wypełni się zgnilasami. Wszyscy, których nieumarli znajdą w tych podziemiach, zostaną pożarci.

– Pani była jedną z tych, którzy ich tu wpuścili? – zapytał Zeke.

Lucy skinęła głową w kierunku Franka i Allena.

– Taka mała zamiana ról, że tak powiem. Gdybym tylko wiedziała, że mają tutaj tak wiele poziomów... Szczerze mówiąc, tego się nie spodziewałam.

– Możemy iść z wami – upierał się chłopak. – Pomożemy.

Briar myślała podobnie.

– Upewnimy się przynajmniej, że dotrzecie bezpiecznie na miejsce –

dodała.

– Nie, nie upewnicie się. Albo dotrzemy na miejsce, albo nam się to nie uda. Albo Swakhammer przeżyje, albo nam uświerknie po drodze. Nie potrzebujemy nikogo więcej do niesienia go. Ale wy dwoje, a raczej ty, Briar, powinnaś się udać do kapitana i zameldować, że tu nie zginęłaś. Niech wie, że spłacił dług, a nie że zaciągnął jeszcze większy. Jest teraz na terenie fortu, gdzie naprawia swój statek, żeby odlecieć za mur. Wie już, że twój syn jest tutaj. Powiedział mi o tym, gdy przekazywałam mu wiadomość od Minnerichta.

Swakhammer poruszył ramionami i wydał z siebie gulgoczący dźwięk, jakby próbował odetchnąć przez zalaną lepikiem krtań. Na koniec zakwilił, rozdzierając serce Briar. Takiego dźwięku nie powinien wydawać z siebie człowiek pokroju Jeremiasza Swakhammera.

– On umiera – powiedziała. – O Boże, Lucy. Zabierz go stąd do tego chińskiego znachora. Dzięki ci za wszystko, przysięgam, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

– Zatem ruszajmy. – Barmanka nie trudziła się opuszczaniem kraty, od razu pociągnęła za rączkę wiszącą nad jej głową. Winda zaczęła opadać. Gdy znajdowała się na wysokości podłogi, Lucy rzuciła jeszcze: – Zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce w Skarbcach, jeśli tylko zechcesz. Jeśli nie, to wiedz, że poczytuję sobie za zaszczyt, że mogłam walczyć u twojego boku.

Moment później klatka zawieszona na kablach i łańcuchach zniknęła im z oczu.

Briar została w korytarzu tylko ze swoim synem.

Wielka broń była dla niego za ciężka. Słaniał się pod nią ze zmęczenia, ale nie narzekał, mimo że kolana mu drżały, a skóra na karku piekła od rozgrzewającego się wolno metalu.

Winda dotarła do dna szybu i zatrzymała się.

Briar i Zeke usłyszeli, jak Lucy wykrzykuje serię poleceń, a potem postępowania jej pomocników, gdy wynosili Swakhammera z klatki na najniższym poziomie dworca. Oby jak najszybciej znaleźli wózek, oby Lucy zdążyła dowieźć Jeremiasza do kogoś, kto mu pomoże.

Brzęknięcia łańcuchów i narastający klekot uświadomiły im, że winda wraca na górę. Wstrzymali oddech i przygotowali się do skoku.

Briar i Zeke trzymali Stokrotkę między sobą. Ledwie zobaczyli dno klatki wynurzającej się z szybu, wrzucili broń do niej i sami podążyli jej śladem. Winda nadal wznosiła się wolno, choć w tempie równomiernym.

Briar oparła Stokrotkę o stalową kratownicę, stawiając ją na kolbie.

Pod jej korpusem znajdował się spust dłuższy i grubszy od męskiego kciuka. Urządzenie było już gotowe do oddania strzału, aż wibrowało od przepełniającej je energii.

– Zakryj uszy – poleciła Briar Ezekielowi. – Mówię bardzo, bardzo poważnie. Zatkaj je z całych sił. Ta broń ogłuszy zgnilasów, ale tylko na kilka minut. Będziemy musieli wiać ile sił w nogach.

Odsunęła się od egzotycznej broni na tyle, na ile mogła, odczekała, aż winda dotrze do najwyższego piętra, i nacisnęła spust.

Impuls soniczny pomknął w górę i w dół. Skondensowany kształtem szybu odbijał się setnym echem od ścian i załomów, od szczytu i dna, w jednych miejscach zwielokrotniając moc fal dźwiękowych mknących przez zrujnowane korytarze, w innych niwelując ich działanie. Winda zadrżała, zakołysała się na podtrzymujących ją kablach, przez mgnienie oka Briar myślała, że stara konstrukcja nie wytrzyma tak ogromnego natężenia dźwięku i zerwie się z mocowań, pociągając ich za sobą na samo dno, gdzie zginą oboje straszliwą śmiercią.

Winda jednak wytrzymała i wznosiła się dalej, w kierunku kolejnego mrocznego systemu pomieszczeń.

Zeke był oszołomiony tak samo jak Briar za pierwszym razem, gdy usłyszała Stokrotkę. Na szczęście matka miała znacznie mniej problemów z udźwignięciem go niż on wcześniej z noszeniem broni i zeskoczyła z platformy prosto pod jakieś drzwi.

Otworzyła je, nie myśląc nawet, co zastanie po drugiej stronie, trzymając za sobą ślaniającego się wciąż syna i zataczając lufą sztucera niemal dokładny półokrąg.

Panoramę ulicy rozświetlał tuzin sporych ognisk, wokół których znajdował się krąg wolnej przestrzeni. Nikt nie powiedział Briar, że zgnilasy wolą się trzymać z dala od ognia, ale teraz, gdy zobaczyła to na własne oczy, wydało jej się zupełnie naturalne.

Ogniska rozpalili i pilnowali ich ludzie w maskach, którym najwyraźniej było obojętne, co się dzieje w podziemiach dworca. Wszyscy chwiali się na nogach, lecz dochodzili już do siebie. Z pewnością usłyszeli ryk Stokrotki i wiedzieli, co on oznacza. Znajdowali się jednak na tyle daleko od źródła erupcji sonicznej, zagłuszanej dodatkowo trzaskającym ogniem, że tylko kilku z nich padło jej ofiarą. Reszta potrząsała po prostu głowami lub przetykała sobie uszy, usuwając skutki działania Niesamowitego Ogłuszacza doktora Minnerichta.

Briar nie miała pojęcia, że mogą tu być ludzie, choć gdyby nawet wiedziała, i tak by odpaliła Stokrotkę. Było nie było, żywi odzyskiwali przytomność szybciej niż nieumarli.

Zauważyła, że z uprząży maski stojącego najbliżej palacza wystaje gruby warkocz. Rozglądając się, dostrzegła jeszcze kilka podobnych fryzur.

Chińska dzielnica rozciągała się od dworca aż do muru, a oni trzymali tutaj straż, dzięki ogniewi na jej terenie panował względny spokój.

Wszyscy też ignorowali jej obecność. Zeke'a także zdawali się nie zauważać.

– Zostaw Stokrotkę – poleciała synowi.

– Ale...

– I tak nie zdołamy jej użyć ponownie. Zbyt długo się ładuje i za bardzo by nas spowalniała. A teraz – dodała, ponieważ nagle dotarło do niej, że nie ma pojęcia, gdzie się kierować – musimy znaleźć ten fort. Wiesz, gdzie to jest?

Niewiele widziała z powodu gęstego dymu i oparów Zguby. Musiała zapytać kogoś o drogę, lecz palacze podtrzymujący ogień nie odwrócili się, nawet gdy zaczęła ich nawoływać. Wątpiła, aby znali angielski. Zeke pociągnął ją za rękaw.

– To niedaleko stąd. Pokażę ci.

– Jesteś pewien? – Zapierała się, chłopak jednak chwycił ją mocniej i pociągnął za sobą.

– Tak. Jestem pewien – potwierdził. – Tam złapał mnie Yaozu.

Pamiętam też z mapy położenie fortu. Chodź, mamó. Musimy iść tą ulicą.

Dzięki tym płomieniom – dodał – przynajmniej widzimy drogę.

– Racja – przyznała i pozwoliła mu odholować się od ognia, Chińczyków o potężnych ramionach, ich masek oraz łopat.

Zeke skręcił na następnym skrzyżowaniu, wybierając skrót.

Briar zderzyła się z nim i popchnęła go siłą rozpędu prosto w niewielkie stado zgnilasów. Nieumarli leżeli na bruku, ale kilku już zaczynało się poruszać, dość niezbornie na razie. Były ich tutaj dziesiątki i całe setki leżące dalej, skryte w mroku i gęstych oparach Zguby.

– Nie zatrzymuj się – ostrzegła syna, ruszając szybkim krokiem przed siebie. – Mamy mniej niż minutę. Biegnij, na litość boską!

Nie sprzeczał się z nią i od razu rzucił się w pogoń za matką, depcząc po leżących ciałach i wyszukując skrawki wolnego bruku tam, gdzie to było możliwe. Prowadziła go w kierunku, który wybrał, pokazując mu, że może stąpać po wszystkim, nawet po ich głowach. Poślizgnęła się tylko raz, lecz Zeke zdołał ją podtrzymać, i nagle znaleźli się na opustoszałej ulicy za leżącym na bruku legionem nieumarłych.

– Teraz w prawo – odpowiedział.

Nadal biegła przodem, prowadząc go, zarazem jednak słuchając wydawanych poleceń. Do jej nosa ukrytego w masce docierała woń lęku, nadziei, gumy, węgla i szkła. Wdychała ją pełną piersią głównie dlatego, że musiała czymś napełnić płuca, zbyt szybko zapomniawszy, z jakim trudem oddycha się i biega jednocześnie z ciężką maską zakrywającą całą twarz.



Zeke także ciężko dyszał, ale był młodszy i chyba na swój sposób silniejszy od niej.

Nie była tego pewna, miała wszakże taką nadzieję.

Czas, który sobie kupili dzięki Stokrotce, właśnie się skończył, a gdyby nawet było inaczej, i tak odbiegli już zbyt daleko od dworca, by broń soniczna mogła ogłuszyć znajdujące się w tej okolicy zgnilasy.

Minęli dwie przecznice i znów skręcili.

Zeke przystanął, by zebrać myśli.

– Proszę – szepnęła Briar błagalnym tonem. – Tylko mi nie mów, żeśmy się zgubili.

Przywarła do ściany i pociągnęła syna za sobą.

– Nie zgubiłem drogi – zapewnił ją. – Spójrz, tam jest wieża, najwyższy budynek w tym mieście. Zaraz za nim powinien być fort. Za chwilę powinniśmy go zobaczyć.

Miał rację. Przebyli resztę trasy, wymacując sobie drogę w kompletnej ciemności i skrywających gwiazdy oparach Zguby, i w końcu wylądowali przed główną bramą fortu, którą oczywiście zabarykadowano od wewnątrz.

Briar zaczęła walić w nią, wiedząc oczywiście, że może takimi hałasami zwrócić na siebie uwagę nie tego, kogo trzeba, zdawała sobie jednak sprawę, że musi podjąć takie ryzyko. Jeśli nie znajdą się za chwilę za ogrodzeniem, dopadną ich nadchodzące już zgnilasy. Słyszała ich jęki dochodzące z przeraźliwie bliskiej odległości, a z tego miejsca nie było innej drogi ucieczki.

Sakwa zwisająca na pasku i objijająca się jej o biodro wydawała się tak lekka, że bała się ją otworzyć, by sprawdzić, ile naboju w niej jeszcze zostało.

Wiedziała, że słowo „niewiele” z pewnością oddaje powagę sytuacji, i na samą myśl o nim czuła zimny dreszcz oraz mdłości.

Zeke dołączył do niej, on też tłuki pięściami w bramę fortu i kopał ją zaciekle.

Nagle z drugiej strony masywnych wrót usłyszeli głośnie szuranie i odgłos czegoś ciężkiego spadającego na ziemię. Grube pale, z których zbito ogrodzenie okalające fort i bramę, zaczęły się rozsuwać. Po chwili szpara pomiędzy nimi robiła się na tyle szeroka, że kobieta i jej syn mogli się precyzyjnie przecisnąć na dziedziniec. W tym samym momencie z za najbliższego narożnika wychynęły pierwsze szeregi szarżujących zgnilasów.

## **ROZDZIAŁ 28**

Briar rozpoznała tych ludzi po sylwetkach, przez maski bowiem nie mogła widzieć ich twarzy.

Fang był szczupły i nieruchomy jak posąg.

Gigantycznej postury kapitana Clya nie sposób było pomylić z nikim innym.

Za palisadą nie było zbyt wiele światła, jednakże nieliczne lampy, które wciąż działały, pozwalały rozpoznać najbliższe otoczenie. Lampy zawieszono na chińską modłę, dyndały łagodnie na długich linach, oświetlając główne przejścia. W oddali dwaj mężczyźni pracowali narzędziami, które sypały wokół snopy iskier. Trzeci pilnował rżącego generatora parowego, dzięki któremu spawano rozdarłe poszycie „Naamah Darling”.

Briar nie widziała statku w tak gęstych oparach gazu, lecz ten fragment, który miała przed oczami, i tak wydawał jej się imponująco majestatyczny mimo wielu lat na poszyciu.

– Wydawało mi się, że nie przylecicie nad miasto jeszcze przez kilka dni – rzuciła w stronę kapitana Clya.

– Nie zamierzaliśmy tego robić – przyznał, wskazując kciukiem mężczyznę obserwującego postęp prac – ale nasz przyjaciel Crog wpadł w tarapaty.

– Ja wpadłem w tarapaty? – Czarnoskóry lotnik obrócił się na pięcie i spojrzał z takim wyrzutem, że Briar zauważyła to nawet przez maskę. – Nie wpadłem w żadne tarapaty. Jakiś wredny sukinsyn porwał mojego „Wolnego Kruka”!

– Witam... kapitanie Hainey – odparła Briar. – Przykro mi to słyszeć.

– Pani jest przykro, mnie jest przykro, wszystkim cholernym owieczkom Pana jest przykro – rzucił gniewnie. – Najpotężniejsza jednostka latająca w promieniu setek mil. Jedyne okręty wojenne, jakie udało się skrać obu walczącym ze sobą stronom, i ktoś ośmielił się zwędzić go mnie! Lepiej pani zmówi pacierz i podziękuj za wielkie szczęście – dodał, wskazując paluchem na Briar.

– Robię to codziennie i będę robić po kres swoich dni – zapewniła go. –

A za co mam dziękować?

– Teraz kiedy nie mam już „Wolnego Kruka” – oznajmił – nie mógłbym po panią przylecieć, więc cholera wie, na kogo by pani trafiła. Na szczęście ten niezdarny dziadyga zdecydował, że pomoże mi odzyskać mojego ptaszka, i tak oto się tu znalazłem.

– Jak pani widzi, nie na wiele się to zdało naszemu Crogowi – dodał

Cly – ale ja się cieszę, że udało nam się was odnaleźć. Ponieśliśmy pewne szkody – wskazał głową pracujących członków załogi, którzy właśnie wyłączyli spawarkę i zaczęli zwijać przewody, aby zejść z burty statku. –

Mogłaby pani zapytać syna, jak do tego doszło. A głównie o to, jak się znalazł na pokładzie „Wolnego Kruka”. Głowiłem się nad tym, odkąd zdałem sobie sprawę, kim jesteś, chłopcze.

Zeke, który stał do tej pory za matką, milcząc i licząc, że dzięki temu zostanie zignorowany, oświadczył natychmiast pokornym tonem:

– Powiedzieli mi, że ten statek nosi nazwę „Clementine”. Mieli mnie wywieźć za mur, na Przedmieścia. Pani Angelina mi to załatwiła.

Powiedziała, że mnie zabiorą i wysadzą po drugiej stronie. Nie wiedziałem, że statek był kradziony.

– Był kradziony, jak najbardziej. Ja ukradłem go pierwszy, nie przeczę.

Potem go przerobiłem. Sprawilem, że zaczął się nadawać do latania.

Nazwałem go „Wolny Kruk” i był mój, ponieważ praktycznie odbudowałem go od podstaw.

– Tak mi przykro – bąknął Zeke.

– Powiadasz, że to Angelina wsadziła cię na pokład? Przecież ona zna większość nas, lotników obsługujących trasy do miasta – zauważył Cly, drapiąc się w miejscu, gdzie maska niezbyt dobrze przylegała do ucha. – Nie sądziłem, że pójdzie na układ i przekaże cię w ręce kogoś, kogo prawie nie zna.

– Mówiła, że ich zna – zaprzeczył Zeke. – Ale chyba ma pan rację i nie była to zbyt zażyła znajomość.

– Gdzie ona teraz jest? – Croggon Hainey nieomal wykrzyczał to pytanie. – Gdzie jest ta zwariowana stara Indianka?

– Wraca teraz do Skarbców – poinformowała go Briar, próbując zakończyć tę rozmowę. – A my powinniśmy się stąd zabierać. Na stacji doszło do straszliwych wydarzeń i chaos zaczyna się rozprzestrzeniać.

– Tym bym się nie przejmował – zbył ją Hainey. – Nasz fort wytrzyma wszystko, a ja muszę porozmawiać z tą kobietą, by...

– Proszę pana, tamten kapitan nazywał się Brink – wtrącił Zeke, próbując pomóc. – Miał rude włosy i mnóstwo tatuaży na ramionach.

Hainey zamarł, gdy chłonał te informacje, po chwili zaś wyrzucił

ramiona w górę i jął wygrażać niebu.

– Brink! Brink! Znam tego parszywego dupka! – Obrócił się, wciąż młóćąc rękami powietrze i kopiąc wyimaginowane cele, a potem ruszył w stronę statku, nie przestając kląć i wygrażać, mimo że obiekt jego czułości nie mógł tego słyszeć.

Andan Cly spoglądał w ślad za oddalającym się przyjacielem, dopóki ten nie zniknął za kadłubem „Naamah Darling”. Wtedy odwrócił się do Briar i otworzył usta, aby coś powiedzieć. Ona jednak okazała się szybsza.

– Wiem, kapitanie – zagaiła – że nie zamierzał pan wracać do miasta przed wtorkiem, niemniej

cieszę się, że jest pan tutaj. Mam nadzieję... –

zamilkła na moment, nie mogąc dobrać właściwych słów – że nie odmówi mi pan jeszcze jednej małej przysługi. Zadbam też o to, by został pan stosownie wynagrodzony, i gwarantuję, że nie będzie to wymagało nadkładania drogi.

– Powiada pani, wynagrodzony?

– Zgadza się. Jak będziemy się stąd wynosić, chciałabym, aby zatrzymał się pan na moment przy moim dawnym domu. Chciałabym, żeby Zeke zobaczył, gdzie kiedyś mieszkałam. Jak pan zapewne pamięta, mój mąż był jednym z najbogatszych ludzi w okolicy. Wiem, gdzie ukrył część swoich pieniędzy, i jestem pewna, że nawet najlepiej wyposażeni rabusie nie byli w stanie ich znaleźć. Jest tam kilka... skrytek. Z przyjemnością podzielę się z panem wszystkim, co stamtąd weźmiemy.

– Naprawdę zabierzesz mnie tam? – zapytał Zeke, jakby nie usłyszał

całej reszty wywodu. – Pokażesz mi swój dawny dom?

– Naprawdę – odparła, choć głosem, z którego przebijało wielkie znużenie. – Zabiorę cię tam i oprowadzę po domu. Pokażę ci wszystko obiecała. – O ile nasz kapitan będzie na tyle uprzejmy, że nas tam dowiezie.

Croggon Hainey wynurzył się zza rufy statku, wciąż złorzecząc i przeklinając.

– Mam nadzieję, Brink, że przeżyłeś wzniosłe chwile podczas tego lotu, bo zabiję cię na miejscu, jak tylko cię znajdę!

Cly spoglądał na niego spod na wpół przymkniętych powiek, ale raczej z rozbawieniem niż troską.

– Jeśli usłyszysz o dodatkowym zarobku, z pewnością da się namówić na małe zboczenie z trasy – rzucił. – Poza tym to moja jednostka. Polecimy do twojego domu, jeśli sobie tego życzysz. Czy jest tam jakieś miejsce, do którego możemy przycumować albo chociaż rzucić kotwice?

– Na podwórzu rosło drzewo, stary dąb, teraz pewnie jest już zupełnie martwy, ale powinien utrzymać statek przez kilka minut.

– To powinno wystarczyć – przyznał, mierząc ją wzrokiem od stóp po głowę i tak samo przyglądając się Zeke'owi. – Możemy ruszać, kiedy zechcecie.

– Zatem ruszajmy, skoro jest pan już gotowy – odparł chłopak, pochylając się, by objąć matkę w pasie. Zaskoczył ją tym gestem i uradował

jednocześnie.

Cieszyła się z jego reakcji, choć poczuła także ukłucie smutku.

Zdawała sobie sprawę, że któregoś dnia jej syn dorośnie, nie spodziewała się jednak, że to nastąpi

tak szybko. Chyba dlatego nie była pewna, jak powinna zareagować na jego wylewność.

Czuła potworne zmęczenie, oczy piekły ją straszliwie po kilku nie do końca przespanych nocach, głowa pękała od trosk i od uderzenia w skroń, które zafundował jej Minnericht. Oparła się więc o syna i gdyby nie kapelusz ojca, który miała na głowie, mogłaby złożyć ją na jego ramieniu.

Cly obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy jego podwładni zakończyli już pracę.

– Rodimer jest na pokładzie? – zapytał Fanga.

Chińczyk skinął głową.

– A tak, Rodimer – wtrąciła Briar. – Pamiętam go. Szczerze mówiąc, zdziwiłam się, że nie bierze udziału w rozmowie.

– On nie żyje – poinformował ją bezceremonialnie kapitan. – Kiedy uderzyliśmy w ziemię, skręcił sobie... coś tam w środku. W jednej chwili czuł

się dobrze, a w następnej już go nie było. A teraz sam nie wiem. Chyba odwieziemy go do domu. Niech jego siostra zdecyduje, co zrobić z ciałem.

– Tak mi przykro – szepnęła Briar. – Polubiłam tego człowieka.

– Ja też – przyznał Cly. – Niemniej nic więcej nie możemy dla niego zrobić. Wynośmy się z tego przeklętego miejsca. Rzygać mi się chce na myśl o dalszym noszeniu maski. I wdychaniu tego syfiastego powietrza. Chcę być jak najdalej stąd. Chodźcie – zachęcił ich. – Czas wracać do domu.

Niecałe pół godziny później „Naamah Darling” wzbił się w powietrze.

Unosił się bardzo wolno, gdyż kapitan musiał przetestować działanie wszystkich dysz, zbiorników oraz systemu sterowania. Poruszał się jednak zadziwiająco lekko jak na maszynę tych rozmiarów i wagi. Wkrótce fort pozostał daleko w dole.

Croggon Hainey zajął fotel pierwszego oficera i z zaciętą miną wykonywał obowiązki należące do tej pory do Rodimera. Fang zapiął pasy i pełnił w milczeniu funkcję nawigatora, odpowiadając na pytania gestami ręki i skinieniem głowy. Briar i Zeke przycupnęli przy skraju panoramicznej szyby, spoglądając w dół na pokryte oparami miasto.

– Musimy zostać na razie w zasięgu Zguby – poinformował ich kapitan. – Gdybyśmy wznieśli się wyżej, trafilibyśmy na krzyżujące się wiatry, a nie chcę narażać mojej dzieciны na żadne niebezpieczeństwa, zanim nie przetestujemy wszystkich systemów. Spójrzcie na lewo. Widzicie dworzec?

– Ja widzę – zapewniła go Briar.

Pod nią rozciągały się długie pomosty, które pozwalały mieszkańcom tej dzielnicy swobodnie poruszać się w obu kierunkach, i w połowie ukończona bryła dworca sąsiadująca z bagnistymi

równinami i wielkim murem. Nieco dalej płonęły ogniska, było ich naprawdę wiele, a obsługujący je ludzie wyglądali z tej wysokości jak myszy.

„Naamah Darling” przemknął obok wieży zegarowej dworca, nieco zbyt blisko, jak na jej gust. Tarcza gigantycznego czasomierza, większego od jej sypialni, łypała w ich kierunku bielmem okrągłego oka. We wnętrzu wieży nie było mechanizmu, który by ją ożywił, a na cyferblacie wskazówek pokazujących upływ czasu. Była duchem wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca.

Teraz statek powietrzny unosił się nad ulicami miasta, na każdej aż się roiło od zgnilasów. Nieumarli poruszali się małymi grupkami i całymi stadami, objijając się bezmyślnie od ścian niczym kości rzucone z kubka.

Briar patrząc na nich, poczuła głęboki żal, zapragnęła, Iły ktoś kiedyś położył

kres tej męce i uśmiercił ich co do jednego. To kiedyś byli ludzie tacy jak ona i zasługiwali na lepszy los. Ale czy na pewno?

W miarę jak statek wznosił się coraz wyżej, lecąc wzdłuż zbocza najwyższego wzgórza w mieście, myśli Briar wróciły do Minnerichta i do reszty straciła pewność. Może nie wszyscy zasługiwali na lepszy koniec.

Może tylko nieliczni byli tego godni.

Spojrzała na stojącego u jej boku syna. Wyglądał przez to samo okno na ruiny dumnego niegdyś miasta. Uśmiechał się pod nosem, lecz nie dlatego, że widział coś pięknego, tylko z radości, że udało mu się przetrwać i wyrwać z tego piekła, by wyruszyć po jedyną nagrodę, jakiej naprawdę pragnął. Briar przyglądała się jego uśmiechniętej twarzy. Robiła to ukradkiem, nie chcąc go speszyć. Chciała, by ten uśmiech trwał jak najdłużej, ponieważ nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

– Pani Wilkes, musi nas pani poprowadzić – odezwał się kapitan Cly. –

Wiem, że mieszkała pani na tym wzgórzu, ale nie znam dokładnego adresu.

– Proszę lecieć wzdłuż Denny – pokazała ręką kierunek. – Dom jest na samym końcu po lewej. To ten największy budynek.

Wyłonił się z oparów nisko zalegającego gazu jak zamek z bajki. Szare ostre kontury odcinające się od pochyłości zbocza niczym pąkła od burty łodzi. Widziała już płasko zakończoną wieżę z wieńczącym ją ogrodzonym tarasem i kojarzącymi się z piernikowym lukrem ciągami rynien. W ciemności nie potrafiła jednak ocenić, czy dom zachował żywe barwy.

Pomalowano go ongiś na jasnoławendowy kolor, jej ulubiony. Wyznała kiedyś Leviemu – i tylko jemu – że uwielbia imię Heather, kojarzące się jej z wrzosowiskami, i wiele by data, by rodzice tak właśnie ją nazwali. Wtedy odparł, że ich dom będzie miał taką właśnie barwę, a jeśli Bóg kiedykolwiek obdarzy ich córką, pozostawi kwestię wyboru imienia żonie.

Wizja tej rozmowy znów ją nawiedziła. Była krótka i ostra, jakby to wspomnienie zamarzło i utknęło jej w głowie.

Raz jeszcze spojrzała na Zeke'a, dyskretnie, kątem oka. Nie miała wtedy pojęcia o jego istnieniu. Tak wiele się wówczas działo, że brakowało jej czasu na myślenie o tym wszystkim i dopiero później zrozumiała, dlaczego czuła takie mdłości i miała ochotę na jedzenie tak przedziwnych potraw... Dotarło to do niej już na Przedmieściach, gdy po raz drugi musiała chować ojca. Żyła wtedy za pieniądze uzyskane ze sprzedaży srebrnej zastawy wyniesionej z rezydencji Leviego. Wyprzedawała ją sztuka po sztuce, by przeżyć trudne czasy stawiania muru wokół miasta, które nazywała swoim domem.

– Co? – zapytał Zeke, zauważywszy jej spojrzenie. – Co się dzieje?

Zaśmiała się nerwowo, lecz w jego uszach ten dźwięk mógł zabrzmieć jak szloch.

– Zamyśliłam się. Gdybyś był dziewczynką, nosiłbyś imię Heather –

poinformowała go i zaraz dodała, kierując następne słowa do kapitana: – Oto nasz dąb. Widzi go pan?

– Widzę – odparł. – Fang, zrzuć jeden z haków.

Chińczyk zniknął za drzwiami ładowni.

Gdzieś pod ich nogami otworzyła się kłapa i ku dawno uschniętemu drzewu opadła lina zakończona masywną kotwiczką. Briar widziała, gdy przycisnęła czoło do okna, jak pod jej ciężarem łamią się kolejne gałązki i nieco grubsze konary. Niemniej gdy lina wystarczająco się w nie zaplątała, znalazła punkt zaczepienia i zatrzymała „Naamah Darling”. Statek zakołysał

się łagodnie i zawisł nad koroną dębu.

W pewnej odległości od drzewa opadła drabinka sznurowa, która kończyła się kilka stóp nad ziemią.

Fang wrócił na mostek.

– Nie utrzymamy się na haku zbyt długo, kilka minut musi wam wystarczyć – oznajmił Cly.

– Potrzebujecie pomocy? – zapytał pełniący obowiązki pierwszego oficera Crog, aczkolwiek uczynił to z wielką niechęcią.

– Może nam pan dać te kilka minut? – poprosiła Briar, wiedząc doskonale, czym zaprzątnięte są jego myśli. – Potem może pan do nas dołączyć, pokażę panu, gdzie znaleźć złoto pozostawione przez mojego męża. To się tyczy także pana, kapitanie Cly. Mam u pana dług wdzięczności, zatem cokolwiek pan tam znajdzie, będzie należało do pana.

– Ile minut potrzebujecie? – zapyta! Hainey.

– Powiedzmy, że z dziesięć – odparła Briar. – Chcę znaleźć kilka osobistych przedmiotów.

– Macie kwadrans – oznajmi! Cly. – Powstrzymam drania do tego czasu, jeśli będzie trzeba – dodał.

– Chciałbym to zobaczyć – burknął Crog.

– Pewnie, że byś chciał – odparł Cly. – Ale jeśli nie masz nic przeciw temu, damy pani czas, o jaki prosi. A wy ruszajcie, zanim zgnilasy zrozumieją, że dzisiejszy show odbywa się nie tylko na stacji i wrócą na to wzgórze.

Ezekielowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pomknął do ładowni i skoczył na drabinkę sznurową. Zanim Briar poszła w jego ślady, gdy zerwał się z fotela.

– Ma pani czyste filtry? – zapytał, chwytając ją za ramię.

– Owszem, są jeszcze całkiem dobre.

– Czy jest coś... coś co...

– Proszę mi pozwolić dogonić syna – przerwała mu Briar, nie dbając o treść pytania, jakie zamierzał jej zadać.

– Przepraszam – bąknął, cofając rękę. – Przydałoby się pani światło.

– O tak. Bardzo. Dzięki.

Podał jej dwie lampy i paczkę zapalek, za które także podziękowała.

Zawiesiła je sobie na przedramieniu, by swobodnie zejść po drabinie.

Chwilę później stała już na dziedzińcu swojego dawnego domu.

Trawniki były równie martwe jak stary dąb, na ścieżkach pomiędzy nimi zalegały warstwy błota i gruba warstwa zgniłych dawno roślin. Sam dom nabrał żółtawej barwy poprzetykanej plamami smętnego brązu, jak wszystko, z czym zabójczy gaz stykał się przez ostatnie szesnaście lat. Po różnych krzewach obrastających ganek pozostały tylko uschnięte kruche łodygi.

Postawiła obie lampy na podłodze ganku i sięgnęła po zapalki.

Drzwi frontowe były otwarte. Okno obok nich zostało wybite. To chyba nie było dzieło Ezekiela, nie słyszała żadnych hałasów, gdy schodziła za nim, niemniej ten kto rozbił szybę, mógł bez trudu sięgnąć do zamka i otworzyć go od wewnątrz.

– Jesteś tu już, mamó?

– Tak – odparła, nie podnosząc głosu.



Nie mogła oddychać, lecz nie była to wina zapchanych filtrów.

W środku niemal każda rzecz była przesunięta, wprawdzie niewiele, ale na tyle, by to zauważyła. Zyskała pewność, że ktoś tu był przed nimi.

Porozbijano naczynia, skradziono co bardziej wartościowe przedmioty. Po biało-niebieskiej japońskiej wazie zostały jedynie skorupy. Chińska etażerka została rozbita, zabrano z niej wszystkie cenne przedmioty, a resztę potłuczono o podłogę. Orientalny chodnik, na którym stała, był popodwijany na krawędziach, zapewne to także było dziełem rabusiów, tych samych, którzy pozostawili zabłocone ślady na podłodze salonu, kuchni i pokoju, gdzie stał właśnie Ezekiel chłonący wzrokiem wszystko.

– Mamo, spójrz tutaj! – zawołał, jakby nigdy wcześniej nie widziała tych pomieszczeń.

– Masz, przynajmniej będziesz widział, na co patrzysz – rzuciła, podając mu jedną z lamp.

Popatrz, tam stoi obita ałtąsem kanapa pokryta tak grubą warstwą kurzu, że nie sposób rozpoznać, jakiego jest koloru. Spójrz, oto pianino, a na nim wciąż stoją rozłożone nuty. Wystarczy usiąść, by zagrać. A tam, nad drzwiami, wisi końska podkowa, która nikomu nigdy nie przyniosła szczęścia.

Briar stała pośrodku pokoju, usiłując przypomnieć sobie, jak wyglądał

przed szesnastu laty. Jaki kolor miała ta kanapa? Albo ten fotel bujany stojący w kącie? Czy ten szal zawsze wisiał na jego oparciu, czy też rzuciła go tam mimochodem?

– Ezekielu – wyszeptała.

– Tak, mamó?

– Muszę ci coś pokazać.

– Co takiego?

– Zejdźmy do piwnicy. Pokażę ci, gdzie to wszystko się zaczęło i jak do tego doszło. Zobacysz Kościotrzepa.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Dostrzegła to, gdyż zauważyła zmarszczki w kącikach jego oczu.

– O tak. Pokaż mi go!

– Tędy – wskazała mu drogę. – Trzymaj się blisko mnie. Nie wiem, czy ta podłoga może jeszcze utrzymać nasz ciężar.

Mówiąc to, dostrzegła na ścianie jedną ze swoich lamp naftowych, która wisiała tam sobie, jakby nikt nigdy nie opuścił tego domu. Szklany zbiorniczek nie miał nawet jednej ryski. Gdy przechodziła obok, blask taniej przemysłowej lampy przemknął po zwierciadle, przywołując je na moment do życia.

– Schody są tam. – Kiedy to powiedziała, poczuła ogromną niechęć do pokonywania kolejnych stopni tego dnia. Zmusiła się jednak i pchnęła drzwi czubkami palców, wsłuchując się w znajome skrzypienie zawiasów.

Zardzewiały kompletnie, ale nadal trzymały, a gdy skrzydło się poruszało, grały tę samą melodię co zawsze.

Zeke był zbyt podekscytowany, by mówić. Wyczuwała to po tym, jak się poruszał, idąc za nią krok w krok, po uśmiechu ukrytym pod maską i szybkim, niemal króliczym oddechu świszczącym w filtrach.

Uznała, że winna mu jest wyjaśnienie.

– Wiele lat temu ogłoszono konkurs. Rosjanie chcieli znaleźć sposób na eksploatację złóż złota w Klondike. Twój ojciec wygrał i dostał od nich pieniądze na zbudowanie maszyny, która mogłaby przewiercić się przez setki stóp lodowej skorupy. – Przy każdym kroku w dół dodawała kolejne szczegóły, schodząc niezwykle wolno, jakby wbrew swojej woli. – Tam lody nigdy nie tajały, jak mi się zdaje, stąd problem z wydobyciem. W każdym razie Levi dostał pół roku na skonstruowanie prototypu i urządzenie pokazu dla rosyjskiego ambasadora, który specjalnie na tę okazję miał zjechać do naszego miasta. Potem się jednak dowiedziałam, że otrzymał list, w którym kazano mu przyspieszyć pokaz.

Dotarli do piwnicy. Uniosła lampę, by lepiej oświetlić pomieszczenie.

Ezekiel stanął u jej boku.

– Gdzie ta maszyna?

Blask lampy odsłonił przed ich oczami przestrzeń upstrzoną szarymi plandekami, pod którymi kiedyś spoczywały wynalazki Leviego i jego sprzęt.

– Nie tutaj. To nie laboratorium, tylko nasza piwnica. Tutaj tata składował urządzenia, nad którymi pracował, oraz czekające już na nabywców. Niektóre leżały tu, póki nie znalazł dla nich jakiegoś zastosowania.

– Co się z nimi stało?

– Domyślam się, że doktor Minnericht zabrał stąd wszystko, co się dało wynieść. Większość wynalazków, które widziałam na dworcu, pochodziła z tej właśnie piwnicy. Widziałeś te przepiękne żyrandole zasilane elektrycznością pochodzącą z nieznanego mi źródła? Albo tę trzylufową strzelbę? Nie było ich tutaj za moich czasów, ale widziałam rysunki przedmiotów wyglądających joto w jotę jak one. Tam, na tym pulpicie. – Pod ścianą stało przysadziste bardzo długie biurko. Jego blat był kompletnie nagi.

Nie leżał na nim nawet skrawek papieru ani najmniejszy ogryzek ołówka. –

Minnericht, Joe Foster czy jak mu tam było... zrabował stąd wszystko, co nie było przybite do ściany. A w każdym razie to, co udało mu się zobaczyć i przesunąć. Na szczęście nie mógłby poruszyć

Kościorzeka, gdyby nawet wiedział, gdzie go szukać.

Otworzyła prawą górną szufladę i wsunęła do niej dłoń, wymacując ukryty panel. Kiedy go znalazła, nacisnęła znajdujący się na nim guzik. W

ścianie obok pojawił się z cichym chrzęstem obrys przypominający rozmiarami drzwi. Zeke zapiszczał i popędził w jego kierunku.

– Uważaj! – ostrzegła go matka. – Pozwól, że ci pokażę, jak to otworzyć. – Podeszła do ściany i przesunęła dłońmi w szczelinie. Gdy nacisnęła ukryte skrzydło w odpowiednich miejscach, poruszyło się bez trudu, odsłaniając schody. – Cóż – mruknęła, gdy zeszli po nich na niższy poziom, i uniosła lampę wysoko nad głowę, by przyjrzeć się sklepieniu. –

Wygląda na to, że trzyma się dobrze.

Niestety, nie o wszystkim można było to powiedzieć. Część jednej ze ścian posypała się w gruzy, podobnie jak niemal cała podłoga. Z sufitu zwisały kable grubsze od ludzkiego kciuka, całe ich kłęby leżały zmieszane ze stosami gruzu, który gigantyczna maszyna podczas powrotu z głębin ziemi rozrzuciła na boki z taką łatwością, jak pług rozgarnia śnieg.

Kościorzepak ocalał, pokrywały go jedynie kawałki gruzu i ziemi, pozostałości tego, przez co się przedostawał. Stał na samym środku wielkiej sali, jakby zapuścił tam korzenie.

Dwie lampy nie były w stanie rozproszyć całkowicie panujących tu ciemności, lecz Briar widziała doskonale stalowe segmenty wielkiej maszyny spoczywającej pod warstwą pokruszonego tynku i potężne głowice drążące, które sterczały teraz przed korpusem, przypominając kleszcze monstualnego kraba. Zauważyła tylko dwie z czterech głowic, w jakie była wyposażona maszyna.

Potężna maszyna wydobywcza nie tyle uszkodziła, ile rozniosła na strzępy trzy długie stoły i stojące na nich szklane naczynia. Rozrzuciła po całej powierzchni zawartość szafek i półek. Na cokolwiek się natknęła po drodze, wszystko rozpadało się w drzazgi.

– To cud, że nie rozwalił nam całego domu – wyszeptała Briar. –

Muszę ci powiedzieć, że wtedy bardzo się tego bałam. – Nawet przez maskę czuła zatęchły zapach znajdującego się tu powietrza i jego chłód. Szesnaście lat wilgoci, zgnilizny i Zguby odcisnęło piętno na tym miejscu.

– O tak – mruknął Zeke, który przytaknąłby teraz każdemu jej stwierdzeniu.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że gigantyczna maszyna spoczywa na boku, ale było to tylko wrażenie wywołane rozmiarami podziemi. Kościorzepak wysunął się pod kątem z podłoża, odsłaniając jakieś dwie trzecie swojego kadłuba. Głowice drążące obracały się przed nim wokół

własnej osi, zagarniając wszystko, co się znalazło w ich zasięgu. Briar pamiętała, że w tamtej przerażającej chwili kojarzyły jej się z widelcami, którymi miesza się spaghetti w misce. Mimo że po tylu latach ich ostrza pokryła i wykruszyła rdza, nadal wyglądały jak twory z sennego koszmaru.

Briar przełknęła głośno ślinę. Zeke przykucnął, jakby zamierzał

zeskoczyć na posadzkę, ale powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Widzisz tę szklaną kopułkę na szczycie? – zapytała. – Tę przypominającą z wyglądu pocisk?

– Tak. Widzę.

– Tam siedzi operator tego potwora.

– Chciałbym do niej wejść. Mogę? Czy jest wciąż otwarta? Myślisz, że Kościotrzep działa?

Zeskoczył, zanim zdążyła zareagować. Wylądował lekko na niższych stopniach za wyrwą, przy której się zatrzymali.

– Zaczekaj! – poprosiła, zeskakując za nim. – Czeka! Nie dotykaj niczego. Pełno tu szkła – uprzedziła syna. Lampa w jej dłoni wciąż się kołysała po skoku, przez moment wydawało się więc, że na podłodze zrujnowanego pokrytego kurzem laboratorium rozbłysły tysiące strąconych gwiazd.

– Przecież mam rękawice – odparł Zeke, gramoląc się na stertę gruzu, po której mógł przejść pod głowicami w pobliże szklanej kopułki.

– Zaczekaj! – zawołała za nim, tym razem nieco głośniejszym i bardziej rozkazującym tonem. Zatrzymał się. – Pozwól, że ci coś wyjaśnię, zanim sam o to zapytasz.

Zsunęła się z potrząskanych schodów i wspięła do niego na stos cegieł i kamieni, które osypały się z uszkodzonej ściany i sklepienia, a teraz okrywały Kościotrzepa jak chitynowy pancerz kraba.

– Levi przysięgał, że to był wypadek – powiedziała. – Twierdził, że miał problem ze sterami i odrzutem, a potem machina wymknęła mu się zupełnie spod kontroli. Ale teraz widzisz na własne oczy, jak precyzyjnie zaparkował ją potem we własnym laboratorium, gdy wrócił z testu. – Zeke skinął głową. Klęczał obok niej, odgarniając kurz, by odsłonić stalowy korpus jednego z cięgieł i jego wielkie jak pięści zębiska. – Przysięgał mi także, że nie dostał pieniędzy za tę piekielną maszynę, a nade wszystko że nigdy, przenigdy nikogo by nie skrzywdził. Możesz mi wierzyć bądź nie, ale przez kilka dni nie wychodził z tego laboratorium. Nikt nie wiedział, gdzie się podział Kościotrzep po tym rajdzie. Nikt nie podejrzewał, że Levi mógł

nim zawrócić do domu z taką łatwością, jakby prowadził dorożkę. Potem jednak pojawił się tutaj twój dziadek. Szukał Leviego. To znaczy wszyscy go wtedy szukali, on wiedział natomiast, że mogę być jedyną osobą, która wie, gdzie się podział mój mąż, więc udał się prosto do mnie. Nie rozmawiałam z nim, odkąd wyszłam za mąż. Mój ojciec nigdy nie lubił Leviego. Uważał, że jest za stary dla mnie, i chyba miał rację. Co ważniejsze jednak, był zdania, że Leviticus Blue jest złym człowiekiem, i w tym także, choć po czasie, muszę mu przyznać rację. Ale wtedy, gdy ostatni raz rozmawiałam z twoim dziadkiem, nazwałam go kłamcą za to wszystko, co wygadywał o moim mężu. Skłamałam też, patrząc mu prosto w oczy, i powiedziałam, że nie mam pojęcia, gdzie on jest, chociaż przebywał tutaj, w swoim laboratorium.

– Szkoda, że go nie znalazłem – wtrącił Zeke. – Mówię o twoim ojcu.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć, więc milczała, dopóki nie zdołała wydukać:

– Też żałuję. Zawsze był takim ciepłym człowiekiem, wydaje mi się, że by cię polubił. I na pewno byłby dumny z takiego wnuka. – Odchrząknęła porządniej i dodała: – Ale wtedy, przy naszym ostatnim spotkaniu, byłam dla niego okropna. Wyrzuciłam go za drzwi i nigdy więcej już nie widziałam żywego... – Umilkła na moment, a potem dodała, choć bardziej do siebie: –

Ponoć to Cly przyniósł go wtedy do domu. Jaki ten świat jest mały.

– Kapitan Cly?

– Tak. Kapitan Cly, tyle że był wtedy młodym człowiekiem i nikim nie dowodził. Może opowie ci o tym, gdy wrócimy na jego statek. Dowiesz się, co naprawdę się działo podczas wielkiej ucieczki, bo to chyba najbardziej ci ciążyło. W końcu kto inny może wiedzieć lepiej niż człowiek, który tam wtedy był? – Zamilkła raz jeszcze, potem wróciła do przerwanej wcześniej opowieści: – Wieczorem tego dnia, gdy pojawił się tutaj twój dziadek szukający Leviego, zeszłam do laboratorium, chociaż wiedziałam, że nie powinnam. Twój ojciec robił zawsze wiele rabanu, kiedy zaglądałam tam bez jego pozwolenia. Dlatego wemknęłam się, kiedy nie patrzył. Siedział pod tą kopułą i coś majstrował jakimiś kluczami czy śrubokrętami. Pochylał się tak mocno, że zza burty Kościotrzepa wystawały tylko jego wygięte plecy.

Dlatego nie mógł mnie widzieć.

Zeke podczołgał się do sterówki, którą przykrywało szkło grubsze niż jego dłoń. Uniósł lampę na tyle wysoko, by zajrzeć przez jego mocno porysowaną powierzchnię.

– Coś tam leży w środku – mruknął.

– Kiedy otworzyłam drzwi laboratorium – Briar zaczęła mówić szybciej – obok drzwi znalazłam stos worków oznaczonych napisem: FIRST

SCANDINAVIAN BANK. Tam, na tym stole, który złamał się na pół, stały torby wypełnione równiutko ułożonymi banknotami. Zamarłam, ale Levi i tak mnie wypatrzył. Wyjął akurat głowę z kabiny i zmierzył mnie tak strasznym spojrzeniem, jakiego w życiu u niego nie widziałam. Zaczął wrzeszczeć. Kazał mi się wynosić, choć zaraz, się zorientował, że zauważyłam już pieniądze, spróbował więc podejść mnie z innej strony.

Przyznał, że je ukradł, ale za nic nie chciał potwierdzić, że uwolnił gaz.

Przysięgał, że to przypadek.

– A co się stało z pieniędzmi? – zapytał Zeke. – Czy chociaż część została tutaj? – Lustrował wzrokiem pobojuwisko, a kiedy nie znalazł

niczego ciekawego, zaczął się wspinać na Kościotrzepa.

– Zdołał ukryć większość – kontynuowała Briar. – To co zobaczyłam, było zaledwie resztką zrabowanej sumy, która nie trafiła jeszcze do skrytek.

Zabrałam pewną sumę, gdy odchodziłam, ale wydałam wszystko co do centa.

Dzięki tym pieniądzom mieliśmy co jeść, kiedy byłeś mały, a ja nie pracowałam jeszcze w oczyszczalni wody.

– A co się stało z resztą?

– Ukryłam je na górze – odparła, zaczerpnąwszy głęboko tchu. – Levi próbował mnie zwieść starą śpiewką o wspólnej ucieczce – zaczęła mówić znacznie szybciej, jakby chciała wypluć to z siebie, zanim Zeke przekona się o wszystkim naocznie – i zaczęciu życia w nowym miejscu. Nie chciałam się stąd wyprowadzać. Zresztą było dla mnie jasne jak słońce, że on się szykuje do ucieczki beze mnie. Zaczął się na mnie wydzierać. Ja też byłam wściekła i do tego przerażona. Na stole, który stał kiedyś w tym miejscu, zauważyłam jeden z rewolwerów, które przerabiał na o wiele potężniejsze i straszliwsze narzędzia zabijania.

– Mamo!

Nie pozwoliła sobie przerwać.

– Podniosłam go i wymierzyłam w niego, ale tylko się zaśmiał. Kazał

mi iść na górę i spakować rzeczy, które chcę zabrać, ponieważ opuścimy miasto Kościotrzepem, i to za niecałą godzinę. Dodał, że jeśli tego nie zrobię, zginę jak wszyscy, a potem najzwyczajniej w świecie obrócił się do mnie plecami i zaczął majstrować w kabinie, jakby mnie tu nie było. Jego zdaniem nie byłam zdolna do niczego – rzuciła, jakby dopiero teraz to zrozumiała. –

Uważał, że jestem młoda i głupia, ot kolejna ozdóbka do salonu, nic więcej.

Miał mnie za osobę bezsilną. Ale w tym się akurat pomylił.

Zeke był już wystarczająco blisko porysowanej powierzchni szkła, by dostrzec w świetle lampy, co spoczywa na dnie kabiny.

– Mamo... – szepnął.

– Nie twierdzę, że mnie straszył albo próbował uderzyć. Nie. Wrócił do pracy nad Kościotrzepem, a ja podeszłam z tyłu i zastrzeliłam go.

Zeke znalazł klamkę na wysokości swojego kolana. Sięgnął do niej, lecz w ostatnim momencie się zawahał.

– No dalej. Zajrzyj tam albo przez resztę życia będziesz się zastanawiał, czy Minnericht nie

powiedział ci prawdy.

Zeke obejrzał się po raz ostatni, by popatrzeć na nieruchomą postać matki stojącej u stóp rumowiska z lampą w ręku, po czym nacisnął klamkę i podniósł szklaną kopułkę przy akompaniamencie pisku zawiasów.

Na dnie kabiny zobaczył zasuszoną mumię złożonego w pół mężczyzny.

Trup nie miał całego tyłu czaszki, aczkolwiek jej fragmenty można było zobaczyć wszędzie, na wewnętrznej stronie szkła i na panelu sterowania. Poczerniałe podobnie jak kawałki tkanki, dzięki którym przylgnęły do elementów maszyny. Zwłoki miały na sobie jasną koszulę i sięgające do łokci skórzane rękawice.

– Nie będę nawet udawała, że chodziło mi o chronienie ciebie – dodała Briar znacznie spokojniejszym głosem. – O tym, że noszę cię w łonie, dowiedziałam się dopiero po upływie kilku tygodni, więc to nie może być wymówką. Niemniej tak wygląda prawda. Zabiłam go – wyznała. – Gdyby nie ty, już dawno bym o tym zapomniała. Przyszedłeś tutaj jednak. Jesteś moim... i jego synem, choć niczym na to sobie nie zasłużył. I dlatego musiałeś poznać całą prawdę.

Zamilkła i czekała na reakcję swojego dziecka.

Z góry dobiegły echa ciężkich kroków.

– Pani Wilkes, gdzie pani jest? – dobiegł z salonu basowy głos kapitana Clya.

– Tutaj, na dole! – odrzyknęła. – Jeszcze chwilka. Zaraz przyjdziemy.

– Spojrzała na syna i dodała: – Powiedz coś, Zeke. Błagam cię, synku, powiedz cokolwiek.

– A co mam powiedzieć? – zapytał. Zabrzmiało to tak, jakby naprawdę nie wiedział.

– Powiedz choćby, że mnie nie znienawidziłeś. Powiedz, że rozumiesz albo że nie jesteś w stanie tego pojąć, ale wszystko między nami będzie jak dawniej. Powiedz, że dowiedziałeś się ode mnie tego, co zawsze cię ciekawiło, i że nie możesz mnie już winić o to, że coś przed tobą ukrywam.

Powiedz mi choćby tyle, że nie potrafisz mi wybaczyć! Powiedz, że cię skrzywdziłam tak samo jak jego przed laty. Powiedz, że nie rozumiesz mnie i wolałbyś zostać na dworcu u boku Minnerichta. Powiedz, że nie chcesz mnie już nigdy widzieć, jeśli tego właśnie pragniesz. Powiedz cokolwiek, tylko nie każ mi siać tutaj w niepewności.

Zeke odwrócił się do niej plecami i spojrzał na masę przycisków, dźwigierek i lampek. Popatrzył na wyschnięte zwłoki człowieka, którego twarzy nigdy nie widział. Potem sięgnął po szklaną kopułkę i opuścił ją wolno.

Zamek zaskoczył z cichym kliknięciem, gdy przywarła do kadłuba maszyny.

Zsunął się z kupy gruzu, stanął w odległości kilku stóp od Kościotrzepa obok matki, która była zbyt przerażona, by zawyć, choć ten właśnie sposób uzewnętrznienia bólu wydawał się jej w tej chwili najwłaściwszy.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz?

– Tak. Co teraz zrobimy?

Przełknęła głośno ślinę i puściła trzymany kurczowo pasek sakwy.

– Nie rozumiem.

– Pytam, czy przejdziemy się po domu, żeby zebrać to, po co przyszłaś, czy chcesz od razu wracać na Przedmieścia.

– Zastanawiasz się, czy powinniśmy tutaj zostać?

– Tak, o to właśnie pytam. Czy powinniśmy wracać za mur? Czy masz tam jeszcze pracę? Zniknęłaś na kilka dni, podobnie jak ja. Może powinniśmy wziąć resztę tych pieniędzy i poprosić kapitana, aby zabrał nas gdzieś na wschód. Przecież ta wojna nie będzie trwała wiecznie. Może gdybyśmy zawędrowali wystarczająco daleko na północ albo na południe... –

Sam nie wierzył w sensowność tego pomysłu, a innych nie miał. – No sam nie wiem – podsumował.

– Ja też – przyznała.

– Nie myśl jednak, że cię znenawidziłem – dodał. – Nie umiałbym.

Przysłaś za mur, aby mnie znaleźć. Nikt inny nie zadałby sobie trudu, żeby sprawdzić, czy coś mi się nie stało.

Poczuła, jak Izy napływają jej do oczu. Próbowwała je wytrzeć, lecz maska, o której istnieniu zapomniała, nie pozwoliła na to.

– Dobrze. Świetnie. Cudownie. Cieszę się, że to słyszę.

– Zbierajmy się stąd – zaproponował Zeke. – Chodźmy na górę i sprawdźmy, co uda się znaleźć. A potem... potem... zrobimy, co zechcesz.

Objęła go ramieniem i przytuliła mocno, gdy wracali schodami na parter.

Słyszeli oboje, jak piraci myszkują po szufladach i szafkach.

– Pomóżmy im – rzekła Briar. – W podłodze sypialni, pod łóżkiem, jest sejf. Wiedziałaś, że wróćę po jego zawartość, nie miałam tylko pojęcia kiedy. – Pociągnęła nosem, czując wielką ulgę. – Ale



nawet bez tych pieniędzy bylibyśmy szczęśliwi – dodała.

– Też tak sędzę.

– A w sprawie tego, co teraz powinniśmy zrobić... – Ruszyła przodem i poprowadziła go wąskim korytarzem, który wyglądał o wiele przytulniej w świetle obu lamp. – Mamy jeszcze chwilę na podjęcie decyzji. Uważam jednak, że nie powinniśmy zostawać za murem. Podziemia to nie miejsce dla porządnego młodzieńca.

– Z tego co słyszałem, nie są też zbyt odpowiednie dla kobiet.

– Dla kobiet też – musiała to uczciwie przyznać. – Tyle że może te zastrzeżenia nas nie dotyczą. Ja jestem zabójczynią, a ty uciekinierem. Może zasługujemy oboje na mieszkanie w tym mieście, z tymi ludźmi, i kto wie, czy nie uczynilibyśmy dla nich czegoś dobrego. Przecież tutaj nie może być gorzej, niż mieliśmy tam, za murem.

Na podłodze salonu zauważyli ogromny cień kapitana Clya. Croggon Hainey wkraczał właśnie przez frontowe drzwi, poprawiając maskę i nie przestając wyklinać złodzieja swojego statku. Przerwał tylko na chwilę, by rzucić w ich kierunku:

– Dziwna sprawa, pani Wilkes. Nikt mnie jeszcze nie zapraszał do obrabowania swojego domu.

Rozejrzała się po smętnie zwisających paskach tapety, zapleśniałych dywanach i rdzawych plamach zdobiących ściany tam, gdzie kiedyś je pomalowano farbami. Resztki mebli spoczywały na podłodze między oknami i przed kominkiem, a cienie rzucane przez porozbijane szyby tworzyły przedziwne mozaiki w całym wnętrzu. Przez otwarte drzwi widziała majaczącą w oparach gazu tarczę wschodzącego słońca. Jego blask był tak słaby, że z trudem rozjaśniał salon. W tych anemicznych promieniach dom wydawał się jeszcze większą ruiną, niż był w rzeczywistości.

Zeke nie uśmiechał się od dłuższej chwili, ale teraz znów wyszczerzył

zęby i powiedział:

– Aż trudno uwierzyć, że to rumowisko może kryć coś cennego.

Niemniej mama twierdzi, że schowała trochę pieniędzy na piętrze.

Briar objęła go i przytuliła tak mocno, jak tylko mogła.

– To mój dom – rzuciła do obu kapitanów. – Jeśli jest tu coś, co warto zabrać, chodźmy po to. Ja już swoje zrobiłam. Mam to, po co przyszłam.

Zeke stał nieruchomo, gdy mierzwiła mu dłonią włosy, potem spojrzał

na kapitana Clya.

– Czy to prawda, że był pan na stacji podczas wielkiej ucieczki? Mama twierdzi, że to pan przyniósł

mojego dziadka do domu.

Olbrzym skinął głową.

– Zgadza się – przyznał. – Przynieśliśmy go z bratem. Zajmijmy się jednak tym, po cośmy tutaj przyszli. Opowiem ci o wszystkim po powrocie na pokład, jeśli nadal będzie cię interesowało. Dowiesz się o wszystkim.

# EPILOG

Nadzorca w oczyszczalni, noszący grube rękawice człowiek o poirytowanej twarzy, powiedział Hale'owi Quarterowi, że nie, pani Blue nie pojawiła się znowu w pracy. Szczerze mówiąc, nie widział jej na terenie zakładu od niemal tygodnia, więc z tego co mu wiadomo, zapewne nie jest już pracownicą tej szacownej instytucji. Dodał jeszcze, że nic nie wie o jej losie. I nie, nie ma bladego pojęcia, gdzie mogła się udać ani co teraz robi.

Jeśli jednak Hale naprawdę jest zainteresowany jej losem albo nie ma nic lepszego do roboty, może pogrzebać w jej rzeczach osobistych, które zostały w szatni. Zdaje się, że nikt do tej pory nie opróżnił jej półki.

Briar nie posiadała nic, czego ktoś mógłby pożądać.

Młody biograf skinął głową, potem przesunął palcem po kołnierzyku przy szyi, ocierając pot. W pomieszczeniu panował straszliwy ukrop. Para buzowała, piszcząca, a czasami tryskała nawet strumieniami z zaworów na wielkich machinach. Wrząca woda w trakcie procesu oczyszczania była przelewana z tygła do tygła syczącymi kaskadami gorąca. Pozostali robotnicy spoglądali na niego podejrzliwym okiem, okazując otwartą niechęć, mimo że nikt im jeszcze nie zdążył powiedzieć, w jakiej sprawie Hale zawędrował aż tutaj. Wystarczało im samo to, że miał na sobie idealnie dopasowane ubranie i trzymał pod pachą okazałych rozmiarów notes. Wystarczało, że nosił

okulary, które zachodziły mgłą, ilekroć zawory rur nad jego głową obniżały ciśnienie. Nie był jednym z nich, dlatego nie zamierzali się z nim bratać.

Pragnęli tylko, by zabrał tytek w troki i wyniósł się z miejsca ich pracy.

Hale nie zamierzał ich zawieść. Opuścił halę, ślizgając się kilkakrotnie na mokrych kratownicach, po których robotnicy poruszali się pomiędzy kolejnymi stanowiskami. Zanim jednak wyszedł, zawołał krztuszącym się głosem:

– Jak poznam, które rzeczy należały do niej?

Nadzorca nawet nie oderwał wzroku od manometru. Gruba wskazówka drżała na jego skali, przeskakując pomiędzy niebieskim a żółtym polem.

– Wystarczy popatrzeć – odkrzyknął.

Hale cofnął się do tylnego wejścia, a potem przeszedł do pomieszczenia, w którym pracownicy trzymali swoje rzeczy. Wystarczyło kilka chwil, by zrozumiał, o czym mówił nadzorca. Znalazł półkę z nazwiskiem Briar, a w każdym razie tę, na którym powinno się znajdować.

Przez całą jej długość ciągnęły się bowiem pozamazywane napisy, z których trudno było cokolwiek wywnioskować.

Na półce znalazł parę rękawic, niemniej gdy spróbował je wyjąć, by dokładniej obejrzeć, okazało

się, że nie może oderwać ich od deski.

Staął na palcach i rzucił okiem do wnętrza przegrody. Zobaczył w niej kałużę niebieskiej farby, która po zaschnięciu trzymała materiał równie mocno jak klej. Zostawił więc rękawice w spokoju, a ponieważ farba zdążyła już zaschnąć na dobre, zaczął macać za nimi, licząc, że trafi na inne ślady z życia Briar. W samym kąciku wyczuł pojedyncze szkło tanich gogli i pustą kopertę opatrzoną nazwiskiem Wilkes.

Nie znalazł niczego więcej, więc stanął znów pewniej na podłodze.

Zaczął stukać palcem o sprzączkę pasa, co pozwalało mu skupić myśli.

Niestety, tym razem nie na wiele się to zdało. A to oznaczało, że skończyły mu się pomysły. Gdziekolwiek udała się Briar Wilkes Blue, zrobiła to nagle i bez przygotowań. Z nikim się nie pożegnała, nie złożyła wypowiedzenia w pracy, nie spakowała też swoich rzeczy, nie mówiąc już o tym, by wyjawiała komukolwiek, co zamierza zrobić.

Po jej synu także ślad zaginął.

Hale postanowił raz jeszcze zajrzeć do jej domu. Jeśli nikogo tam nie zastanie, będzie mógł przynajmniej dowiedzieć się od sąsiadów, czy matka bądź syn pojawili się w okolicy albo kto tam zaglądał w ostatnim czasie.

Może chociaż któryś z koleżków Ezekiela będzie się plątał przy domu. A jeśli szczęście nie dopisze, Hale zajrzy przez okna, aby potwierdzić to, czego i tak był pewien: że Briar Wilkes Blue odeszła na dobre i nie zamierza tu wracać.

Wsunął notes pod pachę i ruszył w długą drogę w górę błotnistej zbocza, rozmokniętymi uliczkami Przedmieść, w kierunku posesji, na której spoczął Maynard Wilkes. Pora była wciąż wczesna, a siąpiący z nieba rzadki deszczyk nie dawał się zbyt mocno we znaki. Słońce prześwitywało blado przez nieliczne wyrwy w pokrywie chmur, rzucając śmieszne cienie na odciski końskich kopyt i kół wozów, które przemierzały rozmiękłe drogi.

Zimne wietrzysko dęło mu w plecy, ale nie było tak lodowate jak jeszcze kilka dni temu i nie niosło ze sobą tyle deszczu, by zamoczyć wszystkie kartki notatnika.

Zanim dotarł do domu Wilkesów, popołudnie zamieniło się w zbyt wczesny zmierzch, aczkolwiek o tej porze roku nie było to w tej okolicy niczym dziwnym. W perspektywie ulicy widział chłopców, którzy zapalali wysokie latarnie, dostając za to centa od sztuki. W resztkach blasku dnia już z daleka widział, że domostwo nadal jest opuszczone.

Chałupa była niska i szara, jak wszystko wokół. Jej ściany wyblakły smagane deszczami skażonymi Zgubą, a szyby w oknach zmatowiały, jakby potraktowano je kwasem.

Drzwi frontowe były zamknięte, choć nie na klucz. Tyle już wiedział.

Położył dłoń na gałce, lecz znieruchomiał, zanim ją przekręcił. Nie wszedł, zamiast tego przez chwilę

zaglądał przez sąsiednie okno. Nie zobaczył jednak niczego, więc wrócił do drzwi. Dłoń ślizgała mu się po zimnym zmoczonym metalu. Przekręcił gałkę do połowy, ale znów zrezygnował, chyba po raz setny, i dał sobie spokój.

Od nowa zaczęło mocniej padać, porywy wiatru wbijały mu ostre igiełki zimnej wody prosto w ucho. Ganek nie dawał zbyt wielkiej osłony przed ulewą. Hale wsunął notatnik pod połę skórzanego płaszcza, by choć jego nie dosięgnęła wszechobecna wilgoć. Po raz kolejny rozważył

możliwość otworzenia tych drzwi.

Usiadł pod nimi jak najdalej od zacinającego deszczu, tuląc notatnik.

Wichura miotła koronami drzewek rosnących wokół podniszczonej chałupki, a ulewa to nasilała się, to słabła, ukazując mu je niczym unosząca się i na powrót opadająca kurtyna na scenie teatru.

Hale Ouarter przesunął stalówką pióra po języku, by ją zwilżyć, i zaczął pisać.

## POSŁOWIE

Jak sądzę, dla nikogo nie jest tajemnicą, że *Kościotrzep* to opowieść całkowicie zmyślona, aczkolwiek jak w każdej z moich poprzednich książek umieściłam tu wiele prawdziwych szczegółów dotyczących opisywanego regionu. Przyznaję jednak również, że potraktowałam z dużym przymrużeniem oka oficjalną historię, geografę, a także znaną w tamtych czasach technikę.

Uczyliłam to z bardzo samolubnego powodu: potrzebowałam tętniącego życiem, bardzo ludnego miasta, jakim Seattle nie było w roku 1863. Dlatego – co zostało szczegółowo wyłuszczone na początku –

zdecydowałam się przyspieszyć wybuch gorączki złota w Klondike, i to o kilka dekad, dzięki czemu mogłam znacząco rozbudować miasto. To pozwoliło mi zwiększyć także populację zgnilasów ze skromnych pięciu do czterdziestu tysięcy, co dla tej opowieści wydawało mi się właściwsze.

Jak zapewne zauważyli ludzie mieszkający dzisiaj w tym stanie, pominęłam też kilka ważnych punktów zwrotnych w historii Seattle, takich jak pożar z roku 1889, który niemal doszczętnie zniszczył miasto, i odbudowę Denny Hill w 1897. Ponieważ oba te wydarzenia miały miejsce po czasach opisywanych w powieści (jej akcja rozgrywa się około roku 1880), posługiwałam się pierwotnymi planami zabudowy okolic Pioneer Square i jego okolic.

Gwoli wyjaśnienia dodam, że opierałam się na mapie Sanborna z roku 1884, aby trzymać się dokładnie topografii tego terenu, niemniej przyznaję, że tu i ówdzie poczyniłam kilka znaczących odstępstw.

Ergo, założenie, że ludność miasta będzie o wiele liczniejsza, musiało skutkować stworzeniem wizji znacznie bardziej rozbudowanego centrum, które powstało już w latach sześćdziesiątych XIX wieku, zanim jeszcze zbudowano mur.

Takie założenie przyjął i trzymałam się go do końca.

Dlatego proszę nie przysyłać mi maili z wyjaśnieniami, że budowę dworca przy King Street rozpoczęto w roku 1904 albo że do stawiania Wieży Smitha przystąpiono w roku 1909, a Commercial Street nosiła podówczas nazwę Pierwszej Alei. Znam te fakty, odstępstwo zaś od nich było całkowicie zamierzone.

W każdym razie dziękuję Wam za przeczytanie tej książki i dziękuję za zawieszenie niewiary na te kilkaset stron. Zdaję sobie też sprawę, że historia ta jest nieźle zakręcona, ale powiedzcie szczerze, czy nie taki właśnie powinien być rasowy steampunk?